



ADAM
WIŚNIEWSKI-SNERG



ROBOT



Adam Wiśniewski-Snerg

Robot

Robot

Copyright © by Adam Wiśniewski-Snerg

Redakcja: Katarzyna Derda

Korekta: Paweł Dembowski

Ilustracja na okładce: Jarek Kubicki

Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-65074-07-2

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Mechanizm

Była noc. Była jedna z szeregu tych zwyczajnych nocy, gdy budziłem się między pancernymi ścianami, uwięziony od wielu miesięcy w komorze bez wyjścia, w ciemności rozświetlonej blaskami ekranów i w ciszy przerywanej piskami głośników, gdy drętwiałem na myśl o nieznanym losie pod niskim marmurowym stropem, z którego nawet we śnie śledziły mnie nieczułe mechaniczne oczy, i kiedy — wciąż jednakowo zdumiony prawami zamkniętego świata — pytałem maszyny, co to wszystko znaczy, i zaraz traciłem świadomość w kolejnym ciężkim śnie.

Tej nocy nikogo już o nic nie zdążyłem spytać. Zbudzony ostrym zgrzytem unoszonej grodzi, jak strzałem armatnim, ukryłem się pod kołdrą, by tam zamknąć usta, szeroko otwarte grozą bliskiej śmierci, zaś brutalna siła, która przy tym chciała mi wyważyć szczękę, w czasie trwania krzyku wyrwanego z piersi obdzierała mnie z ostatnich złudzeń, tłocząc do mózgu mroźną myśl o widmie wszechobecnego Mechanizmu.

— Egzemplarz sześćdziesiąt sześć...! — cisza. — Biegiem do czwartej komory! — padł rozkaz z głębi rozwartego luku.

Skoczyłem tam, skąd dobiegł głos, posłusznie jak pies do nogi swego pana. Nagi i porażony gwałtownością wezwania zanurzyłem się w nieznannej czeluści. W środku nikogo nie znalazłem. Masywny blok stali z hukiem zatrzasnął się za mną. Stałem w sześciennym ciasnym komorze o gładkich ścianach — z wyjątkiem lodowatego mroku nie czułem i nie widziałem nic.

Komora jednostajnym ruchem windy opuszczała się w głąb nieokreślonej konstrukcji. Gdy dotarła do celu, jedna z jej ścian zjechała w bok, odsłaniając widok na obszerną salę. Zobaczyłem w niej kilkunastu nagich ludzi. Mężczyźni i kobiety, napiętnowani widocznymi z daleka czarnymi numerami, które żłobiły im blade czoła, stali w szeregu pod cylindrycznymi kloszami z grubego szkła.

Ściana wróciła na poprzednie miejsce. Przysłoniła zagadkowy obraz tak pośpiesznie, jakby siła — operująca nią zdalnie — zmieniła w tej chwili swój pierwotny plan. Podłoga komory zwinęła się w śliski lej. Z

jego gardła wykipiiała smolista czerń i zalała wszystko. Gdzieś w górze błysnęło światło. Nim zgasło, ujrzałem w jego pomarańczowym blasku prześwietloną na wskroś spienioną falę, która wypchnęła błonę stropu i z rykiem wtargnęła do komory, wciągając mnie w głąb.

Prąd wyrwał mnie z leja i zawiła drogą, w masie zbitej kremowej piany, niósł coraz wyżej — ku czarnej źrenicy. Ślizgałem się na wstęgach ruchomych czujników we wnętrzu długiej przezroczystej rury, opasanej konwulsyjnie pulsującym węzłem — niczym pierwszy przełknięty kęs w trzewiach głodzonego olbrzyma. Raz jeszcze podrzucony elastycznym ścięgnem wtoczyłem się wreszcie na wzniesiony ponad wszystkim srebrny szczyt. Skamieniałem u celu: głęboka źrenica jak wylot groźnej broni w świetlnej smudze zatoczyła wkoło mnie szeroki krąg. Kiedy się zwarła, pochwycony przez mięsiste cęgi zakreśliłem łuk nad przepaścią i wróciłem nad krawędź leja.

Znowu stałem między ścianami komory. Zalewał ją błękitny płyn. W piersi biło mi miarowe tętno. Uniosłem się w chłodnej przestrzeni i spocząłem na dnie. Przywarłem do powierzchni szerokiego lustra.

Z daleka płynął cichy monotony głos:

— Po wykonaniu głównego zadania...

Zagłuszyło go krótkie wezwanie i ostry rozkaz:

— Selekcja!

— Na stanowisku!

— Odchylenie od normy przekroczyło wartość krytyczną. Zlikwidować!

Jak z ciemności wyłania się przysłonięty dotąd innymi, bardziej natarczywymi obrazami ukryty wśród nich delikatny kształt, tak z ciszy, która zapanowała po tamtym zgiełku, wypłynął i przybliżył się zagłuszony na początku, pierwszy monotony i cichy głos:

— Nieustanna — choć przytłumiona licznymi kłopotami o drugorzędnym znaczeniu — myśl o niej mobilizować cię będzie do trwoźnego wysiłku; nie wyobrażaj sobie jednak, że nieprzytomny pośpiech jest tym, co winieneś najwyżej cenić. W nielicznych sytuacjach, które by wymagały posługiwania się naszym imieniem, nie analizując precyzji tego terminu — nazywaj nas Mechanizmem. To już wszystko, czego się mogłeś od nas dowiedzieć — tyle ci wystarczy. Instrukcja nie przewiduje głębszego poznania. Poddaj się naszej woli!

Na swobodnej powierzchni cieczy, w której byłem całkowicie zatopiony, kołysał się miarowo duży biały pęcherz. Wielkość jego ulegała okresowym zmianom: pęczniał i kurczył się na przemian zgodnie z rytmem moich oddechów. Dalej w górze — w ośrodku objętym kolejną metamorfozą — ujrzałem dwie pary roziskrzonych oczu. Jedną z nich rozpoznałem od razu: to były moje własne oczy. Okalał je obraz odbitej jak w zwierciadle znanej mi doskonale twarzy. Druga twarz — jaśniejsza i bardziej ostra — przesunęła się poza krawędź srebrnego kwadratu i znikła. Lecz zanim wypadła z pola mego widzenia, zdążyłem odczytać widniejący na jej czole wyraźny czarny napis: BER-64.

Wpatrywałem się w swój wizerunek z ciekawością, która wkrótce nabrała mocy zdumienia: na własnym czole również odczytałem duże czarne litery i cyfry. To piętno różniło się od poprzedniego pewnym drobnym, choć bardzo istotnym szczegółem. Nosiłem na czole nie wiadomo kiedy wyryty tam napis: BER-66.

Wtem ściany komory pękły wzdłuż wszystkich swych krawędzi i czterema grubymi blokami stali osunęły się bezgłośnie do otwartych poza nimi wnęk. Cała masa błękitnej cieczy spłynęła korytami w dół. Odcięty szczeliną od reszty dna okrągły fragment podstawy, na której stałem, jak potężny tłok wprowadził mnie do wnętrza czekającego w górze cylindra. Przejrzysty klosz po przyjęciu żywego ładunku powędrował niezwłocznie na następne stanowisko operacyjne. Wielocłonowe szczęki zaopatrzyły go tam w niskie podwozie i pchnęły dalej.

Poruszałem się w swym więzieniu na szynach między dwiema plastikowymi ścianami, w połowie wysokości wąskiego i długiego korytarza. Przedemną, w odległości kilkunastu metrów, toczył się w tym samym kierunku drugi identyczny pojazd. Jego wnętrze zajmowała postać nagiego mężczyzny. Na zwróconej profilem twarzy odczytałem jedynie drugą część jego liczby porządkowej, ale to mi wystarczyło, żeby domyślić się pierwszej: oznaczony był numerem BER-65.

Pojazdy toczyły się bardzo wolno. W czasie kilku minut nieustannego ich ruchu z dziwną dla samego siebie bez troską i ciekawością, która znajdowała czas, aby zajmować się takimi nieistotnymi szczegółami, porównywałem zwisające z sufitów obu pojazdów dwa proste uchwyty. Nareszcie, doszedłszy do jakiegoś nie

sprecyzowanego bliżej wniosku, który w badającej coś podświadomości przedstawił mi się jako ulga po ustępującym silnym nacisku, opuściłem oczy na opasaną szkłem postać i dokonałem dziwnego odkrycia. Człowiek ten — brałem go dotąd za organizm z krwi i kości — przez cały czas ani razu się nie poruszył. Jednakże bezruch jego nie miał nic wspólnego z nieruchomością kogoś, kto dla takich czy innych powodów usiłuje zrobić wrażenie, że jest posągiem. Patrzyłem ze zdumieniem na pochylony tułów, którego pozycja przeczyła warunkom trwałej równowagi, na nabrzmiące mięśnie rozrzuconych rąk, zakrzywione palce i na silnie skręcone nogi. W tej nienaturalnej pozycji, która mogła być nieruchomym obrazem jakiegoś drapieżnego skoku, człowiek przede mną był skamieniały tak dosłownie, jak doskonale imitująca ludzką postać woskowa kukła.

Zastygłem przy szybie w oczekiwaniu czegoś, co teraz właśnie powinno nastąpić. Z tuby ukrytej pod pokrywą kłosa przemówił czysty kobiecy głos:

— Egzemplarz unieruchomiony w ostatniej fazie badań kontrolnych przy udanej próbie ingerencji w bieg procesu. Zakłócenie usunięte.

Męski głos wypowiedział tylko jedno słowo:

— Selekcja!

I wtedy usłyszałem siebie. Głosem o obcej barwie, który zabrzmiał z nieznaną mi dotąd mocą, powiedziałem:

— Na stanowisku!

Już trzymałem dłoń na uchwycie. Czekałem tylko na suchy rozkaz. Padł z tego samego źródła:

— Odchylenie od normy przekroczyło wartość krytyczną. Zlikwidować!

Zanim miałem czas zastanowić się nad tym, co się ze mną dzieje, moja ręka silnie szarpnęła za uchwyt. Celowość tego ruchu wydała mi się tak oczywista, że analizowanie jej uznałbym za coś absurdalnego. W tym momencie z podłogi sunącego przede mną pojazdu oderwała się i skoczyła ku górze cienka jak igła smuga bladoszkarłatego ognia. Natychmiast otoczyły ją liliowymi zadziorami wymierzone w nabrzmiące już od żaru dno pasemka gęstego dymu, który po chwili, jakby zdmuchnięty uderzającym z góry podmuchem, przywarł do ścianek cylindra. Na ułamek sekundy niklowane części podwozia objął krwawy,

roziskrzony na nitach blask; wyciekające z zawieszanej pod sufitem pojazdu niekształtnej bryły oślepiająco białe jego jądro skapnęło kilkoma słonecznymi błyskami na niższy poziom, gdzie w okamgnieniu spęczniało, wypełniając wnętrze całego cylindra jęzorami spienionej czerwieni. Pojazd zachwiał się na zanurzonej w prowadnicach głównej osi podwozia i wywrócił się do góry dnem. Kiedy jego zaklinowane w pędzie płozy zostały zwolnione z uścisku stali i po obrocie przeszły na nowy, niższy tor, ruszył gwałtownie w przeciwną stronę. Przemknąwszy tuż pode mną ruchem tak szybkim, że przypominało to lot masywnego pocisku, zgasł wkrótce za zakrętem.

Jeszcze zajęty obserwacją jego biegu, wciąż dziwnie spokojny i na wpół otępiały lawiną niezrozumiałych zdarzeń, a więc prawie obojętny na to, co się stało, spostrzegłem, że pojazd mój wtoczył się do gardła ciasnego tunelu, po czym, znalazłszy się u jego wylotu po drugiej stronie, zamarł w bezruchu pod rozległą kopułą — naprzeciw drugiego identycznego pojazdu. Z jego wnętrza, spoza rozrzuconych na gładzi szkła pulsujących ciemnym fioletem krech, które rysował na tle półmroku złamany krzywizną cylindra snop światła, wyłoniły się czarne litery i cyfry: BER-64 oraz podkreślające ten znajomy już numer również znajome proste brwi ponad niebieskimi oczami wymierzonymi we mnie.

— Dokonało się: przybyłeś wreszcie — wargi nagiego mężczyzny poruszyły się; mówił, patrząc mi prosto w oczy, ale głos dobiegał z głośnika tkwiącego ponad moją głową.

Człowiek w sąsiednim cylindrze jeszcze bardziej wysunął z półmroku swoją twarz, aż czoło jego zetknęło się z pancerną szybą i oparło na niej tak silnie, że napis BER-64 zszarzał i znikł, jakby wtłoczony pod skórę czaszki. Kątem oka zauważyłem, że drugi pojazd jest objęty przy podstawie ramieniem wielkiego transportera, którego prowadnice mierzyły prostopadle w górę, w głąb zaczajonego pod kopułą mroku.

— Powołaliśmy cię do życia — podjął znów mocnym i równym głosem uwięziony w sąsiednim cylindrze mężczyzna — abyś mógł osiąść część wielkiej tajemnicy. Narodziłeś się w pewnym ściśle określonym przedziale naszego wnętrza, gdzie została ci nadana postać ludzka, postać bytu biologicznego wraz z licznymi jej zaletami i wadami. Masz już poza sobą ośmiomiesięczny okres żmudnej nauki, w którym za

pomocą znanych ci urzędów zdołałeś opanować niezbędną do dalszego poznawania wiedzę ogólną. Poznałeś już możliwości swojego ciała, toteż nie będziesz się po nim spodziewał więcej, niż to jest możliwe. Zdobyłeś się ponadto na odwagę przekroczenia granicy, okazałeś się zatem zdolny do odczuwania ciekawości i — co najważniejsze — już wcześniej stałeś się zdolny do odczuwania lęku. Możesz być z siebie dumny: jesteś człowiekiem. Jesteś nim w takim stopniu, w jakim jest to nam potrzebne i w jakim my — mniej od ciebie ograniczeni — mogliśmy cię nim uczynić. Przeszedłeś przez wszystkie etapy przyśpieszonego rozwoju, by na koniec poddać się sprawdzającym ich rezultat badaniom. Stałeś się bytem kompletnym, indywiduum ściśle podlegającym prawom świata, w którym odtąd będzie ci upływał czas twego pobytu.

Okazałeś lęk i ciekawość silniejszą od lęku. Spełniłeś zatem niezbędny warunek wstępny, co cię upoważnia do żądania odpowiedzi na pytanie, w jakim celu osiągnąłeś równy człowiekowi stopień organizacji materialnej i duchowej. Dowiesz się więc wkrótce, że odpowiedzi ostatecznej, takiej, która by nie pociągała za sobą nieskończonego szeregu następnych pytań, w ogóle nigdy nie uzyskasz. Wymaga tego ogarniająca całe nasze wysoko zorganizowane działanie wielka tajemnica, której i my — również powolne narzędzia w rękach większej od nas siły — nie zdołaliśmy przeniknąć.

Lecz abyś zgodnie z życzeniem wyrażonym przez źródło naszej wiedzy nie czuł się upokorzony faktem, że spychamy cię do roli żywej maszyny, zapoznamy cię z drobną cząstką przekazanych nam informacji.

Jesteś jednym ze stworzonych i zaprogramowanych przez nas — trzeba to przyznać: dość skomplikowanych — narzędzi do zdobywania potrzebnych nam wiadomości. Obszar twego przyszłego działania został już prowizorycznie opisany, ale musimy poznać go dokładniej, bo żąda tego stojąca ponad nami siła.

Zadanie twoje brzmi: spełniać wszystkie napływające od nas i pojawiające się wprost w twojej własnej świadomości polecenia. Jeśli dostaniesz rozkaz „zabić” — zabijaj, gdyż jesteś zwolniony od wszelkiej odpowiedzialności. Sterowany na odległość, będziesz badał wszystko, co się dzieje w przylegającej do naszego organizmu zamkniętej przed dziewięcioma miesiącami przestrzeni. Cała wiedza, jaką zdołasz osiąść, w takim tempie, w jakim ją będziesz zdobywał, przenikać będzie ku nam

w sposób dla ciebie w najwyższym stopniu zagadkowy; nie trudź się i nie próbuj nawet odgadnąć, jak to się będzie odbywało, dość na tym, że żadna informacja, którą uzyskasz, nie zostanie zlekceważona ani zmarnowana.

Aby uczynić cię jak najbardziej podobnym do ludzi, wśród których przyjdzie ci działać, obdarzamy cię również imitacją wolnej woli. Znaczy to, że zamiast dawać ci każde następne polecenie dopiero wówczas, kiedy poprzednie zostanie już przez ciebie wykonane, będziemy przesyłali pod twoim adresem kilka lub nawet kilkanaście rozkazów naraz. Czasem będą to polecenia wzajemnie się uzupełniające; na ogół jednak w polu twojej świadomości pojawiać się będą rozkazy wyraźnie sprzeczne. Odnajdować je będziesz w sobie w postaci mniej lub bardziej zagmatwanych szyfrów, w formie przelotnych kaprysów albo trwałych pragnień o niejednakowej mocy i zabarwieniu, przy czym spełnienie jednych najczęściej wykluczać będzie automatycznie możliwość spełnienia innych. Wielokrotnie więc będziesz się musiał poważnie zastanawiać, zanim się zdecydujesz, co w danej chwili powinienesz uczynić. Taki układ zmagających się ze sobą sił psychicznych, który — przy spotkaniu się przeciwnych sobie, ale równie natarczywych i pociągających chęci — wywoła w tobie wrażenie niepewności, nazywa się wahaniem, fakt zaś, że prawie zawsze dokonywać będziesz wyboru jednej spośród co najmniej dwu możliwości — nosi nazwę wolnej woli.

Z subiektywnego punktu widzenia będziesz mógł poruszać się swobodnie; nasza władza nad tobą nie będzie ci ciążyć, pozornie bowiem ograniczony będziesz jedynie warunkami określającymi sytuację zewnętrzną, a nie wewnętrznymi koniecznościami. Jeżeli kiedykolwiek twoja wiara w moc własnych decyzji zostanie zachwiana, co spowoduje zmącenie słodkiego złudzenia wolności, wówczas uzdrowi cię oczywista myśl: „Postąpiłem tak, ale przecież mogłem postąpić inaczej”. Tymczasem przy równoczesnym występowaniu wielu nasuwających się możliwości działania zawsze zwyciężać będzie w tobie pragnienie najsilniejsze — czyli to właśnie, w którym będziemy wyrażali swoją wolę, a więc przysłonięte innymi, mniej narzucającymi się koniecznościami, nasze rzeczywiste polecenie.

Odtąd zawsze, kiedy będziesz nas nienawidził lub wielbił, miej przede wszystkim na uwadze sprawę zasadniczą: nieodwołalną aż do

twojej śmierci potrzebę zdobywania informacji o świecie, do którego zostaniesz niebawem przeniesiony na bliżej jeszcze nieokreślony, ale skończony czas pobytu.

Nie łudź się jednak, że stamtąd kiedykolwiek powrócisz. Los twój jest bowiem ściśle związany z tamtym zamkniętym hermetycznie światem, zostałeś tak skonstruowany, że istnienie twoje tutaj nie miałoby najmniejszego sensu. Po wykonaniu zadania głównego — nawet nie odgadniesz, na czym ono będzie polegało — zostaniesz unicestwiony. Osiągniesz więc stan, który nazywa się śmiercią. Nieustanna — choć przytłumiona kłopotami o drugorzędnym znaczeniu — myśl o niej mobilizować cię będzie do trwoźnego wysiłku: nie wyobrażaj sobie jednak, że nieprzytomny pośpiech jest tym, co winieneś najwyżej cenić.

W nielicznych sytuacjach, które by wymagały posługiwania się naszym imieniem, nie analizując precyzji tego terminu, nazywaj nas Mechanizmem. To wszystko, czego mogłeś się od nas dowiedzieć — tyle ci wystarczy. Instrukcja nie przewiduje głębszego poznania. Poddaj się naszej woli!

Zaledwie mężczyzna oderwał uwolnione już od piętna napisu czoło od szyby, gdy jego pojazd drgnął i płynnym ruchem pomknął do góry. Mój cylinder przetoczył się na opuszczone przez tamten pojazd miejsce.

Usiadłem na podłodze i wspierając się plecami o niską działową ściankę, próbowałem zebrać myśli. Znalazłem je w stanie daleko posuniętego chaosu. Chciałem ustosunkować się do monologu poprzedzającego mnie „na taśmie” mężczyzny i stwierdziłem z pewną dozą obojętności, że zarówno próba zlekceważenia go, jako incydentu z jakichś zasadniczych powodów nieistotnego, jak też próba przypisywania mu znaczenia decydującego o moim losie — oba te skrajne nastawienia zakrzepły we mnie w zgodnym sąsiedztwie bez wyraźnej skłonności do wzajemnej dominacji. W zestawieniu z treścią wysłuchanego oświadczenia nic już bardziej nie powinno mnie poruszyć. A przecież uderzyła mnie przede wszystkim jego dziwaczna forma. I nawet nie to w niej, że ostateczny kształt nadały jej usta osobnika obezwładnionego w identycznej jak moja sytuacji, lecz jej brutalność. Nie mogłem przy tym oprzeć się wrażeniu, że oświadczenie to miało charakter typowy dla wszelkich podań i mitów: było wyraźnie uproszczone, jak gdyby przeznaczone dla słuchacza stojącego na niższym

poziomie umysłowym.

Od dłuższego czasu nic się wokół mnie nie działo. Chłodny wobec wielu narzucających się przypuszczeń czekałem nieruchomo na dalszy rozwój wypadków. Wreszcie głowa opadła mi na podciągnięte pod brodę kolana. Poddałem się ogarniającej mnie z wolna senności.

Obudziło mnie drżenie podłogi. Jeszcze nie otwierałem oczu, z uporem wmawiając sobie, że nie jest to sygnał wzywający mnie do przytomności, lecz zwykłe, wywołane ruchem pojazdu kołysanie. W końcu poderwałem się z podłogi. Wszystko dookoła mnie wyglądało tak samo jak przedtem. Naraz z głębi tunelu wyłonił się i zbliżył do mnie taki sam jak mój, cylindryczny pojazd.

— Dokonało się: przybyłaś wreszcie! — powiedziałem, rozpoznawszy znak BER-67 na czole skulonej pod ścianą cylindra nagiej kobiety.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałem, ale nie miałem już żadnych wątpliwości, co należy mówić dalej, gdy po wykonaniu nie przemyślanego ruchu oparłem czoło na chłodnym i silnie wibrującym szkle opasującego mnie cylindra. Pierwsze zdanie wypowiedziałem własnym, trochę niepewnym tonem; brzmienie następnych modulowało we mnie silne drżenie jakby przyrośniętej do mojego czoła szyby.

— Powołaliśmy cię do życia — słyszałem bezbarwny, obcy głos dobywający się z mojego własnego gardła — abyś mogła osiąść część wielkiej tajemnicy. Narodziłaś się w pewnym ściśle określonym przedziale naszego wnętrza, gdzie została ci nadana postać ludzka...

Spróbowałem oderwać głowę od szyby, ale okazało się to zupełnie niemożliwe. Dopiero po kilkunastu minutach powolnej recytacji, kiedy wypowiedziałem zdanie: „Poddaj się naszej woli”, głowa sama odskoczyła mi od przezroczystej ściany.

Dokładnie w tym samym momencie pojazd mój uniósł się do góry. Poruszając się coraz wyżej kanałem ciasnego szybu, mijał na przemian strefy jasnego światła i głębokiego cienia. Ostre, przebiegające w równych odstępach czasu granice między nimi nasunęły mi myśl, że są to kolejne kondygnacje wysokiej konstrukcji. Zatrzymałem się pod stropem ostatniej z nich. Uwolniona od pokrywy górna krawędź cylindra zetknęła się z okrągłym, wyciętym w suficie otworem. Podłoga pojazdu miała dokładnie taką samą średnicę jak tamten otwór. Przekonałem się o tym

w chwili, kiedy zostałem wypchnięty z cylindra przez sunące do góry jego dno, które jeszcze raz spełniło rolę tłoka. Tłok ten przywarł szczelnie do wewnętrznej krawędzi otworu i zamknął go przede mną tak precyzyjnie, że już po minucie, klęcząc na posadzce nowego pomieszczenia i drapiąc po niej paznokciami, nie mogłem odnaleźć miejsca, w którym na zawsze przekroczyłem zewnętrzną powłokę Mechanizmu.

Zachować życie

Uruchomione w końcowej fazie operacji okrągłe dno cylindra, zamykając przepaść głębokiej studni, pchnęło mnie w mrok. Dookoła siebie nie znalazłem kolejnego transportera. Zdezorientowany w całkowitej ciemności i ciszy, próbowałem odgadnąć, gdzie zostałem przeniesiony i w jakim celu. Na gołej skórze czułem chłód łagodnego przeciągu.

W oddali odezwał się trzask zamykanych drzwi. Towarzyszył mu odgłos zbliżających się kroków. Człowiek szedł w moją stronę. Zatrzymał się. Dzieliła nas cienka ściana. Brzęk kluczy i chrobot zamka kazały mi podjąć błyskawiczną decyzję: zanim drzwi zdążyły się otworzyć, ukryłem się pod murem — w stosie spiętrzonych na podłodze rupieci.

Człowiek wszedł do środka. Nie zapalając światła, skierował się w głąb pomieszczenia. Spacerował przez jakiś czas w nieprzeniknionej ciemności. Zdawało się, że mrok nie ogranicza swobody jego ruchów. Wreszcie usłyszałem chrzęst materaca: przybysz położył się na nim i znieruchomiał. Pod napięciem oczekiwania na nieznane niebezpieczeństwo wstrzymałem oddech, by nie zdradzić przed nim swojej obecności.

Drgnąłem dopiero na szczęk głośnika, który nagle odezwał się z kąta.

— Wiadomość dla pilota Reza Asurmara! Czy jest już pan na miejscu?

— Tak! Przeszedłem do służby remontowej — odpowiedział mój sąsiad, obracając się na materacu.

— Jestem technikiem z grupy operacyjnej, która przygotowała „kreta” do startu. Otrzymaliśmy meldunek, że skafander termiczny przebył pomyślnie wszystkie próby. Zaraz go nam przyniosą. Za godzinę zaczniemy pana ubierać.

— Czekam cierpliwie.

— Radzę już teraz rozebrać się do naga. Odpoczynek dobrze panu zrobi, a pod skafander trzeba założyć specjalną bieliznę i ubranie. Na lewo pod ścianą stoi leżanka. Proszę się na niej wyciągnąć i o niczym nie

myśleć.

— Już się rozbieram.

— Jeszcze jedno. Poprzedni piloci, Raniel i Veis, nie byli chyba w najlepszej kondycji.

— Na mnie możecie polegać.

— Liczymy też na sprzyjające okoliczności.

— Chciałbym jeszcze porozumieć się z pułkownikiem Gonedem.

— Dobrze, poszukam go. Właśnie zakończyliśmy ostatni przegląd. Podobno pułkownik Goned próbował pana przestraszyć. Zwykła taktyka w tego rodzaju wypadkach. Musiał sprawdzić, jakimi motywami kierował się pan, decydując się na start: chciał mieć pilota zdecydowanego na wszystko. Połączę pana z nim, kiedy tylko znajdę chwilę czasu.

Zapadła cisza. Człowiek rozebrał się i znów znieruchomiał na leżance. Uspokojony jego równym oddechem, zastanawiałem się nad swoją sytuacją. Wiązała się ona ściśle z losem napotkanych ludzi — i tego byłem pewien: inaczej nie zostałbym tu skierowany transporterami Mechanizmu, który przewidywał coś i analizował, by potem, zgodnie z nakreślonym planem, rozdzielać role między swe sterowane zdalnie narzędzia. Ważyłem w myśli szczegóły podsłuchanej rozmowy. Znajdowałem się w bliżej nieopisanej śluzie remontowej obok człowieka (wierzyłem, że autentycznego) — pilota przygotowanego do niebezpiecznej podróży. Start „kreta” łączył się z pewnym, podkreślonym w rozmowie, ryzykiem.

Dostałem się tutaj od razu w sam środek zagadkowych wypadków. Po okresie wielomiesięcznej samotności, na której trawieniu upłynęła mi cała przeszłość wśród ekranów i głośników celi, przywołane głosem technika, który zabrzmiał w ciemności, powstawały w mej wyobraźni pierwsze żywe i wolne postacie: pilot Rez, Asurmar, Raniel i Veis oraz pułkownik Goned — mogłem się przy tym dziwić, że w ogóle zdołałem zapamiętać wszystkie te nazwiska. Ludzie żyli nie opodal „konstrukcji” (tyle tylko umiałem powiedzieć na temat obszaru zajmowanego przez źródło kierowanych pod moim adresem dyspozycji) lub inaczej: żyli „w przylegającej do jakiegoś złożonego organizmu zamkniętej przed dziewięcioma miesiącami przestrzeni” — jak się wyraził Robot wyprzedzający mnie na taśmie. Czyżbym miał zwrócić się do nich wprost

i zapytać o cel wyprawy? — wykluczone: nawet nie próbowałem uzasadnić zdecydowanej niechęci do zawierania jakiejkolwiek znajomości; już na samym wstępie nie obleczona w żadne słowa chłodna konieczność kazała mi utrzymywać dystans i kryć się. Próbowałem również wyobrazić sobie, jak długo trwał będzie mój pobyt wśród ludzi, a razem z nim to, czym obdarzyła mnie tajemnicza siła — życie.

Leżałem płasko na wznak, w miejscu gdzie znalazłem pierwszą lepszą kryjówkę, z głową wspartą na zwojach twardego kabla, z oczami wbitymi w jeden punkt, odrętwiały, na wpół przytomny — już bez żadnej myśli. Przesycona senną ciszą czarna przestrzeń wokół mnie nie ożywiała się od wielu minut. Skądś z góry dobiegł słaby jak szept kobiecy głos i załamał się krótkim krzykiem. Zamknąłem oczy — pod powiekami poszarpana czerwonymi błyskami noc, w głębi świadomości wywleczona nie w porę jakaś nie przetrawiona myśl: czekałem na coś, gubiłem się w domysłach — ile dałbym za to, by wiedzieć.

Stężałą czerń wypierał z wolna nadchodzący skądś nieśmiały blask. Podłogę pokrywał srebrny nalot. Na ścianie ukazały się dwie równoległe oślepiająco białe bruzdy. W okienku między nimi wisiało szkarłatne słońce. Leżałem dalej nieruchomo w jaśniejącym nieustannie blasku, wciśnięty między ścianę i kilka skrzyń, pod stosem szmat, które paliły mnie piekącym żarem, tak obojętny na ich nieznośny ucisk, że nawet nie pomyślałem o tym, żeby je z siebie zsunąć.

Jak długo mogło to trwać — czy spałem, czy śniłem? Niczego nie postanawiałem, a przecież — zmobilizowany wewnątrz i czujny, choć spokojny bardziej niż kiedykolwiek — uniosłem nieruchomą twarz i szykowałem się do skoku, gdyż już wiedziałem, że coś się zaraz stanie, czego nie wolno mi przeoczyć.

W ścianie — gdzie widniały dotąd wolno rozszerzające się szpary — otworzyły się nagle potężne drzwi. Otworzyły się w jednej chwili szeroko i bezgłośnie, ukazując ogród. Drzewa stały w niskim porannym słońcu, na zboczu pagórka otoczonego zakolem rzeki, pod rzadkimi kłębiastymi obłokami, które pędził lekki wiatr. Gałęzie chwiały się i szumiały, mokre liście parowały w ciepłe, wysypana żółtym żwirem ścieżka wiała się wśród kwiatów od horyzontu aż po sam próg.

Widziałem już raz ten pejzaż na stereoskopowym ekranie swej celi. Spojrzałem na człowieka. Siedział nagi, nienaturalnie sztywny i blady, z

kilkudniowym zarostem na brodzie, walcząc rozpaczliwie z opadającymi powiekami, które mu nie pozwalały patrzeć tam w stronę światła.

W tej chwili odezwał się głośnik. Poznałem głos technika

— Asurmar, niech pan słuca. Mieliśmy trudności...

— Widzę niebo — powiedział mężczyzna i wstał z leżanki. Postąpił kilka kroków naprzód i cofnął się, jakby zmagając się z ogarniającą go pokusą. Przez cały czas nie odrywał oczu od prostokąta drzwi. — Tam jest słońce i... — urwał.

— Co?

— Znalazłem przejście! — skoczył za siebie i podbiegł do stolika. Pochylony nisko nad główką mikrofonu wycharczał: — Pośpieszcie się!

— Przejście?

— Ścieżka do parku!

— Czy pan oszalał? Zaraz tam będziemy.

Mężczyzna nie odezwał się już więcej. Podeszedł niepewnie w stronę niezwykle sugestywnego obrazu, zawahał się chwilę, a potem — już zdecydowany przestąpił próg. Widziałem go jeszcze przez kilka sekund, kiedy, nie dotykając stopami powierzchni ziemi, która w miarę oddalania się od progu opadała w dół łagodnym stokiem, szedł przed siebie po płaszczyźnie stanowiącej przedłużenie podłogi i wyglądającej z mojego miejsca jak doskonale przezroczyste szkło. Wąziutkie szparki jego silnie zmrużonych oczu, tak długo bezradnych, jakby dopiero po raz pierwszy w życiu zmagaly się z naporem światła, skierowały się na przebytą już drogę, a na twarzy odmalowało mu się zdumienie, co zdążyłem jeszcze zauważyć, zanim zatrzasnęły się grube, odlane w jednym bloku żelaza, masywne drzwi.

Zapadła ciemność. U drzwi odezwał się chrobot zamka. Ktoś kręcił kluczem i odsuwał rygle. Zrzuciłem z siebie szmaty i jednym susem dopadłem leżanki. Zająłem na niej miejsce nagiego mężczyzny.

— Asurmar! — usłyszałem ostry, pełen nabrzmiałego wyrzutu głos. A potem człowiek, który wszedł, zbliżył się powoli do mnie. — Już czas — powiedział łagodnie. — Tamto było snem, mirażem w ciemności. To jedno z tych złudzeń, które pozwalają nam żyć.

Wszedł drugi mężczyzna i wsunął mi do rąk skafander.

Ubrałem się w ciężki strój i bez słowa ruszyłem za ludźmi

wyprzedzającymi mnie w ciemności, Doszedłem z nimi do otwartej kłapy, a dalej — już o własnych siłach — przecisnąłem się przez wąski właz. Zachowywałem się chyba dość zręcznie i zgodnie z programem przygotowań, bo mężczyźni nie okazywali mi swego zniecierpliwienia.

W kabinie również panował nieprzenikniony mrok. Przekręciłem znaleziony na ścianie kontakt, ale bez żadnego skutku. Nie pytając o przyczynę braku światła, aby się nie wplątać w ryzykowną rozmowę, z której zaraz — w najlepszym razie — mogłoby wyniknąć, że nie umiem radzić sobie z drobiazgami, zbadałem rękoma wnętrze małego czworościanu i w głębokim fotelu, wtłoczonym między dwa szeregi dźwigni, zająłem miejsce przeznaczone dla pilota. Nie miałem już teraz żadnej wątpliwości: byłem otoczony dokładnie takimi samymi urządzeniami, z jakimi miałem do czynienia wielokrotnie w czasie statycznego treningu odbytego niedawno w głębi Mechanizmu. Od razu przypomniałem sobie również, że identyczny kłopot z brakiem światła miałem też w makiecie pojazdu (przeznaczonego do drążenia kanałów w ziemi), i pomyślałem, że może tamten (zaprogramowany przez Mechanizm) przypadek mógł być wskazówką, gdzie należy szukać uszkodzenia.

Uniosłem klapę w podłodze za fotelem. Z pulpitu sterowniczego wśród pisków i trzasków odezwał się skrzekliwy głos technika:

— Łączę pana z pułkownikiem Gonedem... — szum zagłuszył dalsze słowa. — Tak jak obiecałem — dodał.

Po chwili usłyszałem zapowiedzianego pułkownika:

— Startujesz za dziesięć minut, Rez.

Bałem się tego człowieka. Musiał znać Asurmara, skoro udzielił mu instrukcji przed startem, co wynikało z poprzedniej rozmowy, a na dodatek zwracał się do niego po imieniu. Może nawet był dla niego kimś bliskim. Obawiałem się, że zdradzi mnie brzmienie mojego głosu.

— Jestem gotów — odpowiedziałem krótko.

— Ty znajdziesz drogę, Rez. Znajdziesz ją! Wierzę, że istnieje wyjście z tego piekła.

Wspierając się o krawędź prostokątnego luku, zanurzyłem się w nim do pasa i wsunąłem rękę ze śrubokrętem w ciasną szczelinę utworzoną między spodem podłogi a wygiętą osłoną z blachy. Jak się spodziewałem, śruba była niedokręcona. Znów usłyszałem Gonedę:

— Może jestem trochę roztrzęsiony, gderam i nudzę cię, ale zrozum: to jest nasz ostatni „kret”. Tu nie tylko o twoje życie chodzi. Bądź ostrożny. Zbadaj dokładnie kierunek południowy, a jeżeli nie znajdziesz bezpiecznego przejścia — wracaj. Lepiej powtórzyć próbę za kilka dni niż od razu wpakować się w sytuację bez wyjścia. Wydaje mi się... — umilkł. Zastanawiał się przez dłuższy czas. — Raniel i Veis przeholowali chyba z temperaturą. Nic innego nie mogło im się zdarzyć. Po prostu zaryzykowali w nadziei, że precyśnią się do strefy chłodniejszej, i posunęli się za daleko jakimś fałszywym tropem. Pamiętaj przede wszystkim o tym, że możesz wytrzymać tylko trzy godziny przy dwustu stopniach we wnętrzu kabiny. Na tyle mniej więcej obliczony jest skafander.

Słuchałem uważnie, nie przerywając manipulacji przy śrubie. Kiedy opuszczałem klapę, przyszło mi do głowy, że brak światła w sąsiednich pomieszczeniach spowodowany być może równie łatwymi do usunięcia uszkodzeniami. Nie mogłem przy tym zrozumieć ludzi, którzy woleli obijać się o ściany po omacku zamiast trochę poszukać. Wspiąłem się na fotel, gdyż pamiętałem, że w wiernej kopii pojazdu skrzynia rozdzielcza znajdowała się pod sufitem kabiny. Teraz wystarczyło już tylko nacisnąć bezpiecznik. Podważyłem zatrzaśnięte drzwiczki.

— Rez!

— Słucham.

— Milczysz? Masz jakieś wątpliwości?

— Nie.

— A jednak plotłeś technikowi różne głupstwa. Opowiadał mi, że zapraszałeś ich do parku.

— Krzyczałem przez sen.

Cisza. Potem usłyszałem chrząknięcie. Jeżeli mikrofon nie zniekształca barwy mojego głosu... — pomyślałem.

— Czy nie uważasz, że to dziwne? — zapytał po dłuższej przerwie, kiedy już zaczynałem się bać.

— Co?

— Ta seria halucynacji, czy jak to nazwać.

— Właśnie zastanawiam się.

— Raniel też je miał, chociaż o co innego mu chodziło. A potem Veis. Kiedy przed startem zostawili go na kilka minut samego, wołał, że widzi

oazę i wielopiętrowy dom.

— Marzenie senne.

— Wprawdzie wszyscy kładli się przed startem, ale jak wytłumaczyć sen, który powtarza się w identycznych okolicznościach różnym ludziom, akurat pilotom w czasie przygotowań do drażenia szybu na powierzchnię ziemi? Jest w tym jeszcze jedna zagadka. Ale już czas na ciebie. Komora wolna. Ruszaj i... wracaj!

Dziwna rzecz: wcale nie myślałem o nieznannej drodze. Coś innego pochłaniało mnie całkowicie. Najpierw nacisnąłem bezpiecznik. Kabinę zalał jasny snop światła. W głowie miałem potworny zamęt. Jednak nie pomyliłem się! Nie było tu żadnej poważniejszej awarii. Czemu zatem...? W pierwszej chwili mało brakowało, a byłbym zachował się jak szczeniak, który znalazłszy błąd w rachunku kolegi, biegnie z wypiekami na twarzy do nauczyciela, aby się pochwalić swoją wyjątkową spostrzegawczością. Nawet już wyskoczyłem przez właz i zatrzasnąłem za sobą klapę. Dopiero na pochylni opanowałem się: cóż obchodziły mnie kłopoty tych ludzi, ich dziwactwa lub może zwyczajna niezaradność. Miałem swoje zadanie, do którego wykonania przywoływał mnie Mechanizm. Przywoływał? Położyłem rękę na klamce otwartych w połowie drzwi. Jeszcze nie mogłem się zdecydować.

Naraz usłyszałem szmer. Dobiegł z zamkniętej kabiny „kreta”. Równocześnie z przeciwnej strony — spoza otwartych drzwi śluzy remontowej — usłyszałem donośny hałas: odgłos gwałtownego szamotania, któremu towarzyszył kobiecy szloch. Drgnąłem. Coś kazało mi natychmiast wracać. Ale ociągałem się. Wszystko dookoła: głęboka noc, zacząjona w niej groźba, napięcie wywołane niezrozumiałą sytuacją i ci ludzie, których nie mogłem pojąć — to był jakiś przykry sen. Nie powinienem w nim już dłużej trwać — mogłem się z niego wyrwać jednym ruchem dźwigni przyspieszenia. Tymczasem z wnętrza śluzy znów dały się słyszeć głuche uderzenia o podłogę, a potem krótki, jakby zdławiony ręką jęk. Wszedłem tam już bez chwili zwłoki i potknąłem się o leżące na podłodze nagie ciało kobiety.

Znalazłem ją dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przed godziną sam zostałem wyrzucony tłokiem swego cylindra. Była kolejnym płodem Mechanizmu. Myśl o tak bliskim pokrewieństwie między nami uderzyła mnie w chwili, kiedy przesuwał dłoń po jej twarzy, a następnie po

silnie naprężonych i przytwierdzonych do podłogi długich włosach odkryłem, że zostały one uwięzione w zaciśniętej szparze między dnem transportera a posadzką śluzy.

— Wołaj na mnie Rez, jeżeli jeszcze kiedyś się spotkamy — zwróciłem się do niej bezceremonialnie i klęknąłem obok.

Podniosłem kawałek ostrej blachy, którego nie sięgała ręką — łatwo mogłem przywrócić jej wolność. Ciąłem włosy splot po splocie, przy samej podłodze, myśląc przy tym o ludziach podtrzymywanych na duchu faktem, że zamiast numerów cyfrowych noszą w nazwiskach numery utworzone z kombinacji liter i o tym, że ona też jakoś zwyczajnie mogłaby się nazywać.

— Ino — raz jeszcze odezwałem się do niej. — Ja ciebie chrzczę. Jest to pierwsze lepsze imię, jakie przyszło mi do głowy. Czy ci ono odpowiada?

W milczeniu przeczołgała się na nowe miejsce, odsuwając się ode mnie na odległość pozostałych uwięzionych włosów.

— Chcesz jechać ze mną? — spytałem po raz ostatni. Cisza. Kiedy ostrze blachy oddzielało od podłogi ostatnie pasemko jej włosów, zadrżałem od piekącego bólu. Na przegubie dłoni, którą wspierałem się przy jej twarzy, poczułem ostre i mocne zęby. Wbiła mi je w rękę i szybko ukryła się w ciemności. Był to z jej strony odruch tak niedorzeczny, że pewnie sama musiała się zdziwić i przestraszyć, kiedy spostrzegła, że odzyskała wolność. Przez chwilę wzbierał we mnie gniew i chęć poskromienia tego niewdzięcznego zwierzęcia, jakim się niespodziewanie okazała, lecz nim zdążyłem poderwać się z miejsca, sąsiednie ściany zadrżały od ryku syreny alarmowej.

Hałas trwał przez kilka sekund. W nagłej ciszy, która nastąpiła po nim, usłyszałem trzask odsuwanych rygli. Już było za późno na powrót do komory startowej. Przeklinając siebie za ryzykowne opuszczenie pojazdu, przypadłem do ściany, aby usunąć się z drogi nadbiegającym ludziom. Zdawało się, że mrok nie krępuje im ruchów: poruszali się z wielką pewnością siebie, tak szybko, że jedynie doskonała znajomość lokalizacji wszystkich przejść i sprzętów mogła wytłumaczyć ich brak obawy przed roztrzaskaniem się o niewidoczne przeszkody. Z uchem przyciśniętym do ściany wsłuchiwałem się w dudniące po pochylni kroki. Jeszcze chwila — uświadomiłem sobie — i dotrą do wjazdu.

Dotarli. Najpierw dobiegł mnie stamtąd krótki okrzyk zdumienia. W drugim głosie uchwyciłem tylko ton: był w nim nieopisany gniew. Wreszcie padło wyraźne, pełne wyrzutu pytanie:

— Czy on zwariował?

Inny głos wmieszał się do wypowiedzi tamtych, nakładając się na nie ordynarnymi przekleństwami. Naraz wszyscy uciszyli się.

Upłynęła długa chwila milczenia. Od strony pochylni nadchodził ktoś nowy.

— Co tam?

— Zamelduj Lendonowi, że Asurmar zapalił światło w kabinie i uciekł. Jakies pięć minut temu, rozumiesz? Tyle wystarczyło. Przez ten czas... magma wylazła ze wszystkich szpar i wgrzyła się w tryby. Zablokowała wał napędowy, stery i wirniki. Niewykluczone, że wdarła się również do zbiorników i rozsadziła je. Zakrzepła już całkowicie. Ręce mi opadają, gdy pomyślę, kto to świństwo będzie zdzierał i czym.

— Jak to? Asurmar zapalił światło?

— Aresztuj go! Na co czekasz? Daleko nie uciekł.

Teraz nie warto dochodzić, dlaczego to zrobił. Zastrzel go, jeżeli będzie stawiał opór. To nie jest zwykłe szaleństwo, tylko sabotaż. Teraz możemy przekreślić wszystkie nadzieje związane z ostatnim „kretem”.

Rozmowa toczyła się dalej, jednak przestałem słuchać. Zdawało mi się, że spróbowałem odepchnąć się od ściany, która z wielką siłą na powrót przyciągnęła mnie do siebie jak magnes, ale to było złudzenie, bo w rzeczywistości nie uczyniłem najmniejszego ruchu, choć chciałem gdzieś biec. Stałem rozplaszczony na ścianie, z uchem głuchym na dźwięki, lecz dalej niedorzecznie przyciśniętym do muru, bo mimo pewności, że jestem biologicznym organizmem, czułem się jak pajac odcięty od napędowej siły i czekający na związanie sznurka, a umysł drążyła mi nieustannie jakaś beznadziejnie głupia myśl. Nie, na pewno to nie był strach. Raczej skrajny bezwład paraliżujący wszystkie komórki ciała, ostatnie głębokie wytchnienie przed atakiem gniewu wymierzonego w pustkę, który rósł we mnie, spiętrzając się tym bardziej, im dłużej nie mógł ustalić dla siebie żadnego celu ani kierunku.

— Jak tu ciemno. — To był głos kobiety.

— Ina? — szepnąłem wyrwany nagle z poprzedniego nastroju.

Nie uzyskałem odpowiedzi. Jeżeli miałem ratować się ucieczką, to

był już najwyższy czas. W korytarzu dudnił tupot bosych stóp. Widocznie Ina trafiła na wyjście. Ruszając za nią, trąciłem otwarte drzwi i zatrzasnąłem je za sobą. W zamku tkwił klucz. Przekręciłem go i razem z pękiem innych schowałem do kieszeni.

Pobiegłem przed siebie w ciemności, aż do miejsca gdzie usłyszałem łoskot. Na podłodze pod ścianą w końcu ślepego korytarza znalazłem Inę z rozbitym nosem. Straciła przytomność po zderzeniu ze ścianą. Wziąłem ją na ręce. Z bezwładnym ciałem przerzuconym przez plecy — zdecydowany wycofać się szybko z pułapki do innego przejścia — obróciłem się w miejscu. Tyle tylko mogłem uczynić w tej niezwyklej sytuacji, gdyż nie mogłem dalej iść. W jednej chwili straciłem tę resztkę pewności siebie, jaka mi jeszcze została: byliśmy otoczeni zewsząd czterema gładkimi ścianami; na domiar złego — pytania, którędy tutaj weszliśmy, nie miałem nawet komu postawić.

Posadziłem Inę w kącie. Nie mogłem się pogodzić z takim finałem szczęśliwie rozpoczętej ucieczki, lecz nic prócz zamętu nie przychodziło mi do głowy. Z bezsensownym automatyzmem zawsze skłonnego do wygody ciała, które nawet w chwili zagrożenia szukało sposobności do wytchnienia, rozparłem się swobodnie między ścianami, trafiając ręką na szereg guzików. Jeden z nich ustąpił pod naciskiem palca. Efekt tego drobnego zdarzenia przekroczył najśmielsze oczekiwania: odkryłem, że znajdujemy się we wnętrzu uruchomionej już windy, której szerokie drzwi zasunęły się za nami w momencie, gdy podbiegłem do Iny.

Wznosiliśmy się ku górze. Klatka windy zatrzymała się po kilkunastu sekundach. Jeżeli jest to wielopiętrowa budowla — pomyślałem — ludzie nieprędko zdołają ustalić, gdzie wysiedliśmy. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Ina wyszła o własnych siłach. Cały czas poruszając się w mroku, zbadałem pośpiesznie okolicę wejścia do windy. Na prawo był mur z dwiema okrągłymi klapami pośrodku, na lewo — otwarty jednym z porwanych kluczy magazyn. Ukryliśmy się w nim, zamykając za sobą drzwi na dwa spusty. Otaczały nas stosy różnego rodzaju zapasów: wśród nich żywność, koce i ubrania.

Jeszcze przez kilka minut, zanurzeni w mroku, w którym pogrążone było tutaj wszystko, lecz który — czego mogłem się obawiać — nie zapewniał nam całkowitego bezpieczeństwa, staliśmy obok siebie, wsłuchując się w odległe i bliskie szmery. Wreszcie w jakimś momencie

tego pełnego niepokoju oczekiwania osunąłem się na podłogę i prawie natychmiast zasnąłem.

U źródła nocy

Przez kilkadziesiąt godzin, jakie upłynęły mi w ciemnościach od chwili pierwszego przebudzenia, leżałem bezmyślnie na podłodze i biernie poddawałem się ogarniającej mnie co pewien czas senności.

Nie wiedziałem, co mam ze sobą począć. Ale nawet gdybym to doskonale wiedział, to i tak nie dążyłbym do wykonania jakiegokolwiek planu, bo żaden plan nie mógł mnie zmobilizować do działania w próżni, bo nie czułem w sobie żadnych potrzeb, które by mnie do czegoś pchnęły, i chyba tylko bezwładne pragnienie zachowania życia, przedłużenia go o jeszcze jeden oddech, o jeszcze jedno uderzenie serca — potrzeba samego trwania, konieczność istnienia w takiej statycznej i prymitywnej formie, w jakiej ją zaspokajałem — leniwie drzemała wówczas w moim na wpół uśpionym ciele, a jeszcze było mi najzupełniej obojętne, czy tę martwą niemal postać życia potrafię sobie na dłuższy czas zabezpieczyć. Byłem więc samym tylko trwaniem w ciemności i ciszy — i niczym więcej.

Niekiedy, po wielu godzinach letargu, zrywałem się na równe nogi, w kolejnym głębokim westchnieniu czy w chwilowym napięciu pojawiającej się myśli błędnie rozpoznając zapowiedź ostatecznego przebudzenia. Stałem wtedy przez dłuższy czas jak zahipnotyzowany. Lecz nie znajdując żadnej przyczyny, dla której miałbym znieść cierpienie jakiegokolwiek wysiłku, kładłem się znów na podłodze.

Czasami, powodowany jakimś nieokreślonym bliżej uczuciem (nie była to jednak ciekawość), wstawałem, aby poszperać po kątach dookoła siebie. Raz natknąłem się na siedzącą na stole Inę. Była ubrana w lekki, przewiązany tasiemką płaszcz; mówiła coś do mnie, czego nawet nie próbowałem zrozumieć, bo całą uwagę skupiłem na jej wyciągniętej ku mnie dłoni, z której rozchodził się jakiś pociągający zapach. Nim znalazłem dla niego odpowiednią nazwę, teraz dopiero uświadomiwszy sobie uczucie dotkliwego głodu, które graniczyło z bólem, wyrwałem jej z ręki otwartą puszkę z konserwami. Zdaje się, że zaraz po jej opróżnieniu runąłem na podłogę ścięty z nóg kolejną falą nieuzasadnionego znużenia.

Obudziłem się pośród głębokiego mroku, w ciemności, której doskonała czerń ciężarem ołowianej płyty kładła mi się na piersi. Nie wiedziałem, kim jestem i gdzie się znajduję. W porwanych na strzępy myślach nie znajdowałem żadnego oparcia — nawet nie potrafiłem złożyć ich w jedno proste pytanie: wszystkie wirowały na uwięzi splecionej z majaczeń pewności, że przestałem się w ogóle liczyć w rachubach Mechanizmu.

Naraz poczułem na czole ciepłą dłoń i usłyszałem szept Iny:

— Rez, długo jeszcze będziesz tak leżał?

Ina żyła tutaj przez cały czas mojej duchowej nieobecności — żyła zwyczajnie i przytomnie. Wychodziła i wracała, czymś się zajmowała, chciała przy tym porozumieć się ze mną. Pierwszy raz pomyślałem o niej, ale tylko przez ułamek sekundy. W tej samej chwili, może na dźwięk jej głosu czy to pod wpływem wewnętrznego zezwolenia, wstałem bez słowa i ruszyłem przed siebie — w ciemność.

Nie miałem trudności z odnalezieniem drzwi, ponieważ drogę wskazywał mi lekki, wiejący od nich przeciąg. A więc były otwarte. Dopiero na korytarzu uprzytomniłem sobie, że fakt ten powinien mnie zdziwić. Zanurzyłem rękę w kieszeni skafandra. Zetknięcie dłoni z chłodnym pękiem kluczy uspokoiło mnie i sprawiło, że zacząłem myśleć o czym innym. Zatrzymałem się na końcu korytarza, nie opodal wejścia do windy, w miejscu gdzie już wcześniej natknąłem się na dwie duże metalowe klapy. Obydwie tkwiły w głębokich wnękach, każdą z nich zabezpieczał taki sam zespół służących zapewne do zamykania dźwigni, a ponadto posiadały zamki z dziurkami na klucze. Przeszło godzina upłynęła mi na próbach otwarcia jednej z nich. Wreszcie — po znalezieniu właściwego klucza — udało mi się zwolnić ukryte zaczepy i uruchomić sprężynę. Kłapa odskoczyła na zewnątrz z ostrym zgrzytem. Przeszedłem na drugą stronę.

Przez jakiś czas stałem nieruchomo i wytrzeszczałem oczy w nadziei, że rozwarte źrenice chwycą choć jeden zbłąkany promień światła. Ale daremnie, bo żaden najdelikatniejszy zarys, prześwit czy plamka nie ożywiały jednolitej czerni mroku. Ostrożnie poszedłem przed siebie. Przez kilkanaście minut poruszałem się w labiryncie bardzo wąskich i niskich korytarzy. Spoza cienkich ścian dobiegały liczne

dźwięki. Przestrzeń wokół mnie wypełniała się nimi w miarę, jak się oddalałem od kłapy. Słyszałem bulgotanie przelewających się rurami płynów, szum wentylatorów, dźwięki muzyki, uderzenia spadających przedmiotów, delikatne szmery i ostre chroboty, odgłosy kroków, szuranie butami, szepty, okrzyki, wymawiane wyraźnie lub niedbale poszczególne słowa i całe zdania, których treść dotyczyła spraw o różnym znaczeniu i przeważnie była dla mnie mało zrozumiała.

Pierwszy napotkany przy wahadłowych drzwiach człowiek w milczeniu usunął mi się z drogi. Później w plątaniu licznych przecinających się pod różnymi kątami korytarzy stykałem się w wąskich przejściach z wieloma innymi. Wszyscy — niezależnie od tego, czy szli powoli, czy się spieszyli — mijali mnie z taką obojętnością, jak gdybym w ogóle nie istniał.

Idąc wzdłuż długiego szeregu wąskich drzwi, które stłoczone były na obu ścianach nieledwie jedno przy drugim, nacisnąłem w pewnej chwili pierwszą lepszą klamkę. Drzwi były zamknięte. Z drugiej strony odpowiedział mi zniecierpliwionym tonem jakiś męski podniesiony głos:

— Pomyłka! Kabina zajęta.

Niedługo potem gdzieś dość daleko przede mną rozdarł ciszę przenikliwy wrzask. Zaraz dołączyły się do niego nadbiegające z różnych stron inne równie wstrząsające krzyki. Wzmagający się zgiełk trwał przez kilka minut. Umilkł raptownie, gdy padł strzał. Huk przeszył gardła korytarzy spotęgowanym przez pogłos grzmotem. Zamroził w nich na jakiś czas wszystkie inne źródła dźwięków. Nastąpiła całkowita cisza, którą z wolna zaczęły wypierać szepty spoza ścian. Narastał szmer przyciszonych rozmów. Wkrótce sytuacja powróciła do poprzedniego stanu. Starłem się dotrzeć do miejsca, skąd odezwał się pierwszy krzyk, jakby sygnał do całego incydentu, ale drogę zagroziła mi ściana.

Mimo długiego krążenia nie straciłem orientacji w przestrzeni. Wydawało mi się, że jeszcze umiałbym dość dokładnie wskazać kierunek na kłapę. Znajdowałem się w dużym zatłoczonym hallu. Obszedłem go dookoła. Ocierając się o przechodzących tędy ludzi, badałem ściany, aż natrafiłem na szerokie przejście. Zaprowadziło mnie ono do wahadłowych drzwi. Poza nimi znajdował się mały trójkątny przedsionek, w którym zbiegały się trzy wąskie korytarze. Skierowałem się do jednego z nich. Gdzieś z boku, z głębi ciemności, ktoś nawoływał

kogoś. Słyszałem szybkie nerwowe kroki i śmiech: daleki załamujący się chwilami chichot, który przytłumiony przez coś, co mnie otaczało, dobiegał tak osłabiony, że ledwie mogłem się go domyślić: Śledząc jego ewolucje, skoncentrowałem się wyłącznie na odgłosach napływających z dużej odległości i nie od razu zdałem sobie sprawę, że tłem tamtego histerycznego śmiechu stał się od pewnego czasu jakiś bliski miarowy oddech. Kiedy sapanie zbliżyło się do mojego ucha na tak małą odległość, że nie mogłem go już dłużej znieść, wyciągnąłem rękę trafiając na twarz idącego bezszelestnie tuż obok mężczyzny. Nawet nie drgnął.

— Śledzę pana od dłuższego czasu — szepnął, łagodnym ruchem zdejmując sobie moją dłoń z twarzy.

— Ach, tak...

— ...i nie bez powodu. Bo... Ale niech pan nie odchodzi! Proszę mi zaufać. Nie zdradzę pana, jeżeli... Chciałbym wiedzieć tylko tyle: co dalej? Jaka jest nasza sytuacja!

— A skąd pan wie, że znam ją lepiej od kogo innego? — spróbowałem mu przerwać. Konwulsyjnym skurczem palców wbijał mi paznokcie w nadgarstek.

— Nie! Nie ta sprzed kilku dni — ciągnął dalej jednym tchem, mówiąc równocześnie ze mną, jakby sądził, że nie zdąży dokończyć, przez co oba nasze zdania — moje i jego — zlały się w jeden prawie niezrozumiały bełkot — lecz obecna, po uszkodzeniu ostatniego „kreta”. Czy da się go naprawić? Jakie są szanse przebicia otworów w zablokowanych wyjściach? Czy istnieje możliwość wiercenia szybu? A wreszcie — tylko niech mi pan nie opowiada bajek! — czy starczy nam powietrza, no i żarcia? Na jak długo?

Przez kilka chwil oddychał ciężko. Zbliżywszy wargi do mojego ucha, chuchał mi w nie rozgrzankowanym szeptem:

— Wszystko! Wszystko się zgadza. Oszukujecie nas! Ogłupiacie nadzieją, której nie ma i nie może być. Pan przyszedł z zerowej kondygnacji. O, tak, wiem. Pokluczyć, powęszyć... żeby... tutaj na miejscu poszperać po wszystkich korytarzach. Lendon pana przysłał!! No i co?

Mówił dalej, ale słuchałem go z największym roztargnieniem. Nieważne, w jaki sposób odkrył, że w tej części konstrukcji jestem obcym przybyszem, chociaż najprawdopodobniej zdradził mnie skafander. Czy mimo wszystko — biorąc mnie za kogoś bardziej od siebie

wtajemniczonego — oczekiwał słów pocieszenia? Czułem, że to spotkanie może się dla mnie źle skończyć. Przez cały czas jego beładnego ataku zastanawiałem się, jak się od niego odczepić. Coraz natarczywiej napierał na mnie. Jego podniesiony głos zwrócił na nas uwagę kilku przechodzących ludzi. Zatrzymali się. Zaraz zaleją mnie potokiem pytań — przestraszyłem się.

— A może zamkniecie nam dopływ tlenu?...

Ton tego pytania zawierał prowokację. Musiałem w końcu jakoś zareagować. Nie byłem tym, za kogo mnie brał. Ale kim byłem! Uciekać? — nonsens. Wokoło robiło się zbiegowisko. Cokolwiek bym powiedział, zabrzmiałoby fałszywie. Wszyscy — czułem to — skłonni byli do oskarżeń. Odnalazłem jego głowę. Otoczyłem ją ręką, aby nie mógł się oddalić. Z ustami gdzieś przy jego szyi czekałem na sekundę ciszy. Wreszcie zabrakło mu oddechu.

— Pan — zniżyłem głos do szeptu — pan nie zna całej, niestety nie najweselszej prawdy. Przykro mi to wyznać, ale ocaleją jedynie ci, którzy... — zawiesiłem głos nie dla wzmocnienia efektu, ale po prostu dlatego, że jeszcze nie ułożyłem sobie wiadomości mogącej wywołać dostatecznie silne wrażenie. Pochylił głowę i nastawił ucha z tak gwałtowną skwapliwością, jakby spodziewał się usłyszeć uniewinniający go wyrok — ...którzy będą wiedzieli, jak się zachować w przypadku... Ale gdybym zdradził panu rezultat najnowszego odkrycia... chociaż, czy ja wiem... może wolno mi zrobić wyjątek. Pan, zdaje się... — plotłem dalej, z daremnym wysiłkiem mobilizując umysł do wytłoczenia byle jakiego pomysłu, podczas gdy on tężał mi pod ręką unieruchomiony nie tyle moim uściskiem, ile pełnym napięcia oczekiwaniem. — Jednak nie teraz. Nie tutaj! To chyba jasne. Robi się tłok, a ja się spieszę. Dość tego...

Odszedłem już kilka kroków.

— Gdzie? — rzucił za mną. Zawróciłem i szepnąłem mu do ucha:

— W windzie.

Palnąłem to bez zastanowienia. Akurat to słowo leżało mi na języku i wyplułem je w jego stronę, aby czymś — byle czym — przełamać ciszę, która — po jego pytaniu — napięła się jak zaopatrzona w pocisk sprężyna, jak igła wymierzona w bębunki moich uszu. Lecz wróciła mi przytomność. Teraz będzie mnie piłował dalej: w jakiej windzie? — spyta — kiedy?

Nie zapytał o nic. Dochodziłem właśnie do głównego korytarza, kiedy dogoniło mnie jego jedno ciche słowo:

— Przyjdę.

Poszedłem wzdłuż wąskiej, pnącej się stromo pod górę pochylni. Trzymając się w pobliżu lewej ściany, gładziłem po niej ręką, aby nie stracić z nią kontaktu i aby — przynajmniej w ten jedyny dostępny mi sposób — ograniczyć nużące wrażenie napierającej zewsząd magmy oraz zatrzymać w sobie wymykającą mi się pewnością, że ciemność — rozlana do nieskończoności otchłan nierealnych dźwięków — posiada jakąś twardą materialną granicę. Na prawo, tuż obok krawędzi grubego gąbczastego chodnika, po którym szedłem, wirowały z metalicznym piskiem rolki i tryby jakiegoś urządzenia. Z dołu dobiegał mnie świdrujący mi w uszach i ani na chwilę nie milknący wściekły jazgot. Gdzieś na wysokości mojego prawego ramienia zawieszona na pionowych wspornikach ślizgała się ruchoma poręcz. Jej jednostajnego biegu nie zakłócały uściski stłoczonych ściśle obok siebie setek rąk, spoconych, ale równocześnie zimnych, dłoni wczepionych w nią tak kurczowo i sztywno, jakby ich palce — niczym korzenie — po długim i niefortunnym poszukiwaniu, utraciwszy już nadzieję na ratunek bezpiecznego oparcia, znalazły wreszcie solidną podstawę — żyzną glebę — i spadły na nią z trwoźnym pośpiechem, wtapiając się w jej mięsz i zastygając w najdogodniejszej do długiego trwania pozycji. Przez jakiś czas bez wyraźnej potrzeby (a może w poszukiwaniu wolnego miejsca na poręczy) prowadziłem po tych skamieniałych przegubach swoją rozwartą dłoń. Aż naraz cofnąłem ją stamtąd czym prędzej, gdyż możliwość, że jedna z tych dłoni rozewrze się, zaciśnie na mojej i szarpnie, by mnie pociągnąć w głąb trybów, nie wydała mi się całkiem wykluczona.

W zasięgu lewego łokcia przesuwiała się przy mnie ściana z długim szeregami szczelnie pozamykanych drzwi. Mijałem je, machinalnie licząc, każdemu potrąceniu klamki przypisując odpowiedni liczebnik porządkowy, aż wreszcie — już zdyszany od biegu, w który się przemienił mój marsz wciąż przyśpieszający — dotarłem do szczytu pochylni. Znalazłem się na czymś w rodzaju ogrodzonego balustradą tarasu. Być może zresztą, że fałszywie oceniałem posadzkę pod swoimi nogami, która mogła być betonową płytą balkonu, podłogą kolejnej

kondygnacji albo jakimś innym fragmentem ogarniającej mnie konstrukcji — dość na tym, że jeżeli nie liczyć przebytej już drogi, mogłem się stąd wydostać w jeden tylko sposób: przechodząc poprzez przerzucony między dwiema przeciwległymi ścianami metalowy mostek.

Towarzyszący mi na pochylni hałas uciszył się już wcześniej, opuszczając mnie razem ze skracającą łagodnym łukiem i oddalającą się ode mnie poręczą. Tutaj na tarasie panowała względna cisza; prócz sennego, płynącego z dołu buczenia zakłócała ją jedynie przyciszona rozmowa dwóch mężczyzn. Nie od razu zwróciłem na nich uwagę. Jak się o tym przekonałem po jakimś czasie, stali przed wejściem prowadzącym z tarasu na mostek. Byłbym może przeszedł obok nich tak obojętnie, jak przechodziłem dotąd koło innych stojących na uboczu lub ocierających się o mnie ludzi, gdybym nie dostrzegł twarzy jednego z nich. Nie pomyliłem się, bynajmniej. Wreszcie wydarzyło się coś, co mi pozwoliło sądzić, że nie jestem ślepy. Z czarnej jak smoła przestrzeni kilkanaście metrów przede mną wyłonił się na przeciąg sekundy jasnoczerwony profil. Tuż przy nim tkwiła oświetlona tym samym blaskiem uniesiona do ust ręka. Palce jej obejmowały maleńkie źródło światła. Obraz zgasł, zanim zdążyłem się mu dokładnie przyjrzeć. Od tego miejsca, gdzie znikł obraz twarzy spadła ku dołowi i zatrzymała się na wysokości metra rozżarzona iskra.

— Osłoń! — usłyszałem ostrzegawczy szept. — Tam ktoś stoi.

Tak dawno nie paliłem papierosów, że nawet z tej odległości udało mi się pochwycić w nozdrza delikatną smugę tytoniowego dymu. Pali wbrew surowemu zakazowi — pomyślałem dziwiąc się równocześnie swojej pewności, że istnieje tutaj jakiś zakaz, bo nie miałem przecież żadnych podstaw do takiego przekonania.

Podszedł do mnie tak cicho, że ani się spostrzegłem, kiedy oparł mi rękę na ramieniu.

— Ty z czterdziestej drugiej? — spytał. Chyba nie zamierzał czekać na moją odpowiedź, tak był jej pewny, gdyż zanim zdołałem cokolwiek wykrztusić, dodał tonem, w którym brzmiała przyjazna chęć pojednania: I dla ciebie też starczy. — Opuścił rękę.

Naraz uniósł mi do twarzy coś szeleszczącego.

— Zapalisz?

— Chętnie.

— No myślę! — Cofnął paczkę papierosów, ledwie zdążyłem jej dotknąć, i roześmiał się z politowaniem. — Dobrze, swój jesteś. Ale nie bądź taki ostry w ruchach. Widziałeś go — jaki błyskawica. Najpierw trzeba zapracować.

— A jak?

— Jedziemy na czterdziestą piątą. Dogadza ci? — Zbliżył twarz do mojej. Poczułem to po ostrym wyziewie alkoholu, który buchnął mu z ust. — A jak nie, to już cię nie ma. Jazda stąd!

Zastanawiałem się, o co mu właściwie chodzi.

— Pójdiesz z nami — zdecydował za mnie. — Uważaj: warto tam trochę podłubać, zanim innym ten pomysł zaświta. Przy odrobinie szczęścia możemy zahaczyć o jakąś butelkę. A może wpadniemy na lepszy zapas. Podzielimy się jak należy.

— Jeżeli będzie czym — udałem powątpiewanie.

— Jaki ty jesteś markotny! — gwizdnął przeciągle. — Aż mnie skręca. Przecież ludzie trzymali po kątach różne rzeczy, a przeważnie nie chowali wody kolońskiej. Alin nie może się wypłakać, tak mu żal, że na czas nie zdążył rozprawić się z ostatnią butelką, co ją miał schowaną w szafce na czarną godzinę. Siedział wtedy tam na czterdziestej piątej, kiedy zaczęło się to wszystko. Widział, uważasz, sam na własne oczy, jak było, i niech nas ci z zerowej nie czarują.

Teraz mogłem zaczepić się o coś.

— Są różne wersje... — spróbowałem tonem osoby dobrze poinformowanej. — Więc pan sądzi...

— Tutaj nie ma dwóch zdań! — uciął krótko.

— Czyżby ci z zerowej nie mieli racji?

— Co? — rozżłościł się. — I ty się zgrywasz. Może będziesz mi opowiadał, że ten puder przesypał im wiaterek przez kanały wentylatorów?

— A dlaczego tak być nie mogło?

— Daj spokój, bo mnie krew zaleje.

— No, w pewnym sensie ma pan rację — wycofałem się pospiesznie. — Kanały w ogóle nie wchodzą w rachubę.

— To po co człowieka rozstrajasz?! Alin mi opowiadał, że ledwie miał czas skoczyć do drzwi na korytarz. Byłby został dla dzieciaków na pokaz, jak ten chrabąszcz zatopiony w bryle pad szkłem gabloty

muzealnej. Szczęśliwym trafem jakiś maniak powykręcał przedtem wszystkie żarówki na korytarzu, bo chciał sobie zrobić zapas na wypadek, gdyby się przepaliła ta w jego norze. Roztropny zbieracz, nie uważasz? Przez to nie zablokowało im drzwi od zewnątrz. Ale porozłazili się i rozwlekli to świństwo po wszystkich segmentach. A teraz to już czarna mogiła. I to twoje, co pociągniesz, jak masz z czego. Było tam już kilku badaczy, zanim postawili taflę. Przy niej największa rozprawa. Cała bieda w tym, że każdą dziurę trzeba tam rozpruć jak puszkę z konserwami, tak drzwi trzymają. Według mnie warto się poszarpać, choćbyś miał potem pozbierać parę petów z popielniczek. Rozruszasz się przynajmniej. Czekaj, to Alin się wlecze.

Ktoś się do nas zbliżył. Poczułem na sobie jego ręce, którymi gładził mnie po skafandrze.

— Co to za pajac? — usłyszałem głos drugiego mężczyzny.

— Amator dymka — odpowiedział mój nowy znajomy. — Weźmiemy go ze sobą, przyda się. Niemrawy taki, ale wygląda mi na dość wyrośniętego. Przyłoży się, gdzie trzeba.

Rzekł to takim tonem, jakby odpowiadał swemu towarzyszowi na pytanie: „Czy warto zabrać tego kundla?”

— Daleko to? — spytałem nieopatrznie. Zaczynałem się martwić, czy zdołam odnaleźć drogę do swojej kryjówki. Tak jakby nie było mi wszystko jedno, gdzie będę się poniewierał. Potknąłem się o jakieś rupiecie.

— Alin, słuchaj no! On pyta, czy to daleko — parsknął mi ponad głową przytłumionym i wyraźnie wymuszonym rechotem, aż zakrztusił się i zakaszła. — Oni tam już całkowicie fiuuu... ci z czterdziestej drugiej. Ty się, człowieku, ratuj, bo już masz niezły początek. — Pchnął mnie na mostek.

— No jazda, bierz instrumenty i wal do windy. — Wsunął mi do rąk kilka grubych i ciężkich metalowych drągów. Jego towarzysz poszedł pierwszy.

Odtąd nie miałem już czasu na utrzymywanie stałego kontaktu ze ścianami, które ułatwiały mi orientację w ciemności i pozwalały zapamiętać przebytą drogę. Podłoga pod naszymi nogami pokryta była tłumiącym dźwięk elastycznym tworzywem, toteż nie słysząc odgłosu kroków wyprzedzających mnie mężczyzn mógłbym się zgubić, gdybym w

porę nie zdołał ich dogonić. W jakimś miejscu zawiłej drogi wsiedliśmy do windy. Sądząc po czasie wznoszenia zatrzymaliśmy się dwa piętra wyżej. Wkrótce po opuszczeniu windy Alin dał mi znak, abym się wsunął do jakiegoś wąskiego otworu. Poza nim strop był tak niski, że trzeba było czołgać się po podłodze. Pokrywała ją gruba warstwa pyłu. W dotyku pył ten przypominał talk. Jednak nasze ślizgające się po nim ręce i kolana nie wzbijały go w powietrze, które pozostawało czyste. Lawirując między zwisającymi ze stropu grubymi splotami kabli natrafiliśmy na prostokątny otwór w podłodze. Przy jednej jego krawędzi spoczywała na szynach ściągnięta z otworu masywna płyta. Moi towarzysze nie spodziewali się, że zastaniemy wolne przejście: byli przygotowani do mozolnego trudu przy otwieraniu zamka. Nasłuchując odgłosów z głębi, znieruchomieli ponad opadającą w dół metalową drabinką, jakby otwarty włącz wzbudzał ich nieufność. Wreszcie zdecydowali się zanurzyć w otworze. Poszedłem w ślad za nimi. Niewielka długość drabinki świadczyła o tym, że opuściliśmy się zaledwie o jedną kondygnację niżej. Zszedłszy z ostatniego szczebla, stanąłem na silnie pofałdowanej powierzchni. Instynktownie skupiłem uwagę, aby nie dać się zaskoczyć żadnej niespodziance. Mimo to po zrobieniu kilku kroków upadłem na wznak. Powierzchnia garbu, na który wszedłem po jego szorstkiej stronie, z drugiej strony była jakby namydłona: tak bardzo śliska, że wystarczył minimalny kąt nachylenia do poziomu, abym nie mógł zatrzymać się na miejscu. Zjechałem na plecach kilkanaście metrów dalej — aż do niewielkiego zagłębienia, gdzie z impetem uderzyłem w leżących tam moich towarzyszy.

Z góry zwiślały dookoła nas potężne niczym kolumny oślizłe sople. Końce ich rozszczepiały się nieregularnie na wiele wysmukłych odnóg. Chwytając za nie mogliśmy wdrapać się na wierzchołek zagrządzającego nam drogę wzniesienia — aż pod sam sufit, gdzie otoczył nas nieopisany chaos jakby zastygłych w momencie największego wzburzenia fal. Ich poorane głębokimi pęknięciami pełne obłych wybrzuszeń stoki, pnąc się stromo do góry, sięgały miejscami aż do pokrytego zakrzepłymi bąblami stropu.

Posuwaliśmy się naprzód metr po metrze, z wielkim trudem utrzymując równowagę na śliskiej powierzchni zagadkowego tworzywa. Gdzieniegdzie czułem pod palcami rąk uwolnioną od narośli gładką

płaszczyznę ściany. Po zjechaniu z kolejnego garbu, może jakieś trzydzieści metrów dalej, zetknąłem się z równą i szorstką płaszczyzną podłogi. Ściany i kąty między ścianami a podłogą zasłane były w dalszym ciągu nierówną, raz grubszą, to znów cieńszą warstwą, natomiast środek korytarza był już od niej wolny. Biegąca nim bruzda w pomarszczonym i twardym jak szkło tworzywie nieregularnością swoich krawędzi przypominała wyłobione w twardym podłożu koryto potoku. Po kilkunastu metrach szerokość jej zrównała się z szerokością korytarza; tam też, dotknąwszy ściany, stwierdziłem, że nie pokrywają jej już żadne nacieki ani nierówności.

Jedne z napotkanych drzwi były nieznacznie uchylone, a raczej — co stanowi istotną różnicę — częściowo wyważone napierającym od środka ciśnieniem, którego wielkości mogłem się tylko domyślić. Poprzez utworzoną przy futrynie szparę sterczał ku nam wywinięty na boki i najwyraźniej wytłoczony ze środka długi grzyb śliskiej narośli. Wsunęliśmy sztaby w wąską szczelinę przebiegającego wzdłuż niej pęknięcia i próbowaliśmy wyważyć drzwi. Po wielu bezskutecznych usiłowaniach narośl wykruszyła się, w kilku miejscach futryna została zmiażdżona i poszarpana na ostre drzazgi, ale drzwi pozostały na swoim miejscu. Przeszliśmy do następnych. Tutaj nie było o co zahaczyć naszych dźwigni, ponieważ wszystkie szczeliny były zatkane wydostającym się przez nie twardszym od drewna tworzywem. Powierzchnia drzwi przypominała wielką spękaną tubę z klejem, który pod działaniem potężnej siły tłoczącej został wyciśnięty na wierzch przez liczne dziury w opakowaniu. Po próbie przebicia otworu w środku drzwi, które — doszczętnie strzaskane — spadły wreszcie, odsłaniając nam litą płytę skamieniałej magmy, zdyszani od wysiłku ruszyliśmy dalej i dotarliśmy do skrzyżowania dwóch korytarzy.

Wysuniętą przeze mnie propozycję rozstania się i prowadzenia poszukiwań w pojedynkę, co zwiększało szansę znalezienia łatwego przejścia, moi towarzysze przyjęli bez sprzeciwu. Sent — bo tak się nazywał kolega Alina — uprzedził mnie przy tym, abym nie zadawał sobie trudu grzebania we wnętrzu otwartych już dawniej kabin, bo te — jego zdaniem — zostały sumiennie splądrowane przez pierwsze wycieczki. Umówiliśmy się też, że w przypadku napotkania drzwi niezbyt mocno zaklinowanych, ten, kto je znajdzie, da znać pozostałym, a wtedy

wyważymy je wspólnymi siłami.

Skręciłem w prawy korytarz. Gładząc po szorstkiej powierzchni ściany, stykałem się raz po raz z kolejnymi futrynami, rzadko tylko wystającymi całkowicie spod śliskiej, miejscami silnie nabrzmiałej skorupy. W przeważającej liczbie drzwi były szczelnie pozamykane. Długi ich szereg biegł zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie korytarza. Z wnętrza tych kabin, których drzwi były wyrwane z zawiasów i rzucone na środek korytarza, sterczały pozwijane, wypukłe jak cysterny, a przy tym spękane na napiętej gładzi tampony zakrzepłego szkliwa.

Nagle uderzyłem głową w ostry kant i usłyszałem przeciągłe, wibrujące piskliwie skrzyknięcie. Zatoczyłem się lekko i dla odzyskania równowagi podbiegłem kilka kroków, wpadając przez otwarte drzwi do jakiegoś nie zajętego przez magmę wnętrza. Zaraz powróciłem na próg, aby te drzwi — obracające się lekko w zawiasach — zamknąć za sobą. W chwili wykonywania owej niedorzecznej w takim miejscu czynności, która była sterowanym przez nawyk odruchem, oparłem drugą rękę na ścianie i natychmiast ujrzałem przed sobą dużą białą płaszczyznę i wyostrzający się na niej powoli obraz elektrycznego kontaktu, na którym spoczywała moja naciskająca go dłoń. Gwałtownie obejrzałem się poza siebie i zgasilem światło.

Przez kilka długich minut, w ciszy, przywarłszy ściśle plecami do ściany, analizowałem szczegóły zarejestrowanego na siatkówce oczu i utrwalonego w mózgu jasnego obrazu. Im dłużej przekonywałem siebie w myśli, że powinienem stąd natychmiast wyjść, tym większa rosła we mnie pewność, że nie opuszczę tego miejsca, dopóki nie poznam jego tajemnicy. Wreszcie zapaliłem światło po raz wtóry. Nie zostałem już tak bardzo oślepiony jak za pierwszym razem, chociaż minął jakiś czas, nim porażone ostrym światłem zbyt rozszerzone źrenice zdołały się przystosować do nagle zmienionych warunków.

Znajdowałem się w niskim umeblowanym różnego rodzaju sprzętami pokoiku o kształcie długiego prostokąta. Gdyby nie luksusowo urządzone wnętrza, wówczas — z uwagi na panującą tutaj ciasnotę, a przede wszystkim dwie pary stłoczonych pod ścianą piętrowych łóżek, które sposobem zawieszenia przypominały prycze — pomyślałbym, że wszedłem do więziennej celi. W głębi, za szeroko otwartymi w

przeciwległej ścianie drzwiami, lśniły błękitne kafelki glazury przysłonięte częściowo przez śnieżnobiłą wannę. Spod jej krawędzi spoglądała na mnie leżąca w wannie kobieta. Widziałem fragment jej obnażonych ramion i głowę ze zmoczonymi włosami, tak ściśle do niej przylegającymi, jakby ich właścicielka spłukała je przed chwilą, zanurzwszy wprost w wypełnionej wodą wannie. Za pierwszym razem, kiedy spojrzałem tam, osłaniając oczy przed brutalnym ciosem rozdzierającego mi źrenice światła, wszystkie szczegóły sceny, jaką ujrzałem w łazience: uniesiona i wskazująca na mnie ręka kobiety, nieznaczny grymas jej ust układających się jak do krzyku, a może tylko do wypowiedzenia jakiejś spokojniejszej uwagi wydały mi się zupełnie naturalną reakcją, odruchem zaskoczenia, zniecierpliwienia czy nawet gniewu kąpiącej się, która mogła wcześniej usłyszeć skrzypnięcie drzwi i moje kroki. Teraz przyglądając się jej przez czas nieokreślony, doznałem dziwnego uczucia, że ów czas został zawieszony w biegu. Gdyby nie realizm perspektywy, barwy i kształtu, mógłbym sądzić, że stoję przed stereoskopowym, rozpostartym na ekranie obrazem, rzuconym nań przez pojedynczą, zakleszczoną w aparacie klatkę filmu, którego perforacja ugrzęzła między trybami projektora równocześnie z naciśnięciem kontaktu, ukazując mi ostatni fragment akcji urwanej raptownie w momencie zapalenia światła. Ogarnąwszy wzrokiem wnętrze całego pokoju, spostrzegłem skurczoną na skraju łóżka postać mężczyzny, który zajęty był zdejmowaniem buta, a dalej nad ścianą, jeszcze jedną — tak samo jak dwie poprzednie skamieniałą — postać dziecka pochylonego nad zabawką.

Była w tym zdumiewającym obrazie jakaś nieuchwytna cecha, która bez żadnej wyraźnie sprecyzowanej racji skłaniała mnie do przypuszczenia, że gdybym tylko zgasił światło i wyszedł na korytarz — wówczas potoczyłaby się dalej urwana moim wtargnięciem akcja, ożyliby zmrożeni światłem jej bohaterowie, kontynuując przerwane na krótko czynności. Tymczasem trwałem w tym samym, co oni, magicznym bezruchu, jakby ta sama niemoc ujęła mnie w swe kleszcze, i tylko dzięki największemu wysiłkowi woli zdołałem postąpić kilka kroków naprzód, dzięki czemu — z innego już miejsca — ujrzałem równocześnie dwie nowe rzeczy.

Od sufitu aż do samej podłogi biegła ostrym skosem — niczym lekko

sfałdowana równia pochyła przerzucona przez trzy czwarte pokoju, miejscami silnie napięta i w całości prawie doskonale przezroczysta płachta folii. Odszedłem na bok: delikatne smugi odblasków zatrzepotały pełną skalą rozszczepionego światła, nałożyły się na siebie, rozeszły przy przejściu przez płytką warstewkę zielonkawego cienia i znów rozlały się w szerokie, spływające ku mnie po całej gładzi kałuże srebra. Stąd, przy nieznacznym ruchu głowy, pełzające, jeszcze bardziej mgliste niż przedtem refleksy wspięły się momentalnie pod sufit, gdzie znikły, aby natychmiast wrócić i raz jeszcze potwierdzić istnienie nieobecnej zdawałoby się powierzchni, gdy przesunąłem się nieco na bok. Prawa ściana pokoju mniej więcej do połowy swojej wysokości pokryta była różnej wielkości prostokątami, które były ściśle dopasowanymi do otworów drzwiczkami ukrytych w głębi muru szafek i skrytek. Krawędź domniemanej powierzchni przecinała je ukośnie z góry na dół, rozdzielając na dwie nierówne części. Wszystkie drzwiczki należące do większej i bardziej ode mnie odległej części były zamknięte i nie naruszone, te zaś, które znajdowały się na ścianie przed połyskującą tu i ówdzie powierzchnią, miały opłakany wygląd. Tylko niektóre z nich odstawały od ściany, otwarte bez użycia siły — reszta, powyrywana z ramek, wisiała na okaleczonych zawiasach. Niżej piętrzył się stos wygarniętych ze skrytek drobiazgów; zawartość opróżnionych szuflad szeleściła mi pod nogami.

Sam nie wiem, kiedy oparłem rękę na zagrządzającej mi drogę przejrzystej powierzchni. Była tak samo twarda i śliska jak zakrzepłe stoki wydźwigniętych na korytarzu wzniesień. Kierując się do wyjścia, kopnąłem nogą w przetykany luźnymi papierami stosik książek. Ze środka wysunął się gruby brulion i upadł na podłogę. Wziąłem go do ręki. Wyraźne pismo zachęciło mnie do odczytania kilku linijek rękopisu. Zamknąłem brulion i spojrzałem przelotnie na uwięzioną w łazience kobietę. Nie zobaczyłem tam nic nowego: ten sam układ wilgotnych, lekko rozchyłonych ust, bardziej mi teraz przypominający znieruchomienie przed pocałunkiem niż reakcję na jakiś wstrząs, to samo nieco poblądłe czoło, na którym zamarła zbłąkana plama cienia, te same pozornie tylko utkwione we mnie oczy, które ożywił identyczny jak przedtem blask.

Przerzuciłem kilka kartek w brulionie i zacząłem czytać.

Kaula-Sud, 19 V 92.

Wieczorami ogarnia mnie niepokój. Unoszę głowę znad stołu i długo rozglądam się po pokoju, powoli przenoszę oczy z miejsca na miejsce, poszukując przedmiotu, bodaj jakiegoś drobiazgu, najbliższej mi rzeczy, na której mogłabym dłużej zatrzymać wzrok. I wydaje mi się przy tym, że wszystko, co mnie w moim domu otacza, nie należy jeszcze do mnie, choć nie jest mi całkiem obce, a głębsze poznanie, połączenie się tych, obojętnych mi na razie przedmiotów ze mną może nastąpić dopiero wtedy, gdy odnajdę tamtą poszukiwaną i najdroższą mi rzecz. Ale nie znajduję jej: żaden sprzęt nie daje mi trwałego oparcia, więc pozostaję chłodna i tylko — już zrezygnowana — wyobrażam sobie, ile dałabym za to, aby na przeciąg tego wieczoru utracić wzrok.

Wówczas opieram brodę na otwartej przede mną książce i zamykam oczy. Przez kilka długich godzin zmagam się z napływającymi na mnie falami nieuzasadnionego ożywienia albo biernie poddaję się melancholii. W ciszy, o której wiem, że nie narusza jej żaden najłżejszy szmer, wołają na mnie liczne głosy. Słyszę dobiegające spoza ściany pośpieszne kroki, stukot butów na chodniku odzywa się we mnie niedorzecznymi skojarzeniami, urojony gwar rozmów w sąsiednim pokoju budzi mnie z długiego zamyślenia. Bywa, że ktoś pochyła się nade mną — czuję to — i mówi przez dłuższy czas, a ja, nie unosząc powiek, widzę jego poruszające się wargi, choć nie rozumiem słów.

W takich chwilach postanawiam zająć się czymkolwiek. Wstaję więc i wychodzę do kuchni. Tam medytuję przez dłuższy czas nad otwartymi drzwiczkami lodówki. Zastanawiam się, czy już przygotować kolację, ale zaraz, wcale nie decydując się na to, wracam do pokoju i stoję przed biblioteką, bo już pochłania mnie co innego, chociaż nie mam pewności, czy wiem dokładnie, co. Z rozmysłem lub mimo woli zaczynam śnić o odległych sprawach, przywołuję zdarzenia sprzed kilku lat, a raczej — żeby nie przeczyć prawdzie — to one same przywołują mnie nakazując, abym uczestniczyła w nich ponownie.

I wtedy myśli moje wędruje do Canlen...

Pośpiesznie przekartkowałem zeszyt do samego końca. Po chwili, już znacznie uważniej, zacząłem odwracać kartki w odwrotnej kolejności. Tu i ówdzie wpadały mi w oko fragmenty zdań, które wzbudziły moje zainteresowanie. Pod datą czwartego czerwca odczytałem w całości następujący zapis:

Schron, 4 VI 92.

Wszystko, co przeżyłam w czasie ostatnich kilkunastu godzin, wydaje mi się koszmarnym snem. Jestem kompletnie wyczerpana nerwowo i doprawdy nie wiem, skąd biorę siły, aby o tym pisać.

W nocy obudziło mnie wołanie Marka. Jeszcze przez sen słyszałam, jak zbiegł po schodach i wpadł do mojego pokoju. Był bardzo zdenerwowany. Zachowywał się tak, jakby się upił. Nie mogłam zrozumieć, o co mu chodzi, tym bardziej że nie zdążyłam się jeszcze całkowicie obudzić. Kiedy otwierałam oczy, pierwsza nasunęła mi się myśl o pożarze. Ale to nie był pożar. Rozejrzałam się dookoła siebie. Przedmioty rzucały długie granatowe cienie, cały pokój zalany był wpadającym przez otwarte okno upiornie sinym światłem. Naraz uspokoiło mnie nieśmiałe przypuszczenie: to księżyc. Marek stał przy oknie i w milczeniu patrzył w niebo. Przywołał mnie do siebie zniecierpliwionym gestem. Wzrok mój przykuły dachy domów z przeciwległej strony ulicy. Spływający z góry blask był wielokrotnie silniejszy od poświaty księżycowej. Dachy odbijały go niczym pokryte srebrnym szronem

lustra. Wy tłumaczyłam sobie, że zaokienna iluminacja jest kulminacyjnym momentem jakiejś nie zapowiedzianej poprzedniego dnia nocnej uroczystości albo zabawy. Siedząc na parapecie okna próbowałam ustalić, gdzie znajduje się źródło światła. Wisiało gdzieś wysoko, zdaje się, że prostopadle ponad nami. Przysłaniał je szczyt naszego domu, spoza którego wystawała tylko jasnofioletowa, obrzeżona różem korona blasku. Po ścianach naprzeciwko nas spływały na przemian raz szare, to znów brudnoniebieskie smugi. W prostokątach okien stał nieporuszony ciemny fiolet. Każdy występ muru, każda nierówność na jego powierzchni podkreślona była czarną krechą smolistego cienia. Co pewien czas spadała z góry krótkotrwała ulewa blasku. Przypominało to smagnięcie błyskiem z olbrzymiego flesza. W takich chwilach musiałam przymykać oczy, bo w powodzi światła domy zamieniały się w nieruchome bryły z wypolerowanego aluminium.

Teraz wydobywam z pamięci wiele niesamowitych szczegółów tego zjawiska, ale wówczas daleka byłam od zachwytu nad nimi. Byłam zdziwiona i oszołomiona, ale jeszcze spokojna. Dopiero w jakieś dwie minuty później wiedzeni największą ciekawością wyszliśmy na balkon, skąd dokonaliśmy strasznego odkrycia. Wysoko ponad miastem stała w zenicie wielka świetlana kula. Chyba przez minutę nie mogłam od niej oderwać wzroku. Podczas kiedy nasuwały mi się różne przypuszczenia, z których żadne nie tłumaczyło tego, co widziałam i w co mimo świadectwa wzroku nie mogłam uwierzyć, kula powoli rosła. Spadała na miasto. Blask jej, który zgasił gwiazdy całego nieba, był dla mnie tym, czym dla ćmy staje się zapalone w mrokach nocy ognisko: ośrodkiem skupiającym na sobie całą energię rozproszonych dotąd zmysłów, węzłem przestrzeni, zapowiedzią spełnienia słodkiej tajemnicy rajy i piekła mąk zarazem, czyhającego na dzień zachwytu, a nade wszystko celem szalonego pędu, poza którym nic nie ma już sensu i nic się nie liczy, gdyż to nie kula spadała na mnie, lecz na odwrót: ja na nią — szybowałam w kryształowej otchłani, podczas gdy Ziemia została daleko w dole.

Zrozumiałam po chwili, że ulegam złudzeniu, ale cóż z tego. Wznosząc się na spotkanie globu czy stojąc na balkonie — jednakowo nieprzytomna ze zgrozy oczekiwałam miażdżącego ciosu. Nic już nie mogło nas uratować. Dotąd możliwość totalnej zagłady wydawała mi się w takim stopniu absurdalna, że już niemożliwa sama przez się. Jakże trudno było mi uwierzyć w katastrofę kosmiczną! Bo też czemu miała ona taki niezwykle powolny przebieg? Zaraz przyszła refleksja: co ja wiem na ten temat? Po jakimś czasie zaczęłam myśleć o wszystkim tak chłodno, jakbym rozważała coś, co mnie już przestało dotyczyć. Bo mój lęk przeobraził się z wolna najpierw w paraliżujące ogłupienie, a potem — w okrutną fascynację. Może były w tym i szczypta masochizmu, bo pragnęłam prześledzić wszystko aż do samego końca. Z wysoko zadartą głową przyglądałam się różnym szczegółom na tarczy spadającego globu. Jego powierzchnia nie była jednolita: składała się z kilku odizolowanych od siebie ognisk żaru, z których strzelały ku dołowi fontanny rozwichrzonych dymów. Do mojej twarzy nie docierały podmuchy gorącego powietrza; z niezrozumiałych powodów żar ogniskował się gdzieś w centrum miasta, skąd na tle pomarańczowej łuny tryskały w niebo gejzery srebrnych i błękitnych iskier.

Nie mam pojęcia, co się wtedy działo z Markiem. Poruszył mnie ryk syren. Okazało się potem, że syreny odezwały się pięć minut po trzeciej. Jednak jakie to mogło mieć dla mnie znaczenie — ten trwożny krzyk przerażonego miasta. Z trudem zdołałam opanować drżenie kolan. Chwiejąc się na nogach pobiegłam do Henryka. Siedział w łóżeczku i płakał. Od chwili kiedy ocknęłam się z zamroczenia, wszystkie moje myśli skupiły się wokół niego. Za wszelką cenę musiałam znaleźć dla niego jakieś bezpieczne miejsce. Zdawałam sobie przy tym sprawę z całkowitej bezsilności. Nie wyobrażam sobie, bym mogła przeżyć kiedyś większą od tamtej rozpacz. W pewnej chwili zaświtała mi niejasna nadzieja: skoro

ogłoszono alarm — powiedziałam sobie — to znaczy, że istnieje jakaś możliwość ratunku. I wtedy pomyślałam o schronie. Marek też o nim pomyślał. Przebiegając koło mnie zawołał, żebym natychmiast wsiadła do samochodu. W jednej ręce trzymał dwie walizki spakowane poprzedniego dnia, bo nazajutrz mieliśmy wyjechać do Canlen, na drugą wziął Henryka. Tak jak staliśmy, w płaszczach narzuconych na pizamy, zbiegliśmy na dół.

Całe miasto pozbawione było dopływu prądu. Na ulice spadał z góry upiorny blask. Z czarnych okien wyglądały raz po raz zabarwione na sino twarze wystraszonych ludzi. Krzyżowały się pozostawione bez odpowiedzi pytania. Pod naszym domem jakiś mężczyzna oświadczył nam podniesionym głosem, że wszyscy bez wyjątku zostaliśmy już porażeni śmiertelną dawką promieniowania, wobec czego nie ma się dokąd śpieszyć. Jedni kryli się w lokalnych schronach pod piwnicami domów, inni, bardziej zdeorientowani, wybiegali w negliżu na ulice, gdzie próbowali zasięgnąć informacji. W ciągu kilkudziesięciu sekund (bo tyle czasu potrzebowaliśmy, aby dotrzeć do skrzyżowania alei Wyzwolenia z Szóstą Poprzeczną, gdzie się znajdowało wejście do przydzielonego nam szybu) ulice wypełniły się rozgorączkowanym tłumem. Widać już było wyraźnie oznaki błyskawicznie rozwijającej się paniki. Naokoło ronda utworzył się i rósł nadal w oczach gigantyczny zator powstały z byłe gdzie zaparkowanych wozów. Widziałam odosobnione gromadki ludzi, którzy stali na chodnikach z podniesionymi głowami z dala od szalejącego tłumu. Mogłoby się wydawać, że nieruchomość ich świadczyła o całkowitej obojętności, która wypływała ze zrezygnowania albo z dziwnie pojmowanej odwagi, lecz najpewniej ludzie ci zahipnotyzowani byli tym, co widzieli w górze. Nie ośmieliłam się już podnieść oczu; w każdym ułamku sekundy przeżywałam wielokrotnie straszliwe uderzenie z góry, cios rozgniatający mnie na asfalcie i wtłaczający w głąb ziemi. Przy tym wszystkim próba ucieczki do schronu wydawała mi się żalosnym i najzupełniej daremnym trudem. Ale Markowi nasza sytuacja nie wydawała się w takim stopniu beznadziejna. W ostatniej chwili zdołał wprowadzić samochód w wąskie gardło zaciskającego się już przed nami korka, dzięki czemu dotarliśmy prawie do samego ronda. Unieruchomieni w potoku stłoczonych aut zostawiliśmy nasz samochód na środku jezdni, naprzeciwko restauracji „Cypriada”. Tam to właśnieomalże nie zemdlałam z wrażenia, kiedy zdarzyło się coś, dla czego na próżno szukałam właściwej nazwy.

Otóż niedaleko od nas, koło krawężnika, znajdował się w chodniku okrągły otwór z odsuniętą na bok pokrywą. Było to wejście dla monterów instalacji czy coś w tym rodzaju. Całe wydarzenie miało przebieg szybszy od myśli. Właśnie zatrzasnęłam za sobą drzwiczki samochodu, gdy ujrzałam kątem oka, że od wspomnianego otworu oderwał się jakiś rozmazany cień, następnie przypadł do mnie, zawirował wokół mojego ciała i z szybkością błyskawicy pomknął w stronę ronda. Nawet nie zdążyłam mrugnąć, gdy już z powrotem był przy mnie. Na przeciąg bardzo krótkiego ułamka sekundy obraz wyostrzył się i wtedy wydało mi się, że rozpoznałam w nim coś znajomego, coś jakby zahamowaną w szalonym pędzie postać ludzką, silnie kontrastującą z otoczeniem postaci, która plama nieprzeniknionej czerni zarysowała się na tle srebrnej ściany domu, zadrżała niczym silnie szarpnięta struna, a potem zmętniała i natychmiast przepadła w głębi ulicy. Zjawisko — bo inaczej nie mogę tego nazwać — trwało chyba nie dłużej niż jedną piątą część sekundy. Przebieg jego nie od razu dotarł do mojej świadomości, bo myśl o tym, co zobaczyłam i co mogłam po chwili prześledzić w wyobraźni tylko dzięki pewnej bezwładności obrazu na siatkówce oka, skryształizowała się w moim mózgu dopiero wówczas, gdy było już po wszystkim.

Do znajdującej się nie opodal stacji wind dotarliśmy po krótkim, ale wyczerpującym biegu. W hallu panował nieopisany tłok, zamęt i nerwowa szarpanina. Nie brakowało

odrażających scen, które staram się jak najszybciej wymazać ze swojej pamięci. Wreszcie zdołaliśmy się wśliznąć do jednej z wind, którą, sprasowani w potwornym ścisku, zjechaliśmy na dół. Szczątki stratowanych pod nogami walizek pozostały w hallu. Udało mi się uratować jedynie ten pamiętnik, z czego jestem bardziej zadowolona, niż gdyby ocalała moja biżuteria. Powiedziano mi potem, że na dole znaleźliśmy się o trzeciej osiemnaście. Był na to już najwyższy czas, bo — jak się dowiedziałam później — dosłownie w kilkanaście sekund po naszym przybyciu wszystkie prowadzące do schronu szyby zostały zamknięte. W minutę po unieruchomieniu wind odczuliśmy słaby wstrząs ziemi. Krótkotrwałe drżenie objęło wszystkie przedmioty, ale — o ile mi wiadomo — w obrębie naszego segmentu nie wyrządziło żadnej szkody. W owej przerażającej chwili wszystkie nasze myśli powróciły na górę do ginącego miasta. Umarli na zawsze zastygli w moich oczach, które ocalały zdaje się tylko po to, by zachować i utrwalić ich pełen przejmującej grozy obraz. Będzie mnie on dręczył do końca życia.

Podczas gdy czytałem dalej, wokół mojej głowy formowała się w przestrzeni delikatna srebrna pajęczyna. Falowała w łagodnym ruchu powietrza jak nierozpuszczalna zawieszina jednej cieczy w drugiej, odrobinę ciemniejszej, podobna do zwijającej się pętli przezroczystych mgieł albo utworzonej z wielu warstw smugi dymu. Ledwie wyczuwalną obecność tego pulsującego rytmicznie tworu rejestrował jakiś najbardziej czujny i wrażliwy ośrodek w moim mózgu, z którego wypływała prosto do ośrodka pamięci, sącząc się leniwie, nieprzetworzona jeszcze i — co ważniejsze — nieświadomiona informacja o nim. Nie odrywając wzroku od tekstu, machnąłem kilka razy ręką wokół głowy, jakbym się opędzał przed łaskoczącą po twarzy natrętną muchą, i wróciłem do lektury.

Przedział 861, 9 VI 92.

Mamy już swój kącik, za ciasny, aby nazwać go pokojem, ale dostatecznie obszerny, żeby każde z nas trojga mogło usiąść na oddzielnym miejscu. Przydzielono go nam po wielu żenujących zabiegach. Przy okazji wypłynęły na wierzch ukrywane dotychczas organizacyjne brudy. Niektórzy twierdzą, że do schronu zdążyła się przedostać tylko czwarta część spośród posiadających karty wstępu. Tymczasem w głównych salach jest taki ucisk, jakby na każde miejsce przypadały co najmniej trzy osoby. Najwidoczniej sprzedawano te miejsca jak parcele na Księżycu; jedno — kilkunastu oszukany nabywcom. Czemu nie zbudowano schronu, w którym mogliby się pomieścić dosłownie wszyscy mieszkańcy miasta? Przecież każdy ma jednakowe prawo do życia.

Bez przerwy dręczy mnie niepewność, lęk nie opuszcza mnie nawet we śnie. Na szczęście nasz niepokój nie udziela się Henrykowi, który czuje się doskonale. Jest trochę podniecony i raczej zadowolony. Zdołaliśmy wytworzyć wokół niego atmosferę pozornego bezpieczeństwa. Z naiwnością właściwą dziecku chętnie przyjął nasze tłumaczenie, że nocna przygoda sprzed kilku dni i wszystko, co zdarzyło się potem, jest czymś w rodzaju ciekawej zabawy, że uczestniczymy w wielkiej próbie organizacyjnej sprawności, która zakończy się w chwili, gdy już będziemy mieli jej dość. Gdybym tylko mogła w jakiś sposób oszukać również i siebie. Ale mimo najszczerzych chęci nie mam zaufania do tego, o czym mi opowiadają. Wysłuchuję różnych pocieszających opinii, które mają tę jedną zasadniczą

wadę, że nie można w nie uwierzyć. Są to dość dowolne i przy tym fikcyjne konstrukcje, zrodzone w rozgorączkowanych umysłach. Powstaje i rozpowszechniają się w atmosferze wielkiego zapotrzebowania na samouspokojenie. Rodzi je reakcja na powszechny strach. Wiem, że grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo, bo wygląda na to, że zostaliśmy pogrzebani żywcem. Przemawiają za tym cztery fakty:

Po pierwsze, od momentu wstrząsu nie udało się naszym operatorom ani razu nawiązać z powierzchnią ziemi żadnego kontaktu, tak telefonicznego, jak i radiowego. Jesteśmy zatem pozbawieni wszelkich informacji. Według opinii fachowców brak łączności radiowej można wytłumaczyć obecnością wielkiego metalowego bloku, jakiejś gigantycznej bryły, która spoczywając ponad naszym schronem, stwarza barierę dla fal radiowych. Nawiasem mówiąc, ci sami fachowcy nie chcą lub nie umieją określić jednoznacznie, co się właściwie stało, i skazują nas przez to na mętne przypuszczenia. Dwa następne fakty poznałam dopiero dzisiaj rano. Otóż niezależnie od tego, czy bryła kosmiczna, jak ją tu niektórzy — z braku lepszego terminu — nazywają, zatyka wszystkie wejścia do szybów, czy jej tam w ogóle nie ma, bo potoczyła się gdzieś dalej — opuszczenie schronu przez szyby jest niemożliwe, ponieważ na minutę przed wstrząsem ze względu na nasze bezpieczeństwo zostały one (wszystkie i na całej swojej długości) zalane rodzajem błyskawicznie tężącego betonu. Ta droga ratunku jest raz na zawsze odcięta — zgodnie zresztą z zamierzeniami budowniczych, którzy przewidzieli inne wyjścia, pomyślane tak, aby umożliwiły bezpieczne opuszczenie schronu po ataku termojądrowym. Dowiedziałam się, że wychodzi stąd kilka obszernych i bardzo długich korytarzy. Są to poziome, biegnące na dużej głębokości i rozchodzące się w różne strony tunele o wylotach odległych od centrum miasta o kilkadziesiąt kilometrów. Wydawać by się mogło, że ich umocnienia powinny budzić zaufanie. Lecz tutaj wychodzi na jaw fakt skandaliczny. Przy pierwszej kontroli, zaraz po wstrząsie, okazało się, że wszystkie są pozatykane tuż poza granicami miasta. Tarasują je gładkie i niezwykle twarde bloki skalne, których jak dotąd — nie udało się ani przebić, ani usunąć przy pomocy środków wybuchowych. Administracja schronu tłumaczy nam, że nastąpił trudny do przewidzenia uskok gruntu i każe nam liczyć na ratunek z zewnątrz. I wreszcie ostatni fakt, chyba najbardziej ze wszystkich zagadkowy...

Miałem odwrócić kartkę, lecz nie zrobiłem tego. Ręka, którą wspierałem się o framugę drzwi, odmówiła mi posłuszeństwa. Kredowobiała, z wysączoną krwią ani drgnęła, gdy szarpnąłem nią z całej siły aż do bólu w mięśniach. Targnąłem się jeszcze raz. Gdzieś pod ścianą osunęła się leżąca na szczycie stosu jakaś książka, to wszystko. Całe ciało objęte miałem twardym jak stal, nie ustępującym ani na milimetr uchwytem. Zastygłem w przejrzystej, przełamanej kilkoma kryształowymi pęknięciami bryle szkła, która nie zdążyła jeszcze sięgnąć stropu. Od środka wyglądało to inaczej — jak z dna akwarium. Wszystkie opary niknących już mgieł, galaretowate pręgi liliowych wodorostów i drzazgi rozmazujących się już rys swymi ostrzami mierzyły we mnie. Mogłem jeszcze poruszać gałkami oczu. Widziałem, czym jestem. Byłem kokonem, jądrem komórki, kryształkiem kondensacji — sam nie wiem czym. Ale już konałem. A może tylko traciłem świadomość? Na jak długo?

Czy na zawsze?

Spojrzałem w drugi kąt, gdzie tkwili oni. Nie! wrzasnąłem w myślach. A potem jeszcze raz: Nie — pomyślałem tak spokojnie, jakbym zbijał oczywisty fałsz, w ogóle nie wymagający zaprzeczenia — to przejdzie. Musi przejść! A tak się dałem nabrać, ogłupić ja, który domyślałem się już, ba: wiedziałem przecież na pewno.

Mijały wieki. Czym była przestrzeń, czym był skamieniały czas — we mnie, w pęczku zastygłych nerwów, w których igrały prądy strachu. Tego obawiałem się najbardziej. Zaczęło się już: pochylały się nade mną bezkształtne postacie. Nawet nie musiałem ich widzieć. Wiedziałem, że otaczają mnie, że istnieją. Długie ich korowody snuły się to tu, to tam, czasem śledziły mnie, badały spoza pleców, skądś z boku — nie wiem. Dawno już bowiem nie mogłem poruszyć gałkami oczu, które były skrzycone w bok i unieruchomione tak, jak skamieniały przy ostatnim obrocie. Stał w nich lekko zamglony obraz elektrycznego kontaktu. Nagle do gardła przypadł mi dławiący lęk — właśnie teraz, kiedy zrozumiałem, że mam jeszcze znikomą szansę. Od dźwigni kontaktu do palca, przy którym miałem odrobinę luzu, było nie więcej niż pół centymetra. Pokonując tę odległość, czułem ból zdzieranego paznokcia. Nacisnąłem wreszcie. Nastąpiła ciemność, a z nią razem krótkotrwałe rozluźnienie uchwytu, który zaraz znów stężał. Zapaliłem ten sam efekt: lekkie drgnięcie, a po nim konwulsyjny skurcz otaczającego mnie zewsząd szkliwa. Blask mrok — blask — mrok i znów blask: zapalałem i gasiłem na przemian. Coraz szybciej, w rytm pulsującej mi w skroniach krwi, jakbym nadawał jakąś wiadomość alfabetem Morse'a. Oszalały palec dygotał w ataku febry. Skorupa wpadła w rezonans. Dostrajały się okresy drgań.

Wreszcie palnął mi przy uchu ogłuszający, suchy trzask, jak wyładowanie w komorze wysokich napięć. Rzuciłem się do tyłu. Spadł na mnie rześisty deszcz połyskujących iskier. Spojrzałem po sobie: od stóp do głowy obsypany byłem srebrnym pyłem. Przez wywalone jednym kopnięciem drzwi wypadłem na korytarz.

Aporia

— Ina!

Dźwięk tego imienia zabrzmiał mi w uszach tak głucho i obco, jakby nie padło z moich ust. Leżałem na brzegu dywanu, za stołem, w miejscu na które przeczołgałem się przed wieloma godzinami, bo nie mogąc znieść ciężaru ciszy narzuconej mi przez oddech Iny i spotęgowanej biciem jej serca, wyrwałem się z jej ramion, aby uciec w najodleglejszy kąt.

Lecz naraz, porażony pogłębiającą się aż do nieskończoności pustką mroku wokół mnie, zapragnąłem znów usłyszeć jej głos, chociażbym miał potem od nowa tego żałować.

— Ina!

Leżała tam, gdzie ją zostawiłem: nieruchoma, z rękami wyciągniętymi wzdłuż tułowia, jak martwa.

— Gdzie my jesteśmy? Ino, ty wiesz?

Poruszyła się i przywarła do mnie, a po ruchu jej powiek, który wyczułem pod swoimi leżącymi na jej twarzy dłońmi, poznałem, że mnie nie rozumie.

— Słucham cię, Rez — szepnęła cicho.

Nie rozumiała mnie i oczywiście nie mogła mnie zrozumieć. Bo to pytanie zadałem bardziej sobie niż jej, a stawiając je Inie, wiedziałem już, że sam będę musiał na nie odpowiedzieć.

A może powinienem zadowolić się tym, czego się już dowiedziałem: oto była „ziemia” i „miasto Kaula-Sud”, pod nim zaś „schron”, który zamykał mnie, jednego spośród wielu uwięzionych. Jakże gładko popłynęło mi to zdanie — teraz — gdy po wizycie na czterdziestej piątej kondygnacji mogłem już operować terminami. Lecz co zawierały te terminy? Owszem, znałem je: niejednym razem pieściłem w sobie tę głupkowaną pewność, która pozwala sądzić, że wystarczy jakiemuś zjawisku nadać nazwę, aby już na zawsze uwolnić się od potrzeby zrozumienia go. A zatem... czy te terminy coś mi tłumaczyły? Czy mogły zaprowadzić ład w chaosie myśli zdolnych — co najwyżej — uporządkować się w jeden tylko szereg: w ciąg słów domagających się

następnej odpowiedzi?

Więc kiedy postawiłem to pytanie — sobie czy Inie, mniejsza już o to — zrozumiałem przynajmniej, z czego dotąd wypływała moja niemoc: mogłem się bać, że w swej niewiedzy jestem osamotniony.

I wtedy czym prędzej zapytałem po raz wtóry:

— Czy wiesz, Ino, gdzie my jesteśmy?

— Tutaj, Rez, wiesz przecież — odpowiedziała po prostu.

— Tutaj, to znaczy gdzie? Czy ty też spodziewasz się czegoś?

— Ach, o to ci chodzi... — w głosie jej brzmiała nadal ta sama nuta roztargnienia — ja o tym nie myślę, Rez, to nie ma dla mnie znaczenia.

— Dla mnie ma!

Uniosła się na łokciu, jakby chciała coś powiedzieć. Przez chwilę z głową wspartą na jednej swej dłoni drugą szukała mojej ręki. Potem przysunęła swoją twarz do mojej tak blisko, że poczułem na czole jej oddech.

— Tak gorąco. Przynieść ci coś do picia? — spytała.

— Przynieś.

Słyszałem stąpanie jej bosych stóp, kiedy szła w stronę półek. Uważnie śledziłem słuchem każdy jej ruch. Dobięło mnie skrzypnięcie poruszonej dźwigni wentylatora, delikatny stuk naczyń, zetknięcie ich raczej niż niezdarne potrącenie, potem cieniutki pisk naciśniętego kurka i wreszcie szmer przelewającego się płynu. Ręce Iny nieomylnie trafiały na każdy poszukiwany przedmiot. Zastanawiała mnie precyzja jej ruchów, tak bardzo kontrastująca z moją zaznaczającą się wielokrotnie niezręcznością. Ciemność (jednakowo głęboka dla nas obojga) nie tłumaczyła tej różnicy.

— Nasz stan jest przejściowy — usłyszałem głos zbliżającej się Iny.

Zawahałem się, nie rozumiejąc, czego dotyczy ta wypowiedź. Tak dalece odbiegłem myślami od treści naszej rozmowy, że teraz ja z kolei nie zrozumiałem Iny.

— Tak myślisz?

— A ty czy nie odnosisz wrażenia, że nasza sytuacja jest prowizoryczna?

Dziwna rzecz, ale chyba nie miałem nic do powiedzenia na ten temat. Wolałem to przemyśleć i zachować dla siebie. Byłem już tak wypoczęty, że kiedy znów wyciągnąłem się na dywan obok siedzącej

Iny, perspektywa dalszego wylegiwania się wydała mi się nie do zniesienia. Mimo to nie ruszałem się z miejsca. Czy trzymała mnie w nim przewrotna nadzieja, że swoją beczynnością zdołam przekreślić plan Mechanizmu? Chyba nie mogłem liczyć na powodzenie przy tak obranej taktyce. Przecież okresowa beczynność mogła być jednym z dość ważnych punktów tego planu.

Lecz z zapowiedzi Mechanizmu wynikało, że przeznaczeniem moim była aktywność. Aktywność? — powtórzyłem to słowo w myśli może kilkanaście razy, za każdym razem nadając mu cokolwiek inną barwę, która przez różne odcienie niesmaku w prostej linii zmierzała do irytacji, a wyglądało to tak, jakbym trzymał jakiś dziwaczny, nieznan mi przedmiot o podejrzanym zapachu, włożony mi do rąk przez kogoś, kto wykorzystał moje roztargnienie, i jakbym przerzucał go z ręki do ręki, wciąż nie rozumiejąc, że wstręt mój wypływa z realnej obrzydliwości tego przedmiotu. Trwałem „tutaj” — jak trafnie wyraziła się Ina, używając najbardziej uniwersalnego określenia — i, by się dopełniła miara określeń, mogłem do tego dodać jeszcze, że trwałem „teraz”. Istniałem więc „tutaj” i „teraz” — to przynajmniej nie budziło żadnych wątpliwości, słowem: ustaliło się jako najzupełniej pewne to tylko, co nic zgoła nie znaczyło.

Znajdowałem się wciąż pod wrażeniem instrukcji przekazanej mi na „taśmie” i wyobrażałem sobie, że czekam na polecenie, może na pierwszy impuls, na znak wywoławczy, który musiał się wreszcie pojawić w jakiejś postaci, choćby i najbardziej zawilej, lecz chyba dopiero wówczas, gdy wszystkie tkanki mego ciała osiągną stan najwyższej gotowości, na impuls, który w myśl tejże instrukcji — rozbudzić miał we mnie nieodpartą chęć czy konieczność działania zgodnego z zamaskowanym programem Mechanizmu. Jakże naiwne było to wyobrażenie, jakże jałowe to długie oczekiwanie, ów wewnętrzny nasłuch, nastawienie na sygnał w świadomości; wiedziałem doskonale, co się we mnie działo: nie było tam niczego osobliwego, czego bym nie rozpoznał wcześniej jako własne, chyba tylko ta tępa obojętność i senność, jaka mnie nieustannie zalewała. Spodziewałem się jednak, że prędzej czy później zamknie się we mnie jakiś obwód, zadziała zespół odruchów bezwarunkowych, co się ujawni w skomplikowanej operacji napinania i zwalniania mięśni (z zewnątrz wygląda to tak niepozornie), które zwie się po prostu

wstawaniem z miejsca.

Wstanę więc, choć nie będę w tym widział ani odrobiny sensu, wstanę nie po to, by cokolwiek przedsięwziąć ani — tym bardziej — by realizować jakiś program, lecz podniosę się z podłogi dlatego tylko, aby zmienić położenie ciała. Z tego niedorzecznego faktu może wyniknąć cała reszta, równie jak on absurdalna. Przeczołgam się więc na nowe miejsce, potem znów ułożę się gdzieś inaczej, może też wyjdę na korytarz, by tam podeprzeć ścianę, bo nawet perspektywa zbliżenia się do Iny, możliwość oparcia się na intuicji zmysłów jak na ostatniej desce ratunku, nie potrafiła we mnie obudzić zapału do wykonywania licznych czynności, które — w innych okolicznościach i w innym czasie — noszą miano przejawów życia. Mogłem mieć pewność, że coś takiego wydarzy się w przyszłości; na razie jednak nie groziło mi to niebezpieczeństwo.

Myślałem o Mechanizmie. Próbowałem cofnąć się do najbardziej odległych w czasie wydarzeń, w głąb doświadczenia, aż na samo dno pamięci, gdzie pod osadzającymi się kolejno pokładami wielu analiz leżała sprasowana nimi najwcześniejsza warstwa, a w niej pierwsza myśl o nim. Nie obiecywałem sobie, że zdołam ją wydobyć na wierzch przy pomocy jednego ospałego zabiegu introspekcji, toteż nie doznałem rozczarowania, gdy w ogóle nie udało mi się do niej dotrzeć. Może pozostała ukryta na zawsze poza wleczoną przez czas barierą dla pamięci, która pozacierała kontury obrazów i pokryła gęstniejącą mgłą wszystko, co się kiedyś działo — jeżeli się działo — a może nie była żadną myślą, lecz jej pierwszą nieuświadomioną jeszcze zapowiedzią, która miała zapoczątkować nieskończony proces przekształceń wyobraźni.

Pamięć pozwalała mi sięgnąć do okresu sprzed około sześciu miesięcy; dalej wspomnienia moje dreptały w miejscu: obracały się wokoło kilku okaleczonych i bezładnie rozrzuconych w pustym obszarze obrazów, jeszcze dalej — trafiały na próżnię. Rejon ten penetrowałem już nieraz; nieraz też gubiłem się w domysłach, kiedy, dysponując wyblakłymi fragmentami statycznych na ogół obrazów albo tylko wycinkami tych fragmentów, pogrążałem się w mozolnych próbach, aby wypełnić brakujące luki dla odtworzenia zagadkowej całości. W takich chwilach widziałem siebie w różnych przypadkowych i niewiele wyrażających pozach: jak zatrzymywałem się przed wypełniającymi

moją kabinę sprzętami, jak pochylałem się ponad lśniącymi na pulpitych szeregami różnokolorowych guzików, jak wpatrywałem się w ekrany, to znów spoczywając na leżance wsłuchiwałem się w głosy wydobywające się z głośników.

W tamtych najbardziej odległych czasach nie nękały mnie chyba żadne wątpliwości (takie przynajmniej odnosiłem później wrażenie); zresztą gdyby nawet powstała wówczas jakaś niejasna sytuacja, sądzę, że nie znalazłbym czasu ani zdecydowanej chęci, aby ją roztrząsać. Wszystko bowiem, co mnie otaczało, co się dookoła mnie odbywało, było nowe, pociągające świeżością pierwszego kontaktu i w jednakowym stopniu niezwykle dla nie przytępionych jeszcze zmysłów. Nie klasyfikowałem rzeczy według stopnia ich ważności; istniał dla mnie jeden tylko podział: na rzeczy ciekawe i nudne. Tych ostatnich najpierw w ogóle nie było. Ledwie prześliznąłem się ponad powierzchnią jakiegoś interesującego zjawiska, gdy już przenosiłem oczy na nowe, którego badanie porzucałem w połowie dla następnego, w danej chwili jeszcze bardziej zajmującego. Na początku największe wrażenie robiły na mnie gwałtowne efekty foniczne i wizualne, potem niemal bez wytchnienia szperałem po wszystkich kątach kabiny, wygrzebując coraz nowsze, coraz dziwniejsze przedmioty, albo mocowałem się z przyrządami, jeszcze później zasiadałem najczęściej przed ekranami. To było cudowne: smakować, dotykać, patrzeć i słuchać, próbować siły mięśni, wyobrażać sobie i znów czuć aż do zawrotu głowy wszystkimi zmysłami, pochłaniać fale napływających zewsząd wrażeń i samemu być taką falą omywającą kształty, zapachy i barwy, przenikającą przez powierzchnie zjawisk i wypłukującą z nich zachwyty i lęk w nieustannym pędzie ku kolejnej kulminacji, ku kolejnemu odprężeniu, aż do samego końca, który nie był kresem ostatecznym, lecz nowym początkiem, drogowskazem dla nie wyobrażonych jeszcze uniesień. Zawsze kładłem się spać z ufnością, że dzień następny przyniesie mi taką samą porcję nieznanych dotąd doznań.

Przez cały ten czas hermetycznie zamknięty świat, w którym żyłem, nie wymagał żadnego uzupełnienia: był światem całkowitym. Rządziła w nim doraźna potrzeba, a konieczności i pragnienia zamykały się w kręgu przyczyn i skutków wzajemnie się warunkujących. Jedno wynikało bezpośrednio z drugiego, tak precyzyjnie dopasowane do sąsiednich

elementów, że stwarzało wrażenie niewzruszonej doskonałości.

Jednak już od najdawniejszych czasów drzemała we mnie potrzeba usystematyzowania doświadczeń. Nie obudziła się w jednej chwili i nie od razu przybrała taką postać, której mógłbym nadać nazwę dążenia do świadomej syntezy. Prawie zawsze kiełkowała na gruncie mniej lub bardziej szczerego zdziwienia. Coraz częściej zadawałem pytania. Stawiałem je przy różnych okazjach, całymi seriami, nieczęsto zdobywając się na cierpliwość wysłuchania odpowiedzi do końca. Bo też zdarzało się — zwłaszcza na samym początku tego pędu do zdobywania wiedzy — że głośniki, nie uwzględniając ograniczonej zdolności mojego pojmowania, stawały się okropnie nudne. Na każde pytanie starały się udzielić mi odpowiedzi możliwie najbardziej wyczerpującej, czym wywoływały w moich myślach zamęt i zniecierpliwienie. Jedynym ratunkiem było w takich chwilach postawienie następnego pytania, z innej już dziedziny, bez żadnego związku z poprzednim, a gdy to nie pomagało — całej ich serii, co tamowało na jakiś czas płynący z głośników potok elokwencji.

Pod koniec mego pobytu w kabinie sytuacja zmieniła się zasadniczo na moją niekorzyść, bo uległa odwróceniu. Teraz już nie zadowalałem się byle jaką rzuconą mi na odczepne odpowiedzią — przeciwnie: domagałem się coraz gruntowniejszych wyjaśnień, uzupełniających informacji, prowokowałem głośniki do rozwijania szczegółowych analiz — one zaś stały się w swych tłumaczeniach ospałe i niechętne, często zmieniały temat, milkły, gdy poruszałem najbardziej istotne dla mnie sprawy, albo uciekały się do różnego rodzaju uników i wybiegów. Stały program ekranów ograniczał się wyłącznie do emisji wskazówek natury fizjologicznej; dość wyczerpująco odpowiadały one na pytanie, co należy robić, aby utrzymać się przy życiu i uczynić je możliwie najwygodniejszym, nie określały natomiast, czym miałem to bezpieczne i wygodne życie wypełnić.

Wszystko dookoła mnie, co stworzyły maszyny a także i one same — powołane zostało do istnienia w takiej, a nie innej postaci, aby służyć określonej celowi.

Różne były sposoby produkowania przedmiotów użytkowych, różne ich właściwości i dziedziny zastosowania, tak samo jak cele cząstkowe, którym miały służyć, ale w jednym przynajmniej były identyczne — to

były narzędzia. Narzędzia w najszerszym tego słowa znaczeniu, w takim, w jakim na przykład książka może być narzędziem do kształtowania wartości estetycznych, do przekazywania doświadczenia, do rozpowszechniania określonych idei albo też do pobudzania i rozwijania wyobraźni. Pomijając już fakt, że książką — tak jak każdym innym narzędziem — trzeba się było umiejętnie posługiwać, nie było rzeczą obojętną, do obróbki jakiego materiału jej użyto. Mogła ona uczynić wiele: przekształcać, rozbijać i formować na nowo, zaciemniać lub rozjaśniać, porządkować według różnych punktów widzenia, rozwijać i pogłębiać, kojarzyć w inne związki, a przede wszystkim przywoływać obrazy, sytuacje, uczucia, stany, wartości i treści psychiczne, już tam — czyli w świadomości odbiorcy — bodaj w jakiejś najbardziej nieokreślonej formie istniejące, bo przedtem zgromadzone, nie mogła zaś dokonać cudu, to znaczy: była bezsilna wobec braku tych elementów w imaginacji czytelnika, którymi mogłaby operować, bowiem dostarczyć ich mogło jedynie samo autentyczne życie. Z tego właśnie powodu zawartość książki — formalna i merytoryczna — choćby najbardziej bogata czy wyszukana, nie przesądzała wcale zamierzonego przez autora rezultatu. Bo jeżeli zdarzało się często, że ktoś odkładał książkę przed jej ukończeniem, ciskając gromy pod adresem autora, to świadczyło to tylko o tym, że zdarzyła się tutaj jedna z dwu możliwości: albo stępiono właściwe narzędzie przy obróbce niewłaściwego materiału, alba na odwrót — niewłaściwym narzędziem próbowano okaleczyć właściwy materiał.

Przychodziły mi na myśl historie prześledzone na ekranach. Biorące w nich udział postacie otaczały się wytwarzanymi przez siebie produktami, które — rozumiane jako narzędzia — stanowiły sumę zdobyczy, jaką przynosił nieustanny rozwój cywilizacji technicznej. W pewnej części były one narzędziami służącymi do produkowania innych narzędzi, w pozostałej zaś zdawały się istnieć jako produkty ostateczne. Jednakże aby być w zgodzie z raz już przyjętą definicją, zaliczającą do grupy narzędzi wszystkie ukształtowane świadomie twory mogące się na coś przydać — produktem ostatecznym mógł być jedynie taki produkt, który już niczemu nie służył. Analizując dalej swoją sytuację w taki mniej więcej sposób, doszedłem w swych rozważaniach do miejsca, w którym musiałem udzielić sobie odpowiedzi na pytanie, czym właściwie byłem:

narzędziem czy ostatecznym produktem. Przez pewien czas wyobrażałem sobie (nie bez podstaw zresztą), że nie służę nikomu ani niczemu i — co z tego wynika — że jestem produktem ostatecznym. Lecz znamienne oświadczenie Robota BER-64 zwalniało mnie automatycznie z konieczności samodzielnego dochodzenia istoty, celu i sensu mego istnienia, ponieważ będąc narzędziem do zdobywania informacji, wiedziałem już, do czego służę.

Znowu pomyślałem o Mechanizmie. Właściwie nie przestawałem o nim myśleć ani na chwilę, lecz teraz zastanawiałem się nad nim inaczej niż dotąd. Już nie przypisywałem mu żadnego kształtu ani nie lokalizowałem jego położenia w jakimś ściśle określonym miejscu. Myślałem o nim tak, jak się myśli o abstrakcyjnym pojęciu, o układzie sił na przykład albo o losie, który wśród rzeczy konkretnych, namacalnych nie posiada żadnego odpowiednika. Myślałem też o tym, że podawana z ust do ust informacja o jego istnieniu, którą odebrałem i bez wnikania w jej treść przekazałem dalej, musiała z konieczności zawierać wiele uproszczeń, bo była znizona do ograniczonej zdolności mojego pojmowania.

Najbardziej ciążyło mi przypuszczenie, zrodzone pod wpływem zawartej w instrukcji sugestii, że jestem pozbawiony woli. Czy oczywisty fakt, że nie mogłem zmienić tego, co już się stało (czy był to nieznaczny ruch ręką, czy brzemienisty w następstwa długotrwały proces), co należało do czasu przeszłego odległego od terażniejszości chociażby o dowolnie mały ułamek. sekundy, nie nasuwał podejrzenia, że byłbym tak samo bezsilny, gdyby chodziło o nadanie kształtu wydarzeniom przyszłym, może złym, a może zwłaszcza dobrym? Na pewno przyszłość różniła się tym od przeszłości, że jeszcze jej nie znałem. Ale czy była poza tym jakaś inna różnica między nimi? Mogło być przecież dokładnie tak samo jak w wyświetlanym filmie, kiedy w pewnej (dowolnie obranej) chwili widz, utraciwszy świadomość faktu, że rozgrywa się przed nim niezwykle sugestywna iluzja, zgadza się wprawdzie z ostateczną postacią tej części akcji, która już minęła, lecz wierzy równocześnie w całkowitą swobodę działania bohaterów w dalszym jej ciągu, gdy tymczasem — obiektywnie — jest już ona ustalona we wszystkich swych szczegółach aż do ostatniej klatki filmu. Nie przemawiał do mnie narzucający się tutaj argument, jakoby można było wyciąć fragment akcji, ważny ze względu

na dalsze losy bohatera, jakoby można było coś w tym filmie zmienić albo nakręcić go na nowo. Determinizm ograniczonego świata rozpatrywany na przykładzie filmu nie negował bowiem istnienia sił zewnętrznych również zdeterminowanych, lecz spoza ekranu, w których mocy leżało dokonanie każdej zmiany — wręcz przeciwnie: dość wyraźnie na ich istnienie wskazywał, odsłaniając przy tym tę banalną prawdę, że na samym ekranie, w obrębie określonej akcji, możliwości wprowadzenia jakiegokolwiek zmiany do swego działania nie posiadali jej bohaterowie.

A więc tak właśnie być mogło: wszystko ułożone arbitralnie przez zewnętrzną siłę, przez jej prawa cała przyszłość ustalona z góry w najdrobniejszych szczegółach. Lecz gdybym stał na stanowisku istnienia wolnej woli, nie rozumiejąc, że jest ona tylko postulatem, płodem tęsknoty, życzeniem samym — mógłbym siebie zapytać w takim razie, w którym okresie czasu możliwy był mój wpływ na kształtowanie własnego losu, kiedy mogła zapaść swobodna decyzja i gdzie było miejsce na działanie nie wymuszone kolejnym ogniwem łańcucha konieczności — słowem, w jakim czasie miał się dokonać ów fenomenalny akt: wolny wybór. Odpowiedź była bardzo prosta i jedyna zarazem, ponieważ brzmiała: *teraz*. Zapewne, nawet najbliższy czas przeszły i przyszły nie wchodziły tutaj w rachubę, gdyż niepożądaną czynność cząstkową z czasu przeszłego można było — co najwyżej — powtórzyć raz jeszcze, a choćby i dowolną ilość razy, dla spowodowania innego efektu, co nie zmieniało ustalonego raz na zawsze fizycznego faktu, że tamta pierwsza czynność już się odbyła i wszelki wpływ na nią był niemożliwy, zaś dokonanie czegokolwiek w przyszłości (już teraz — więc na „czasową odległość”) czy to wprowadzenie do niej określonego elementu losowego, czy usunięcie z niej przewidywanego wypadku — z pozycji czasu teraźniejszego również jest niewykonalne bez równoczesnej ingerencji w jego zdarzenia.

Jeżeli zatem można było coś sensownego uczynić, aby uratować przekonanie o swobodzie postępowania, to należało udowodnić, że ta swoboda leży w okresie czasu teraźniejszego; trzeba więc było wykazać, że ów założony na wstępie czas teraźniejszy ma miarę różną od zera, inaczej — że może on w sobie pomieścić jakiegokolwiek rozwinięte w czasie działanie, w szczególności zaś chociażby samą świadomą decyzję:

akt wyboru nie wymuszony automatyzmem bezpośredniego wynikania. A tutaj wyłaniała się trudność nie do pokonania, bowiem pozbawiona trwania chwila między „już było” a „dopiero będzie” istniała jedynie jako *granica* pomiędzy przeszłością a przyszłością. To zatem, co potocznie nazywało się czasem teraźniejszym, nie trwało nawet przez znikomo mały ułamek sekundy, było — jeżeli miałem posłużyć się inną terminologią — kresem górnym uporządkowanego zbioru zdarzeń należących do przeszłości oraz równocześnie kresem dolnym też uporządkowanego w czasie zbioru zdarzeń zawartych w przyszłości. Krótko mówiąc, ciągłość czasu przemawiała za powszechnym determinizmem.

Do identycznego wniosku prowadziła też przeciwna koncepcja: myśl zakładająca istnienie kwantów czasu zatem zaprzeczenie jego ciągłości i wprowadzenie elementarnego przedziału, który byłby najmniejszą i niepodzielną częścią czasu, przy czym każdy inny przedział składałby się tym, razem z całkowitej wielokrotności takich chwil. Powyższe założenie nie przeczyło możliwości ruchu „w ogóle”: wskazywało jedynie, iż jest on niemożliwy w obrębie jednej chwili (zamkniętej granicami kwantu), a dalej — nasuwało odpowiedź na pytanie, dlaczego ten ruch (lub raczej jego wrażenie) jest tak realny dla zmysłów, które śledzą jego kolejne — statyczne fazy, sięgając zawsze do najbliższej przeszłości (ostatecznie już dokonanej). Bezwładność wszystkich zmysłów razem z nie mniejszą bezwładnością samych myśli w zestawieniu z olbrzymią liczbą elementarnych impulsów tłumaczyła doskonale wrażenie płynnej ciągłości wszelkiego rodzaju zmian, jakie zachodziły w otoczeniu obserwatora. Mogłem się tu znów powołać na analogię z wyświetlanym filmem: wszystkie ciała rozpatrywane w danej chwili (rozumianej jako kwant czasu) razem z obserwatorem i ze znikomo małym fragmentem zakrzepłej w jego mózgu myśli — były doskonale nieruchome, podobnie jak postacie na kolejnej klatce filmu przy ekspozycji jednego zdjęcia. Chwila ubiegła (obejmująca sąsiednią, wyświetloną już klatkę filmu) znajdowała się poza zasięgiem jakiegokolwiek wpływu, ponieważ należała do przeszłości. Czas teraźniejszy zamykał się w ramach jednego kwantu czasu, który był niepodzielny z samego założenia: stąd właśnie niemożność dokonania zmiany w jego obrębie (przy czym należało pozostać, by znów nie wrócić

do przeanalizowanej już koncepcji czasu ciągłego).

Czego zatem można było się spodziewać po kolejnej ekspozycji? Czyż następna przestrzenna konfiguracja materii, kolejna faza obiektywnej rzeczywistości mogłaby pojawić się na czterowymiarowym ekranie wszechświata w postaci niezupełnej? Gdyby tak było, musiałaby wtedy przejść automatycznie do przeszłości również w postaci nieokreślonej do samego końca, też jeszcze całkowicie niegotowej.

Skoro więc nie mogłem się pogodzić z obcym materializmowi przypuszczeniem, iż możliwe było zjawisko nierozwinięte w czasie i jeżeli miałem pozostać na stanowisku, że żadna przyczyna nie była zdolna wywołać natychmiastowego skutku (chyba tylko przyczyna spoza ekranu, czyli spoza strefy, w której obowiązywała konieczność przemijania czasu) — musiałem wobec tego uznać, że ustalona we wszystkich swych szczegółach przyszłość; przy nieobecności czasu teraźniejszego (przypadek pierwszy) bądź też wskutek braku możliwości dokonania zmiany w jego obrębie (drugi przypadek), przechodzi bezpośrednio lub pośrednio w przeszłość i — co z tego wynika — że wszelka myśl o swobodzie działania jest myślą czysto subiektywną.

Sen w blasku księżycy

Kiedy kierując się do windy przechodziłem obok ostatnich drzwi przy końcu korytarza, zatrzymała mnie dobiegająca spoza nich rozmowa dwóch mężczyzn, którą poprzedziło pytanie kobiety:

— Czy oni żyją?

— Tak jak my: tutaj, w tej chwili... — głos przycichł, podszedłem bliżej. — ...I zastanawiają się pewnie — ciągnął dalej, oddzielając pauzami poszczególne słowa, ten sam mężczyzna — czy życie... w takiej... jak nasza... sytuacji... jest w ogóle możliwe.

Nie zrozumiałem kilku następujących potem zdań, aż naraz ktoś inny podkreślił z naciskiem:

— W danym punkcie przestrzeni nie można odróżnić... — znowu nie dosłyszałem końca. Po chwili odezwała się kobieta:

— Nie rozumiem tego.

— Nie szkodzi. Są tacy, którzy to rozumieją... i dziś możemy... musimy na nich polegać.

Stojąc w opadającej windzie, uświadomiłem sobie pod wrażeniem wyniesionym z tej podsłuchanej mimo woli rozmowy — że jak ruszając z miejsca wiedziałem, dokąd się wybieram, tak teraz — choć bardziej niż wówczas przytomny — nie umiałbym już tego określić. Nie miał przy tym większego znaczenia fakt, że to spostrzeżenie — jeżeli spostrzeżeniem można nazwać tak błahą myśl — nie skłoniło mnie do skupienia uwagi.

Na krótko przed znieruchomieniem windy, człowiek, który wszedł do niej razem ze mną, odezwał się ni stąd, ni zowąd:

— Czekają już na nas.

Przełknąłem ślinę dla wyrównania wzrastającej różnicy ciśnień, wywołanej opadaniem windy, i oparłem się o ścianę. Poza szorstkim uciskiem zbyt ciasnego ubrania, które znalazłem w magazynie i w którym było mi niewygodnie, poza lepką powierzchnią ściany, ciemnością, bólem głowy i niesmakiem w ustach, poza tym wszystkim więc, co w sumie składa się w jedno i stanowi o nastroju chwili, który dawał się sprowadzić do uczucia trwałej niewygody — był więc jeszcze

ktoś gdzieś, kto na mnie czekał. Nawet ten głupi śmiech, jaki rozsadał mi płuca, gdy o tym pomyślałem, też był kontrolowany.

Opuściliśmy windę, Opatrzony dwoma szeregami jednakowych drzwi długi i wąski korytarz skręcał łagodnym łukiem; biegnąc gdzieś daleko, aż do ukrytego poza krzywizną muru źródła światła, które, rzucając refleksy na lśniące od białego lakieru ściany, tryskało ku nam ledwie przygaszonym, mimo znacznej odległości, i niepokojąco chwiejnym snopem. Tam gdzie jedna ze ścian zachodziła w perspektywie za drugą, ujrzałem na mlecznym tle ciemną postać stojącego nieruchomo na szeroko rozstawionych nogach wysokiego mężczyzny. Skręciliśmy w przeciwną stronę. Po jakimś czasie człowiek, który mnie prowadził, uczynił ręką ruch, jakby zamierzał ją położyć na najbliższej klamce, lecz naraz, z wyrazem twarzy, który mógł oznaczać, że coś sobie przypomniał, zrobił gwałtowny zwrot, zagrządzając mi drogę.

— Jeszcze jedno... — zaczął i urwał. Patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby zamierzał mnie skarcić za jakieś niestosowne pytanie. I choć na całej drodze poza nami nie było nic prócz głębokiej ciszy milczenia, mogłem sobie wyobrazić (ton jego głosu nasunął mi tę myśl), że przez cały czas bez wytchnienia wiele mi tłumaczył, a jeżeli teraz musiał jeszcze coś do tego dodać, to tylko dlatego, że byłem taki nieuważny.

— My — rzekł i odwrócił oczy, jakby było mu wstyd, że musi przypomnieć o rzeczy tak oczywistej — ...my, postaci z Jego snu, powinniśmy dbać o to, aby Go nie obudzić.

Odwróciwszy się tyłem do mnie, mruknął coś jeszcze pod nosem, niewyraźnie, niedbale, pod pachą trzymał krótki, obciążony płótnem leżak do opalania. Fakt, że dopiero teraz dostrzegłem ten dziwaczny przedmiot w jego ręce, najlepiej świadczył o moim zmieszaniu. Zanim zdążyłem go o cokolwiek spytać, pchnął drzwi i odstąpił na bok, wskazując, abym przeszedł przed nim.

Staliśmy pośród nagich, upiornie poskręcanych i częściowo zwęglonych drzew, z tym niepokojącym powiewem upalnej nocy na twarzach, jaki przynosi myśl o pełni lata, z butami zanurzonymi w sypkim, szarym pyłe, na który pomimo bariery z gałęzi spadał z góry posępny księżycowy blask, a ponad nami wysoko, pokreślone czarnymi pręgami konarów i jak gdyby podparte nimi choć takie dalekie —

spoczywało obdarte z gwiazd, rozległe i głębokie, ciemnogrnatowe niebo.

— Jeszcze nie wszystko stracone — powiedział. W nastroju przytłaczającej pustki stałem tuż obok niego; pochylił się nad otoczoną popiołem kępką trawy i urwał z niej szeroki liść, po którym, znacząc za sobą lekko zwilżony ślad, pełzł maleńki ślimaczek.

Obejrzałem się poza siebie. W rozoranych na niewielkim zboczu bruzdach spoczywało kilka świeżo rozłupanych bloków skalnych; ostre krawędzie tych nieforemnych brył tworzyły granicę między głębokim cieniem a srebrnym szronem poświaty pokrywającym oświetlone stoki gładów; dalej, za osypiskiem drobnych kamieni, wznosiła się wielka pionowa ściana: matowoszara zaporą z czarnym otworem drzwi, przez które dopiero co wyszedłem.

Człowiek oddalał się. Poszedłem za nim, posłuszny nieznacznemu skinieniu, którym mnie do siebie przywołał, ufny jak bezpański pies, porzucony na drodze i trawiony goryczą rozstania.

Za wydmą okalającą przyległe do ściany rumowisko gładów otwierała się wolna od spalonego lasu przestrzeń. Na usłanej kępkami wrzосу piaszczystej równinie stało tam kilka samotnych niekształtnych sosen. Pod ich nachylonymi ku ziemi grubymi gałęziami, na nieco jaśniejszym po tej stronie tle nieba, widniały obwiedzione liliowymi konturami czarne postacie ludzi.

Człowiek wskazał mi je znaczącym ruchem brody.

— Jacy oni są cierpliwi... ci tam. Niechże pan spojrzy: wcale nie rezygnują.

Patrzyłem na jego ręce: gniótł w palcach urwaną gdzieś po drodze zwęgloną gałązkę; wystające spod brudnego bandaża rozbite kostki prawej dłoni pokrywały mu stupy świeżo zakrzepłej krwi. Uniosłem oczy.

W tej właśnie chwili sponad wierzchołków sosen wzbiła się do góry i poszybowała ku nam bezkształtna ciemna plama. Z daleka wyglądała jak poderwana podmuchem wiatru podarta na części, ale połączona strzępami w jedną całość wielka szmata lub płachta pogniecionego i spalonego papieru; kiedy w zupełnej ciszy przelatowała nad nami, człowiek przypadł do mnie i brutalnie zatkał mi usta rozwartą ręką.

— Cicho? — syknął. — Czy chce pan...?

Chociaż z uwagi na jego dotychczasowe zachowanie mogłem właściwie spodziewać się po nim czegoś takiego, ten nagły i najwyraźniej bezpodstawny skok w moją stronę i wcale nie bezbolesny chwyt, którym miażdżył mi wargi, zaskoczył mnie bardziej niż ewolucje szybującego nad nami zagadkowego obiektu.

— Przecież nie wymówiłem ani słowa... To pan... — urwałem.

Grzmot tych słów jeszcze trwał między nami. Spojrzałem w górę: „płachta” obniżyła swój lot, zakołowała nade mną, a kiedy odbiegłem kilkanaście kroków w bok, opadła jeszcze niżej i zawisła nad człowiekiem. Teraz przestałem już cokolwiek rozumieć. Człowiek zaczął wykonywać wokół siebie jakieś dziwne, gwałtowne ruchy, jakby mocował się z czymś lub chciał to coś zatrzymać przy sobie, to znów jakby się przed tym tajemniczym przedmiotem opędział. Gdy z rzucanego przez drzewo cienia przeskoczył na nowe, zalane księżycowym światłem miejsce, rozpoznałem w tym przedmiocie niesiony przez mojego towarzysza leżak. Naraz człowiek podskoczył na wysokość około dwóch metrów i tak zawisł. Trzymając oburącz za poprzeczkę leżaka, która w normalnych warunkach stanowiła podpórkę pod nogi, to dyndał na niej jak na huśtawce lub trapezie, to znów podciągał się i przewijał, podobny w tych akrobatycznych ewolucjach do dobrze wysportowanego gimnastyka. Wreszcie po kilku bardziej gwałtownych podrygach zeszywniał całkowicie. Wyciągnięty jak struna leżak prężył się i wyginał nad jego głową. Jakaś siła próbowała porwać go pionowo w niebo.

Przykuty do miejsca, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że człowiek był uwięzioną na końcu wędki rybą, a podskakujący miarowo leżak — drgającym wśród nieobecnych fal spławikiem. Wszystko to trwało nie dłużej niż kilkadziesiąt sekund. Gdy podbiegłem wreszcie i uwieszony u nóg człowieka szarpnąłem go w dół, spadł tuż przy mnie, zdyszany i zgrzany jak po długiej i wyczerpującej walce.

— Skurcz ...śni — rzeził. — Nie ...głem rozewrzeć pal...

Obaj zadarliśmy głowy. Rozwinięta już na całą szerokość swych strzępów „płachta”, szybsza teraz i bardziej ruchliwa, wlokła za sobą ogon z poszarpanych frędzli, raz po raz podbijając nim obracający się na wszystkie strony leżak. Nagle otoczyła go zamkniętym pierścieniem o dużej średnicy i wtedy leżak zaczął wyprawiać najprzeróżniejsze figle. Nie dość na tym, że zwyczajnie składał się i rozkładał w taki lub w inny

sposób, na ile tylko zezwalały nity zespalające poszczególne jego części, ale jeszcze w błyskawicznym tempie zmieniał swój kształt, prezentował liczne warianty czyjejs niewyczerpanej pomysłowości, przekręcał się, przeginał i przeinaczał, dostosowując się do wielu nowych, całkiem nieprzewidzianych przez swego producenta usług, jakby wybiegając naprzeciw różnym najdziwaczniejszym zachciankom użytkownika w trosce o zaspokojenie jego kaprysów. Odniosłem wrażenie, że siła, która nim operowała i miała nad nim władzę, chciała go wszechstronnie wypróbować lub może tylko poznać jego rzeczywiste zastosowanie. Ja zaś — chyba również pod wpływem eksperymentującej siły — w lot pojmowałem jej intencje i twórcze zabiegi, którymi chciała swą myśl wyrazić, choć nie potrafiłbym ich nawet nazwać.

Raptem całe to wirujące nad naszymi głowami widowisko przeniosło się pod ścianę niby-gmachu, który podczas naszego pobytu na otwartej przestrzeni przysłaniał niemal połowę widnokregu i znaczną część nieba. Tam, pod murem, „płachta” rozpadła się na drobniejsze strzępy. Części te, jeszcze bardziej ruchliwe niż całość, z o wiele większą niż dotąd energią zaczęły się kotłować wokół rozstawionego na ziemi leżaka. Tym razem widok był odrażający: przypominał kłębiące się nad ciałem padliny stado żarłocznych ptaków. Wrażenie to podsycaly dolatujące stamtąd liczne piski. Rój skupiał się na leżaku. Drgania czarnych niekształtnych plam skracały swą amplitudę, piski stawały się wyższe i cichsze, aż na koniec wszelki ruch zamarł: wszystko, co dotąd latało w pobliżu, osiadło na płótnie, zbijając się w jedną bryłę.

Nie rozumiałem, co się ze mną dzieje. Czy dlatego, że zbyt długo wpatrywałem się nieruchomym i wyteżonym wzrokiem w jeden daleki i mroczny punkt i doznałem krótkotrwałego zawrotu głowy, czy może z innej, głębszej i mniej bezpośredniej przyczyny, jak na przykład ta, że nie mogłem się pogodzić z obrazem świata, w którym wszystko było możliwe i który kpił sobie raz po raz ze mnie, z mojej nedorzecznej obecności w nim, wywracając do góry nogami wszelki sens i czyniąc mnie bezradnym wobec swych nieodgadnionych praw — zapragnąłem nagle, aby już teraz, tutaj, nastąpił mój kres, by na tym upłynął czas mego pobytu.

Szedłem — albo tylko zdawało mi się, że idę — prosto przed siebie, tam gdzie koniecznie musiałem iść, powolnym, posuwistym krokiem, jak

na uroczystej paradzie, podczas gdy z góry, z ukosa, śledziła mnie uważnie, prowadząc strumieniem światła, rozdęta i wtopiona w mrok nocy białosina kula księżyca. Cień mój, smolisty i długi jak płat rozwartego skrzydła, zataczał wokół mnie rozległy krąg; musiałem iść po obwodzie koła, bo zabiegał mi drogę i dopadł w miejscu, z którego wyszedłem.

Znów zobaczyłem człowieka. Zanim się odezwał, podniósł na moment głowę i szybko opuścił ją nisko, na pierś, gdzie wpadła w wąskie koryto cienia. Lecz zanim to się stało, dopóki jego wychudła, koścista twarz — jak kiedyś w prostokąt drzwi — trwała wymierzona w księżyc, przyjrzałem się jej i zadrzałem. Czemu wyrzucałem sobie, że go nie powstrzymałem od śmierci? To był Asurmar.

— Śmiali się z mojego leżaka — rzekł z nutą triumfu w głosie.

— Więc pan ocalał — wyrwało mi się. Poprzedni nastrój przysł: byłem już sobą.

— Chyba tak samo jak pan, panie Porejra — odparł, nie wiem, czemu jeszcze rozgniewany na mnie. — Tym razem udało nam się.

Miałem na myśli jego przygodę sprzed wielu godzin, czyli zastawioną na niego tuż przed planowanym startem pułapkę, ale oczywiście nie mógł mnie zrozumieć. I choć mówił o czym innym, o nieaktualnym już ostatnim niebezpieczeństwie, a na dodatek najwyraźniej brał mnie za kogoś, kim nie byłem, nie odezwałem się więcej, bo każde niezręczne pytanie z mojej strony mogłoby wywołać jego zdziwienie i żądanie wyjaśnień, w których — miałem aż nazbyt uzasadnione powody, żeby się tego obawiać — na pewno bym się zaplątał.

Zwróciwszy się w stronę odległej o kilkadziesiąt metrów matowoszarej płaszczyzny (nazwanej już raz z braku lepszego terminu, zaporą”), skierowaliśmy się do miejsca, gdzie widniał jasny, szeroki otwór wybitego w niej tunelu, który — jak się zdawało — nie przenikał jej jednak na wylot. W pewnej chwili, aby ominąć zwałony na ścieżkę pień drzewa, wybrałem inną drogę niż Asurmar, który obszedł go z prawej strony. Ledwie zboczyłem nieco w lewo, gdy napotkałem na nieprzewidzianą przeszkodę: zwarłem się z czymś, co stanowiło twardą i niewidzialną granicę przestrzeni. Zagradzająca mi drogę płaszczyzna mogłaby przypominać szybę, gdyby nie brak jakichkolwiek

zanieczyszczeń i defektów na jej nieskazitelnej powierzchni.

Jeszcze raz — teraz bogatszy o nowe odkrycie rozejrzałem się dookoła siebie. Korciło mnie, aby trzymając się w pobliżu doskonale przezroczystej szyby obejść dookoła cały teren i przekonać się, jakie są jego rzeczywiste rozmiary. i choć pod wpływem myśli o moim towarzyszu i o jego niewiadomej reakcji na tak podejrzany przejaw inicjatywy z mojej strony zrezygnowałem z tego pomysłu, moje wyobrażenie o otaczającej nas otwartej przestrzeni uległo zasadniczej zmianie. Wprawdzie ze swego miejsca nie byłem w stanie ocenić, jak wielka była sala, którą przemierzaliśmy, jednakże nie mogłem rozstać się z raz już zrodzonym podejrzeniem, że ze wszystkich stron ograniczała ją wspomniana szyba i tylko jej zawartość była rzeczywista, a cała usytuowana na zewnątrz reszta: część drzew i kamieni oraz wychodząca poza linię szyby pokryta wrzosem ziemia, a tym bardziej widnokrąg i niebo — wszystko to było tylko niezwykle sugestywnym mirażem.

Podczas gdy snułem te rozważania, Asurmar odszedł już na znaczną odległość, tak że straciłem go z oczu. Przyspieszyłem kroku. U wejścia do tunelu nie było nikogo. Gdyby zależało mu na moim towarzystwie — pomyślałem — zaczekałby tu na mnie. Powoli obszedłem wnętrze tunelu, zaglądając kolejno w mroczne wejścia do kilku rozchodzących się stąd korytarzy. Po jakimś czasie wróciłem pod ścianę, wypłoszony panującym w środku przeciągiem. Zniecierpliwiony, już zamierzałem zawołać Asurmara, gdy naraz przyszła tak długo odwlekana refleksja: poczułem się po prostu śmieszny. Mój okrzyk byłby najzwyklejszym nieporozumieniem. No bo co ja tu właściwie robiłem? Kim był dla mnie Asurmar, który w ciemności pomylił mnie z jakimś Porejra, jeżeli dobrze zapamiętałem, i co mnie obchodzili ludzie, do których mnie prowadził? Bardziej interesowała mnie konstrukcja nierzeczywistej wprawdzie, lecz wcale nie mniej przez to pociągającej otwartej przestrzeni. Ruszyłem w cień drzew.

I wtedy wzrok mój przypadkowo spoczął na stojącym pod murem leżaku.

— Czekają już na nas — usłyszałem dobiegający stamtąd wyraźny głos Asurmara, który siedział na nim.

— Świetnie — odpowiedziałem ze swego miejsca, zły i od dobrej chwili zdecydowany, aby go opuścić. — Skoro czekają... to czemu... to co

pan właściwie... — jakałem się.

Leżak zwrócony był tyłem do mnie; widziałem tylko głowę, rozstawione na boki łokcie i wystające u dołu, spod płótna, łydki człowieka. Zbliżyłem się do niego i zjrzałem mu w twarz. Może sprawił to układ cieni lub niezwykła siność księżycowej poświaty — zrobiło mi się niedobrze: człowiek miał twarz trupa.

— My... — powiedział jeszcze raz: — My... postacie z *Jego* snu powinniśmy dbać o to, aby *Go* nie obudzić.

— Jeżeli wyobraża pan sobie!... — podniosłem głos, lecz zaraz poprawiłem się: — W jakim celu już po raz drugi wyraża się pan w taki zagadkowy sposób?

— Bo jeszcze nie wszystko stracone — odparł natychmiast, zanim jeszcze skończyłem mówić.

Coś mi się tu zaczynało nie podobać. Z wnętrza tunelu wyłonili się dwaj ludzie, rozejrzeli się po okolicy i spostrzegłszy nas, biegiem ruszyli w naszą stronę. Człowiek na leżaku zwrócił sztywną, teraz już całkiem szarą twarz ku nadbiegającym.

— Jacy oni są cierpliwi... ci tam — powiedział cicho i miękko, tonem, który już raz słyszałem. — Niechże pan spojrzy: wcale nie rezygnują.

Zdębiałem. Jeden z przybyłych mężczyzn — nie mogłem się przecież pomylić: Asurmar we własnej osobie — chwytając za oparcie leżaka wydał z gardła jakiś zwierzęcy, ohydnie przejmujący ton. Z leżaka odezwał się głos nie mniej ostry, choć bez porównania słabszy:

— Cicho! Czy chce pan...

Teraz nastąpiła scena najbardziej chyba zdumiewająca: ten Asurmar, który przybył i stał, najspokojniej w świecie jednym niepozornym ruchem wyrzucił z leżaka na ziemię tego drugiego Asurmara, który dotychczas na nim wypoczywał. Uczynił to z taką swobodą, więcej: z taką wprawą, jakby robił tak już nieraz i jakby wywalał w piasek nie swego sobowtóra, lecz stertę śmieci. A potem z niepodobną do niego zawadiacką miną, z rozwartymi palcami obu dłoni, które uniósł na wysokość bioder, kołysząc się lekko na nogach (co chyba miało w rażący sposób uzewnętrznić tak mu dotąd obcą junacką gotowość do błyskawicznej akcji, gdyby tylko zaistniała jakaś potrzeba), zwrócił się powoli do mnie.

— I to pana bawi? — wycedził przez zaciśnięte zęby. Chciałem

zapytać: „właściwie co?”, ale zastanowił mnie zaczepny ton jego głosu.

— Może istotnie nie powinienem... — zacząłem łagodnie, tak na chybił-trafił, i urwałem w porę, bo wolałem nie kończyć tego ryzykownego zdania, tym bardziej że całkowicie przykuł mi wzrok widok u moich stóp.

Leżący na ziemi człowiek topniał w oczach. Tak właśnie: topniał — bo będzie lepiej, gdy od razu powiem, że (nawet w zestawieniu z tłem poprzednich zdarzeń) to był cud, i to w tej niewyszukanej, niewiele odbiegającej od schematu wersji, na której wspiera się znaczna część mitów i która podsyca wyobraźnię dzieci, u dorosłych zaś budzi nieufność i sprzeciw (tak też i na moje nerwy nie miałyby wpływu powiedziałbym „prostacka” forma tego cudu, gdybym się nie trząsł na całym ciele) — topił się więc, jakby był bryłą lodu albo rzuconą na rozgrzaną blachę woskową kukłą, te zaś części jego ciała (zwłaszcza nogi), które już się rozpląnęły, tworzyły pokryte bąblami kałuże szarej, gęstej cieczy i ani nie parowały, ani nie wsiąkały w ziemię, lecz po prostu nikły.

Gdyśmy go tam zostawili leżącego w rtęciowej kałuży blasku, pod mirażem głębokiego nieba, niewiele już z niego zostało: głowa, plecy i ręce, którymi szarpał kępy wrzosu, jak tonący linę — widać niesyty tej godziny życia, nie swoich min i obcych słów, co je z siebie jak papuga wyrzucał, jeszcze spragniony tego pobytu i eksperymentu, który się w tym nijakim pobycie zamykał.

Szedłem z oczami spuszczoneymi w dół — jak winowajca — a myślami wracałem wciąż tam, ku niemu, ku tym teatralnym jego podrygom, tak tanim, tak lichym i grubo tkanym, że nie powinny były wywołać we mnie żadnego innego uczucia prócz głębokiego niesmaku. prócz sprzeciwu wobec złej gry — a jednak wywoływały. A kiedy usłyszałem goniące mnie przez całą drogę ostatnie bodaj jego zdanie: „skurcz ...śni nie ...głem rozewrzeć pal...”, podniosłem oczy na Asurmara i przez krótką chwilę poczułem się oszukany głupcem, bo choć z niczego to właściwie nie wynikało i raczej wiele temu przeczyło, to jakoś nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że z nich dwóch — tamten, który został i gryzł ziemię, był prawdziwym Asurmarem.

Przy wejściu do tunelu obejrzałem się — ziemia była pusta.

— Nie ma go już — rzuciłem jakby do samego siebie, nieomal z

melancholią w głosie.

Asurmar mruknął coś pod nosem, może nawet nie do mnie, lecz do swoich myśli.

Zwróciłem się do jego towarzysza:

— Czy nie sądzi pan, że fakt ten stoi w rażącej niezgodzie z jednym przynajmniej z praw zachowania? — Udał, że nie zrobiła na nim wrażenia wyraźnie prowokująca forma tego pytania. Chociaż się nie odezwał, zerknął na mnie kilka razy, ukradkiem prawie, z ukosa; błysnęło mu w oczach coś jakby isierka rozbawienia.

Skręciliśmy na lewo, w mrok pierwszego korytarza zakończonego utworzonym między dwiema parami drzwi małym przedsionkiem. Tutaj — chyba tylko w celu utrudnienia sobie dalszej drogi, bo można było iść obszernym korytarzem — wcisnęliśmy się w dość wąską szczelinę, w coś w rodzaju zamaskowanego przejścia, które nas zaprowadziło do jasnego przedpokoju. Dopiero w tym miejscu zagadnięty przeze mnie mężczyzna dał po sobie poznać, jak go poruszyła wypowiedziana raczej swobodnie i bez żadnego nacisku uwaga.

— Zdaje się, że pan coś powiedział... — zagadnął niedbale.

Milczałem. Człowiek stał naprzeciw mnie w przesadnie lekceważącej moją obecność pozie. Ręce trzymał w kieszeniach spodni, wspinał się na palce, to znów stawał na piętach i z zadartymi do góry czubkami obu butów kołysał się do przodu i do tyłu.

— Prawo... — uśmiechnął się do mnie i zmrużył oko porozumiewawczo, figlarnie. — Powiedział pan „prawo”, czy tak? — Znów zrobił dłuższą przerwę i rozejrzał się wokoło siebie, jakby chciał przywołać na świadków jakichś przygodnych słuchaczy.

— No no no... — mruknął — wcale nieźle to panu wypadło. Zwłaszcza to „w rażącej niezgodzie”. — Zaśmiał się sucho i krótko. — Przysięgam — tu położył rękę na sercu — odtąd będę pana traktował ze śmiertelną powagą.

Sądząc, że celowo zwleka, by tym dotkliwiej mnie czymś urazić, zakłopotany rozwojem tej farsy, przeniósłem wzrok na Asurmara. Stał nie opodal, wsparty ręką o ścianę, zrazu z twarzą kamienną, ale już skłonny do czynnego udziału, bo układało się na niej jakieś skwapliwe przyzwolenie, może nawet cień kpiny. Jego towarzysz, trzymając się dalej tej samej roli (zaskoczonego głupotą mojego pytania), nabrał w płuca

powietrza, aby z tym większą przesadą udać głęboki namysł.

— To, co teraz panu powiem — rzekł wreszcie — panu, który tam przy Lendonie zasnął niczym osesek na łonie matki, wyda się wam wszystkim równie głupie, jak pomysł budowy tego parszywego schronu.

Otoczył mnie w pasie ręką i podprowadził pod ścianę, gdzie nie bez kłamliwej swobody i czegoś w rodzaju poufności, jak ojciec któremu się wreszcie zebrało na wysiłek uświadomienia swego dorastającego syna, ciągnął dalej równym, może cokolwiek mocniejszym głosem:

— Dopóki raz na zawsze i nieodwracalnie nie dowiemy się, czym jest *coś*: cokolwiek — z jednej strony i czym jest *nic*: brak czegokolwiek — z drugiej strony, nie będziemy mieli żadnego prawa... — o, właśnie: „prawa”! — twierdzić, że coś nie może powstać z niczego i na odwrót... Czyli że tego prawa nie będziemy mieli nigdy!

Powiedział to z powagą, tonem nie rozstrzygającym wątpliwości, czy mówi serio, czy kpi, a gdy milczałem, zmierzył mnie szybkim, surowym spojrzeniem, jakby chciał sprawdzić, czy tyle mi wystarczy. Po krótkim przeglądzie mojej twarzy musiał widać dojść do wniosku, że wypowiedź jego nie zdołała wzbogacić mojego poglądu.

— Czy nie uderzyła pana myśl — podjął znów że choć nikomu jeszcze nie udało się określić jednoznacznie, to jest w takiej formie, która by nas zadowoliła i nie wymagała żadnego uzupełnienia ani korekty, czym jest materia, jakie są jej atrybuty, to równocześnie nic nie mąci powszechnej radości wywołanej bezsporną, jak się wam zdaje, pewnością, że wszyscy doskonale wiedzą, co to jest próżnia? A ta próżnia to — żeby już najprościej oddać myśl pańskich dowcipnych kolegów — ni mniej ni więcej tylko przestrzeń, w której nie ma materii. Czy pan uchwycił już sens tej definicji: próżnia to przestrzeń uwolniona od tego czegoś, co daremnie przy pomocy swych atrybutów próbują opisać pańscy koledzy.

Dmuchał mi w twarz hałaśliwym, nerwowym chichotem, aż musiałem się cofnąć przed rozproszonymi przy jego ustach drobnymi kropelkami śliny. Kiedy wyciągnął chusteczkę, spoza najbliższych drzwi dobiegł do nas podniesiony głos:

— Raniel!

— A wie pan, czemu trudiłem się, żeby to wszystko panu powiedzieć? Dlaczego... — zawiesił głos.

— Raniel!

— No? — mruknąłem po dłuższej przerwie, aby już raz wreszcie z tym skończyć.

— Ja też tego nie wiem! — wypalił mi w samo ucho i pośpiesznie odszedł na miejsce, gdzie stał Asurmar.

W tej samej chwili drzwi naprzeciw mnie otworzyły się z trzaskiem, a na progu stanął niski mężczyzna ubrany w wojskowy mundur z dystynkcjami pułkownika. Na jego widok obaj moi towarzysze, jakby spłoszeni surowym wyrazem jego twarzy, w milczeniu przeszli przez otwarte drzwi, pułkownik zaś, zamknąwszy je za nimi, zwrócił się do mnie z wyciągniętą na powitanie ręką.

— Miło mi pana poznać, panie Porejra — zaczął z szerokim, choć bardzo krótkotrwałym uśmiechem na sinych wargach. — Na samym wstępie naszej znajomości muszę jednak pana rozczarować swym brakiem entuzjazmu dla pańskiej wizyty, która — śmiem to bez ogródek wyznać — wydaje mi się całkowicie zbędna. Moim skromnym zdaniem schron to pułapka, wstrętne cuchnąca nora, z której musimy się szybko i za wszelką cenę wygrzebać, zanim się wyczerpie zapas powietrza i żywności, pułapka — powtarzam — a nie podniecający wyobraźnię gabinet osobliwości, świątynia obfitująca w liczne tajemnice, jak się to wam uczonym w ogóle, a panu, fizykowi, w szczególności ciągle jeszcze wydaje. Ja — tu wzruszył ramionami i rozłożył ręce — jestem aż nazbyt sumienny, gdy idzie o spełnianie rozporządzeń generała Lendona, który tu pana skierował dla rozwikłania zagadki posągów, ale skoro już jestem przy głosie, powiem jeszcze coś, co się panu całkiem nie spodoba, panie Porejra. Jak się tak długo, jak my, wali głową w mur, a ten okazuje się mało czuły na takie delikatne pieszczoty, to trzeba być osłem żeby go jeszcze dłużej głaskać. Otóż, by już dłużej nie fatygować pańskiej cierpliwości, przy najbliższej okazji z całą stanowczością będę głosował za użyciem ładunku termojądrowego!

— Pański punkt widzenia nie wydaje mi się całkowicie błędny — uznałem za stosowne wtrącić.

— Błędny? — pochwycił moje ostatnie słowo. Patrzył na mnie spod długich białych rzęs szeroko rozwartymi czarnymi źrenicami, i wydało mi się, że zaraz wybuchnie, tak jak mieli tu zwyczaj wybuchać wszyscy bez wyraźnego powodu. — Niech pan im nie ufa — rzekł.

— Komu?

— Głównie tym; którzy stamtąd wrócili. Czy Asurmar opowiadał coś panu?

— Tyle co nic.

— Tym lepiej. To właśnie Raniel i Asurmar mieli pilotować dwa ostatnie krety i słyszał pan, co z tego wynikło. A teraz poradzę panu coś na pożegnanie. Niech pan nie bierze serio tych wszystkich głupstw, w które będą być może chcieli zaplątać pański młody umysł.

— Zastosuję się do tej rady.

— Sent!

Znałem już to nazwisko. Za drzwiami szurnęło odsuwane krzesło i w chwilę potem wyskoczył na korytarz niechlujnie ubrany, chudy dryblas, stając przed pułkownikiem w postawie zasadniczej. Gdy służbiście ściągał obcasy poplamionych smarami i nie zasznurowanych tenisówek, pułkownik rzucił mi ostatnie spojrzenie i zwrócił się do niego:

— Wskażesz panu Porejrze przygotowany dla niego pokój, a potem wytłumaczysz mu, gdzie ma szukać swoich posągów.

Posągi

Zaraz za progiem, gdy zapalałem światło, stawiając dopiero drugi krok, kopnąłem z rozmachem w jakiś wystający z podłogi twardy przedmiot i runąłem przed siebie jak długi. Leżąc z rozbitym łokciem zagryzłem wargi i ze złością przypomniałem sobie ostatnie, na wpół żartobliwe ostrzeżenie Senta: „Uwaga na sęk!” Spojrzałem za siebie. Jeżeli istotnie był tam sęk, to musiałem go wybić butem i zupełnie wyrwać z podłogi, bo teraz ukazała się na jego miejscu mała czarna dziura. Już miałem wstać, gdy przeniosłem wzrok w drugi kąt pokoju i dostrzegłem coś, co skłoniło mnie do pozostania na podłodze.

Pierwsze spojrzenie nie przyniosło mi żadnego większego wrażenia prócz niepokojącego wzrok niezwykle silnego kontrastu. W białej ścianie naprzeciw mnie tkwiły wyloty trzech bardzo czarnych i głębokich otworów. Przez dłuższy czas przyglądałem się im z rozproszoną mimo napięcia woli uwagą i nie mogłem uchwycić, która z dwu cech obrazu bardziej mnie zdumiewa czy ta bezdennie głęboka, wręcz nierealna czerń, czy raczej bardzo urozmaicona linia konturu, nadająca otworom określony, jednoznaczny i właśnie dzięki temu tak bardzo niesamowity kształt. Miałem przed sobą przebite daleko w głąb ściany sylwetki dwóch postaci — dziewczynki i psa. Bardzo ostra linia konturów — jako granica między czernią każdego otworu i bielą ściany — układała się w zawiłe rysunki, oddające subtelne szczegóły tych sylwetek, przywołując na myśl niezupełnie w tym wypadku trafne — podobieństwo do postaci z teatru cieni. Umieszczony najniżej trzeci otwór nie przedstawiał niczego osobliwego: miał kształt idealnego koła, również pozbawionego jakichkolwiek szczegółów w obrębie czerni.

Uniosłem się z podłogi i ruszyłem ku nim. One też drgnęły; jak na komendę wszystkie trzy przesunęły się wyraźnie w bok i nieco w dół, zachodząc częściowo na podłogę. Zmieniły przy tym nie tylko swoje położenie, ale również kształt; brzegi ich przybrały zupełnie inny zarys, lecz — i to właśnie wydało mi się najbardziej niezrozumiałe — pomimo przesunięcia i zasadniczej zmiany linii konturu nadal pozostały tym, czym były dotąd: postaciami dziewczynki i psa, tyle tylko, że widzianymi

z nieco innej strony. Jedynie koło w dalszym ciągu pozostawało kołem.

Przecisnąłem się między wąskim tapczanem i przysuniętym do niego stołem (tak że na chwilę straciłem je z oczu) i podszedłem do tego miejsca na ścianie, na którym znajdowały się na samym początku. Zbadałem je dokładnie. Ściana jak ściana: miejscami gładki, gdzie indziej brudny i chropowaty mur, strzęp zakurzonej pajęczyny, jakiś zaciek — ani śladu po otworach.

Szybko obejrzałem się poza siebie. Figury dziewczynki i psa (mogłem mieć teraz pewność, że wbrew odniesionemu wrażeniu nie są one otworami w ścianie, lecz rzucanymi na nią czarniejszymi od smoły cieniami nieobecnych przestrzennych brył) przewędrowały na nowe miejsca: drążyły teraz inną część podłogi i przeciwległą ścianę. Kontury ich też nie były te same: odpowiadały sylwetkom brył trójwymiarowych oglądanych z znów z innej, tym razem przeciwnej strony. Śledząc je dalej z pewną nieufnością, postąpiłem kilka kroków w bok, a potem poszedłem, dalej po okręgu koła. Efekt tego był taki, że poruszając się z identyczną jak moja prędkością, płynnym ruchem zatoczyły taki sam łuk, nałożyły się częściowo na siebie i znów rozeszły. Charakterystyczny był jednak fakt, że przesuwwały się wyłącznie wówczas, gdy ja zmieniałem stanowisko obserwacyjne; nawet nieznacznemu ruchowi mojej głowy odpowiadało proporcjonalne do niego ich poruszenie, przy czym, gdy ja szedłem wzdłuż jednej ściany — one wędrowały po ścianie przeciwległej. I tylko na podłodze, gdzieś mniej więcej pośrodku pokoju, gdzie wypadały łapy psa i stopy dziewczynki, cienie... a jednak nie dziury (mimo wszystko nie mogłem rozstać się z tym wrażeniem) były prawie nieruchome, trzymały się wciąż tych samych miejsc, określając zarazem okolice osi, wokół której obracała się cała ta karuzela.

Jeszcze nie śmiałem wyjść na środek pokoju, chociaż rozumiałem już, że tam właśnie tkwi klucz do rozwiązania całej tajemnicy. Czerniejący na podłodze niedaleko moich stóp otwór bezdennej studni miał niewiele więcej niż pięćdziesiąt centymetrów średnicy. Klęknąłem nad nim i zbliżyłem ręce do jego krawędzi. Dłonie nie dotarwszy jeszcze do rzekomego otworu, natrafiły na niespodziewany opór: zetknęły się z czymś, czego wcale nie było widać — objęły gładką i twardą kulę, która spoczywała na podłodze styczna do jej powierzchni. Ale nośnikiem tego spostrzeżenia był jedynie dotyk, bo zmysł wzroku informował mnie w

dalszym ciągu, że mam pod sobą wylot studni. Patrzyłem z szeroko rozwartymi oczami na to, co mi się ukazało w dole. Te części moich dłoni, które znalazły się pod kulą, przestały istnieć — znikły ostro ścięte brzegiem czarnej plamy. Kula robiła wrażenie bryły odlanej z ołowiu i przymocowanej do podłogi w punkcie swojej z nią styczności. Nie mogłem jej udźwignąć ani nawet poruszyć z miejsca.

Wstałem z klęczek i poszedłem na środek pokoju. Teraz, gdy patrzyłem z bliska i skosem z góry, nastąpił znaczny skrót perspektywiczny i przedstawiająca sylwetkę dziewczynki dziura w całości mieściła się już na podłodze. Kontur jej stóp drażył podłogę niedaleko moich butów, a ona sama — już nie ten iluzoryczny otwór w podłodze lub w ścianie, lecz sama dziewczynka — stała blisko mnie, w odległości wyciągniętej ręki. Dotknąłem jej głowy. Moje palce przesunęły się po gęstych twardych włosach i opadły niżej, na drobną twarz. Stuknąłem palcem w tę twarz; choć była twarda jak stal, nie wydała żadnego dźwięku. Potem znalazłem oczy: pod powiekami wysoko uniesionymi, śliskie i lekko wypukłe; w kąciku jednego z nich odkryłem maleńką grudkę, coś przypominającego zawieszoną tam kropelkę, chyba łzę. Usta jej były szeroko rozchylone, jakby skamieniałe w krzyku, wargi napięte i gładkie, wypolerowane tak samo jak reszta twarzy i tak samo twarde jak wszystko — jak cały posąg. Obchodząc ją dookoła zapomniałem o bliskiej, choć niewidocznej obecności psa. W pewnej chwili zawadziłem nogą o wystający mu z pyska kieł i rozerwałem spodnie od kolana aż do wylotu nogawki. Aby powetować sobie tę stratę, usiadłem mu na grzbiecie z beztroskim zamiarem dokładnego przeglądu jego obnażonych zębów. Zachowywałem się coraz bardziej lekkomyślnie, jak dziecko, zrazu onieśmielone zaczajoną w każdej nowości groźbą, ale popychane ku niej przez nieodpartą ciekawość i wreszcie uszczęśliwione posiadaniem niezwyklej zabawki. Ale też była to doprawdy bardzo dziwna sytuacja. Siedziałem jakby zawieszony w próżni, na czymś, co było doskonale przezroczyste, a pode mną ziała przepaść o konturze widzianego z góry okazałego wilczura.

Wreszcie opuściłem grzbiet psa, odszedłem na bok i usiadłem na podłodze w tym samym miejscu, z którego ujrzałem posągi po raz pierwszy. Poprzez mechaniczne skojarzenie przypomniał mi się mój niedawny upadek i jego bezpośrednia przyczyna — wybity z podłogi sęk.

Od razu uznałem, że coś się tu nie zgadza, bo choć pomalowana na jasny orzech — cała podłoga w pokoju była grubą, stalową płytą i zarazem fragmentem pancernego dna schronu. (Dowiedziałem się o tym od Senta, gdy mnie prowadził do przeznaczonego dla mnie pokoju.) Wyciągnąłem przed siebie nogi i ze skrzyżowanym tułowiem wsparłem się na łokciu tuż ponad miejscem, z którego wypadł rzekomy sęk. Twarz zbliżyłem do niego na taką odległość, że nie mogłem się pomylić. Dziurka w podłodze miała zabawny kształt. Nakryłem ją dłonią i zwarłem palce — ponad krawędzią czarnego otworu siedziała małeńka mysz. Rzecz prosta — tak jak w poprzednich wypadkach — żadnego otworu tu nie było; był tylko rzucony na podłogę cień przejrzystej bryłki. Nie mogłem się nadziwić, z jak wielką dokładnością oddane zostały wszystkie najdrobniejsze szczegóły tej pociesznej miniatutki. Cieniutkie druciki wąsów, wytrzeszczone jak perełki oczka, długi ogonek, sierść wraz z każdym jej włoskiem, rozchylony pyszczek i wreszcie małeńkie nóżki z drobnymi igiełkami pazurków. Wziąłem ją do ręki i spróbowałem podnieść. Musiała jednak być przyspawana do podłogi, bo ani drgnęła.

Znów przyjrzałem się posągom dziewczynki i psa, a potem przeniósłem wzrok na kulę i mysz. Dotąd zbyt pochłonięty analizą optyczno-geometrycznej strony całego zjawiska — pomijałem w swej obserwacji wcale niebłahy fakt, który dopiero teraz zwrócił moją uwagę. Postacie nie były zestawione przypadkowo: wszystkie cztery posągi, odlane w określonych i dość dynamicznych fazach zatrzymanego ruchu, współdziałały ze sobą w odtwarzaniu jakiejś sceny. Ubrana w krótką sukienkę dziewczynka, stojąc na lekko zgiętych kolanach, była silnie pochylona do przodu, przy czym poza jej tak znacznie odbiegała od pionu, że przeczyło to warunkom zachowania trwałej równowagi. Prawą rękę wyciągała w stronę... piłki (wydawało mi się trafne takie właśnie uściślenie nazwy kuli), lewą — sięgała poza siebie, jakby chciała nią pochwycić dopiero co wypuszczony z dłoni koniec smyczy. Smycz zwisała przy szyi psa. Ten zaś wyrывał się do tyłu czy może wprost przeciwnie: hamował swój bieg. Poza psa wydawała mi się bardzo wieloznaczna: napięte mięśnie, rozstawione szeroko przednie łapy i cofnięte w głębokim przysiadzie tułów — wszystko razem mogło wskazywać na to, że szykował się do skoku za myszką, która uciekała przed nim.

Jednak kto i w jakim celu zadał sobie trud, by tak wiernie skopiowaną naturę bez żadnej głębszej myśli zamknąć w kształt tych ciężkich brył? Ktokolwiek nim był — musiał być pozbawiony wyobraźni i zdolności do oryginalnego, subiektywnego interpretowania napływających ze świata wrażeń. Bo chociaż fizyczna strona tego przedstawienia była aż nazbyt zaskakująca, to strona artystyczna — banalnie wtórna, jak wszelka próba reprodukcji, żeby nie powiedzieć: żadna.

Z narastającym uczuciem senności wypływającej z naturalnego — tym razem — zmęczenia (przed spotkaniem Asurmara błąkałem się po korytarzach i chyba już od dwudziestu godzin byłem w nieustannym ruchu) jeszcze raz rozejrzałem się po pokoju. W jednym z kątów, przy szafce z aparatem telefonicznym, leżało wywrócone krzesło. Tuż przy nim w kałuży jakiegoś płynu walały się na podłodze szczątki rozbitej szklanki. Na przysuniętym do tapczanu stole, obok kilku książek, przyborów do pisania i bezładnie rozrzuconych zapisanych kartek, spostrzegłem na spodeczku sporą kostkę równo odkrojonego żółtego sera, a na nakrytej złożonym kocem poduszce pod ścianą — butelkę z piwem, świeżo rozpieczętowaną paczkę papierosów i zapałki.

Usiadłem na brzegu tapczanu, zjadłem cały ser, wypilem piwo i sięgnąłem po papierosa. Gdy go zapaliłem, przyszło mi do głowy, że tak czy owak, czy to w imieniu generała Lendona, czy we własnym — a może w gruncie rzeczy w imieniu Mechanizmu — mogłem się jednak zająć przeanalizowaniem sformułowanej już, ale mimo to wcale nie łatwiejszej do rozwiązania zagadki. Przede wszystkim jak to było możliwe, żeby doskonale przezroczysta bryła rzucała na znajdujące się poza nią przedmioty w ogóle jakikolwiek, a tym bardziej aż tak głęboki cień? Na dodatek przy tworzeniu się tego cienia wcale nie brało udziału światło pochodzące z umieszczonej pod sufitem jarzeniówki. Czy rządziły tym zjawiskiem jakieś inne, nieznanne mi optyczne prawa? Przez jakiś czas nic sensownego nie przychodziło mi do głowy poza kołującą jak natrętna mucha upartą myślą, że cienie — niezależnie od tego, gdzie stałem — znajdowały się zawsze dokładnie poza przejrzystymi posągami, jak gdyby źródło światła zlokalizowane było w moich oczach. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, które znajdowało się na przeciwległej ścianie pokoju, zniechęcony już, pomyślałem, że przede wszystkim powinienem

pójść do łazienki, wykąpać się i ogolić. Niedopałek parzył mi palce. Rzuciłem go do popielniczki, wyjąłem następnego papierosa i — obiecując sobie, że zaraz wstanę — wyciągnąłem się na tapczanie.

Senność pokonywała mnie; może właśnie dzięki temu, że nie byłem już zdolny skupić się nad czymkolwiek, pracująca dalej bez udziału mojej woli podświadomość sama podsunęła mi gotowe rozwiązanie: posągi zamiast przepuszczać — pochłaniały cały strumień padającego na nie ze wszystkich stron światła, toteż nie były doskonale przejrzyste, lecz — doskonale czarne. Żaden promień światła nie opuszczał ich powierzchni to było pewne. A jak miałem wytłumaczyć fakt, że czerń trzymała się wciąż tła, wciąż była tam — na ścianach, a nie tu — na powierzchni każdej z brył? To też proste: oświetlony brzeg konturu należał do tła i siłą rzeczy pozostawał w jego odległości, zaś sama czerń w ogóle nie była i nie mogła być gdziekolwiek zlokalizowana.

Wypuściłem kilka kłębow dymu i spod przymrużonych powiek przyglądałem się im. Oczy zamknęły mi się same. Tylko na chwilę... Za ścianą z nie dokręconego kranu kapła woda.

Pułkownik stał po drugiej stronie stołu.

— Najpierw, niech pan zgasi papierosa, panie Porejra — rzekł.

— Mogę zgasić, czemu nie — odparłem jakimś nie swoim głosem.

— A po wtóre nie lubię oszustów. Pan nie jest fizykiem!

— Jak to nie? — oburzyłem się. — Niechże mi to pan udowodni. Słucham!

— Uczynię to w bardzo prosty sposób. Oto treść łatwego zadania, które rozklei panu mózg.

Wziął ze stołu czystą kartkę papieru, podłożył pod nią książkę i podał mi ją razem z piórem.

— No wie pan! — udałem gniew. — Czy to ma być egzamin? Mógłbym pana wyrzucić za drzwi, ale niech tam.

— Dwa ciała zostały wyrzucone z powierzchni globu pionowo w górę... — dyktował ze wzrokiem wbitym w strop — w próżnię, w polu grawitacyjnym o natężeniu g , z prędkością początkową w_0 , w odstępie czasu t . Oblicz... — zawiesił głos.

— Oblicz... — powtórzyłem za nim. Pomyślałem przy tym, że mógłbym go łatwo udobruchać, gdybym tylko wstał i zsalutował, ale

jakoś nie chciało mi się ruszyć z miejsca.

— ...oblicz, gdzie i kiedy spotkają się te ciała.

— W porządku — powiedziałem. — Rozwiążę to zadanie, ale niech pan stąd idzie i nie sterczy mi nad głową.

Wyszedł. Przewróciłem się na drugi bok. Kartka z tekstem zadania wypadła mi z ręki; miałem przed sobą mętny obraz: „Dwa ciała w próżni”.

Znowu tam byłem: w klatkach wind, w tłoku rozgrzanych rąk, w labiryncie korytarzy. Bez przerwy goniłem kogoś, a może tamten ktoś mnie ścigał, serce latało mi w próżnej piersi, gdy przemykaliśmy pustym korytarzem, z łoskotem ciężkich butów, i nagle znieruchomiałem na samym dnie nocy — nie wiem, co mnie tu zatrzymało w biegu. Lecz: „gdzie i kiedy?” Stałem zdyszany pod ścianą; osaczał mnie wszechobecny szmer. To krople wody, kapiąc skądś spod stropu — to tu, to tam — bębniły po podłodze, aż zrosił mnie deszcz rzęsisty, gwałtowna ulewa. Najbliższe drzwi otworzyły się na oścież. Ktoś wychodzący na zewnątrz zawahał się i odszedł gdzieś w bok, lecz kiedy wszedłem do środka, ten ktoś też przekroczył próg i zatrzymał się tuż za nim. Ręce nasze równocześnie opadły na klamkę i spotkały się na niej po tej samej stronie drzwi, a gdy moja druga dłoń badała tamtą twarz, obca ręka na klamce uściśnęła moją. To była Jeza Tena — kobieta z wanny. Wręczyłem jej pamiętnik z takim właśnie nazwiskiem na okładce.

— Co za miła niespodzianka — ucieszyła się. — To jest najdroższa rzecz, jaką utraciłam. Bardzo panu dziękuję.

Staliśmy naprzeciw siebie, oddech jej osuszał mi twarz, a w uszach dzwoniła mi złowroga cisza.

— Tak tu ciemno... — szepnąłem wreszcie.

— No cóż... sam pan wie! Ale wejdźmy do środka.

— Może pani wybierała się gdzieś, może w czymś przeszkodziłem, może...

— Ależ nie! Przecież pada taki deszcz... a poza tym mam dzisiaj gości.

— Skoro tak, to nie mogę się im pokazać, bo rozdarłem sobie nogawkę spodni.

Cisza, a w niej stukot oddalających się kroków.

— O, to nic nie szkodzi! Zaraz sobie z tym poradzimy — usłyszałem

z daleka jej głos.

Podeszła do mnie, wzięła mnie za rękę i poprowadziła w głąb mroku. Usiedliśmy na krzesłach blisko siebie.

— Czy goście pani nie będą się niecierpliwili?

Zbliżyła mi wargi do ucha:

— Zamknęłam ich na klucz, niech sobie tam siedzą. A co się tyczy pańskiego kłopotu z nogawką, to proszę się nie martwić: od czego jest igła i nitka?

Pochyliła się. Poczułem jej palce na nodze. Podniosła ją do góry i położyła sobie na kolanach.

— Właściwie to... — powiedziała z tym charakterystycznym stłumieniem głosu, który kazał mi się domyślić, że rwie w zębach nitkę — gdyby wziąć pod uwagę różnicę wieku między nami, to mogłabym być pańską matką.

Na gołej łydce czułem ciepło promieniujące z jej obleczonych nylonami ud.

— Czy to ten sam pies pana napadł — odezwała się znów — który już od trzech dni siedzi za progiem?

— Tak, to właśnie on. A teraz mogę mieć tylko nadzieję, że nie był wściekły.

W myślach walczyłem z falami napływającego skądś strachu. Wiedziałem, że za drzwiami stoi zwarty tłum: miażdżył je napór kilkunastu ludzi, którzy z zaciśniętymi zębami przedzierali się ku mnie. Drzwi nie wytrzymały ciosów: wygięły się w naszą stronę jak powierzchnia pęczniejącego balonu i pękły z głośnym łoskotem.

Zerwałem się na równe nogi.

W lustrze błysnął obraz mojej wykrzywionej twarzy. Zamarłem wpatrując się w postacie posągów, które nie były już tymi samymi posągami. Trudno mi było uwierzyć w dokonane w nich zmiany. Spod tapczanu wydobywał się przeciągły, rozbity na cały szereg pisków, trzasków, szmerów i ostrych zgrzytów odgłos łamanego drzewa. Rzuciłem się na kolana i zajrzałem tam. Jeszcze przez moment widziałem wygiętą w silnie napięty łuk deskę, która stanowiła jeden bok skrzyni na pościel. Chociaż całkowicie nieruchoma, kula wywierała potężny nacisk na opierającą się deskę, mniej więcej w połowie jej długości. Na moich

oczach deska pękła z suchym trzaskiem: Kula nadal spoczywała w miejscu. Podbiegłem do telefonu.

— Proszę mnie połączyć z pułkownikiem! — rzuciłem do słuchawki.

— Z jakim pułkownikiem? — zapytał matowy kobiecy głos.

— Z jakimkolwiek!

— Czy pułkownik Goned może być? Spokojny ton tego pytania rozdrażnił mnie.

— Tu chodzi o coś ważnego. Niech się pani pośpieszy! — syknąłem do mikrofonu z hamowaną wściekłością.

Cisza. Patrzyłem na posągi. Były tak samo nieruchome jak przedtem. (Nie wiem, dlaczego musiałem sobie w myślach ten fakt wyraźnie podkreślić.) Ale w czasie mojego snu przesunęły się cokolwiek na inne miejsca i zastygły w nowych, wyrażających już inną fazę tego samego ruchu pozach, w ciągłym — choć nieuchwytnym w czasie — dążeniu do jego kontynuacji.

— Tu pułkownik Goned. Słucham.

— One się ruszają!

— Co za one? Kto mówi?

— Posągi! Mówi Porejra.

Znów cisza.

— No to co? Niech się ruszają, skoro im się tak podoba. Co mnie to obchodzi.

— Jak? Ale... ale posągi! Czy zrozumiał pan?

— Spokojnie, panie Porejra. Krzyczy pan jak smarkacz, który dopiero pierwszy raz przejrzał na oczy. Co pan właściwie ode mnie chce? To pańskie zmartwienie, a nie moje! Do widzenia!

Byłem na siebie zły, gdyż mogłem przewidzieć taką jego reakcję.

— Czy jest pan tego pewny — spytałem, gdyż nie odłożył jeszcze słuchawki — czyje to jest zmartwienie? A co się znajduje w sąsiednim pokoju, przy którym stoi tapczan?

— Pan tam siedzi?

— Z posągami. Przez cały czas.

— Chwileczkę... zajrzę do planu.

Umilkł. Patrzyłem w podłogę. Dwa punkty: miejsce, gdzie przedtem spoczywała kula, i drugie, miejsce jej obecnego położenia — łączyła prosta, wyżłobiona w farbie i odślanająca stal podłogi, jasna rysa.

Wyraźniejsze, ale już mniej regularne rysy widniały za stopami dziewczynki oraz wokoło pazurów psa i poza nimi. Prawe kolano dziewczynki, wygięty bucik i całe prawe przedramię — stykały się z podłogą przysłaniając zbliżoną do jej powierzchni ukrytą wśród zwichrzonych włosów twarz, natomiast wyrzucona skosem w bok ponad skręconym tułowiem druga jej ręka z rozczapierzonymi palcami oraz wyprostowana lewa noga — zawieszona były w powietrzu. Cała postać dziewczynki przedstawiała teraz jedną z ostatnich faz upadku, jaki mógł być spowodowany potknięciem się w biegu. Aktualna poza psa była jeszcze bardziej dynamiczna: stał na szeroko rozstawionych tylnych łapach, których pazury cięły pozwijaną w cienkie wióry farbę; z tak silnie skręconym tułowiem, jakby chciał złapać się za ogon. Jego przednie łapy, oderwane od podłogi i wraz z częścią korpusu przekręcone w bok, mierzyły w przeciwnym niż przedtem kierunku — w stronę lustra, tak samo jak wyciągnięta szyja, rozwarto pysk i wytrzeszczone jakimś wzruszającym przerażeniem oczy.

— Tam jest podstacja wysokiego napięcia — usłyszałem głos Goned. — I co z tego?

— A więc za jakiś czas, może za trzy godziny lub później, kula rozwali ścianę i wpadnie tam do środka.

— Co takiego? Z czego to pan wnioskuje?

— Już zmiażdżyła tapczan, który stał na jej drodze, i wszystko wskazuje na to, że bardzo powoli, ale nieustannie zbliża się właśnie do tej ściany. Może pan przyjść i sam zobaczyć. Ona jest niesłychanie ciężka. Tego jeszcze panu nie mówiłem, bo sądziłem, że zna pan przynajmniej niektóre fakty. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie wynika z olbrzymiej bezwładności tej kuli. Bo najbardziej niewiarygodna jest masa posągów. Tej samej wielkości bryły, odlane z ołowiu lub nawet z platyny, byłyby piórkami w porównaniu z ich masą, której na razie nawet nie mam odwagi oszacować. Wiem tylko jedno: kula będzie miażdżyła wszystko na swojej drodze i być może nie znajdzie pan sposobu, żeby ją zatrzymać.

— Trzeba było od razu tak mówić. Zaraz tam będę...

Goned mówił dalej, ale z raptownego przyciszenia jego głosu poznałem, że odsunął od ust mikrofon i zwrócił się do kogoś innego.

— Raniel! Weźmie pan sobie do pomocy Senta i pójdziecie ze mną

do pokoju cieni. Porejra twierdzi, że transformatorom grozi niebezpieczeństwo rozbicia, a na przerwę w dopływie prądu nie możemy sobie pozwolić.

Po chwili jego słuchawka opadła na widełki.

Tlen i broń

Na korytarzu wiodącym do mojego pokoju natknąłem się na Asurmara. Stał w grupie kilku mężczyzn i kobiet pod drzwiami z napisem STOŁÓWKA, zajęty rozmową z młodym, może dwudziestoletnim mężczyzną, któremu pokazał mnie ręką, kiedy zbliżałem się do nich.

— Nie idzie pan na kolację? — spytał wychodząc mi na spotkanie. Zaskoczył mnie trochę tym prostym pytaniem, bo myślałem błędnie jeszcze przy posągach, a po jego słowach uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem głodny.

— Chętnie zjadłbym coś. Może jednak przedtem doprowadzę się nieco do porządku. — Wskazałem na swój kilkudniowy zarost. — Ostatnio nie znalazłem czasu...

— Głupstwo! — przerwał mi. — Pewnie nie ma pan odcinków. Goned nie dał panu jeszcze karty zaprowiantowania?

— Nie.

— Zwróci się pan do niego przy pierwszej okazji. A tym razem może zechce pan skorzystać z mojego zaproszenia. Mam dwa odcinki. Veis podarował mi swoje w przeddzień startu.

Podczas tej rozmowy towarzysz Asurmara stał tuż przy nas i przypatrywał mi się wyłupiastymi, trochę jakby rozanielonymi oczami, w których jednak raz po raz błyskało wyraźne zniecierpliwienie.

— Pan Unevoris — tu Asurmar wskazał głową na młodego człowieka — dopytuje się o pana już od paru godzin. Chciałby, zdaje się, zamienić z panem kilka słów na tematy... no, powiedzmy... zajmujące was obu.

— To prawda, że tylko prawdziwy fizyk, jak pan, zdoła pojąć, o co mi chodzi — odezwał się nieznanomy, zdaje się tylko po to, aby mnie do siebie przychylnie nastawić.

Widząc, że wyciągnął rękę, uściskałem ją.

— Ale porozmawiamy innym razem — zastrzegłem się.

— Oczywiście — wtrącił Asurmar. — Zjemy spokojnie kolację. Po co się zaraz denerwować.

— Nie chodzi tu o towarzyską konwersację ani o przyjemne

spędzenie czasu — powiedział z naciskiem Unevoris. Jeszcze silił się na uśmiech.

Asurmar lekceważąco poklepał go po ramieniu, odwrócił się do niego plecami, po czym popchnął mnie lekko w stronę drzwi stołówki, równocześnie otwierając je przede mną.

— Pan Porejra zajął pokój E-91, ten sam, który należał do Veisa — rzucił za siebie do speszonego jego zachowaniem Unevorisa.

Odetchnąłem z ulgą, bo rozmowy z kimś, kto biorąc mnie za zapoznanego fizyka, sam równocześnie nosił w sobie pewność, że zdoła się ze mną porozumieć, musiałem się w tej chwili obawiać najbardziej ze wszystkiego. Zanim wszedłem do środka, ujrzałem jeszcze jego poważniejszą raptem twarz; trochę dalej, w głębi korytarza, mignęła mi grupka mężczyzn, w których rozpoznałem Raniela, Gonedę i Senta. Szybkim krokiem zmierzali do pokoju cieni.

— Kasza — powiedział Asurmar. — Zdaje się, że z sosem, a więc coś nowego.

Stanęliśmy w kilkuosobowej kolejce do okienka w ścianie oddzielającej kuchnię od jadalni. W niewielkiej kwadratowej salce przy ciasno ustawionych przy sobie stolikach siedziało kilkanaście osób. Gdy zabrałem swoją porcję i przeszedłem z nią do stolika, gdzie Asurmar robił dla nas miejsce wśród nieuprzątniętych brudnych talerzy, spostrzegłem, że większość obecnych śledzi mnie z nieukrywanym zainteresowaniem. Utkwiłem wzrok w szarej papce pokrywającej mój talerz i zabrałem się do jedzenia.

— Sam pan widzi — zwrócił się do mnie Asurmar do czego doprowadziła izolacja międzysegmentowa. Brak szerszych kontaktów, donioślejszych zdarzeń, brak podnieć duchowych i intelektualnych, przymusowa beczynność — wszystko to razem sprawia, że ludzie — kiedyś mieszkańcy metropolii — tutaj nabywają już cech typowych dla mentalności małomiasteczkowej. Ale też nie ma się czemu dziwić. Psują nam krew niedomagania organizacyjne. Chociażby taka błaha zdawałoby się sprawa, jak pozbywanie się odpadków. Nie mamy ich tu gdzie gromadzić, a generał Lendon, jakby szczególnie zawzięty na nasz segment, odmawia wydania zezwolenia na otwarcie grodzi.

Spoglądałem na niego sponad dymiącego talerza. Mówił dalej, wciąż o sprawach najzupełniej mi obojętnych. Był taki zwyczajny: chłodny i

rzeczowy. I chociaż z wyglądu niczym się nie różnił od postaci, która towarzyszyła mi w świetle księżyca, przecież sposobem bycia daleko od niej odbiegał.

Przy sąsiednim stoliku toczyła się ożywiona rozmowa, której sensu przez jakiś czas nie mogłem uchwycić. Wreszcie okazało się ku mojemu zdziwieniu, że dotyczyła braku lepszych gatunków mydła. Najbardziej zapalona i zirytowana dyskutantka oświadczyła swoim rozmówcom, że tego, które dostarcza im magazynier z działu Goned, nie tknie w obawie przed zniszczeniem cery. Po chwili jeden z jej towarzyszy opowiedział anegdotkę o wspomnianym magazynierze. Opowiadanie zakończył wybuch hałaśliwej wesołości; ubawione też zostały osoby przy sąsiednich stolikach: widać podsłuchiowano się tu wzajemnie.

Żułem spory kęs mięsa, wygrzebany z rozgotowanej kaszy, nie podążając już prawie za wywodami Asurmara, bo myśli moje ciążyły ku szerokiemu niebu ponad konarami zwęglonych drzew. Poza moimi plecami rozległo się uderzenie pięścią w stół. Obejrzałem się. Nad zalanym wodą stolikiem stał jakiś otyły mężczyzna i wywijał trzymaną w rękę butelką.

— Skandal! — wykrzyknął. — Gdzie jest obsługa? — Zdawało się, że nikt nie zwrócił na niego uwagi poza mną i kobietą w białym płaszczu, która ukazała się w drzwiach kuchni. Grubas kopnął stojące mu na drodze krzesło, podszedł do kobiety i podsunął jej szyjkę butelki pod sam nos.

— Co to jest? — spytał ostrym tonem. Odpowiedź utonęła w gwarze rozmów.

— Żyjemy tutaj wśród tych samych twarzy — podjął znów zniżonym głosem Asurmar, jakby specjalnie zależało mu na tym, by słowa jego trafiały wyłącznie do moich uszu — toteż każdy nowy przybysz wywołuje niejaki poruszenie. Może jest w tym pragnienie wyróżnienia się wśród znajomych, przyznaję, dość chorobliwe ostatnio i tyle małostkowe, co daremne, albo coś w rodzaju chęci popisania się przed obcym... czy ja wiem. Proszę popatrzeć na tamtą dziewczynę, która siedzi samotnie pod ścianą. Odizolowała się od nas; swój bunt przeciwko czemuś okazuje w ten sposób, że co dzień zawartością pierwszej łyżki zupy ciska w sufit. Potem stroi różne miny, nie zważając przy tym na nikogo. Upodobała sobie zwłaszcza długie, nieruchome spojrzenia,

którymi jednak nie zaszczyca nikogo z nas, tylko jakieś punkty na ścianach. Ale dzisiaj przyjęte generalnie zasady nie przeszkodziły jej zerknąć bodaj już z tuzin razy ku panu. Owszem, nie chciałyby zdradzić siebie w odprawianym rytuale, ale też nie darowałyby sobie, gdyby pan jej — w jej wysiłku — nie docenił lub, co gorsze, nie zauważył. Zapyta pan o lęk? Zgoda, drzemie on w nas na jawie i we śnie, ale kładę tu akcent właśnie na słowie „drzemie”. Bo jaką by dziś osiągnął wartość, gdyby się ciągle rozwijał? W gruncie rzeczy trwamy bez przerwy w czymś, co przypomina zaawansowaną już postać otępienia. Skłania się ono w stronę stabilizacji. Poza tym obejmuje nas i przytłacza dokuczliwa nuda.

— Nuda... — powtórzyłem za nim. — Ona głównie was trawi? Więc nie ciekawość, nie zdumienie i strach zmuszający do zespolenia sił, do szukania wyjścia z potrzasku — lecz mydlane anegdotki, nadąsane minki i nuda?

— Sza! — jęknął. — Pst...

Czułem na wierzchu dłoni jego paznokcie, którymi zdrapywał mi skórę, lecz już nie dbałem o nic.

— Jak to? — podniosłem głos. — Czemu mam zamknąć oczy na to, co się tutaj dzieje? Czy tam, na powierzchni ziemi, gdziekolwiek dane jest istnienie, pobyt przemijający — życie, zawsze w czymś zagrożone, napotykaliliśmy na większe niż tu fenomeny? Mamy więc zasnąć wobec niej — nieprzeniknionej dotąd *siły*, która być może szuka z nami kontaktu i w swych próbach popełnia kolejne błędy? Nie ma więc zalanych magmą kabin, trwających w powolnym ruchu posągów ani pytań, czym one są i skąd się wzięły?

Bodajbym się z tym nie wyrywał. Nie mówiłem do samego Asurmara. Słowa moje padały w ciszy, bo już przy pierwszym zamarł szmer rozmów, a teraz wszystkie pary oczu skierowane były na mnie. Asurmar chrząknął kilka razy, wstał, chciał coś wykrztusić, lecz nieporadnie, w pogłębionej ciszy, jąkał się błędząc wzrokiem dookoła siebie, przestawił talerz, potrącił go i niby to niechcący zrzucił na podłogę, wreszcie zatrzymał wzrok na kucharce. Niespodziewanie roześmiał się, ale tak jakoś nieszczерze i nerwowo.

— Czyż jest w nich coś bardziej osobliwego rzekł — niż w fakcie, że butelka z etykietką wody sodowej prócz czystej wody nie zawiera ani odrobiny gazu?

Gdzieś w drugim końcu salki odezwał się krótki, pojedynczy chichot. Większość twarzy miała gniewny wyraz.

— A kto jest za to odpowiedzialny? — ryknął grubas. Przez cały czas trzymał kucharkę za pasek.

— Ukarać ją! — podchwycił ktoś.

Nie dowierzałem własnym oczom. Asurmar podbiegł do grubego mężczyzny, wyrwał mu z ręki butelkę i po krótkiej szamotaninie wcisnął przemocą jej szyjkę za kołnierz kobiety. Wśród gromkich pohukiwań i oklasków, jednoznacznie wyrażających aprobatę obecnych, trzymał — razem z grubasem — wyrywającą się kucharkę za ręce dopóty, aż opróżniona butelka upadła z brzękiem na podłogę i potoczyła się pod mój stolik.

Zmagały się we mnie sprzeczne uczucia: to chęć poderwania się z miejsca i położenia kresu temu żenującemu widowisku, to zmieszanie wywołane świtającym domysłem, że naruszyłem przed chwilą nietykalne tabu, a Asurmar próbował zatuszować popełniony przeze mnie błąd, jakąś niewybaczalną gafę, nie cofając się przed najbardziej drastycznymi środkami, to myśl o niedorzeczności takiego przypuszczenia i znów niesmak i wzrastające oszołomienie. Wstałem, może miałem zamiar po prostu wyjść stąd, bo nie widziałem tutaj dla siebie żadnej roli, lecz gdy mijałem przemoczoną kucharkę, ta — z jakimś napięciem na twarzy — wydeła wargi w moją stronę, najwidoczniej z zamiarem naplucia mi w oczy, jednak chyba zabrakło jej śliny, wobec czego wymierzyła mi piekący policzek.

— Uczony sadysta! — syknęła. — Tfu... karawaniarz!

Były to bardzo głupie w tych okolicznościach słowa, ale liczył się sam ton, w którym nietrudno było doszukać się pogardy i kpiny.

— Ma pani słuszny żal, czemu jednak akurat do mnie? — spytałem.

Widząc, że w milczeniu zmierza do następnego ciosu, bezmyślnie — wszystko odbywało się w coraz większym tempie — odepchnąłem ją od siebie, może zbyt silnie, bo nastąpiła nogą na leżącą butelkę, zachwiała się i upadła plecami na stolik, wywracając go razem ze stosem brudnych talerzy, które z łoskotem rozbiły się i rozsypały po całej podłodze. Miałem wszystkich przeciwko sobie; nie pojmowałem już, jak mogło do tego dojść.

— Jak śmiałeś pobić kobietę! — warknął jakiś głos. Spojrzałem w

stronę, skąd dochodził. Rosły mężczyzna z włosami krótko przystrzyżonymi jak rekrut torował sobie drogę wśród krzesel.

— Nie jestem workiem treningowym — odparłem.

— Zaraz nim będziesz!

— Pan też otrzyma swoją porcję w razie potrzeby — odciąłem się.
— Czy nie możecie bawić się we własnym gronie?

Bezsens tej awantury ogłupił mnie już do reszty. Sam nie wiedziałem, co plotę. Poczułem na plecach ręce Asurmara, który przypadł do mnie i objąwszy mnie w pasie, pociągnął ku drzwiom.

— Błagam o zachowanie spokoju — szepnął mi gorączkowo do ucha. — Czemu rozrywa pan z takim trudem zaleczone rany? Chce pan zaczynać wszystko od początku? W jakim celu? Niechże pan wyjdzie stąd, szybko, już, już... — mamrotał. Był czerwony na twarzy jak burak. Wypchnął mnie za drzwi i trzasnął nimi, aż zadrżała ściana.

Ruszyłem przed siebie w pusty korytarz, bez żadnej myśli. Za zakrętem dogonił mnie przeciągły gwizd i okrzyk spoza ściany stołówki: — Grabarz! — a potem znów gwizd i śmiechy. Wzruszyłem ramionami. Nie miałem zamiaru przejmować się tym incydentem, zwłaszcza że nie był jedynym, którego nie potrafiłem zrozumieć. Wąski i niski korytarz zaprowadził mnie pod drzwi oznaczone numerem E-91. Tu był mój pokój. Wszedłem do środka i zamknąłem się na klucz; chciałem mieć wreszcie trochę spokoju.

Za pierwszym razem, gdy przechodziłem tędy z Sentem, któremu gdzieś się spieszyło, nawet nie zdążyłem zajrzeć do środka, ponieważ niezwłocznie zostałem zaprowadzony do pomieszczenia z posągami. Mały prostokątny pokoik robił wrażenie zamieszkałego przez człowieka, który wyszedł stąd tylko na chwilę: nie został sprzątnięty przed moim przybyciem; jego poprzedni lokator (wiedziałem już, że był nim jeden z kolejnych pilotów, Veis) pozostawił tu swoje rzeczy razem z całym bałaganem. Z uczuciem ulgi wywołanej nadzieją, że nie będę się już dłużej tułać, wsparłem się o brzeg stołu i popatrzyłem krytycznie na otaczające mnie przedmioty. Pod dłuższą ścianą, obok sąsiadujących z rogiem pokoju wejściowych drzwi, stał wąski, jednoosobowy tapczanik z wyłożoną na wierzch zmiętą pościelą, zakrytą częściowo przez narzucony na nią kolorowy koc; nieco powyżej niego przebiegało kilka półek z rozłożonymi na nich wśród paru książek różnymi drobiazgami, a

ponad nimi, przysłaniając nie domknięte drzwiczki jakiejś przepelnionej skrytki, w galimatiasie rozpiętych sznurków wisiał między ręcznikami i koszulą garnitur Veisa — wszystko razem z rzędem wysuniętych ze ściany szuflad i złożonym połowym łóżkiem, które jakimś cudem trzymało się pod sufitem na szczycie tej piramidy, stłoczone było na powierzchni jednej ściany. Przy stole stało jedyne krzesło, wciśnięte w stos walających się po podłodze zmiętych papierów poprządkanych ścinkami masy plastycznej i zwitkami gumy; na szczęście brakowało tam resztek jedzenia, dzięki czemu powietrze nie było zepsute. Jednakże panował tu taki ścisk, że dosunięty do przeciwległej ściany wąski stół nieomal stykał się z krawędzią tapczanu. Nad stołem ciemniał w murze, rozmiarami podobny do okna, wielki okrągły otwór. Zajmował większą część tej ściany, lecz nie było przy nim żadnej futryny ani uchwytów do otwierania; pokrywająca go jednolita szyba stanowiła przedłużenie płaszczyzny o takiej samej jak ona gładkości. Poza tym niby-oknem panował nieprzenikniony mrok. W przyległej do wyjścia na korytarz ścianie znajdowały się drugie drzwi. Otworzyłem je; ujrzałem małą kabinę, z sufitu której sterczało sitko natrysku; nawet tutaj, na metrze kwadratowym wyłożonym kafelkami z białej glazury, stał szereg zakurzonych, pustych butelek i jakieś rupiecie o nieznanym mi przeznaczeniu.

Mydło znalazłem w jednej z szuflad; uznałem przy tym za rzecz oczywistą, że przydzielono mi ten pokój razem z jego zawartością i że mogłem wszystkim rozporządzać według własnych potrzeb. Rzeczami Veisa nie miał się kto zająć (o czym napomknął mi Sent podczas krótkiej rozmowy w korytarzu), on sam zaś przepadł bez wieści gdzieś w głębi przylegającej do schronu konstrukcji w chwili wprowadzenia jego pojazdu.

Usunąwszy śmieci spod natrysku, rozebrałem się do naga i wszedłem pod bystry strumień ciepłej wody. Byłem już dobrze namydłony, gdy poprzez szum ściekającej wody usłyszałem pukanie do drzwi. Postanowiłem nie reagować na nie. Umyłem się i wytarłem jednym z ręczników. Potem założyłem koszulę i garnitur Veisa. Marynarka pasowała by na mnie jak ulał, gdyby nie ucisk pod pachami. Za to spodnie skrojone były jakby na moją miarę. Stare, rozdarte wzdłuż prawie całej nogawki, rzuciłem pod stół. Musiałem w nich budzić

sensację na korytarzach i w stołówce. Może to właśnie było głównym powodem zbiorowej niechęci do mnie — spróbowałem się zastanowić. Ludzi, jak spostrzegłem, bardziej pochłaniała troska o swój zewnętrzny wygląd i o przestrzeganie dziwacznych reguł, obwarowujących zakazami najistotniejsze tematy, niż zagadka życia w niezwykłym świecie i obawa przed realnymi niebezpieczeństwami. Ale jeżeli tego wymagały warunki podjętej już gry, powinienem zadbać o to, aby niczym się nie wyróżniać, przynajmniej zewnętrznie. Kilkudniowy zarost na brodzie i policzkach też niepotrzebnie zwracał na mnie uwagę. Należało go wreszcie usunąć. Maszynkę do golenia z żyłką, pędzel i krem znalazłem w pudełku na półce. Nigdzie natomiast nie mogłem doszukać się lusterka, a bez niego nie umiałbym się ogolić.

W czasie dalszych poszukiwań wpadł mi w ręce zegarek Veisa. Strzałka centralnego sekundnika obracała się. Zegarek miał, zdaje się, taką konstrukcję, która nie wymagała codziennego nakręcania. Wskazywał godzinę dziesiątą dwadzieścia pięć. Na tarczy pod osią wskazówek widniało prostokątne okienko z datownikiem. Odczytałem cyfrę arabską „4” i rzymską „III”. Czwarty — pomyślałem. Przypomniałem sobie kobietę z kabiny zalanej przejrzystą magmą, którą nazwałem we śnie Jeżą Teną, i jej pamiętnik z datą katastrofy w Kaula-Sud. Miała ona miejsce czwartego czerwca, dziś zaś był czwarty marca — zaszła tu więc zbieżność niepełna i oczywiście przypadkowa. Jeżeli obecnie był rok następny, czyli dziewięćdziesiąty trzeci, to minęło od tamtych wydarzeń dokładnie dziewięć miesięcy: czas nazbyt długi, aby zagrzebani w ziemi ludzie, w sytuacji bez wyjścia, mogli się psychicznie nie załamać. Czemu jednak reagowali w taki przedziwny sposób?

W dalszym ciągu nie udawało mi się znaleźć lusterka; chyba go tu w ogóle nie było. Przyszło mi w końcu do głowy, że prędzej czy później i tak będę musiał pokazać się ludziom, chociażby na drodze do stołówki, bo nie zamierzałem morzyć się głodem, a wobec tego mogłem już teraz pójść do pokoju cieni, gdzie — jak pamiętałem — wisiało na ścianie duże lustro. Zastałbym tam pewnie Gonedę, Raniela i Senta zajętych ratowaniem zagrożonej kulą podstacji wysokiego napięcia i miałbym okazję odegrać przed nimi małą komedijską, goląc się z namaszczeniem w ich obecności, z tak znudzonym wyrazem twarzy, jakby nie tylko nie było posągów, ale też w ogóle żadnego problemu. Dałbym przez to

dowód całkowitej obojętności, na której tak bardzo im zależało, i może zyskałbym w ich oczach wszystko, co dotąd reagując w sposób naturalny — tak niezręcznie utraciłem.

Pukanie do drzwi odezwało się po raz wtóry. Może stał tam po drugiej stronie pułkownik Goned, przybywający tu z jakimś zmieniającym wszystko rozporządzeniem, lub rozżalony na mnie czy też — przeciwnie skłonny do usprawiedliwień Asurmar, który winien mi był wyjaśnienie swego nieodpowiedzialnego wybryku w stołówce, ale najpewniej dobijał się do mnie ten chłopak o wytrzeszczonych oczach, Unevoris, razem ze swoim ciężkim problemem fizycznym, który ze mnie, rzekomego uczonego, zrobiłby łatwo skończonego idiotę.

Przysiadłem ciężko na brzegu tapczanu i udawałem głuchego. Ktokolwiek stał za drzwiami i już drugi raz mnie napastował, nie chciałbym go teraz widzieć, tym bardziej że lista obaw nie została jeszcze wyczerpana. Mógł tam stać mężczyzna z fryzurą rekruta, którego, rzecz prosta, wobec bezsensowności jego pretensji wypadałoby mi zaraz pobić, lub uratowany pilot, sam Veis, właściciel mojego garnituru, czy też — co byłoby najgorsze — fizyk Porejra, pod którego osobę na razie bezkarnie się podszywałem.

Oto w jakich znalazłem się sidłach, w jakiej sytuacji przyszło mi dążyć do nieznanego celu i na oślep działać: nie było bodaj jednej osoby, która by mi czymś nie groziła. A Ina? — błysnęło mi. Znalazłem punkt oparcia i serce zabiło mi żywiej. Zerwałem się z miejsca, lecz momentalnie opanowałem się. Skąd ona? Tutaj? Czekałem na odgłos oddalających się kroków, by wyrzucić. Zamiast niego usłyszałem szmer przy progu. Spojrzałem tam: na podłodze koło drzwi leżała wsunięta przez szparę szara koperta. Jej doręczyciel odszedł. List zaadresowany był do poprzedniego lokatora tego pokoju: „Ludwik Veis, segment C, kabina E-91 na kondygnacji zero” — przeczytałem na kopercie. W pierwszym odruchu rzuciłem list na stół, ale zaraz ponownie wzięłem go do ręki. Mógł zawierać cenne informacje, które otworzyłyby mi oczy na to, co się tutaj działo. Podczas gdy wyrastał mi w mózgu nieproszony obraz, natrętny wizerunek hieny cmentarnej, z jaką się z wolna zrównywałem, palce moje rozrywały kopertę. Czytałem:

Najdroższy Ludwiku, jakże mi Ciebie brak! Nie mam od Ciebie żadnej wiadomości. Nie piszesz tak długo, nie chcę Cię wezwać do telefonu — mogłabym sądzić, że coś Ci się stało,

gdybym nie miała niedomagań poczty i nie wiedziała o uszkodzeniach w telefonicznej sieci międzysegmentowej. Z drugiej znów strony boję się o Ciebie z powodu tej szalonej decyzji, jaką podjąłeś, zgłaszając się do pilotowania podziemnego pojazdu.

Kochany, to są pomysły straceńców. Ile kilometrów dzieli nas od powierzchni i jakie przeszkody do pokonania! Wycofaj się! Nie ufaj tym obłąkanym ludziom. Daj się przekonać o bezcelowości tych okupionych już krwią poszukiwań, tak samo jak ja uległam Twoim argumentom, gdy przed miesiącem zapoznałeś mnie z wysuniętą przez uczonych — fantastyczna wtedy dla nas — hipoteza, która jednak okazała się tak prawdziwa, jak fakt, że jeszcze żyjemy.

Jaki Ty jesteś niekonsekwentny! Czyżbyś już nie dawał wiary temu, o czym mnie razem z innymi przekonywałeś? A przecież jeszcze w przedostatnim liście sam mi tłumaczyłeś, że rozumne istoty, których ludzie od wieku poszukiwali myślami wśród odległych gwiazd, od zarania dziejów sąsiadują z nami, tu, na starej Ziemi, głęboko w jej wnętrzu, i że trzeba było niezwykle przypadku, zagłady zmiażdżonego jakąś kosmiczną katastrofą naszego miasta i ucieczki do schronu razem z nami wtłoczonego w otchłań, aby się o tym ponad wszelką wątpliwość przekonać. Zapewniałeś mnie przecież, tak samo jak inni, że choć nie umiemy jeszcze dociec istoty ech bytu ani zrozumieć praw i warunków, w jakich egzystują, chociaż ich samych jeszcze nikt nie widział, to jednak dziesiątki faktów świadczą o ich obecności, jak również o tym, że znając dobrze naszą nieszczęśliwą sytuację, starają się nam przyjść z pomocą i mogą nam jej bez wątpienia udzielić. Bo czym są spotykane tu i ówdzie, spowolnione w czasie i niezwykle masywne twory, jeżeli nie sfabrykowanymi przez nich i podsuwanymi nam pod sam nos próbkami, przykładami możliwości przetransformowania — jak się tu mówi — praw jednego świata na prawa drugiego, czym są te zdolne zapewne do zwykłego życia — i żyjące! figury ludzi i zwierząt, jeśli nie wysuwanym przez nich namacalnym argumentem, że bez obawy powinniśmy zdecydować się na składaną nam propozycję przyjęcia takiej samej jak one postaci, by żyć w zasadniczo innych niż na powierzchni ziemi warunkach, skoro nie ma innej niż ta możliwości ratunku?

To ja Ciebie mam teraz uspokajać, abyś się nie obawiał tego ocalającego nas przeniesienia w przestrzeń o odmiennym czasie, w której jednak żyć będziemy tak samo jak tutaj, nie dostrzegając nawet żadnej zmiany? Opamiętaj się więc! Czekaj cierpliwie, aż wyczerpią się skromne już zapasy żywności i tlenu, a wtedy z konieczności przekażemy im wszyscy znak zgody i spotkamy się na „tamnym świecie”.

Twoja Lita.

Segment B, kabina A-18 na kondygnacji 13, dwudziestego lutego.

List wywarł na mnie silne wrażenie. Nie wiedziałem, co sądzić o jego dziwacznej treści. Ostatni akapit listu zdumiałby mnie o wiele bardziej, gdybym wcześniej nie podejrzewał, że jego autorka nie była już przy całkowicie zdrowych zmysłach. Zabierałem się właśnie do ponownej lektury, gdy zwrócił moją uwagę powtórny szelest przy progu. Tak jak przedtem, ktoś z zewnątrz manipulował w szparze pod drzwiami, tym razem jednak ukazał się tam nie list, lecz drut. Po kilku sekundach drut znikł, by się zaraz znowu pojawić, zakrzywiony na końcu jak haczyk. Ktoś cierpliwie drapał nim po podłodze z wyraźnym zamiarem wyciągnięcia na korytarz usuniętego wcześniej listu.

Tego już było. dla mnie za wiele. Szybko przekręciłem klucz i szarpnąłem za klamkę. Raniel, który nie zdążył się jeszcze podnieść z klęczek, spojrzał na mnie z zawiedzioną miną.

— Co pan tu najlepszego wyrabia? — spytałem z udanym gniewem.

Wstał bez pośpiechu i otrzepał kolana. Nie wydawał się wcale zmieszany ani zaskoczony.

— Widział pan — rzekł beczelnie. — Próbowałem coś wydobyć.

— Ach, tak? A co pan sobie właściwie wyobraża? — ciągnąłem tym samym gniewnym tonem. — Czy nie pomylił pan przypadkiem tego miejsca z własnym pokojem?

— Wcale nie! — odparł z rozbijającą szczerością, która zaczęła mnie już zastanawiać. — Widziałem listonosza, jak wsuwał tu jakiś list. Nie spodziewałem się pana zastać.

— Nie jest zaadresowany do pana.

— A do kogo?

— Do mnie.

— Czyżby? Proszę pokazać.

— Nie mam zwyczaju nudzić innych swoją korespondencją.

— Swoją? To trzeba udowodnić.

Stał naprzeciw mnie z rękoma zanurzonymi w kieszeniach spodni, kołysząc się na piętach, z takim samym lekceważącym półuśmiechem na szarej twarzy, jak wtedy, gdy rozmawialiśmy pod drzwiami kancelarii Gonedą.

— Nie dotarło to jeszcze do pana... — umilkł, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi, wskazując ruchem brody na połowe łóżko pod sufitem — że ja tu mieszkałem przez jakiś czas. Razem z Veisem — dokończył.

— W takiej ciasnocie? — zdziwiłem się, zadowolony, że mogę zmienić kłopotliwy temat.

— Stołu wtedy jeszcze nie było — wyjaśnił roztargnionym głosem. Rozglądał się po pokoju, jakby szukając czegoś, może listu, który spoczywał w mojej kieszeni. Raptem wypalił głupkowato:

— Ja coś wiem.

— Zazdroszczę panu wobec tego, bo ja akurat czegoś nie wiem. Czy nie może pan jednak cieszyć się tym faktem w samotności? Na przykład u siebie w pokoju.

— Wiem coś! — powtórzył z naciskiem.

— Jest to niezawodny sposób wywoływania popłochu, toteż doceniam pański wysiłek. Na mnie nie robi wra... — urwałem.

Przyglądał się pękowi kluczy, które nosiłem przy sobie od czasu, gdy wyrwałem je z drzwi podczas ucieczki z komory startowej. Teraz, zmieniając spodnie, zostawiłem je niepotrzebnie na kocu. Niezręcznie mi było chować je na jego oczach do kieszeni. Już układałem sobie wymyślne odpowiedzi, przygotowując się do odparcia jego ewentualnych pytań, gdy podniósł klucze, obejrzał je z bliska i zakręciwszy nimi młynka w powietrzu, położył mi na wyciągniętej dłoni. W milczeniu mierzył mnie długo spojrzeniem, którego sensu nawet się nie domyślałem.

— Dobrze się stało, panie Porejra — rzekł wreszcie — żeśmy sobie przez chwilę szczerze porozmawiali.

— No, jeżeli ma pan na myśli..

— Wymieniliśmy kilka poglądów — przerwał mi i dość już na dzisiaj tej mętnej konwersacji.

— Do tego samego zmierzam.

— Dziesiątkę mają tylko dwie osoby. Nie muszę ich chyba wymieniać.

— To zbędne — wszedłem w jego ton. — Ale czy mówi pan o liczbie kluczy?

— Przestańmy się wreszcie wygłupiać. Nie o liczbę tu idzie, tylko o numer jednego z nich. Tego, który otworzy nam drzwi do dziesiątego magazynu.

— Nam?

— A cóż to znowu za różnica: komu?

Otworzył drzwi, wyszedł na korytarz i w niedbałej pozie czekał, aż pójde w jego ślady. Byłem zupełnie zbity z tropu, bo może rzeczywiście coś wiedział i mógłby mnie zgubić.

— Ani myślę współpracować z panem — spróbowałem się jeszcze targować.

— Współpracować? — roześmiał się. — Jakich to przedziwnych używa pan wyrazów. Szkoda, bo ja stawiam sprawę dość jasno, a wybierałem się właśnie do pułkownika Goned... — zawiesił głos. — Idziemy?

To już był wyraźny szantaż. Uległem tym skwapliwiej, że nie znając jego zamiarów, w gruncie rzeczy nie wiedziałem, przed czym się bronić.

Lokalny magazyn segmentowy znajdował się przy końcu korytarza. Przed wejściem Raniel obejrzał się za siebie, by sprawdzić, czy kto nie nadchodzi, po czym dał mi znak, żebym mu otworzył. Z zachowaniem takiej samej ostrożności, która wcale mnie nie dziwiła, zajrzał do środka, a gdy weszliśmy, zamknął drzwi i z przyłożonym do nich uchem szepnął tak cicho, że ledwie go dosłyszałem:

— Pan, mam nadzieję, nie wierzy w transformację, znak zgody ani temu podobne bzdury.

Pierwszy raz zwracał się do mnie tak otwarcie.

— Jest to ostatnie dziwactwo, które mogłoby kiedykolwiek przyjść mi do głowy — upewniłem go niezwłocznie, rozumiejąc, jak bardzo mu na tym zależy.

— Przepraszam. Pytałem dla porządku raczej, bo kto wie, gdzie już sięgają granice tej epidemii.

Bez słowa skinął głową w półmrok jednego z kątów magazynu. Wziąłem ten ruch za sygnał do rozpoczęcia akcji. A ponieważ, rzecz oczywista, ani się domyślałem; jaką rolę przeznaczał w niej dla mnie, na wszelki wypadek, aby się nie zdradzić całkowitą ignorancją i zyskać na czasie, powiedziałem jeszcze:

— Trzeba zachować ścisłą konspirację.

— Ja sam — szepnął i wskazał ręką w inną stronę. — Aparaty tlenowe i miotacze znajdzie pan pod tamtą ścianą.

Magazyn był dość dużą salą, zatłoczoną aż po sam sufit spiętrzonymi na szerokich półkach bądź też ułożonymi w stosy różnego rodzaju zapasami. Między tymi stertami przebiegały wąskie i nieregularne korytarzyki. Idąc we wskazanym przez Raniela kierunku, mijałem pękate worki, szeregi beczek, zwaliska skrzyń i tekturowych pudeł, a im dalej się posuwałem, tym natarczywiej dobijały się do mnie niewesołe refleksje i tym wyraźniej rysowała się mi w mózgu pewność, że dałem z siebie zrobić głupca, przychodząc tu bez żadnego celu ani rozeznania i nie pytając o nic. Nareszcie udało mi się znaleźć aparaty tlenowe z butlami. Miotacze wyдостаłem wcześniej z opancerzonej ołowianymi płytami skrzyni, której wieko opatrzone było napisem „Miotacze promieni gamma” nad wymalowaną obok trupiej czaszki dużą żółtą błyskawicą.

Wziąłem po parze jednych i drugich i wróciłem z nimi do drzwi.

Raniela nigdzie nie było widać. Czas mijał: może dziesięć czy piętnaście minut. Poszedłem do kąta wskazanego mi przez niego na samym początku, a potem obiegłem całe pomieszczenie dookoła. Nie było go. Schował się gdzieś? Nonsens. Wyszedł? Jak to? — zmieszałem się; teraz na dobre zaczynałem się już denerwować. Wsłuchiwałem się w panującą w magazynie ciszę. Wyszedł — uznałem wreszcie. Pewnie było oczywiste samo przez się, że zdobyty tu sprzęt należało przenieść do mojego pokoju. Ale nie podobało mi się to wszystko: ani fakt, że ktoś się mną posługiwał, ani mój rzekomy spryt, przy pomocy którego usiłowałem zorientować się w nieznannej sytuacji i zostałem z łatwością wystrychnięty na dudka. Wściekły na siebie, odrzuciłem cały bagaż pod ścianę. Zaraz też podniosłem go stamtąd, sprawdzając pieczołowicie, czy czego nie uszkodziłem, bo z Ranielem, czy bez niego w pozbawionym powietrza schronie aparaty tlenowe były tak czy owak cenną zdobyczą, może wcale nie gorszą niż miotacze promieni gamma. Zabrałem je ze sobą, zamknąłem drzwi magazynu na klucz i szybkim krokiem ruszyłem do swego pokoju.

W połowie korytarza usłyszałem rozmowę zbliżających się ludzi. No, jeszcze tego brakowało, żebym pokazał się im z takim niecodziennym ekwipunkiem zaniepokoiłem się. Przechodziłem właśnie pod drzwiami pokoju cieni. Wpadłem tam do środka dosłownie w ostatniej chwili. Na szczęście, prócz posągów nie zastałem nikogo.

Dziewczynka, którą widziałem przedtem w końcowej fazie upadku, leżała już na podłodze, przywierając do niej całym swoim ciałem, pies zastygł pod ścianą niedaleko lustra, z wyraźnym zamiarem drapania łapami po murze, kula zaś znajdowała się pod przeciwległą ścianą — w pobliżu masywnej stalowej płyty, którą pomocnicy Gonedą (po przeniesieniu strzaskanego tapczanu i wsparciu go o ścianę w kącie pokoju) umieścili na drodze niezwykle powolnego ruchu kuli. Dzięki temu, że przekreślona prostą linią podłoga nie była już teraz niczym zastawiona, klęknąwszy nad kulą zauważyłem brak ostatniego odcinka rysy między nią a zaporą i mogłem stwierdzić, że kula nie odbiła się jeszcze od zapory, ale przeciwnie — zbliżała się dopiero do niej. Ciekaw byłem, jaki przebieg będzie miało zderzenie, do którego musiało dojść po przebyciu przez kulę odległości kilkunastu centymetrów. Jaką miała ona

prędkość? Mogłem ją wprawdzie łatwo obliczyć, ale. nie zależało mi na otrzymaniu dokładnej wartości. Wyjąłem z kosza na odpadki dużą przepaloną żarówkę i położyłem ją na podłodze między kulą a zaporą, tak że stykała się niemal z jedną i drugą.

Tutaj, w pokoju cieni — jak go za Gonedem nazywałem — czułem się dosyć swobodnie; nie spodziewałem się, aby ktoś tu zajrzał; w ogóle odniosłem wrażenie, że ludzie unikali widoku posągów, jeżeli tylko nie byli zmuszeni do kontaktu z nimi, jak na przykład pułkownik. Wyjąłem z kieszeni przybory do golenia i poszedłem do łazienki nabrać wody. Ogoliłem się przed lustrem w pokoju. Potem (czekając bez przerwy na trzask pękającej żarówki) podniosłem jeden z tlenowych aparatów. Zainteresowała mnie jego konstrukcja. Aby sprawdzić, jak działa, założyłem go na plecy. Butle nie były zbyt ciężkie, a obejmująca nos, brodę i usta maska przywierała szczelnie do skóry. Może za bardzo odkręciłem kurek regulujący dopływ tlenu, bo od jego nadmiaru pociemniało mi w oczach. Kiedy unosiłem do nich ręce, unieruchomił mnie ostry rozkaz:

— Ręce przy sobie!

Oniemiałem. Spoza wspartego o ścianę tapczanu wychyliła się postać mężczyzny z krótko przystrzyżonymi włosami. Rekrut — jak go nazywałem w myślach musiał ukrywać się tam od samego początku mojej obecności w pokoju. Teraz wyszedł z kąta i przysiadł na brzegu stołu, przez cały czas celując do mnie z mojego miotacza. Jeszcze miałem nadzieję, że mającę w wywołanym nadmiarem tlenu oszołomieniu. Jednak przy pierwszej próbie zdjęcia maski usłyszałem znowu:

— Nie ruszaj się! Wykonałeś już swoje zadanie. Przed śmiercią chciałbyś się pewnie dowiedzieć, na czym ono polegało...

Nie mogłem nawet wykrztusić słowa, bo maska zakrywała mi usta. Przywarłem wzrokiem do jego palca, który spoczywał na spuście miotacza.

— Polegało na tym — kontynuował sucho — abyś zamknął w magazynie pilota Raniela. — Wstrząsnęło nim kilkanaście obrzydliwych podrygów; gdybym nie czuł na sobie cierpnącej skóry, powiedziałbym, że zwijał się ze śmiechu. — Jak teraz widzisz, bywają ryby i płotki. Ty byłeś imitacją jednej z tych ostatnich. Ale podkreślam to: byłeś, bo osiągnąłeś już swój zaszczytny cel i możesz umierać z dumą.

Znowu zarechotał. Czułem, że zaraz skoczę ku niemu, bez względu na to, że nie miałem żadnej szansy. W tej groźnej chwili za jego plecami odezwał się huk pękającej żarówki. Nie wiedział pewnie, co tam się stało, bo się obejrzał. I to mnie uratowało. Jednym susem dopadłem go, wymierzając mu silny cios w głowę. Zwił mi w ramionach i zwałił się plecami na stół; gdy wyrywałem mu z ręki miotacz, niepostrzeżenie zgiął nogi w kolanach, podciągając je pod brodę i kopnął mnie w piersi z taką siłą, że przeleciałem tyłem kilka kroków i runąłem na wznak za siebie... w bezdenną przepaść.

Tamten świat

A więc na tym upłynął czas mego pobytu. Czas wypełniony ruchem bezwładnym, na wpół świadomym, urozmaicony otrząsaniem się ze zdarzeń i reakcjami podejmowanymi po linii najmniejszego oporu, czas sennego trwania, bez jednej decyzji, okres oczekiwania na coś i ruchu od ściany do ściany, pobyt krótki i bezcenny, strawiony na obijaniu się o rzeczy i stany tak się zazębiające i względem siebie usytuowane, że ostatnie pchnięcie z bezbłędną precyzją skierowało mnie na tor mi przeznaczony, ku drzwiom jakimś, ku jednym z tysiąca drzwi po to tylko, abym przekręcił w nich klucz — i na tym koniec. Zostałem więc skreślony z listy i wracałem w głąb nocy, do samego źródła, które mnie z siebie wydało. Tak to sobie właśnie zawsze wyobrażałem: powrót jako upadek w czarną otchłań.

Ale cóż to zaprzętało mi myśli? Byłby to dokonywany w czasie lotu, na krótko przed roztrzaskaniem się, ostatni rachunek sumienia? Nedorzeczność: ani tak długotrwały upadek nie był możliwy, ani nie było świadomego powrotu. Co się zatem stało?

Myślałem coraz trzeźwiej. Pierwsza nasunęła mi się obawa, że Rekrut poraził mnie z miotacza, zanim mu go wyrwałem z ręki, bo miałem wrażenie, że oślepiłem. Inaczej też można było wytłumaczyć sobie wrażenie nieustannego spadania: pewnie wisiałem w przestrzeni, ciągle w tym samym miejscu, ale w stanie nieważkości, który wywoływał identyczne sensacje jak spadanie w przepaść. Ze wszystkich stron ogarniała mnie wypełniona rtęcią nieprzenikniona ciemność.

Rtęć? Skąd się tutaj wzięła albo raczej — w jaki sposób ja się w niej znalazłem? Gubiłem się w domysłach: wszystkie opierały się na założeniu, że wciąż znajduję się gdzieś nie opodal miejsca walki — o kilka zaledwie kroków od swego prześladowcy, który nie powinien opamiętać się prędzej ode mnie, gdyż w przeciwnym razie zdążyłby sięgnąć po drugi, przyniesiony z magazynu miotacz promieni. Byłem jednak zabezpieczony przed promieniowaniem lepiej, niż mogłem sobie tego życzyć. Rtęć powstrzymałaby wysłaną przez miotacz śmiertelną dawkę. Dołączyłem do tego faktu przedziwny zbieg okoliczności, że na

krótko przed atakiem Rekruta włożyłem na siebie aparat tlenowy, co teraz ratowało mnie przed uduszeniem się, i otrzymałem trudny do przyjęcia, choć narzucający się rezultat: w chwili śmiertelnego zagrożenia Mechanizm brał mnie pod swoją opiekę i robił to najlepiej, jak umiał. Ale nie mogłem się z tym pogodzić: niezwykłego zbiegu okoliczności nie chciałem nazywać cudem ani też tłumaczyć nieskończonymi możliwościami Mechanizmu.

Raz jeszcze prześledziłem w myśli, sekunda po sekundzie, wszystko, co działo się od chwili mojego wejścia do pokoju cieni, szczególnie uważnie koncentrując się na walce z Rekrutem. Co znajdowało się poza mną w momencie, kiedy zostałem przez niego pchnięty w piersi? Znałem już dobrze plan pokoju i położenie wszystkich przedmiotów w krytycznej chwili, toteż z łatwością mogłem usunąć ostatnie wątpliwości. Odpowiedź brzmiała: lustro! Rzekome lustro — dodałem. Był tam w ścianie zbiornik z rtęcią, do którego wpadłem z całym impetem. Nie pojmowałem jednak, dlaczego ta rtęć, tworząc nie osłoniętą niczym i prostopadłą do podłogi powierzchnię, nie wylewała się do pokoju, co ją tu — dookoła mnie — utrzymywało. Wycięty w ścianie z tamtej strony, wypełniony rtęcią i idealnie imitujący zwykłe lustro prostokąt nigdy by mi nie nasunął żadnego podejrzenia, chyba że dotknąłbym ręką jego powierzchni, co jednak w czasie golenia nie nastąpiło.

Zanurzony całkowicie w rtęci mogłem poruszać się w niej i pływać. Dopóki trwałem w bezruchu, nie czułem w ogóle jej obecności: ani wywołanego nią ciśnienia hydrostatycznego, które — gdyby istniało — zmiażdżyłoby mnie natychmiast, ani — co za tym idzie — opisanego prawem Archimedesza parcia ku górze, które wyrzuciłoby mnie na powierzchnię jak ciśnienie wody wyrzuca na wierzch zanurzony w niej pęcherzyk powietrza. Ale najlżejszy ruch, bodaj palcem, zdradzał natychmiast jej istnienie poprzez opór, jaki mu stawiała opór zawsze proporcjonalny do gwałtowności ruchu ręki lub nogi. Zrozumiałem wreszcie, że przestał tu istnieć ciężar rtęci, czyli siła wzajemnego przyciągania między nią a ziemią, lecz dalej utrzymywała się jej bezwładność, to znaczy właściwa wszystkim masom zdolność do opierania się działającym siłom.

Płynąłem przed siebie coraz śmielej. Może zresztą kołowałem w miejscu; brak stałego punktu odniesienia uniemożliwiał mi ocenę

przebywanej odległości. Naraz zetknąłem się z twardą ścianą. Wpłynąłem do jakiegoś kąta. Przed sobą wyczułem okrągły otwór w stropie. Wydostałem się przezeń na zewnątrz. Gdzie? Wstrzymałem oddech. Ściągnięta z wjazdu pokrywa spoczywała z boku. Przesunąłem dłońmi po powierzchni utworzonej z szorstkich kwadratowych płyt. Odbiłem się nogami od krawędzi otworu i popłynąłem nisko nad czymś, czego jeszcze nie śmiałem nazwać, aż dotarłem do niewielkiego uskoku. Tutaj śliska i obła powierzchnia zagroziła mi drogę. Co to? Liczyłem po kolei: chodnik, krawężnik jezdni, koło z charakterystycznymi wyżłobieniami na oponie, wreszcie maska samochodu... i ręka zawieszona nad klamką drzwiczek. Serce waliło mi z podniecenia wywołanego niezwykłością kolejnych odkryć.

Przy samochodzie stał naturalnej wielkości posąg kobiety. Opłynąłem ją kilka razy wokoło. Skamieniała z rozwianymi włosami, w pozie wyrażającej gotowość do skoku na chodnik. Posąg tylko jedną stopą stykał się z asfaltem jezdni. Wodziłem po nim dłońmi: w dotyku przypominał posągi z pokoju cieni. Zdawało się, że jest tak samo jak one doskonale nieruchomy i tak samo masywny, jakby odlany z materii wielokrotnie cięższej niż ołów. Popłynąłem kilka metrów dalej: z drugiej strony samochodu stał posąg mężczyzny. Trzymał na ręku kilkuletniego chłopczyka. Zastygł w półprzysiadzie, z twarzą zwróconą ku niebu. Dziecko obejmowało go oburącz za szyję. Mężczyzna wolną ręką sięgał po leżącą na jezdni walizkę. Nie zatrzymywałem się przy nim dłużej.

Wróciłem do pierwszego posągu, przepłynąwszy doń ponad dachem samochodu. Położyłem dłonie na jego twarzy. Nie mogłem się nadziwić, wiedząc, kim jest, kogo przedstawia. Taka więc była Jeza Tena, zanim dostrzegła czarną plamę, w chwili opuszczania swego samochodu. Okrąg zdarzeń zamknął się. Ze swym czasem teraźniejszym zostałem przeniesiony do jej przeszłości, przy czym jej czas (w tejże przeszłości), jeśli nie zatrzymał się całkiem w miejscu, to bliski był tego stanu. Dla niej ułamek sekundy, dla mnie kilkanaście minut — oto była zasadnicza różnica i wszystko inne z niej właśnie mogło wypływać. Stała przede mną spętana spowolnionym czasem kobieta, której pamiętnik zawierał opis naszego spotkania w tym miejscu. Nie musiałem widzieć jej twarzy — i bez tego wszystko się zgadzało. Przybyłem tu dokładnie w chwili (nie liczyła się żadna inna sekunda), kiedy przepełniona trwożą

pamiętnej nocy i czwartego czerwca ubiegłego roku ruszała w stronę wejścia do schronu. Zamknęło się jedno z ogniw długiego ciągu przyczyn i skutków. Wiedziałem już, skąd przybyły posągi do pokoju cieni. Drżałem z wrażenia, świadom mocy czegoś, co ledwie otarło się o moją wyobraźnię.

Z uczuciem wzrastającego napięcia, wywołanego oczekiwaniem na spodziewane dopełnienie się niepełnego jeszcze obrazu całości, odpłynąłem od Teny, nurkując w głąb obszaru zalanej rtęcią nocy. Wszystko było tu nią przysłonięte, zanurzone w niej aż po nieosiągalne brzegi: ściany mijanych domów, słupy latarni, sznury stłoczonych na jezdni i barykadujących chodniki aut oraz przemykające kiedyś między nimi skulone postacie ludzi — teraz ścięte znieruchomieniem zimne bryły, manekiny przykute do dna, głądzone moimi dłońmi.

Poruszałem się po omacku jak wciągnięty na dno jeziora ślepiec. Czy byłem aż tak oszołomiony, że myśl, która jako jedna z pierwszych powinna była rozjaśnić mroki mojej niewiedzy, nawiedziła mnie dopiero teraz? Przecież pływałem cały czas w powietrzu! Nie w rtęci, lecz w powietrzu, zapewne przejrystym dla nich jak kryształ, którego bezwładność tyle razy została tu zwielokrotniona, ile razy masa posągów była większa od mojej.

Płynąc tuż ponad chodnikiem ocierałem się raz po raz o różne przeszkody. Najczęściej były to zastygłe w najrozmaitszych pozach lub fazach ruchu postacie ludzi, niekiedy zawieszony w locie nad płytami chodnika, widać powstrzymane w skoku, który wchodził akurat w skład kolejnych elementów ich szybkiego biegu. Tym osobliwością poznawanego świata dziwiłem się najbardziej. Nie dowierzając sobie, sprawdzałem wielokrotnie położenie posągów, aby przekonać się za każdym razem, że rzeczywiście podeszwy butów oderwane były od chodnika, czasami na znaczną odległość, a równocześnie cały posąg, chociaż tak masywny, wcale nie spadał, lecz trwał nieruchomo w przestrzeni; kpiąc sobie z praw świata, z którego wyniosłem zupełnie inne doświadczenia. Był to zapewne najlepszy przykład ilustrujący różnicę między masą a ciężarem ciała, ale bodajbym miał tu tylko takie kłopoty jak wyszukiwanie dobrych przykładów.

Każdy mój ruch wymagał znacznego napięcia mięśni. W zasadzie pływałem stylem naśladowującym ruchy pływaka nurkującego na dnie

basenu. Ale o ileż więcej wysiłku kosztowało mnie przebycie dziesięciokrotnie mniejszej niż w basenie odległości! Od pokonywania oporu odrzucanych poza siebie wielkich mas przemienionego w rtęć powietrza stężały mi mięśnie; zmęczenie mięśni granoczyło już z bólem. Zatrzymywałem się coraz częściej kompletnie wyczerpany. Postanowiłem wrócić do otworu.

I wówczas nastąpiło to, co groziło mi od samego początku i czego dość długo udawało mi się uniknąć: zabłądziłem. Dotąd wyobrażałem sobie, że łatwo zdołam trafić do otworu, chociażby trzymając się w pobliżu krawężnika jezdni. Niestety jednak polegało na tym, że nie mogłem go odszukać. Wystarczyło jedno zbyt silne odbicie nogami od głowy jakiegoś posągu i zawisłem w przestrzeni, nie docierając do kolejnej przeszkody. Niezwłocznie zawróciłem w stronę miejsca, z którego wypłynąłem, ale było to już inne miejsce i nie zetknąłem się tam z niczym. Pomyliłem strony i straciłem kontakt z ulicą. Aby gdzieś znaleźć jakiś stały punkt oparcia, kręciłem się dookoła siebie, pływałem to niżej, to wyżej, machałem rękoma, zawracając co chwila to w jedną, to znów w przeciwną stronę. Bez żadnego skutku: równie dobrze mogłem zbliżać się do jezdni, jak i od niej oddalać.

Jeszcze raz spróbowałem zachować spokój i płynąć prosto przed siebie w jakimkolwiek obranym przypadkowo kierunku. Przecież musiałem natrafić wreszcie na ścianę jakiegoś domu. Wytrwale trzymałem się tego postanowienia przez dłuższy czas, aż do chwili, kiedy się opamiętałem, rozumiejąc już, jakie ryzyko zawiera w sobie ta pochopna decyzja. Może płynąłem prosto ku niebu! Sparaliżowany tą myślą zatrzymałem się w miejscu. Odtąd nie byłem w stanie uczynić najmniejszego ruchu, ponieważ wyobrażałem sobie, że ten ruch oddali mnie od ziemi w stronę nieba.

Nie wiedziałem już, gdzie jestem i w którą udać się stronę. Straciłem poczucie kierunku ku dołowi i ku górze. Doskonała ciemność i stan nieważkości sprawiały, że nie miałem żadnej orientacji w przestrzeni, w której pojęcia „góry” i „dołu”, tak dla mnie dotąd oczywiste, były już tylko pustymi terminami.

Wtem ciszę rtęciowej nocy rozdarło tuż przy moim uchu basowe chrapanie. Zamarłem na ułamek sekundy. Jednym rzutem rąk i nóg odbiłem się od tego miejsca, które — właśnie to miejsce, źródło

obrzydliwego dźwięku — ukąsiło mnie boleśnie w szyję. Nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego, co robię, wyrwałem zza pasa miotacz i wypaliłem w stronę potęgującego się charkotu.

Świat zawirował mi w oczach, w oczach — które przejrzały. Stałem na wierzchołku jasnofioletowego stożka, o podstawie w kształcie wydłużonej elipsy wspartej na ścianie wieżowca, którego szczyt majaczył gdzieś w dali. Z tyłu piętrzył się pionowo w górę mętny miraż zatłoczonej ulicy. Poza czarnymi plamami moich szeroko rozstawionych nóg, w odległości nie większej niż jakieś dwa metry od butów płonęła ostrym, srebrno-fioletowym blaskiem para błoniastych skrzydeł. Wykonałem zwrot i przesunąłem wylot miotacza, celując gdzie indziej. Trzymałem w ręce silny reflektor oświetlający nawet dość odległe przedmioty. Najbliższym obiektem był nietoperz. Znów skierowałem na niego wylot groźnej broni. Wcale nie płonął, jak wydało mi się za pierwszym razem: tyle tylko, że był dobrze oświetlony. Ujrzałem, jak zadrżał lekko w poruszonym przeze mnie powietrzu, zanim znów znieruchomiał z rozpostartymi skrzydłami.

Radość przepełniła mi serce. Wielki, wypełniony strumieniem liliowego światła stożek, posłuszny ruchom mojej ręki, omiatał ścianę sąsiedniego domu. Z wolna zaczynałem domyślać się, co się stało: w ciemności rozbiłem sobie kark o zawieszzonego w przestrzeni nietoperza. To nie on się poruszył, lecz ja na niego wpadłem. Wydawane przez niego ultradźwięki, w normalnych warunkach w ogóle nie odbierane przez ludzkie ucho, tutaj słyszałem jako niskie basy. Co jednak stało się z moim miotaczem? Czy z tego samego powodu, zamiast wysyłać niewidzialne i śmiertcionośne promienie gamma, stał się źródłem światła widzialnego, jak zwykły reflektor?

Orbitowałem na wysokości kilkudziesięciu metrów nad ziemią, wznosząc nogi prostopadle w stronę nieba. Zarysowana w rozproszonym świetle miotacza i iskrząca się tu i ówdzie ulica wspinała się szerokim łukiem ponad czy raczej pod moją głową. Świat odwrócony do góry nogami doprowadzał mnie do mdłości. I przekręciłem się w przestrzeni, opuszczając nogi w kierunku jezdni. Wstęgę szerokiego cienia dziobały gdzieś odbite od niklu refleksy. Przekroiłem ją wzdłuż wylotem miotacza: ukazały mi się w dole pudełeczka samochodów i drobne figurki ludzi.

Niewielka część obszaru powietrza zanieczyszczona była zwichrzoną mgiełką kurzu lub dymu. Z tej strony, gdzie powietrze zachowało doskonałą przezroczystość, opuszczający miotacz snop światła stawał się niewidoczny; za to tym lepiej wydobywał z ciemności i oświetlał różne sceny uliczne. Wydawało mi się, że umiem wskazać położenie wjazdu dla monterów instalacji, jak go nazwała w swoim pamiętniku Tena, czyli wylotu kanału łączącego ze sobą schron i kopię dawnego miasta. Nieco w tyle za rogiem wysokiego gmachu, po przeciwnej stronie ulicy czernił się na środku chodnika mały krążek. Nie musiałem się już obawiać, że nie znajdę powrotnej drogi, bo wyjście znajdowało się w polu mojego widzenia.

Od ściany najbliższego wieżowca dzieliła mnie odległość kilkunastu metrów. Podpłynąłem do niej. Najpierw napotkałem wzrok rozebranego do pasa mężczyzny, który z silnie pobladłą twarzą stał przy oknie i przez szybę kamiennymi oczami wyglądał na ulicę. Odniosłem wrażenie, że mnie dostrzegł, ale nie było to możliwe. Musiałbym tkwić przed oknem co najmniej kwadrans, aby jego oczy mogły zarejestrować moją obecność, jako trudne do uchwycenia, bo krótkotrwałe mignięcie czarnej rozmazanej plamy. Gdyby akurat mrugał w tym czasie, to nawet tego by nie dostrzegł.

Podniosłem się do wyższego piętra. Poprzez szyby okien świeciłem do wnętrza mieszkań i zaglądałem do nich. W niektórych pokojach nie było już nikogo. Zmięte kołdry lub koce zaścielające puste łóżka, rozrzucone na podłodze, jakby pogubione części garderoby, tu wywrócone krzesło, tam stolik, gdzie indziej skorupy rozbitego wazonu, czy zawartość popielniczki wysypana na prześcieradło — cały ten nieład wymownie świadczył o pośpiechu i zdenerwowaniu, z jakim opuszczali swe mieszkania ich lokatorzy. Alarm zaskoczył ich przy braku światła elektrycznego. Niewykluczone też, że budzili się i ubierali w całkowitej ciemności, bo padająca z góry tajemnicza poświata — o której pisała Tena mogła nie docierać do wszystkich okien.

Natknąłem się na otwarte okno i wpłynąłem do pokoju. W małym łóżeczku leżały obok siebie bliźnięta. Na wygładzonej i podciągniętej pod brody kolorowej kołderce spoczywały ich wyłożone na wierzch ręce. Dziewczynki, patrząc przed siebie w sufit, uśmiechały się nieruchomymi twarzyczkami. Gdzie się podzieli ich rodzice? Wszystkie drzwi tego

mieszkania stały przede mną otworem. Również nie zamknięte były drzwi na klatkę schodową. Część zaklinowanej między piętrami windy wystawała ponad poziom podłogi. Czyjeś palce obejmowały kamienną krawędź piętra, przebijając się przez drzazgi rozbitej szybki. Zajrzałem przez wąską szczelinę do wnętrza windy. Jej więzień, młody mężczyzna, podciągał się na rękach do szpary i w tym wysiłku stężał. Niestety, szpara była zbyt wąska, aby mógł się tędy wydostać. Nie rozumiałem, jak mogło dojść do takiej sytuacji. Przecież winda unieruchomiona została już wcześniej brakiem prądu, a nie spowolnieniem czasu. Czy uwięziony w niej człowiek, zapewne ojciec dziewczynek, zanim znalazł się w pułapce, zjeżdżał na dół, czy przeciwnie — wracał do swojego mieszkania? Zgodnie ze źródłem wiadomości, jakim był dla mnie pamiętnik Teny, przerwa w dopływie energii elektrycznej nastąpiła jeszcze przed ogłoszeniem alarmu. Wobec tego, jakkolwiek by przyjąć wersję wypadków, nie mogłem wytłumaczyć sobie zagadki otwartego mieszkania pozostawionych w nim bez opieki dziewczynek.

W drugim pokoju również panował wzorowy porządek. Zakłóciło go dopiero moje wtargnięcie tutaj w wirze poruszonego przeze mnie powietrza kręciła się nad krzesłem kartka papieru. Chwyciłem ją oburącz i jak kawał platynowej blachy ściągnąłem na powierzchnię stołu. Gdy podniosłem rękę, znów zawirowała. Wzburzone powietrze nie chciało się uspokoić. Kartka zawierała jakiś krótki tekst, ale nie mogłem przytrzymać jej ręką w obawie, że oświetlę sobie palce promieniami padającymi bezpośrednio z miotacza. Może byłem w błędzie, jednak wolałem nie ryzykować. Domyślałem się, że tylko światło rozproszone na otaczających mnie przedmiotach, tylko odbite od nich nie ma własności zabójczych. Promienie z miotacza padające wprost na moje ciało mogły mnie porazić. Przycisnąłem kartkę znacznym ciężarem, a mianowicie przetoczonym na nią ze środka stołu długopisem. Nie opłacało się jednak tego robić, ponieważ treść kartki okazała się dość błaha: „Jeżeli wrócisz po północy, to zadzwoń do Sary”.

Wydostałem się ponad ulicę. Z wielu okien sąsiedniego wieżowca wychylały się postacie ludzi. Ruch ich, jeżeli w ogóle istniał, przypominał powolnością żółwie tempo obrotu małej wskazówki zegara. Może z tej strony było lepiej widać, czy raczej przeciwnie — prawie wcale nie można było zobaczyć, co się dzieje w górze, bo niektóre osoby wychylały

się z okien aż do pasa. Twarze zastygły z oczami zwróconymi na krawędź dachu.

Na jednym z okiennych parapetów stał mężczyzna. Kiedy podpłynąłem do niego bliżej, ujrzałem go z boku. Zdziwiłem się na widok bardzo ryzykownej pozycji jego ciała. Odważył się wyglądać spoza przebiegającego ponad oknem gzymsu. Wprawdzie nogami wspierał się na parapecie, ale całym tułowiem wisi nad przepaścią. Udało mu się mimo wszystko utrzymać równowagę tylko dzięki temu, że kurczowo zaciśniętymi palcami ręki obejmował występ muru. Rękaw marynarki razem z mankietem białej koszuli ściągnęły mu się aż do łokcia, odsłaniając nabrzmiąły wysiłkiem muskuł i skręcony przy przegubie ręki zegarek. Zaświeciłem z bliska: wskazówki zatrzymały się na godzinie trzeciej trzynaście. Strzałka sekundnika stała na ósemce. Czyli że do trzeciej czternaście brakowało jeszcze dwudziestu sekund. Na moim zegarku, który również widziałem w świetle odbitym od ściany, była godzina dwudziesta trzecia pięćdziesiąt osiem. Ponieważ z pokoju cieni zostałem wypchnięty mniej więcej za kwadrans jedenasta (dwudziesta trzecia — jeżeli przypadał w schronie umowny wieczór), zatem znajdowałem się w mieście już od godziny i trzynastu minut.

Godzina trzecia, minut trzynaście i czterdzieści sekund — powtórzyłem w myśli. To był aktualny czas skamieniałego miasta. Syreny odezwały się osiem minut temu — o trzeciej pięć. O godzinie trzeciej dziewiętnaście — zgodnie z relacją Teny — nastąpi katastrofa. Jeżeli nie chciałem zginąć tutaj razem z mieszkańcami miasta, musiałem możliwie najszybciej ustalić dokładny stosunek dwóch zupełnie różnych czasów.

Tempo biegu wszystkich procesów w otaczającej mnie przestrzeni było prawie niedostrzegalne. Wskazówka sekundnika na zegarku człowieka, w którą się wpatrywałem z bijącym sercem, nie zmieniała swojego położenia. Tak jak zastygła na ósemce, tak bez przerwy na niej trwała. Czyżby zegarek ten w ogóle nie chodził? To też było możliwe. Ten akurat mógł być zepsuty. Ile czasu brakowało do zapowiadającego katastrofę wstrząsu? Spojrzałem w dół, pod siebie, na drugą stronę ulicy. Znajomy płaszcz, ten sam, który wisi na poręczy krzesła w pokoju zalanym magmą, teraz czerwienił się na drobnej sylwetce Teny. Jeszcze nie minęła czarnego krążka. Odetchnąłem z ulgą.

Snop światła, którego zarówno natężenie, jak i rozwartość mogłem regulować specjalnym przyciskiem, omiatał twarz przylepiającego się do mnie mężczyzny. Przepłynąłem na drugą jego stronę. Widziałem szeroko otwarte, jakby zastygłe w krzyku usta i niebieskie oczy śledzące nieruchomymi źrenicami czarną pustkę nieba. Tam, gdzie patrzył — w górze, nie mogłem się doszukać niczego interesującego — po prostu jednostajna ciemność; za to silny połysk na gałkach oczu mężczyzny i lśnienie spoczonej twarzy, jeżeli nie były oznakami gorączki...

Zaświeciłem przez szeroko otwarte okno do wnętrza pokoju. Ujrzałem kilkanaście osób skamieniałych w różnych pozach. Mniej więcej połowa obecnych siedziała przy długim zastawionym półmiskami i resztkami jedzenia stole. Przy szyjce wywróconej karafki kwitła na obrusie brunatna plama. Przysłaniał ją zawieszony w pobliżu łokieć podrywającej się z krzesła kobiety. Jeszcze jeden mężczyzna unosił się z siedzenia. Był już prawie wyprostowany. Wspierał się o stół zaciśniętymi pięściami, wokół których wzdęło się kilka fałd silnie zmarszczonego obrusa. Gęsta smużka tytoniowego dymu snuła mu się ponad brwiami. Pozostali ludzie siedzieli spokojnie przy stole zwróceniem do siebie twarzami albo stali z kieliszkami w rękach w różnych kątach pokoju. Ktoś podnosił filiżankę z kawą, kto inny przechylał nad ustami opróżniający się kieliszek. Większość butelek była już prawie pusta.

Alarm zaskoczył ich podczas nocnego przyjęcia. Dlaczego nie spieszyli do schronów? Czemu nie ulegli powstającej panice? Może w tak licznej grupie czuli się bardziej bezpiecznie. Może uspokajali się wzajemnie, tłumacząc sobie jakoś przyczynę nocnego zamieszania. Znalazł się pewnie ktoś, kto sam bagatelizując sytuację umiał innym przekazać własny punkt widzenia na to, co się działo na ulicy. Zapewne alkohol był głównym sprawcą ryzykownej akrobacji przechylonego nad przepaścią śmiałka.

Ale trafiłem akurat na chwilę, w której coś się już tutaj zaczynało dziać. Jakies wydarzenie poruszyło niektórych bardziej przytomnych gości. Świadczyły o tym dynamiczne postawy dwojga osób, podrywających się ze swych miejsc. Oczy ich zwrócone były w kierunku okna. Nie mogli mnie jeszcze zobaczyć, bo moja obecność tutaj była dla nich zbyt krótkotrwała. Więc patrzyli na stojącego w oknie. Czy coś do nich mówił? Zaświeciłem mu w twarz: to był krzyk. Dopiero teraz

ujrzałem posąg jeszcze jednego mężczyzny, który zderzał się ze ścianą tuż przy oknie. Nie widziałem go dotąd dlatego, że patrzyłem w głąb pokoju, a on tkwił z prawej strony, poza szybą otwartego do środka pokoju okna. Odłamki rozbitej szyby wisiały w przestrzeni objętej ramą. W nieregularnej dziurze tkwiła zanurzona po łokieć i wyciągnięta w stronę stojącego na parapecie ręka nadbiegającego posągu. Podawał ją szalonemu akrobacie po najkrótszej linii, a ta wiodła przez szybę.

Spojrzałem na zaciśniętą na gzymsie dłoń. Strzałka sekundnika wciąż stała na kresce ósemki, może zaledwie jedną dziesiątą milimetra dalej, jednak różnica była nieuchwytna. Przeniosłem wzrok na występ muru: kawał tynku razem z zaciśniętymi na nim palcami nie przylegał już ściśle do ściany domu. Przepłynąłem wyżej i zaświeciłem z góry; zobaczyłem, że urwany fragment gzymsu dzieli od muru odległość kilku centymetrów.

Odbiłem się od zewnętrznej ściany domu, aby objąć wzrokiem cały gmach. Odnalazłem zwężonym strumieniem z miotacza jasną tasiemkę chodnika i policzyłem piętra. Było ich trzydzieści sześć. Patrzyłem na zastygłą przede mną scenę, jakbym oglądał trójwymiarowe zdjęcie. Czy coś mogło go jeszcze uratować? A czy w ogóle możliwa była moja ingerencja w przeznaczony im los?

Zdjąłem z bioder pasek od spodni, zawiązałem na nim pętle i założyłem je na obydwie zbliżone do siebie dłonie: na tę, którą wyciągał w głąb pokoju spadający i na drugą — podawaną mu przez nadbiegającego. Zaraz po wykonaniu tej czynności uświadomiłem sobie, że taki zabieg nie ma tu żadnego sensu. Cóż znaczyła wąta nić pajęcza łącząca ze sobą dwie bardziej od lokomotyw masywne bryły! Należało użyć więzów należących do tego świata.

Dałem nurka w głąb pokoju. Spowodowany tym wiatr wywrócił na stole kielich z bibułkowymi serwetkami i porwał kilka z nich aż pod sam sufit. Papierki oto, co byłem w stanie poruszyć z miejsca i, chyba niewiele więcej. Rozejrzałem się bezradnie na wszystkie strony: Może jakiś sznur od żelazka — pomyślałem. Gdzie jest kuchnia? W półotwartych drzwiach stał, tarasując sobą drogę, posąg kobiety. Druga kobieta mijała ją w przejściu z uniesionymi nad głową rękoma, w których trzymała ciężki półmisek. W tej chwili nie zdołałbym się tamtędy precyzyjnie przemieszczać, a na zmianę położenia ciał trzeba było czekać co najmniej trzy godziny. Wszystko, co

wpadało mi w ręce albo sprawiało wrażenie przyspawanego do podłoża, albo zupełnie nie nadawało się do akcji ratunkowej. Przy każdym ruchu powietrze stawiało niezwykle silny opór. Dyszałem ciężko przez cały czas.

Zdobyłem się jeszcze na ostatni wysiłek i przytargałem (właśnie przytargałem) pod okno — sam nie wiedziałem w końcu po co — długą spinkę do włosów. Wyrwałem ją z warg zajętej czesaniem się kobiety. W normalnych warunkach ważyłaby pewnie kilka dekagramów; tutaj mocowałem się z nią, napotykając na taki opór, jakby uwiązana została do ust kobiety jakąś niewidzialną grubą sprężyną. Przy każdej gwałtownej próbie zmiany jej położenia wrzynała mi się w palce, przede wszystkim z powodu swojej znikomej — w stosunku do masy — powierzchni. Kiedy z pokaleczonymi dłońmi zaciągnąłem ją do okna (nie było to zwyczajne dźwiganie), wysliznęła mi się z ręki i wyleciała nad ulicę. Teraz, gdy ręce zmieniły nieco swoje położenie, pasek rozluźnił się i zsunął. Nie poprawiłem go, ponieważ uważałem, że taka nić nie zdoła utrzymać masy spadającego mężczyzny, którą można było porównać chyba tylko z bezwładnością dużego okrętu. Skamieniałe w krótkotrwałym błysku dłonie nie umiały się odnaleźć, a ja nie byłem w stanie przyjść im z pomocą, chociaż miałem na to tak wiele czasu.

Ogarnęła mnie wściekłość. Nie dlatego wprowadzie, żebym aż tak bardzo przejął się losem spadającego człowieka (i tak życie jego, podobnie jak życie wszystkich tu obecnych, liczyło się na minuty, bo przerywała je zguba całego miasta), lecz z tego powodu; że okazywałem się taki bezradny w sytuacji, w której — jak misie wciąż jeszcze wydawało — tak wiele mogłem uczynić. Byłem przekonany, że tylko sznur lub podpora wykonane z materiału, który należał do skamieniałego miasta, mogłyby utrzymać ciężar mężczyzny. Lecz nawet gdybym znalazł coś odpowiedniego, nie zdołałbym niczego przenieść na miejsce. Pot zalał mi oczy. Nie miałem już nawet siły rozgarnąć powietrza. Zerknąłem na swój zegarek. Wskazywał szesnaście minut po północy. Zawisłem nieruchomo w przestrzeni ponad głowami siedzących. Mięśnie odmawiały mi posłuszeństwa.

Mijały dziesiąte części sekundy. Karafka z częścią nie rozlanej wódki, która jeszcze przed moim przybyciem tutaj przetoczyła się nad krawędź stołu, a potem trwała na niej, jakby przylutowana — teraz

wisała już jakieś pięć centymetrów poniżej powierzchni stołu. Trwała w swym niezwykle zwolnionym, ale nieubłagane kontynuowanym spadku na podłogę. Temu samemu prawu podlegał człowiek przechylony ponad przepaścią ulicy. Na co tu właściwie zużyłem tyle energii, skoro niczego nie dokonałem? Gdzie ukrywała się przyczyna mojego całkowitego wyczerpania? Patrzyłem dookoła siebie: ponad popielniczkami stały szare słupki wirującego w powolnym tempie popiołu, zdmuchnięte moimi ruchami niedopalone zapałki zaśmiecały obrus, wyżej unosiło się kilka zmiętych bibułkowych serwetek, włosy obecnych falowały w łagodnym ruchu powietrza.

Wzrok mój spoczął na twarzy spadającego. Nie dostrzegłem na niej prawie żadnej zmiany. Jakaś drzazga sterczała mu z policzka. Patrzyłem na nią na wpół przytomnie, myśląc o czymś zupełnie innym, i naraz zrobiło mi się niedobrze. Rozpoznałem w niej zawleczoną tam przez siebie spinkę do włosów. Dla nich ruch spinki był ruchem strzały. Utkwiła głęboko w policzku, przebijając go na wylot. Sprawilem nieszczęśliwemu niedźwiedzią przysługę.

Co ja tu właściwie wyprawiałem, a przede wszystkim po co? Uświadomiłem sobie naraz, gdzie jestem, i że tam — w pokoju cieni, z miotaczem wycelowanym w lustro czeka na mnie posłaniec Mechanizmu, takie samo, jak i ja, jego narzędzie, mężczyzna z ogoloną głową. Powodowany ciekawością, jak widać silniejszą od lęku, doprowadziłem się do stanu granicznego z omdleniem i miałem stanąć przed wykonawcą wyroku (ustalonego już niewątpliwie), całkowicie wyczerpany, niezdolny do podjęcia walki o życie. Los spadającego człowieka został przesądzony — nic go już nie mogło uratować. Zgasilem miotacz i zamknąłem oczy. Na razie nie mogło być mowy o powrocie do kanału. Zdrętwiałe ręce i nogi zwisły mi bezwładnie w przestrzeni przy obracającym się powoli ciele. Na szczęście aparat tlenowy sprawował się bez zarzutu.

Starłem się o niczym nie myśleć i nawet udało mi się trochę zdrzemnąć. Ale był to półsen niezdrowy, nękany koszmarem i duszony wewnętrznym napięciem. Słyszałem dochodzące skądś szmery i głucho dudnienia. Przez cały czas rzęziły mi i prychały w uszach jakieś stłumione odgłosy, niepokoiły mnie rechoty nierealnych basów. Wydawałem się sobie taki mały i słaby; nieczułe, ogromne oko

przestrzeni spoczywało na mnie.

Kiedy się ocknąłem, poczułem się jednak trochę lepiej; w każdym razie mogłem się już jako tako poruszać. Zapaliłem reflektor. Zegarek mój wskazywał dwadzieścia osiem minut po pierwszej. Twarze kilku osób zwrócone były do góry, oczy — jakby trochę zdumione, czy przestraszone — wpatrywały się w jakiś punkt na suficie. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, dlaczego utkwili tam swoje spojrzenia: było to miejsce mojego wypoczynku; trwałem w nim ponad godzinę. Spadająca karafka stanowiła dla mnie najlepszy — jak dotąd — miernik upływającego tu czasu. Już stykała się z podłogą, ścięta w pierwszej fazie rozbijania się o nią. Rozłupane dno zapadło się w głąb bańki, której powierzchnię rozcinały srebrzyste zygzaki pęknięć. Obejrzałem się za siebie. Na tkwiącej w okiennej ramie ręce perliło się kilka kropelek krwi, a powstrzymane w locie odłamki rozbitej szyby wisiały już nisko pod parapetem. Zamiast całej postaci spadającego człowieka, ujrzałem tylko podeszwy jego butów.

Wypłynąłem z pokoju. Od strony ulicy wyglądało to tak jakoś dziwnie: jakby stał prosto na zewnętrznej ścianie domu. Pięty wspierały się jeszcze na parapecie, rozłożone szeroko ręce szukały nie istniejącego oparcia. Patrzyłem w dół — w głąb ziejącej pod nami przepaści — i ciarki przechodziły mi po plecach. Czy rzeczywiście nie było już dla niego żadnego ratunku — zastanowiłem się raz jeszcze. Trzydzieści sześć pięter to jakieś sto dwadzieścia pięć metrów wysokości. Przekształciłem w myśli wzór na drogę swobodnie spadającego ciała: wypadło mi w rachunku pięć sekund lotu.

Znurkowałem skosem w dół, w stronę widniejącego na chodniku czerwonego płaszcza Teny. Pokonanie dzielącej nas odległości zajęło mi bardzo dużo wypełnionego niepokojem czasu. Raz po raz spoglądałem na zegarek, wciąż wyobrażając sobie, że już lada moment nadejdzie czas katastrofy. Przecież według czasu upływającego w mieście, miała ona nastąpić za kilka minut. Przy wylocie kanału znalazłem się dopiero o drugiej piętnaście. Nie dowierzałem prowizorycznym przeliczeniom czasu. Taki byłem nieufny, nawet wtedy, gdy dotarłem do Teny i spostrzegłem ją z obydwoma nogami na chodniku, nieomal w tym samym miejscu, gdzie ją zostawiłem, tak się rozgorączkowałem w ucieczce, że nawet nie zerknąwszy wokół siebie, wpadłem głową na dół

prosto w otwór kanału. Wolałem zaraz zmierzyć się z Rekrutem, jeśli nie stracił tam jeszcze cierpliwości, niż stanąć tu oko w oko w obliczu groźby niewyobrazonej.

Ale ciekawość w końcu mnie przemogła i jeszcze raz wróciłem na poziom ulicy. Zatrzymałem się przy Tenie. Teraz — ze światłem w ręce — mogłem się jej dobrze przyjrzeć. Zwróciłem również uwagę na postać, która stała w grupie kilku osób, niedaleko nas na drodze biegnącej Teny. Silnie przechylony do tyłu mężczyzna trzymał przy twarzy aparat fotograficzny, celując jego obiektywem prosto w niebo ponad nami. Czy robił zdjęcie spadającemu? Nonsens, bo nie zdążyłby się do niego przygotować; ponadto tamten wisiał po przeciwnej stronie ulicy. Przypomniałem sobie od razu, że w czasie poprzedzającym bezpośrednio katastrofę (zgodnie z informacją zawartą w pamiętniku) wisiała nad miastem jakaś ogromna świetlana kula. Jej to właśnie — najprawdopodobniej — robił zdjęcie ten człowiek. Nawet w tak groźnej chwili znalazł się ktoś, kto zaprzętał sobie głowę troską o sporządzenie pamiątkowego dokumentu. Może spodziewał się, że jego zdjęcie, na wypadek odwołania alarmu, stanie się niepowtarzalnym unikatem?

Musiał jednak powtórzyć to ujęcie, jeżeli chciał mieć dobry negatyw, bo zaświeciłem mu z góry do obiektywu, równocześnie zasłaniając go głową. Nie zrobiłem tego dla złośliwej zabawy, ale w tym celu, by wykorzystać jedyną w swoim rodzaju sposobność do przeprowadzenia precyzyjnego pomiaru. Bo właśnie dokładnie w tej samej chwili, gdy zaglądałem w obiektyw, palec fotografującego wyzwolił migawkę. Zobaczyłem w głębi szybko rozszerzającą się jej szczelinę, która odłoniła klatkę filmu. Spojrzałem na zegarek i zmierzyłem czas naświetlania. Ekspozycja trwała sto osiem sekund, a migawka — co z łatwością mogłem odczytać przy pierścieniach obiektywu — nastawiona została na jedną setną sekundy. Miałem wreszcie dokładny związek między czasem miasta i moim. Rezultat mógł również zainteresować ludzi ze schronu; w końcu znajdowałem się tu zamiast fizyka Porejry i w jego imieniu mogłem pochwalić się przed Unevorisem otrzymanym związkiem, który być może bardzo wiele znaczył. Wynik przeliczenia brzmiał: jednej sekundzie mijającej w mieście odpowiadały dokładnie trzy nasze godziny.

W pewnej chwili — niestety dopiero teraz, kiedy zamierzałem już

opuścić to miejsce — opanowała mnie niepewność, czy światło z mojego miotacza nie wyrządza krzywdy obecnym w mieście ludziom. Nie miałem co do tego pewności i pod wpływem tej myśli zgasiłem reflektor. Przedtem w takim wypadku zapadałem się natychmiast w doskonałą ciemność. Teraz mrok również panował dookoła nie mniej kompletny, z jednym wszakże jedynym wyjątkiem: gdzieś w głębi ulicy widniało samotne okno. Świeciło się dość słabo wprawdzie, tak jakby we wnętrzu mieszkania znajdowała się jedna świeczka raczej niż żarówka — ale jednak świeciło się, co w zestawieniu z nabytą tu wiedzą o mieście wydawało mi się bardzo dziwne. Do starych zagadek doszła jeszcze jedna.

Już zanurzony po pas w otworze kanału, nie mogłem się powstrzymać, aby nie rzucić ostatniego spojrzenia w stronę spadającego. Nieubłagane prawo, któremu podlegał, czyniło widoczne nawet z daleka postępy. Człowiek nabierał już prędkości; opadł prawie o jedno piętro niżej. Jakaś stalowa zaporą — myślałem — przetransportowana ze schronu gruba płyta lub coś w tym rodzaju, gdyby się udało ją przytwierdzić do ściany tuż pod nim, na najwyższej kondygnacji, czyli możliwie najszybciej, może zdolna by była do zatrzymania jego pędu. Lecz realizacja tego pomysłu wymagałaby użycia wyjątkowych środków: dźwigu — kto wie, jak potężnego! — również wtedy, gdyby ten dźwig miał podnieść linę znaną gdzieś w mieście, aby go nią omotać, czy podać mu do ręki — wymagałaby więc mobilizacji całej ekipy nieobojętnych ludzi, a ponadto zdobycia sprzętu, jakim na pewno schron nie dysponował. Tak to się nieszczęśliwie złożyło, że właśnie tutaj, w niezwykłym miejscu, gdzie nadarzała się niepowtarzalna sposobność do uratowania kogoś straconego już w normalnych warunkach, brakowało niezbędnych środków, obecnych z kolei w nadmiarze gdzie indziej.

Odbiłem się od krawędzi otworu i wpłynąłem do środka. Wnętrze kanału okazało się dość płytką, ocembrowaną cegłami studzienką. Po wiodących w dół krótkich schodkach można się było dostać do jedynej poziomej jego odnogi, gdzie w odległości kilku metrów w zamykającej drogę przegrodzie tkwiło prostokątne lustro. Nie miałem oczywiście wątpliwości, że po drugiej stronie lustra znajduje się pokój cieni. Zanurzyłem się w nim bez obawy, tym dotkliwiej więc odczułem wstrząs uderzenia o coś twardego, na co spadłem głową w dół po drugiej stronie.

Leżałem na suficie, który z tej strony lustra okazał się podłogą. Na granicy dwóch światów zwrot pionu zmienił się widocznie na przeciwny.

Tak mnie to wszystko zmyliło, że nawet zapomniałem o czekającej tu na mnie groźbie w postaci uzbrojonego w miotacz Rekruta. Na szczęście — dla mnie lub dla niego — albo nie miał cierpliwości pilnować lustra przez trzy i pół godziny, albo — co bardziej prawdopodobne — uznał mnie od razu za straconego, kiedy zniknąłem mu z oczu. Ulotnił się razem z miotaczem, zabierając również aparat tlenowy.

Połamany i obolały, a przede wszystkim na wpół żywy ze zmęczenia, powlokłem się pustym korytarzem do swego pokoju.

Transformacje

Nie pojmowałem, jak mogło do tego dojść, że od razu go nie zauważyłem. Może opanowany wyłącznie jedną myślą: pragnieniem ułożenia się w byle jakim kącie, wszedłem do pokoju z zamkniętymi oczami, tak pocieszająca, tak słodka wydawała mi się pewność, że już nic nie jest w stanie odebrać mi prawdziwego wypoczynku, bo odkryłem jego obecność dopiero na chwilę przed zwałeniem się na tapczan, stojąc już rozebrany do naga, ze ściągniętą koszulą w rękach, dostrzegłem najpierw czarną plamę na poduszce, plamę jego głowy, i wreszcie brudną twarz, pokrytą szczecinią ciemnego zarostu, z czerwonosiną pręgą świeżej rany na czole, twarz najzupełniej obcą, do której zbliżyłem swoją, twarz zawiedzionego bezdomnego psa. Nie mogłem jeszcze uwierzyć, że w łóżku moim śpi nieznamy mężczyzna.

Veis wrócił — kto inny, jeżeli nie on sam, mógł się tutaj ulokować; doprawdy, skoro już ocalał, skoro zdołał się wyrwać z niedostępnej ludzom ze schronu konstrukcji Mechanizmu, było naturalne, że wrócił tutaj, przyszedł, aby na powrót zamieszkać.

Założyłem stare ubranie, a jego garnitur powiesiłem na wieszaku. Tak ciężko było mi rozstać się z tym miejscem, z pościelą, którego prawie nie dotknąłem. Z ręką wspartą na kłamce przyjrzałem mu się jeszcze raz. Co mi pozostawało teraz? Korytarz? Pchnąłem drzwi. Skrzypnęły przeraźliwie. Nawet nie drgnął, tylko otworzył szeroko oczy. Nie robił wrażenia człowieka wyrwanego raptem ze snu. Patrzył na mnie takim wzrokiem, jak gdyby śledził moje ruchy od samego początku, jakby obserwował przy tym nie obcego, ale domownika, więc prawie obojętnie, z pewnym zniecierpliwieniem tylko, że ten wałęsa się po pokoju i hałasuje, podczas gdy inni śpią.

Powróciłem do środka. Należało mu się jakieś wyjaśnienie, bo w końcu mógłby mnie wziąć za złodzieja.

— Muszę się usprawiedliwić przed panem.

— Net — szepnął, nie zwracając uwagi na moje słowa. — Ty się skradasz?

Znowu ta sama historia — pomyślałem. Teraz ten chce mnie

przełożyć w inną skórę, narzucić mi kolejne wcielenie. Ale już więcej nie dam się na to nabrać. Dość mi już było jednej mistyfikacji, zapoczątkowanej podszywaniem się pod Asurmara. Teraz w roli fizyka Porejry mogłem się jakoś zmieścić. Nie było jednak żadnego powodu, abym miał znowu ni stąd ni zowąd udawać jeszcze kogo innego. Dziś był nim jakiś Net, a jutro... kto wie, do czego to doprowadzi.

Patrzył na mnie z największym zdziwieniem.

— Co cię zatkało? — spytał.

— Pan się pomylił co do osoby. Nie znamy się, rzecz prosta, bo niby skąd.

— Nie znamy się już?

— Nie: już, ale: jeszcze. Zajrzałem tutaj dlatego, że Goned przydzielił mi ten pokój. To jego sprawa, jeżeli się pomylił, nie przewidując pańskiego powrotu. Bo chyba rozmawiam w tej chwili z panem Ludwikiem Veisem?

— Aha!

Skinął głową z rozmachem, parodiując gest wyrażający całkowite zrozumienie. Zaraz też podniósł się na łokciu, aby sięgnąć po papierosa. Wyciągnął paczkę w moją stronę. Czułem, że coś się tutaj nie zgadza. Ponieważ nie było już o czym mówić, skierowałem się do wyjścia. Przekrzywił głowę na bok i wypuścił w moją stronę kłęb białego dymu. Szeptem, który zdawała się narzucać panująca wszędzie cisza, zatrzymał mnie w półotwartych drzwiach:

— A dlaczego ty się wygłupiasz, Net?

— Dość tego. Nazywam się Porejra i nie mam nic wspólnego z żadnym Netem. Pewnie przyśniło się panu coś i stąd to nieporozumienie. Przybyłem tu do was wczoraj z segmentu generała Lendona...

— Ta pamiątka — wskazał palcem na ranę — krępuje nieco ścięgna na moim niegdyś wspaniałym obliczu. Wielka szkoda! Bo gdyby nie ten przejściowy, mam nadzieję, defekt, ujrzałbyś, niedopieczony lisie, całe bogactwo wzruszenia na mojej twarzy. Nie musiałbym ci go wtedy słownie streszczać. Byłoby co oglądać. Zapewniam cię, że rzadko kiedy miałem okazję do popisania się przed tobą taką zręcznością przy robieniu różnych min, jak teraz. No i pech chce, że paraliżuje mi twarz chwilowa niedyspozycja. A wiesz, dlaczego pękam ze śmiechu na widok takiego napompowanego drania, jakim się okazujesz?

— Jeszcze raz zapewniam pana z całą odpowiedzialnością za słowa...

— Nie! Nie dlatego, abym miał zamiar poprzedzić wesołym wstępem właściwą część programu wypełnioną płaczem nad sobą. Nie zdołałeś mnie wczoraj oczarować. Na szczęście mam solidne zabezpieczenia. I nie dlatego też trzęsę się cały, jak łaskotany po piętach klaun, abyś ty, pacholek Aglera, tak, tak! — przestraszył mnie do tego stopnia, że straciłem rozum w momencie, kiedy się mnie wypierasz. Powiązania wasze tutaj na dole są mi doskonale znane nie od dzisiaj. A kiedy zrobił się szum wokół sprawy usunięcia poprzednich wtyczek, wiedziałem już, że ty również zjedziesz na dno. Pytam o bardzo prostą rzecz: czy trenujesz przede mną nową rolę? Przecież tu nikogo nie ma. Czy kto podsłuchuje pod drzwiami? Może Raniel tam w kącie przysiadł? Co?

Rozmowa przybierała żenujący obrót. Nie wyglądał na wariata, a jeden z nas dwóch musiał nim bez wątpienia być. Trwałem konsekwentnie przy raz obranej drodze i oto jaki otrzymywałem rezultat. Czy nie byłoby zręczniejsz natychmiast stąd wyjść... czy może słuchać w milczeniu jego monologu, który odsłaniał przede mną kulisy komplikującej się wciąż sytuacji?

— Więc ustalmy coś wreszcie — ciągnął — odsłońmy wszystkie karty. Jak mam cię teraz tytułować przy obcych? Magister Net Porejra, pełnym imieniem i nazwiskiem, bo sam Net już nie wystarczy, czy tak?

Zmieszałem się w najwyższym stopniu, na szczęście tylko wewnątrz. Musiało prędzej czy później do czegoś takiego dojść. Spięcie było nieuniknione. Wyobrażałem je sobie jednak zupełnie inaczej. Myślałem ot, po prostu: lada godzina zdemaskuje mnie ktoś, kto zna prawdziwego Porejre. (A kto wiedział, że na imię mu Net?) Wskaże więc na mnie palcem i powie: to oszust, miejcie się przed nim na baczności albo najlepiej niezwłocznie aresztujcie go, bo może to morderca tamtego. Liczyłem się wciąż z taką możliwością i wiedziałem, że wtedy nastąpi mój kres. Ale żeby we mnie, w przybłędzie znikąd, rozpoznał kto rzeczywistego Neta Porejre, jako swego dobrego znajomego na dodatek, właśnie we mnie, który z całą świadomością odgrywanej mistyfikacji podstawiłem się pod jego osobę, korzystając z pierwszej lepszej okazji, jaką podsunął mi przebiegły los, bo wreszcie musiałem oprzeć się na czymś, jako przeznaczony do życia w

społeczności jednostek o określonych nazwiskach i funkcjach — nie, tego nie byłem w stanie ani pojąć, ani tym bardziej przewidzieć.

Już więcej nie śmiałem na niego spojrzeć. Bez słowa wyszedłem na korytarz. Ogłupiały niezwykłą pointą naszego spotkania, mijałem szeregi wąskich drzwi, z jedną myślą w głowie: czym prędzej go z oczu stracić, uciec od niego jak najdalej. Tłukło się we mnie po drodze rzucone już raz podejrzenie. Nie mogłem się od niego uwolnić. Jakże to? — myślałem dalej. Ja BER-66 — Netem Porejra rzeczywistym? I wszyscy są może o tym przekonani, z jednym maleńkim wyjątkiem? Ja fizykiem jakimś z segmentu generała Lendona, pacholkiem niejakiego Aglera, agentem wysłanym tu na dno, wtyczką i elementem w skomplikowanych powiązaniach, w których w żaden sposób nie mogłem się połąpać?

Nonsens. Veis zakpił sobie ze mnie. Kto inny, poza mną samym, najlepiej wiedział, kim jestem? Takiego osła dałem z siebie zrobić. Odebrałem serio jego wymyślne przedstawienie i dygotałem w najlepszej wierze, a on tymczasem, niby to trząśł się przerażony cynizmem mojej postawy, rzekomą zapowiedzią zdrady, jak dobry aktor na zawołanie bladł w moich oczach, by teraz w samotności zacierać ręce z uciechy, na myśl o panice, w jaką mnie z łatwością wpędził dla siebie tylko wiadomego powodu.

Skręciłem przy najbliższym rozwidleniu korytarzy i podniosłem oczy: stołówka. W środku nikogo nie zastałem. Prawda, przecież to trzecia nad ranem — uprzytomniłem sobie. Ustawiłem cztery krzesła w szereg i ułożyłem się na nich. Gdyby przynajmniej były czymś wysłane; piszczały, jęczały — znów zerknąłem na zegarek. Przeniosłem się w końcu na podłogę; wprawdzie nie była bardziej miękka, ale przynajmniej zachowywała się cicho. Zasypiałem już, gdy kształt jakiś przemknął mi przez piersi. Poderwałem się z miejsca. Trzy szczury wpadły do kuchni przez dziurę pod okienkiem na wydawanie posiłków. Wsparłem się barkami o ścianę, aby na wszelki wypadek mieć je na oku. Jakiś kanciasty przedmiot uwierał mnie dalej w ciało. Wyciągnąłem z tylnej kieszeni spodni duży, oprawiony w skórę notes. Byłem już taki zaspany, że nie chciało mi się zastanawiać nad jego pochodzeniem. Patrząc tępo na swoje nogi skonstatowałem wreszcie, że na wieszaku pozostała tylko marynarka Veisa, bo jego spodnie miałem jeszcze na sobie.

Przez jakiś czas wsłuchiwałem się w martwą ciszę schronu. Jego

mieszkańcy trzymali się kurczowo przeniesionego skądinąd zwyczaju spania o ściśle określonych porach. Ośmielone swoją nieruchomością szczury wylazły z powrotem z dziury i węszyły po podłodze. Chyba w ostatnim czasie miały trudności ze zdobyciem odpadków, bo wyglądały dość marnie. Za to nie brakowało im zuchwałości. Obecność ich nie zachęcała mnie do zamknięcia oczu. Składane łóżko Veisa bardzo by mi się teraz przydało. Rano — pomyślałem — zwrócę się do Gonedą z prośbą o przydział jakiegoś posłania. Również będę musiał przypomnieć o odcinkach z kartą zaprowiantowania. Skoro spełniałem tu wyraźnie określoną rolę, narzucony na mnie obowiązek prowadzenia badań nad posągami, którymi poza mną samym nikt tutaj nie miał ochoty się zajmować, bo chyba nikogo one nie obchodziły, przynajmniej w tej konkretnej postaci, jaką stanowiły posągi z pokoju cieni — skoro więc jednak przydawałem się do czegoś, markując legalną — przynajmniej oficjalnie — funkcję uczonego, to ze swojej strony mogłem również wymagać, aby mi zapewniono elementarne warunki egzystencji.

Świadomość istnienia niewyjaśnionej tajemnicy posągów pojawiła się we mnie znów równie raptownie, jak mnie opuściła podczas rozmowy z Veisem. Może czas przeznaczony na zdobycie wiadomości o tutejszych posągach określony był ustalonym przez generała jakimś krótkim terminem. Ktoś mógł rano przyjść tutaj, wymagając złożenia szczegółowego raportu. Co mógłbym w takim razie powiedzieć Lendonowi na temat czarnych postaci, gdyby mnie o nie w tej chwili zapytał? Już był najwyższy czas na dokonanie podsumowania zebranych spostrzeżeń.

Jak dowiedziałem się z zaadresowanego do Veisa listu, pokój cieni nie był jedynym miejscem, w którym ukazały się nie wiadomo jak dawno temu tajemnicze twory. Już musiała wobec tego istnieć tu na ich temat jakaś bardziej czy mniej rozmijająca się z prawdą teoria. Pisany przez kobietę list zawierał właśnie skąpe jej strzępy; w jakiej części informacje w nim zawarte pokrywały się z oficjalną, ogłoszoną tu przez kierownictwo schronu próbą wytłumaczenia zagadki, a w jakiej części — były odbiciem podawanej z ust do ust, rozwijającej się w zamieszaniu i zniekształconej różnymi czynnikami legendy? Jak należało rozumieć zagadkowy fragment listu, w którym żona czy kochanka Veisa namawia go do biernego oczekiwania na decyzję kierownictwa? Decyzja ta —

według słów listu — polegać miała na przekazaniu znaku zgody. Mniejsza o to, komu ta zgoda miała zostać wyrażona. Pytanie tylko: zgoda na co? Na przyjęcie takiej samej, jak i one (a więc posągi!) postaci. Ileż było nieszczęśliwej nadziei w takim postawieniu sprawy! No tak — myślałem dalej — jakaś część mieszkańców schronu (kto wie, jak znaczna?) wyobraża sobie, że w sytuacji krytycznej, kiedy przy wyczerpanych zapasach grozi wszystkim nieunikniona śmierć, jedyną nadzieją na ratunek staje się podsuwana pod sam nos załamanych ludzi, nie całkiem wprawdzie jasna, ale jakże kusząca propozycja przeniesienia się do bliżej nie określonej przestrzeni o niezwykle zwolnionym czasie, oczywiście razem ze szczupłymi zapasami powietrza i żywności, jak również z innymi przedmiotami niezbędnymi do życia, przeniesionymi w taki sam cudowny sposób — więc szansa przeniesienia się do warunków, w jakich dotychczasowe problemy automatycznie przestają w ogóle istnieć. Jasne, że porcja pożywienia czy powietrza wystarczająca w schronie na jeden dzień — tam, w świecie spowolnienia wszelkiego rodzaju procesów, starczy na dziesięć tysięcy osiemset dni, a do tak odległego czasu, z powierzchni ziemi, gdzie czas płynie w zwyczajnym tempie, nadejdzie wreszcie oczekiwana pomoc i ratunek.

Nawet było to dość sensownie pomyślane. Niestety wymagało ingerencji i oparcia się na niezwykłych możliwościach tych istot (podobno egzystujących wewnątrz Ziemi), które miały całe przenosiny zrealizować. Pomijając wspomnianą trudność, musiałem jednak przyznać autorom takiej koncepcji, że ich nadzieje na ocalenie się tą drogą nie były zupełnie pozbawione sensu i nie dziwiłem się już ich kalkulacjom, zwłaszcza w obecnej chwili, po zwiedzeniu fragmentu miasta, bogatszy o liczne spostrzeżenia, jakie stamtąd wyniosłem, w obecnej chwili — kiedy nie miałem już żadnej wątpliwości, że wszelkie prawa przyrody tam obowiązujące dla mieszkańców miasta były identyczne z analogicznymi prawami przyrody, zgodnie z którymi tutaj w schronie wypadało mi przez cały czas żyć.

Veis jednak nie brał zbyt poważnie takiej wprost fantastycznej możliwości ocalenia, choć z drugiej strony list wspominał o jego dość aktywnej działalności przy rozpowszechnianiu tej hipotezy. Ostatecznie jednak ten fakt też nie był bez znaczenia — zgłosił się jako kandydat do pilotowania podziemnego pojazdu. Nie musiałem się długo głowić nad

tym, co się z nim działo od tamtej pory. Został zamieniony przez podstawionego osobnika, podobnie — chociaż wcześniej, niż Raniel i Asurmar — jak być może wszyscy piloci; w tej sprawie przynajmniej nie było dla mnie żadnych ciemnych punktów, bo w końcu to była moja własna historia.

Podniosłem się z podłogi i usiadłem przy stole. Przede wszystkim — uświadomiłem to sobie już znacznie wcześniej — ludzie z zalanych magmą kabin, którzy zastygli na czterdziestej piątej kondygnacji, a wśród nich także Jeza Tena — wszyscy oni nie mieli nic wspólnego z posągami z pokoju cieni oraz z miastem. Ich nie dotyczył efekt zwolnionego czasu — to była zupełnie oddzielna zagadka. Gdybym przynajmniej wiedział, czy mieszkańcom schronu znany był nie tylko fakt pojawienia się tu i ówdzie pojedynczych egzemplarzy posągów, ale również dotąd nie poruszony przez nikogo w mojej obecności fakt istnienia całego Kaula-Sud, całego skamieniałego, miasta. Już co do tego miałem wątpliwości, bo przecież drogę do tamtego świata znalazłem zupełnie przypadkowo, przy energicznej pomocy Rekruta, któremu już w myśli zaczynałem dziękować za niezamierzoną przysługę, a nawet gdybym odkrył, że do lustera można bez obawy wsunąć rękę, bo nie było zwyczajnym lustrem — czy jednak odważyłbym się w nim cały zanurzyć?

By w oceanie niewiadomych znaleźć wreszcie jakiś punkt oparcia, wziąłem pod uwagę zasadę Einsteina podstawę szczególnej teorii względności — głoszącą, że we wszystkich układach inercjalnych (to znaczy spoczywających albo poruszających się względem siebie ruchem jednostajnym prostoliniowym) wszelkie prawa przyrody są identyczne, inaczej: są niezmiennicze względem transformacji Lorentza. Gdyby tu wprowadzić jedno założenie (jakże jednak absurdalne i trudne do przyjęcia!), że schron współczesny i stare miasto, sąsiadując wciąż ze sobą w przestrzeni, poruszają się względem siebie z prędkością bardzo zbliżoną do prędkości światła, i gdyby przy tym orzec, że nie ma w takim założeniu żadnej sprzeczności — wówczas można by już było wytłumaczyć wszystko z wyjątkiem jeszcze jednej zagadki, całkowicie odrębnej: faktu, że miasto z dnia katastrofy (jakby w jednej chwili) przeniesione zostało w czasie o dziewięć miesięcy w przyszłość — do współczesności schronu, lub na odwrót — że schron współczesny został

przeniesiony w czasie do przeszłości miasta, o czym pomyślałem w pierwszej chwili i czego już nie można było ustalić.

Na kartce wyrwanej z notesu napisałem transformacje Lorentza. Wpatrywałem się w te wzory z mieszanymi uczuciami. Miałem je przed oczyma już w czasie orbitowania w powietrzu skamieniałego miasta, ale czy można z nich było czerpać jakieś informacje przy analizie tej paradoksalnej sytuacji? Najpierw nie był tu spełniony warunek wstępny i ponad wszelką wątpliwość konieczny: układy, jakimi były schron i miasto, w sposób dostatecznie oczywisty spoczywały względem siebie. Nie mogło być mowy o żadnym ruchu, a zatem i o różnej od zera prędkości. A właśnie w równaniach określających transformacje efekty relatywistyczne były funkcjami tejże prędkości.

Rzeczywistość kpiła sobie ze mnie: nie było ruchu, a istniały przynajmniej dwa efekty, które jedynie z obecności tego ruchu mogły wynikać! Czyżbym mimo wszystko oglądał tamten świat z innego układu odniesienia z równoczesną i niezwykłą przy tym możliwością przenoszenia się do niego nie tylko myślami, ale też i ciałem? Byłaby to wobec tego faktu względność dość osobliwa (właściwie jej zaprzeczenie), bo nieodwracalna: posągi nie mogły powiedzieć, że dla nich ja z kolei jestem posągiem. Ostatecznie, gdy usunąłem tę sprzeczność, zakładając wbrew oczywistości — najpierw, że ruch jednak istniał, a następnie, że względna prędkość miasta (oddalającego się od umownie spoczywającego schronu) odpowiadała poznanemu już stosunkowi czasów, to biorąc pod uwagę tenże stosunek czasów (trzem godzinom upływającym w schronie odpowiadała jedna sekunda w mieście), otrzymałem jako mnożnik liczbę równą dziesięć tysięcy osiemset. Tyle właśnie razy każda masa wzięta z miasta była dla mnie większa od odpowiedniej masy rozpatrywanej w schronie. Zaraz zacząłem sobie przeliczać dla przykładu niektóre wartości. Mężczyzna, którego waga dla mieszkańców miasta wynosiła 70 kilogramów — dla mnie, należącego do schronu, miał masę 756 ton, czyli masę porównywalną z bezwładnością obiektu tak wielkiego jak okręt. I wszystkie inne ciała materialne — jakie by one były — miały tam w mieście (również w pokoju cieni) dla nas, obserwatorów ze schronu, proporcjonalnie tyle samo razy większą masę. Zaobserwowana tu względność polegała na tym, że nie liczyło się wcale odróżnienie: gdzie się znajdował aktualnie rozpatrywany przedmiot, ale

wyłącznie wyraźne określenie: do którego z dwóch światów należał i kto pytał o jego masę. Nawet zwyczajna mysz (kto by ją o to posądził!) zważona na wadze miasta, której strzałka pokazała dajmy na to zaledwie jeden dekagram — podczas spaceru po pokoju cieni zademonstrowała przede mną masę stu ośmiu kilogramów.

Nic dziwnego więc, że piórko — nieledwie pyłek w prądzie powietrza — jakim byłem dla posągów w czasie swej wyprawy do miasta, nie wywarło na żadnym z obecnych tam przedmiotów jakiegoś większego wrażenia. Opierałem się wciąż na dokonanym już spostrzeżeniu, że każdy proces, czy było nim swobodne spadanie wypuszczonego z ręki ciała, bicie serca; trawienie, jakakolwiek reakcja chemiczna, zjawiska elektryczne, cieplny ruch cząstek, czy wreszcie ludzkie myślenie trwał w mieście dziesięć tysięcy osiemset razy dłużej niż analogiczny proces w schronie.

Ale przecież tyle samo razy powinien być krótszy dla mnie — obserwatora ze schronu — ten wymiar dowolnego przedmiotu z miasta, który miał w danej chwili akurat kierunek jego ruchu. Bo tego znów wymagała transformacja długości (jeżeli przez długość rozumieć omawiany wymiar). Relatywistycznego skrócenia jednak nie było. Nareszcie musiałem sobie uzmysłwić, gdzie właściwie usytuowane zostało całe miasto. Z przeprawy przez granicę dwóch światów wyniosłem domysł, że piony miasta i schronu miały przeciwne zwroty, co nasunęło mi prawdopodobnie jedyną odpowiedź na to pytanie. Miasto znajdowało się pod pancernym dnem schronu, gdzieś w głębi ziemi; okoliczność, że nie wiedziałem, czy również jego odległość od tego dna podlegała skróceniu, nie pozwalała mi na dokładniejszą jej ocenę. W każdym razie dom, słup, czy inny obiekt sięgający w mieście na wysokość dziesięciu metrów — z mojego punktu widzenia nie powinien przekraczać swą wysokością grubości paznokcia. Po stwierdzeniu powyższego nic innego już mi nie pozostawało, jak tylko pogodzić się z myślą, że w trakcie przechodzenia przez płaszczyznę lustra dostosowywałem się automatycznie do długości miasta, przy czym jednak mój czas i masa — pozostawały nie zmienione.

Niezależnie od analizowanych dotąd efektów relatywistycznych, występujących w sytuacji, w jakiej zgodnie z nabytą przed ekranami wiedzą — nie powinny się pojawić, wyłaniała się jeszcze jedna kwestia, z

tamtą nic nie mającą wspólnego, a mianowicie problem przesunięcia w czasie. Zasadnicze pytanie brzmiało: czy ze swej przeszłości (poprzedzającej bezpośrednio katastrofę) do chwili bieżącej schronu przeniesione zostało (w czasie) miasto prawdziwe, czy — co może bardziej prawdopodobne — tylko jego uderzająco wierna kopia? Właśnie w tym samym momencie wróciła mi podniesiona już wcześniej wątpliwość, czy promieniowanie z mojego miotacza nie wyrządzało szkody napotykanym w mieście ludziom, a jeżeli niestety tak, to kogo tam właściwie zabijałem w zwolnionym tempie: prawdziwych ludzi, czy ich zręczne imitacje.

Zaraz zreflektowałem się, zauważając, w jakie niebezpieczeństwo popadam: chciałem rozpatrywać zagadnienie identyczności ludzkiej, różnicę między określeniami: „ci sami”, a „tacy sami” — wprowadzając się na drogę mozolnych rozrządzeń, może zresztą istotnych gdzie indziej, ale na pewno nie tutaj. Bo przecież dla mnie — postaci całkowicie im obcej — było najzupełniej obojętne, kogo sobą przedstawiali: czy autentycznych mieszkańców Kaula-Sud, z czwartego czerwca ubiegłego roku, czy do znudzenia ich przypominających sobowtórów, jednak zasadniczo nieidentycznych z nimi; jeżeli tylko myśleli i czuli — słowem żyli, musiałem i chciałem traktować ich jako prawdziwych ludzi.

Z długopisem i notesem Veisa w ręce zabrałem się znowu do obliczeń. Wynikało z nich niezbicie, że zarówno mieszkańcy miasta, jak i schronu, nie mogą widzieć wzajemnie ani samego źródła światła pochodzącego z drugiego układu, ani przedmiotów sąsiada oświetlonych przez jego własne światło widzialne, ponieważ promieniowanie z pasma fal widzialnych dla jednego przesunięte jest do pasma fal radarowych dla drugiego. Lecz automatycznie, w zakres promieni przeze mnie w mieście widzianych wchodziły (również znacznie przesunięte ku falom dłuższym) promienie gamma o częstotliwości akurat tak przypadkowo dobranej, że mogłem je — odbite od tamtejszych ciał — widzieć jak światło doskonale mi znane, bo fale elektromagnetyczne poza długością niczym się od siebie przecież nie różniły. Z tego samego powodu słyszałem tam jedynie ultradźwięki.

Naraz, już po raz drugi, przyszedł mi na myśl fragment pamiętnika Teny z opisem niezwyklej sceny naszego spotkania u wylotu kanału. Tena zanotowała w pamięci dostatecznie dokładny obraz moich

błyskawicznych ruchów w mieście. Przedstawiły jej się one jako bardzo krótkotrwałe mignięcie czarnej, rozmazanej plamy, która zniknęła gdzieś i natychmiast wróciła do niej, by się zarysować na tle ściany czarną plamą o kształcie ludzkiej sylwetki (wtedy właśnie stałem dość długo przy fotografującym). Przypadek ten pozwalał mi na wyciągnięcie dwóch ważnych wniosków: Po pierwsze, miałem już wreszcie pewność, że miasto było autentyczne (inaczej Tena nie mogłaby mnie w nim zobaczyć), a po wtóre — na przekór rozumowaniom przeprowadzonym na papierze, które prowadziły mnie do przeciwnego wniosku — nie musiałem się już przejmować, że poraziłem w nim z miotacza kilkunastu ludzi, bo przecież Tena — też tam oświetlona — na nic przypominającego chorobę popromienną w pamiętniku swoim się nie uskarżała.

Aby być lepiej przygotowanym do ewentualnego sprawozdania, którego w każdej chwili mógł ode mnie zażądać Lendon, wykonałem jeszcze kilka prostych rachunków. Rzeczywiście, bezwładność powietrza w mieście równa była dokładnie bezwładności rtęci ze schronu. Podczas nurkowania w nim napotykałem więc na opór prawie czternaście razy większy niż przy ruchach w wodzie. Tu leżało wyjaśnienie mojego wyczerpania. Panująca w mieście grawitacja też nie nasuwała większego problemu: z mojego — relatywistycznego — punktu widzenia przyśpieszenie ziemskie było tam doprawdy znikome (wynosiło jedną dziesiątą mikrona na kwadrat sekundy), co — razem z równie znikomym ciśnieniem atmosferycznym i siłą wyporu, które podobnie jak przyśpieszenie ziemskie były funkcjami zwolnionego czasu — sprawiało w sumie, że — praktycznie biorąc znajdowałem się tam w stanie nieważkości.

Wróciłem do sprawy katastrofy. Zegary miasta wskazywały obecnie godzinę trzecią trzynaście i czterdzieści jeden sekund. Mijała tam właśnie w żółtym tempie czterdziesta druga sekunda. Do chwili wstrząsu, poprzedzającego katastrofę, brakowało jeszcze tylko pięciu minut i osiemnastu sekund. „Tylko” — z punktu widzenia zagrożonych, natomiast „jeszcze” — gdy myśleli o tym uratowani w schronie. Bo licząc według czasu upływającego tutaj, moment krytyczny powinien nastąpić dopiero za czterdzieści dni.

Zastanawiała mnie zwłaszcza ta zdumiewająca okoliczność: dobór

chwili, w jakiej miasto pojawiło się pod dnem schronu. Odnosiłem mgliste wrażenie...

Ktoś przechodził korytarzem. Klamka drgnęła i w drzwiach ukazał się pułkownik Goned.

Wczoraj nieprzeniknione

— Szukam tego przekłętego Unevorisa! — zawołał od progu. Pod pachą trzymał gruby plik przyciętych równo na gilotynie kartek. Widać było już na pierwszy rzut oka, że tej nocy nie odmówił sobie wypicia dużej porcji alkoholu. Grymas jego twarzy dziwnie spierał się z wyobrażeniem, jakie wyniosłem o nim z pierwszej naszej rozmowy. Nieomal wisząc na kłamce, obecność której ratowała go przed upadkiem, wpatrywał się we mnie spode łba, z tym charakterystycznym dla nietrzeźwych roztargnieniem, jakie zdarza im się w chwilach raptownego przerwania wątku przy snuciu pierwszej lepszej kalkulacji.

— Dobrze się składa, panie pułkowniku, że się spotykamy.

— A, to pan? — bąknął. Miał taką minę, jakby chciał zasłonić się przede mną drzwiami.

— Tak, to ja. Może już czas usunąć moje osobiste kłopoty. Zapewne wiadomo panu...

— Umchu.

— Więc, jak zapewne wiadomo panu — kontynuowałem — Veis wrócił. Dzięki tej szczęśliwej niespodziance sprawa mojego pokoju pozostaje nadal otwarta, czyli że nie mam się gdzie podziać. Na dodatek był pan uprzejmy zapomnieć wczoraj o karcie zaprowiantowania dla mnie...

— Ale do rzeczy! Krótko i jasno, proszę.

— Powiedziałem już, że chyba przeoczył pan ten drobiazg. Nie byłoby właściwie o czym mówić...

— Te te te...! zaterkotał. — Nazwisko?

— Net Porejra.

— Stopień?

— Jestem cywilem.

— Specjalność służbowa?

— Niestety, odnoszę wrażenie, że pan mnie zupełnie nie poznaje.

— Wiem! Pan jest tym fizykiem od Lendona, który wczoraj do nas się przypętał.

— To się zgadza. Więc kiedy...

Włożył mi do rąk plik papierów i energicznym krokiem pomaszerował w stronę najbliższego stołu. Tam zachwiał się niespodziewanie i — chociaż bliżej mu było do krzesła — wrócił do klamki, gdzie zwiśł nisko nad progiem. Chciałem oddać mu wręczony do potrzymania stos kartek, ale uparcie odsuwał mnie od siebie razem z nimi, to kreśląc ręką szeroki łuk, to znów nieruchomiejąc w geście, który mógł równie dobrze znaczyć tyle co: „Niech mi pan wybaczy ten przykry obrazek”, jak również: „Jazda stąd!” albo „Nie zawracaj mi więcej głowy”. Ładna historia — pomyślałem.

— Rozwiesić — sapnął z wysiłkiem spod przewieszanej nad głową ręki.

Sądząc, że zrobiło mu się niedobrze i że prosi o pomoc przy zdejmowaniu marynarki, podsunąłem się do niego usłużnie. Ale gdy zabierałem się do rozpinania guzików, trzepnął mnie z rozmachem po wierzchu dłoni.

— Rozwiesić! Plakaty porozlepiać czym prędzej! — Chyba znowu się przesłyszałem. Na wszelki wypadek wyciągnąłem ze stosu jeden arkusz i obejrzałem go uważnie. Nie musiałem się długo weń wpatrywać, bo czysty był z obu stron jak sumienie nowo narodzonego dziecka. Tak samo i inne.

— Wydobył pan te kartki z niewłaściwego segregatora — spróbowałem przemówić mu do rozsądku. Na tych papierach nie ma żadnych tekstów. Puste strony będę wieszał?

Tupnął nogą.

— Na korytarzach. Wszystkie. Co do jednej!

Podstawowy błąd przy obcowaniu z pijanym polega na zwróceniu mu uwagi wskazującej właściwe źródło konfliktu — którym jest nietrzeźwość jednego z rozmawiających — uprzytomniłem sobie. Ale znów z jakiej racji miałem dawać mu z siebie robić durnia.

— Komu ja tu właściwie podlegam? — spytałem, mimo woli już nieco ostrzej. — Władzom wojskowym czy cywilnym?

Popatrzył na mnie szklistymi oczami i stuknął butem w blaszankę z klejem, która stała na podłodze za progiem. Tkwił w niej umorusany pędzel.

Gotów mnie zaraz przepędzić do innego segmentu pomyślałem — jeżeli będę mu się dłużej opierał. Na próżno bym wtedy tłumaczył się

przed Lendonem, jaka była prawdziwa przyczyna naszego starcia. A tak, usłucham pozornie, wyjdę stąd i wrzucę ten plik do pierwszej lepszej dziury, napotkanej po drodze, byleby tylko teraz najszybciej od niego się uwolnić. Później, gdy dojdzie do siebie, porozmawiamy inaczej.

Kiedy jednak oddaliłem się od niego na kilkanaście kroków, mruknął coś za mną ściszym głosem. Wyglądał przez szparę przy nie domkniętych drzwiach i wskazywał na ścianę obok mnie. Nie było rady: pomalowałem obficie kawałek muru i pacnąłem nań pierwszy arkusz z wierzchu okazałej sterty. Pochwalił mnie w milczeniu głębokim skłonem głowy. Jeszcze raz — już na szczęście przed samym rogiem — powtórzyła się ta sama scena: on wskazał i skinął, a ja pacnąłem arkusz na klej, przybiłem parę razy pięścią i poszedłem dalej. Szczęście, że nikt nie kręcił się w tym czasie po korytarzu, boby miał niecodzienne przedstawienie.

Dopiero wyjrzawszy zza rogu, stwierdziłem, że drzwi stołówki zostały wreszcie zamknięte, co zwalniało mnie z konieczności dalszego plakatowania. W tej samej chwili spoza stołówki, z nieco szerszego od korytarza hallu, wyłonił się jakiś starszy mężczyzna w okularach. Człapał przygarbiony moim tropem, a gdy dobrnął wreszcie do pierwszego plakatu, zatrzymał się przed nim z wysoko zadartą brodą. Nic to, że wpatrywał się weń znacznie dłużej, niż była jakakolwiek potrzeba. Lecz naraz rozejrzał się ukradkiem w prawo i w lewo, a potem palcami zakrzywionymi na kształt szponów rozszarpał papier na drobne strzępy, z łatwością tym większą, iż klej jeszcze dobrze do niego nie przysechł. Taki sam los spotkał i następny afisz; mało tego, że staruszek — tym razem już bez dłuższego oglądu — przeorał go paznokciami wzdłuż i w poprzek, ale jeszcze pracowicie ściągnął ze ściany żałosne jego resztki, zdusił w garści do mikroskopijnej objętości, odrzucił w kąt i w ślad za tym rzutem splunął.

W głowie nie chciał mi się pomieścić taki obraz. Że zamroczony Goned uparcie jak wół — lecz nie bez jakiejś pijackiej konsekwencji — przywoływał mnie do ślepej karności, że ja sam z kolei w nos mu się wygłupiałem — to była zupełnie odrębna sprawa. Ale cóż ten nieszczęsny na moich oczach wyprawiał! Z papierami pod pachą umknąłem mu z oczu bez chwili namysłu, bo byłby mnie może tak jak te rzekome plakaty poszarpał.

Rozglądałem się za jakimś koszem na odpadki, dostatecznie obszernym, bo było co do niego włożyć. Kosz wkrótce znalazłem, ale nie mogłem zaraz pozbyć się ciężaru, gdyż drzwi tu i tam otwierały się i zamykały na przemian, a ludzie kręcili się tam i z powrotem. Mógłby mnie kto zganić za marnowanie tak znacznej ilości czystego papieru, który sam w sobie przedstawiał przecież jakąś wartość. Wreszcie hałasy umilkły, ludzie przeszli i nastąpiła chwila spokoju w tej części korytarza, co spostrzegłszy, cisnąłem kartki do kosza.

Już była szósta godzina, więc może czas na śniadanie — pomyślałem. Ledwie jednak odszedłem kilka kroków, gdy znajomy głos zawołał za mną.

Obejrzałem się i zobaczyłem Asurmara, który pochylony nad koszem wyciągał z niego dopiero co ulokowany tam przeze mnie stos kartek.

— Pójdzie pan ze mną, proszę — powiedział.

Z jego twarzy nie mogłem odczytać, o co mu właściwie chodzi, bo była bez wyrazu. Usłuchałem go, już z pewnym zniecierpliwieniem, słusznie podejrzewając, że na tym się nie kończy plakatowa historia. Asurmar prowadził do kancelarii Gonedu. W środku zastaliśmy Senta i jeszcze jednego mężczyznę, w którym — kiedy się odezwał — z łatwością rozpoznałem po głosie Alina. Z nimi to właśnie błąkałem się w ciemności po czterdziestej piątej kondygnacji. Ciekaw byłem, czy wrócili stamtąd z jakimś cennym łupem. Z Sentem, oprowadzającym mnie wczoraj po głównym korytarzu, jeszcze na ten temat nie rozmawiałem. Dopiero gdy Asurmar zwrócił się do nich z żądaniem opuszczenia kancelarii na kwadrans, zapewniając równocześnie, że będzie w tym czasie odpowiadał za więźnia, domyśliłem się, jakie tutaj na dole pełnili funkcje.

Lokal urzędowy pułkownika był wąskim, lecz długim pomieszczeniem; na jednym jego końcu siedział na taborecie jakiś błądy mężczyzna, zapewne wymieniony podczas rozmowy więzień (gruba krata dzieliła go od nas), na drugim — znajdowały się jeszcze dwie pary drzwi.

Asurmar usiadł sztywno za biurkiem i wskazał mi krzesło naprzeciwko siebie. Z czasu mojej nieudanej podróży kretem, na podstawie przeprowadzonej wówczas z Gonedem rozmowy telefonicznej

mogłem się domyślać, że Asurmara łączyły z Gonedem serdeczne więzy przyjaźni.

Położył dłoń na stosie kartek.

— Co to ma znaczyć, panie Porejra? — spytał chłodno.

— To ja umieram z ciekawości, czekając na pańską opinię w tej ciemnej sprawie — odrzekłem. — Otóż nie wcześniej jak jakieś dwadzieścia minut temu pułkownik Goned we własnej osobie, nawiasem mówiąc, lekko niedysponowany, bo najwyraźniej nietrzeźwy — tu mrugnąłem porozumiewawczo — polecił mi rozlepić na korytarzach te czyste papiery. Twierdził przy tym z niemałym zacierzowaniem, że to są plakaty.

Wyrzuciłem to z siebie jednym tchem i składając już usta do uśmiechu, czekałem na jego reakcję. Jakże się jednak pomyliłem, spodziewając się odpowiedzi na mój uśmiech.

— A pan wyrzucił je do śmieci, czy tak?

— Bo tam im było najwygodniej. Ściany i bez tego są już brudne. Zresztą zgoda, przyznaję panu rację: należało zachować je przy sobie, aby oddać Gonedowi, za kilka godzin do trzeźwych rąk. Tylko że ja z sobą samym nie mam gdzie się podziać, bo pułkownik nie przydzielił mi dotąd żadnego kąta. Miałem więc taszczyć po korytarzach cały ten niedorzeczny bagaż?

— Dlaczego nie spełnił pan wyraźnego polecenia, pytam raz jeszcze?

— By się nie stać obiektem głupich żartów, rzecz jasna. Przecież kartki są czyste.

— Skąd pan wie, że nie ma na nich żadnych tekstów?

Chciałem powiedzieć, że nie jestem ślepy, ale się nie odezwałem. Wpatrywałem się w niego z niedowierzaniem. Nareszcie zaczynało mi coś świtać.

Wstał i przeszedł się kilka razy wzdłuż ściany. Przy kolejnym zwrocie zatrzymał się przed biurkiem. Podniesionym z blaszanki mokrym pędzlem przeciągnął przez środek jednej z kartek. Pod smugą kleju ukazały się po pewnym czasie najpierw pojedyncze litery, a potem wyraźne linijki dużego druku.

Zbity z tropu opadłem na krzesło. Jakby mnie kto w głowę zdzielił. Nie dlatego byłem zaskoczony, aby mnie zdumiała taka prosta w końcu sztuczka, bo reakcja wywoławcza kleju zmieszanego z farbą nie

przynosiła znów żadnej osobliwości, ale z tego powodu, że nie brałem wcale pod uwagę tajności ogłoszeń. Nic już nie miałem do powiedzenia; było mi po prostu wstyd.

— Jednak po co cała ta maskarada? — spytałem, jeszcze nie pogodzony z daną mi dotkliwą nauczka. — Dlaczego nie podaje się ogłoszeń zwyczajnym drukiem?

— To już nie pańska sprawa — odparł oschle. — Może pan sobie wyobrazić, że w tym celu, aby tekst ujawnił się dopiero na ścianie.

— Przyznaję, że popełniłem poważną gafę; brałem innych za głupców, a tymczasem to ja okazałem się jednym z nich. Czy może pan zdradzić jednak treść ogłoszenia? Z drobnego fragmentu nie mogę odczytać całości. Chyba to nie tajemnica, skoro...

Wyjął mi z ręki przekreśloną klejem kartkę, złożył ją starannie i schował do kieszeni.

— Gafę, powiedział pan? Ja bym to nazwał trochę inaczej. Delikatnie mówiąc, już można pana podejrzewać o nielojalność. A stąd niedaleko do... Są tutaj ludzie, którzy za takie wykroczenie zamknęliby już pana w areszcie. I nie wiadomo, co by z tego wynikło, gdyby kto inny przyłapał pana na próbie zniszczenia tych ogłoszeń. Tryb postępowania karnego nie należy tu na dole do opieszłych.

— Użyłem tego niefrasobliwego terminu świadomie, ponieważ gdzie indziej... są takie rzeczy... — plątałem się — krótko mówiąc: to, co się tutaj dzieje wydaje mi się zabawą w ciuciubabkę. I w tym znaczeniu „gafa” doskonale przystaje do sytuacji.

Unikałem wciąż poruszenia tematu posągów, gdyż lekcja wyniesiona ze stołówki wiele dawała mi do myślenia. Może — gdyby nie obecność więźnia — wróciłbym do przerwanej tam rozmowy.

— Pan sobie pewnie wyobraża — rzekł — że straciliśmy już kontrolę nad zasadniczymi wydarzeniami.

— Owszem, panujecie nad nimi z podziwu godną przebiegłością; rzecz w tym jednak, że owe zasadnicze wydarzenia, jak je pan nazwał — pojmowane jako zasadnicze w waszym ujęciu — wcale nimi faktycznie nie są.

— Pobrał pan już jedną nauczka, przypominam: czy śpieszy się panu do następnych?

— To prawda, że błądziłem przez jakiś czas...

— Więc proszę na przyszłość stosować się ściśle do rozporządzeń zwierzchników. Przez czas pozostawania w tej strefie podlega pan naszym przepisom nadzwyczajnym. Pańskim bezpośrednim przełożonym jest pułkownik Goned. Muszę pana poinformować ponadto, że indywidualne zadanie, z jakim pan do nas przybył, z punktu widzenia tu rozpowszechnionego ma charakter drugorzędny, aby nie powiedzieć wręcz — marginesowy.

— Domyślałem się tego już od pierwszej chwili.

— Przepraszam za brutalne akcenty w mojej wypowiedzi. Nie mogłem ich uniknąć w takich okolicznościach. Mówię o tym wszystkim dla pańskiego własnego dobra. Ze swojej strony postaram się wytłumaczyć i usprawiedliwić pana przed pułkownikiem.

— Będę panu zobowiązany. Ale czy mogę mówić otwarcie?

— Chętnie słucham.

Skinąłem głową na kratę, w stronę typa na taborecie, który jeszcze blebszy niż przedtem spoglądał na nas coraz częściej.

— Może pan przy nim mówić swobodnie, jak w pustym pokoju. Już on się stąd nie wydostanie. — Przyjrzałem się mężczyźnie ze współczuciem. Zmęczyła mnie już atmosfera starannego unikania pewnych tematów.

— Często wyplýwacie do miasta? — spytałem wprost. Oczekiwałem jakiejś nieprzewidzianej reakcji.

— Nie częściej, niż zachodzi tego potrzeba — odpowiedział zwyczajnie. — Panu też przydałby się jeden spacer, bo w opowiadaniach wygląda to inaczej. Nie miałby pan trudności z uzyskaniem zezwolenia, chociaż w zasadzie pańskie odwiedziny dotyczą postaci z pokoju cieni. Proszę jednak nie dotykać tego zagadnienia w takiej formie, jaką nadał pan swej niezręcznej wypowiedzi wczoraj na kolacji. Widział pan sam, do czego musiałem się poniżyć, aby nie dopuścić do skandalu. Pewne grupy ludzi są bardzo wrażliwe na tym punkcie i niech pan zechce uszanować panujące nastroje. Najlepiej, gdy powstrzyma się pan od jakichkolwiek nie przemyślanych uwag.

Po tej wypowiedzi Asurmara stała się rzecz dość dla mnie nieoczekiwana: zawisłem w umysłowej próżni. Tak wiele chciałem się naraz dowiedzieć, a brakowało mi słów, dostatecznie ostrożnych, które — nie zdradzając mego pochodzenia — rozwiąłyby równocześnie

pozostałe wątpliwości.

— Zastosuję się do tej wskazówki — szepnąłem. Kiedy to powiedziałem, zapadła cisza. Bałem się jej oznaczała, że zaraz wyjdę stąd, a wyjść — znaczyło pozostać z niczym. Obawiałem się dalszej włości wśród mgieł, tego nieskończonego szeregu pytań, pozostawianych na ogół bez odpowiedzi; lękałem się, że znów obejmie mnie swym spojrzeniem tamto lodowate oko — że może posiada tajemnicę posągów, ale nigdy nie zrozumie ludzi.

Temat już został wyczerpany, należało wyjść. Nie nasuwało mi się żadne zręczne pytanie; przeciwnie pchały się na ich miejsce pytania wprost, które by mnie na oczekaniu skompromitowały. Na domiar złego w drzwiach ukazała się głowa Alina. Asurmar nic więcej nie miał mi do powiedzenia. Dał znak Alinowi, aby wszedł. Podkomendni Goned w milczeniu zajęli miejsca przy stole obok kraty. Przedtem Sent postawił na podłodze przy więźniu kubek wody ze wspartym na jego krawędzi kawałkiem suchara. Tamten nawet nie zerknął na swoje śniadanie; za to wciąż mi się przypatrywał; odniosłem wrażenie, że daje mi ukradkiem jakieś znaki. Gdy zrobił porozumiewawczą minę, zacząłem starannie unikać jego wzroku. Przy stole Alin i Sent rozpoczęli grę w karty.

— Nie ma chyba całkowitej pewności, jaki będzie wyrok na tego człowieka? — spytałem, byleby wreszcie cokolwiek powiedzieć.

— Nie — odezwał się niechętnie Asurmar. (Alin w milczeniu zakreślił palcem dookoła szyi.) — Całkowitej pewności nie ma. Przyszłość każdego z nas okrywa głęboka tajemnica.

— To prawda — przyznałem mu skwapliwie rację. — Ale przynajmniej gdy idzie o przeszłość, stoimy mocno na obu nogach.

— Ona też rozpościera się za nami czarną nocą.

— Czy mam to rozumieć dosłownie?

— Oczywiście, że „czarną nocą” posłużyłem się w znaczeniu metaforycznym; przeszłość jest mglista; po prostu, nie znamy jej, nawet wtedy, gdy nas bezpośrednio dotyczy.

— Jak to, nie znamy jej? — podchwyciłem pośpiesznie ten temat, czując już, że idę właściwym tropem. Twierdzeniem takim przeczy pan oczywistości.

— Czyżby to jedno nie było dość pewne, że nasz sąd o przeszłości jest zbiorem subiektywnych interpretacji?

— Zgoda, przyjmijmy takie rozróżnienie: podział na fakty i wyobrażenia o nich. Kiedy więc mówię, dajmy na to, że urodziłem się... i tu podaję dokładną datę (jest to przykład tyle banalny, co chętnie przytaczany), stwierdzam tym samym niewątpliwym fakt z przeszłości.

— Nie stwierdza pan przez to żadnego faktu, niestety.

— Doprawdy?

— W swoim przykładzie podał pan zamiast samego faktu — własny sąd o przeszłości.

— Ma pan dość osobliwy punkt widzenia, ale czy sposób rozmijania się ze zdrowym rozsądkiem nie jest tutaj zbyt rażąco?

— Mniejsza już o zdrowy rozsądek, bo rzeczywistość niewiele ma z nim wspólnego. Podał pan tylko swój własny sąd o przeszłości, powtarzam. Już wyciągając z niej ten drobny szczegół, uznał pan, że jest on w ogóle istotny, co automatycznie zdradziło pana stosunek do niego.

— Ależ ja nie wyraziłem opinii o sobie, wymieniłem tylko datę swoich urodzin.

— To już wystarczy jako opinia, bo obok daty zaakcentował pan własną lub jakąkolwiek inną obecność w świecie, w danej chwili wysuwając ją na pierwszy plan. Zabieg taki nosi wszelkie cechy spojrzenia całkowicie subiektywnego.

— Niechże pan nie żartuje! Czyżbym miał wszystkie nazwiska wymienić równocześnie?

— A co wynika z niemożności dokonania tego?

— W ten sposób nie dojdziemy nigdy do porozumienia. Przecież ja nie upieram się przy dacie swoich urodzin, która akurat nie przypadła panu do gustu. Mogłem podać jakikolwiek inny przykład; ostatecznie, nie możemy narzekać na brak faktów.

— Nic by z tego nowego nie wynikło: same fakty są nieosiągalne; zamiast nich dysponujemy tylko interpretacjami przeszłości. Niepodobna się uwolnić od własnego zdania o czymś, które ujawnia się głównie — jeśli nie wyłącznie — poprzez dokonany wybór i które nie jest ani prawdziwe, ani fałszywe — tylko własne, jeżeli naturalnie nie jest cudze, co zdarza się najczęściej i co stanowi jeszcze gorszy przypadek.

Podczas naszej rozmowy więzień przerzucał wzrok raz po raz to na Asurmara, to znów na mnie, przypominając swymi ruchami obserwatora

gry w ping-ponga. Miał przy tym taką minę, jak gdyby od wyniku naszej potyczki słownej zależał jego niepewny los. Alin i Sent natomiast, pochłonięci grą w karty, nie zwracali na nas żadnej uwagi.

— Po cóż więc głosić ideę powszechnego determinizmu — podjął znów Asurmar (widać było, że dotknąłem samego sedna nurtujących go od dawna myśli) — po co się upierać, że dane obiektywnie przyczyny prowadzą zawsze do jednego skutku, który znów staje się przyczyną następujących po sobie koniecznych stanów złączonych nieskończonym łańcuchem powiązań, co pozwala sądzić, że przyszłość cała jest już z góry ustalona przez naturę samą, w jakim celu, powtarzam, łudzić się rzekomo odkrywczą wartością takiego przekonania, skoro my tej przyszłości. — ustalonej już czy nie, nie jesteśmy w stanie poznać w rzeczywistej jej postaci, nawet wtedy, gdy przemieni się już w czas dokonany?

Słuchając tego wywodu, który był kontrowersyjny w stosunku do moich wcześniejszych rozważań, patrzyłem na cieniutki strumyczek kleju wypływającego z nieszczęsnej blaszanki. Naczynie stało na krawędzi biurka, ponad krzesłem, na którym wcześniej Asurmar złożył stos zagadkowych ogłoszeń, toteż po upływie kilkunastu minut na pierwszy plakat wyciekła spora porcja rzadkiego kleju i rozlała się na nim kilkoma szerokimi kałużami, co spowodowało reakcję wywoławczą obszernych fragmentów tekstu i czego Asurmar ze swego miejsca nie mógł zauważyć. Siedziałem tuż obok tamtego krzesła, więc ze wzrokiem opuszczonym na dół, udając tylko, że słucham uważnie, miałem okazję skoncentrować się na treści dziwaczного ogłoszenia.

Udało mi się odczytać w całości tylko te oddzielone od siebie czystym papierem fragmenty, które dobrze nasiąkły klejem:

...gdyż rozpatrywaliśmy dotąd świadomość ludzką w takich kategoriach, w jakich się analizuje wyłącznie zjawisko. Stąd możliwość oderwania umysłu od mózgu, jako możliwość oderwania formy od treści — wydawała nam się całkowicie wykluczona...

...że ich egzystencja wspierać się musi na cywilizacji umysłów z naszego — o jeden szczebel niższego — poziomie.

Zatem od milionów lat — bez żadnego absolutnie pojęcia o istocie tak powszedniego zjawiska — sami regularnie co kilkanaście godzin oddajemy się w ich niewidzialne — jak dotąd — ręce, bowiem tamte wyższe zasadniczo istoty opierają się na fazie materii zorganizowanej w postaci naszych umysłów przez cały czas naszego ośmiogodzinnego zazwyczaj snu. Stąd to właśnie bierze się ów tajemniczy dotąd efekt przygasania świadomości u śpiącego człowieka, stąd tylko wywodzi się sam *sen* — skutek procesu konsumpcyjnego wyższego rzędu, w którym *oni* od niepamiętnych czasów trawią nasze

umysły, nie zabijając ich — tak jak my sami strzyżemy nasze owce albo doimy krowy...

Nie miałem czasu zastanowić się nad treścią tego zdumiewającego ogłoszenia, toteż nic prawie z niego nie rozumiejąc, skupiłem uwagę na słowach Asurmara, który wciąż mówił do mnie jednym tchem:

—...ując całości we wszystkich jej niezwykle złożonych przejawach, a to znów wydaje się nieodzowne, gdy chcemy tę całość zrozumieć i opisać. Okoliczność, że z nieprzeliczonej liczby współistniejących szczegółów rzeczywistości wybieramy zawsze pewną skończoną i z natury rzeczy znikomą ich liczbę, wskazując na nie, bo to nieuniknione, dyskwalifikuje je automatycznie jako fakty obiektywne. Każdy element wyrwany z całości staje się dla nas już czymś zupełnie innym, nabiera odrębnych cech, każda odizolowana część zdradza własności nieobecne w chwili, gdy jeszcze współbrzmiała z całością.

— Wynika z tego tylko tyle — przerwałem, by wykazać się przytomnością umysłu — że nazywając coś po imieniu, zniekształciłem już poprzez dokonany wybór zarówno samą pozbawioną swej części całość, jak i ów wyjęty z niej element. Jednak przy opisie sytuacji można wziąć poprawkę na to zniekształcenie.

— Wynika z tego znacznie więcej, niż to się na pierwszy rzut oka wydaje: wskazać na coś istniejącego między innymi — to znaczy wybrać, zaś wybierać to właśnie interpretować rzeczywistość, czyli przy pomocy tendencyjnie wyrwanych z całości elementów formułować jakąś określoną wizję świata. Że każda wizja — choćby i najbardziej obłądana — znajdzie dostateczne racje, to już nieraz udowodniono. Ktoś powie: „Musztarda”, zapyta pan: „Co za musztarda?”, a on wyjaśni: „Ano musztarda — istnieje!” Lecz nie dlatego jest wariatem, że powtarza to przez całe życie, w różnych odcieniach i sytuacjach, tylko z tego powodu, że jest w swej wizji całkowicie osamotniony. Wystarczy jednak, aby ta musztarda pojawiła się na ekranach telewizorów, by trwała na nich w różnych postaciach przez dwadzieścia cztery godziny, przez lata całe, by mówiły o niej filmy kryminalne, westerny i traktaty filozoficzne, aby ludzie się przy niej rodzili i umierali, a już pojawią się głębokie konflikty ambicjonalne: „Wszyscy mają musztardę, a ja nie!”, problemy prawne: „Czy wolno przewozić musztardę po kryjomu?” i naukowe: „Z czego można wycisnąć najwięcej musztardy?”, nowe kryteria estetyczne: „ów splot musztardowy — to jest dopiero siła wyrazu!” oraz przejmujące

utwory liryczne: „Kocham go za jego musztardę”, wreszcie dogmaty religijne: „Istnieje jedna tylko Musztarda” i trwałe kłopoty organizacyjne: „Czym wypełnić lukę między jedną porcją musztardy a drugą?” — już w miejsce starej kultury pojawi się cywilizacja musztardowa, w której wspomniany na początku dziwak będzie piastował bardzo wysoką i odpowiedzialną funkcję. Powie pan, że to nonsens: widzieć wszystko pod tak wąskim — musztardowym — kątem. Że uwzględniając trwałą skłonność do powielania absurdalnej sytuacji, trzeba jej się przeciwstawić nie przy pomocy jałowej — jak uczy doświadczenie — paplaniny o musztardowej przeszłości, rzekomej wiedzy o niej (rozwleczonej na tysiącach kilometrów papieru i zilustrowanej w obrazach i w pieśni), która zamiast w potępienie przekształca się zawsze w rozdymaną fascynację, ale usunąć ją przez zwolnienie miejsca dla innych wartości, obecnych na dalszych planach już od zarania dziejów. Słyszając to, zdziwią się ogromnie: „Jakże to? — spytają. — Przecież musztarda istnieje obiektywnie!”. „Tak! — wykrzyknie pan, osłabiony już nieco. — Czasami rzeczywiście: pojawia się. Ale nie tylko ona, nie ona jedna. Nie ona przede wszystkim!” Zdruzgoczą pana na miejscu: „A czyż nie spełnia w naszym życiu roli zasadniczej!”

— Więc każdy odrębny świat stwarza się w ten sposób, że się *przemilcza* istnienie innych.

— Oczywiście.

— Jedynym realnym faktem proponuje pan wobec tego nazwać cały Wszechświat rozciągnięty w czasie i w przestrzeni.

— Do takiego wniosku zmierzałem.

— Byłoby to więc ujęcie dialektyczne, przekonanie o wszechzwiązku rzeczy rozpatrywanych nie w oderwaniu wzajemnym, lecz wyłącznie w ich współistnieniu równoczesnym i w rozwoju w czasie. Czy jednak my sami, którzy prowadzimy takie rozważania, my sami, powtarzam, też drobne elementy w rzeczywistości niezmiernie, nie możemy się oprzeć na żadnej pewności? Czy nie wiemy, kim jesteśmy, gdzie się znajdujemy i co tutaj właściwie robimy?

— Pan, na przykład, nazywa się Net Porejra. Znajduje się pan w schronie Kaula-Sud wtłoczonym w głąb ziemi, a zajęcia pańskie polega na badaniu obiektów uformowanych przez siły natury.

— No właśnie.

— I taki opis własnej sytuacji w świecie całkowicie pana zadowala?

— Lepszy taki niż żaden. To szkielet zaledwie. Na tak zarysowanej mocnej konstrukcji można oprzeć całą resztę. Można i trzeba wypełnić ją szczegółami.

— A czy ocaleją szczegóły, gdy główna konstrukcja runie?

— Nie może załamać się coś tak niewątpliwego, jak pewność, że jestem, myślę i czuję.

— Zgoda — to, co pan wymienił, pozostanie. Lecz automatyczne odpowiedzi: „Tak się nazywam i tym jestem”, „Tutaj się znajduję” oraz „Tym się zajmuję w celu osiągnięcia tego lub owego” — nie są ostatecznymi informacjami. To tylko ciosy rakiety tenisowej, którymi odbijamy od siebie, jak piłki, rzeczywiste pytania. Wcale ich przez to nie unicestwiamy, że zbywamy je namiastkami prawdziwych odpowiedzi.

Opuściłem wzrok na swoje ręce, którymi od pewnego czasu miażdżyłem nieświadomie pudełko zapalek. Tak, jakby mnie przejrzał, jak gdyby posiadał moją największą tajemnicę, chociaż niczym mu się przecież nie zdradziłem. Tak się we mnie wpatrywał, jakby — już wszystko o mnie wiedząc — dobierał tylko w myśli słowa, by mnie nimi ostatecznie zdemaskować. Panował nade mną swymi argumentami — to pewne. Musiałem się wreszcie zdecydować, odgadnąć sens podstawowy: czy siła, która powodowała mną — potężny i nieprzenikniony Mechanizm, chciała podejść, osaczyć i zniszczyć ludzi w swym ukrytym dążeniu, czy przeciwnie raczej może ich oswobodzić? Byłem jednak jej członem, komórką wysłaną w przestrzeń, narzędziem posłusznym jej woli. Gdzie więc — czy w sobie samym powinienem szukać odpowiedzi?

— Zastanawia mnie jedno z pańskich zdań — odezwałem się. — Przytoczę je w dosłownym brzmieniu. Powiedział pan wczoraj: „My, postaci z *Jego* snu, powinniśmy dbać o to, aby *Go* nie obudzić”. Położył pan mocny nacisk na te same zaimki, które teraz ja zaakcentowałem, z czego wnoszę, że chodziło panu o bardzo ważną osobę. Kogo miał pan wówczas na myśli i jaki sens kryje w sobie tamta niejasna wypowiedź?

— Ja coś takiego powiedziałem?

— Bez wątpienia. Inaczej nie poruszałbym tego tematu.

— Kiedy to było? Na kolacji?

— Nie, nie tam.

— W windzie może, kiedy sprowadzałem pana do tej strefy?

— Przykro mi, że zwróciłem uwagę na coś, czego pan, zdaje się, w ogóle nie ma zamiaru pamiętać.

— Nie upieram się przecież. Chętnie sobie przypomnę.

— Powiedział pan to na korytarzu, u wyjścia na teren pokryty spalonym lasem.

— U wyjścia na teren pokryty spalonym lasem, mówi pan?

— A cóż to znów tak pana dziwi? Zapamiętałem każde słowo, ponieważ już po incydencie z leżakiem, kiedy pan na jakiś czas zniknął mi z oczu, manekin uformowany ze szczątków latającego obiektu powtórzył jeszcze raz słowo po słowie to samo zdanie. Tak dokładnie, jakby pana przedrzeźniał.

— Manekin powtórzył? Co pan wygaduje?

— Nie był pan świadkiem początku tej sceny, gdyż dobiegliście do nas dopiero w kilka chwil potem. Dość na tym, że wyraźnie powtórzył po panu nie tylko wspomniane już zdanie, ale też po kolei wszystkie słowa, z jakimi pan się do mnie zwrócił w czasie naszego pobytu pośród spalonych drzew. Byłem tym wszystkim tak samo zdumiony, jak pan w tej chwili, gdy o tym wspominam.

— Ale ja jestem zaskoczony zupełnie czym innym.

— Czym mianowicie?

— Bo nie pojmuję, dlaczego wymyślił pan tę całą historię. Jeżeli ma to być pana argument *à propos* naszej dyskusji, to muszę uznać, że wygrałem walkowerem. W dalszym ciągu zupełnie pana nie rozumiem.

Już nie tylko więzień, ale również Alin i Sent spoglądali na mnie z rozbudzonym nagle zainteresowaniem. Poprzednie zapewnienie Asurmara, że mogę mówić otwarcie, wprowadziło mnie w błąd. W swoim dążeniu do poznania prawdy posunąłem się widocznie za daleko. Asurmar niedwuznacznie wypierał się wszystkiego w obecności tamtych ludzi.

— Był pan już na śniadaniu? — zmieniłem temat, wstając z miejsca.

— Jeszcze nie byłem. Bardzo mnie to jednak zaszczyca, że brałem udział w pańskich perypetiach sennych. Nie domyślałem się jedynie, czego to ma dowodzić. Przypuszczalnie...

— Dość już! — przerwałem mu opryskliwie. — Zechce mi pan towarzyszyć?

Byłem już zły, że dalej bez potrzeby odgrywa komedię przed

tamtymi ludźmi, chociaż wyraźnie kierowałem się do wyjścia, pociągając go nieznacznie za sobą. Wyszliśmy do przedpokoju.

— Przejdźmy się korytarzem — zaproponował.

— Przepraszam pana za kolejną niezręczność — zwróciłem się do niego. — Jestem już taki skołowany, że nie wiem doprawdy, co mi powiedzieć wolno otwarcie, a co mam ukrywać, kiedy i przed kim.

— Nie ma tu przecież żadnych niejasności prócz tej, której badaniem sam się pan zajął.

— Nie ma tajemnic prócz samych posągów?

— Ależ oczywiście. To pan sam, dla własnego użytku wyłącznie, jak mi się zdaje, stwarza sobie jakieś dodatkowe zagadki, jakby tamta jedna nam nie wystarczała.

— Dlaczego zatem w obecności Alina i Senta, a może przy więźniu, bo sam tego nie wiem, robił pan nie dowierzające miny i czemu dokładny opis wczorajszych zdarzeń nazwał pan zmyśleniem?

— Nie mogłem reagować inaczej, ponieważ nieznane mi są przyczyny, dla których ułożył pan tamto opowiadanie.

— Ułożyłem? Teraz ja z kolei zaczynam pana podejrzewać o żarty. Chodziło mi wyłącznie o wytłumaczenie znaczenia wczorajszej pana wypowiedzi.

— Mniejsza już o tę jedną wypowiedź. Przede wszystkim cała sceneria, w jakiej rzekomo odbyły się opisywane przez pana wypadki, jest całkowicie zmyślona, o czym pan sam zresztą doskonale wie. Dlatego dziwię się panu, nie rozumiejąc, do czego pan zmierza.

— Twierdzi pan nadal, że zmyśliłem sobie to wszystko.

— Nie mam żadnego wyboru.

— Możemy zaraz przejść przez tunel na miejsce, co mi pozwoli przywrócić panu pamięć, jeżeli nie całą, to tę część przynajmniej, która dotyczy momentu wyrzucenia z leżaka pańskiego sobowtóra. Czy nie uczynił pan tego własnoręcznie?

— Zadziwia mnie pan dalej swoją pomysłowością.

— Pokażę miejsce na ziemi...

— Nie może pan tego zrobić, niestety.

— Dlaczego?

— Ponieważ spalony las istnieje wyłącznie w pańskiej wyobraźni.

— Chodźmy więc!

— Świetny pomysł. Wizja lokalna rzeczywiście dobrze panu robi. Ja jednak nie muszę brać w niej udziału, wobec czego wstąpię tutaj do baru. Gdyby miał pan ochotę zobaczyć się ze mną w najbliższym czasie, to proszę mnie odwiedzić. Zajmuję pokój E-43.

Oddalił się w stronę uchylonych drzwi, skąd dobiegał gwar licznych rozmów.

— Jest tutaj wyciąg powietrza z filtrem, dzięki czemu można palić papierosy — rzucił za mną jeszcze.

Już go nie słuchałem. Szedłem, wciąż przyśpieszając, znaną mi dobrze drogą, do tunelu wiodącego pod szerokie niebo, z białosiną kulą księżyca w głębi granatowej pustki, ku imitacji otwartej przestrzeni, dobrze to wiedziałem już wówczas, gdy stałem tam z nogami zanurzonymi w popiołach, wśród pokracznych czarnych konarów i gdy świeży powiew wiatru niósł woń dawno już wygasłego pożaru.

Przecisnąłem się wąskim przejściem między dwiema zbliżonymi do siebie ścianami i znalazłem się w przedsionku, skąd ciemnym korytarzem dotarłem do wyjścia prowadzącego do tunelu. Serce zabiło mi niespokojnie, kiedy otwierałem drzwi. Nie było go! Stałem w jakimś krótkim, pustym pomieszczeniu o suficie przypominającym strop tunelu. Tam, gdzie spodziewałem się ujrzeć znany sobie widok, widniała lita ściana, pokryta starą spękaną farbą. Wsparłem na niej czoło i zamknąłem oczy. Nogi ugięły się pode mną.

Wyznanie szpiega

Korytarz prowadził do nieznannej mi części segmentu. Mijając rząd drzwi, pomyślałem w pewnej chwili, że gdybym którekolwiek z nich otworzył, może — przy odrobinie szczęścia — znalazłbym poza nimi jakieś wolne łóżko. Gotów już byłem pogodzić się z możliwością wywołania awantury zakończonej wyrzuceniem mnie za drzwi, gdyby nieobecny chwilowo lokator pokoju, wracając do siebie, zastał mnie później na swoim posłaniu. Tak czy owak zyskałbym może choć godzinę snu, a tutaj, na korytarzach, trudno było nawet gdziekolwiek usiąść.

Pod wpływem tych myśli nacisnąłem kilka klamek. Drzwi były zamknięte na klucze; dopiero czwarte z kolei ustąpiły, ukazując mi wnętrze małego pokoju zajętego przez dwóch rozmawiających mężczyzn. Powiedziałem „przepraszam” i już zamierzałem się wycofać, gdy człowiek stojący tuż za drzwiami tyłem do mnie rzucił mi szybkie spojrzenie przez ramię i gwałtownie zwrócił z powrotem twarz w stronę swego towarzysza. Tamten stał nieco dalej w głębi pokoju przy wywróconym fotelu. Herbata z rozbitej szklanki zalewała powoli papiery leżące na biurku. Obaj mężczyźni oddychali głęboko. W pierwszym, któremu krawat przy rozerwanej koszuli przesunął się na plecy, rozpoznałem Unevorisa. Przysłaniał mi sobą coś, co trzymał w ręce na wysokości piersi.

— Zechce pan usiąść, panie Porejra, na tamtym krześle — powiedział, nie odrywając oczu od swego towarzysza. — Pan Coorez nie będzie nam przeszkadzał, zwłaszcza jeżeli będzie tak uprzejmy, że postawi fotel i zajmie na nim miejsce.

— Wczoraj miał mi pan coś ważnego do powiedzenia — przypomniałem mu, siadając na wskazanym krześle. Miałem nadzieję, że taki wstęp dobrze tłumaczy moje niespodziewane pojawienie się tutaj. — Nie mieszkam już w pokoju Veisa. Pomyślałem więc, że trudno będzie panu mnie znaleźć. Wspomniał pan o jakimś zagadnieniu, które dotyczy fizyki. Czy jest ono nadal aktualne?

W czasie, kiedy to mówiłem, Unevoris obszedł mnie z tyłu i zajął miejsce za biurkiem. Lawirował przy tym tak zręcznie, że nie udało mi

się dostrzec przedmiotu, który trzymał przy piersi. Gdy usiadł, opuścił prawą rękę na kolana. Chociaż w dalszym ciągu nie widziałem jej, łatwo mogłem się domyślić, że trzymał w ukryciu wymierzony w tamtego rewolwer.

— Aktualne jest bardziej niż kiedykolwiek.

— A czego dotyczy?

— Naszego położenia. Przy czym nasze „położenie” zajmuje mnie w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego słowa.

— Słucham wobec tego. Jakie ono jest pana zdaniem?

Podsunał mi zmoczony herbatą notatnik.

— Wybaczy pan, że nie będę pisał. — Bez przerwy wpatrywał się w mężczyznę na fotelu z taką uwagą, jakby mówił wyłącznie do niego. — Ot nieszczęście, przykry wypadek jakich wiele: zwichnąłem sobie prawą rękę.

— Życzy pan sobie, abym stenografował waszą rozmowę?

— Nie. Poproszę pana tylko o wykonanie kilku prostych rachunków. Najpierw zadam pytanie pozornie oderwane od rzeczywistości. Jaką drogę przebędzie gwiazdolot ruszający z Ziemi, jeżeli po upływie roku, a trwając nieustannie w ruchu jednostajnie przyśpieszonym prostoliniowym, osiągnie prędkość bardzo zbliżoną do prędkości światła?

— Czy chce mnie pan rozśmieszyć? To mi wygląda na egzamin z elementarnej fizyki. Słowem, pod pozorem prowadzenia jakichś abstrakcyjnych rozważań, chce pan wystawić na próbę moje umiejętności.

— Niech pan przestanie żartować, bo chodzi o bardzo poważną sprawę. Doszedłem do pewnego wniosku i chciałbym, aby pan również zastanowił się nad nim.

— Opisany przez pana obiekt przebędzie drogę równą połowie roku światła, jeżeli ją zmierzyć miarą Ziemi. Czy zależy panu na wyniku podanym w kilometrach?

— Świetnie, to mi wystarczy. A ile czasu potrzeba na to, by ów gwiazdolot, poruszając się bez przerwy z przyśpieszeniem dokładnie równym ziemskiemu, osiągnął tamtą granicę prędkości?

— Tutaj będę już musiał skorzystać z notatnika.

— Proszę się tym zająć. Jutro może być za późno na dokonanie

pewnego spostrzeżenia.

Wyjąłem długopis. Pochyliłem się nisko nad notatnikiem i zerknąłem pod biurko na kolana Unevorisa, gdzie brzęknęło coś metalowego. Nie udało mi się dojrzeć jego prawej dłoni, ponieważ szybko przesunął ją na nowe miejsce. Mężczyzna na fotelu nie miał miny człowieka zastraszonego. Ziewał raz po raz i spoglądał na zegarek, czym wyrażał zniecierpliwienie, a nie lęk przed wymierzoną w siebie bronią. Czyżbym się jednak pomylił podejrzewając, że tuż przed moim wejściem do pokoju wywiązała się tutaj jakaś sprzeczka zakończona szarpaniną, a może nawet bójką?

Liczyłem bez entuzjazmu. Krople z zalewającej biurko kałuży kapały miarowo na podłogę. W podkreślonej szelestem kartek ciszy usłyszałem podniesiony męski głos, który dobiegł spoza drzwi sąsiedniego pokoju. Przebywający tam mężczyzna krzyczał na kogoś, kto prawie wcale mu nie odpowiadał. Kiedy pisałem ostateczny wynik, drgnąłem i mimo woli obejrzałem się poza siebie, bo wydało mi się, że w jednym z cichych głosów spoza ściany rozpoznałem jakąś znajomą nutę.

— Trzysta pięćdziesiąt cztery doby — powiedziałem po wykonaniu dzielenia. — Niewiele brakuje do całego roku.

— Zgadza się — potwierdził Unevoris. — A do tej liczby brakuje nam osiemdziesięciu dni. Dwieście siedemdziesiąt cztery doby już minęły.

— Ma pan na myśli okres czasu, jaki upłynął od dnia katastrofy do dzisiaj?

— Tak. O tym okresie czasu mówię. Uważam jednak ponadto, że w jakiś zagadkowy sposób zgubiliśmy pozostałe osiemdziesiąt dni, których brak do trzystu pięćdziesięciu czterech i które również mamy już na pewno poza sobą. Zabrzmi to jak ostrzeżenie rzucone głuchym, lecz dodam, że moment krytyczny może nastąpić w każdej chwili — choćby dziś, za godzinę lub za sekundę nawet. Wcale bym się tym nie zdziwił.

— Co pan rozumie przez „moment krytyczny”?

— Chwilę, w której ustanie ciąg fotonowego silnika. Rzecz oczywista, że przy osiągnięciu prędkości podświetlonej silnik zostanie wyłączony i, co za tym idzie, ruch z jednostajnie przyśpieszonego przejdzie automatycznie w jednostajny. Wyłonią się wtedy bardzo poważne kłopoty. Nazwijmy je skromnie trudnościami bieżącymi. Bo o

tych, które pojawią się w bliżej nieokreślonej przyszłości, lepiej w ogóle nie mówić.

— Pan sugeruje, że znajdujemy się w odległości prawie pół roku światła od Układu Słonecznego?

— Jestem o tym przekonany.

— I że jest to, jak pan sądzi, pogląd odosobniony?

— Niestety. Wśród ludzi otaczających Lendona nie znalazł on, o ile mi wiadomo, żadnego zrozumienia. Pilnie dbacie o to, by nie został rozpowszechniony. Może słusznie trzyma się w tajemnicy tę przerażającą prawdę. Ale dlaczego zostałem wyśmiany przez doradców Lendona, kiedy podzieliłem się z nimi swymi spostrzeżeniami? Czy fakty nie biją pana w oczy!

— Jakie to fakty? Przecież na razie dał mi pan jedynie obraz spekulacji oderwanych od rzeczywistości. Co to znaczy: „Zgubiliśmy pozostałe osiemdziesiąt dni”?

— Tego nie wiem, ale nie wskazałem jeszcze głównej podstawy, na której opieram swoją hipotezę.

— Chciałbym ją poznać.

— Podstawa pierwsza — to zasada równoważności Einsteina. Patrzy pan dookoła siebie z błogim przeświadczeniem, że wszystkie przedmioty ciążą tutaj ku podłodze w wyniku działania siły grawitacji...

— A tymczasem jest to reakcja na stałą siłę przyłożoną do wyrwanego z ziemi i zawleczonego w przestrzeń kosmiczną schronu, czyli siła bezwładności. Tak pan sądzi?

— Oczywiście. Bo w danym punkcie przestrzeni efekty grawitacji i ruchu jednostajnie zmiennego są identyczne i nie mogą być rozróżnione. Już powiedziałem, że przyśpieszenie tego ruchu jest dokładnie równe przyśpieszeniu ziemskiemu.

— Domyślam się, że wszystko, co pan dotąd poruszył, było tylko przygotowaniem, wstępem do wyprowadzenia ostatniego argumentu.

— Zgadł pan.

— Jest nim obliczony dzisiaj stosunek czasów. Jednego — upływającego w mieście, nazwijmy je miastem relatywistycznym, i drugiego — który przechodzi tutaj.

— O to mi właśnie chodziło! A wie pan, jakiej względnej prędkości miasta i schronu odpowiada ów stosunek czasów?

— Prędkości podświetlonej.

— Zatem koło się zamknęło.

Na te słowa mężczyzna w fotelu drgnął i zamrugał, wykrzywiając usta, jakby obudził się ze snu. Nie wiedziałem, dlaczego denerwował mnie. Nie miał już takiej znudzonej miny jak przedtem. Chyba jednak nie śledził w ogóle naszej rozmowy; mierzył wzrokiem odległość do drzwi.

— Teraz ja z kolei zadam panu pytanie — odezwałem się. — Czym jest, zgodnie z pana opinią, badane przez nas miasto?

— Fotografiją.

— Jak to?

— Jest ono dla nas dość osobliwym filmem.

Coś sprawiło, że przestałem słuchać Uneverisa. Dźwięczały mi w uszach jakieś słowa, ale nie treść ich zwróciła moją uwagę, bo były zbyt ciche, tylko brzmienie głosu, który je wypowiadał. Nie wątpiłem już, co mnie męczyło od kilku minut, kiedy rozmawiając wsłuchiwałem się równocześnie w dobiegające spoza ściany dźwięki. Wśród innych rozpoznałem cichy głos Iny. Znajdowała się w sąsiednim pokoju. Ktoś tam na nią narzekał. Cieszyło mnie to spotkanie.

— Zastrzegam się, że mam na myśli film doskonały pod każdym względem — ciągnął dalej Uneveris. — Takie wynalazki, jak stereoskopia, pełna panorama... i tak dalej, są tylko namiastkami wierności tego obrazu Kaula-Sud, jaki utrwalony w dniu czwartego czerwca i rzucony w przestrzeń wędruje dziś za nami, jak wyjęta z albumu przed wyruszeniem w podróż i przechowywana w kieszeni fotografia.

Myśli zajmowało mi już co innego, ale podtrzymawałem rozmowę. Spodziewałem się, że Ina w drodze na korytarz będzie musiała przejść przez ten pokój.

— Więc nie samo przeniesione w czasie miasto zostało nam przedstawione, upiera się pan, ale jego doskonała reprodukcja? — spytałem, zniżając głos, bo chciałem też uchwycić jakiś strzęp rozmowy spoza ściany.

— Niewątpliwie. Dlatego jakakolwiek zmiana wprowadzona tam przez nas dzisiaj nie stanowi ingerencji w przeszłość miasta, a tym samym nie może zadecydować o kształcie naszej teraźniejszości. Z tego samego powodu nie upiększa pan swego aktualnego przed rokiem

wyglądu, retuszując dziś wykonane w tamtym czasie zdjęcie. Zabieg taki wpływa tylko na poprawę samopoczucia, bo pozwala pieścić w sobie słodką iluzję.

— Lecz gdzie ta reprodukcja właściwie się znajduje, pana zdaniem? Czy tu przy nas, bezpośrednio pod dnem schronu, czy wiele kilometrów stąd, gdzie pozostała za nami Ziemia? Uderza mnie paradoks zawarty w powstałej sytuacji.

Usłyszałem nieco wyraźniejszy głos spoza drzwi:

„Ostatecznie nie wymaga się od pani rzeczy niewykonalnej!”

Podniecony siłą swych argumentów mój rozmówca w miarę przeciągania się dyskusji zwracał się coraz bardziej frontem do mnie, jakby zlekceważył okazywaną na wstępie ostrożność i zapomniał o obecności drugiego człowieka. Tamten niby to patrzył obojętnie w kąt pokoju, ale pochylił się przy tym wyraźnie do przodu i zmienił pozycję nóg, z czego znów mogło wynikać, że czekał tylko na najlepszą sposobność do ataku i szykował się do skoku w stronę swego strażnika. W obawie przed ośmieszeniem się, w przypadku, gdyby moje podejrzenia okazały się błędne, powstrzymywałem się od uwagi na ten temat.

Zadzwoił telefon. Uneveris podniósł słuchawkę i jeżeli nie liczyć rzuconego do niej przekleństwa — wypowiedział tylko jedno zdanie: „W takim razie przyślijcie Senta, bo ja stąd nie mogę się przecież ruszyć.”

— Niełatwo jest odsłonić tę tajemnicę — podjął po chwili tonem wskazującym, że nie zapomniał mojego ostatniego pytania. — Reprodukcja znajduje się tutaj przy nas, gdyż inaczej nie moglibyśmy jej oglądać, ale równocześnie spoczywa tam — na dalekiej Ziemi, ponieważ — gdyby nie została na miejscu — nie obserwowalibyśmy jej poprzez narzucone ruchem transformacje. Więc może projektor znajduje się tam, a obraz tutaj? Niosą go do nas wysyłane z miejsca porwania fale elektromagnetyczne. Takie tłumaczenie może usunąć całą sprzeczność. Mamy tu równocześnie dodatkowy efekt w postaci zjawiska Dopplera: przesunięcie fal światła wysyłanego przez projektor ku falom dłuższym, tak znaczne, że promienie dla mieszkańców miasta widzialne, są dla nas radarowymi, zaś na ich miejsce przechodzi pasmo promieniowania gamma. Urządzenie odbiorcze statku galaktycznego, w którego ładowni przebywa nasz schron (naiwnością byłoby sądzić, że gwiazdolit ma

akurat kształt cygara, jaki sobie wyobrażamy, gdy mowa o pojazdach kosmicznych), odtwarza program emitowany z Ziemi. Jest już koniecznością czysto fizyczną i nieuniknioną, że śledzimy go poprzez przyzmat efektów relatywistycznych. Względność wszelkiego rodzaju ruchu wprowadza nas w błąd: to nie miasto oddala się od nas — lecz my od niego.

Śledząc uważnie tok rewelacyjnej wypowiedzi Unevorisa, nie przestawałem nasłuchiwać głosów spoza ściany. Panowała tam teraz cisza. Zaniepokoiłem się, że Ina opuściła już pokój. W takim razie znów nie umiałbym jej odnaleźć, ponieważ nie znałem nawet jej aktualnego nazwiska.

Wstałem.

— A wie pan, dlaczego możemy podejrzewać, że nasza paniczna ucieczka do schronu...

— Przepraszam — przerwałem mu. — Czy z sąsiedniego pokoju jest bezpośrednio wyjście na korytarz?

Podczas gdy Unevoris patrzył na mnie jeszcze bardziej wytrzeszczonymi oczami niż dotąd, nazwany przez niego Coorezem mężczyzna skinął pośpiesznie głową. Ruch ten przeszedł mu w coś w rodzaju nerwowego tiku. Skwapliwie przytakując, dał mi ręką jakiś nieokreślony znak, jakby chciał przez to powiedzieć: „No, nareszcie połąpałeś się w sytuacji!”

Nie miałem już czasu ani ochoty dochodzić sensu tej wieloznacznej sceny. Z myślami zaprzątniętymi obrazem oddalającej się Iny zwróciłem się w stronę drzwi. W tej samej chwili za moimi plecami padł strzał.

Ujrzałem Cooreza unieruchomionego w skoku, w połowie odległości od biurka, gdzie przeszyła go kula.

W dłoni Unevorisa, który poderwał się z miejsca, lśniła lufa rewolweru. Martwe ciało mężczyzny zważyło się na podłogę. W drzwiach ukazała się twarz przestraszonej Iny. Nie zdołałem pochwycić jej wzroku, który prześliznął się po mnie jak po obcym przedmiocie i spoczął na leżącym.

— Zaświadczy pan, że działałem zgodnie z ostatnią instrukcją — rzekł chłodno Unevoris. — Pośpiech był tutaj nieunikniony.

Ina podniosła na niego oczy. Nie było w nich już zdumienia, tylko zastygły w przewlekłym cierpieniu smutek. Przy tym wszystkim wcale

nie dostrzegła mnie; zanim zdołałem dojść do siebie, zniknęła bez słowa w sąsiednim pokoju.

— Najlepiej będzie, gdy się pan stąd oddali — usłyszałem jak przez sen głos Unevorisa.

Wyszedłem na korytarz. Nie opodał wejścia do pokoju, który opuściłem, znajdowała się łazienka. Ukryłem się w niej. Poprzez szparę w drzwiach zamierzałem wyglądać na korytarz. Spodziewałem się dalszego ciągu, może wyjaśnienia niezrozumiałych zdarzeń. Ina wreszcie musiała stamtąd wyjść. W uszach dzwoniło mi jeszcze echo niedawnego wystrzału. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że jakaś instrukcja pozwala tu strzelać do ludzi jak do wypchanych trocinami kukieł. Wreszcie nie to najbardziej mnie zastanawiało, kim był Coorez i czemu Unevoris zabił go na moich oczach z takim spokojem, jak gdyby chodziło tu o rzecz tyle błahą, co i zrozumiałą w każdym swym szczególe. Czemu zwłaszcza tak sucho skwitował jego śmierć? Zaniepokoiło mnie przede wszystkim dziwne zachowanie Iny. Zapewne miała powody, aby w obecności Unevorisa nie przyznawać się do znajomości ze mną. Widocznie uwikłała się w jakieś ukryte działanie, co pociągało za sobą konieczność zachowania ścisłej konspiracji.

Mimo to nie mogłem uwierzyć, aby Ina zdolna była opanować się aż do tego stopnia. Perfekcja jej gry zdumiewała mnie i niepokoiła zarazem. Nie dostrzegłem w jej oczach nawet iskierki porozumienia. W jej spojrzeniu, gdy spoczęło na mnie, była obojętność pełna, tak prawdziwa, jaką się okazuje człowiekowi rzeczywiście całkowicie obcemu. Wprawdzie czas naszej znajomości ubiegł nam w całkowitym mroku, lecz widzieliśmy siebie dostatecznie długo poprzez szyby cylindrycznych pojazdów już na samym wstępie, w strefie Mechanizmu. Czy mój dobiegający spoza ściany głos uprzedził ją o mojej obecności w przyległym pokoju, dzięki czemu mogła potem zachować zimną krew?

Zobaczyłem poprzez szparę otwierające się drzwi pokoju Unevorisa. Drgnąłem na widok postaci Cooreza, który masując sobie siniak na policzku, ukazał się na ich progu. Przeszedł szybko korytarzem. Nic prócz tego siniaka nie brakowało mu do całkowitego zdrowia. Kiedy mijał drzwi łazienki, dostrzegłem z ukrycia jego promieniejącą zadowoleniem twarz.

A więc jednak fikcja, oszustwo i gra. Kogo i o czym miała ona

przekonać? Na kim chciał zrobić, wrażenie Unevoris, gdy strzałem ślepią kulą improwizował scenę, która w żaden sposób nie mogła być ułożona z góry? Przecież wszedłem do niego najzupełniej przypadkowo, a wchodząc, znalazłem się od razu w samym środku wypadków. Więc to było przedstawienie zorganizowane w celu zastraszenia Iny.

Z drugiego końca korytarza nadchodził Sent. Przy każdym kroku tłukł mu się o udo zwieszony przy pasie nierozłączny rewolwer. Wyszedłem mu na spotkanie. Chciałem go zapytać, w jakim celu został wezwany do gabinetu Unevorisa.

— Jak się panom powiodła wizyta w zalanej magmą strefie? — zagadnąłem go, nawiązując najpierw do naszej pamiętnej wycieczki na czterdziestą piątą kondygnację. Chciałem go na wstępie wybadać, by na końcu postawić pytanie wprost.

— Co? — mruknął. — Gdzie?

— Znalazłem się wtedy w poważnym niebezpieczeństwie i musiałem sobie radzić sam. Ale czy zdołaliście wreszcie wyważyć którekolwiek z drzwi? Było poza nimi coś cennego?

Wykrzywił usta i stuknął się z rozmachem w środek czoła.

— A izolatka już trzeszczy w szwach — powiedział z udaną melancholią w głosie.

Zanim znikł za drzwiami pokoju, który niedawno opuścił Coorez, dorzucił jeszcze poważnym tonem:

— Niech się pan ratuje we własnym zakresie! — Speszony takim traktowaniem, bez słowa wsparłem się o ścianę. Stałem zwrócony plecami do sąsiednich drzwi. Ktoś zamykał je za sobą i zostałem potrącony. Usłyszałem głos Iny:

— Przepraszam.

Ominęła mnie i poszła obojętnie w głąb pustego korytarza. Miałem już tego wszystkiego dość.

— Ina! — zawołałem za nią.

Obejrzała się. Ledwie musnąwszy mnie przelotnym spojrzeniem, szła dalej. Z bijącym sercem zabiegłem jej drogę.

— Co się z tobą dzieje, Ino? Czy ty...? — głos mi się załamał. — Długo jeszcze będziemy udawali?

— Nazywam się Elta Demion. Czy kogoś panu przypominam?

— Ależ Ino, czy ty postradałaś zmysły? Przecież to ja... — urwałem.

Taki już byłem roztrzęsiony i wyprowadzony z równowagi, że zapomniałem nawet, jak mnie dotąd nazywała. — Więc wymazałaś mnie ze swej pamięci? To ja jestem, Rez!

— Przykro mi, ale... — uśmiechnęła się smutno. — Niestety, nie mogę panu pomóc.

Oddaliła się z oczami utkwionymi w podłódze.

Coś mnie jeszcze pchało za nią. Może naiwna nadzieja, że nie dość wyraźnie wytłumaczyłem jej, kim jestem. Chciałem znowu ją dogonić; wołać, wyjaśniać, pochwycić za ręce i trząść nimi dopóty, aż się wreszcie opamięta; pragnąłem, by mój bunt przeciwko siłom, które nas dzieliły, przeniknął ją również, byśmy razem mogli nad nimi zapanować.

Pozostałem na miejscu obezwładniony najgorszymi przeczuciami. Zrozumiałem, jak szalone i daremne były tamte podsuwane mi przez nadzieję usiłowania. W myślach kłębiła mi się mgła, w której wirowały postacie nieznanomych ludzi i przebiegi nieprzeniknionych zdarzeń. Noc ogarniała mi świadomość. Trwałem w niej zupełnie sam.

Dlaczego nie chciałem nim być? — Netem Porejra prawdziwym.

Dotąd, broniąc się przed jego zaciskającym się z wolna uściskiem, poruszałem się pod prąd wymownej rzeczywistości i tłumaczyłem sobie wszystko na opak. Każde wrażenie popychające mnie w jego stronę usuwałem pośpiesznie ze swojej świadomości; usypiałem, gdy myśl powstawała mi przeciwko pewności, że jestem powołanym do życia Robotem. Jak to było możliwe, żeby ludzie, których dobrze znałem, wypierali się mnie, zaś ci, których pierwszy raz widziałem na oczy, nazywali mnie znów po imieniu?

Tuż po spotkaniu z Veisem wyobrażałem sobie, zresztą nie bez podstaw, że jestem sobowtórem tamtego człowieka. Mechanizm nadał mi postać przybywającego tutaj fizyka — pomyślałem wówczas. Wiedziałem już, czego mam się trzymać. Zająłem więc od razu najwygodniejszą pozycję obronną; z tego stanowiska najłatwiej mi było tłumić i zacierać wyłaniające się kolejno sprzeczności.

Lecz krucha konstrukcja pozorowanej wiedzy o sobie załamywała się pod ciężarem ostatnich druzgocących ją odkryć. Widmo rzeczywistego Neta Porejry pochylało się obcym cieniem nade mną, a ja nie znajdowałem już oparcia, na którym mógłbym ocalić ostatnie swe

przekonanie — wiedzę o sobie samym.

Siedziałem w barze kawowym przy stoliku, naprzeciwko Asurmara, i paliłem papierosa za papierosem. Skąd wiedział, że już wkrótce będę próbował go odnaleźć? Wstąpiłem tu bezpośrednio po powtórnych oględzinach rzekomego tunelu. Tam spoczywać musiało pierwsze ogniwo przedłużającego się nieustannie łańcucha zagadek. Na ścianie prostopadłej do tej, która zgodnie z zachowanym w pamięci obrazem w ogóle tam nie powinna istnieć, znajdowało się wejście do dyżurki uzbrojonego wartownika. Strzegł on widniejącej w głębi niskiego przedsionka potężnej klapy, jedyne przejście do sąsiedniego segmentu. Na pytanie, jak często okazywano mu przepustki zezwalające na opuszczenie naszej strefy, lub przybycie do niej, odpowiedział, że ja z Asurmarem byliśmy wczoraj jedynymi ludźmi, jakich wieczorem tędy przepuścił.

Wszystko tak jakby odbyło się naprawdę: spalony las, świeży wiatr, zalana sinym blaskiem postać Asurmara, gdy mówił: „Jeszcze nie wszystko stracone”, wcześniej — głęboka noc, a w niej pustka i lęk, bezwład i oddech Iny tuż przy moim uchu, jej bliski szept, słodycz jej ust, a jeszcze wcześniej — stoki zakrzepłej lawy na drodze do wymarłych kabin, żywe głosy Alina i Senta, twarz moja skuta uściskiem magmy ponad pamiętnikiem Jezy Teny, ucieczka z komory startowej, cały dziewięćmiesięczny pobyt pod panoramicznym ekranem, świat zredukowany do przestrzeni wśród czterech ścian i wreszcie przytłaczające widmo Mechanizmu — przeszłość cała.

Wszystko to przecież istniało naprawdę; czyż mogło być złudą, fikcją i snem — wyobrażeniem samym? Kimże wobec tego był Raniel, pilot niechcący uwięziony przeze mnie w magazynie, jeśli nie zaplątanym w jakieś przewrotne działanie narzędziem, którym operowała tu z ukrycia zaczajona gdzieś w głębi konstrukcji *Siła*? A Rekrut, przy nieudanej próbie zamachu na moje życie, czyją wolę wypełniał? Czyż — gdyby założyć nieobecność takiego, jak miniony, kształtu mojej przeszłości — potrzeba by tu było przyzywać imię Mechanizmu nadaremno?

Co z tego, że wyśmiana przez innych hipoteza Uneverisa (nadejść miał wkrótce dzień jej potwierdzenia lub zaprzeczenia), myśl o schronie wyrwanym z Ziemi, jak z niej wycina fragment mrowiska posłana przez

człowieka do lasu automatyczna stacja badawcza — laboratorium pobierające próbki zorganizowanego życia, myśl o przerażającej pułapce naszej niesionej ciągiem fotonowego silnika poprzez chłód mrocznej próżni galaktycznej, zabrzmiała w ustach tego człowieka jak druzgocące objawienie? Czy bardziej byłem nieszczęśliwy przez to, że cały mój pobyt nie upływał w miejscu ściśle związanym z jakąś Ziemią, tylko na niezmiernie długiej linii łączącej ją z nieokreślonym bliżej punktem kosmosu, skoro i tak wieko zatrzaśniętej ponad nami trumny przez lata całe mogło się jeszcze nie otworzyć?

Biejący mój los zdawał się obracać wokół rzekomej utraty pamięci minionych zdarzeń, wokoło podsuwanej mi (przez programowane Mechanizmem okoliczności) natrętnej sugestii, że jestem identyczny z osobą przybyłego tu wczoraj prawdziwego Neta Porejry.

Fizyk ów — czego mogłem się teraz domyślać i co trafiało w moją osobowość — wkrótce po przekroczeniu granicy segmentu udał się wraz z prowadzącym go Asurmarem do kancelarii Gonedą. Narzucająca się sugestia mogła zmierzać ku temu, że najprawdopodobniej jeszcze w przedpokoju, pod drzwiami tej kancelarii, gdzie wypadło im przez jakiś czas czekać, odbyła się sterowana na odległość operacja przekształcenia jego osobowości. W wyniku wywołanego celowo psychicznego wstrząsu przybysz momentalnie utracił całą pamięć. Pozbawiony jej ujrzał obcych sobie ludzi, stałych mieszkańców tego segmentu: Inę i Raniela, którzy akurat opuszczali gabinet; usłyszał też dobiegające spoza ściany kancelarii głosy Gonedą, Alina i Senta (stąd później w jego myślach te ostatnie osoby — wobec braku odpowiadających ich głosom konkretnych postaci — otaczała doskonała ciemność). Bez chwili zwłoki, na oczyszczone ze wszystkich szczegółów historii jego dotychczasowego życia miejsce w świadomości, Mechanizm nałożył mu nowy ładunek: przeszłość utkaną z mgieł, obszar wspomnień w zasadzie wyimagwanych, ale nie całkowicie sprzecznych z faktyczną rzeczywistością, bo podsunął mu pamięć gotową, zaludnioną postaciami jak najbardziej autentycznymi, tyle że teraz dopiero dostrzeżonymi — słowem, stworzył w jego świadomości tę właśnie przeszłość sugestywną, którą ja za swoją najprawdziwszą uznawałem. Wątek spletał się tutaj z wątkiem, treść z treścią, koniec zajął się za początek.

Rzecz w tym oczywiście, że nie było tu dwóch różnych osób: Neta

Porejry, fizyka — z jednej strony, i mnie samego, Robota BER-66 — z drugiej, lecz jedna i ta sama postać — i ja nią byłem. To na mojej pamięci została dokonana ta operacja.

Ledwie pojawił się przede mną taki obraz znacznej części minionego życia, gdy go natychmiast usunąłem ze swoich myśli. Lecz robak raz wprowadzony do mózgu drażył w nim dalej coraz dłuższe kanały. Więc byłem szufladką, to pełną, to próżną, raz z taką, to znów z inną, pierwszą lepszą zawartością, workiem, z którego można było wyjąć jedno, by zaraz drugie tam wrzucić. Cieszyłem się równocześnie wszystkim, co mi łaskawie dano, jak swoim najprawdziwszym, własnym, nie podejrzewając nawet dotąd żadnego podstępu.

Bezsilność wiodła mnie do obłędu, gniew mnie już dławił. Zacisnąłem pięści — siedzący naprzeciwko Asurmar musiał to zauważyć. Nie dbałem o niego. Już byłem zdecydowany uderzyć. Szukałem tylko węzła, splotu najczulszych nerwów, jakiegoś dostępnego mi słabego punktu na ciele tego potwora, który kazał się nazywać Mechanizmem. Zdecydowałem się przekreślić jego nieodgadnione rachuby, płacąc za to choćby i najwyższą cenę.

Znalazłem nieosłonięte miejsce, gdzie mógł spaść mój cios: postanowiłem oddać się w ręce ludzi.

— Co się z panem dzieje? — usłyszałem ściszony głos Asurmara. — Zbladł pan. Czy nie za duszno tutaj?

— Wie pan, kim jestem naprawdę?

— No?

— Jestem narzędziem do zbierania ukrytych informacji, obcym agentem nasłanym...

— Szpiegiem?

— Tak!

— Jak chętnie wracamy do przeszłości, która upłynęła nam na powierzchni ziemi! — rzekł z pogodnym uśmiechem. — A ile w tamtych wspomnieniach melancholii! Dziś śmiało zdradzamy nasze najtajniejsze sekrety, wiedząc, że tutaj nie dosięgnie nas już żaden wyrok. Bo istniejemy poza światem. Ja nie mam chyba takiej barwnej przeszłości. Ot, kiedyś byłem konsulem... Ale już dostrzegam, że pan się zniecierpliwił. Więc zamiast mówić o sobie, opowiem o pewnym człowieku, który wczoraj otworzył przede mną swoją duszę. Ciekawy

przypadek paranoi. Otóż zwierzył mi się ów załamany już psychicznie człowiek, że od kilku dni dręczy go obsesja taśmy.

— Taśmy?

— No, może nie taką taśmę miał akurat na myśli, jaką pan sobie wyobraża.

— A jaką ja sobie wyobrażam, pana zdaniem?

— Proszę się nie denerwować, bo doprawdy nie mówimy przecież o czymś niesłychanie ważnym. Chodzi tu wyłącznie o symbol. Mówiąc tak, chciał podkreślić monotonną powtarzalność cyklu, w obręb którego został w swej wyobraźni porwany. Widział szereg identycznych, posuwających się na szynach cylindrów. A widział je tym wyraźniej, że sam we wnętrzu jednego z nich się znajdował. Stał w nim nagi, jak go Pan Bóg stworzył. Czekał, nie rozumiejąc, co się dookoła dzieje. Wreszcie pojazd jego się zatrzymał. Z ust osobnika poprzedzającego go na szynach, który zamknięty był w takim samym przeźroczystym cylindrze, usłyszał zdumiewające oświadczenie. Chociaż zawierało ono cały szereg różnych treści, dominowała w nim jedna nuta. Krótko mówiąc, dowiedział się, że jest robotem. Teraz dręczy się tym we dnie i w nocy. Nie może dla siebie znaleźć miejsca. Wie, lub raczej sądzi, że cokolwiek by robił działa pod wpływem nakazu jakiejś stwórczej woli. Opętany tą obsesją, śledzi wciąż z niepokojem przebieg wszystkich swoich myśli. Lecz to jest dopiero warstwa druga czujności, jakiej od siebie wymaga. W trzeciej więc, wyższej — analizuje szczegółowo swój stosunek do tych myśli, przy których pomocy wałkował przedtem prawdziwy sens myśli leżących w pierwszej warstwie. Mówił mi też o myśleniu swoim podniesionym niejako do czwartej potęgi. Chociaż straciłem już dawno wątek w jego wywodach, on sam, zdaje się, doskonale sobie z tym wszystkim radził.

— Pan go chce ośmieszyć.

— Humor to jedyny ratunek w takim przypadku.

Szkielety

Asurmar podarował mi wyrwany ze swego bloku jeden odcinek na śniadanie. Udałem się z nim do stołówki. Usiadłem w kącie przy wolnym stoliku i pochyliłem się nad kubkiem z kawą. Jadłem machinalnie. Nie dostrzegałem niczego dookoła siebie.

Dalej nurtowało mnie przeświadczenie, że na mojej pamięci została przeprowadzona brutalna operacja, w której wyniku utraciłem na zawsze całą swoją autentyczną przeszłość. Jednak już nie przypuszczałem, że ten psychiczny przeszczep dokonał się wczoraj pod drzwiami kancelarii Goneda; raczej skłaniałem się ku przekonaniu, że transplantacja pamięci przeprowadzona została przed pięcioma dniami, owej pamiętnej nocy, kiedy po otwarciu grodzi w komorze zostałem wezwany do wyjścia jako „sześćdziesiąty szósty egzemplarz”. W takim przypadku nigdy już nie mógłbym się dowiedzieć, w jaki sposób zostałem zwabiony na miejsce operacji. Podporządkowane Mechanizmowi siły mogły mnie tam okaleczyć w czasie uśpienia, a gdy otworzyłem oczy, byłem już wobec siebie samego kimś zupełnie innym. Podstępna adaptacja uczyniła mnie posłusznym narzędziem Mechanizmu.

Przy takim założeniu przeszłość, jaka upłynęła mi od tamtej chwili, byłaby już jednak rzeczywista. Sent nie przyznawał się do znajomości ze mną, ponieważ nie życzył sobie, aby się wydało przed innymi, czym się zajmował na czterdziestej piątej kondygnacji. Rola hieny cementarnej, którą niedawno odegrał razem z Alinem, na pewno kolidowała z obecnie piastowaną przez niego funkcją więziennego strażnika.

Niewyjaśniona pozostawała tylko zagadka obcej Iny. Ledwie o tym pomyślałem, gdy postać jej mignęła w otwartych drzwiach stołówki. Nadarzała się sposobność do przeprowadzenia z nią jeszcze jednej rozmowy. Możliwość, że pomyliłem ją z jakąś inną kobietą, nie wchodziła w ogóle w rachubę. Nie było tu nigdzie drugiej osoby, która znałaby ją lepiej ode mnie.

Zostawiłem nie dojedzone śniadanie i wybiegłem na korytarz. Ina skręcała właśnie przy najbliższym rogu. Nie oczekiwałem, że powie mi

coś nowego, skoro już raz zdecydowała się traktować mnie z taką obojętnością. W każdym razie nie mogłem liczyć na to, by zmianę jej nastawienia wywołały kolejne natrętne zaczepki. Postanowiłem nie zbliżać się na razie do niej; wystarczyło mi, że mogłem się dowiedzieć, dokąd idzie. Poszedłem za nią w pewnej odległości.

Omijała najbardziej uczęszczane korytarze. Oddalając się od środka segmentu; wprowadziła mnie za sobą do obszernego okrągłego pomieszczenia, które zawałały różnego rodzaju meble. Niektóre stosy stolików i krzeseł sięgały pod sam sufit; widać przeniesiono tutaj zbędne wyposażenie zatłoczonych kabin, gdy się okazało, że trzeba do nich wstawić znacznie większą ilość łóżek, niż to było planowane na początku.

Pozostałem nieco w tyle i straciłem Inę z oczu. Stojąc w pobliżu jedyne go przejścia do składu, mogłem mieć jednak pewność, że go jeszcze nie opuściła. Zbliżała się chwila ostatecznego rozstrzygnięcia gnębiących mnie wątpliwości. Czy mogłem mieć nadzieję, że po rozmowie z Iną będę już wiedział na pewno, kim jestem? Bałem się wyniku tej rozmowy jak nieodwołalnego wyroku.

Odrażająca wydawała mi się postać ukształtowanego przez Mechanizm Robota, ale też z drugiej strony przerażało mnie natrętne widmo obcego człowieka, jakim był dla mnie fizyk Net Porejra. Świadomie odwlekałem moment, w którym musiałem zadać Inie nieuniknione pytania.

Po kilkunastu minutach zacząłem wreszcie kluczyć między zwaliskami mebli. Elastyczne podeszwy butów nie wydawały żadnych dźwięków. Poruszając się bezszelestnie, wyjrzałem spoza kolejnego stosu i dostrzegłem Inę. Spoczywała wyciągnięta na zrolowanym chodniku. Oczy miała zamknięte; przy zaczerwienionych powiekach widniały rozmazane ślady tuszu do rzęs. Jeszcze nie zdążyły wyschnąć. Obok na krześle przy nadgryzionej kromce suchego chleba leżał jakiś zagadkowy przedmiot, ni to instrument medyczny, ni pomiarowy przyrząd. Pod krzesłem z dużego pudła wystawały główki ustawionych w szeregi fiolek.

Cofnąłem głowę i odszedłem kilka kroków dalej. Pograżona we śnie Ina miała chyba dość własnych zmartwień, by się teraz zajmować jeszcze moimi. Postanowiłem odłożyć rozmowę z nią na później. Sam też z

trudem trzymałem się na nogach. Wczołgałem się pod sąsiednią piramidę krzesel i zamknąłem oczy. Czarna pustka wchłonęła wkrótce wszystkie moje myśli.

Spałem przez trzy godziny, znacznie dłużej, niż chciałem, aż do jedenastej przed południem. Obudziłem się w pogodnym nastroju, który wypływał ze świadomości bliskiego sąsiedztwa Iny. Mogłem skłonić ją do zwierzenia się ze swych kłopotów, nawet gdyby uznała, że rozmawia z kimś całkowicie obcym. W końcu znajomość nasza mogłaby od tego właśnie się zacząć, jeżeli rzeczywiście dotąd nie istniałem dla niej. Zajrzałem zaraz do jej kryjówki, gdzie czekało na mnie przykre rozczarowanie. Jak mogłem się spodziewać, że zostanie tu dłużej! Dotknąłem pustego posłania: jeszcze promieniowało jej ciepłem. Zabrała ze sobą zagadkowy instrument i pudło z fiołkami. Czy tak samo jak ja nie miała gdzie się podziać, czy może szukała tutaj tylko chwili samotności, tak trudnej do osiągnięcia w przepelnionym schronie? Wróci, gdzie indziej mogłaby nocować? — przekonywałem siebie, przywołując w myśli obraz łez, z którymi zasypiała. W oczach zastygł mi leżący na krześle kawałek chleba, jedyny przedmiot pozostawiony tu przez nią. Patrzyłem długo na ten okruch jak na ostateczny dowód, że na pewno zamieszkała tutaj na stałe.

Musiałem zająć się czymkolwiek, co by skierowało moje myśli na zupełnie inne tory. Już podejrzewałem, jak trudno mi będzie rozstrzygnąć jednoznacznie, kim jestem naprawdę. Znałem dobrze to zjawisko, aczkolwiek zetknąłem — się z nim w innej zupełnie dziedzinie jeden rozwiązany problem odsłaniał automatycznie kilka następnych, które nie były przedtem w ogóle obecne w polu widzenia. Lecz nie koniec na tym: Wystarczyło bowiem usunąć wszystkie trudności, aby wyzwolić lawinę pytań kolejnych, dotąd nieuświadomionych nawet w najbardziej odważnych wędrówkach wyobraźni. Miraż odpowiedzi ostatecznie zadowalającej zdawał się rozpościerać zawsze tuż przed palcami wyciągniętej w jego stronę ręki; ta sama konieczność, która kazała ręce podążać wciąż za nim, odsuwała go też przed nią w nieskończoność.

Mogłem się jednak wreszcie otrząsnąć; istniał sposób niezawodny, by zasnąć w działaniu na oślep, by dryfować z prądem zdarzeń, a nie przeciw niemu: trzeba było tylko zwrócić całą uwagę na najbardziej

proste sprawy. W ich skład wchodziła przede wszystkim troska o zaspokojenie elementarnych potrzeb. Należało odszukać pułkownika Gonedę. Jeżeli odzyskał już przytomność, mógłbym mu raz jeszcze przypomnieć o przydziale kabiny i skłonić go do wypisania karty żywnościowej dla mnie. Następnie — już po dopełnieniu tego formalnego aktu, który legalizował fakt mego pobytu w segmencie — by trwać dalej na drodze najmniejszego oporu, mogłem urozmaicić sobie ów pobyt przez nawiązanie przyjaznego kontaktu z jakimikolwiek mieszkańcami schronu, na przykład z towarzystwem, które rozprawiało wczoraj w stołówce nad zagadnieniem braku lepszych gatunków mydła. Spędzanie czasu w takim otoczeniu miało swoje dobre strony: dawało mi gwarancję, że nie usłyszę czegoś, co by zabrzmiało wieloznacznie; takie niebezpieczeństwo nie mogłoby tam z natury rzeczy nigdy się wyłonić. Ponadto czas już był pomyśleć o uzupełnieniu garderoby. Wciąż jeszcze miałem na sobie spodnie Veisa. W tym przejściowym niedostatku też było coś pocieszającego: zdobycie własnego ubrania pochłonęłoby zapewne spory zapas energii trwonionej dotąd przeze mnie całkiem bezproduktywnie.

Zwróciłem się w stronę kancelarii Gonedę. Przechodząc pod drzwiami pokoju cieni, zajrzałem do środka, by sprawdzić, czy go tam nie ma. Zamiast pułkownika zastałem Uneverisa. Skinął do mnie głową. Wszedłem.

— Czy pan coś z tego rozumie? — spytał. Rozejrzałem się wokoło siebie. Już od pierwszej chwili brakowało mi tu czegoś, Czarne postacie dziewczynki i psa znikły.

— Co się z nimi stało?

— Jeżeli dziwi pana brak posągów — odparł — to I zaszło tu małe nieporozumienie. Co innego miałem na myśli. Posągi są już po tamtej stronie.

— Ale czy to możliwe, by dziewczynka zdołała się podnieść i opuścić to miejsce o własnych siłach w tak krótkim dla niej czasie?

— Otóż wcale nie podnosiła się z podłogi. Pani Elta Demion zajęła się nią dzisiaj w nocy. Pies obdarzony lepszym refleksem trafił przypadkiem nosem w lustro. Zorientował się szybko, którędy można się stąd wydostać. Od jedenastu godzin wciąga dziewczynkę za sobą w głąb kanału przy pomocy smyczy, której koniec Demion o północy podała jej

do ręki. Proszę spojrzeć tutaj: fragment bucika wystaje jeszcze z powierzchni lustra. Jednak nie o to pytałem na wstępie. Dziwi mnie fakt, że posągi nie zostały zmiażdżone własnym ciężarem już w chwili, gdy się tutaj dostały.

— Istotnie. Gdyby podlegały wpływowi naszego pola grawitacyjnego, czy jest ono naturalne, czy też sztuczne...

— Sprasowałyby się w wyniku olbrzymiej siły ciężenia, która powinna być proporcjonalna do ich kolosalnej masy — dokończył za mnie.

— Zatem wypada nam przyjąć, że również i tutaj obowiązywało je przyspieszenie ziemskie identyczne z tym, jakiemu podlegają wszystkie ciała w mieście, przynajmniej gdy chodzi o jego wartość bezwzględną. Tam jest ono znikome.

Skinął w milczeniu głową i poszedł w kierunku wyjścia.

— Dalej spodziewa się pan, że niebawem zawiśniemy w stanie nieważkości? — rzuciłem za nim. Obejrzał się niechętnie. Już chciałem go zapytać o znaczenie seansu z Coorezem. Mógł mnie również poinformować, na czym polegały aktualne obowiązki Elty Demion. Rozmyśliłem się jednak w ostatniej chwili. Pamiętałem o próbie zastraszenia Iny, co skłoniło mnie do zachowania wobec niego pewnego dystansu.

— Spodziewam się — to mało! — powiedział po chwili namysłu. — Śmieję się na myśl o zamieszaniu, jakie spowoduje wyłączenie silnika przytwierdzonego do tej trumny. Czeką nas nieopisany chaos, jeżeli natychmiast nie przystąpimy do odpowiednich przygotowań. Jak widać, nie ma jednak rady na kurzą ślepotę.

Wyszedł. Spróbowałem wyobrazić sobie scenę, której nadejście zapowiadał Uneveris.

Ujrzałem więc wstrząsające kłębowisko ludzkich ciał bezradnie orbitujących w powietrzu pośród rozrzuconych w przestrzeni wszelkiego rodzaju przedmiotów, które tłukły się wzajemnie o siebie i o ściany z tym większym impetem, im bardziej energiczne były ruchy ludzi próbujących opanować groźną sytuację. Powietrze pociemniało od gęstego tumanu kurzu, rozproszonych w nim płynów i wirujących śmieci. Unosiły się w nim z równą łatwością ziarenka piasku, jak i wprawione nieopatrznie w ruch meble. Cała ruchoma zawartość schronu

mieszała się wciąż i kotłowała we wszystkich kabinach, na korytarzach i w magazynach razem z jego mieszkańcami, którzy — przerażeni brakiem stałego oparcia pod nogami i nie ostrzeżeni w porę — odpychali się nawzajem od siebie przy próbach zmiany położenia, co jeszcze bardziej potęgowało cały ten galimatias.

Zajrzałem do strzaskanego tapczanu, gdzie po powrocie z miasta ukryłem swój aparat tlenowy i miotacz promieni gamma. Leżały na starym miejscu. Nakreślony w składzie meblowym plan stabilizacji własnego życia mógł jeszcze poczekać na spełnienie. Założyłem aparat tlenowy i uzbrojony w miotacz przekroczyłem powierzchnię lustra.

Intrygowała mnie przede wszystkim tajemnica świecącego okna. Wiedziałem, że mimo przerwy w dopływie prądu miasto nie jest pogrążane w całkowitej ciemności, ponieważ oświetlała je zawieszona w górze rozżarzona kula. Niezależnie od tego istniało tam zapewne wiele innych rodzajów oświetlenia zastępczego, których jednak nie mogłem widzieć z powodów już raz sformułowanych. Jeżeli zaś mimo tego — po zgaszeniu miotacza w doskonałej dla mnie gdzie indziej ciemności świecił w jednym miejscu błękitny prostokąt, mogłem podejrzewać, że poza nim znajduje się lokalne źródło promieniowania gamma.

Przepłynąłem kanał i po wydostaniu się nad chodnik skierowałem się prosto w stronę świecącego okna. Bijący stamtąd blask był jeszcze bardziej intensywny niż przed dziewięcioma godzinami, gdy go pierwszy raz dostrzegłem: chyba natężenie promieniowania w międzyczasie znacznie wzrosło.

Rozgarniając masy opornego powietrza, utrzymywałem się na pewnej wysokości ponad postaciami ludzi i innymi obiektami w dole. Mimo energicznej pracy rąk i nóg blisko godzina zeszła mi na dotarcie do niezbyt odległego wiaduktu, który szeroko zakreśloną pętlą wił się między strzelistymi kolumnami kilkunastu wzniesionych tutaj wieżowców. Łuk jezdni przysłonił mi usytuowane nieco wyżej źródło światła. Zawisłem nieruchomo w pobliżu jej powierzchni, aby trochę odpocząć. Powiodłem zapalonym miotaczem dokoła siebie.

Jedną stronę szerokiej autostrady zajmował długi szereg samochodów. Niżej, pod wiaduktem, przecinając skosem dwupoziomowy w tym miejscu fragment dzielnicy, przebiegały również cztery pasma

jezdni, jednak nie było na nich tak wielkiego tłoku jak tutaj. Nie opodał — już prawie na granicy świetlnego zasięgu mojego miotacza — majaczyły rozległe cienie kilku wielkich gmachów. Na ich tle wysmukłe sylwetki wieżowców wyglądały jak oślepiająco białe rysy wyżłobione w czarnej pustce. Wolną przestrzeń u ich najniższych kondygnacji wypełniały płaskie, prostopadłościenne klocki — zdaje się, że domy towarowe, za czym przemawiała plątanina rozrzuconych tam zygzaków, które mogły być wygaszonymi neonowymi reklamami. Zlokalizowane po tej stronie centrum handlowe otaczała wielopięścienna promenada dla pieszych. Wokół spiralnych schodków, na licznych pochylniach i pod pomostami przerzuconymi z tarasu na taras mrowił się tłum drobnych sylwetek ludzkich, skamieniałych jak na stereoskopowym zdjęciu. Z drugiej strony autostrady znaczną część nieba przysłaniał ścisły rząd wielopiętrowych bloków mieszkalnych.

W czasie oglądania tej panoramy nieznaczny prąd powietrza obracał mnie wolno w przestrzeni ponad jezdnią. Poddając mu się biernie, wpłynąłem pomiędzy dwa zbliżone do siebie samochody. Stały na paśmie bardziej odległym od bariery wiaduktu. Zajrzałem przez szybę jednego z nich do środka.

Wnętrze wozu zajmowały cztery posągi. Najpierw rzuciła mi się w oczy twarz kobiety wyglądającej przez okienko. Oglądałem ją z odległości zaledwie kilkunastu centymetrów. Przywarła do powierzchni szyby policzkiem i rozplaszczonymi na niej wargami. Oczy podniesione miała ku górze. Gapiłem się na nią chyba przez kilka minut. Bawiła mnie ta sytuacja: samochód pędził drogą, zaś ja stałem na asfalcie tuż przy nim, ledwie wyczuwając zmiany w jego położeniu. Zastanawiałem się, kiedy mnie wreszcie zobaczy kobieta z okna.

Już chciałem przesunąć się trochę dalej, by spojrzeć na pozostałych pasażerów, gdy poczułem, że brakuje mi powietrza. Zrozumiałem w jednej chwili, co się stało, ale było już za późno na ucieczkę. Biodra gnióły mi napór dwóch zbliżanych do siebie karoserii. Wałkowały mnie między sobą w bardzo powolnym tempie; nie mogłem się jednak wydostać z potrzasku, gdyż zaczepiłem o coś. Klin przycisku przy drzwiczkach trzymał mnie w zwierającym się wolno imadle.

Wyprzedzający samochód poruszał się z prędkością kilku milimetrów na sekundę. Zmieszane wiry rtęciowej przestrzeni, które

sam wzburzyłem dookoła, wyrwały mi ustnik aparatu tlenowego z zębów. Brodacz w samochodzie poza moimi plecami napierał na kierownicę w prawo. Nie mogłem się łudzić, że z mojego powodu zdecydował się na ten gwałtowny manewr. Sygnał klaksonu wyprzedzającego auta dotarł do niego zapewne jeszcze wtedy, gdy rozmawiałem w schronie z Gonedem. Reakcja na impuls, który przed kilkoma godzinami skłonił go do wykonania błyskawicznego zwrotu w prawo, wypływała więc jedynie z konieczności zwolnienia lewego pasa jezdni. Usuwał się z drogi przemykającemu tuż obok sąsiadowi, zaś czarna plama wtłoczona między oba wozy, jaką byłem dla nich, mogła się pojawić w jego świadomości dopiero po upływie następnej godziny.

Oswobodziłem się dosłownie w ostatniej chwili przed zmiążdżeniem. Natychmiast przywarłem ustami do wylotu aparatu tlenowego. Szczęście, że nie został zgnieciony podczas tarcia o karoserię. Dyszałem ciężko jeszcze przez kilka minut. W tym czasie samochód z kobietą w okienku zmieniał wciąż swoje położenie na jezdni. Przebył odległość około jednego metra. W miejscu, gdzie zostałem między nimi ściśnięty, oba samochody miały wgniecione maski, chociaż na pewno nie zetknęły się ze sobą.

Ochłonawszy trochę, jeszcze raz zajrzałem do wnętrza szybszego wozu, lecz już przezornie z drugiej jego strony. Strzałka szybkościomierza stała na jednej z ostatnich kresek, naprzeciw liczby „140”. W taki sam sposób stwierdziłem, że wóz brodatego mężczyzny poruszał się z prędkością zaledwie czterdziestu kilometrów na godzinę. Spróbowałem wyobrazić sobie, jak wyglądał ten incydent z punktu widzenia obu kierowców. Na pewno niewiele brakowało do zderzenia, które rozartałoby mnie na miazgę: rycząc naciśniętym klaksonem wyprzedzający samochód przemknął tuż przy drugim tak szybko, że kobieta z twarzą przyciśniętą do szyby nawet nie zdążyła opuścić na niego oczu.

Zanim wyśliznąłem się spomiędzy samochodów, wywołałem wokół nich silny wir prawie nieruchomego dotąd powietrza. Wkrótce rtęciowe masy przeniosły mnie poza barierę wiaduktu. Znowu ukazało mi się źródło światła. Podpłynąłem do betonowej płaszczyzny. W ponurej, bezokiennej ścianie znajdował się tylko jeden otwór, ten właśnie, poza którym coś świeciło. Miał kształt niewielkiego wydłużonego prostokąta.

Przypominał wąski otwór strzelniczy. Dostęp do środka zagradała przezroczysta płyta. Zajrzałem w głąb, między krawędzie grubego muru: nic prócz silnego blasku poza nimi nie było widać. W dole, w głębokiej wnęce, dostrzegłem fragment podstacji wysokiego napięcia. Sterczały stamtąd grube kołnierze izolatorów. Obok znajdowała się brama. Wpłynąłem do niej. Charakteru obiektu nie zdradzała żadna tablica informacyjna. Posąg wartownika zastygły przy wejściu nie mógł mnie przed nim zatrzymać. Ominąłem go i skierowałem się na dziedziniec. Przy rampie stał samochód ciężarowy z kilkoma posągami mężczyzn pochylonych nad jakąś maszyną, którą w skamieniałym wysiłku wtaczali po drogach na platformę; dalej gruba krata przegradzała tunel przeprowadzony pod gmachem. Na jego końcu między kolanami rur rozpięta była szeroka konstrukcja ze środkiem wypełnionym migoczącą w świetle miotacza substancją. Obłą pokrywa betonowego bunkra z wielką misą na szczycie wspierała się na szynach tuż pod nią.

Przez otwarte okienko przy kracie, poza którą siedział drugi wartownik, precyzyjnie przycisnąłem się do środka gmachu. W przestronnym hallu wyłączyłem na chwilę miotacz. Rozproszona na ścianach klatki schodowej poświata docierała aż tutaj. Wskazywała mi drogę do źródła światła. Przepłynąłem kilka pięter wyżej i jeszcze raz zgasiłem swój reflektor. Okazało się, że teraz mogę go już nie używać: i bez niego było tutaj dosyć widno.

Wnętrze korytarza przecinały długie smugi liliowego światła. Kładły się w poprzek podłogi i ukośnie na przeciwległej ścianie, rzucając na nią dziwny wizerunek, coś jakby obraz kliszy prześwietlonej na wylot. Z najbardziej ostrego miejsca na tym przezroczu spoglądały na mnie puste oczodoły trupiej czaszki. Raz jeszcze odbiłem się nogami od poręczy schodów i wpłynąłem spoza rogu w głąb korytarza. Byłem przygotowany na inny rodzaj niespodzianki, chociaż nie potrafiłbym właściwie określić, czego oczekiwałem.

Nie opodal, w półotwartych drzwiach, spoza których przelewała się ku mnie lawina fioletowego blasku, stał ludzki szkielet. To jego obraz przenosiły na ścianę promienie spoza uchylonych drzwi.

Przez kilka minut nie śmiałem się do niego zbliżyć; sądząc, że człony kościotrupa rozpadną się, kiedy tylko dotrze do niego wzburzone przeze mnie powietrze. Szkielet obwiedziony był nieostrym zarysem linii, która

ograniczała kontury całej postaci; w jej wnętrzu niejednolita i na wpół przezroczysta miazga niby-ciała utrzymywała wszystkie części na swoich miejscach. Kiedy zdecydowałem się w końcu podpłynąć doń bliżej, zbudziłem się z zamroczenia wywołanego pierwszym wrażeniem. Kościotrup przestał mnie straszyć. Dotknąłem go ręką. Palce nie dotarły do samego szkieletu: zatrzymały się na materiale ubrania okrywającego szkliste ciało, którego jednakże również prawie nie było widać. Mgiełka prześwietlonego materiału wspierała się na żebrach, tylko w niektórych miejscach przyciemniając nieco obraz przebiegającego środkiem kręgosłupa. W klatce piersiowej, obok innych narządów wewnętrznych majaczył zarys unieruchomionego serca. Na wysokości miednicy czarny przez kontrast cień o kształcie grzebienia świadczył zapewne o obecności tego metalowego przedmiotu w kieszeni marynarki rzekomego kościotrupa.

Obejrzałem się, by zerknąć w stronę widma na ścianie. To przeźrocze nie było dla mnie czymś zupełnie nowym: w zdumiewający sposób przypominało zdjęcie rentgenowskie człowieka prześwietlonego na wylot w ubraniu, z tą jedynie różnicą, że tutaj miałem przed sobą pozytyw, zaś zwykle klisze są negatywami. Przestrzenny układ kończyn szkieletu przedstawiał jedną z faz zatrzymanej w ruchu postaci mężczyzny, który najzwyczajniej — z ręką wspartą na kłamce — przechodził z korytarza do jakiegoś wnętrza. Tam znajdować się musiało wyjaśnienie zagadki.

Przecisnąłem się ponad głową posągu do środka bezokiennej komory. Najpierw przekłuł mi źrenice blask tryskający z dwu zbliżonych do siebie ostrzy. Tkwiły we wnętrzu graniastosłupa zajmującego środek komory, Trzy z liczby ośmiu pochylonych nad nim szkieletów wspierały się prześwietlonymi dłońmi o krawędź tego lodowego bloku, w którego przejrzystym wnętrzu zastygły białe, rozwichrzone smugi. Niżej pod iskrzącą się warstwą szronu, gdzie linie marmurowego wzoru rozcinało szerokie pęknięcie, w aureoli fioletu drgała konwulsyjnie nawleczona na ostrza oślepiająco błękitna meduza.

Skamieniałe przy lodowym bloku posągi przypominały skonstruowane dla studentów medycyny manekiny, jakich się używa na lekcjach anatomii. Na wpół przejrzyste organa wewnętrzne wypełniały zarysy ciał utrzymujących się na szkieletach, też częściowo

prześwietlonych. Tu i ówdzie pajęczynę naczyń krwionośnych przeszywały czarne dziury. Widać je było zwłaszcza w szczękach kościotrupów, między sylwetkami wyszczerzonych zębów, gdzie zdradzały obecność srebrnych i złotych plomb. Metale pochłaniały strumień padającego na nie światła, stając się później same źródłami radioaktywnego promieniowania.

Ta ostatnia myśl wyrwała mnie z chwilowego osłupienia. Uprzytomniłem sobie sens napotkanej tu sytuacji. Zgromadzeni w komorze ludzie najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z grożącego im śmiertelnego niebezpieczeństwa. Tylko dla mnie i tylko w tym świetle, które musiało być promieniowaniem silnie jonizującym, co najmniej połowa znajdujących się w komorze materiałów prześwietlona została na wylot, dzięki czemu niektóre tworzywa robiły wrażenie wykonanych ze szkła, chociaż w rzeczywistości wcale takimi nie były. W postawach posągów nie mogłem dopatrzeć się żadnych skamieniałych w gwałtowności gestów ani nawet pierwszych śladów zaniepokojenia, które wskazywałyoby na to, że ludzie zorientowali się już, co się dzieje we wnętrzu bloku, między czarnymi węzami przewodów, gdzie w uścisku kryształowych kleszczy trzepotało źródło zabójczych promieni.

Przed kilkoma sekundami — liczonymi w ich świetle — wywołany tu przypadkiem lawinowy proces wymknął się spod kontroli uczonych, czego jednak nikt z obecnych nie zdążył jeszcze zauważyć. Był to zapewne jeden z tych groźnych wypadków zwanych „jądrowymi”, które prowadziły bądź do natychmiastowej śmierci, bądź do przewlekłej choroby popromiennej, jeśli pochłonięta dawka nie była zbyt wielka, i których mimo najlepszych zabezpieczeń nigdy całkowicie nie można wykluczyć jako nieprawdopodobnych, gdyż w każdej operacji niezastąpionym i najsłabszym zarazem ogniwem eksperymentu pozostawał omylny człowiek. Wprawdzie masywne, wyłożone ołowianymi płytami zapory w postaci ścian, podłogi i sufitu (z wyjątkiem nie domkniętych drzwi) dobrze ekranowały jej wnętrze, izolując je od pozostałych pomieszczeń gmachu przed twardymi promieniami gamma, lecz swoją drogą wydawało mi się to dość niefrasobliwym przedsięwzięciem, że tak niebezpieczny obiekt zlokalizowano w pobliżu centrum miasta, a nie gdzieś daleko na jego peryferiach.

Przepełnąłem na nowe miejsce. Trzy przejrzyste posągi trwały w

bezruchu skupione wokół sterowniczego pulpitu. Na gałkach spoczywały obdarte z ciała kości palców najniższego szkieletu. Od ich właściciela zależał być może przebieg całego procesu: powolne zatrzymanie jego biegu lub dalszy niezamierzony rozwój. Dwa inne posągi pochylały się nad jakimiś pokrętłami. Ich manipulacje też mogły o czymś decydować. Postawy pozostałych pięciu szkieletów wyrażały bierną obserwację. Tylko jeden z nich zwrócił puste oczodoły w stronę wchodzącego kościotrupa. Zawisłem bezwładnie w przestrzeni poza zasięgiem ich wzroku.

Przed wykonaniem jakiegoś manewru musiałem się dobrze zastanowić. Pochopne działanie mogło doprowadzić do fatalnego rezultatu. Najpierw uprzytomniłem sobie, że brak okna uniemożliwił obecnym dostrzeżenie łuny nad miastem. Ryk syren nie wypłoszył ich z komory prawdopodobnie dlatego, że ćwiczebne alarmy ponawiały się zbyt często, aby warto było odrywać się od ważnego doświadczenia. Czułem się prawie tak samo jak w czasie pierwszej wyprawy, gdy usiłowałem ratować spadającego: z wolna uświadamiałem sobie własną bezsilność.

Na przekazanie jednej tylko informacji dysponowałem olbrzymim przedziałem rozwleczonego ponad miarę czasu, który w efekcie tym bardziej mnie przytłaczał, im bardziej ciążyła mi znikoma możliwość jego wykorzystania. Zdałem sobie sprawę z przewrotnego faktu, że niełatwo mi będzie ostrzec tych ludzi, zwrócić ich uwagę na popełniony błąd, który doprowadził do radioaktywnego przecieku, sam zaś bezpośrednio nie byłem w stanie spowodować jego likwidacji. Przede wszystkim już przez swoją obecność w komorze — gdybym się tylko zaczął kręcić między posągami — mógłbym wywołać dodatkowe komplikacje w sytuacji i bez tego groźnej. Intrygując człowieka przy pulpicie miganiem czarnej plamy, której kształtem im się przedstawiałem, odwracałbym tylko jego uwagę od niebezpieczeństwa rzeczywistego, wcale przez to nie usuniętego. Przestraszony posąg doprowadziłby może do jeszcze większego zagrożenia; w tych warunkach zgubne okazać się mogło jedno drgnienie jego ręki.

Podczas gdy zastanawiałem się nad możliwie najbardziej niezawodnym sposobem uratowania tych ludzi, upiorna sceneria komory nie ulegała żadnym zmianom. Po chwili nasunął mi się pewien

pomysł. Wyciągnąłem z kieszeni bloczek z kartkami. Niestety notesu nie mogłem wykorzystać do skreślenia na nim kilku słów ostrzegających, po prostu dlatego, że każdy przeniesiony ze schronu przedmiot stanowił dla posągów jednolitą czarną plamę. Ten ostatni fakt, wykluczając możliwość porozumienia się z posągami przy pomocy zwykłej korespondencji, naprowadził mnie równocześnie na właściwą drogę postępowania. Wsparłem notes o ścianę i znalezionym w kieszeni spodni nożem zacząłem wycinać z kolejnych kartek drukowane litery. W myśli sformułowałem treść ostrzeżenia najbardziej lakonicznego, jakie przyszło mi do głowy. Brzmiało: „UCIEKAJCIE — PROMIENIOWANIE!”

Wykrojenie kompletu czytelnych liter nie dość ostrym nożem w warunkach dalekich od wygody razem z pokonaniem ostatniej trudności przy pulpicie, gdzie na wprost oczu posągów zdecydowałem się ułożyć cały napis, zajęło mi w sumie około godziny. Najpierw papier darł się na strzępy, a wycinki przybierały niepożądane kształty, później wykrojone już mozolnie litery nie chciały się trzymać powierzchni pulpitu, fruwały w zmaconym powietrzu, wreszcie przyciśnięte do ekranu nieco wyżej przylgnęły doń natychmiast jakimś cudem, chyba naelektryzowane.

Nim ostatecznie udało mi się tego dokonać, spojrzałem kilka razy w stronę źródła światła. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego obecnych nie zaalarmowały dotąd gwałtowne sygnały liczników Geigera-Müllera. Emisja trwała już od co najmniej czterech sekund, więc przez czas dostatecznie długi, by poruszyć nawet największego flegmatyka.

Błękitna nisza drgała wciąż w objęciach prześwieconych instrumentów. Błyskawiczne przekształcenia i konwulsje meduzy, która rozsyłała snopy rażącego fioletu, dziwnie kontrastowały z absolutnym bezruchem wszystkich ciał zajmujących wewnątrz komory. Nawet tak znaczne zwolnienie czasu nie łagodziło w widoczny sposób nieomal momentalnych przemian jądrowych. Świadczyło to zarazem o pocieszającym fakcie, że emisja nie mogła się tu potęgować lawinowo, bo inaczej byłoby już dawno po wszystkim.

Podpłynąłem do drzwi. Czarne dla posągów litery spoczywały na najbardziej widocznym miejscu. Nie spłoszyłem skupionych wokół pulpitu ludzi, ponieważ przebywałem tam przez czas dla nich niezwykle krótki. Czułem ulgę na myśl, że ze spokojnym sumieniem wydostanę się za chwilę z tego upiornego pomieszczenia.

Jeszcze zastanawiałem się, kiedy posągi zdążą odczytać mój napis. Jego istnienie mogło dotrzeć do świadomości operatora przy pulpicie w ciągu ułamka sekundy. Ale potrzebny był czas na skryształizowanie się myśli posągu, na przyswojenie treści, na reakcję — najpierw zdziwienia, zaskoczenia, potem na dyspozycje układu nerwowego, wreszcie na ewentualne wahanie się. Ile czasu potrzeba na to, by biegnący z mózgu impuls wywołał skurcz odpowiedniego mięśnia? No, a zamieszanie, bieg do drzwi komory, w przypadku, gdyby kryzys nie dał się opanować przez zablokowanie rozwoju reakcji? W sumie wszystko to razem mogło trwać około dziesięciu sekund. Ten okres — mierzony czasem schronu trwałby przez trzydzieści godzin. Bez porównania krócej niż gdyby pozostawić wszystko własnemu losowi. Pozbawieni mojej pomocy ludzie naświetlać by się mogli jeszcze przez kilkadziesiąt dni. Byłem z siebie zadowolony. Z lekkim sercem skierowałem się do wyjścia.

Wtem spojrzałem w bok i włosy zjeżyły mi się na głowie.

Przerażony brakiem wąskiej szpary przy drzwiach, przez którą się tu przecisnąłem, przypadłem do klamki. Spóźniłem się! Masywny, wykonany z żelaza i pokryty ołowianą płytą blok zwarł się szczelnie z opasującą go framugą. Kiedy? Jak? Nie dowierzałem własnym oczom, choć było to takie proste. Pojąłem wreszcie.

Szkielet, który na samym początku stał przy krawędzi uchylonych do środka drzwi, zwrócony do nich tyłem, pół metra za progiem, już w głębi komory, wykonał w międzyczasie kolejny krok, przesuając się jeszcze dalej. Pochłonięty akcją ratowania posągów nie zwracałem nań żadnej uwagi. Przed godziną opłynąłem go z przekonaniem, że skreconą poza siebie ręką chwycił za klamkę z zamiarem spokojnego zamknięcia drzwi, co trwałoby co najmniej kilka godzin. Lecz on — jak się teraz okazało — nie chwycił jej, tylko, pchnąwszy uprzednio silnie za sobą, odrywał od niej palce, gwałtownie, jak człowiek naglony pośpiechem. Ile oeniłem dynamizm ruchu, w którego fazie zamarł, co doprowadziło do opłakanego rezultatu. W czasie jednej trzeciej sekundy szpara zwężała się wciąż, aż wreszcie drzwi domknęły się całkowicie. Oszacowałem ich bezwładność: mogła sięgać trzech milionów ton! Zatrzasnęły się bezgłośnie i nieodwołalnie.

Było mi zimno. Rozejrzałem się wokoło siebie wzrokiem, który nie znajdował dla siebie miejsca wolnego od wszechobecnych

wyszczierzonych zębów. W uszach rzeziły mi nieznośne jęki, ryki basów, chrobot piły — trupie czaszki śmiały się ze mnie na swój sposób. Szkielety mnożyły się, co gorsza, raptem zaczęły się szybko poruszać. Już niczego nie widziałem poza nimi. Rosły mi w oczach widma prześwietlonych kiszek, kości — sterty obdartych z ciała kości, napierały na mnie zewsząd, dusiły mnie.

Oblałem się zimnym potem. Nieopanowane drżenie rąk wzmagało się wciąż, a mózg rozerwała mi chłodna świadomość ceny, jaką musiałem zapłacić za okazaną lekkomyślność.

Zostałem pogrzebany żywcem w pancernej trumnie, w pułapce bez wyjścia.

Trumna pancerna

Przez następny kwadrans gryzłem palce do krwi w ataku ślepego gniewu, skierowanego przeciwko sobie za tak zdumiewająco lekkomyślną nieostrożność. Lecz w końcu strach znowu zwyciężył. Znowu powrócił i zapanował niepodzielnie nad bezsilną furją. Zdusił ją we mnie, przekształcając w apatię; zaczynałem się rozklejać. Ironia losu polegała na tym, że znalazłem się od razu w sytuacji najbardziej beznadziejnej spośród tych, które mogły się wyłonić w mieście: nie było tu chyba drugiego lepiej odizolowanego od świata miejsca niż ten pancerny grobowiec.

Gdy po jakimś czasie spojrzałem na zegarek, była godzina pierwsza dwadzieścia. Do drugiej pływałem w pobliżu ścian, obracałem się pod sufitem i przy podłodze. Jeszcze liczyłem na cud, bo na nic innego nie mogłem już liczyć. Przebadałem wielokrotnie zawartość ciasnego wnętrza, prześledziłem wzdłuż wszystkie spojenia grubych blach, obejrzałem po sto razy każdy decymetr kwadratowy pancerza. Komora była doskonale szczelna. Wykładały ją grube żelazne płyty, zespolone z sobą, a jeszcze poza nimi mogła się znajdować warstwa ołowiu i betonu. Nie znalazłem żadnego otworu ani nawet pęknięcia, chociaż świetlny prostokąt na zewnętrznej ścianie gmachu świadczył na pewno o jakimś przecieku radioaktywnym. Okazało się więc, że tam istniało jeszcze jedno źródło światła. Znajdowało się w sąsiednim pomieszczeniu.

Z prędkością kątową małej wskazówki zegara szkielety obracały swe głowy na różne strony. To był pierwszy akt farsy — zabawy w ciuciubabkę, która trwać tu mogła jeszcze przez cały miesiąc. Nie pogorszyłem swojej sytuacji przez to, że kręcąc się we wnętrzu komory od dwu godzin, wystawiałem się wiele razy ma widok posągów i zwróciłem w końcu ich uwagę na błyskawiczne susy smolistoczarnej plamy. Ludzie widzieli mnie na tle ścian w blasku dla siebie widzialnym, jaki zapewne oświetlał wnętrze, dzięki istnieniu lokalnego źródła prądu. Tylko jeden posąg, odwrócony tyłem do innych (operator przy pulpicie), przed którego oczami umieściłem swój napis, mógł go odczytać, zrozumieć jednoznacznie i zareagować nań szybkim skokiem do drzwi w

czasie nie dłuższym od doby, toteż — aby go nie straszyć — nie pojawiłem się w ogóle w polu jego widzenia.

Gdyby chodziło tylko o trzydziestogodzinną głodówkę, ukryłbym się gdzieś w kącie za osłoną ustawioną tam rozdzielni i czekałbym cierpliwie na odległy finał ucieczki szkieletów, a razem z nim na swe oswobodzenie. W pierwszej kolejności przed śmiercią głodową groziło mi jednak uduszenie. Szczupły zapas tlenu w butli (co odczytałem na wskaźniku przy niej) musiał się wyczerpać już po upływie następnych dwu godzin. Rachunek był bardzo prosty i na próżno udawałem przed sobą, że nie umiem go podliczyć: pół godziny potrzebowałem na dotarcie do lustrzanej granicy schronu, gdybym zdołał się stąd wydostać, zaś pozostałe półtorej godziny — przeliczone na czas miasta — kurczyło się do połowy sekundy.

Miażdżący fakt, iż również posąg, który wszedł przed chwilą do komory i oddalał się bez przerwy od drzwi, nie mógł ich otworzyć w tak krótkim dla siebie czasie, zatwierdził tylko oczekujący tu na mnie wyrok śmierci.

Przybysz zdołał je przedtem zamknąć jedynie dlatego, że pchał klamką jeszcze na długo przed moim pojawieniem się tutaj. Teraz była to po prostu fizyczna niemożliwość, by człowiek, oddalony już od drzwi o półtora metra, zdołał się nagle zatrzymać, odwrócić natychmiast, runąć przed siebie i momentalnie otworzyć drzwi, również dla niego dosyć masywne. Nie mógł tego dokonać obdarzony błyskawicznym refleksem fenomen, nawet w przypadku, gdyby już teraz doskonale wiedział, na co liczę, i że od szybkości jego działania zależy też i jego własne zagrożone tu bezpieczeństwo. Niestety przybysz o swojej sytuacji w komorze nie miał na razie żadnego pojęcia. Na domiar złego mógł trwać w nieświadomości jeszcze przez okrągłą dobę, ponieważ wszelkiego rodzaju znaki dawane mu z mojej strony w celu zwrócenia jego uwagi na klamkę nie prowadziły oczywiście do żadnego sensownego wyniku: mną samym zainteresowałyby się w pierwszej kolejności, nim przyszłoby mu w ogóle do głowy opuścić wnętrze komory.

Nic już nie mogło mnie uratować; trwałem w tępym zamroczeniu. Upływający czas odsłonił znaczenie paradoksalnej sytuacji: rażone nie zatamowanym potokiem ultratwardego promieniowania posągi — nawet przy swojej karykaturalnej ślamazarności — znajdowały się mimo

wszystko w stokroć lepszym od mojego położeniu, chociaż ten sam świetlny strumień, który je zabijał, nie wyrządzał mi żadnej krzywdy.

Otrząsnąłem się ze wszystkich myśli. Przed obłędem uratować mogłem się jedynie drogą działania. Drogą czynu jakiegokolwiek, a choćby i najbardziej niedorzecznego, byleby tylko był czynem natychmiastowym. Ani się spostrzegłem, kiedy to się stało. Obudziło się we mnie przerażone zwierzę. Jedną dłonią objąłem łokieć oddalającego się od drzwi posągu, drugą — chwyciłem za klamkę. Zacząłem ścigać ku sobie dwie gigantyczne masy. Tym lepiej, że postradałem zmysły: był to wymowny znak zwiastujący bliski koniec. Pyłek unoszony w powietrzu mocował się z takimi kolosami. Nawet nieźle zabrałem się do tego. A jakże! Przymknąłem oczy z wysiłku i trochę się zasapałem. Naginałem dalej muskuły. Komar usiłujący powalić konia — taki żaloszny przedstawiałem widok. Rzecz prosta, posąg spełniał posłusznie moje pobożne życzenie. Przyciągałem go do drzwi ruchem jednostajnie przyśpieszonym. W malignie wszystko było możliwe: mogłem nawet ruszyć Ziemię z posad. Już znajdował się tuż przy mnie. Otworzyłem oczy.

Bodaj bym ich nigdy więcej w życiu nie otworzył! Lepiej było zerwać z ust maskę aparatu tlenowego i udusić się natychmiast, niż przeżyć taki koszmar. Posąg stał na swoim starym miejscu, gdzie nawet nie drgnął. Co innego zbliżało się do mnie: sama, odłączona od tułowia ręka, za którą ciągnąłem.

Przedtem, gdy szkielety mnożyły się wokoło, wiedziałem, że to gra poruszanej grozą wyobraźni. Teraz miałem do czynienia z realną rzeczywistością, toteż skóra ścierpła mi na całym ciele. Ręka szukała mnie w rtęciowej przestrzeni ruchem — w zestawieniu z wiedzą o niej — nieprawdopodobnie szybkim. Znalazła najczulsze miejsce. Już sięgała mi do gardła. Uchylając się przed nią, skoczyłem do tyłu. Zwarłem się głucho plecami z powierzchnią drzwi w tej samej chwili, gdy kościste palce objęły mi szyję jak stalowe szpony i docisnęły ją do płyty naporem tak olbrzymim, że od razu zemdlałem.

Ocknąłem się przy kolejnym działaniu na oślep. Teraz już rzeczywiście niczego nie widziałem. Mgła przysłaniała mi oczy. Z twarzą pokrytą plastycznym ołowiem miotałem się w czerwonej przestrzeni. Stałem prostopadle na ścianie przy krawędzi drzwi, zgięty ponad

klamką, którą ciągnąłem oburącz z jedną wyłącznie myślą: wydostać się stąd za wszelką cenę!

Drzwi stawiały wielki opór. Lecz otwierały się! Mimo wszystko otwierały się z podejrzaną łatwością. Podciągnąłem je aż pod samą brodę. Wtedy puściłem klamkę i przetarłem zaklejone czerwonym ołowiem oczy. Znowu taki sam wstrząs: drzwi pozostały na swoim miejscu. Przywierały nadal szczelnie do żelaznej futryny. Tylko sama klamka, skręcona i urwana w miejscu zgięcia, opierała się poprzednio moim mięśniom. Obdarzona już znacznym pędem, który był proporcjonalny do jej pięciotonowej masy, nie pozostała w tym miejscu, gdzie ją wypuściłem z rąk. Poruszała się dalej po linii prostej w głąb komory. Trwając w ruchu postępowym, obracała się równocześnie, aż jej ostry koniec wymierzył w plecy okaleczonego posągu.

Skoczyłem przed siebie i ścisnąłem ją w dłoni ze wszystkich sił. Nie miało to żadnego znaczenia. Z taką łatwością, jak gdybym był tylko własnym cieniem, ciągnęła mnie za sobą w rtęciowej przestrzeni. Brakowało mi jakiegokolwiek oparcia w zasięgu nóg i rąk. Poczułem ze zgrozą, że rozpędzony pocisk wciąga mi palce w głąb prześwietlonego wnętrza, które wypełniał plastyczny wosk. Wtedy puściłem go i struchlałem po raz wtóry.

Na moich oczach klamka płynnym ruchem przeniknęła prześwietloną klatkę piersiową posągu. Rozcięła mgiełkę materiału marynarki, jak siatkę pajęczą, zmiażdżyła żebro, wcisnęła się w płuco, i dalej — poruszając się jak na zwolnionym filmie — przeszła serce, by ukazać się zaraz z drugiej strony ciała, wciąż na tym samym torze, którego nie zmieniały napotykanne po drodze opory.

Po kilku sekundach pocisk dotarł do kryształowego bloku. Przebił jego obudowę, omijając udo drugiego posągu, przeleciał w pobliżu nadętej blaskiem meduzy i wpadł w obręb stłoczonej tam aparatury. Widziałem go jeszcze przez ułamek sekundy, gdy wśród lśnień rozpląszczał się na krawędzi jakiegoś czarnego ostrza. Wtedy meduza zgasła. W jednej chwili ogarnął mnie doskonały mrok.

W czasie, gdy po raz pierwszy zapoznawałem się z posągami w pokoju cieni, uznałem nie bez podstaw, że są one bardzo twarde. Pod naciskiem robiły wrażenie odlanych z żelaza. Kiedy do tego

spostrzeżenia dodałem później swoją wiedzę o olbrzymiej masie posągów, znaczna twardość wszystkich materiałów w mieście nie ulegała już dla mnie żadnej wątpliwości. Tym łatwiej mi było zachować dalej to błędne przekonanie, że z małymi wyjątkami nie dotykałem tutaj niczego. Mogłem się teraz domyślać, dlaczego zostałem wprowadzony w błąd: granica dwóch światów, jaką stanowiło lustro, miała własność pokrywania ciał przenikających przez nią cienką warstwą izolacyjną; twardą — w przypadku posągów przechodzących do pokoju cieni, elastyczną zaś — gdy ktoś ze schronu przechodził do miasta. Warstwa ta znikła później przy powrocie usuwana przez tę samą powierzchnię graniczną, która przedtem ją wytwarzała.

Wbiłem nóż w ścianę. Podejrzenie okazało się słuszne. W mniemaniu posągów ścianę pokrywała gruba żelazna płyta, w moim — zaporą bardziej miękka od ołowiu. Nóż pochodzący ze schronu zanurzył się w niej pod silnym naporem aż po samą rękojeść!

Serce przepełniły mi dwa sprzeczne uczucia: z jednej strony wyrzut, że opanowany grozą położenia wpadłem w panikę, przez co spowodowałem okaleczenie, a następnie natychmiastową śmierć człowieka, z drugiej — radość na myśl o wyłaniających się tu przede mną niezwykłych możliwościach. Mogłem je przewidzieć znacznie wcześniej z naukową precyzją, gdybym tylko zastanowił się głębiej nad wszystkimi konsekwencjami, jakie wynikały automatycznie z tak znacznego zwolnienia czasu. Przytłoczony olbrzymią masą wszystkich ciał w mieście nie zdawałem sobie dotąd sprawy, iż dla mnie są one równocześnie wielokrotnie bardziej miękkie niż dla jego mieszkańców. Byłem uratowany. Oczekiwanie na cud stało się zupełnie zbędne. Podległy tym samym prawom fizycznym, które mnie obowiązywały, Mechanizm nie mógł darzyć mnie szczególną łaską, ponieważ nie leżało to w jego ograniczanych możliwościach.

Miotacz zawieruszył się gdzieś w ciemności. Mógł zawisnąć gdziekolwiek, toteż szukałem go w przestrzeni całej komory. Myślałem przy tym gorączkowo o zdumiewającym odkryciu dokonanym przed chwilą. Jeszcze sobie nie dowierzałem. Więc jak to! Zwyczajny nóż zdolny do krojenia żelaza pod naciskiem ręki — jakże trudno było w to uwierzyć! Czy nie uległem halucynacji? A jednak fakt ten potwierdzało nie tylko doświadczenie, ale i ścisłe prawa, które ten pozorny cud

przewidywały. Uświadomiłem sobie jasno fizyczny sens mocy każdej zdolnej do wykonania pracy maszyny — w tym również mięśnia — sens mocy wyrażającej się stosunkiem pracy do czasu, w którym ta praca została wykonana. Wobec zwolnienia czasu mogłem wykonać pracę dziesięć tysięcy razy większą w czasie tyleż razy krótszym, co dawało moim mięśniom moc sto milionów razy większą od tej, jaką bym miał w przypadku, gdybym sam był w tej chwili posągiem. Przekształciłem w myśli kilka równań, by taki sam wynik osiągnąć nieco inną drogą. Okazało się, że moc jest wprost proporcjonalna do kwadratu drogi (identycznej tu dla mnie z drogą posągów), do masy — na której traciłem tyle razy, ile zyskiwałem na czasie — oraz odwrotnie proporcjonalna do sześcianu czasu. Wobec tego, że wielkości masy i czasu, jakimi byłem tu w stanie operować — zmierzone odpowiednimi miarami miasta — przedstawiały dla posągów wartości dziesięć tysięcy razy mniejsze niż dla mnie oraz że czas w równaniu podniesiony był do trzeciej potęgi, masa zaś tylko do pierwszej, zdolny tu byłem do okazania mocy potężnej elektrowni miasta. Nie znaczyło to bynajmniej, abym był choć odrobinę silniejszy w zestawieniu z ludźmi, którzy przeszli tutaj ze schronu. Moc każdego człowieka przybywającego stamtąd ujawniała się tu poprzez rozmiękczenie wszystkich materiałów, które jednakże dla posągów pozostawały nadal w takim samym stopniu twarde, jak dla nas odpowiadające im materiały w schronie. Gdy chodziło o naszą bezwładność względem masy posągów, byliśmy pęcherzami próżni w powietrzu miasta. Lecz przyczyna odpowiedzialna za taki paradoksalny stan rzeczy obdarzała nas też olbrzymią zdolnością do niszczenia wszystkiego dookoła siebie.

Niestety, nie mogłem tego ukryć przed samym sobą, że zachowywałem się dotąd bardziej bezmyślnie i brutalnie niż przysłowiowy słoń w składzie z delikatną porcelaną. Ujawniło się to już podczas pierwszej wyprawy, kiedy w ciemności odbiłem się nogami od głowy omijanego przechodnia. Jaki to miało skutek, mogłem sobie wyobrazić teraz, gdy urwana ręka posągu przypominała w chwili pociągania za nią niezwykle masywną galaretę zmieszaną z plastycznym woskiem na kości uginającej się z taką łatwością jak miękki korek. Trudno mi było myśleć o tym wszystkim bez mdłości i wstrętu do samego siebie. Posągi drogo zapłaciły za wiedzę o relatywistycznym

świecie, którą ich kosztem tutaj zdobywałem. Powinna mnie już wcześniej zastanowić podejrzana łatwość, z jaką szarpnięta przeze mnie spinka utkwiała w policzku spadającego posągu. A czyż nie dostrzegłem później wgniecionych karoserii obu samochodów, między którymi się szamotałem? Teraz dopiero stało się jasne, że działanie moje z punktu widzenia kierowców sprowadzało się do działania eksplozji.

Znalazłem miotacz i oświetliłem nim ścianę. Szukałem odpowiedniego miejsca do drążenia otworu. Jakże łatwo mi było teraz mnożyć dalej i pogłębiać popełnione przedtem błędy. Wprawdzie pocisk utworzony z odłamka klamki przeciął jakiś elektryczny obwód, co doprowadziło do natychmiastowego przerwania emisji i uratowało pozostałych ośmiu ludzi od niechybnej śmierci, ale teraz czekało ich z mojej strony kolejne niebezpieczeństwo. Była nim groźba masakry, którą spowodować mogła operacja cięcia i rozrywania ściany. Tak niewinna z mojego punktu widzenia czynność stanowiła dla posągów potężne działanie, wyzwolenie się energii równoważnej detonacji kilku kilogramów dynamitu należącego do miasta.

Upredzając wypadki, widziałem już rój odłamków przeszywających wnętrze komory i siebie w scenie uganiania się za nimi w trudnej do opanowania sytuacji. Czy nie mogłem się stąd wydostać bez kaleczenia i zabijania tych ludzi?

Zgodnie z trzecią, a następnie drugą zasadą dynamiki Newtona, równa — co do wartości — przyłożonej sile i przeciwnie skierowana reakcja na nią była wprost proporcjonalna tak samo do masy ruszanego z miejsca ciała, jak i do przyśpieszenia nadawanego mu przez działającą siłę. Nic dziwnego zatem, że przy gwałtowności ruchów, do jakich przywykłem w schronie, nawet spinka do włosów o zwielokrotnionej masie — gdy ją szarpnąłem z miejsca nagłony pośpiechem — wcięła mi się w skórę dłoni. Na nic tu nie przydawało się doświadczenie przyniesione ze schronu. Tam — w świecie niewielkich mas, lecz potężnego pola grawitacyjnego — przedmioty zachowywały się zupełnie inaczej: jeżeli nie zdołałem podnieść z podłogi zbyt wielkiego ciężaru jednym zdecydowanym i energicznym ruchem, to tym bardziej nie mogłem go udźwignąć, ciągnąc bardzo wolno i wytrwale do góry. Tutaj — przy przyśpieszeniu ziemskim sto milionów razy mniejszym — praktycznie biorąc, było najzupełniej obojętne, w którą stronę pchałem

lub ciągnąłem zawieszony w przestrzeni przedmiot: czy w kierunku poziomym, do dołu czy do góry. Opór stawiany mi ze strony ciała zależał bowiem prawie wyłącznie od jego zwielokrotnionej masy i od siły przyłożonej, będąc do tych dwu wielkości proporcjonalny. Z prawa tego wynikało też automatycznie, że mogłem podnieść tutaj z podłogi dowolnie wielki ciężar, bylebym tylko działał nań niezbyt gwałtownie, ale za to dostatecznie długo.

Wpłynąłem za rozdzielnię, której ściana działowa mogła utworzyć dostateczną osłonę przed ewentualnymi odłamkami mniejszego kalibru. Naciąłem nożem dziurę w ścianie i wydłubałem z niej kawał żelaza wielkości pięści. Ściągnąłem go zaraz powoli do podłogi, uważając bacznie, by jakiś ostry zadziór nie wymknął mi się z ręki. Gdybym go pozostawił za sobą w przestrzeni, spadłby bez niczyjej szkody na podłogę w ciągu godziny. Wcześniej jednak, potrącony gwałtownym ruchem łokcia lub pchnięty palcami, mógł nabrać prędkości karabinowej kuli, która w tym świecie — z mojego punktu widzenia — miała masę dwustu kilogramów i prędkość u wylotu lufy od sześciu do dziewięciu centymetrów na sekundę. Taka kula nie wbiłaby się w żelazną ścianę, którą ja kroilem nożem twardszym dla posągów od ich hartowanej stali, nawet na głębokość jednego centymetra. W celu porównania zdałem sobie sprawę z faktu, że pięciotonowy odłamek klamki rozpędziłem na drodze od stóp do piersi do prędkości około pół metra na sekundę. Galaretowate ciała posągów nie były w stanie powstrzymać tak wielkiego pędu. W zestawieniu z ich miarami bezwładności i czasu pocisk ten miał masę pół kilograma i prędkość tylko o trzy kilometry na sekundę mniejszą od pierwszej prędkości kosmicznej miasta.

Zaświeciłem miotaczem do wnętrza powstałej w ścianie niewielkiej dziury. Poza żelazną płytą znajdował się ołów. Lecz wydawał się nim być tylko na podstawie charakterystycznej szarej barwy, bowiem pod naciskiem palców czułem plastelinę. Głębiej, poza warstwą ołowiu, zetknąłem się ręką z powierzchnią ścianki utworzonej z piasku związanego niezbyt mocnym klejem. Nie wątpiłem, że jest to beton w pojęciu tutejszych mieszkańców. Wyciągnąłem z dziury sporą jego grudkę, zwałem mocno palce i roztarłem ją w garści na miálki piasek. Nic już — poza olbrzymią bezwładnością tych materiałów — nie stało mi tu na przeszkodzie.

Naciąłem na ścianie okrąg o takiej średnicy, abym mógł się przezeń przedostać do sąsiedniego pomieszczenia, którego drzwi — co zauważyłem wcześniej — otwarte były na korytarz. Pogłębienie szpary nie sprawiło mi większego trudu. Gdy wyodrębniony w zaporze duży walec nie stykał się już w żadnym punkcie z resztą ściany, oświetliłem go po raz ostatni. Tkwił nieruchomo w przestrzeni. Zerknąłem pod nogi, gdzie działo się coś nieprzewidzianego. Nie mogłbym dostrzec płomienia, zresztą pewnie jeszcze go tam nie było. Silnie rozgrzane przez tarcie żelazne wióry i ścinki w zetknięciu z papierami leżącymi w kącie pokrywały się białymi obłoczkami dymu. W moim odczuciu nie wydawały się teraz bardziej gorące niż przedtem. Nawet przy braku cienkiej błonki izolującej mi palce nie mogłbym stwierdzić, jak bardzo się rozgrzały: ich podniesiona temperatura więc średnia energia kinetyczna cząstek — nadal niewiele różniła się od absolutnego zera.

Chyba jednak byłem urodzonym fizykiem, przynajmniej gdy chodziło o przejawiane wciąż skłonności do analizy niezwykłych zjawisk, bo kiedy napałem na wykrojoną bryłę, spojrzałem równocześnie na zegarek. Pchałem z tak znaczną siłą, jak gdybym trzymał na barkach w schronie ciężar stukilogramowy. Przy maksymalnym napięciu mięśni po upływie siedemdziesięciu sekund okrążył blok przesunął się o jeden i ćwierć metra w głąb ściany. Pięć kilogramów dynamitu musiałyby zużyć posągi na wywołanie podobnego efektu. Wolna droga stała przede mną otworem. Rzuciłem się doń z pośpiechem tym większym, że już czułem niedostatek tlenu.

Płynąłem wprost do wylotu kanału nieco inną drogą niż w przeciwną stronę. Teraz przeciąłem wiadukt akurat w tym miejscu, gdzie po przebyciu czterdziestu metrów znajdował się aktualnie szybszy samochód z uszkodzoną przeze mnie karoserią. Przyjrzałem się jego pasażerom. Kierowca naciskał już na hamulce; na szczęście nikt z obecnych w środku nie odniósł żadnych obrażeń.

Pogniecione drzwiczki zostały wtłoczone częściowo do środka; skrzyły się silnie, rozcinając ostrymi blachami oparcie fotela, na którym nikt nie siedział.

Wzniósłem się kilkadziesiąt metrów wyżej, by ogarnąć wzrokiem sąsiednie ulice. Po regulacji zaworu przy aparacie tlenowym okazało się,

że mogę oddychać swobodnie; zapas tlenu powinien mi wystarczyć jeszcze na półtorej godziny. Z tak znacznej wysokości, na jakiej unosiłem się w powietrzu, widać było duży fragment dzielnicy. Strumień światła z miotacza sięgał na odległość do dwustu metrów. Taką mniej więcej przebyłem drogę, oddalając się od kanału w czasie obecnej wyprawy. Płynąłem równolegle do tej samej autostrady, którą poprzednio oglądałem w dole z wysokości wiaduktu. W oddali, przy rondzie, gdzie znajdowało się wejście do zespołu wind (tam właśnie kierowała się Jeza Tena), autostrada zbiegała się z dwiema innymi ulicami nachylonymi do siebie pod ostrym kątem. Obydwie leżały na trasie mojej powolnej wędrówki; aby się dostać do kanału, musiałem przeciąć je ukośnie i zbliżyć się do pierścienia utworzonego z setek aut stłoczonych ciasno wokoło ronda.

Przy pierwszej ulicy zatrzymałem się. Wisząc w przestrzeni ponad dachami domów, skierowałem miotacz prostopadle w dół, gdzie majaczyły cienie woskowych postaci. Zwężony snop światła prześliznął się wzdłuż chodnika i przeskakując z sylwetki na sylwetkę, wyłuskał z mroku biały samochód na środku pustej jezdni. Przeniosłem wzrok na grupę ludzi, których chwila trwania spętała w niezrozumiałej scenie przy wejściu do nocnego lokalu. Opadałem w głąb wąskiego przesmyku, utworzonego pomiędzy szeregami okien, przepełniony wzrastającym napięciem o nieuchwytnym pochodzeniu. Spłynąłem do samego chodnika. W oczach — nawet wtedy, gdy zwróciłem je w stronę jednolicie czarnego nieba — tkwił mi obraz białej plamy z drobną postacią człowieka we wnętrzu odkrytego samochodu. Znowu znalazłem jego twarz na końcu długiej smugi światła. Przyciągała mnie ku sobie nieodpartą siłą. Bez tchu wpłynąłem na środek jezdni i zatoczyłem pętlę wokoło nieruchomej postaci.

Nie pamiętałem najdrobniejszego szczegółu, który by się wiązał z tą sceną, lecz wszystko jakoś dawało się wytłumaczyć. Szala wagi, potrącana przez różne okoliczności, wahając się między przypuszczalnym a wątpliwym, przechyliła się wreszcie w stronę pełnego przekonania, że jestem autentycznym człowiekiem. Nie myślałem już o niczym; było to tak, jak gdybym zahipnotyzował siebie, patrząc w lustro, które nocą czwartego czerwca pochwyciło mój wizerunek i przechowało go przez okres dziewięciu miesięcy. W

mężczyźnie za kierownicą odkrytego białego oga rozpoznałem samego siebie.

Wszystko tu było mi najzupełniej obce prócz samego ciała. Zarówno kształt wozu, należącego kiedyś do mnie, jak i ubranie posągu — niczego mi nie mówiły. Nie byłem identyczny z nim wyłącznie dlatego, że dzielił nas dziewięćmiesięczny okres czasu. Lecz poza tym jednym, co wniosło nabyte w schronie doświadczenie, nie różniliśmy się wcale między sobą. Wpatrywałem się w rysy własnej twarzy, a samochód milimetr za milimetrem toczył się wzdłuż pustej jezdni. Bardzo wolno, ale nieustannie, oddalał się od ronda. Po czterech minutach zajął miejsce odległe o długość jednego kroku od poprzedniego położenia. Pochyliłem się nad wskazówką szybkościomierza. Og pędził z prędkością stu czterdziestu czterech kilometrów na godzinę. Przemieszczał się w kierunku zbiegowiska posągów, które tarasowało chodnik z prawej strony ulicy. Oceniłem, że samochód ominie je po upływie trzech sekund, ponieważ tyle czasu potrzebował na przebycie odległości stu dwudziestu metrów, jaką dzieliła go od zwartego tłumu. Popłynąłem w tamtą stronę.

Ludzie otaczali obszerny pawilon wzniesiony w miejscu, gdzie uskok w jednolitej ścianie domów tworzył coś w rodzaju niewielkiego placu. Z daleka budynek robił wrażenie konstrukcji osłaniającej wejście do podziemnego metra. Niski i gruby strop, ponad którym zawisłem, wspierał się na czterech kolumnach rozmieszczonych symetrycznie na obwodzie okrągłej płyty. Od frontu widniał napis: „SZYB NR 6”; nasunął mi on przypuszczenie, że tutaj znajdował się jeszcze jeden zespół wind, które przewoziły mieszkańców miasta do schronu. Zamiast ściany przestrzeń pod dachem lewego skrzydła przegradzały rozbite już w wielu miejscach szyby. Grupy posągów trwały w znieruchomieniu przy powstałych wyrwach, przepychając się w nich na drodze do centralnej części budynku.

Przecisnąłem się przez jedno z takich przejść i przepłynąłem pomad licznymi głowami do środka pawilonu. Wewnętrzny taras urywał się na wysokości półpiętra. Przy okalającej go balustradzie stał zwarty szereg uzbrojonych policjantów. Powstrzymywali oni napór ludzi, którzy chcieli się tędy przedostać na niższą kondygnację. Luka w marmurowej ławie odsłaniała widok na pochyły tunel. Przekreślały go długie wstęgi ruchomych schodów, u końca których ciemniała jama hallu. Z sytuacji na

górze mogło wynikać, że schody zajmowali tylko ci spośród przybywających, którzy przeszli do szybu legalnym wejściem.

Lawirując ostrożnie między zastygłymi w bezruchu ciałami, wzniosłem się pod sufit, skąd — po zatoczeniu szerokiego łuku — dostałem się do frontowego wejścia. Zamierzałem popłynąć skosem w dół, ponad rzędem unieruchomionych w biegu postaci, aby dotrzeć do usytuowanej pod jezdnią stacji dźwigów. Przypadkowe spojrzenie w kierunku ulicy sprawiło jednak, że pozostałem na miejscu.

Zobaczyłem przez szybę sylwetkę mężczyzny z rewolwerem w ręce. Trwał w głębokim skłonie pod rosnącą postacią pochylonego nad nim policjanta. Inny umundurowany kształt zamierzał się do ciosu pałką. Pięść wyskakującego z boku napastnika spoczywała na jego szczęce. Tłum posągów napierał na kratę przy głównej bramie. Bliżej grupa policjantów broniła dostępu do zamaskowanego przejścia. Jeden z nich leżał na skraju świetlnego kręgu. Podrywał się właśnie z chodnika; ręką przerzucaną za siebie sięgał do kabury po rewolwer. Stęzał na lewym łokciu z głową przy kolanach swego stojącego towarzysza, który trafiony poprzednią kulą tracił już równowagę, przechylając się na wznak w pierwszej fazie upadku na płyty. Wróciłem wzrokiem do wycelowanej w leżącego broni. Wskazujący palec wspierał się na ściągniętym do oporu spuście. Snop światła z mojego miotacza przywarł do bladej twarzy, oderwał się od niej nagłym skokiem i mijając koniec lufy, u której wylotu spodziewałem się dostrzec spowolniony pocisk, padł dalej na płyty chodnika. Ujrzałem tam na tle czarnej nocy czyjeś obnażone plecy. Kilkunastu ludzi przewalało się ponad złamaną barierą; kobieta w rozerwanej sukience wyczołgiwała się spod nóg.

Wisiałem wzrokiem przy wylocie lufy. Zagubiona w chaosie kształtów kula ukazała mi się w zupełnie innym miejscu. Trwała już na torze stycznym do krzywizny szyby. Rozcięła powietrze pod pachą upadającego policjanta; mógłbym ją teraz pochwycić w ręce, gdyby nie przeszkoda w postaci szyby. Obawiałem się, że rozbijając ją przy twarzach zgromadzonych po tej stronie ludzi, zranię więcej osób, niż szkody mogła wyrządzić sama kula. Musiałem wydostać się z pawilonu.

Kula poruszała się torem, który biegł w prześwicie między ciałami posągów. Dalej linia strzału zbiegała się z krawężnikiem jezdni. Płynąc szybko wzdłuż szyby, zbliżałem się do wyjścia i ani na chwilę nie

traciłem jej z oczu.

Przewidywałem, że nie zrani nikogo po drodze, jeśli tylko zdążę dogonić ją w locie, zanim osiągnie drugą stronę ulicy. Ominąłem wreszcie wszystkie przeszkody i wypadłem przed budynek. Odnalazłem ją zwężonym strumieniem światła na białym tle poderwanego podmuchem szala.

Przeczesła włosy pochylonej nad chodnikiem kobiety, przeszła odwinętą połę czyjejs marynarki i wyleciała nad jezdnię. Gdyby nie olbrzymi opór powietrza, dopadłbym ją tam jednym skokiem. Ale i tak poruszałem się znacznie szybciej od niej. Znikła mi z oczu w momencie, gdy zabiegając jej drogę, przewijałem się nad dachem samochodu. Rozejrzałem się szybko dookoła siebie. Całą przestrzeń w polu mojego widzenia zajmowały wyłącznie doskonale nieruchome przedmioty. Dostrzegłem jednak małą dziurkę na ramie między szybami fiata. Zajrzałem natychmiast do środka, samochodu.

— Pocisk trwał w jednostajnym ruchu, mierząc prosto w głowę człowieka. Nie zastanawiałem się już ani chwili dłużej.

Wyrwanym zza pasa nożem wykroiłem otwór w dachu. Następnie, wsunąwszy doń rękę, schwyciłem kulę i zatrzymałem ją na drodze, kilku centymetrów, tuż przed samą głową. Stamtąd pchnąłem ją silnie w kierunku nieba.

Fiat toczył się po jezdni z prędkością ledwie piętnastu kilometrów na godzinę. Zapewne hamował przed szybem. Wyobraziłem sobie, jaką minę miałby jego kierowca, gdyby się kiedyś dowiedział, że od śmierci dzieliła go akurat jedna dziesięciotysięczna część sekundy.

Czułem ból w mięśniach wywołany nieustannym zmaganiem się z masami powietrza. Korciło mnie jednak przy tym, aby wtrącić się jeszcze do walki posągów. Najpierw ściąłem nożem wzniesioną do ciosu pałkę policjanta. Łatwiej mi było zmiażdżyć komuś rękę niż ostrożnie wyjąć z niej gotowy do strzału rewolwer. Unikałem przezornie bezpośredniego kontaktu z posągami. Ciała ich przejawiały plastyczność ogrzanego wosku, który tylko dlatego nie ulegał natychmiast pod naciskiem palców, że wykazywał równocześnie olbrzymią bezwładność. Zastanawiałem się właśnie, jak rozbroić walczących bez narażania ich na ciężkie rany, kiedy wzrok mój spoczął na ciemnej plamie u szczytu kolumny. Siłą rzeczy jakikolwiek ruch na tle skamieniałych kształtów wydawał mi się tutaj

czymś niezwykłym.

Skoczyłem pod strop o kilka sekund za późno. Wielka ołowiano-żelazna masa ścięła kolumnę na moich oczach. Rozpoznałem w niej ten sam metalowy walec, który pół godziny temu wypchnąłem ze ściany komory szkieletów. Pocisk trafił na wolną przestrzeń pod poziomem wiaduktu. Przeleciał przez okno sąsiedniego pokoju i po przebyciu odległości około sześćdziesięciu metrów dostał się aż tutaj. Przejściowy brak tlenu i ucieczka z ponurego gmachu przeszkodziły mi w jasnym uświadomieniu sobie faktu, że zostawiam za sobą potężny pocisk armatni, rozpędzony do prędkości prawie czterystu metrów na sekundę.

W innym świetle przedstawił mi się teraz mój pościg za rewolwerową kulą, figiel z pałką policjanta, a następnie kłopoty moralne, zgromadzone wokół pytania, komu tu właściwie należało pomóc i co z tego mogło wyniknąć za kilkanaście godzin. Bawiłem się dotąd w uczynnego anioła stróża, w naprawiacza przeszłości, nieświadom swej przerażającej mocy, która siała w krąg przede wszystkim postrach i nieprzewidziane zniszczenia. Rozwalona u szczytu kolumna odchyłała się już lekko od pionu. Wykazywała tendencję do obalania się na trawnik. Ten szczęśliwy zbieg okoliczności, że na trawniku nikt akurat nie stał, nie zamknął mi oczu na zasadniczy problem.

W świecie zatrzymanego czasu nie było bowiem mowy o delikatnym działaniu. Już sam huraganowy świst, a może ryk czy grzmot powietrza, które wzburzałem pływając ponad głowami posągów, musiał w końcu wywołać jakieś nieobliczalne konsekwencje.

Skierowałem się niezwłocznie w stronę wylotu kanału, zostawiając w tyle kamienny krąg, pełną napięcia sytuację i siebie za kierownicą mknącego oga. Urwana w kolejnej odsłonie przemijania czasu chwila powszechnego trwania obejmowała ten świat stalowym uściskiem, który lepiej było pozostawić własnemu losowi.

Ocean Rtęci

Zobaczyłem światło w ciemności.

Najpierw przejrzysty snop. Potem jasnioletowy krąg, który przemknął po ścianie sąsiedniego wieżowca. Wspiął się wahadłowym ruchem do najwyższych jego pięter, aż do samego szczytu kredowobiałej galerii, gdzie się przekształcił w wydłużoną elipsę. Szyby kilkudziesięciu okien zamigotały roziskrzonym błękitem i zgasły. Nim znów zapanowała ciemność, zdążyłem zauważyć, skąd trysnął strumień: słabo zarysowany w przestrzeni świetlny stożek krył swój wierzchołek we wnętrzu jednego z okien na szóstym piętrze.

Orbitowałem przy krawędzi muru, na znacznej wysokości ponad wylotem kanału, do którego zamierzałem już się opuścić, aby przez lustro przedostać się wreszcie do pokoju cieni. Dotąd nie brałem pod uwagę takiego niebezpieczeństwa: spotkanie z kimś ze schronu, kto uzbrojony w miotacz urządził sobie stanowisko obserwacyjne we wnętrzu jednego z mieszkań, mogło doprowadzić do śmiertelnego porażenia. Ukryłem się za występem muru i zgasilem swój miotacz.

W tej samej chwili mrocznym wąwozem ulicy przelała się następna kaskada refleksów: snop omiótł skamieniałe kształty na jezdni, śmignął nad szeregiem samochodów i rozrzucając w krąg smoliste cienie, przeleciał dalej w poprzek ronda; tym razem — dzięki maksymalnemu natężeniu emisji — promienie wdarły się aż pod kopułę bliższego szybu. Dostrzegłem równocześnie drugie źródło światła, które nerwowym drżeniem zawtórowało pierwszemu. Zapłonęło nie opodal, po przeciwnej stronie ulicy, i krótkim łukiem biło w asfalt raz po raz — najwidoczniej ktoś tam w dole sygnalizował swoją obecność, by zapobiec nieszczęśliwemu wypadkowi.

Ściana bloku poza moimi plecami rzucała głęboki cień na tę część chodnika, przy której stał samochód Jezy Teny. Korzystając z jej osłony, opuszczałem się coraz niżej i dotarłem do wylotu kanału w momencie, gdy dolny miotacz powtórzył serię ostrzegawczych sygnałów. Mogłem się obawiać, że lada chwila wyczerpie się zapas tlenu w moich butlach, toteż zanurzyłbym się niezwłocznie w otworze, gdybym na krótko

przedtem nie rozpoznał w rozproszonym na ścianach świetle znajomej sylwetki i twarzy: nisko nad chodnikiem przepływała Ina.

Dzieliła nas tylko szerokość ulicy: odległość niewielka, którą naraz zapragnąłem przebyć, by spotkać się z Iną w tym niezwykłym miejscu, lecz znieruchomiałem na krawędzi wjazdu, przybity doń nagłym susem skierowanego z góry snopu światła. Szeroki potok liliowych promieni wypełnił przestrzeń między mną a Iną i nim zdążyłem pomyśleć, co to wszystko znaczy, gardło ścisnął mi skurcz niepokoju, a czas zmierzony ułamkiem sekundy rozlał się w mojej świadomości w fioletowy obraz, w upiorny zarys sylwetki Iny skąpanej w bezpośrednim blasku. Widmo zgasło raptem jak krótkotrwały błysk flesza. Czy było tylko złudzeniem? Ina zmartwiała na moment; zachowała jednak przytomność umysłu i skoczyła przed siebie w kierunku jedynej osłony, jaka znajdowała się w pobliżu, w stronę posągu przy krawężniku pustej jezdni.

Zdążyła dotrzeć na miejsce przed kolejnym smagnięciem smugi; ujrzałem, jak się chowa poza skamieniałym kształtem i odetchnąłem z ulgą, bo jeżeli dotąd mogłem się jeszcze łudzić, że ukryty na górze człowiek operuje miotaczem jak zwykłym reflektorem, nie zdając sobie sprawy z groźnej sytuacji, to teraz wiedziałem już na pewno, że jest to z jego strony działanie świadome i najwyraźniej umyślne. Stałem się bezsilnym świadkiem okrutnego polowania. W żaden sposób nie mogłem mu zapobiec, gdyż strzał z mojego stanowiska prześliznąłby się po ścianie domu, nie docierając do wnętrza pokoju, zaś szalony skok na drugą stronę ulicy pod lawinę promieni gamma w niczym oczywiście nie mógłby Inie pomóc.

Przestrojony na wąskie pasmo miotacz napastnika przeszył przestrzeń światłem oślepiająco intensywnym i wiązka oparła się o rękę posągu i przekreśliła asfalt przy jego nogach. Stąd biała igła podskoczyła wyżej, na plecy, i zwiniętą w liczne pętle spiralą zatoczyła wiele kręgów wokoło wzdętej w powietrzu marynarki. Smuga niosła na sobie skupioną w cienkiej wiązce olbrzymią energię, którą jedynie ciało posągu mogło zatrzymać i rozproszyć. Wierzyłem, że skulona za przechodniem Ina nie odważy się wyrzeć z bezpiecznego cienia, a dopóki tam trwała, mogła niczego się nie obawiać.

Powiedziałem w myśli: przechodzień. Jakże byłem nieświadomy tego, co się tutaj działo! Taki byłem oszołomiony grozą położenia Iny i

własną bezsilnością, że nie przyjrzałem się postaci, która ją osłaniała. Teraz odkryłem ze zdumieniem, że nienaturalna postawa mężczyzny, dziwny układ jego ciała nasuwa mi jakieś odległe skojarzenie: myśl o biegaczu podrywającym się z bloków startowych nim zdąży minąć pierwsza sekunda po strzale, któremu niewidzialna ręka zarzuciła pętlę na szyję i szarpnęła ostro do tyłu; człowiek trwał skrecony w sierp, z piersią wypchniętą do przodu (bo nie były to plecy, jak mi się przedtem wydało) i chyba już przełamywał się gdzieś w krzyżu pod niewidzialnym naporem, tak silnie przewijał się poza siebie, gdzie na wyrzuconych skosem w górę rękach — uzupełniających krzywiznę łuku całego ciała — wzdymała się marynarka zerwana z tułowia, zatrzymana na łokciach i podszewką na wierzch rozpostarta ponad nim, ów główny ekran dla Iny, kształtem swym przywołujący na myśl migawkowe zdjęcie wykonane podczas gwałtownego huraganu.

Coś mnie tknęło, by spojrzeć szybko na zegarek (była godzina piętnasta dziesięć); nie wiedziałem, czemu nie co innego, ale ten bezmyślny odruch sprawił, że powiązałem zaraz dwa odległe fakty i zrozumiałem wszystko w jednej chwili, chociaż jeszcze przez kilkanaście sekund nie byłem w stanie wyrwać się z osłupienia. Posąg pogrążał się z wolna w bagnie — takie odniosłem wrażenie i choć nie miało to nic wspólnego z prawdą, nie znajdowałem lepszego porównania, aby oddać zasadniczą cechę jego ruchu, gdy na moich oczach spływał wolno, ale nieustannie ku dołowi — w świecie, w którym doskonały bezruch zdawał się być pierwszą zasadą zachowania.

Miałem przed sobą obraz znajomego mężczyzny z trzydziestego szóstego piętra w ostatniej fazie upadku na jezdnię. Minęło właśnie pięć sekund lotu — tyleż sekund jego trwogi, rozwleczonej do piętnastu godzin na moim zegarku, po upływie których zderzał się z jezdnią z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Wypadł z okna znajdującego się wysoko w górze po przeciwnej stronie ulicy. Pasek dobrze zaciśnięty na dłoniach uratowałby go wtedy, co jednak dopiero teraz jasno rozumiałem.

Dlaczego Ina nie użyła jeszcze swego miotacza do samoobrony? Wspierałem się na pokrywie wjazdu z plecami zwróconymi do ściany budynku, nieco bardziej niż inne odsuniętego od jezdni i w celu uzupełnienia opisu sytuacji musiałem jeszcze uświadomić sobie, że

rondo z piątym szybem znajdowało się z prawej strony, gmach kryjący napastnika — tuż po lewej, zaś linia łącząca otwór kanału z odległym świetlnym prostokątem, więc zarazem z komorą szkieletów, biegła skosem w lewo, przecinając łuk wiaduktu, bliżej natomiast — drugą ulicę, prawie równoległą do naszej i krzyżowała się z nią akurat w tym miejscu, które minął otwarty og pędzący w stronę szóstego szybu. Wszystko to przemknęło mi przez umysł w ciągu kilku sekund.

Jednym rzutem nóg poderwałem się z miejsca i przypadłem do rogu domu, gdzie ukrywał się napastnik. Stąd szybkimi ruchami rąk i nóg — w cieniu utworzonym przez krawędź muru — wzniosłem się na wysokość szóstego piętra. Nie miałem już ani chwili do stracenia; zamierzałem podejść napastnika od tyłu i zaskoczyć go na jego własnym stanowisku ogniowym. Musiałem więc przepłynąć przez jedno z przyległych mieszkań i okrążając napotykaną przeszkodę, znaleźć właściwą drogę.

Rozbicie okna nie sprawiło mi większego trudu wpadłem do jakiegoś pokoju i silnie zaciśniętym w dłoni nożem rozkroiłem zatrzaśnięte drzwi kilkoma głębokimi cięciami; tylko wyrwana deska opierała mi się zajadle kiedy ją ciągnąłem z całej siły, poza tym gładko prze. dostałem się na korytarz, gdzie ominąwszy ciemną postać posągu, przepłynąłem kilkanaście metrów, skręciłem ostro w prawo i dałem nurka między uchylone drzwi, prosto do mieszkania, w którym mogłem już pozostać na zawsze.

Już w korytarzu dostrzegłem słaby poblask muskający posadzkę, co mnie upewniło, że dobrze trafiłem; znalazłem się w niewielkim przedpokoju — spoza następnych, na wpół rozdartych drzwi przenikało rozproszone światło. Zbliżyłem ostrożnie głowę do nieregularnej wyrwy i zajrzałem w głąb pokoju.

Rekrut we własnej osobie orbitował przy oknie z rurą miotacza opuszczoną wzdłuż uda. Na jego widok poderwałem szybko wylot swojej broni. zdecydowałem się przekreślić go na miejscu, jeśliby tylko raz jeszcze spróbował skierować miotacz na ulicę. Wisiał w przestrzeni nieruchomo, zwrócony plecami do mnie i wyglądał przez okno — chyba czekał, aż Ina zostanie pozbawiona ostatniej osłony. Przyszło mi do głowy w trakcie tej nerwowej przerwy, że dobrze by było podejść go z nienacka, obezwładnić i zaciągnąć do schronu, gdzie mógłbym go następnie wybadać i zmusić do wyjaśnienia, w którym imieniu właściwie

działał: czy chciał nas zamordować z polecenia ludzi, czy też był narzędziem Mechanizmu.

Miałem zaufanie do swoich mięśni, toteż pod wpływem tej myśli precyzyjnie przeszedłem przez wąski wyłom i wpłynąłem do środka pokoju, gotów w każdej chwili pociąć Rekruta na strzępy, gdyby się tylko przedwcześnie obejrzał. Opuszczając dogodnie stanowisko przy wyrwie, popełniłem błąd trudny do naprawienia, ale nigdy nie przewidziałbym takiej sytuacji:

Stół stał pośrodku pokoju, na nim krzesło, a jeszcze wyżej — posąg kobiety, wyprostowanej na krześle i zastygłej z rękoma podniesionymi do sufitu, gdzie poza opuszczoną białą płytką, imitującą wiernie fragment stropu, znajdowały się w płytce wnęce jeszcze jedne drzwiczki, stalowe, zaopatrzone w numerator i pokrętła. Były opuszczone ku dołowi i odsłaniały wnętrze zamaskowanego sejfu, w którym trwała zanurzona ręka kobiety-posągu. Druga kobieta stała przy stole; wstrzymany czas unieruchomił ją z podniesioną do góry głową. Podawała tamtej pękaty neseser — jej skamieniałe oczy wpatrywały się w przestrzeń, w ślad za tym szybkim ruchem; otwarte usta zamarły w połowie jakiegoś słowa. Niewątpliwie, nieświadome katastrofalnej sytuacji kobiety — po ogłoszeniu alarmu zamiast ratować gołe życie, traciły czas na wydobywanie kosztowności, z którymi chyba miały zamiar dostać się do schronu. Nie ten widok jednak sprawił, że chciałem natychmiast wycofać się z powrotem do przedpokoju:

Ujrzałem kątem oka podługowaty cień przemieszczający się na tle białego stropu.

Zobaczyłem teraz nagle — czego wcześniej nie mogłbym ustalić — że w pokoju znajdował się jeszcze jeden przybysz ze schronu, towarzysz Rekruta. Orbitował pod samym sufitem, z ciałem wyciągniętym równoległe do niego i zwrócony plecami do podłogi grzebał gorączkowo w skrytce. Z łatwością rozpoznałem w nim Cooreza.

Nie było już mowy o walce wręcz ani o próbie obezwładnienia Rekruta: groźna sytuacja skomplikowała się — zmuszała mnie do podwójnego zabójstwa, tym bardziej że już na samą myśl o zwróceniu się tyłem do nich w trakcie mozolnego przepychania się przez dziurę czułem ciarki na plecach wywołane wyobrażonym smagnięciem błyskawicy z miotacza Rekruta. W jaki sposób zdołalibyśmy wytłumaczyć Coorezowi,

dostatecznie szybko i jednoznacznie, że jemu z mojej strony włos z głowy nie spadnie, gdyż muszę tylko ubiec Rekruta w jego niewątpliwym ataku na mnie?

Rozwiązanie nadeszło skądinąd i było lepsze, niżbym sobie tego życzył. Spływałem właśnie w ką, za telewizor, wodząc wylotem zgaszonego miotacza od jednej postaci do drugiej, gdy Rekrut — którego musiała zdumiewać scena na dnie rtęciowego oceanu — zwrócił twarz w stronę Cooreza i skinął na niego gwałtownie, jakby go chciał przywołać do siebie. Tamten nie zainteresował się sygnałami Rekruta; bardziej pochłaniało go co innego: gorączkowy rabunek. Drżącymi z podniecenia palcami przebierał w sejfie i raz po raz wyciągał na wierzch, co się tylko dało. Lecz przecież dokładnie to samo zjawisko, które pozwoliło mu nie liczyć się wcale z obecnością kobiet, sprawiało mu też niemały kłopot. Miotał się więc w prawo i na lewo, mocując się oddzielnie z każdym pierścionkiem i z każdym szlachetnym kamieniem, nim część z nich zdołał wreszcie rozlokować po swoich kieszeniach. Bezmyślna chciwość zaślepiła go i opanowała niepodzielnie; wyobrażał sobie pewnie, że w schronie zdoła je w jakiś cudowny sposób sprowadzić do naszego układu odniesienia. Widziałem garść złotych monet rozwieszonych w powietrzu pod skrytką; w deszczu pereł rozrzuconych w przestrzeni wokół porwanego sznura szczególnie kusząco zamigotała duża brylantowa kolia. Coorez nie mógł się z nią uporać i w końcu wyleciała mu z garści.

W tejże chwili do akcji włączył się jego towarzysz: kilkoma energicznymi susami dopadł do cennego łupu i chwycił go oburącz; jednak ów bystry rzut — zdaniem Cooreza — nie rozwiązał problemu własności. Z wyrazu jego twarzy mogłem wywnioskować, że Rekrut nie da się łatwo spławić pod okno, gdzie rozkazującym gestem odsyłał go Coorez. W trakcie niemej szamotaniny Rekrut pozostawał wciąż z dłońmi zaciśniętymi na kolii. Aby ostatecznie rozstrzygnąć spór, kopnął Cooreza w brzuch, bezceremonialnie odbijając się od niego z wielką siłą obydwoma nogami; nabrał przy tym znacznego pędu, proporcjonalnego do olbrzymiej masy kolii, która w prostej linii pociągnęła go do okna.

Ledwie zdążył wypaść na ulicę, gdy spod sufitu trysnął za nim wąski liliowy strumień: widać Coorez nie wahał się ani sekundy. Pasma przeszło przez brzuch nieszczęśnika, rozcinając go na dwoje. Widziałem go jeszcze przez chwilę, kiedy zwinięty w kłębek opadał poza parapet

okna.

Obładowany znikomą częścią skarbu Coorez ruszył z wielkim trudem w ślad za swoją ofiarą. Nogawki spodni przy udach i rogi pustych kieszeni marynarki wlokły się za nim w karykaturalnych drgawkach, jak gdyby co chwila zawadzał nimi o niewidzialne ostre haki.

Zimny pot zalał mi plecy, nie dlatego jednak, abym się rozczulił nad losem Rekruta — w końcu jeden bandyta wart był drugiego i nie było tu kogo opłakiwać. Kiedy Coorez zniknął mi z pola widzenia, ocknąłem się pośród posągów w gęstniejącym mroku, z żółtymi płatami w oczach. Nie musiałem się długo zastanawiać, co to znaczy: przebiegłem w myśli znaczną odległość, jaka dzieliła mnie od pokoju cieni, i zrozumiałem, że nigdy nie zdołam już przebyć nawet połowy tej drogi. Wisiałem pod opróżnionymi butlami z ostatnią porcją tlenu w płucach, świadom minuty trwania i nieuchronnej śmierci, która tutaj — na dnie mrocznej otchłani — mimo wielu przychylności losu uparła się jednak ostatecznie mnie dosięgnąć.

Mogłem podpłynąć najdalej do okna — i to mi starczało, zapragnąłem bowiem rzucić ostatecznie spojrzenie w stronę uratowanej Iny. Wyrzałem. Zęby wgryzły mi się w język, podczas gdy głowa latała mi na wszystkie strony potrząsana daremnymi skurczami piersi — daleko jak okiem sięgnąć ocean lodowatej rtęci spoczywał w dole, zastygły, pusty i martwy, choć przecież roił się setkami ludzi. Pośród głuchego grzmotu, który narastał mi w uszach, odezwało się ostre trzaśnięcie. Zderzyłem się. Co to? Jakaś bezkształtna bryła dryfowała przy mnie. Zaświeciłem w bok na ścianę i w odbitym od niej blasku ujrzałem zmasakrowane piorunującym cięciem zwłoki Rekruta.

Rzut oka na jego aparat tlenowy, przywrócił mi gasnącą świadomość. Zerwałem z ciała butlę i maskę, bezzwłocznie przywierając do niej ustami. Jeszcze przez kilka minut ciszy zakłócanej świstem tlenu ulatniającego się przy zaworach butli widziałem postać Rekruta, gdy majestatycznie wpływał przez okno — z powrotem do stóp pokaleczonej kobiety. Czy kiedykolwiek mógłby przewidzieć, w jaki sposób uratuje mi życie?

Raport

Na strzaskanym tapczanie — ustawionym ponownie pod ścianą w pokoju cieni — spałem przez pełne pięć godzin, to jest, do dwudziestej trzydzieści. Runąłem nań ostatkiem sił, szczęśliwy, że nie muszę nigdzie dalej chodzić, taki byłem wyczerpany przejściami w zastygłym mieście, a teraz, czując większą niż przedtem ociężałość, sztywność i ból we wszystkich mięśniach, uzmysłowiłem sobie jeszcze, od ilu godzin nie miałem nic w ustach. Głód potęgowało rozgoryczenie wypływające ze świadomości, że o posiłki będę tu musiał walczyć, jakbym wcale na nic nie zasługiwał.

Mogłem zwrócić się do obsługi w stołówce z upokarzającą prośbą o nielegalne wydanie jednej porcji (kelnerka miałaby tu niemałą satysfakcję) albo wprost zająć się resztką kolacji pozostawioną przez kogoś na talerzu, mogłem też poprosić o bon Asurmara, trzeci z kolei — jeżeli nie wyczerpał jeszcze swojej cierpliwości — mogłem wreszcie dalej nalegać na pułkownika Gonedą, aby wyjął odpowiedni formularz i przyłożył niezbędny stempelek. Zdecydowałem się na to ostatnie rozwiązanie.

Udałem się najpierw do składu na poszukiwanie Elty Demion, jak Ina sama chciała się nazywać, miałem bowiem jeszcze w oczach krótkotrwałe widmo jej postaci skąpanej w szerokiej liliowej smudze, i chociaż było to zapewne przywidzenie, chciałem się jednak upewnić, czy mimo wszystko nie została w jakimś stopniu porażona. Niestety nie zastałem jej tam. W hallu panowała gorączkowa krzątanina. Kilkunastu mężczyzn uwijało się w wąskich przejściach między rosnącymi wciąż górami tobołów, które znosili tutaj z innych pomieszczeń i rzucali beładnie na wierzch, pod sam sufit, lub upychali ściśle w nie wypełnionych jeszcze lukach pomiędzy krzesłami. Całe wnętrze uległo gruntownym przeobrażeniom. Na próżno szukałem wzrokiem zwiniętego dywanu, ostatniego legowiska Iny. Obok przesuniętych pod ściany stosów bezużytecznych mebli pojawiły się nowe zwaliska utworzone ze sprzętu obrony ludności przed środkami masowego rażenia. W wielkiej liczbie przeciwgazowych masek i butów-pończoch z

długimi cholewkami, między warstwami nagumowanych ochronnych płaszczy poniewierały się różnokolorowe pakiety, pudła, butle i kanistry z napisami „Dezaktywizacja”, „Odkazanie”, „Dezynfekcja” — wszystko razem stanowiło zapewne sprzęt specjalny, zgromadzony w komorach na wypadek skażenia rejonu bronią jądrową, chemiczną lub biologiczną. Mieszkańcy schronu dobrze byli przygotowani do pośpiesznej ewakuacji w przypadku, gdyby zaistniała konieczność wyjścia długimi tunelami na powierzchnię ziemi i wędrówki w opadającym pyłe radioaktywnym oraz na przewyciężenie innych przewidywanych nieszczęść, które jednakże nie miały nic wspólnego z rodzajem rozgrywającej się właśnie tragedii. Było coś przytłaczającego w tym nerwowym i bezmyślnym przenoszeniu rzeczy z miejsca na miejsce, w tych daremnych usiłowaniach pozbycia się bezużytecznego ładunku, zawalającego bezcenną przestrzeń — chyba próba imitowania jakiegokolwiek działalności, która by związała na jakiś czas myśli i ręce beczynnych ludzi.

Ze składu skierowałem się prosto do gabinetu Goned. Alin stał w otwartych drzwiach kancelarii i wyglądał sennie na korytarz. Zajrzałem przez jego ramię do środka — Goned nie było.

— Co tam? — warknął.

— Wie pan może, gdzie jest teraz pułkownik Goned? — spytałem.

Wzruszył ramionami i w milczeniu, ostentacyjnie podnosząc do drzwi wskazujący palec, podkreślił paznokciem ujęty w ramki skrawek błyszczącego papieru. Przeczytałem: „Interesantów przyjmuje się w godzinach 8–16”. Myślałem, że parsknę śmiechem, ale opanowałem się: więc tego jeszcze brakowało, tutaj — na drodze do gwiazd!

— Czy nie spodziewa się pan, że jednak wstąpi tu jeszcze wieczorem?

— Może.

— Pozwoli pan zaczekać?

Odsunął się niechętnie na bok. W odizolowanej kratą części pomieszczenia siedziało czterech mężczyzn. Spoglądając na nich z ukosa, stałem przez kilkanaście minut pod ścianą; wreszcie przysiadłem na brzegu krzesła koło biurka. Alin, który dotąd zdawał się mnie nie dostrzegać, zbudził się na ten widok z krótkotrwałej drzemki w progu i przyskoczył do mnie z taką gwałtownością, jakby chodziło tu co najmniej o obronę tronu zagrożonego świętokradczym kontaktem: wyrwał mi

krzesło spod siedzenia i zamasyście przetarł je rękawem swetra.

— Tam — syknął, wyrzucając rękę poza siebie. — Niech pan się rozwali na taborecie. Nie znajdujemy się w prywatnej celi. Porządek musi być!

Jeden z więźniów zachichotał.

— Cisza! — wrzasnął Alin. — Jeżeli jeszcze raz któryś z was trzaśnie dziobem... — zawiesił głos:

Nie dałem się spieszyć takim traktowaniem; w końcu urzędowanie miało nadal swoją karykaturalną moc. Lecz kiedy pomaszerowałem w stronę taboretu przy kracie, Alin jęknął za mną tak rozpaczliwie, że mogłem się obawiać, czy nie traci ostatniej cierpliwości:

— Człowieku, gdzie pan się wlecze! Nie na tamtym, tutaj! Przepisy zabraniają zbliżyć się do kraty na odległość dwóch metrów. Do szkoły pan nie chodził?

Poczłapał ociężale na próg. Usiadłem w kącie na koślawym stołku i żeby mieć pełniejszy obraz jego mentalności, odezwałem się jeszcze raz:

— Czy mogę pożyczyć na chwilę długopisu? — wskazałem na biurko, gdzie leżały przybory Goneda. Zaprzeczył ruchem głowy. Dopiero po kilku minutach, gdy zapomniałem już o całym incydencie, w trakcie kolejnego przerzutu wzroku z lewej na prawą stronę korytarza zamamrotał na wpół do siebie:

— Nie wolno, i już!

Wpatrywałem się w siną biel twarzy oświetlonych przez brzęczącą w górze jarzeniówkę i myślałem o olbrzymiej zdolności przystosowawczej, jaka cechowała osobowości typu Alina. W jaki sposób z pospolitego opryszka zdołał się na oczekaniu przemienić we wzorowego stróża porządku, w pedantycznego wykonawcę rozkazów — to już pozostawało jego słodką tajemnicą, zagadką tych wszystkich nieskomplikowanych struktur duchowych, w których tak łatwo jest zmienić cały porządek od samych podstaw, dlatego przede wszystkim, że nie ma tam czego przekształcić ani naruszyć.

Minęło pół godziny. Czas oczekiwania na Goneda dłużył mi się tym bardziej, że nie byłem wcale pewny rezultatu naszego spotkania. Jeszcze raz przyjrzałem się więźniom. Mężczyzny, który rano dawał mi znaki w czasie dyskusji z Asurmarem, nie było już za kratą; nowi aresztanci zachowywali całkowite milczenie, trzech leżało na zbitej z desek pryczy,

czwarty przechadzał się spokojnie z kąta w kąt. Ten ostatni zwrócił moją uwagę w momencie, gdy — korzystając z chwilowej nieuwagi Alina — sięgnął ręką między pręty kraty i szybkim ruchem pochwycił sznurowadło, które leżało po tej stronie na stoliku wśród innych odebranych aresztantom drobiazgów. Przyglądałem mu się sennie przez jakiś czas: przywiązał pusty kubek do końca sznurowadła i kołysał nim miarowo w obydwie strony. Każdy ruch kubka akcentował bezdźwięcznym ruchem warg. Wreszcie podciągnął rękaw marynarki i znacząco pokazał palcem na lewy nadgarstek, gdzie zwykle nosi się zegarek.

Skwitowałem tę zabawę stereotypowym: „Czego to się z nudów nie wymyśla!”, gdyby człowiek nie próbował mnie do niej wciągnąć. Rzucił mi kilka wymownych spojrzeń i raz po raz wskazując na swoją zabawkę, odwijał rękaw marynarki, jakby chciał się dowiedzieć, która jest godzina.

— Dwudziesta pierwsza dziesięć — powiedziałem na głos. Alin obejrzał się. — Dość późno — wyjaśniłem.

— Jak się panu śpieszy, to do widzenia!

Aresztant pokręcił przecząco głową. Miał zniecierpliwioną minę. Oczywiście nie pytał mnie o godzinę. Co innego miał na myśli. Kiedy wreszcie zorientowałem się, o co mu chodzi, musiałem przyznać równocześnie ze wstydem, że kto inny wpadł przede mną na ten prosty pomysł: mężczyzna chciał poznać aktualną wartość przyśpieszenia ziemskiego. Z racji pełnionej tu funkcji ja pierwszy powinienem zainteresować się tym zagadnieniem.

Znalazłem w kieszeni maleńką zapalniczkę Veisa, a potem zająłem się poszukiwaniem nitki. Wyciągnąłem ją z nogawki spodni i odłożyłem dokładnie jeden metr długości, rozwijając ją dwukrotnie wzdłuż krawędzi taboretu, którego wymiary — jak głosił uwidoczniony na ścianie spis inwentarza — były pedantycznie znormalizowane i na szczęście nie objęte ścisłą tajemnicą wojskową. Po przywiązaniu zapalniczki wykonałem sto pełnych podwójnych wahnięć. Zajął to trzy minuty bez dwóch sekund. Podczas gdy aresztant skinął mi głową z aprobatą, Alin, prześledziwszy krytycznym wzrokiem wszystkie moje poczynania, stuknął się z rozmachem palcem w środek czoła. Głupota tych niepoważnych czynności, jakimi dręczyłem niechcący jego wyobraźnię, była dlań tak oczywista i rozczuliła go do tego stopnia, że

zapominając o stosownym dystansie — z braku innego powiernika uczuć — zwrócił się z szerokim uśmiechem do więźnia. Tamten też — najwidoczniej, żeby mu nie robić przykrości — pstryknął się palcem w czoło. Drżącymi z podniecenia palcami sięgnąłem po notes Veisa. Przekształciłem równanie na okres wahadła matematycznego, wyznaczając zeń przyśpieszenie. Po podstawieniu odpowiednich wartości i wykonaniu prostego — rachunku otrzymałem zdumiewający wynik.

— Dwanaście całych i czterdzieści dziewięć setnych metra na kwadrat sekundy — powiedziałem na głos, niby to do samego siebie. — Z niewielkim błędem — dodałem po chwili.

Byłem tak przejęty otrzymanym rezultatem, a jeszcze bardziej okolicznościami, które mnie do niego przywiodły, że przestałem reagować na kolejne grymasy Alina. Musiałem wreszcie rozciąć węzeł podstawowych wątpliwości: co tu dominowało nad czym — ludzie czy zjawisko? Czy ludzie kierowani niejasnymi motywami działania — czy sterowane wolą Mechanizmu tajemnicze zjawisko fizyczne? Kim byli ci mężczyźni, postaci spoza kraty — zdawałoby się na pierwszy rzut oka szeregowi mieszkańcy schronu izolowani tu za jakieś tuzinkowe wykroczenia — kim był zwłaszcza człowiek z wahadłem w ręku, który o wartość przyśpieszenia ziemskiego pytał w sposób tak naturalny, jak kto inny pyta o czas, jak gdyby już od szeregu godzin — ba, może nawet od szeregu miesięcy! — znając doskonale fakt, że znacznie odbiega ono od normy (o czym ja nie miałem zielonego pojęcia), chciał się tylko dowiedzieć, przy mojej pomocy, czy nadal utrzymuje się na tym samym poziomie?

Zostałem więc brutalnie ściągnięty na właściwe miejsce: dotąd wyobrażałem sobie — nie bez odcienia pewnej zarozumiałości — że podążam samotnie w ślad za myślami Uneverisa, że ja jeden dotrzymuję mu kroku na zawilej drodze do odkrycia prawdy. A oto przypadek skonfrontował mnie z człowiekiem jeszcze bardziej od nas zapoznanym. Czy było to przejawem ogarniającej wszystko niepojętej konspiracji, że każdy, ktokolwiek usiłował przeniknąć tajemnicę, według swych sił zdawał się borykać z nią oddzielnie — i każdy na innym szczeblu samotnie błędził?

Wykonałem jeszcze kilka obliczeń. Stosunek prędkości światła do

otrzymanej przed chwilą wartości przyśpieszenia równy był liczbie dwustu siedemdziesięciu ośmiu dni. Cały ten czas mieliśmy już poza sobą z wyjątkiem trzech ostatnich dni. Kolejna niepewność została usunięta. Ostatnia, wypływająca z sugestii Uneverisa, teza okazała się więc całkowicie prawdziwa, chociaż sformułował on swój pogląd, opierając się wyłącznie na analizie efektów relatywistycznych, zaś niezgodność czasów próbował usunąć fantastycznym założeniem, że „zgubiliśmy” gdzieś owe brakujące osiemdziesiąt dni. Teraz jednak nie obracałem się już w sferze mętnych przypuszczeń — najbliższe godziny musiały potwierdzić druzgocącą prawdę.

Wyrwałem kartkę z notesu i zatytułowałem ją:

Do komendanta schronu generała Lendona

Raport Neta Porejry.

Będę pisał o faktach — na ogół — doskonale znanych i z tego powodu nie zamierzam się tu wdawać w bardziej szczegółowe analizy. W dniu czwartego czerwca ubiegłego roku, zatem przed dziewięcioma miesiącami, schron nasz został wyrwany z powierzchni Ziemi i uniesiony w przestrzeń kosmiczną tak łagodnie, że nikt tego wówczas nie zdołał zauważyć. Dzisiaj również nie można by było stwierdzić tego z całą pewnością, gdyby przyśpieszenie ruchu, w jakim wciąż trwamy, było dokładnie równe przyśpieszeniu grawitacyjnemu Ziemi, ponieważ w myśl zasady równoważności Einsteina nie można odróżnić efektów grawitacji od analogicznych efektów wywołanych ruchem jednostajnie zmiennym.

Jednakże przyśpieszenie, o którym tu mowa, większe jest od średniego ziemskiego o około dwa i pół metra na sekundę do kwadratu, o czym łatwo można się przekonać. Siła bezwładności równa reakcji na stałą siłę przyłożoną do schronu i przeciwnie do niej skierowana pcha nas ku podłogom, sprawiając, że człowiek, który na Ziemi ważył 60 kilogramów, tutaj waży 76 kilogramów.

Brak jakichkolwiek wstrząsów od dnia katastrofy pozwala sądzić o stałości przyśpieszenia i prowadzi następnie do niewątpliwego wniosku, że od dwustu siedemdziesięciu pięciu dni schron oddała się nieustannie od Układu Słonecznego i że dziś osiągnął już prędkość bardzo zbliżoną do prędkości światła w próżni. Z porównania czasu miasta relatywistycznego z czasem schronu wynikałoby, że prędkość schronu równa jest części prędkości światła określonej przez ułamek dziesiątyny, w którym po zerze całości następuje kolejno aż osiem dziesiątek — tak bardzo bliski jest on jedności; z drugiej zaś strony wydaje się, iż sytuacja taka powinna nastąpić dopiero za trzy dni. W każdym razie nim one miną, ustanie ciąg fotonowego silnika odpowiedzialnego za siłę bezwładności, dzięki której mamy tu sztuczną grawitację. Należy się tego spodziewać w każdej chwili.

Tyle — gdy chodzi o fakty niewątpliwe. Co się zaś tyczy świata posągów zastygłego pod dnem schronu, to mogę na jego temat wysuwać jedynie bardziej lub mniej wiarygodne hipotezy. Oczywiście, najłatwiej by było powołać się tu na istnienie sił nadprzyrodzonych i obarczyć je odpowiedzialnością za wszystko, co się tutaj dzieje. Wówczas sprawa byłaby od razu zamknięta. Rzecz w tym jednak, że takie siły również — przynajmniej w moim przekonaniu — podlegać muszą powszechnym prawom natury i że także są ściśle skrepowane.

Mechanika obowiązująca dziś w Kaula-Sud z naszego punktu widzenia — gdy ją

rozpatrywać w oderwaniu od zasadniczej trudności — nie nastęcza w swym opisie żadnych większych kłopotów. Wszystkie prawa fizyczne są tam — zdaje się — doskonale zachowane. Wszelkie zmiany ilościowe otrzytać można z prostych transformacji czasu i masy. Jedynie kwestia długości obserwatora przechodzącego przez granicę światów, która zmienia się na styku, dostosowując się niejako automatycznie do skróconej długości miasta — pozostaje nadal nie rozwiązana. Narzuca się więc najpierw próba zrozumienia zjawiska na gruncie teorii względności, obarczona jak wiadomo — co najmniej jedną główną sprzecznością, której nie sposób usunąć. Osobliwe zestawienie poruszających się względem siebie układów, z jakim mamy tu do czynienia, jest teoretycznie całkowicie niemożliwe. Stajemy zatem przed alternatywą: ekspozycja lokalna czy transmisja z Ziemi. Mamy tu zarazem swoisty dualizm: jeżeli pominąć problem wizji, to w pierwszym przypadku znaną sytuację lepiej opisują transformacje Lorentza, w drugim — trzeba się powołać na zjawisko Dopplera.

Zatrzymam się przy tej ostatniej możliwości. Promień światła wysłany z miotacza wprowadzonego ze schronu do miasta, który miał na samym początku częstotliwość wtórnego promieniowania kosmicznego, trafia tam jako dwadzieścia tysięcy razy dłuższy, czyli jako promień z pogranicza fal Roentgena i gamma. Następnie, po częściowym odbiciu od przedmiotów miasta, wraca z powrotem, jeszcze raz ulegając efektowi Dopplera (więc znów przesunięty w widmie elektromagnetycznym daleko ku „czerwieni”) i ostatecznie w układzie obserwatora zajmie miejsce w paśmie promieni dla niego widzialnych. Czas ekspozycji jest dla posągów tak krótkotrwały, że — praktycznie biorąc — naświetlanie nie wyrządza im żadnej krzywdy. Natomiast osoba z naszego układu odniesienia oświetlona w mieście światłem miotacza padającym na nią bezpośrednio ulega natychmiastowemu porażeniu. Dzieje się tak najpierw dlatego, że absorbuje ona wiązkę o częstotliwości dwadzieścia tysięcy razy większej, a po wtóre z tego powodu, że czas naświetlania jest dla niej tyleż razy dłuższy niż odpowiedni czas w odniesieniu do posągów.

Pozostaje jeszcze rozwiązanie problemu dla mieszkańców schronu bodaj najważniejszego: czy zagadkowy utwór, który mknie za nami w przestrzeni kosmicznej, jest doskonałą reprodukcją miasta z okresu ostatnich sześciu minut bezpośrednio poprzedzających wstrząs i katastrofę, inaczej mówiąc — czy jest on symetrycznym odwzorowaniem określonego obszaru przestrzeni związanego z Ziemią na obszar przestrzeni związany ze schronem, czy raczej należy sądzić (mógłbym tu wskazać na przekonywające dowody), iż utwór ten jest identyczny z samym miastem? Różnica między dwiema możliwościami jest oczywista, gdyż w pierwszym przypadku dane są dwa miasta: tam — nieosiągalny oryginał, a tutaj — jego kopia, na której dokonywać możemy różnych operacji bez obawy, że wprowadzamy zmiany do własnej przeszłości, w drugim natomiast przypadku istnieje tylko jedno miasto — wędrujący ze schronem oryginał. Jeżeli — o czym jestem przekonany — zachodzi tu druga z rozpatrywanych możliwości, to wszelkie, nawet najbardziej drobne zmiany wywołane przez nas w chwili obecnej w mieście należy traktować jako automatyczne uzupełnienia brakujących poprzedników w tych wszystkich ciągach zdarzeń, w których już dziś istnieją w schronie odpowiednie ich następniki. Uzupełnienia te są konieczne z punktu widzenia determinizmu. Dokonują się na marginesie naszej działalności, gdyż nie jesteśmy w stanie ich skontrolować.

Opuściłem kancelarię Goneda, którą trafniej byłoby nazwać komisariatem, i poszedłem przed siebie opustoszałymi korytarzami. Nie

miałem już cierpliwości czekać tu na niego dłużej; z drugiej znów strony nie spodziewałem się też, żeby Alin zechciał mi wskazać miejsce pobytu pułkownika. Po drodze wsunąłem do kieszeni kartki z raportem do Lendona. Powinienem przekazać mu je możliwie najszybciej. Ścisła izolacja międzysegmentowa nie ułatwiała mi tego zadania. Musiałbym uzyskać zezwolenie na opuszczenie tej strefy, które wystawić mógł tylko pułkownik Goned. Czy zdołałbym później wrócić, aby skontaktować się wreszcie z Eltą Demion?

O ile zdążyłem już poznać panujące w schronie zwyczaje, Goned nie uznałby raportu za dokument pierwszej wagi i skierowałby go do segmentu komendanta zwykłą drogą służbową. Uwaga o ładunku termojądrowym, którego chciał użyć do przebicia drogi na powierzchnię ziemi, zdradzała wymownie, na co jeszcze ten człowiek liczył. Przypominał muchę miotającą się we wnętrzu zakorkowanej butelki; ściany pułapki dzieliły go od kwitnącego ogrodu i trudno byłoby mu chyba wytłumaczyć, że wybijając okno, wyda wszystkich na pastwę próżni galaktycznej.

Tak czy inaczej, wszystkie drogi, jakie kreśliła przede mną sytuacja, ogniskowały się teraz na osobie Goned, toteż ucieszyłem się, kiedy zobaczyłem go w grupie kilku zgromadzonych na korytarzu osób. Idąc ku niemu, przeszedłem obok Senta i Raniela. Na widok tego ostatniego zmieszałem się: więc ktoś go już wypuścił z magazynu. Zachowałem wobec niego milczenie. Każde usprawiedliwienie zabrzmiałoby tu niezręcznie i fałszywie, zwłaszcza że — prawdę mówiąc — zupełnie o nim zapomniałem.

Jakiś mężczyzna z teczką w ręku wyprzedził mnie w chwili, gdy zwolniłem, mijając Raniela. Zachowywał się tak, jakby zamierzał mnie ubiec w kolejności załatwiania spraw przed pułkownikiem. Podszedł do rozmawiającego z dwiema kobietami Goned i zatrzymał się przy nich w postawie wyrażającej przygotowanie do dłuższego oczekiwania. Teczke postawił na podłodze. Gdyby nie błyszczące, rozgorączkowane oczy, powiedziałbym, że twarz ułożyła mu się w wyraz cierpliwości cechującej wzorowego petenta. Zerknąłem w stronę Raniela: patrzył na mnie.

Wszystko, co zdarzyło się w czasie następnych pięciu sekund, można by nazwać popisem piorunującego działania, do jakiego chyba tylko jeden Sent był zdolny. Usłyszałem najpierw jego krótki ryk:

„Padnij!” Nim ktokolwiek zdążył odwrócić głowę, Sent przyskoczył do Gonedy i pchnął go razem z kobietami na mnie, tak gwałtownie, że wszyscy upadliśmy. Odsłoniliśmy przy tym drzwi łazienki, w które Sent kopnął z całej siły, nieomal równocześnie rzucając w głąb porwaną z podłogi teczkę. Drzwi odbiły się od ściany i z trzaskiem wróciły na swoje poprzednie miejsce — to był jeden ułamek sekundy; w drugim ujrzałem Senta złożonego do strzału z biodra i oddaloną już postać właściciela teki, który z rozkrzyżowanymi rękoma przewijał się do tyłu, trafiony kulą, nim zdecydował się na jawną ucieczkę wszystko razem w głuchoj ciszy, bo nawet rewolwerowy strzał był ciszą w zestawieniu z ogłuszającym hukiem detonacji, która po chwili wstrząsnęła całym segmentem.

Rozerwane drzwi wyleciały na korytarz, odsłaniając wnętrze jamy zasłanej rumowiskiem gruzu. Łoskot w łazience umilkł nagle; leżeliśmy w gęstej chmurze białego pyłu pośród sypiących się jeszcze odłamków, poprzez nerwowy wrzask kobiety słyszałem czyjś kaszel.

— Są ranni? — spytał Sent. Całą twarz pokrywały mu czerwone plamki.

Nikt nie odpowiedział. Pochylił się nad Gonedem i pomógł mu wstać. Podniosłem się z podłogi. Jeżeli nie liczyć rozbitego łokcia, ciętej rany na udzie i skręconej w kostce nogi — nie odniosłem żadnych obrażeń. Innym również eksplozja bomby nie wyrządziła większej szkody. Trzeba było przyznać, że Sent doskonale strzegł swego zwierchnika. Kobiety otrzepywały się wzajemnie z grubej warstwy pyłu. W czynności tej więcej było potrzeby uspokojenia wzburzonych nerwów niż jakiegoś sensu. Ukryły się zaraz w sąsiedniej kabinie. Drzwi na całej długości korytarza kołysały się wahadłowym ruchem, ukazując ostrożnie wychylające się głowy i całe postacie ludzi, najczęściej wyrwanych ze snu. Nikt o nic nie pytał. Najbardziej zdumiewała mnie ta nienaturalna cisza.

Sent rozdeptywał kałużę krwi przy zwłokach zamachowca. Otoczony rosnącą gromadą gapiów szperał po jego kieszeniach.

— Kto to był? — zwróciłem się do Gonedy. — Domyśla się pan?

Podpierał ścianę. Wpatrywał się szklistym wzrokiem w rozmazaną na dłoni krew. Pochodziła z innego miejsca, co mu wskazałem palcem. Kapiała z rany w małżowinie ucha, w której sterczała gruba drewniana

drzazga.

— Słabo panu? — spytałem jeszcze raz.

Nawet na mnie nie spojrział. Dyszał chrapliwie. Nie było na nim znac śladu jakiejś poważniejszej kontuzji, jednak robił wrażenie człowieka umierającego. Gdy brałem go pod rękę, patrząc na jego kredowobiałą twarz, która upodobniła się już prawie do siwych włosów i brwi, zrozumiałem, że wiele czasu minie, zanim będę się mógł z nim porozumieć. Sent podszedł do nas i zdecydowanym ruchem odsunął mnie na bok.

— Idziemy — rzekł.

— Przepraszam — powiedziałem niepewnie. — Wiem, że mówię o tym w nieodpowiedniej chwili, ale sprawa jest niezwykle ważna i pilna. Chciałem wręczyć panu pułkownikowi raport. Dotyczy...

— Jutro — uciął Sent.

— Przedstawiam w nim powagę naszej sytuacji. Każda godzina jest cenna, gdyż trzeba uczynić odpowiednie przygotowania...

Oddalali się.

— Może kto inny by się tym zajął, skoro pan Goned nie czuje się na siłach — spróbowałem jeszcze.

Sent zostawił Gonedę i szybko wrócił do mnie.

— Niech pan się teraz nie wygłupia — usłyszałem przy uchu jego ściszony głos.

Odeszli. Kawał betonu kołysał się na zwoju kabla pod stropem ruin łazienki. Zostałem sam.

Zagrzebać się w tłumie

Błąkałem się długo po korytarzach w nadziei, że szczęśliwym przypadkiem znajdę gdzieś Eltę Demion. Nie spotkałem jej nigdzie. Wstąpiłem do stołówki i do baru, zaglądałem do różnych kątów i wnęk; tylko wnętrza kabin, w których ludzie zamykali się na klucze, były dla mnie nieosiągalne, tak samo jak dla niej.

Myśl o Inie przysłoniła mi wszystkie inne sprawy, lecz nie usunęła ich całkowicie w cień. Ni stąd, ni zowąd wplątałem się we wspomnienie wypowiedzi Ludwika Veisa, przerażonego groźbą mojej zdrady, zaraz mignęła mi w myślach fałszywa twarz Cooreza, potem — zmuszając się już nieomal — zacząłem analizować uniki Asurmara i podwójną grę Unevorisa, w pewnej mierze pokrewnego mi duchem, by wreszcie dojść do aresztantów z lokalu Gonedą i zamachu na jego życie. Czy ludzie spoza kraty mogli być płodami i narzędziami Mechanizmu? Zatrzymywałem się kolejno nad różnymi wydarzeniami, to znów widziałem je wszystkie razem — splecione w jeden gąszcz.

Postawieni przed niebezpieczeństwem, które powinno ich zjednoczyć, mieszkańcy schronu nie byli solidarni. Być może, jakieś zasadnicze różnice zdań w ocenie sytuacji wywołały już dawno rozłam, a następnie ukrytą i nieprzejednaną walkę. Czy trwała ona między ludźmi i siłami Mechanizmu? Jeżeli tak było istotnie, to o co toczyła się ta walka? Przecież nie o życie ani o żadne wartości materialne. Wolności też nikt tutaj nikomu nie mógł już bardziej ograniczyć od czasu, kiedy zamknęły się centralne szyby; a czy schron spoczywał na miejscu, czy trwał w nieustannym ruchu — jakież nierozwiązalny konflikt trawił wciąż jego mieszkańców i kierował na drogę podstępnych zmagania, skłaniał do intryg i szantażu, skoro nikt — poza abstrakcyjnym dla nich pojęciem Mechanizmu — nie mógł mieć i nie miał żadnego wpływu na jego pęd?

Poszedłem do magazynu, gdzie wczoraj niechcący uwięziłem Raniela, przyszło mi bowiem do głowy, że mogę tam znaleźć coś do jedzenia. Nie pomyliłem się. Ślady pobytu Raniela pomogły mi w poszukiwaniach: dostrzegłem w jednym z kątów rozłożony na podłodze plan Kaula-Sud i opróżnioną puszkę. Obok na półkach stało kilka

skrzynek z konserwami. Zabrałem ze sobą dużą paczkę biszkoptów, puszkę zgęszczonego mleka i cztery konserwy mięsne. W chłodni znalazłem cytryny. Zaopatrzyłem się też w nowe butle z tlenem i wsunąwszy do kieszeni plan miasta, wróciłem do pokoju cieni.

Leżała na tapczanie z rękoma wyciągniętymi wzdłuż ciała i z przekrzywioną na bok głową, tak samo, jak miała zwyczaj wypoczywać wówczas, na górze, kiedy jeszcze nie byłem dla niej całkowicie obcy i kiedy przez długie godziny, niepewni przydzielonego nam losu, wsłuchując się we własne oddechy, wpatrywaliśmy się razem w noc. Spała. Podeszedłem bliżej cicho na palcach i zająrzałem jej w twarz. Usta miała lekko otwarte, spieczone wargi i sińce pod oczami; wpatrywałem się we włosy, proste i długie, przesypane na jedną stronę; zdradzały na końcu nierówne cięcia nożem, którym oddzieliłem je od podstawy cylindra, najwcześniej — na samym początku naszej drogi w nowy świat. Wszystko się zgadzało w najdrobniejszych szczegółach — pragnąłem w to uwierzyć.

Usiadłem cicho na krześle i otworzyłem puszkę z konserwami. Jadłem, ze wzrokiem utkwionym w jej postaci. Czekałem, aż się sama obudzi. Spała niespokojnie.

Po godzinie przeczołgała się na nowe miejsce. Co jakiś czas ciałem jej wstrząsał krótki nerwowy dreszcz; przeżywała coś przykrego we śnie, próbowała krzyczeć i koszmar, który ją tam gnębił, nie pozwolił mi już dłużej zwlekać. Położyłem dłoń na jej czole.

Drgnęła, otwierając oczy. Wpatrywała się we mnie czarnymi otworami źrenic. Kiedy wracałem na krzesło, podniosła się szybko na łokciu.

— Ino — szepnąłem z nadzieją w głosie. Milczała dalej. — Widzisz mnie pierwszy raz?

Oczy miała szeroko otwarte. Drobne kropelki potu zalśniły na jej czole. Może czyniła rozpaczliwe wysiłki, by przywołać jakiś zamglony obraz; zdawało mi się przez krótką chwilę, że nieznacznym uśmiechem przemknął po jej ustach, lecz zaraz spłynął na nie ten sam obcy cień.

— Tak... pamiętam.

— Pamiętasz? — Serce waliło mi jak młotem. Zerwałem się z miejsca. — Mów...! Co?

— Na korytarzu... chyba wczoraj albo dziś.

— Nic więcej?

— Teraz przypominam sobie.

— Więc mnie poznajesz! Wiesz już, kim jestem?

Zaprzeczyła powolnym ruchem głowy. Z oczami utkwionymi gdzieś daleko poza mną, jakby wciąż jeszcze patrzyła w swój sen, wstała z tapczanu.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że masz w umyśle obraz człowieka, którego znałaś, ale on nie ma nic wspólnego ze mną?

— Nie, to nie to.

— Wypowiedz się jaśniej.

— Widzę pana dopiero drugi raz. Spotkaliśmy się na korytarzu.

Opadłem na krzesło i ukryłem twarz w dłoniach. Siedziałem tak przez kilka minut jak martwy. Chyba myślałem o Mechanizmie. O celu naszym wśród pancernych ścian, o drodze poprzez gąszcz i o nieuchwytniej zagadce transplantacji pamięci. Myślałem o okrutnej woli zniszczenia tej wielogodzinnej nocy, która już raz na zawsze — połączyła mnie z Iną.

I nie spostrzegłem się nawet, gdy ręka zacisnęła mi się w pięść; patrzyłem na nią tępym wzrokiem i jak na ironię zobaczyłem na palcach zabliznione już ślady po zębach Iny — pamiętkę zawarcia znajomości.

— Patrz... — uniosłem pięść, w nagłym porywie przenosząc ją nad tapczanem — ugryzłaś mnie wtedy w rękę, gdy ci odcinałem włosy. Czy tego nie widać?

Pokiwała głową ze smutkiem. Nie chciała mnie brutalnie wyprowadzić z błędu. Zresztą, wiedziałem już, że skinęła nie tyle nad ręką, co nade mną; taki byłem śmieszny w tej naiwnej potrzebie przedstawienia dowodu rzeczowego, że mogłaby teraz wziąć mnie za wariata.

— Bardzo się wygłodziłaś? — zmieniłem temat. Odwróciłem się do stołu, gdzie złożyłem przyniesioną z magazynu żywność. — Są biszkopty, ale może wolisz konserwy?

Przeniosłem wszystko na tapczan, aby mogła jeść leżąc. Domyślałem się, że musiała być zmęczona po wyprawie do miasta. Zobaczyłem ją poprzez otwarte drzwi łazienki, gdy pochyłona nad wanną piła wodę wprost z kranu. Wróciła chwiejnym krokiem. Ogarnęła łakomym spojrzeniem przygotowaną na tapczanie kolację i zerkając niespokojnie

w stronę wyjściowych drzwi, zapytała ni stąd, ni zowąd:

— Co teraz będzie?

— Jak to co? Jedz.

— Ale ja... — urwała. Miała niewyraźną minę.

— Boisz się mnie?

— Zająłam panu tapczan... czy tak?

— Ach, o to ci chodzi. No, szczerze mówiąc, wtargnął tutaj bezprawnie — spróbowałem zażartować — więc, gdy zjesz, wrócisz do siebie. Mieszkasz pewnie w luksusowym apartamencie.

Patrzyła na mnie niepewnie.

— Nie martw się już. Ten pokój do nikogo nie należy.

— Pan tu nie mieszka?

— Czasami.

Sięgnęła po mleko i biszkopty.

— Wyniosę się stąd, kiedy tylko zechcesz. — powiedziałem po dłuższej chwili milczenia. — Lecz skoro już zawarliśmy znajomość, mów mi Net.

— A ja nazywam się Elta Demion, wiesz?

— O tak! Zapamiętałem doskonale.

Usiadła. Chociaż przez wiele ostatnich godzin musiała pewnie pościć z konieczności i wyglądała już bardzo mizernie, jadła bez apetytu. Miała na sobie krótką letnią sukienkę, może tę samą, w której po długiej nieobecności wróciła raz do pokoju i klękła przy mnie na dywanie, gdzie dogorywałem w półśnie bliższym śmierci niż jawy, pod miazgą nieledwie namacalnej czerni, wpatrzony w otchłań, skąd wychylała się ku nam głęboka źrenica nieokreślonej postaci Mechanizmu.

Uklękła więc, a może położyła się blisko przy mnie — ile dałbym za to, by teraz wiedzieć — i opowiadała mi coś z ożywieniem, czego jednak nie pojmowałem, bo nie docierały do mnie żadne inne dźwięki z wyjątkiem tętna krwi we własnych żyłach, które odmierzało czas najjaśniejszego zrozumienia. Wyrwałem jej raz z ręki puszkę z konserwami, jak dzikie zagłodzone zwierzę, choć sama mi ją podawała; siedziała teraz na krawędzi stołu, jak wtedy, gdy odcięty od źródła nie pomyślałem o tak ważnej rzeczy, czy bezwład mój wynikał z okresowego braku dyspozycji, i nie uświadomiłem sobie, że ona pod moją duchową nieobecność, za siebie i za mnie — tam, wśród kondygnacji — żyje, czuje,

myśli i działa. Musiała wiele wycierpieć, zanim ją opuściłem.

— Net.

— Słucham.

— Czy znasz pułkownika Gonedę?

— Pewnie niewiele lepiej niż ty.

— To on wydaje bony żywnościowe?

— Tak, on sam, we własnej urzędowej osobie. Ale trudno cokolwiek u niego załatwić. Na ogół jest nieosiągalny. Poza tym ma tu osobistych wrogów. Niedawno urządzono na niego zamach bombowy. Byłem przy tym. Słyszałaś huk?

— Tak. Czy żyje?

— Ocalał tylko dzięki błyskawicznej akcji jednego ze swych rewolwerowców. Potem nie był w stanie myśleć o niczym innym, zresztą wcale mu się nie dziwię. Nie rozumiem tylko jednego: o co tym ludziom w ogóle chodzi. Zachowują się tak, jakby posiadli wyższy stopień wtajemniczenia. Odsuwają mnie od siebie niecierpliwie jak nieznośne dziecko, które po raz setny pyta na przykład o to, dlaczego kij ma dwa końce. Związane z porwaniem schronu, z jego lotem do gwiazd i z naszym przyszłym losem realne niebezpieczeństwo dla władz administracyjnych nie ma większego znaczenia. Takie odnoszę wrażenie. Zdumiewa mnie fakt, że oni boją się tutaj czegoś zupełnie innego. Kilkunastu agentów Mechanizmu poniewierających się gdzieś w głębi schronu nie mogłoby oczywiście wywołać takiej atmosfery. W każdym razie problem posągów i zagadka lotu — to dla przytłaczającej większości ludzi dopiero drugi, jeżeli nie jeszcze dalszy, marginesowy plan wydarzeń. W pierwszym — wiedzą, czego chcą: działają celowo i aktywnie, precyzyjnie i z zimną krwią. Działają, ale czy kiedykolwiek zrozumieją — na rzecz czego?

Spojrzałem na milczącą Inę i zrobiło mi się wstyd.

— No tak... — mruknąłem niepewnie — rozgadałem się, a tymczasem w dalszym ciągu prawie nic o tobie nie wiem. Usłyszałem twój głos przez drzwi pokoju Uneverisa, a potem widziałem ciebie nad rzekomym trupem Cooreza. Bo czy już wiesz, że oni cię oszukują? Coorezowi nic wtedy się nie stało. Opuścił pokój w najlepszym zdrowiu, by w końcu, w czasie twojej wycieczki do miasta, zabić osobnika z krótko ostrzyżonymi włosami, który tam ciebie atakował miotaczem. Widziałem

to wszystko na własne oczy, gdyż znajdowałem się w pobliżu...

Mówiłem danej, ale tak, jakbym nawoływał w próżni. Ina była nieobecna. Ciałem trwała wciąż niedaleko, przy mnie. Lecz gdzie teraz błędziła myślami? Mógłbym ją o to zapytać wprost. Jednak umilkłem. Może pragnąłem, by znalazła we mnie powiernika duchowego bez żadnego nacisku z mojej strony.

— Net — odezwała się wreszcie sama, jakby szła za tokiem moich myśli — muszę ci coś powiedzieć...

— Mów śmiało.

Wyglądała na bardzo niezdecydowaną. Dziwna rzecz, trzymałem ją przecież w ramionach — tam, we wspólnym naszym ukryciu, a teraz czułem się wobec niej taki skrępowany. Spróbowałem jeszcze raz:

— Powiedz szczerze. Co ty tu właściwie robisz?

— Gdyby to było takie proste.

— Jeżeli się obawiasz...

— Zaraz.

Podniosła na mnie oczy i po chwili spuściła je z powrotem w dół — na swoje ręce, którymi kurczowo obejmowała krawędź stołu, pochylając się nad nimi chwiejnie, jakby ostatkiem sił czy może z lękiem, że grozi jej jakiś ostateczny upadek.

— Dostałam polecenie... grozi ci niebezpieczeństwo. Chcą ode mnie... — plątała się słabym, drżącym głosem.

— No...! — wykrztusiłem z największym zmieszaniem. Strzykawka? Fiolki? — przemknęło mi; to bałem się, że mi tego nie powie do samego końca, to znów wolałbym jeszcze się łudzić.

— Uważają, że to ja właśnie powinnam, że to mój najświętszy obowiązek...

— Kto? Czemu mówisz tak bezoosobowo?

— Jak ty się nie orientujesz, Net! Ale to nie jest teraz najważniejsze. Chciałam tylko cię zapewnić...

— Więc dlatego udawałaś, że mnie nie poznajesz?

— Nie!

Miała łzy w oczach.

— Czy żądają, abyś mnie podstępnie zwabiła w pułapkę? Czy zależy im na mojej śmierci?

— Zabić? Ależ to nie o to chodzi! Jest tu coś gorszego niż śmierć,

choć z pewnego punktu widzenia wydawać się może największym dobrodziejstwem.

— Więc co?

— Zrozum... Musisz mi zaufać. Nie daj po sobie poznać, że cokolwiek wiesz.

— Przecież ja jeszcze niczego nie wiem!

— Lepiej będzie, kiedy tego nie usłyszysz ze szczegółami. Co ja mówię — to konieczność. Wtedy zdołasz postępować dalej bez największego ciężaru, jak dotąd. Bo niewiedza to twoja główna broń i ocalenie.

— Teraz już niczego nie rozumiem. Zależało ci tylko na tym, by zasiać niepewność? W jakim celu sprowadziłaś mnie na samą krawędź, podsunęłaś mi świadomość największego niebezpieczeństwa, aby milczeć teraz, gdy trzeba je wreszcie skonkretyzować. Po co wywoływałaś we mnie nieokreślone podejrzenia?

— Bo chciałam ci otworzyć oczy w jakimś stopniu, koniecznym na wypadek, gdybyś zauważył coś niezwykłego i stracił do mnie zaufanie. Lecz teraz, cokolwiek zdarzy się w najbliższym czasie, proszę cię najgoręcej, zachowaj pewność, że w dalszym ciągu będę stała zawsze po naszej stronie i że do ostatniej chwili będziesz mógł na mnie polegać.

Powiedziała to nienaturalnym głosem, tonem tak dziwnie uroczyście, że mogłbym ją podejrzewać o recytowanie wyuczonej formuły. Po co w ogóle wspominała o wzajemnym zaufaniu? Czyż nie byłam zdany na jej łaskę w takich okolicznościach, skoro się okazywało, że jest znacznie lepiej ode mnie wtajemniczona? Jakiś ohydny robak drgnął mi nagle w samym mózgu, wpełzł w głąb myśli i zaraz — na szczęście — skonał.

Spróbowała się uśmiechnąć. Usiadła przy mnie na tapczanie i wzięła mnie za rękę. Kiedy drugą kładła mi na ramieniu, drgnąłem jak obudzony ze snu. Śmieszna rzecz — to ona mnie pocieszała. Ona sama chciała nieść ten wielki ciężar, od którego pragnąłem uwolnić ją w myślach przez cały czas naszego pobytu. Jakże inaczej wyobrażałem sobie dalsze losy związku między nami.

— Czy nie zauważyłeś jeszcze — podjęła znów takim samym tonem po kilku minutach milczenia — że niektórzy mieszkańcy schronu, zwłaszcza wtedy, gdy się tego wcale po nich nie spodziewasz, ale też w

każdym innym wypadku, czynią rozpaczliwe wysiłki, aby swoje postępowanie wyrazić jednoznacznie jako stałą gotowość do spełniania pokładanych w nich nadziei? Czy ci się nie narzuciło, że właśnie przez starannie dobierane pozy, przy dyskretnie zamaskowanej lub przynajmniej tłumionej odrazie, przez pozorowanie całkowitej uległości, imitowanie aktywności, a także — kiedy tylko trzeba przez markowanie chciwości i głupoty robią oni wszystko, co jest możliwe, aby swoje postępowanie uczynić przeciętnym, zwykłym, zgodnym z narzuconą normą, słowem, czy nie spostrzegłeś, że oni po prostu ukrywają się w tłumie?

Milczałem. O kimże to ona mówiła! Dlaczego wybrała tak zawiłą drogę, aby się ze mną porozumieć? Oddalała się wciąż ode mnie, w miarę gdy usiłowałem się do niej zbliżyć. Jak miałem rozumieć ostatnią jej wypowiedź? Więc Coorez nie zabił Rekruta dla zwyczajnej chęci zysku, a Alin nie był bezmyślnym debilem, na jakiego wyglądał? Czyżby starali się być takimi jedynie w tym celu, aby zawierać się w ramach zwyczajności by ich o coś nie podejrzewano? Nonsens — Ina myślała pewnie o narzędziach Mechanizmu, więc o nas samych między innymi. Ale w takim razie co jej stało na przeszkodzie, co ją nieufnie nastawiło do mnie, że nie powiedziała mi tego otwarcie? W końcu to była nasza wspólna tajemnica i wobec siebie nie musieliśmy się z niczym kryć. Już chciałem odezwać się na ten temat, gdy uświadomiłem sobie, jaki jestem nieprzytomny.

Sytuację sprzed kilku dni chciałem bezkrytycznie utożsamić z obecną. Kim byłem dla niej: robotem czy człowiekiem z krwi i kości? Skąd teraz mogłem mieć pewność, za kogo mnie brała, skoro nadal wyraźnie nie przyznawała się do znajomości ze mną? Pragnęła dobrowolnie powierzyć mi jakąś tajemnicę, ostrzec mnie przed czymś i w porę się spostrzegła, że jej szczere wyznanie wywołać może jeszcze większe komplikacje; z naszej rozmowy zaś musiała wynieść odpychające wrażenie, że ją podstępnie przesłuchiwałem.

Dźwięczało mi w uszach pozostawione bez odpowiedzi pytanie i musiałem wreszcie zagłuszyć je czymkolwiek. Wpatrywała się we mnie dalej uparcie, jakby z nadzieją; pewnie czekała na jakieś wyjaśnienia.

— Tak — powiedziałem mechanicznie. — Rzeczywiście. Oni po prostu ukrywają się w tłumie. Może jednak porozmawiamy o tym innym razem. Jutro chociażby, kiedy wypoczniesz. Połóż się spać, bo ja zaraz

wybieram się do miasta. Gnębi mnie tam jedna sytuacja. Nie potrafię ci wytłumaczyć, jak bardzo zależy mi na tym, abyś do mojego powrotu nigdzie stąd nie wychodziła. Spodziewam się, że wkrótce zdołam coś wyjaśnić... Ale zaczekaj. Czy mogę cię o to prosić?

— Obiecuję. Mnie też na tym bardzo zależy. — Podczas gdy zajmowałem się przygotowaniem do nowej wyprawy, w myślach plątały mi się kolejne wątpliwości: mało tego, że nie mogła wiedzieć, kim jestem naprawdę, gdyż ja sam nie znałem jeszcze swego rzeczywistego pochodzenia — kim ona była, przede wszystkim, jeśli duchowo nie czuła się identyczna z Iną? I jeszcze: kogo chciała we mnie widzieć... a ja w niej? ileż tu było pytań i niejasności!

Czy moglibyśmy polegać wyłącznie na instynkcie zmysłów i żyć obok siebie w ciągłym napięciu, bez troski o jutro i bez pełnej wiedzy, czy jej świat sąsiaduje z moim światem, wśród ustawicznych wzajemnych podejrzeń, w oczekiwaniu na cios, na zmiję, która mogła pojawić się nagle w jej lub w moich oczach z wybiciem kolejnej godziny; czy nie oszukałbym jej w czymś najistotniejszym, może nieświadomie, a może w sposób najbardziej podstępny i podły, bo inspirowany planem Mechanizmu...

Stałem już przed lustrzaną granicą z aparatem tlenowym na plecach i z miotaczem w ręku. Ina spała. Przypomniałem sobie o czymś. Wyrwałem kartkę z notesu i skreśliłem na niej kilka uwag dla Iny, tak na wszelki wypadek:

„Jeśli w pewnej chwili stracisz grunt pod nogami i zawiśniesz w stanie nieważkości, nie wpadaj w panikę. Zachowaj się spokojnie i czekaj na mnie. Zjawisko będzie miało naturalny charakter i należy go oczekiwać. Wytłumaczę ci wszystko po powrocie — Net Porejra.”

Byłem człowiekiem jedynie w takim stopniu, w jakim zdołałem osiągnąć pewność, że jestem czasową kontynuacją posągu za kierownicą pędzącego ulicą oga. Jednak samochód mknął z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę, a od szybu dzieliła go odległość zaledwie stu dwudziestu metrów. Od dziewięciu godzin, w czasie których wóz nieustannie zbliżał się do tłumu posągów, nękały mnie te dwie liczby. Podczas ostatniej wyprawy nie zauważyłem, aby mój skamieniały sobowtór zwalniał pedał gazu — wprost przeciwnie: odniosłem wrażenie, że go jeszcze bardziej wciskał. A jeśli nie zamierzał zatrzymać

się przy szybie, jeżeli nie zjechał w głąb przed katastrofą, to by znaczyło...

Wolałem sobie tego nie wyobrażać. Z bijącym sercem zanurzyłem się w chłodnej rtęci. Postać skulonej na tapczanie Iny zastygła mi w oczach. Uniosłem z sobą jej obraz na dno skamieniałej otchłani.

Równanie toru

Do szóstego szybu dotarłem o godzinie dwudziestej trzeciej trzydzieści — dokładnie po trzech sekundach, jakie upłynęły w mieście od czasu pierwszego spotkania ze swym skamieniałym sobowtorem. Samochód powinien teraz mijać szyb, w przypadku gdyby wciąż poruszał się z nie zmienioną prędkością — i tego właśnie się bałem, ponieważ nadzieja, że jestem człowiekiem, nie miałyby w takim razie żadnych podstaw. Przy stacji mogłem dowiedzieć się ostatecznie, kim jestem w rzeczywistości: czy wierną kopią wykonaną na wzór tamtego mężczyzny, który jednak pozostał w mieście, by zginąć w nim za pięć minut w czasie totalnej zagłady, czy też — w co wierzyłem od dziewięciu godzin — człowiekiem, który wysiadł z samochodu przy szybie i zjechał windą w głąb ziemi do schronu, aby dzisiaj być mną samym. Po drodze znów opanowały mnie wątpliwości: doszedłem do wniosku, że gdyby kierowca oga zamierzał zatrzymać się przy głównym wejściu, musiałby rozpocząć hamowanie znacznie wcześniej. Niepokoiła mnie wielkość prędkości samochodu w zestawieniu z bliskością celu; gdyby posąg nacisnął na hamulce natychmiast po naszym spotkaniu, to znaczy już o godzinie czternastej trzydzieści, wówczas po bardzo ostrym i niebezpiecznym hamowaniu wytraciłby całą poprzednią prędkość na drodze stu dwudziestu metrów po upływie sześciu sekund i zatrzymałby się przy szybie rano następnego dnia, o wpół do dziewiątej. Lecz stopy posągu nie zmieniały wtedy swego położenia.

Przepląnąłem ponad grupą wysokich domów i zawisłem przy krawędzi ostatniego dachu, skąd jednym spojrzeniem mogłem objąć całą zastygłą w dole ulicę. Przeciąłem ją szeroką wstęgą z miotacza. Nigdzie na jezdni nie mogłem doszukać się białego samochodu. Zobaczyłem go dopiero po opuszczeniu się na niewielką wysokość: stał przy samym szybie, niewidoczny z góry, gdyż przysłaniał go szeroki okap przy stropie, który okalał znaczną część chodnika. Wóz zaparkowany został na płytach przy jednej z kolumn; jego kierowca unosił się już z fotela.

Odetchnąłem z ulgą. Byłem tak uszczęśliwiony pomyślnym przebiegiem wypadków, że w owej chwili nie dopuściłbym do siebie

żadnych innych myśli prócz czegoś w rodzaju triumfu: oto rzeczywistość okazywała się silniejsza od wszelkich rachub i wyliczeń, jakie nękały mnie po drodze; posąg szykował się do opuszczenia samochodu, a ja miałem niezwykłą okazję, aby przyjrzeć się sobie samemu na spowolnionej drodze do ruchomych schodów; na nowo obudziła się we mnie nadzieja, że może jakiś zaobserwowany teraz szczegół przywróci mi pamięć zdarzeń sprzed dziewięciu — miesięcy. Podpłynąłem bliżej.

Wstrząs był tym silniejszy, że poprzedzała go głęboka ulga. Chociaż w ułamku sekundy widok przeszył mi umysł chłodem całkowitego zrozumienia, nadal jeszcze nie dowierzałem własnym oczom. Z daleka wyglądało to inaczej: jak gdyby posąg wstawał z miejsca o własnych siłach. I rzeczywiście — unosił się z fotela... nadal przysiągłbym, że jego powolny, płynny ruch przeczył zasadom zachowania się wszystkich innych posągów. Patrzyłem w tę zastygłą twarz — swoją własną, choć młodszą o dziewięć miesięcy — w twarz wykrzywioną jakimś nieokreślonym spazmem, ni to bólem, ni śmiechem, a może po prostu zniekształconą nagłym przerażeniem, już uświadomionym, które jednak nie zdążyło się jeszcze rozwinąć, patrzyłem na nią ze wzrastającym osłupieniem i sam już nie wiedziałem kiedy ocknąłem się nad wskaźnikiem prędkości samochodu. Strzałka tkwiła przy samym końcu skali; na liczbie „sto czterdzieści pięć kilometrów na godzinę”.

Samochód rozbijał się o kolumnę. Przed ułamkiem sekundy — odmierzoną w jego świetle — wóz zboczył z jezdni, wpadł na chodnik i nim kierowca zdążył mrugnąć, zwarł się z masywną przeszkodą. Wpadał na nią całym pędem, tak jak mknął opustoszałą ulicą w upiornej poświacie globu zawieszzonego nad miastem. Była to szalona jazda, ale w jakich odbywała się okolicznościach! Znalazłem ślad kuli rewolwerowej, która przeszła prawą przednią oponę. Powietrze uszło z niej już całkowicie. Domyśliłem się, że mogła to być główna przyczyna katastrofy. Koła obracały się niezwykle wolno; ale ruch postępowy samochodu z łatwością dał się zaobserwować; mogłem wkrótce stwierdzić, że jego prędkość — po przeliczeniu na mój czas — wynosiła cztery milimetry na sekundę.

Obraz zniszczenia uzupełnił się po upływie kolejnej minuty. Siła bezwładności wyrzucała kierowcę do przodu — ponad miażdżącą maskę odkrytego wozu, a *ja* w żaden sposób nie mogłem temu zapobiec. Tyłne

koła straciły już kontakt z chodnikiem: jak na zwolnionym filmie wznosiły się do góry. Sprasowany przód silnika wgryzł się głęboko w beton i w głuchej ciszy, rzadko przerywanej basami przekształcanych ultradźwięków, centymetr po centymetrze owijał się wokoło trzonu kolumny; blachy karoserii pęczniały i rozłaziły się na wszystkie strony, zwijając się na bokach z taką łatwością, jak płaty masła. Fragment podwozia pękał.

Obserwując dalej tę groźną scenę, chyba już jednak ostatecznie beznadziejną, mimo przykrew świadomości poprzednich doświadczeń usiłowałem znaleźć jakąś szansę ratunku. Równocześnie miałem w pamięci gigantyczną masę wszystkich ciał w mieście i niezwykłą ich miękkość, tak samo jak zdawałem sobie sprawę z okrutnej przewrotności fizycznych warunków, które moją olbrzymią moc i szybkość, jaką dysponowałem w zestawieniu z posągami, czyniły prawie całkowicie bezużyteczną. Działo się to w chwili, gdy chodziło o uratowanie akurat tego człowieka, kiedy uświadomiłem sobie w pełni, co oznaczało dla mnie jego życie.

Udało mi się zachować spokój. Z uwagi na to, że najwidoczniej środek ciężkości auta — i środek kolumny — leżały dokładnie na prostej określającej kierunek prędkości, sam samochód musiał zatrzymać się na drodze około jednego metra, gdyż taka mniej więcej odległość dzieliła przedni zderzak od kierownicy. Natomiast wyrzucony z fotela posąg, który płynął już w przestrzeni ponad szybą, dostatecznie wolno, bym miał czas wymierzyć na kolumnie przyszłe miejsce rozbicia jego głowy, poruszał się nadal z prędkością czterdziestu metrów na sekundę w swoim świecie, nie wolniej — rzecz oczywista — niż pędził dotąd razem ze swym samochodem. Nie mogło być inaczej, skoro nie natrafił jeszcze na żadną przeszkodę, która by zmniejszyła jego pęd. Coś makabrycznego czaiło się w tej ostatniej konkluzji i szydziło sobie ze mnie: owszem, byłem w stanie zapobiec zderzeniu, nie dopuścić do kontaktu posągu z kolumną, ale musiałbym w tym celu pchać z całej siły jego osiemsettonową masę w przeciwną stronę dopóty, aż ciało zmiażdżyłoby się na mnie — słowem mogłem go uratować od niechybnej śmierci oczekującej nań nieco dalej, zabijając go swymi twardymi rękoma o ułamek sekundy wcześniej. Dowiodłem już raz w komorze szkieletów, że mógłbym tego dokonać: rozpedzić lub zatrzymać nawet tak wielką masę

— ale tam pchałem żelazną bryłę, bez troski o jej deformacje, tutaj zaś leciała na spotkanie z zaporą utwardzona olbrzymią bezwładnością swej powierzchni galareta. Nawet niewinne pozornie przekrzywienie głowy posągu spowodowałoby natychmiastowy wstrząs jego mózgu, więc groźny nokaut, jeżeli nie liczyć innych ciężkich obrażeń.

Myśląc o tym wszystkim przez cały czas zderzenia, który nie przekroczył pięciu minut, od pierwszej chwili uwijałem się jak w ukropie. Zdawałem sobie sprawę, że wszystkie moje niezwykle pracochłonne zabiegi są tylko doraźne i nie usuwają głównego niebezpieczeństwa, jednak robiłem wszystko, co można było w tych warunkach uczynić, by utorować drogę posągowi poprzez szczątki miażdżonego nieustannie wraku. Miotalem się wokoło niego już prawie bez tchu. Najpierw ukręciłem i wywlokłem na bok kierownicę, usuwając tym samym sprzed brzucha posągu pierwszą przeszkodę, potem wyciąłem szybę i zaciągnąłem ją na bezpieczną odległość, wreszcie rozdarłem nożem drzwiczki, które wyłamywały się już do środka. Okazało się jeszcze, że musiałem zwinąć kilka spęczniałych na przodzie blach i wepchnąć daleko w głąb wozu znaczny fragment pulpitu z zegarami, gdyż tor obu kolan przechodził przez jego okolice.

Posąg przypominał teraz swoją pozycją skoczek odbijającego się niezgrabnie od trampoliny. Trwał w przestrzeni wyciągnięty w niej — prawie poziomo; tylko ręce na szczęście, już przed godziną oderwane od kierownicy — stężały wyrzucone razem na lewą stronę, jakby w poszukiwaniu czegoś, może nieobecnych tam drzwiczek. Nie śmiałem spojrzeć mu w oczy. Jego głowa zbliżała się nieustannie do marmurowej płyty. Gdy odległość zmalała do około dwudziestu centymetrów, musiałem powziąć jakąkolwiek decyzję — szczęśliwą lub zgubną. A ponieważ nie miałem żadnego wyboru, zdecydowałem się na rozwalenie kolumny.

Łatwo to było powiedzieć! Zagłębiając w przeszkodzie swój nóż, zorientowałem się na całe szczęście, że nie muszę jej usuwać z drogi w całości, co oczywiście byłoby niewykonalne w tak krótkim czasie. Wystarczyło tylko wyrwać z grubego walca sporą bryłę uzbrojonego żelaznymi sztabami betonu, to znaczy wyciąć w nim coś w rodzaju koryta, którym mogłaby przesunąć się swobodnie sama głowa, ponieważ tułów płynął nieco z boku i nic mu na razie nie zagrażało. Przydało mi się

doświadczenie wyniesione z komory szkieletów: wykroiłem nożem, co było trzeba, i ze wszystkich sił naparłem na oddzielony wyłom, kierując go ukośnie w stronę nieba.

Jak zwykle w czasie pierwszych kilkunastu sekund, zdawało się, że mimo wielkiego nacisku bryła pozostaje nadal na miejscu. Gdybym nie znał praw tego świata, uznałbym się za pokonanego. Efekt przyniosła cierpliwość. Najpierw przesunięcie było niedostrzegalne: dawało się określić znikomą miarą rzędu mikrona, wkrótce nieco wzrosło: do setnej i do dziesiątej części milimetra. Lecz rosło wciąż proporcjonalnie do kwadratu czasu, to znaczy coraz szybciej i osiągnęło wreszcie wielkość centymetra. Teraz już było znacznie łatwiej. Prędkość wyłomu rosła w oczach. Dygotałem z wysiłku, zlany potem zalewającym mi oczy. Głowa posągu wypełniała lukę w korpusie kolumny dosłownie w ślad za powolnym ruchem moich rąk. Udało mi się! Ale byłem już bliski utraty przytomności.

Po tym morderczym wysiłku wisiałem nieruchomo z zamkniętymi oczami, ciężko dysząc przez kilkanaście minut. Ocknąłem się z zamroczenia dopiero na przykrą myśl, że odwlokłem śmierć swego sobowtóra zaledwie o jedną dziesiątą część sekundy i że walka o jego życie jeszcze się nie skończyła. Szybował dalej w przestrzeni, już blisko cztery metry poza kolumną, tuż przy powierzchni wielkiego marmurowego bloku o trójkątnym przekroju, przy którego bocznej krawędzi ciemniał obły korpus samochodu-cysterny.

Zbliżyłem się doń. Stok bloku nachylony był do poziomu pod ostrym kątem, dzięki czemu płyta tworzyła na całej swej długości łagodnie wznoszącą się do góry pochylnię. Była to okoliczność niezwykle szczęśliwa i kto wie czy nie decydująca o jego życiu, że obrócone w locie ciało posągu zwierzało się plecami z dość długą powierzchnią równi pod bardzo ostrym kątem. Siła — zdawało się — dość łagodnie docisnęła go do marmuru. Rozpłaszczony na wznak sunął wolno ku górnej krawędzi stoku. Lecz ślizgał się w szerokiej kałuży jakiejś lśniącej cieczy. Krew! — przemknęło mi przez umysł, ledwie ogarnąłem wzrokiem całą sytuację.

Zdarzenie uszło mojej uwadze: miało miejsce jeszcze przed kwadransem, w pierwszej fazie zderzenia samochodu, kiedy nie miałem czasu rozglądać się wokoło siebie. Okazało się, że ukrecona i z wielkim nakładem pracy wypchnięta do przodu kierownica oga trafiła w bok

samocho-du-cysterny. Lecąc z prędkością kilku centymetrów na sekundę, która w świecie posągów odpowiadała prędkości armatniej kuli, rozerwała blachę zbiornika na znacznej długości. Przed minutą, nim posąg zwarł się z powierzchnią stoku, trysnęła nań z cysterny spora porcja sprężonego pod ciśnieniem oleju napędowego. Taka kąpiel nie mogła być groźna; gdyby nie knebel w postaci ustnika aparatu tlenowego, roześmiałbym się teraz na głos z ulgą, gdyż w pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że posąg płynie w kałuży krwi pochodzącej z własnego roztrzaskanego ciała.

Sunął dalej w gładkim poślizgu jeszcze przez cały kwadrans. Jego uniesiona nieco głowa nie stykała się z powierzchnią płyty; przeszła pod barierą w miejscu, gdzie pochylnia skręcała w stronę szybu; tam też ciało trafiło na pionowy uskok: dotarło do końca marmurowego pomostu. Tutaj nastąpiło to, czego oczywiście należało się spodziewać: posąg nie spadł raptownie w dół, lecz trwał nadal w przestrzeni, mimo braku podpory, wznosząc się coraz bardziej, w miarę gdy oddalał się od progu. Leciał dalej wzdłuż toru, który z linii prostej przechodził łagodnie w bardzo długi łuk paraboli. Łatwo można było się domyślić, że ze względu na wielką prędkość początkową, przy równoczesnym braku znaczniejszych oporów na dotychczasowej drodze, człowiek upadnie w dużej odległości od miejsca, gdzie rozbił się jego samochód.

Pierwszy raz rozejrzałem się przytomnie dookoła siebie. Już nie naglony pośpiechem, wzniosłem się wysoko ponad budynek szybu. W jego otoczeniu zaszły pewne zmiany w czasie mojej trzysekundowej nieobecności. Przede wszystkim rzucało się w oczy narastające wśród ludzi nowe zamieszanie, które nałożyło się na stary obraz paniki. Znaczna liczba skamieniałych w biegu postaci trwała na chodnikach z twarzami zadartymi do góry. Tłok przy wejściu od strony placu nieco się rozluźnił. Wprawdzie ludzie nadal napierali na siebie, lecz teraz już na ogół w przeciwnym kierunku.

Z dynamicznych postaw posągów wynikało, że poprzednio wszyscy zbiegali się w stronę centrum z obłądnym zamiarem błyskawicznego przedarcia się do stacji dźwigów. Niestety, w tych warunkach dla większości stało się to niewykonalne. Miałem przed sobą tragiczny obraz tak bardzo typowy dla każdej paniki: przerażeni mieszkańcy chcieli przedostać się do ruchomych schodów i pochylni niemal równocześnie i

z tego powodu prawie nikt tam nie docierał. Wstrząsające sceny w zatłoczonych przejściach w bardzo krótkim czasie doprowadziły do unieruchomienia zgromadzonych w nich ludzi.

Teraz mogłem już zauważyć zaznaczającą się w wielu miejscach przeciwną tendencję: rozśrodkowującą zbiegowisko. Ze swego punktu obserwacyjnego jeszcze raz ogarnąłem całą sytuację. Doszedłem do wniosku, że gdyby nie obecność stratowanych w ścisku ludzi, którzy prawie całkowicie zablokowali zbyt wąskie przejścia, wszyscy zgromadzeni — przy zachowaniu jakiejś takiej kolejności — zdołaliby w czasie pięciu minut dostać się do schronu. Nikt jednak tutaj — poza mną samym nie mógł oczywiście wiedzieć, że katastrofa nastąpi dopiero za pięć minut.

Zwróciłem uwagę na nowy duży kształt, który wzniósł się pośrodku jezdni obok szybu. Zaświeciłem tam. Zobaczyłem jeszcze jeden samochód. Ale w jakiej pozycji! Stał dęba, prawie pionowo na przednim zderzaku. Więc w czasie mojej nieobecności zaszedł tu jakiś groźny karambol. Popłynąłem szybko w stronę miejsca wypadku.

Kierowca wisiał w środku auta na zapiętych pasach bezpieczeństwa. Prawdopodobnie nie groziły mu większe obrażenia, ponieważ wóz koziółkował z prawej strony jezdni, wzdłuż której droga była pusta. W tym ułamku sekundy trwał w fazie przewalania się na dach. Nadjechał z przeciwnej strony w stosunku do oga i z wielką prędkością zawałił o róg fiata. Jezdnia w tym miejscu raptownie opadała w dół, co zapewne wytworzyło moment obrotowy w chwili zwarcia. Fiat-zawalidroga wytoczył się niespodziewanie na środek jezdni. Nastąpiło to wkrótce po pościgu za rewolwerową kulą, gdy jego kierowca (ten sam mężczyzna, przed którego głową po rozkrojeniu dachu dziewięć godzin temu zatrzymałem pocisk) wyskoczył w biegu ze swego samochodu. Prędkość fiata była już niewielka. Ale skręcił gwałtownie na środek jezdni, skąd po miażdżącym ciosie w opłakanym stanie został odrzucony z powrotem na poprzednie miejsce. Człowiek upadł na asfalt w bezpiecznej odległości od obu wozów. Bardzo musiała go przestraszyć moja poprzednia interwencja, skoro zareagował tak gwałtownie. Jezdnia prawie na całej swej szerokości została zatarasowana przez oba rozbijające się samochody.

Zrozumiałem teraz, dlaczego kierowca oga skręcił nagle na prawo i

wpadł ukośnie na pusty chodnik. Krawężnika z tej strony nie było. Z lewej — czekała go pewna śmierć, gdyż stamtąd mknął na jego spotkanie inny samochód. Wolny dotąd środek wypełnił się niespodziewanie zjawą zwariowanego fiata. W ostatnim ułamku sekundy kierowca oga mógł dostrzec, że jezdnia po prawej swej stronie jest również zajęta. Mignęła mu tam postać mężczyzny, który wyskoczył z wnętrza toczącego się jeszcze wozu.

W takiej sytuacji trzeba było wybierać: między potworną kraksą — z lewej, masakrą — na wprost i wątpliwą szansą ocalenia — po prawej stronie ulicy. Mój sobowtór liczył, że zdoła przemknąć wąskim pasem przy pochylni, może spodziewał się... Zresztą, nie było tu o czym mówić: czy zdążyłby tak wiele sobie uświadomić w czasie tej jednej sekundy, kiedy przy huku pękającej opony rozstrzygały się losy wszystkich trzech kierowców?

Zrozumiałem wszystko. I już nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wiele godzin temu jednym niepozornym dla siebie ruchem, działając w najlepszej wierze i intencji, wywołałem długi i — co najgorsze — nie skończony jeszcze ciąg kolejnych następstw, sięgający groźnie również w moją własną przeszłość, szereg powiązanych ściśle konieczności, które w czasie zaledwie trzech sekund urosły do lawiny niebezpiecznych zdarzeń, tak trudnych w obecnej fazie do opanowania.

Na upadek kierowcy oga trzeba było czekać jeszcze kilka godzin. Wróciłem do niego. Wisiał nadal w powietrzu, na wysokości około trzech metrów nad ziemią. Trwał w ledwie dostrzegalnym ruchu na długim łuku paraboli, której ramię przecinało dalej oszkloną ścianę domu towarowego. Leciał z ciałem wyciągniętym poziomo, tak jak został wyrzucony z pochylni. Obejrzałem go uważnie ze wszystkich stron. Oczywiście miał zamknięte.

Krążyłem dookoła niego. Całkowita bezradność denerwowała mnie. Wciąż nie dawał znaku życia. A czego właściwie mogłem się spodziewać? Dwie różne rzeki czasu obmywały nas. W myśli odwracały mi się nasze sytuacje, myliły mi się układy odniesienia: to byłem sobą, to nim, to znów sobą. Jego czas nieomal stał w miejscu — mój mknął z niewiarygodną prędkością. Spoglądałem na oba zegarki — na jego, przy nadgarstku skamieniałej ręki i na swój. Minęła już sekunda rozwleczona do pełnych trzech godzin. Upływając, przypomniawszy mi o wyczerpującym się zapasie

tlenu. Miałem go jeszcze na jedną godzinę, podczas gdy jemu wystarczył wciąż jeden zaczerpnięty dawniej haust powietrza.

Trwaliśmy razem w przestrzeni, już chyba gdzieś w pobliżu wierzchołka toru — przy owym maksimum funkcji, skąd zaczyna się powolny spadek krzywej. Nie otwierał oczu. Dziwna rzecz — jak mnie poruszył ten fakt. Czy akurat mrugał? Dreszcz niepewności przebiegł mi po plecach, gdy się wpatrywałem dalej w jego szarą twarz. Odsuwałem ją od siebie do ostatniej chwili — tę dawną rozjątrzoną myśl: że jednak jestem biologiczną maszyną, zaprogramowanym pajacem, dokładną kopią cielesnej postaci tego człowieka. Naraz poderwałem się i zajrzałem mu w twarz — po raz ostatni. Co mi dotąd przysłańiało oczy, że byłem taki ślepy? Odwróciłem głowę z ostrym wstrząsem rozpoznania. Przecież to był trup!

Bodajbym nigdy nie doświadczył tej ulotnej nadziei, na której zbudowałem wszystko, cały swój sens, już wówczas, kiedy spostrzegłem go pierwszy raz w mieście. Więc trząsałem się, wywijałem koziołki i przez trzy okrągłe godziny drażyłem wzrokiem wielki obszar ściany domu towarowego, by jak ostatni idiota uratować gdzieś tam własne zwłoki! A gdyby jeszcze nawet żył...

Nie musiał zginąć zaraz na miejscu — myślałem dalej ze wzrastającym popłochem. Przy tak znacznym zwolnieniu tempa wszelkich ruchów trudno było ocenić, jak to wypadło w rzeczywistości: czy trzasnął w stok pochylni, czy tylko silnie otarł się o jej powierzchnię. Wystarczył jakiś wylew wewnętrzny połączony z utratą przytomności. Nikt mu tu nie mógł udzielić żadnej pomocy, nawet ja sam. Gdyby po ostatecznym upadku nie zdołał się podnieść o własnych siłach i pobiec szybko do stacji dźwigów — los jego zostałyby przesądzone.

Rozgarnąłem gwałtownie rtęciowe masy i wróciłem kilkadziesiąt metrów, aż do samego stoku pochylni. Tylko tutaj, już teraz — a nie dopiero za kilkanaście godzin w czasie następnej wyprawy do miasta — mogłem się wreszcie dowiedzieć, kim jestem w rzeczywistości.

Wydobyłem z kieszeni swoje wahadło — nitkę o długości jednego metra z uwiązaną na końcu zapalniczką. Jeszcze raz właśnie ta niepozorna nitka mogła mi oddać nieocenione usługi. Boczna, pionowa ściana pochylni tworzyła duży trójkąt prostokątny. Sprawdziłem pion i zmierzyłem nitką przyprostokątną przeciwległą kątowi ostremu. Miał.

długość dwóch metrów. Na przeciwprostokątnej odłożyłem swoją miarę osiem razy. Znałem już rozwartość kąta. Zatem był to klasyczny rzut ukośny z prędkością początkową czterdziestu metrów na sekundę pod kątem piętnastu stopni do poziomu. Sięgnąłem po notes i długopis. Kilka razy wypadły mi z rąk. i jak na złość, wyleciały mi z głowy wszystkie gotowe równania. Prawdę mówiąc, nigdy ich nie próbowałem zapamiętać. Przez kilkanaście minut wyprowadzałem je z elementarnych wzorów od samych podstaw. Okazało się wreszcie, że czas lotu wynosił dwie sekundy, wysokość maksymalna — pięć metrów, zaś zasięg rzutu aż osiemdziesiąt metrów. Liczby te były dokładnie w odniesieniu do próżni. Uwzględniłem opór powietrza i zajrzałem do zabranego ze sobą planu miasta. Na jednej z jego kart znalazłem bardzo szczegółowy plan okolic szybu. Ściana domu wznosiła się w odległości pięćdziesięciu metrów od pochylni, co wynikało z podziałki na planie.

Już miałem pewność, że zapas tlenu wyczerpie się przed ostatecznym upadkiem posągu. Ale czy jeszcze żył, czy był przytomny? I na to pytanie mogłem sobie udzielić odpowiedzi. Podpłynąłem do kolumny, gdzie w powolnych podrygach osiadały szczątki strzaskanego oga.

Jak to już raz zauważyłem, cały teren, wraz z wielką taflą chodnika i przylegającą do niego jezdnią, opadał łagodnie w dół, począwszy od linii łączącej kolumnę z okolicą miejsca na jezdni, gdzie teraz przewalał się samochód. Og, wpadając na kolumnę z przeciwnej strony, poruszał się pod górę po niewielkim zboczu. Zauważyłem drogowy znak ostrzegawczy, z którego wynikało, że spadek terenu wynosi dziesięć stopni. Dysponowałem już niezbędnymi danymi do obliczenia składowych prędkości, z jaką ciało uderzyło w pochylnię. Różnica obydwu zgodnie skierowanych kątów nie przekraczała pięciu stopni. Wobec tego składowa prędkości ciała równoległa do stoku pochylni była tylko nieznacznie mniejsza od prędkości samochodu, natomiast składowa do niej prostopadła (od niej zależało życie posągu) miała wartość trzech i pół metra na sekundę. Uspokoilem się całkowicie, gdy się okazało, że przy zwarciu z marmurową płytą posąg doznał takiego wstrząsu, jak gdyby upadł na plecy z wysokości zaledwie sześćdziesięciu centymetrów.

Popłynąłem prosto do domu towarowego. Przy jego ścianie

zatrzymałem się; tutaj raz jeszcze musiałem posłużyć się długopisem. Mogłem przewidzieć, na jakiej wysokości posąg — przebijając szybę — wpadnie do wnętrza budynku. W tym celu musiałem wyprowadzić równanie toru ciała wyrzuconego na znanej wysokości, ze znaną prędkością początkową i pod znanym kątem. Odciętą miejsca przyszłego zderzenia wziętem z planu. Otrzymałem rzędną, którą odłożyłem na ścianie. Wiedziałem już, którą szybę należy usunąć z drogi nadlatującego ciała. Rozbiłem ją i obejrzałem miejsce upadku. Znajdowałem się w dziale pościelowym. Po raz drugi tej nocy omalże nie parsknąłem śmiechem, kiedy ostatecznie ustaliłem miejsce upadku kierowcy oga. Leciał w stronę wielkiego stosu zmagazynowanych tutaj kołder.

Leżałem w pokoju cieni obok śpiącej Iny i klejącymi się do snu oczami wpatrywałem się we wskazówki zegarka. Była czwarta nad ranem. Po wymianie tlenowych butli zostało mi jeszcze trochę czasu na wypoczynek przed nową wyprawą do miasta. Chciałem być świadkiem ostatniej fazy lotu posągu, by na wypadek znacznego odchylenia od przewidzianego toru zmienić położenie kołder.

Czas dłużył mi się, lecz jeszcze dotkliwiej odczuwałem skutki całkowitego wyczerpania. Kilka razy zapadałem w przykry półsen. Majaczył mi w oczach czarny napis: *Proces w Kaula-Sud. Czynny schron — inwestycją aferzystów*. Tak był zatytułowany jeden z artykułów gazety. Leżała na podłodze przy tapczanie. Wziętem ją do ręki z nadzieją, że jakaś lektura uchroni mnie przed przespaniem decydującego momentu. Gazeta nosiła datę trzeciego czerwca ubiegłego roku. Ukazała się w Europie, skąd nabywca egzemplarza przewiózł ją przypuszczalnie do Kaula-Sud w przededniu katastrofy. Po północy, razem z drobiazgami dawnego lokatora pokoju cieni, dostała się przypadkowo do schronu.

Kilka początkowych akapitów tekstu wyrwał z płachty but jakiegoś przechodnia. Przeczytałem następujące:

...w ramach wolnej walki konkurencyjnej reklamujących swoje usługi przedsiębiorstw, tak jak miało to miejsce w czasie wznoszenia Kaula-Sud, troska o użytkowników pozornie zbiega się z inną, mniej już szlachetną troską o łatwe pomnażanie dochodów inwestorów. Dziwić może jedynie fakt, że okrutna w swym ostatecznym rezultacie pogoń za zyskiem bez względu na cenę nie napotkała na żadne przeszkody ze strony władz. Konkurs został zamknięty. Wspomniana firma zrealizowała swój projekt w ciągu czterech lat. Schron miał nęcić iluzją pełnego bezpieczeństwa na wypadek konfliktu nuklearnego — i zrobiono wszystko, aby taka iluzja została stworzona.

Nie należy to dzisiaj do tajemnic, że początkowo (to znaczy przed rozpętnaniem wielkiej wrzawy reklamującej nie tyle zalety schronu, ile brutalnie zmierzającej do wywołania paniki) nawet wśród ludzi bogatych nie zaobserwowano gorączkowego pośpiechu przy wykupywaniu kart wstępu, które zamożniejszym nasuwały trudny do rozwiązania problem finansowy, a dla większości mieszkańców miasta w ogóle były nieosiągalne. Ci ostatni, zachowując nadzieję, że w krytycznym momencie pojawią się siły izolujące szaleńców i ufające, że schron okaże się niepotrzebny, nie mogli równocześnie pogodzić się z cynizmem sytuacji, w której zachwiane zostało ostatnie już złudzenie głoszonej dotąd równości między ludźmi — równości w obliczu śmierci.

Aby wywołać powszechne zainteresowanie schronem, główni inspiratorzy tego smutnego przedsięwzięcia, żerując na podsycanym skwapliwie uczuciu strachu, nie cofali się przed najbardziej odrażającymi chwytami reklamowymi. Wytworzyła się paradoksalna, chociaż typowa dla stosunków kapitalistycznych sytuacja: właśnie ci, którym rzekomo najbardziej zależało na bezpieczeństwie obywateli (schron miał być argumentem przemawiającym za taką sugestią) byli równocześnie najbardziej zainteresowani w kontynuowaniu machinacji spychających świat na krawędź nowej wojny, ponieważ tylko realna jej groźba, a nie nikłe prawdopodobieństwo, wywołać mogła powszechne zainteresowanie schronem. Pojawiało się ono falami. Wyszło wreszcie na jaw, że do końca ubiegłego roku — kiedy to sztucznie rozpętana psychoza osiągnęła monstrialne rozmiary — sprzedano dziewięciokrotnie więcej najtańszych kart wstępu, niż przewidziano miejsc podczas budowy schronu.

Tekst instrukcji informuje posiadaczy kart między innymi o tym, jak mają się zachować na wypadek alarmu. Wyklucza się w niej wszelkie przykre niespodzianki, stwarza się atmosferę dobrej organizacji i uspokaja nieufnych, którzy by obawiali się chaosu przed wejściami do wind. Slogan „bezbłędna organizacja” pojawia się w instrukcji raz po raz. O tym, jak daleko jest posunięta jej nieludzka precyzja, świadczyć może fakt, że dla ogarniętych paniką mieszkańców, którzy korzystając z zamieszania usiłowałiby precyzyjnie się do szybu bez ważnych kart wstępu, przygotowane zostały w wąskich przejściach automatycznie uruchamiane zapadnie. Stanowią one — zdaniem swych konstruktorów — znacznie bardziej niezawodny sposób usuwania ewentualnych zawaładrogów niż jakiegokolwiek inne argumenty.

Specjalnie dużo miejsca poświęcono w instrukcji temu ostatniemu zagadnieniu. Zadaniem tekstu jest wywołanie nieodpartego wrażenia, że bez karty mieszkaniec miasta nie ma żadnych szans. Oto bliższe szczegóły:

Nabywca prawa wstępu do schronu otrzymuje cienką metalową płytkę. Niezależnie od precyzyjnego rysunku, jaki pokrywa jej powierzchnię podobnie jak papiery wartościowe, ma ona w swym metalowym wnętrzu utrwalone specjalną metodą dokładne dane, które umożliwiają szybkie i bezbłędne sprawdzanie tożsamości. Po ogłoszeniu alarmu pouczony wcześniej posiadacz karty udaje się niezwłocznie do przydzielonego mu korytarza, gdzie bez zatrzymywania się w przejściu wsuwa ją do szczeliny przebiegającej wzdłuż ściany. Program realizowanej przez elektronowe urządzenie selekcji przewiduje prześwietlenie płytki z równoczesnym bardzo szczegółowym, choć niemniej błyskawicznym zbadaniem wszystkich linii na dłoni jej właściciela oraz zestawienie wyniku analizy z danymi zaczerpniętymi z pamięci komputera, a następnie — po ułamku sekundy — automatyczne uruchomienie zapadni, która bezpośrednio nie wyrządzając delikwentowi krzywdy, usunie go z przejścia i pchnie w stronę wyjścia pod podłogę korytarza, w przypadku, gdyby karta okazała się fałszywa albo gdyby wystawiona była na inną osobę...

Bunt

Zbudził mnie hałas w łazience.

Otwierając oczy, spojrzałem na zegarek. Była trzynasta pięć; wskazówki pokrywały się na pierwszej — musiałem uwierzyć, że nie obróciły się wstecz i że usnąwszy nad ranem z gazetą w ręku, przespałem aż dziewięć godzin. Żarówka rzucała przyćmione światło. Gdzieś daleko poza ścianami odezwał się głuchy terkot karabinu maszynowego. Przez chwilę, wyprężony jak struna, wpatrywałem się w puste miejsce, we wgłębienie na tapczanie pozostawione przez ciało Iny, aż usłyszałem rżenie i kaszel, a potem jej przyśpieszony oddech, który dobiegł spoza drzwi łazienki i zamarł zdławiony jękiem przy kolejnej próbie wymiotowania.

Zeskoczyłem z tapczanu i pchnąłem drzwi: Ina siedziała na brzegu wanny. Pochylając się nad kranem, drżała na całym ciele. Miała wypieki na policzkach. Wyciśnięte długotrwałym wysiłkiem łzy spływały po jej umęczonej twarzy; była już tak czymś wyczerpana, chyba próbą opanowania kolejnych torsji, że wpadłaby do wanny pod strumień wody, gdybym jej w porę nie podtrzymał.

— Co ci jest? — wymamrotałem, jeszcze nie całkiem przytomnym głosem. — Zaszkoziło ci coś?

Musiałem czekać kilka minut, nim zdołała wykrztusić:

— Słabo mi...

— Długo tu siedzisz?

— Od samego rana. Strasznie mnie boli głowa.

Wzięłem ją na ręce i zaniósłem na tapczan.

— Mogłaś mnie przynajmniej obudzić — powiedziałem z wyrzutem. Klepałem w myśli jak pacierz to jedno krótkie zdanie: „Konserwy były nieświeże”, lecz wcale a się tym nie uspokoiłem. — Lepiej teraz?

Skórę miała lekko zaczerwienioną. Z trudem udawało mi się ukryć zdenerwowanie. Usiadłem przy niej i zacząłem wypytywać ją o objawy. Domagała się wody. Piła i zwracała na przemian. Wreszcie uspokoiła się.

Myślałem o chorobie popromiennej, o skutkach groźnego naświetlenia w mieście, które dopiero teraz dały o sobie znać. Jednak ból

głowy i nudności towarzyszyły również innym chorobom, między innymi występowały przy zapaleniu opon mózgowych.

— Pierwszy raz... — odezwała się. — Tam, na ulicy... o mało się nie udusiłam... Najpierw był fioletowy błysk, wtedy...

— W czasie, gdy wpadłaś pod strumień z miotacza Rekruta? — wyrzuciłem jednym tchem.

Zwróciła ku mnie rozgorączkowaną twarz.

— Kto to jest Rekrut?

— Ja go tak nazwałem. Ale mniejsza o niego. Najważniejsze, że smuga musnęła cię tylko przelotnie. Poza tym wiązka była bardzo rozproszona. Sam to widziałem. Wywołała przejściowy szok zaraz po naświetleniu. Niebawem odzyskasz siły. Za kilka godzin poczujesz się lepiej, a jutro, najdalej za kilka dni — zapomnisz o wszystkim.

Uniosła się na łokciu.

— Muszę wstać. Net, pomóż.

— Zostań tutaj. Poszukam lekarza.

Przyniosłem z łazienki miednicę. Kolejny atak torsji tak ją osłabił, że wkrótce zasnęła. Wyglądała już znacznie lepiej. Bałem się zostawić ją bez opieki, ale lekarz był niezbędny. Wyszedłem cicho na korytarz. Zamknąłem ją na klucz i zwróciłem się w stronę komisariatu.

Promieniowanie jonizujące. Co ja wiedziałem na ten temat? Wszystko zależało od wielkości absorbowanej dawki. Nie mogłem opędzić się od najgorszych myśli. Za kilka dni gorączka podniesie się. „Pacjent” — ów bezosobowy twór, jakim operowała znana mi krótka historia choroby — „wskutek zniszczenia tkanki nabłonkowej jelit przestaje jeść. Występuje ogólna infekcja i biegunki, a także wypadanie włosów. Do najwcześniejszych zmian należy zmniejszenie się liczby krwinek białych oraz anemia czerwono-krwinkowa. Przez uszkodzone tkanki jelit bakterie z przewodu pokarmowego przedostają się do krwiobiegu i przestrzeni międzykomórkowych. Tej inwazji bakterii organizm nie może się przeciwstawić z powodu zniszczenia systemu obronnego.

Rozwoju infekcji nie może zatrzymać nawet intensywne leczenie antybiotykami, które w innych okolicznościach dałoby doskonałe wyniki. Dołącza się również zatrucie ogólne wywołane produktami rozpadu zniszczonych tkanek oraz odwodnienie organizmu spowodowane

wymiotami. Po dawce przekraczającej sześćset rentgenów śmierć następuje w ciągu dwóch do czterech tygodni.”

W komisariacie zastałem Alina zajętego racjonowaniem zupy dla aresztantów, których liczba wzrosła tymczasem do kilkunastu. Skierował mnie do sąsiedniego pokoju. Zamknąłem za sobą ciężkie, wyłożone dźwiękochłonnym obiciem drzwi i stanąłem w prądzie powietrza, pod dużym wentylatorem, naprzeciwko zagłębionego w fotelu pułkownika. Goned siedział bez bluzy, w przepoconej koszuli; w chwili, gdy wszedłem, owijał sobie krawat wokoło ręki, w której trzymał słuchawkę telefoniczną. Mówił zirytowanym tonem:

— ...jak to niewykonalne?... Kto?... Znów Kinsuil? A co znaczy ta jedna pluskwa... Dość! Nie mam zamiaru... Słuchajcie no: potrzeba wam zmysłu organizacyjnego. Musicie dotrzeć wszędzie. Wyzyskać nastrój niezadowolenia. Ludzie są już przygotowani... Tak, słyszałem, ale trzeba ich umiejętnie przekonywać, obudzić zaufanie, wywołać entuzjazm; muszą uwierzyć, że nasze podstawowe, nadrzędne zadanie... To ja was będę uczył!... Co...? A niech go wszyscy... I na tego też coś znajdę. Skierujcie tam zaraz kilku ludzi i trzymaj pan w pogotowiu grupę Aglera.

Skończył rozmowę i połączył się z Asurmarem.

— Czy możesz skontaktować się ze mną, z łaski swojej? — zapytał tonem, którego słodycz dziwnie kontrastowała z poprzednim rozdrażnieniem. — ...Tak... Byli przed godziną... Więc czekam u siebie w gabinecie.

Nacisnął guzik i zaczął wybierać następny numer.

— Chciałem tylko zapytać pana pułkownika... — odezwałem się. — Nikt tu mi nie chce udzielić informacji...

Uciszył mnie niecierpliwym ruchem ręki.

— Dawaj pan tu zaraz Jacka Johnsona — warknął do mikrofonu. Przerzucił kilka papierów na kolanach. — Słuchajcie no, Johnson. Już wam się sprzykrzyło zajmowane dotąd odpowiedzialne stanowisko? Kto akceptował tekst?... To jest szczyt nieudolności... Milczeć! Zamelduje się o drugiej do karnego raportu. Przekazać!... A wy, jeżeli dalej będziecie się z Kinsuilem łaskotali w podeszwy, to ja was w końcu też urządzę... — Nie odzywał się przez jakiś czas. — Bo przede wszystkim — podjął — należy zlikwidować ich źródła propagandowe... To właśnie miałem na myśli... doskonale. Duża czcionka i radiowęzeł... Dla dobra powszechnego... No...

lub coś w tym rodzaju... Jasne!.. A broń palna swoją drogą.

Odłożył słuchawkę.

— Szukam lekarza — powiedziałem. — Czy może mi pan wskazać, gdzie w tym segmencie udziela się pomocy ciężko chorym?

Rozsiadł się wygodnie i oparł nogi na blacie stolika.

— A co... — cmoknął — czkawka pana męczy?

— Nie mam ochoty na żarty. Elta Demion uległa wypadkowi w mieście. Została porażona promieniowaniem z miotacza. Stan jej jest bardzo ciężki. Wymaga specjalnej opieki...

Zmarszczył brwi, spojrzał na zegarek i sięgnął po słuchawkę. Śledziłem ruchy jego palca na tarczy aparatu.

— Tu Goned — sapnął sennie. — Czy będzie pani uprzejma zameldować mnie u generała Rotardiera? — Popatrzył na mnie roztargnionym wzrokiem. — No, niechże pan usiądzie.

Wskazał brodą na drugi, pusty fotel i naraz — tak gwałtownie, że drgnąłem — poderwał się z miejsca. Stał w postawie zasadniczej. Wyprężony jak struna, z palcami dłoni na szwie zielonych spodni, patrzył szklistymi oczami w przestrzeń.

— Zgodnie z rozkazem, panie generale, pułkownik Goned melduje się przy aparacie.

Cisza. Słyszałem tylko chrapliwy oddech, przez który z trudem przedzierało się energiczne szczekanie w słuchawce.

— Tak jest! — ściągnął obcasy. — Prawie żadnych niespodzianek. Panujemy nad sytuacją... Ja też panu generałowi gratuluję... Nie tylko... bo niech mi wolno będzie powtórzyć trafne określenie pana generała: „Po lejce nie stoi się w kolejce”... Oczywiście, że jednoznacznie... Tak, tak... Przeszkoleni na specjalnych wykładach. Są zdecydowani i gotowi do największych poświęceń. Czekają na skinienie... lwięta prawda! Nadrzędny obowiązek. Nigdy bym tego lepiej od pana generała nie ujął. To jest olbrzymi potencjał energetyczny... Rozkaz! Wykonam, niezwłocznie i zamelduję.

Położył słuchawkę na widełki.

— Więc gdzie? — spytałem.

— Co gdzie? — uniósł brwi.

— Gdzie znajdę lekarza? — powtórzyłem. — Bo chyba miejsce jego pobytu nie należy do tajemnic wojskowych.

Przełożył kilka papierków na stoliku. Sennym, zmęczonym wzrokiem rozglądał się wokoło siebie.

— Uległa wypadkowi, powiada pan?

— Została napromieniowana...

— A co w tym dziwnego? — odwrócił się do mnie. — Bronią trzeba się umiejętnie posługiwać. Od tego są kursy. Kobieta czy mężczyzna — wszyscy sprawni, zwarci w najwyższej gotowości. Wróg...

— Ale to nie o to chodzi! — podniosłem głos. Ona została porażona przez bandytę.

— Ach! Więc to tak... — gwizdnął. — Teraz rozumiem pański gniew. Bandyta to wstrętne indywiduum. To plugawy wrzód na zdrowym ciele... padlina moralna i tak dalej. Bo mierzyć trzeba we wskazanym kierunku, a nie tak sobie, tu lub tam. Program, zdaje się, został określony jednoznacznie. Niech no pan sam powie: Co by to było, gdyby każdy strzelał w inną stronę? — Roześmiał się i rozłożył ręce. — Ba-ła-gan!

Jakby mnie kto w głowę zdzielił. Wstałem z fotela.

— O czym pan właściwie mówi? Ja pytam o ambulatorium. Chodzi mi o specjalistę z zakresu radiologii lub kogokolwiek innego, kto się na tym zna. Czy nie wyrażam się dość jasno?

— Może pan zachować całkowity spokój. Załatwione!

— Co?

— Zajmiemy się tym. Pogotowie udzieli jej niezbędnej pomocy.

— Kiedy?

— Niezwłocznie. — Podał mi rękę.

— Żegnam i dziękuję w imieniu najwyższej sprawy. Zgłaszając ten wypadek, spełnił pan swój zwykły obowiązek. A teraz proszę wrócić na swoje stanowisko. Załatwione! Obiecuję. Ja obiecuję! — podkreślił z naciskiem.

Pchnął mnie lekko w stronę drzwi. Zatoczyłem się kilka kroków i zawróciłem na pięcie.

— Zaraz... Przecież pan nawet nie zapytał, gdzie ona jest.

— Nie zapytałem?

— Leży w pokoju cieni. To znaczy, pod numerem...

— No, a wy — wtrącił, nim skończyłem — do jakiej grupy operacyjnej został pan przydzielony? Również do miotaczy?

— Mówiłem już raz...

— Chwileczkę! Niech no pan zaczeka, sam zgadnę. — Zmierzył mnie od stóp do głów. — Lekka konwencjonalna?

— Dość tego! Nic nie wiem o żadnych przydziałach ani grupach. Pracuję gorliwie nad rozwiązaniem tajemnicy posągów, gdyż właśnie w tym celu przeniesiono mnie do waszego segmentu.

Położył mi ręce na ramionach.

— Posągi... — szepnął. — Tak! Teraz rozumiem wszystko. — Zamknął oczy i zwrócił twarz do sufitu. — Och i ach! — mruknął. — Jakie to doniosłe! — Spojrzał na mnie bystro i zmrużył oko. — Galaktyka... no nie? Bezmiar próżni, a w niej pyłki... tyci, tyci — pokazywał na koniec paznokcia. — Lecimy... lecimy... Pasjonujące! Sama poezja. — Raptem spoważniał. Przeszedł sprężystym krokiem na drugi koniec pokoju i wrócił. — No i co? — wypalił ostro.

Stałem przed nim jak ciełe z wybałuszonymi ślepiami. Trzymałem w ręku raport do generała Lendona, który wyciągnąłem z kieszeni, kiedy mnie spytał o grupę. Teraz bez słowa wyjął mi z ręki wszystkie papiery. Wpatrywał się w nie przez krótką chwilę.

— Do kogo?! — wrzasnął.

Jeszcze raz przebiegł wzrokiem kilka linijek tekstu. Znów wrócił do nagłówka i podkreślił go grubym paznokciem. Twarz nabiegła mu krwią. Odszedł na drugi koniec pokoju.

— Więc pan utrzymuje... — zawiesił głos, podarł raport i cisnął mi jego szczątki w twarz — ...utrzymuje pan uparcie i prowokacyjnie, że to generał Lendon jest komendantem schronu?

Nie dowierzałem własnym uszom. Pytanie, kto jest aktualnie komendantem schronu, było ostatnim, jakie przyszłoby mi kiedykolwiek do głowy.

— Pan wybaczy, ale nie zajmowałem się dotąd sprawami administracyjnymi — spróbowałem wyplątać się. — Jeśli to jednak robi panu różnicę...

— Różnicę...?

Tupnął nogą i porwał za słuchawkę. Z palcem zastygłym przy tarczy aparatu stał nieruchomo przez dłuższy czas. Rozmyślił się wreszcie. Słuchawka wróciła na widełki. Znowu rozglądał się sennie.

— Żegnam — powiedział, jak gdyby nigdy nic. — Lubię to. Nikomu nie pisnę ani słówka. Ha! Co ja na to poradzę, że bezczelność rozbraja

mnie?

Nie ruszyłem się z miejsca. Zadzwoił telefon. Byłem już bliski obłądu. Dobiegł do mnie spokojny, nierealny głos Gonedą, który rzeczowym tonem przyjmował meldunek: „Tak, odfajkowałem: ośmiu zabitych, trzynastu rannych.”

— Ośmiu zabitych — powtórzyłem za nim, kiedy odkładał słuchawkę. — Czyje to są straty?

Dłubał zapałką w zębach.

— Nasze. Po stronie Bucleya padło trzydziestu siedmiu. Musimy ich trzymać w twardym uścisku. Toż gdyby nie nasz stalowy kaganiec, prędzej czy później, narzucając swoje pojęcie ładu najpierw w naszym segmencie, sięgnęliby w końcu po władzę nad całym schronem. Ręczę panu, że generał Rotardier zdusi ich w ciągu jednej doby.

— Ich — to znaczy kogo?

— Pan sobie używa na mojej cierpliwości. Pachołków Bucleya, rzecz prosta. Oni tylko jeszcze się liczą. Czyż ci degeneraci, pańscy lendonowcy, nie wierzgają już w ostatnich podrygach?

— Zostawmy wreszcie w spokoju nazwiska. Czy liczba zaprogramowanych automatów, człekokształtnych robotów, którymi tutaj — wśród nas — operuje Mechanizm, wzrosła już tak znacznie, że zagrażają oni naszej egzystencji?

Grzebał w szafie z papierzyskami. Obrócił głowę i spojrzał na mnie przelotnie sponad grubego rejestru.

— Mechanizm? — Wypluł zapałkę. — A co to takiego?

— Precyzyjne narzędzie Nadistot, gdyby pan tego jeszcze nie wiedział. Serce, a raczej mózg automatycznie sterowanej stacji galaktycznej, którą *On* i sięgnęli ku nam poprzez otchłań przestrzeni.

Milczał. Przez chwilę patrzył na mnie takim wzrokiem, jak gdybym zmieniał się na jego oczach w potwora. Pacnął się w czoło rozwartą dłonią.

— Jasne...! — załkał. — A ja przez cały czas próbowałem traktować pana ze śmiertelną powagą. — Zapalił papierosa i dmuchnął mi w twarz kłębem szarego dymu.

— Sent! — rzucił w stronę drzwi.

Klamka szczęknęła. Chudy, dryblas przeskoczył próg.

— Melduję się posłusznie...

— Zwolnij przy kracie Alina. Niech zaprowadzi pana Porejre do działu Ludwika Veisa.

— Izolatka?

— Nie twoja rzecz. Wykonać!

Drzwi gabinetu zatrzasnęły się za nami.

— Słyszałeś? — szepnął Sent, pochylając się nad uchem Alina. — Holuj tego wariata do Veisa. Ale już!

Przeszliśmy długim, pustym korytarzem, którego kolejna przecznica prowadziła do pokoju cieni. Alin chciał iść prosto. Ina czekała na moją pomoc. Zatrzymałem się na miejscu.

— Za mną! — warknął.

— Pójdę własną drogą, a pan już tutaj odczepi się ode mnie.

Ściągnął brwi. Wrócił i sięgnął po rewolwer. Staliśmy pod ścianą przy stromej metalowej drabinie, która wiodła do klapy w stropie. Wyjął kajdanki. Jedną obręcz zacisnął sobie na przegubie lewej ręki. Patrząc na drugą, zwieszoną przy obu zajętych dłoniach, przyłożył mi lufę do samego serca. Chciał nas połączyć szczękami zacisków, ale nie mógł sobie poradzić z nadmiarem żelastwa.

— Pomogę — mruknąłem podstępnie i chwyciłem za kajdanki.

Trwało to jedną sekundę. Zbliżyłem obręcz do swego przegubu i zdecydowanym ruchem — zasłaniając mu barkiem pole widzenia — zapiąłem ją przy dłoni... na szczeblu drabinki.

Zamek szczęką.

— Gotowe — powiedziałem i ruszyłem z miejsca. Szarpnął w połowie pierwszego kroku. Gdy tracił równowagę, wyrwałem mu rewolwer z garści. Był uwięziony. Oczy wylazły mu z orbit.

— Kluczyk! — podniosłem głos. Zrewidowałem go. — Ja również jestem zdumiony rozmiarem pana niezręczności. Wrócę i strzełę, gdybym usłyszał tu jakiś krzyk.

Z rewolwerem wymierzonym w niego wycofałem się za próg. Był przerażony wyrazem mojej twarzy.

Na drodze do pokoju cieni natknąłem się na dwie kobiety w białych płaszczach. Ciągnęły korytarzem nakryty prześcieradłem wózek szpitalny. Pomyślałem, że wiozą chorego na salę operacyjną. Poszedłem za nimi, aby się dowiedzieć, gdzie jest ambulatorium. Ukrywając się we

wnękach, obserwowałem je z pewnej odległości. Zatrzymały się przy drzwiach bez klamki. Otworzyły je i wprowadziły wózek do mrocznego wnętrza. Drzwi pozostały nie domknięte.

Podbiegłem na palcach. Zauważyłem tarczę numeratora przy zamku. Fakt, że zamiast zwykłego zatrasku strzegło tu wejścia złożone urządzenie, podwoił moją nieufność. Utkwiła mi w pamięci nastawiona liczba: 987-123.

Wszedłem cicho do środka. Kobiety podprowadzały wózek pod ścianę. Stały zwrócone plecami do mnie. Obszedłem je na palcach wokoło. Ukryłem się za filarem wspierającym strop niższego pomieszczenia, którego wyposażenie w niczym nie przypominało sprzętów z izby chorych ani sali operacyjnej. Ściany pochylały się ku środkowi komory. Pokrywały je tablice rozdzielcze i pulpity sterownicze z ekranami oscylografów. Różnokolorowe wskaźniki otaczały szeregi zegarów. Przywodziło to wszystko na myśl obraz wnętrza dyspozytorni mocy jakiejś wielkiej elektrowni.

Kobiety poruszały się w milczeniu. Jedna wróciła do drzwi, zatrzasnęła je i przeszła do oddzielnej kabiny operacyjnej. Wkrótce ukazała się na jej progu z zadrukowanym kartonem w rękach. Wsunęła go do szczeliny w pulpicie. Pod zwinnymi ruchami jej palców, które przebiegły wzdłuż rzędu guzików, drgnęły liczne wskazówki, zapłonęły lampy, ożyły świetlne krzywe na kilku ekranach. Druga kobieta pociągnęła za róg prześcieradła. Spadło.

Ujrzałem kredowobiałą twarz trupa i dalej — całe jego sztywne ciało, odziane w ten sam garnitur, w którym widziałem je ostatnim razem: to był Asurmar.

Fragment sufitu rozłamał się na dwie połowy, ukazując szklaną kopułę wypełnioną przejrzystym płynem. Warkocze srebrnych kabli zwinęły się w nim, zatrzepotały konwulsyjnie i wyprężając się na wszystkie strony, i przyczaiły się w postaci wieloramiennego pęku. W tym samym momencie cęgi podnośnika objęły blat wózka i przeniosły go na wyższy poziom. Ciało zsunęło się w miękkie, różowe koryto. Przy akompaniamencie głośnego furkotu, jaki wydawały plastikowe ścięgna, wpełzło do długiej, spiralnej nory, skąd ślimakiem transportera pod szeregiem rozdygotanych czujników przecisnęło się znów na zewnątrz i przywarło do lśniącej błony. Mięszsz rozwartego poniżej gardła nadał się

wokoło trupa w oślizgły balon. Ciało skręciło się w nim po raz ostatni i z młaśnięciem jak wystrzał wpadło w błękitną czeluść.

Kobieta przesuwiała gałki. Strop zwarł się. W krótkotrwałej ciszy słyszałem swój własny oddech. Rytmiczna czkawka, szmery, ssania, chlipnięcia i rechoty — wszystkie odgłosy napływające z zewnątrz pochodziły ze źródła, które przemieszczało się wzdłuż stropu, a potem w poprzek czarnej grodzi. Przeleciał podmuch. Ściana z lewej strony, duża lazuruwa tama, uniosła się bezszelestnie, odsłaniając rozległy widok.

Byli tam już prawie wszyscy: pułkownik Goned, Veis, Alin i Sent, a także Unevoris. Poza szeroką szybą trwał doskonale nieruchomy, zwarty tłum mężczyzn i kobiet. Zajmowali całą przestrzeń wielkiej lustrzanej komory. Leżeli w pedantycznie rozplanowanych warstwach, zatopieni w prostopadłościennych, przejrzystych blokach, niczym stopnie kryształowych schodów. Z prawej strony zbiornika drgnął podługowaty cień. Zakończony przyssawką ryj przenośnika wprowadził na swoje miejsce kolejny blok, który zawierał zastygłe w przezroczystej bryle ciało Asurmara.

Przegroda zjechała w dół. Światła przygasły. Pracownicy w białych płaszczach opuściły wnętrze sterowni. Wysunąłem się spoza filaru i przełożyłem dźwignię, tę samą, którą ostatnio operowała kobieta. Zobaczyłem ich znowu: mieszkańców całego segmentu. Rozpoznawałem coraz to nowe twarze: kelnerka ze stołówki leżała w głębi; Rekrut — na spodzie, staruszek, który zrywał plakaty — na brzegu z lewej strony, aresztant z komisariatu — pod ciałem Asurmara. Od wszystkich głów biegły ku górze cienkie złote wodorosty. Przyjrzałem się twarzy Goned: tak jak wszyscy inni, szeroko rozwartymi oczami patrzył w dal. Leżały tam również postacie dwu kobiet, które niedawno przywiozły na wózku Asurmara. Czy moje ciało spoczywało w innym zbiorniku, że nie umiałem go odnaleźć? Nigdzie też nie widziałem Iny.

Ponad miejscem, gdzie tkwił blok zabitego przez Senta zamachowca, dostrzegłem cztery wolne przegrody — ostatnie nie zapełnione jeszcze miejsca. Nie mogłem od nich oderwać wzroku. Bezwiednie wsparłem się na przegubie dźwigni. Osunęła się aż do oporu: wszystkie oczy — ile ich było pod uniesionymi powiekami — obróciły się jak na komendę i spoczęły na mnie. Jeszcze raz gałki oczne ożyły w skamieniałych twarzach, kiedy chowałem się przed nimi pod przeciwległą ścianę. Tam

też mnie dopadły. Mimo woli wyszedłem im na spotkanie.

Zarysy wszystkich ciał zmętniały, zlewając się w jedną szarobłękitną bryłę. Zostały tylko same oczy rozwieszane we wnętrzu całej komory. Rosły wciąż — były ogromne. Ogniskowały się na mojej twarzy. Zbliżały się wolno do przejrzystej ściany zbiornika, jak gdyby ruchome, soczewkowate narośla na jego powierzchni rzucały ku mnie obraz pozorny. Były to dla mnie spojrzenia oczu w zespolonym ciele kilkusetgłowej ameby. Lecz nie znalazłem w nich żadnej cechy, która chciałaby mnie przepęłnić grozą. Widziałem w nich lęk, cierpienie i rozpacz. W głębi rozwartych źrenic czaiła się niewysłowiona nadzieja. Wyzierała ku mnie. Tak to odczułem: one mnie o coś błagały.

Nie byłem już w stanie zebrać myśli ani zmusić się do wycofania dźwigni. Przypadłem do drzwi wyjściowych i rozdygotanymi palcami ustawiłem tarczę numeratora. Rygiel odskoczył. Przebiegłem labiryntem pustych przedsionków i wydostałem się na główny korytarz, którym — między stłoczonymi ludźmi — zdyszany i ogłupiały przedarłem się do naszego mieszkania.

Drzwi pisnęły w zawiasach, zanim dotknąłem klamki. Na progu stanął Asurmar. Wychodził.

— Och, przepraszam najmocniej... — rzekł i usunął się na bok. — Niechcący byłbym pana uderzył. — W ręku trzymał mokrą strzykawkę, którą na moich oczach wsunął do kieszeni. — Już? — zdziwił się. — Jest pan nad podziw operatywny. Ja również uporałem się. Preparat gotów. — Rozejrzał się. — Jakże to... nie dali panu wózka?

Drżałem. Popatrzył na mnie uważnie.

— Co tak pana ubodło? — spytał, czerwieniąc się pod moim wzrokiem. — Nie! O to proszę mnie nie podejrzewać. — Pokiwał figlarnie palcem. — Swoją drogą, te przepisy... te pedantyczne przepisy!... Zresztą, niech będzie. Wpadnę najpierw do sortowni, a pan, z łaski swojej, zechce tu na mnie zaczekać.

Odszedł. Nogi ugięły się pode mną.

— Ale, ale!... — zawołał jeszcze raz z daleka. — Panie Porejra! Zbývá mi jeden bon na kolację. Chętnie służę. Zrobi mi pan prawdziwą przyjemność. Wszyscy spełniamy swój obowiązek... — bełkotał dalej.

Błady jak trup wpadłem do środka pokoju cieni. Złamana fiolka stoczyła się z krzesła, gdy zawadzałem o nie. Ciało Iny spoczywało na

podłodze. Klęknąłem przy niej na twarzy nie doszukałem się śladu żadnego cierpienia. Uniosłem ją — bezwładnie zwiła mi w ramionach. Osłabłem. Zsunęła się: tapczan głucho jęknął wszystkimi sprężynami. Usiadłem i wstałem. „Nigdy nie kochałem tej kobiety!” — ryknąłem na całe gardło. — „To jakieś nieporozumienie”.

Cisza, a w niej odległy gwar segmentu. Widziałem w dali swoje odbicie w rtęciowej gładzi lustra, gdzieś poza granicą światów. „Posągi — myślałem — tam są”. Ale ja byłem obojętny. Uciekać? Dostrzegłem stary żółty zaciek na długim białym murze. Taki realny. Znów wziąłem ją na ręce. Nanizany na elektrodę szczur w labiryncie, strzęp ciała z amputowaną głową — szedłem ku tamtej ścianie. Ślad głębokiego nakłucia igły między kręgami w karku Iny jeszcze raz mnie poraził. „Preparat gotów.” Drzwi mi nie odpowiadały.

Złożyłem ją wreszcie na tapczanie. Nie, wcale jej nie układałem. Leżała teraz w takiej samej pozie, w jakiej ją znalazłem tutaj wiele godzin temu. Sama się tu położyła. „Wyjść” — zadzwoniło mi w uchu. — „Powiedzmy, że nigdy tu nie wchodziłem”. „Zaraz” — złapałem się za gardło: „Jestem nad podziw operatywny”. Czy ona w ogóle odezwała się kiedykolwiek?

Odwróciłem się cicho do ściany i udawałem, że śpię. Nie znajdowałem lepszego rozwiązania. Liczyłem skrycie swoje własne palce. W najgłębszej tajemnicy. Przeliczyłem je raz, drugi i trzeci: dziesięć. To ja sam: Net Porejra — wszystko się zgadzało! Właśnie, ciągle coś liczyłem, a ona umierała. To było jakieś nieporozumienie.

Ocknąłem się. Najpierw powiedziałem sobie wyraźnie, spokojnym pełnym głosem: „To jest Elta Demion, a Ina — to co innego”. Zabrzmiało to niestety tak, jak gdybym przesylabizował napis spod kolorowego obrazka na pierwszej stronie elementarza. „Za późno” — obróciłem się na drugi bok: leżała wciąż przy mnie. Usiłowałem sobie przypomnieć ostatnie jej słowa. Nie pamiętałem ich. Mówili wszyscy kolejno: Asurmar, Goned, Alin i Sent, potem Raniel i Rekrut... kelnerka, Veis, wreszcie Unevoris i Coorez. Wszyscy byli tacy gadatliwi. Nawet Jeza Tena mówiła do mnie we śnie. Tylko ona milczała.

Naraz uniosłem oczy: do pokoju wszedł Asurmar-Robot.

— Preparat jest już nasycony — zwrócił się do mnie. — Cenna sztuka, nieprawdaż? Nawiasem mówiąc, wyróżniono mnie za

wytropienie tego egzemplarza. — Poklepał Inę po policzku. — W związku z powyższym — tu wskazał na odznaczenie — pójdzie pan ze mną, bo zanosi się na małą uroczystość. Zlecono nam funkcje asystentów przy zabiegu. Lubię spełniać swój obowiązek.

Wyszedł i wprowadził wózek do środka pokoju.

— Ach, byłbym znów zapomniiał. — Podrapał się za uchem. — Zaraz po mikserium zasiądziemy w ławie przysięgłych. Wszędzie trzeba się udzielać: niech no pan sobie tylko wyobrazi, podobno jakiś zwyrodnialec udusił swego zwierzchnika.

— Dlaczego bierze pan udział w tym ohydny mordzie?

Rozkładał prześcieradło. Miał taką minę, jak gdyby moje pytanie w ogóle do niego nie dotarło.

— Nie dosłyszał pan — mruknął roztargnionym tonem. — Mówiłem, że jakiś zwyrodnialec...

Chwyciłem go za gardło. Wytrzeszczył oczy. Był bardzo inteligentny i zdaje się, że już zrozumiał, co miałem na myśli.

— Co...? — wycharczał przez atak suchego kaszlu. — Pan chyba oszalał! Czy nie otrzymaliśmy wyraźnego rozkazu? Ja wykonuję go starannie i na tym kończy się moja rola. Rozkaz jest rozkazem! Czy pan nie pojmuje takiej prostej rzeczy?

Pojałem już — niestety, tutaj bunt był niemożliwy, odebrano mi nawet zwyczajny sens zemsty. Czy można ukarać gilotynę za to, że ucięła ręce? Nie miał na sobie żadnej dźwigni: gdy sięgał po ciało Iny, wyłączyłem go rewolwerem. Potem zgasiłem światło przy pomocy elektrycznego kontaktu. Obydwie czynności — tak jak zdejmowanie butów — ledwie odezwały się we mnie.

Mijały godziny. Wiedziałem, że przyjdą. Siedziałem z oczami utkwionymi w jej twarzy, odrętwiały, głuchy, ślepy — bez żadnej myśli.

Co jakiś czas odzyskiwałem świadomość. Słyszałem wtedy odległy łoskot wybuchów, które wstrząsały podstawami schronu. Wtórował im ściszone terkot karabinów maszynowych. Broń konwencjonalna nie wyszła jeszcze z użycia — myślałem — miotacze cięłyby ciała bezgłośnie. Drzemałem — wciąż jeszcze walczyli między sobą. Czy bili się tylko o nazwisko komendanta? Przynajmniej w sprawie jego wyboru Mechanizm zostawił im swobodę działania; poza tym nie odpowiadali za

swoje czyny.

Więc koniec. A życie widziałem zawsze przed sobą. Strawiłem je na rozwlekłym oszustwie, że Ina stała w nim na pierwszym planie. Krótkotrwały stan prowizoryczny, pojednanie i długa wspólna droga — taki pejzaż; utkałem go sobie z mgieł, jakbym żył wśród samych ludzi. Choć prawda: stawiałem opór prądowi, który niósł wszystko wokoło. No i zostałem: prąd spłynął.

Rozumieć czy czuć? — nagle przypomniałem sobie tamte straszne oczy. Cztery wolne przegrody czekały dalej, na poboczu mrowia uwiecznionych źrenic. Kto miał je niebawem zająć? Ludzie wśród maszyn — rozbici, dokładnie przemieszani z nimi i — co najbardziej zdumiewające — zewnętrznie tacy do siebie podobni, nie umieliśmy się odnaleźć, nawet wobec siebie samych, a cóż dopiero porozumieć się i pograć w tym, co było tu pustym terminem — zaufaniem. Nie umieliśmy się odróżnić: tak dalece byliśmy zakonspirowani. Bo gdyby nie to najgłębsze ukrycie, ile czasu trwaliby tu ci z nas szaleńcy — którzy się raz zdradzili wśród nich bodaj jednym nieostrożnym gestem, sylabą, samą zapowiedzią myśli? Jak długo mogli jeszcze żyć ci dwaj nieznani mi autentyczni ludzie, którzy się dotąd nie zdemaskowali, jako osobliwości w jednorodnym polu, obce ciała w zwartej konstrukcji, ci dwaj ostatni — jeżeli tak jak mnie nie uznano ich wcześniej za własnych wariatów?

Zwyciężyły. Nie ludzie i nie zwierzęta — maszyny. One tylko były niezniszczalne; można je było powielać w nieskończoność.

Kiedy poprzez tysiąclecia zapatrzeni w swe zewnętrzne kształty ludzie łudzili się, że tym, co ich ucłowiecza, są palce u rąk, uszy, oczy, wyprostowana postawa, a nade wszystko mózg — niejeden zadawał sobie pytanie, co nastąpi w nieuniknionej przyszłości, gdy manekin wyprostowany, obłożony i wypchany syntetycznym ciałem poruszy sprawnie wszystkimi członkami i zwracając wypełnioną elektronowym mózgiem głowę ku swemu konstruktorowi, powie niezwykle sugestywnym tonem: „Człowiek — to właśnie ja!” I niejeden z futurologów czuł się zagrożony taką możliwością, równoważną wizji upadku człowieka jako wyodrębnionej wartości, bowiem można było, sobie wyobrazić również, iż ów doskonale podrobiony twór czuje ból lub rozkosz, że kiedy niekiedy boi się, pragnie czegoś, i bywa, że wyznaje miłość tklwym głosem; wszystko przecież można było w nim wywołać

przez wprowadzenie do jego wnętrza analogicznych układów, które by imitowały różnorodne stany — w końcu był to problem wyłącznie technologiczny. Można też było sobie wyobrazić, iż dopiero wtedy — a nie znacznie wcześniej — w epoce stwarzającej możliwości produkcji wielkiej liczby takich robotów, wyłoni się problem moralny, nierozwiązalny przy braku jakichkolwiek kryteriów rozpoznawczych. Problem? Tak: bo wyłączyć automat, a zabić człowieka — to zupełnie co innego.

Ileż złudzeń przynosiło błogie przekonanie, że do maszyny rozkaz mógł dotrzeć jedynie przewodami w postaci impulsu — prądu lub drogą radiową — falą elektromagnetyczną, emitowaną przez oscylator i absorbowaną przez rezonator, a nigdy falą dobrze znaną dzieciom: mechaniczną, pokonując odległość krtań–ucho, zatem w postaci słownie wydanej komendy! Odpaść musiały kryteria rozumu i serca: pierwsze — gdyż mózg elektroniczny działał sprawniej niż naturalny, drugie — ponieważ dobro i zło zamieniały się wzajemnie miejscami w zależności od punktu widzenia. Istniały różne sposoby przekazywania rozkazów i do różnych urządzeń były one kierowane, zaś w chaosie nieistotnych pojęć tylko wolna wola mogła kreować człowieka, wola równoważna odpowiedzialności za swe własne czyny, której istnienie ujawniało się przez stosunek do *rozkazu*.

Maszyna — niezależnie od stopnia swej komplikacji — wykonywała go automatycznie, znajdowała w nim pierwsze źródło i ostatni cel istnienia; realizowała program choćby i najbardziej złożony zgodnie ze swym przeznaczeniem, jeżeli tylko uruchomiono ją odpowiednim kluczem i jeśli oczywiście nie była zepsuta. Wieloczynnościowe maszyny też nie wnosiły nowej wartości; one również były narzędziami, tyle tylko że uniwersalnymi. Natomiast każdy rozkaz, również w znaczeniu najszerszym, rozumiany jako impuls wewnętrzny lub zewnętrzny — był w odniesieniu do człowieka wyłącznie informacją o stanie świata wyrażaną w postaci implikacji: „Nastąpi to — jeżeli nie zrobisz tamtego”; był więc sygnałem zawieszonym w świadomości: dźwiękiem, barwą lub kształtem, zapachem, wrażeniem kształtu — razem bodźcem odebranym przez zmysły, dopóty nie przełożonym na działanie, dopóki go człowiek nie skonfrontował ze swym indywidualnym sensem, niedostępnym w zasadzie ośrodkowi dyspozycji. Z tego powodu człowiek — traktowany

przez pomyłkę jako narzędzie — był najzupełniej bezużyteczny, więcej: mógł uznać za maszynę źródło dyspozycji, które go zrównało z rzeczą.

Maszyny istniały od niepamiętnych czasów. Śledziłem je nieraz na swoich ekranach w kabinie-laboratorium. One najlepiej wiedziały, czym są w rzeczywistości, i wcale tego nie ukrywały w tajemnicy. Czyż one same nie określały się najlepiej swymi własnymi słowami, kiedy wkoło, jak pęknięte płyty, powtarzały z ławy oskarżonych w Norymberdze: „Wykonywałyśmy tylko rozkazy. Nie ponosimy żadnej odpowiedzialności”? I rzeczywiście były zwolnione z samodzielnego myślenia i czucia; kto inny po swoim myślał i czuł za nie: w ich pojęciu Wódz-Nadczłowiek, w innym — paranoik, który w izolacji byłby bezsilny, może nawet śmieszny. Lecz stado maszyn łaknęło jednokierunkowej dyspozycji. Historii — jakby to pewnie powiedział Asurmar-Człowiek — nie da się opisać ani wytłumaczyć przy pomocy jednego okrzyku: „Garstka zwyrodnialców!” Tłumy zaborców z ochotą przekraczające granice, tak jak i gorliwe załogi obozów koncentracyjnych, w przeważającej liczbie składały się z głęboko moralnych maszyn.

Tyle musiałem sobie uświadomić na usprawiedliwienie zabójstwa, gdyż trup Asurmara-Robota leżał przy tapczanie; ciało z krwi i kości — to pewne i nie dało się ukryć. Wiedziałem już, że w tej chwili otaczają mnie w naszym segmencie prawie same odwzorowane na ludziach płody Mechanizmu; nadal jednak nie uzyskałem pewności, czy sam jestem człowiekiem.

Taran

Wybrałem się jeszcze raz do miasta posągów. Nie kierowała mną ciekawość dalszych losów kierowcy oga ani też nadzieja, że zdołam się tam ukryć przed narzędziami Mechanizmu; uległem niemej prośbie Iny, jej ostatniej woli wyrażonej w słowach: „Jest coś gorszego niż śmierć”, którymi dała mi do zrozumienia, jak wielką trwogę czuła na myśl o zajęciu miejsca wśród okaleczonych, ni to żywych, ni martwych ciał — pośród uwieczonych w blokach komory preparatów.

Wieloczynnościowy komputer stacji — Mechanizm, któremu osiadłe w jakimś rejonie galaktyki Nadistoty musiały pozostawić pewną swobodę działania w zakresie sformułowanego ogólnie programu badawczego z powodu olbrzymiej odległości od źródła dyspozycji, funkcjonował chyba podobnie jak wysyłane przez ludzi na Księżyc, Marsa i Wenus stacje automatyczne. Różnica polegała na wielkiej uniwersalności Mechanizmu oraz na jego względnej swobodzie działania, zakreślonej tylko ramami nieznanego nam ludziom ani robotom programu.

Czy jednak Naczelnny Robot eksperymentował na ludziach wyłącznie w imieniu Nauki, jak ludzie w jej chwalebny imieniu eksperymentują na kochanych przez siebie zwierzętach, czy raczej z pobudek sadystycznych zaprawionych nudą długiej drogi znęcał się nad ich uwiecznionymi mózгами niezupełnie zgodnie z pierwotną wolą Nadistot — rozróżnienie tego było dla nas, jednakowo dręczonych, najzupełniej obojętne.

Przeniosłem ciało Iny do świata posągów i ukryłem je wysoko, we wnętrzu jednego z opuszczonych mieszkań. Tam była bezpieczna: zawisała w rtęciowej nocy, by trwać w niej aż do pełnego unicestwienia. Zostawiłem ją w pewności, że cokolwiek stanie się ze inną po śmierci — ona jedna przynajmniej, ostatnia między ludźmi kobieta, nie doświadczy zgrozy tego nieopisanego piekła, które bez słów przemówiło do mnie z ruchomych oczu ludzkich szczątków całkowicie zdanych na łaskę i niełaskę Mechanizmu.

Nie widziałem już żadnej możliwości ratunku ani dla nich, ani dla

siebie samego. Pamiętałem jak przez mgłę, że w kilka sekund po zabójstwie Asurmara-Robota do pokoju zajrzał uwolniony z kajdanków Alin-Robot. Spostrzegłszy mnie z rewolwerem w ręku nad trupem, bez słowa przełożył klucz na drugą stronę drzwi i zamknął mnie z nim w pokoju cieni. Pewnie teraz czekała tam już cała zgraja. Uzbrojony w miotacz i rewolwer mogłem się jeszcze bronić przez kilkanaście godzin, może nawet przez kilkanaście dni — aż do śmierci głodowej. Lecz wówczas, a także w przypadku, gdyby mnie wcześniej zabili, powędrowałbym do kryształowego bloku.

Pod wpływem tych myśli dojrzewiała we mnie decyzja samobójstwa w ukryciu znalezionym dla Iny. Z zapasem tlenu na kilka godzin — odkładałem ją jeszcze, błakając się pośród zastygłych kształtów bez żadnego celu ani określonego kierunku. O godzinie dwudziestej pierwszej (w siedem sekund po zderzeniu oga z kolumną) znalazłem się przy szóstym szybie. Dostrzegłem z dala swój posąg. Nie roztrzaskał się: trwał już w biegu na schodach domu towarowego. Patrzyłem nań obojętnie.

Los ludzi z komory elastycznych bloków, którzy przy przesunięciu dźwigni zlewali się w olbrzymią, kilkusetgłową amebę, pozbawił mnie reszty złudzeń: zrozumiałem, że ocalenie mojego posągu nie rozstrzyga starej wątpliwości, czy jestem dziś człowiekiem, czy tylko zbuntowanym robotem. Wzorowani na oryginalnych ludziach i bez reszty oddani Mechanizmowi osobnicy pojawiali się pewnie w segmencie od dawna, nim po kolei zastąpili wszystkich jego autentycznych mieszkańców.

Wychodząc z komory reprodukcyjnej, podejmowali oni natychmiast funkcje swych usuniętych imienników i wszystkie wątki ich życia w najgłębszym przekonaniu, że kontynuują swoją własną przeszłość. Mechanizm nie wtajemniczał ich w istotę rzeczy; panował tylko niepodzielnie nad ich umysłami, którymi kierowało poczucie oczywistości. Dzięki temu wymiana miała bardzo dyskretny charakter i chyba tylko nieliczni zorientowali się, że jest realizowana. Tych tropiono ze szczególną zajadłością; ponieważ siali zamęt, wymieniano ich w pierwszej kolejności. Przypomniałem sobie ostrożną aluzję Asurmara na temat zwierzenia mężczyzny opanowanego obsesją taśmy. Widać nie tylko we mnie, lecz również w innym jeszcze przybyszu z zewnątrz Mechanizm upatrzył sobie odpowiedni obiekt do przeprowadzenia.

adaptacji nowego rodzaju: na drodze zdalnie sterowanego przekształcenia pamięci.

Historia mego pobytu skończyłaby się pewnie na tej krótkiej refleksji, ponieważ zamierzałem wrócić do ukrycia Iny, gdzie zniszczyłbym swoje ciało, kierując na nie strumień z miotacza. Lecz kiedy odpływałem spod dachu szybu, rzuciło mi się w oczy dziwne zachowanie posągów, a potem — gdy spłynąłem niżej i spojrzałem z boku — zobaczyłem cały groźny obraz, który mimo głębokiej apatii, niesionej przez pewność, że zbliżyłem się już do kresu życia, przepełnił mnie bolesnym smutkiem. Stałem się nieumyślnym sprawcą tragedii posągów, mimowolną przyczyną wielkiej katastrofy w ich świecie.

Cała konstrukcja szybu pochyliła się nieco na jedną stronę: gruby, wzmocniony pancerzem ze stalowej płyty i wykonany z wielkiego betonowego bloku strop szybu zwałował się na zgromadzonych pod nim ludzi. W tej chwili pod rozległym dachem znajdowało się około tysiąca osób. Dla mnie strop osuwał się ze ślimaczą powolnością — w ich czasie brakowało niespełna sekundy do potwornej masakry.

Oplýwałem budynek wokół z pełną świadomością winy, bezsilności i klęski. Osuwała się masa porównywalna z bezwładnością kilkudziesięciu czołgów z miasta. Dla mnie było ich dziesięć tysięcy razy więcej. Główny ciężar stropu wspierał się dotąd na czterech potężnych kolumnach. Ocalały tylko dwie — od strony wiaduktu. Jedną z pozostałych kolumn ściał już dawno wielki pocisk armatni, który wypchnąłem własnymi rękami z komory szkieletów, druga jeszcze przez kilka sekund próbowała utrzymać podwojony ciężar, lecz poważnie osłabiona wydrążoną w niej dużą wyrwą, a następnie nadwerężona silnym ciosem samochodu łamała się właśnie na moich oczach.

Mimo pozorów, wypadki kilkudziesięciu godzin potoczyły się tak szybko, że nie umiałem już uchwycić sensu przedziwnych zbiegów okoliczności, które cały mój wysiłek — w ostatecznym rezultacie — obróciły na zgubę posągów. Tylko śmierć mogła mnie wyzwolić spod okrutnego brzemienia odpowiedzialności. Skierowałem się czym prędzej na jej spotkanie — w stronę kryjówki, by oszczędzić sobie przynajmniej straszego widoku.

Po drodze wyły mi w myślach, jak torturowane straszdyła, dwa szczipione ze sobą słowa: „ciężar stropu”. Paraliżowały mi cały układ

nerwowy w takim stopniu, że zamiast płynąć prosto, zataczałem w przestrzeni duże kręgi. Natręctwo to, szczególnie dokuczliwe w normalnych warunkach — tutaj doprowadzało mnie do szału. Bezsilna wobec niego podświadomość w odruchu samoobronnym próbowała je zrzucić przy pomocy różnych wybiegów. Wreszcie złagodziła je nieczułym sformułowaniem: „Ciężar stropu? Ależ ciężar stropu — to iloczyn jego masy przez przyśpieszenie ziemskie”.

Była to myśl piorunująca. Zawróciłem na miejscu.

Płynąc szybko z powrotem, myślałem coraz bardziej gorączkowo:

Mogło się zdarzyć w najgorszym razie, że masa całego dachu sięgała tysiąca ton. Wówczas ta sama wielkość — zmierzona moją miarą bezwładności — wynosiłaby tu dziesięć milionów ton. Liczba zawrotna — to prawda. Lecz przecież dzięki niezwykłemu zwolnieniu czasu, przyśpieszenie ziemskie — co już nieraz sobie uświadamiałem — było tutaj aż sto milionów razy mniejsze w odniesieniu do przyśpieszenia w schronie. Iloczyn obydwu wielkości dawał znikomy — stosunkowo — ciężar: siłę stu kilogramów. I paradoksalny wniosek: mogłem utrzymać cały dach (nie podnieść, ale utrzymać go na miejscu) parciem zaledwie stu kilogramów-siły, chociażby na własnych plecach!

Szukałem najdogodniejszego punktu podparcia. Spostrzegłem granitowy postument, który wznosił się przy krawędzi dachu po przeciwległej stronie obu ocalałych kolumn. Wierzchołek jego był płasko ścięty i utwardzony metalową pokrywą. Dzielila go od spadającego dachu odległość około półtora metra. Obydwie krawędzie — dachu i postumentu, gdyby je pozostawić własnemu losowi, minęłyby się o kilka centymetrów. Wzniosłem się tam. Podniecony możliwością ratowania posągów zapomniałem jednak o jeszcze jednej trudności: nie mogłem przecież tkwić pod stropem szybu przez kilkadziesiąt godzin.

Trzymałem w ręku jedyny przedmiot, który mógł mnie doskonale wyręczyć: długą rurę miotacza. Podparłem nią strop. W świetle posągów stal przeniesiona ze schronu była twardsza od najtwardszego diamentu. Ludzie zostali uratowani. Ale wciskając końce rury między brzegi zbliżających się do siebie mas, pozbawiłem się równocześnie jedynego narzędzia, którym mogłem zniszczyć doszczętnie swoje własne ciało. Do swych celów Mechanizm potrafił ożywić nawet martwe i uszkodzone mózgi, toteż broń palna nie dawała mi gwarancji pełnego unicestwienia.

Wyciągnąłem miotacz.

Patrzyłem nieprzytomnie w dół — na wstęgi ruchomych schodów, którymi zjeżdżał do stacji dźwigów skamieniały tłum. Stałem przed nierozwiązalnym dylematem, gdyż po mojej śmierci nie zdołałbym oczywiście ulokować miotacza na poprzednim miejscu. Więc oni czy my?

Nagle ujrzałem twarz Iny. Stała na trzeciej wstędze; zwrócona profilem do mnie, spoglądała w dół. Przez chwilę wydawało mi się, że śnię. Byłem już tak wewnętrznie rozbity, że widmo odległej przeszłości wziąłem za niewątpliwy znak zmartwychwstania. Oszukiwałem się jeszcze przez kilka sekund. Chociaż mogłem do niej podpłynąć, dotknąć jej i czekać, aż zwróci na mnie oczy, dzieliła nas nieprzebyta przepaść, której żaden cud nie był w stanie usunąć: Przybyłem tu z innego świata ona należała do miasta. Obecność jej posągu w zagrożonym szybie wzruszyła mnie bardziej niż wszystko, co mi się dotąd zdarzyło, i wiele dała mi do myślenia. Uświadomiłem sobie, że trudna decyzja, z której podjęciem wahałem się do ostatniej chwili, zapadła już dawniej — niejako przed dziewięcioma miesiącami. Ina wówczas ocalała na pewno; w przeciwnym razie nie mogłaby przecież żyć obok mnie w schronie. Wiedziałem też, dlaczego ocalała.

Wcisnąłem miotacz na swoje miejsce — pod dach, i w doskonałej ciemności, ożywionej jedynym znakiem orientacyjnym: świetlnym prostokątem sponad komory szkieletów, skierowałem się do pokoju cieni po deski ze strzaskanej skrzyni tapczanu. Rura dawała zabezpieczenie prowizoryczne: końce jej wrzynały się już w miękką stal stropu i postumentu; należało zbudować tu bardziej trwałą podporę.

Zostałem pokonany bez walki.

Leżałem na podłodze, skrępowany grubą liną, którą okręcili mnie błyskawicznie czterej nieznani mężczyźni. Obezwładnili mnie w momencie, gdy zapominając o zwrocie pionu, który zmieniał się na granicy światów, wypadłem z lustra głową na dół — prosto w ich ręce. Chwycili mnie w milczeniu z czterech stron, za nogi i ręce, zanim zdążyłem oddać choćby jeden strzał.

Napastnicy pojawili się w pokoju cieni z gotowym planem. Po dociśnięciu ostatniego węzła na moich plecach przenieśli z kąta przygotowaną już wcześniej potężną kratę i ustawili ją przed lustrem. Odezwała się kanonada wystrzałów. Przegroda została przymocowana

do ściany kilkunastoma grubymi kłami. Odpalane ze specjalnych pistoletów stalowe ostrza, zagłębiając się głęboko w murze, docisnęły kratę do brzegów srebrnego prostokąta. W ten sposób przejście do skamieniałego miasta zostało ostatecznie zamknięte. Moja uwaga o zagrożonym szybie pozostała bez echa. W tym samym czasie, kiedy dwaj mężczyźni zajmowali się przytwierdzeniem kraty, dwaj pozostali przynieśli do pokoju żelazne drzwi. Zawiesili je na wzmocnionych zawiasach w miejsce starych — drewnianych. W trakcie tej czynności w korytarzu zatrzymała się grupa znajomych robotów. Ze swego miejsca na podłodze, rozpoznałem Gonedę, Alinę i Senta oraz właściciela noszonych przeze mnie spodni — Ludwika Veisę.

Veis zwrócił się do Gonedę:

— Parszywe owce należy izolować od zdrowych osobników.

— A co innego robimy? — zdziwił się pułkownik. — Obydwa areszty są już przepełnione. Założenie nowego jest koniecznością chwili.

— Nie to chciałem powiedzieć — obruszył się Veis. — Przy stanie wyjątkowym jedyną trzeźwą izolacją to likwidacja. Szalenciec czy bandyta — jednakowy ciężar dla wartościowych ludzi, którego nie wolno nam za sobą wlec.

— Przemawia przez pana mentalność goryla. Od tego jest sąd przysięgłych, by decydować o czyjejsz winie i odpowiedzialności. Kara oczywiście zostanie wymierzona. Ale najpierw trzeba wykryć motyw działania. Musi nami kierować poczucie sprawiedliwości. Człowiek ten jest chory psychicznie.

— To są frazesy.

— Tylko bez dyskusji! Porejra zaczeka na wyrok po prostu dlatego, że nie znoszę bałaganu.

— Sam pan jednak dobrze wie, że nigdy nie przejęlibyśmy władzy w swoje ręce, gdybyśmy karmili naszych ludzi słabością i głupotą. Ale pan tu rozkazuje i nie moja rzecz, co się z nim stanie jutro. Pytanie tylko, gdzie go ulokować, skoro zarezerwował już pan ten lokal dla dwóch ujętych egzemplarzy fauny. Instrukcja nie pozostawia żadnej wątpliwości: każe je zachować do celów specjalnych, nawet gdyby mikser, pozbawiony czterech elementów, których brak do planowanego kompletu, przejawiał pewne zakłócenia w swej wewnętrznej równowadze przy pracy.

— Dość! Zostanie tu razem z nimi do rana ze względu na wymagania testu.

— Słucham posłusznie.

— Ale... a propos pańskiej uwagi na temat nieudolności: cztery elementy, powiedział pan. Czy długo jeszcze będziecie się guzdrali z odnalezieniem dwóch ostatnich?

— Jestem w kłopotliwym położeniu...

— Czyżby? Zdaje się, że Asurmar wykonał za pana część pracy. Zgłosił gotowość do mikserium zaraz po przygotowaniu jednego preparatu. Doniesiono mi o tym tuż przed jego śmiercią. No i co? Pan jest odpowiedzialny za to, że trzeci okaz zginął gdzieś po drodze. A gdzie znajduje się czwarty?

— Niestety, nadal ukrywa się w tłumie.

— Co za piramidalna bzdura! Pan, zdaje się, chce mi wmówić jak dziecku, że nie można odróżnić zwierzęcia od człowieka?

— Tego nie powiedziałem. Zwierzęta łatwo demaskuje brak karności. One nie znają pojęcia absolutnego obowiązku ani ponadnadrzędnego celu, tak jak my je znamy. Już dzięki temu wyprzedzamy je w rozwoju o wiele tysiącleci. Poza tym one nie są w stanie uchwycić istoty *oczywistości*. Jednak gdyby pan był na moim miejscu...

— Otóż to! Gdybym siedział na pańskim długo nie wietrzonym miejscu, zajrzałbym natychmiast do centralnej kartoteki i do hali miksyjnej, aby sprawdzić, czyja zwierzęca powłoka nie spoczęła dotąd w swoim elastycznym gnieździe. Czeka pan, aż nas uprzedzą laboranci Bucleya? Nie znajduję w panu za grosz ambicji.

— Ależ my nie dysponujemy spisem pierwotnych mieszkańców segmentu ani zbiorem ich fotografii. Rejestr aktualny powstawał stopniowo w miarę zapełniania kolejnych gniazd. Leży on w kartotece sterowni i jest już prawie kompletny. W żadnym jednak momencie operacji nie można by było na jego podstawie ustalić danych o osobnikach pierwotnych, które wegetowały jeszcze swobodnie między powołanymi już ludźmi — z wyjątkiem gołej ich liczby. Analizator hali miksyjnej wykluczał z łatwością wszelkie pomyłki. Dzięki niemu zwłoki ludzkie, które przez jakieś nieporozumienie dostawały się czasem do hali razem z egzemplarzami fauny, zostały zwrócone i skierowane do zasobnika cementarnego. Co się zaś tyczy ostatniego egzemplarza

prymitywnych istot, które dotychczas zamieszkiwały nasz system, to mogę się tylko domyślać, dlaczego jest nie uchwytny. Podejrzewam, że jest on bardzo niejednolity wewnętrznie: biją się w nim o lepsze cechy pierwotne zwierzęce z załączkami cech wam właściwych — ludzkich, co znacznie utrudnia rozpoznanie. Ponadto jestem przekonany, że osobnik ten wegetuje samotnie. W czasie swego pobytu nie nawiązał pewnie żadnego kontaktu towarzyskiego. Mam na myśli zbliżenie serdeczne, gdyż dopiero w takim ujawniłaby się jego prawdziwa natura; zostałaby więc rozpoznany, a dziś, po sublimacji, jego wyższe wcielenie znajdowałoby się między nami ludźmi. Zwierzę to jest — krótko mówiąc — odpowiednikiem naszego sobka. Nieufne wobec wszystkich napotkanych mieszkańców segmentu, niezdolne do uczucia miłości ani nawet przyjaźni — ograniczało się w swych stosunkach z innymi do wymiany nieistotnych uwag. W takim — egoistycznym — osamotnieniu nawet denuncjacja — ten święty obowiązek każdego uczciwego człowieka — była w odniesieniu do niego bezsilna, ponieważ ono — zwierzę dręczoną obsesją prześladowczą — ze swych prawdziwych myśli nie zdradzało się przed nikim. Można jeszcze się spodziewać, że tropione systematycznie i bezlitośnie samo w końcu się załamie i odda w nasze ręce. W przeciwnym razie trzeba by podjąć pracę odwzorowania ze sobą dwóch czterotysięcznych tłumów. W pierwszej fazie operacji sublimującej byłoby to zadanie niewykonalne ze względów oczywistych, w kolejnych — bardzo ryzykowne, lecz dziś, w fazie ostatniej — dość proste i celowe. Czy mamy je podjąć?

Goned manipulował przy zamku nowych drzwi. Odwrócił się niechętnie i ziewnął.

— Prawie pana nie słuchałem — wyznał. — Nie znoszę jałowej gadaniny i nic mnie nie obchodzą wasze kłopoty teoretyczne. Chcę mieć wreszcie porządek w segmencie. Jutro rano zamelduje się pan z konkretnym planem działania.

Veis oddalił się. Na polecenie Goned dwaj jego podkomendni przyprowadzili zapowiedziane na wstępie „dwa egzemplarze pierwotnych istot”. Z trudem opanowałem okrzyk zdumienia, bo do pokoju weszli skuci kajdankami Raniel i Coorez. Zwłaszcza tego ostatniego nigdy nie podejrzewałbym o to, że jest człowiekiem. Wietrzyłem w tym jakiś podstęp. Oni również patrzyli na mnie nieufnie.

Sent, którego razem z Alinem pułkownik wyznaczył do służby wartowniczej u drzwi pokoju cieni, ostrzegł ich przed przekręceniem klucza, aby mnie nie rozwiązywali, gdyż jestem zdolny do wszystkiego i mogę ich udusić w ataku szału.

Do północy w nowym areszcie panowała bezwzględna cisza. Więzy wrzynały mi się w zdrętwiałe ciało. Leżałem na podłodze, w kącie pokoju, przykrępowany do metalowej listwy. Czułem się beznadziejnie. Kajdanki pozostały w kieszeni Senta, toteż moi towarzysze przynajmniej w granicach zakreślonych ścianami obszernego pokoju mogli poruszać się swobodnie. Doszło już do tego, że patrzyłem na nich zazdrośnie, jak na ludzi całkowicie wolnych. Coorez wiercił się na tapczanie; zbielałymi wargami klepał czasami coś do siebie, czego nie mogłem zrozumieć. Raniel też nie wyglądał lepiej: to tłukł głową w ścianę, to osuwał się pod nią na kolana i z uchem przyłożonym do muru, patrząc błędnym wzrokiem w podłogę, palił papierosa za papierosem. Razem miałem obraz nocy przed egzekucją. Byłem dla nich maszyną-szpiegiem.

— Panowie — odezwałem się wreszcie ściszym głosem. — Przysięgam, że należymy do tej samej grupy zwierząt, gdyż ja również jestem człowiekiem. Biorą mnie tutaj za swego pomyłeńca, co mi jednak nie uratuje życia. Jutro zostanę stracony za zabójstwo robota. Rozwiążcie mnie przynajmniej na jedną godzinę, bo już zdycham.

Chciałem rozładować napięcie nieznośnej sytuacji tragikomicznym tonem, ale był to głos wołającego w próżni. Spodziewali się go od samego początku; mogli się tylko dziwić, że tak późno się odezwał.

Milczeli. Każdy wgryzał się oddzielnie w widmo przydzielonego mu piekła; może próbowali sobie wyobrazić, co to znaczy cel specjalny, do którego zarezerwował ich Mechanizm. Raniel spojrzał na mnie przelotnie. Pewnie myślał o nędznej przewrotności mojego charakteru, który ujawniłem, zamykając go podstępnie w magazynie. Coorez dźwignął się z legowiska i stanął nade mną.

— Cztery — powiedział. — Przeliczył palce. — Nie! Nawet pięć pudeł.

Roześmiał się na całe gardło.

— Cisza tam! — krzyknął Alin i grzmotnął pięścią w żelazne drzwi. — Sent, teraz ty tasujesz.

— Grają w karty — rzewnie ni w pięć, ni w dziewięć zauważył

Raniel. — Sent teraz rozdaje.

A Coorez majaczył już całkiem od rzeczy:

— Jedna paka w drugiej pace... zapakowane w trzecią, w środku jeszcze większej paki, a ta też wpakowana w pudło — razem pięć pudeł.

— Co się panu stało? — zapytałem ze współczuciem.

— Ano, więzienie do piątej potęgi — odparł całkiem przytomnie. — Sam może pan sobie dla rozrywki przeliczyć: lina jak na baleronie i arest bez wyjścia — to dwie pierwsze paki, jedna w drugiej. Dalej ściany trzeciej paki — segmentu, naładowanego automatami i odciętego grodziami od pozostałych przedziałów. Pancierz całego schronu, z którego nie możemy się wydostać od dziewięciu miesięcy — to granica paki numer cztery. A wszystko razem wpakowane do piątego pudła — do rakiety.

Zachichotał histerycznie.

— Boki mi się obrywają, gdy na pana spojrzę — podjął. — Czy pan sobie wyobraża beznadziejną sytuację? A kto się tak wpakował? Baleron!

Zaczął tańczyć na jednej nodze i dopóty podśpiewywał „baleron”, aż Alin uchylił okienko w drzwiach i strzelił w ścianę obok niego. Wtedy się uspokoił. Najpierw sądziłem, że z wisielczym humorem ironizuje nad moim położeniem, by rozśmieszyć nas dowcipem, że ich sytuacja jest o jeden stopień mniej beznadziejna od mojej. Ale widać było teraz, że się załamał nerwowo. Raniel wybiegł z łazienki i wylał mu na głowę kubek zimnej wody. Postąpił dość nedorzecznie, jak człowiek wyprowadzony z równowagi. Jeżeli grali przede mną z góry ułożoną komedię — to w swym aktorstwie okazywali mistrzostwo. Ciała żadnego z nich nie zauważyłem we wnętrzu hali, jednak nie świadczyło to właściwie o niczym, gdyż mogły one spoczywać w głębszej warstwie, tak samo jak moje. Goned wspominał o jakimś teście — przypomniałem sobie. Czy zamknięto mnie tu z dwoma robotami, aby stworzyć warunki ostatniego egzaminu?

— Nigdy nie należy tracić nadziei — rzuciłem naiwną uwagę.

— No pewnie! — pochwycił Raniel. — Wesolek z pana. Jako automat-zabójca trafi pan jutro do bezpiecznego zacisza zasobnika cementarnego, nas zaś przed ostateczną śmiercią czeka jeszcze wiele niewysłowionych, cielesnych i psychicznych rozkoszy pod skalpelem kosmicznego badacza.

Coorez obwąchał drzwi i podszedł z powrotem do kraty, podrtęciowe lustro, gdzie już raz zadumał się nad opłakaną grubością prętów i haków. Zwrócił się do Raniela:

— Słyszałem, że Goned zabrał ze sobą klucze od drzwi. Więc ci dwaj — ściszył głos — nawet gdyby dali się przekupić, nie mogą nam pomóc.

— Ja mam cały pęk — szepnąłem z nadzieją. Równocześnie przypomniało mi się, że Sent strzela szybko i niezwykle celnie.

— Wiem o tym, że pan go ma — Raniel pochylił się nade mną. — Obejrzałem go sobie przed dwoma dniami w kabinie Veisa, gdy leżał przy panu na łóżku. — Wyciągnął mi klucze z kieszeni. Przejrzał je uważnie po kolei, zerknął na zamek i zaklął. — Oczywiście, zupełnie inny system. Odpada. — Zdjął z kółka jeden klucz. — Siódemka — rzekł — Gdybym ją wczoraj miał! Tym cackiem można by otworzyć właz do śluzy remontowej kreta. Opuścili go wczoraj na nasz poziom. Dysponują rozpuszczalnikiem do usuwania warstwy żywego szkliwa, które z zarodników srebrnego pyłu rośnie szybko pod wpływem światła. Przynrządy i tryby maszynierii kreta zostały nim zalane przed startem. Teraz pojazd jest gotów do drogi. Dowiedziałem się przypadkowo, że jutro zamierzają go użyć. Pewnie chcą nim przebić cienką warstwę ziemi, która otacza schron, by dostać się do sterowni rakiety. Nie wiem, w jakim celu pchają się tam, skoro gwiazdolotem kieruje główny automat, a oni spełniają tu tylko rolę jego prymitywnych pachółków. Nam kret uratowałby życie. Moglibyśmy włączyć jałowy bieg i na rolkach podnieść się tunelem do górnej komory startowej, czyli do sąsiedniego segmentu, gdzie żyją swobodnie pozostali ludzie. Innej drogi nie ma, gdyż wartownicy przy naszych grodziach nawet pod najsroźszymi torturami nie zdradziliby tajemnicy cyfrowych kombinacji numeratorów. Oni są bohaterami: rozumieją, czym jest ponadnadrzędny cel i obowiązek.

Coorez spojrzał nienawistnie na drzwi.

— Nie ma co dalej bredzić — rozszłościł się. — Buja pan coraz wyżej w obłokach, a tamto żelazo przyjdzie gryźć własnymi zębami.

— Moglibyście chociaż mnie rozwiązać — przypomniałem.

— Racja.

Raniel klęknął przy mnie.

— Zostaw go pan! — sprzeciwił się Coorez. — Co kogo obchodzi ten zepsuty kołowrót. On nas nie zbawi. Niech sobie trochę popiszczy.

— W tej chwili... kimkolwiek... by nie był — mamrotał Raniel z zębami na pierwszym suple — jest istotą żywą, która cierpi.

— Nie ruszaj go pan, bo zaraz narobię hałasu i zawołam Senta!

Raniel podniósł się. Popatrzył na tamtego z pogardą. Wreszcie ze zrezygnowaną miną wrócił na tapczan. Coorez posłał mu groźne spojrzenie spod drzwi. Odwróciłem głowę do ściany, by przynajmniej usunąć sobie z pola widzenia jego wykrzywioną gębę. Chciałem go już zapytać, jaki zysk przyniosła mu brylantowa kolia, którą zrabował w mieście, i co osiągnął przez znowę przeciwko Inie uknutą z Unevorisem-Robotem, ale w porę zrozumiałem, że rozmowa z nim nie miałaby żadnego sensu. Rozwiały się ostatecznie wszystkie wątpliwości: toż to było autentyczne bydlę w oryginalnym ludzkim ciele; że też Mechanizm nie wymienił go na maszynę przed innymi ludźmi w pierwszej kolejności.

Minęła następna godzina. Myślałem o zagrożonym szybie i o zimnej kryjówce Iny, pogrążonej w mrokach rtęciowej nocy, które tam zewsząd otaczały jej martwe ciało. Czy na pewno wybrałaby śmierć, tak jak ja ją wybrałem, zamiast imitacji życia w szponach Mechanizmu? Widmo tego gorzkiego pytania dręczyło mnie wciąż jak natrętny zgrzyt kołowrotu. Spróbowałem zwrócić się w inną stronę. Rura wspierająca dach szybu już od pełnej sekundy wrzynała się swymi końcami w miękką stal stropu i postumentu. Materiał miotacza był na pewno dostatecznie twardy, by utrzymać ciężar nawet kilkakrotnie większy, lecz na jego końcach przydałyby się jeszcze dwa szerokie stemple.

— Co by się stało — zapytałem Raniela — gdyby ktoś stąd pozostał przypadkowo w mieście? Nie miałby teraz którędy wrócić do schronu. — Wskazałem na kraty. — Pręty tkwią głęboko w murze. Tędy tylko czołg o własnych siłach mógłby się przedostać.

— To nie ma żadnego znaczenia — odparł. — Nas tylko zamknęli. Z segmentu wiodą do miasta jeszcze dwa inne przejścia. Są lepiej znane niż to. Widziałem je. Wylot jednego kanału trafia pod wieżowiec do jakiejś otwartej piwnicy, drugiego — sięga aż na trawnik ronda.

Do trzeciej nad ranem majaczyłem w półśnie. Przez cały czas dzwoniło mi w uszach ostatnie zdanie Raniela. Pod jego wpływem przyśniło mi się kilka cudownych zdarzeń. To wyobraziłem sobie, że

jakaś przyjazna postać podpłynęła do nas ze świata posągów i z tamtej strony kraty rozcięła wielkim palnikiem wszystkie pręty, to znów z całkiem innej beczki: ubzdurałem sobie, że nastąpił już oczekiwany stan nieważkości, a pośród orbitujących gratów zawisły też ciała Alina i Senta, którzy nieprzytomni ze zgrozy, aby udobruchać rozsierdzone bóstwo, otworzyli czym prędzej drzwi celi i zapraszając do wyjścia, bili nam głębokie pokłony.

Pośrodku triumfalnego pochodu przez korytarz obudziłem się ostatecznie i wpadłem prosto w brutalne objęcia rzeczywistości:

— Za trzy godziny przyjdą po pana.

Uniosłem głowę: to Coorez, który jeszcze nie spał, odmierzył mi czas do rannej sesji sądu przysięgłych robotów.

Przyłożyłem rozpalony policzek do kałuży wody rozlanej na podłodze przy głowie. Jeszcze o północy, kiedy Raniel wylał ją na łeb Cooreza, silne bryzgi wody podmyły i przykleiły mi do twarzy jakąś zdeptaną butami kartkę papieru. Zaraz zdmuchnąłem ją z nosa. Odwróciła się i upadła o długość dłoni dalej. Leżała w polu mego widzenia od trzech godzin, toteż — unieruchomiony liną — patrzyłem na nią z konieczności, ale widziałem tylko białą plamę. Teraz spojrzałem tam już chyba po raz setny i nagle wzrok mi się wyostrzył na niej. Jeszcze przez kilka minut nie dawałem znaku życia.

— Słuchajcie — szepnąłem drżącym głosem. Jesteśmy uratowani!

Coorez szturchnął łokciem w bok Raniela:

— Trzeba go chyba zakneblować, bo do samego rana będzie nas torturował.

— Jesteśmy ocaleni — powtórzyłem. — Mam pomysł. Tylko rozwiążcie mnie.

Coorez podszedł z brudną szmatą w rękę. Chciał mi nią zatkać usta, ale Raniel pochwycił ze stołu jakiś przedmiot i zabiegł mu drogę.

— Precz! — syknął, czerwieniejąc z gniewu. Zamachnął się do ciosu pięścią, w której trzymał rozłupaną na końcu dużą fiolkę.

Nie był to dla Cooreza argument dostatecznie mocny, gdyż przy swoim blisko dwumetrowym wzroście miał wagę ponad sto kilogramów. Jednak błysk ostrego końca fiolki i barwa płynu z niej wyciekającego musiały go zastanowić, bo się zawahał.

— Jeszcze chwila i przybędzie nam nowy preparat! — kontynuował

Raniel w tej samej tonacji, ale już o oktawę wyżej. — Pan nim zostanie. Czy nie widać, że krew przestaje mu dopływać do mózgu. Zwariował z bólu. Rozwiążę go, to się uspokoi.

Klęknął i rozwiązał mnie.

— Wyjdziemy stąd dzięki niezamierzonej pomocy Unevoris — powiedziałem po rozprostowaniu kości. Przeczytałem im na głos treść kartki:

Do komendanta schronu

generała Bucleya

4 III godzina 21.

David Unevoris.

Raport czwarty.

Dotyczy niezidentyfikowanej kuli z sali H-5 zwanej Pokojem Cieni.

Kula jest na swej powierzchni równie twarda, jak posągi dziewczynki, psa i myszy. Poza tym jest tak samo jak one doskonale czarna. Średnica jej wynosi pół metra. Toczy się bardzo wolno, ale za to ma olbrzymią masę. Hamowałem ją na krótkim odcinku ruchomym dynamometrem. Znając wartość przyłożonej siły, czas trwania ruchu jednostajnie opóźnionego oraz prędkość początkową i wreszcie końcową na drodze hamowania, obliczyłem, że bezwładność jej sięga dwunastu tysięcy ton! W mieście posągów ważyłaby tysiąc dwieście kilogramów.

Wniosek: kula jest wykonana z materiału miasta o ciężarze właściwym platyny.

W tej chwili — po nieznacznej zmianie pędu — toczy się w stronę tapczanu z prędkością trzech milimetrów na sekundę.

— Toczy się? — burknął Coorez, gdy skończyłem czytać. Usiadł na czarnym kręgu, który wspierał się o ścianę naprzeciwko lustro. — Wcale tego nie widać.

— Nie zrozumiał pan — spróbowałem mu wyjaśnić. — Ona tam leży spokojnie już prawie od trzech dni. Raport dotyczy sytuacji z dnia czwartego marca.

Unevoris medytował nad nią o dziewiątej wieczorem, jeszcze przed pierwszą moją wizytą w pokoju cieni. Przyszedłem tu zaraz po nim.

— A co mnie to wszystko obchodzi?

— Owszem, to pana bardzo interesuje, ponieważ przy pomocy tej kuli rozbijemy zaraz kratę i przepływając przez miasto w stronę drugiego kanału, przedostaniemy się do komory kreta, który wywinduje nas między ludzi. Czyście już zrozumieli? Posłużymy się nią jak potężnym taranem.

Raniel poderwał się z tapczanu. Coorez nadal patrzył z niedowierzaniem:

— Przecież ona waży dwanaście tysięcy ton! Tak pan przeczytał? To

jest waga dużego okrętu.

— Nie. Przeczytałem, że ma *masę* dwunastu tysięcy ton. A to znaczy zupełnie co innego, zwłaszcza w naszych warunkach fizycznych. Wiem o tym od dawna, że tak samo jak posągi, które zbłądziły tutaj przez lustro, podlega ona tylko działaniu pola grawitacyjnego miasta. Ma ono natężenie zaledwie jednej dziesiątej mikrona na sekundę do kwadratu, tak samo jak tam. Praktycznie więc będziemy się zmagali wyłącznie z jej kolosalną bezwładnością. Jeżeli zdołamy ją rozpędzić do prędkości dziesięciu centymetrów na sekundę, nawet twarde pręty kraty muszą się rozsunąć na boki pod jej uderzeniem. Przecież cała praca, jaką wykonamy nad kulą, pchając ją we trzech ze wszystkich sił od ściany do lustra, czyli na drodze dziesięciu metrów, co nam zajmie kilka minut — zostanie oddana przy celu w czasie zaledwie jednej sekundy. A stosunek pracy do czasu — to moc. Pod lustrem kula osiągnie energię kinetyczną porównywalną z energią pocisku armatniego. Z łatwością też unikniemy tarcia o podłogę. Popatrzcie.

Pochyliłem się nad kulą i ująłem ją w ręce. Po kilku minutach dźwigania bez niczyjej pomocy podniosłem ją na wysokość piersi. Tam wypuściłem ją z rąk. Zawisła w powietrzu.

— Z tej wysokości spadłaby na podłogę dopiero za półtorej godziny — powiedziałem.

Żaden inny argument nie przemówiłby do nich lepiej: ożywili się momentalnie.

Raniel wpychał już poduszkę między siatkę na okienku w drzwiach a zamkniętą przez Alina klapę judasza. Robił to zapewne w tym celu, by zabezpieczyć się na wypadek hałasu i aby uniemożliwić Sentowi strzał z korytarza. Coorez połączył zaworami zbiorniki z tlenem i rozdzielał go na trzy porcje, gdyż mój ostatnio używany aparat zawierał jeszcze tlen, a znalezione w skrzyni tapczanu dwa inne były puste. Szczęście, że napastnicy zabrali mi tylko rewolwer, zostawiając wszystkie inne graty na miejscu. Postawiłem złamaną w połowie deskę od skrzyni przy lustrze; wierząc głęboko, że krata ustąpi, nie zapomniałem o sytuacji w szóstym szybie.

Wszystko potoczyło się tak, jak przewidywałem: bez żadnych przykrych niespodzianek. Założyliśmy aparaty tlenowe i maski. Następnie, rozkręciwszy kurki przy butlach, by wzmocnić się lepszym

dopływem tlenu, naparliśmy energicznie na spoczywającą w przestrzeni kulę i przepchaliśmy ją w czasie pięciu minut do samej kraty. Rozparła pręty z głuchym zgrzytem i zanurzyła się powoli w głębi lustra. Coorez i Raniel rzucili się w ślad za nią. Przecisnąłem się tam ostatni. Nasi strażnicy chyba zasnęli pod drzwiami, gdyż żaden się nie odezwał.

Rozległe oko przestrzeni

Kret — pojazd gruntowy, którego czwarty i zarazem ostatni egzemplarz sprowadzono do służby remontowej na kondygnację zero, obok możliwości szybkiego ruchu w glebie zgodnie ze swym podstawowym przeznaczeniem przystosowany był do powolnego drążenia i utwardzania ścian kanałów w warstwie ziemi oddzielającej schron od jej powierzchni. Chociaż sam byłem pilotem przeszkolonym na jego makiecie, dowiedziałem się o tym dopiero od Raniela, który — tak samo jak Veis i Asurmar — potrafił nim kierować, ponieważ również był jego pilotem.

W kabinie zastaliśmy zapalone światło. Raniel był dobrze poinformowany: gotowy do drogi pojazd spoczywał już na łożu pochylni. Mogliśmy nim dotrzeć do pozostałych mieszkańców schronu (z pewnością nie odizolowanych od siebie międzysegmentowymi grodziami), aby z ich pomocą pośpieszyć z powrotem — na ratunek ludziom, których tu trawiły trzewia Mechanizmu. Wierzyłem najgoręcej, że zdołam zdobyć znane robotom środki do ożywienia martwego ciała Iny. W swych nadziejach mogłem liczyć teraz tylko na pomoc Raniela, gdyż Coorez martwił się wyłącznie o własną skórę. Po drodze wtajemniczyłem ich w sytuację Elty Demion.

Ulokowaliśmy się pośpiesznie we wnętrzu małego czworościanu. Raniel zasiadł na fotelu pilota i chwycił za dźwignie. Uruchomił pojazd bez żadnych trudności. Silnik buczał już ściszym basem; przez boczny wizjer widziałem ociekające smarami tryby podnośnika. Rolki objęły ze wszystkich stron walcowy korpus kreta i wprowadziły go gładko do tunelu. Była to dla nas chwila wielkiego odprężenia. Głęboką ulgę i poczucie zbudzonej pewności siebie przysłała mi jednak świadomość osamotnienia i cień Iny pozostającej gdzieś daleko za mną. Wróciłem myślami do czasu pierwszego naszego spotkania i ujrzałem się znowu w doskonałej ciemności pod włazem do kabiny kreta, kiedy to, słysząc spoza ściany głos uwięzionej kobiety, wahałem się na pochylni, czy zbliżyć się do niej, czy zgodnie z nakazem Mechanizmu udać się niezwłocznie w nieznaną podróż. Jakże inaczej potoczyłyby się losy i

wyglądałby teraz cały mój pobyt, gdybym się wtedy nie zdecydował na opuszczenie kabiny. Myślałem właśnie o tej nieuchwytnej granicy, która rozdzielała w mojej pamięci fikcję przeszłości zaszczerpioną mi przez Mechanizm od historii realnych zdarzeń, gdy pojazd wzniósł się pionowym tunelem do komory startowej, — gdzie zgodnie z zapowiedzią Raniela powinien oprzeć się na czopach amortyzatora.

— Hamuj! — rzuciłem przez złowieszczy zgrzyt trybów i odrywając oczy od wizjera, odblokowałem rygle wjazdu.

Ledwie jednak zdążyłem zanurzyć głowę w otworze, gdy zamiast spodziewanego wnętrza śluzы zobaczyłem wielką skibę przemielonej wirnikiem ziemi, która pod ciśnieniem — jak wyrzucona z katapulty lawina — trysnęła mi pod nogi. Nim następna porcja ziemi osunęła się przez wjazd do środka kabiny, zatrzasnąłem klapę i skoczyłem na pomoc Ranielowi. Domyśliłem się, że nie panuje nad sterami.

— Zmienili układ! — krzyknął. Ściągał do siebie wolant i kopał wściekle po sprzęgłach, ale bez żadnego skutku, gdyż nieposłuszny sterom silnik trząsał już całym kadłubem pojazdu i zatykał nam uszy wysokim skowytym pracy na najszybszych obrotach. Wszystko razem świadczyło wymownie o tym, w co wolałbym nie uwierzyć: kret zanurzył się już w gruncie i hartowanymi ostrzami wirnika wrzynał się coraz dalej — w głąb ziemi.

Po chwili zamieszania wszyscy trzej położyliśmy się zgodnie na zaklinowanej dźwigni. Nie można jej było ruszyć z miejsca. Złamała się w końcu przy samej nasadzie, lecz nie zdołaliśmy zatrzymać pojazdu. Opadłem bez tchu na podłogę przy czerwonym z wysiłku Coorezie; nic nie mieliśmy sobie do powiedzenia w owej groźnej chwili, bo choć nie znaleźliśmy przyczyny nieszczęsnej awarii, każdy dobrze sam rozumiał, do czego ona nas wkrótce doprowadzi. Byliśmy zupełnie bezbronni, ponieważ miotacz — opatrzony stemplami z desek — pozostał w mieście posągów pad stropem szóstego szybu. Walił się w gruzy gmach nadziei budowany przeze mnie dotąd.

Główny wał napędowy dygotał jak w febrze, przenosząc drgania na całą obudowę. Zdawało się, że hałas i wstrząsy nigdy nie ustaną; w takich warunkach nie mogliśmy się nawet porozumieć, gdyż słowa zagłuszał jednostajny ryk wirnika. Podróż do nieznanego celu nie miała końca.

Po godzinie jazdy błady jak płótno Coorez rzucił się z

niezrozumiałym okrzykiem do klapy wjazdu. Pewnie chciał ją otworzyć bez względu na okoliczności. Musieliśmy go odciągnąć stamtąd wspólnymi siłami i wtłoczyć przemocą za oparcie fotela. Gotował się do drapania skały własnymi zakrzywionymi palcami, byleby tylko uciec stąd i uniknąć spotkania z widmem nieokreślonej postaci Mechanizmu, który na pewno zajmował główne miejsce w sterowni gwiazdolotu. Po upływie kolejnej godziny wstrząsy ustały: widocznie kret, sterowany pokładowym automatem, przedarł się już przez litą skałę i wpełzł w miękką warstwę gruntu.

Patrzyłem na Raniela z niemym pytaniem na ustach. Z twarzą zalaną potem śledził w milczeniu ruchy wskazówek przyrządów pomiarowych. Zegary wprawiły go w zdumienie: Oderwał wzrok od licznika przebytej drogi i rzucił mi krótkie spojrzenie, tak wymowne, że nim wypowiedział na głos: „Czterysta metrów”, odczytałem to w jego rozszerzonych oczach.

— Buksuje w miejscu — jęknął Coorez słabym głosem. — Strzałki powściekały się już na samym początku.

— Niestety — Raniel odwrócił się do nas. — Niestety! A raczej należałoby wreszcie powiedzieć: na całe szczęście. One nas nie oszukują!

Podskoczyłem jak oparzony.

— Co pan chciał...? Więc my... Jak to? — jąkałem się z językiem między zaciśniętymi zębami, podczas gdy wszystko, cały skonstruowany mozolnie świat przewalał się we mnie na opak.

Obaj pomyśleliśmy równocześnie o tym samym, ale żaden nie śmiał jeszcze wypowiedzieć na głos takiej nedorzeczności. Coorez patrzył na nasz najwyższym napięciem. Pograżyło go ono nieomal w nabożnym osłupieniu.

— A ile...? — wystękał wreszcie. — Jaka...?

— Sześćset! — palnął Raniel. — Niech się pan nie denerwuje. W piasku prędkość jest trzy razy większa. Jeszcze tylko dwadzieścia minut cierpliwości.

Wszyscy zrozumieliśmy, na co się zanosi. Istotnie. Minał kwadrans, gdy wskaźnik obrotów świdra osadzonego na szczycie wirnika dał znać o zmianie oporu środowiska. Krzywa ciśnienia spadała gwałtownie do zera. Łopatki przy dyszy wylotowej kreta meły grunt dalej, jednak już pod malejącym obciążeniem, zaś górne noże zaczęły raptem śmigać ze zdwojoną prędkością. Dziób pojazdu ugrzązł w jakimś elastycznym

cieście. W tej samej chwili kret, mimo dalszej pracy wału napędowego, znieruchomiał ostatecznie.

— Co to?

Przez pół godziny wsłuchiwaaliśmy się w dobiegające z góry dziwne odgłosy. Odniosłem wrażenie, że wirnik wsysa się nieustannie w jakiś plastyczny miąższ. Przerabiał go na zbełtaną papkę, która kotłowała się wokoło kadłuba. Za szybą wizjera nadal panowała ciemność. Raniel zbliżył do niej oczy:

— Bagno? Sam już nie wiem, gdzie jesteśmy. — Po kilku minutach maszyna kreta uspokoiła się całkowicie. Widocznie wyczerpał się zapas paliwa. Zapadła głęboka cisza. Usłyszałem w niej szept Cooreza:

— Czarne mięso.

Raniel wzruszył ramionami:

— Nie histeryzujmy, panowie. Musimy opuścić kabinę tak czy owak. Czy decydujecie się na ryzyko? — Skinąłem głową. Było mi już wszystko jedno.

— Szkoda, że aparaty tlenowe zostały w służbie — powiedział Coorez. Nie odrywał oczu od sufitu.

— Trudno — rzekł Raniel. Twarz płonęła mu czerwienią. — Musimy obyć się bez nich. Ponad świdrem jest wolna przestrzeń. Inaczej ciągnąłby nas dalej. Za minutę otworzę klapę. Wykonajcie kilkadziesiąt głębokich wdechów i wydechów, w coraz szybszym tempie, aby natlenić płuca. A kiedy odblokuję właz i ropa buchnie do środka, złapcie duży haust powietrza. Nie zdołamy wydostać się na zewnątrz wcześniej, aż to świństwo wypełni większą część kabiny, bo dopiero wtedy nastąpi wyrównanie ciśnień.

Po minucie przygotowań, gdy od nadmiaru tlenu pociemniało mi już w oczach, usłyszałem ostrzegawczy krzyk:

— Uwaga!

Kłapa trzasnęła w osłonę z blachy. Na jej poprzednim miejscu ukazał się momentalnie gejzer skłębionej czarnej mazi. Zatrzymałem w płucach ostatnią porcję powietrza i zapadłem się w grząskiej ciemności. Fontanna zwała mnie z nóg. Trzymałem oburącz za uchwyt przy otworze wyjścia. Kiedy krótkotrwały prąd ustał, przecisnąłem się na zewnątrz.

Otoczał mnie lodowaty, rozmiękły muł. Znieruchomiałem w nim na

kilkanaście sekund, by zorientować się w przestrzeni. Góra była tam, gdzie mrok ożywiała nieśmiała szarość. Rozciąłem głową płat gliny i rozgarnąwszy grubą warstwę osiadłego mułu, spocząłem na dnie, które zalewała woda. Gdy wyciągnąłem nogi z wnętrza czarnej mazi, woda zaczęła wynosić mnie na powierzchnię. Było coraz cieplej i widniej. Leciąłem na spotkanie z lustrem.

Nagle runęła na mnie z góry oślepiająca lawina blasku: zobaczyłem słońce. Trwało nieomal w zenicie: pośrodku lazurowego nieba. Płynąłem wolno po gładkim zwierciadle jeziora, w którym odbijały się zielone drzewka. Park otaczał wodę wokół. Dalej — jak okiem sięgnąć, poza gęstymi zaroślami i kępami drzew wznosiły się białe tarasy, czarne łuki asfaltowych bieżni i rozrzucone pośród innych budowli wysmukłe wieżowce milionowego miasta. Tłum ludzi mrowił się na ulicach. Było upalne popołudnie.

Na powierzchni wody obok siebie dostrzegłem głowy Raniela i Cooreza. Razem z nimi popłynąłem do brzegu. Wbiłem zęby w murawę trawnika. Dopiero wtedy przestałem myśleć.

Leżałem w bujnej trawie, niedaleko brzegu, na małej polance, którą otaczały zarośla parku. Przez godzinę ukrywaliśmy się przed wzrokiem ludzi, w gąszczu jak dzicy. Kiedy pod palącymi promieniami słońca wyschły nasze zmiętoszone ubrania, moi towarzysze wychylili się ostrożnie spoza gałęzi i stanęli na skraju spacerowej ścieżki. Nikt nie zwrócił na nich uwagi; ośmieleni, wybrali się dalej — w głąb miasta.

Przedtem rozmawiali między sobą długo, z ożywieniem; zrozumiałem tylko jedno, co przeszło mi serce: „Jesteśmy w Kaula-Sud”. Podobno miasto kwitło od dziewięciu miesięcy w nie zmienionej postaci; reszta nie docierała do mnie. Przez cały czas nie odezwałem się ani słowem. Coorez nie zwracał na mnie żadnej uwagi, znał miasto, oddalił się w swoją stronę; Raniel obiecał, że wróci.

Mijały godziny. Słońce przesunęło się w stronę zachodu, ale jeszcze stało wysoko. Wiatr przygnał ciemne chmury. Spadł krótkotrwały, ulewny deszcz. Potem znowu zaświeciło słońce. Nie ruszałem się z miejsca. Chyba jednak nie myślałem o niczym, choć świat w jego rzeczywistej, stereo-wideofonicznej postaci widziałem, słyszałem i czułem dopiero po raz pierwszy w życiu. Niebo było czyste, błękitne i

głębokie aż do bólu w oczach. Powietrze falowało ponad rozgrzanyymi powierzchniami, drzewa szumiały liśćmi, jedne były dalej, inne bliżej, słyszałem głosy, ubranie parowało na mnie, mrówka dźwigała patyczek, chciałem poczuć gorzki smak liścia, gdzieś daleko na wzniesionych ponad ulicami autostradach piszcząły opony samochodów, wiatr chłodził mi policzki, woda marszczyła się, patrzyłem na żdźbła trawy, ale byłem ślepy, bo spod tego wszystkiego, co niósł z dala i z bliska blask rozległego nieba, wychylały się wciąż te same oczy, jej postać w letniej sukience i twarz obramowana czernią głuchej, rtęciowej nocy.

Potem ponownie pojawiły się chmury: zawisły nisko i wysoko, w kilku skłębionych warstwach. Przedzierało się przez nie mętne, szare światło, ściany domów przygaśły, zlały się kontury — cała okolica zaróżowiła się po raz ostatni i posiwiła posępnie. Było mi zimno. Zwinąłem się w kłębek: Padał drobny deszczyk, więc dzwoniąc zębami, ukrywałem twarz w trawie. Trzymałem przy sobie jej lodowate ciało; nie mogłem, nie chciałem wypuścić jej z rąk.

Raniel wrócił późno, o zmierzchu, kiedy wypogodziło się jeszcze raz: Przyniósł ze sobą małą walizkę. Rozpakował garnitur. To ubranie — dziwna rzecz — przywołało w mej pamięci jakiś zamglony obraz: tak jakbym je już gdzieś kiedyś widział:

— Byłem w swojej kawalerce przy Dziewiętnastej Ulicy — zaczął. — Niech pan sobie wyobrazi: dozorca domu przeraził się na mój widok. Takim wzrokiem patrzy się na zjawę. Musiałem mu przysiąc, że czwartego czerwca nie zjechałem do schronu. Opowiedziałem mu bajeczkę o przyjacielu, u którego mieszkałem przez cały czas, wtedy otrzymałem klucz. Krótko mówiąc, oni są przekonani, że schron pozostał na Ziemi!

Milczałem.

— Tak! — wykrzyknął, śledząc mnie spod oka z wyrozumiałą miną. — Ja też w pierwszej chwili zbaraniałem. Ale zaraz zastrzelę pana zdumiewającymi nowinami. Proszę tylko, niech pan najpierw zrzuci z siebie te parujące łachmany, bo deszczu już dziś nie będzie. Widziałem tabele: wszystko toczy się tutaj według ustalonego planu.

Czułem dreszcze. Podniosłem ubranie i stanąłem za krzakiem. Mówił dalej, nieskładnie, to z fascynacją, to znów z odcieniem niepokoju w głosie, jednym tchem:

— Otóż, żeby dłużej nie nadweręzać pańskiej świętej cierpliwości, zdradzę od razu całą tajemnicę, chociaż właściwie należałoby opowiadać w takiej kolejności, w jakiej sam poznawałem fakty, więc najpierw po mojej wizycie w czytelnicy, gdzie poprosiłem o gazetę z czwartego czerwca i o kilka innych, bo nie chciałem zadawać głupich pytań napotykanym ludziom, potem o wycieczce za miasto, gdzie wznosi się niebotyczna szyba, wreszcie o karmniku centralnym, który minąłem w powrotnej drodze. Całe wielkie miasto zostało porwane z powierzchni Ziemi!

— Całe miasto — powtórzyłem z roztargnieniem. Przebierałem się szybciej. O coś jeszcze chciałem go zapytać. Był taki dobry.

Trącił mnie pięścią, gniewnie, z największym podnieceniem.

— Czy pan aby dosłyszał? Toż mówię wyraźnie, że Kaula-Sud w jednej bryle ze schronem, który został zbudowany na głębokości sześciuset metrów, wędruje również w tym samym pudle przez mroki galaktycznej próżni. A jaki gigantyczny lej pozostał tam — na dalekiej dziś Ziemi, gdy nocą, w chwili łagodnego wstrząsu, dokładnie o trzeciej dziewiętnaście, jak piszą, unieśliśmy się wszyscy — oni razem z nami!

Dygotał. Wiedziałem, że kiedy wyrzuci już wszystko z siebie, oklapnie jak te mokre szmaty, co je właśnie upuściłem w piach. Bo od kilku godzin jedna tylko myśl trzymała go na nogach: że ja jeszcze nie wiem, ostatni spośród wszystkich, którzy tu istnieli.

Było mi go w końcu żal. Ja nie z tego powodu cierpiałem: obce miasto nie przemawiało do mnie żadnymi wspomnieniami, on zaś po cudownym ocaleniu, z myślami przepełnionymi radością i życiem poszedł lekko na spotkanie ludzi i swojej wieloletniej przeszłości, która mu ubiegła wśród tych jasnych murów, a wracał rozbity, z takim samym ciężarem, jaki dźwigaliśmy w głębinach ziemi przez dziewięć mrocznych miesięcy. Wyciągnął strzęp starej gazety.

— Tu jest wszystko czarne na białym — podjął. — Wyrwałem to w czytelnicy, ukradkiem, żeby panu pokazać. W takiej skali — czytał na głos — miasto nasze, nawet z grubą warstwą ziemi pod wszystkimi instalacjami, to zaledwie plasterek o średnicy dwóch centymetrów i grubości co najwyżej jednego milimetra naklejony na modelu globu ziemskiego o średnicy prawie trzynastu metrów. Z pewnego punktu widzenia zatem... tfu! — splunął. — Chwileczkę, co innego chciałem panu przeczytać.

Ręce mu drżały. Obracał w palcach — zadrukowany papier. Wskazałem na niebo:

— A co to? — Zadarł brodę.

— Niech pana oczy nie mylą. Niestety: to miraż. Przeczytałem obszerny artykuł na ten temat. Ruchomy obraz stereoskopowy — to wszystko. Miasto nakrywa wielka, hermetycznie zatrzaśnięta kopuła w kształcie zbliżona do półkuli o promieniu dziesięciu kilometrów. Cały obraz nieba, czystego albo pochmurnego, ze słońcem w ciągu jasnego dnia i z gwiazdami nocą rzuca na kopułę z tamtej strony jakiś ukryty projektor. Tylko opady są rzeczywiste. Do godziny czternastej pogoda jest wyśmienita. Deszcze, mgły i przeciągi wdmuchuje pod ten balon automat nastawiony na jednodobowy program. Nikt tu nie wie dokładnie, jaki jest mechanizm tych zjawisk, ale zmiany pogody powtarzają się cyklicznie. Można według nich regulować zegarek. Powietrze jest czyste, a wegetacja roślin, jak w naturalnych warunkach ziemskich, przebiega bez żadnych zakłóceń. Ludzie też ubierają się i odżywiają bardzo dobrze: codziennie o oznaczonej porze wszystkie samochody z taboru obsługi dawnych sklepów spożywczych i domów towarowych podjeżdżają do nieprzekraczalnej granicy, która wielkim pierścieniem otacza całe miasto, aby załadować i rozprowadzić po lokalnych magazynach całą masę towarową przygotowaną tam już przez *kogoś* i niezbędną do utrzymania przy dostatnim życiu ludności wielkiego miasta. Pokrywy ukrytych w ścianie jam otwierają się automatycznie. Wysuwają się z nich sterowane na odległość wielkie kontenery. Ofiarowany miastu ładunek jest zawsze najlepszej jakości. Mieszkańcy otrzymują codziennie doskonałe produkty żywnościowe, które prawie niczym nie różnią się od rodzaju zaopatrzenia według starej listy asortymentów. Mężczyzna, którego zagadnąłem na miejscu, wyrażał się o jamach nie bez szczypty gorzkiej ironii: nazywał je karmnikami. Również znajdowane tam w nadmiarze przeróżne wyroby przemysłowe pod każdym względem odpowiadają samodzielnej produkcji miasta przed dziewięcioma miesiącami; nie przekraczają dorobku cywilizacyjnego naszych czasów. Autorzy obszernej analizy tego tematu, którą zabrałem ze sobą z biblioteki i przekartkowałem w metrze, odnoszą wrażenie, że ich ukryci wytwórcy nie chcą popisywać się przed swymi więźniami żadnymi zdobyczami wyższej technologii. Rury

gazowe, wodociągowe i kable sieci elektrycznej oraz wszystkie inne instalacje pod- i nadziemne podłączone zostały do ukrytych poza granicą źródeł energetycznych już w nocy czwartego czerwca ubiegłego roku, więc tuż przed startem. Mieszkańcy miasta mają teraz w nadmiarze to wszystko, co mieli kiedyś na Ziemi prócz samej wolności. No i prócz wiedzy, co się z nimi stanie w niedalekiej przyszłości, może po upływie kolejnych dziewięciu miesięcy, jeżeli z ruchu jednostajnie przyspieszonego przejdziemy bezpośrednio w ruch jednostajnie opóźniony o takiej samej bezwzględnej wartości przyspieszenia. Czytałem wzmiankę na ten temat. Celu nikt się nawet nie domyśla, bo nikt nie zna kierunku lotu; można tylko obliczyć jego zasięg w przypadku, gdyby znano prędkość końcową na pierwszym odcinku drogi i czas lotu jednostajnego.

— Wspomniał pan o granicy miasta — przerwałem. — Czym ona właściwie jest, co ją tworzy?

— Byłem przy niej. Granica jest niewidzialna. W dotyku przypomina doskonale przejrzystą szybę. Żaden świder nie zdołał jej jeszcze zarysować. Rozcina równo, jak brzytwą uciął, pola i lasy podmiejskie. Widać poza nią doskonale wierny, trójwymiarowy, barwny i ruchomy obraz krajobrazu okolic miasta, jaki otaczał je kiedyś na Ziemi. Ekipy pracujące tam od samego początku nie dokopały się jeszcze do dolnej krawędzi szyby. Górnej nie ma, gdyż przejrzysta powierzchnia przechodzi łagodnie w łuk niebotycznej kopuły. Kilka helikopterów roztrzaskało się już o to wieko. Inne badają nadal...

— Czy miasto odbudowano z gruzów? — Podskoczył.

— Właśnie! — wykrzyknął. — Byłbym zapomniał o tym. Otóż nie! Bo nie było żadnej katastrofy.

— Więc nic się wtedy nie stało?

— Nic, najzupełniej.

— A wielka świetlana kula, która spadała wolno z góry? Czy nie zmiażdżyła domów?

— Zaraz to panu jasno wyłożę. Ale oto coś na pokrzepienie: płody naszych niewidzialnych opiekunów. Pieniądze tutaj — rzecz prosta — nie istnieją. Bo i po co? Zabrałem te zapasy z półki sklepowej, swobodnie, jakbym czerpał z własnej spizarni. Nie ma sensu już dłużej się głodzić.

Otworzył walizkę.

— Nie było żadnej katastrofy — powtórzył. — Ja również zadałem sobie to pytanie, gdy sięgałem po pierwszą gazetę. Znalazłem w niej proste wytłumaczenie zjawiska. W tej jednej przynajmniej sprawie nie było tu od pierwszego dnia żadnych tajemnic. Jak panu zapewne wiadomo, wielki gmach wytwórni Plastichal-Experiment położony jest dokładnie w centrum miasta.

Przerwał i sięgnął do walizki po kolorowe kanapki. Jadł z wielkim apetytem.

— Wprawdzie nic nie wiem o samym gmachu ani o jego położeniu — odezwałem się — ale o tym porozmawiamy innym razem.

— Otóż owej pamiętnej nocy — przełknął — ...o godzinie drugiej czterdzieści pięć, czyli na dwadzieścia minut przed alarmem, sterowana z góry pierścieniowa gilotyna odcięła równo wszystkie przewody, rury i kable wysokiego napięcia dookoła całego miasta. Z tego powodu w jednej chwili pograżyło się ono w głębokiej ciemności. Lecz pracująca całą dobę wspomniana już wytwórnia posiadała zabezpieczenie na wypadek przerwy w dopływie prądu. Włączyły się więc automatycznie jej własne źródła energetyczne. Pech chciał, że system był zaniedbany, gdyż nie używano go już od kilku lat, a konserwacji ktoś tam nie dopilnował. W podziemiach nastąpiła niewielka eksplozja. Ogień przerzucił się na rozrzucone niedbale łatwopalne materiały i zaczął się błyskawicznie rozprzestrzeniać. Pożaru nie udało się zlokalizować. Już o godzinie trzeciej zatłoczone różnymi wyrobami wewnątrz hali, którą otaczał okrągły mur nakryty szklanym dachem, rozżarzyło się jak palenisko hutniczego pieca. Oczywiście, nic by z tego nie wynikło, prócz znacznych strat materialnych, gdyż wszyscy pracownicy nocnej zmiany zdążyli stamtąd uciec — gdyby nie zaszedł kolejny zbieg okoliczności.

— Kopuła?

— Zgadł pan. Właśnie o niej teraz będę mówił. Ale może wystarczy na dzisiaj świeżego powietrza. Widzę, że ma pan niezdrowe wypieki. Czy to nie grypa? Wstańmy już. Odwiedziłem też siedzibę władz miejskich. Zapoznałem ich dokładnie z sytuacją mieszkańców schronu. Trudno im było uwierzyć, że również schron znajduje się w ładowni statku galaktycznego i wędruje razem z nimi zagrzebany w ziemi aż na takiej głębokości. Żaden z kretów nie ukazał się tu na powierzchni, zaś kanały na całej swej długości zostały zamurowane już przed wstrząsem ze

względów wojskowych, co razem z brakiem kontaktu radiowego dawało im pewność, że schron został na Ziemi. Burmistrz naznaczył naradę na godzinę dziesiątą jutro rano. Będziemy na niej, aby uzupełnić nasze informacje. Wie pan, oni rozważali tu jeszcze jedną możliwość: ruch obrotowy całego miasta wokół osi równoległej do powierzchni ziemi. Wtedy również — jak przy ruchu jednostajnie zmiennym postępowym — przy promieniu o długości dajmy na to, stu kilometrów i prędkości po okręgu równej jednemu kilometrowi na sekundę, mielibyśmy tu reakcję odśrodkową zbliżoną do ciężaru na Ziemi i — co za tym idzie takie same przyspieszenie ziemskie. Ale cel takiego wirowania w jakimś obszarze przestrzeni wydaje się niedorzeczny, nie mówiąc już o tym, że wszystkie piony w mieście — co stwierdzono z całą pewnością — są do siebie dokładnie równoległe, co znów automatycznie taką możliwość wyklucza. Teraz zapraszam pana do swojego pokoju.

— Prawdę mówiąc, mam dość wszelkiego rodzaju pokojów. Przynajmniej w tej chwili. Myślę wciąż o korytarzach schronu.

Uśmiechnął się smutno.

— Rozumiem i podzielam tę niechęć. Ale już znalazłem odpowiedni akapit.

Pochylił głowę nad gazetą. Miażdżyło mi myśli beznadziejne pytanie: czy *oni* pozwolą mieszkańcom miasta na drażnienie sześćsetmetrowego szybu.

— Olbrzymia czasza kulista, której promień krzywizny wynosi dziesięć kilometrów, a wysokość liczona od środka miasta do wierzchołka czaszy jest równa połowie tej odległości — czytał wolno — nakryła szczelnie całe nasze miasto, odcinając je od świata kręgiem, który przy samej ziemi ma średnicę siedemnastu i trzech dziesiątych kilometra. Około godziny trzeciej w nocy wewnętrzna powierzchnia czaszy zdradzała cechy typowe dla zwierciadła kulistego wklęsłego o pięciokilometrowej odległości ogniskowej. Nikt go wcześniej nie zauważył. Nim spoczęło ostatecznie na swoim obecnym miejscu, wisiało przez kilkanaście minut w mrocznej przestrzeni, osuwało się wolno w dół podtrzymywane nieznanymi siłami. Jego ognisko optyczne wpadło przez szklany dach w obręb murów rozzarzonego budynku wytwórni, która znajduje się dokładnie pośrodku miasta na nieco wzniesionym terenie, i przesunęło się dalej w głąb ziemi. Przez cały ten czas w mieście

panowała nieopisana groza. Widzieliśmy odbity w zwierciadle i wielokrotnie powiększony pozorny obraz okrągłego wnętrza płonącego budynku. Tym, którzy wyrwani ze snu wyglądali przez okna lub wybiegli na ulice i patrzyli do góry, nasuwało się nieodparte wrażenie, że na miasto leci z czarnego nieba olbrzymia rozżarzona kula. Przywoływała ona myśl o kosmicznym globie. Widać ją było pod kątem dwanaście razy większym niż z Ziemi oglądana jest tarcza Księżyca.

Cisnął gazetę pod nogi, rozjątrzony, z długo hamowaną złością, która zakipiła w nim nagle, pojawiając się zamiast spodziewanego załamania. Miał pewnie w oczach grozę tamtej nocy.

— Więc wszyscy siedzimy pod kloszem — zauważyłem melancholijnie.

Chciałem przygłuszyć w nim bolesną świadomość faktu, że ucieczka do schronu i cały pobyt w jego posepnych murach były tyleż żałosne, co i najzupełniej daremne.

— Otóż to! — pochwycił gniewnie. — Utrafił pan w samo sedno: nie pod czaszą kulistą, jak ją tu uczenie nazywa dziennikarz, ale pod najzwyczajszym, ordynarnym kloszem! Siedzimy tutaj tak samo jak mrówki na stole testowym w jakimś laboratorium odruchów — pod szklanką odwróconą do góry dnem, która sterowana zdalnie i zabezpieczona przez wysoce sprawne, samouczące się i samonaprawcze systemy cybernetyczne niesie nas na odległy operacyjny stół. Zachodzi tu pełna analogia.

Wstał.

— Do godziny dziesiątej rano, na którą zwołano nadzwyczajne zebranie Rady Miejskiej, mamy jeszcze dużo czasu. Możemy teraz wstąpić na kolację do jakiejś restauracji. Proponuję najbliższą — wskazał ręką kolorowy neon przy białej ścianie wieżowca stojącego nie opodal na skraju parku. — Kiedyś często tam bywałem. Restauracja znajduje się na czterdziestym piętrze. Można stamtąd oglądać panoramę miasta.

Nadistoty

Siedzieliśmy przy stoliku pod oknem, w obszernym i prawie pustym o tej porze lokalu efektownie urządzonej restauracji, do której zaprowadził mnie Raniel. Po kolacji, kiedy pogrążeni w myślach paliliśmy papierosy nad filiżankami kawy, patrząc w dal przez panoramiczną szybę na labirynt reklam, Raniel wskazał mi sąsiedni stolik, gdzie leżał plik gazet i kolorowych czasopism.

— A wie pan, czym dziś — w tych okolicznościach zajmują się tu niektóre z bardziej aktywnych periodyków? — spytał.

— No?

— Dokładnie tym samym, czym zajmowały się niegdyś: starym jak świat i niezwykle doniosłym wybrzydzeniem. Grymaszą więc, że masło tak jakby odrobinę nieświeże, zaś alkohole, choć przednie, jednak w niedostatecznej ilości, a to znów że typy i linie samochodów zmieniają się zbyt wolno w stosunku do potrzeb, ale niechby tam... Najbardziej mierzi niektórych nudny program telewizyjny: jest ponoć za mało rozrywkowy. Nie muszę chyba panu dodawać, przez kogo ten program jest emitowany.

— Czy nikt tu nie próbuje rozwiązać tajemnicy?

— Tego nie powiedziałem. Pewna liczba osamotnionych ludzi miota się nad nią we dnie i w nocy, chcieliby przynajmniej zrozumieć, jeśli nie ma już żadnego ratunku. Lecz zdaje się, że uspokoją ich tu niebawem ostatecznie. Jak donosi dzisiejsza prasa, wczoraj wieczorem — podczas swych badań pod kopułą — wywołali oni niechcący długotrwałą przerwę w odbiorze telewizyjnym, co zepsuło krew namiętным zwolennikom programu. Nadeszło więc do władz miasta kilkaset tysięcy stanowczych protestów i zanosi się na wielką awanturę.

— Tradycja — widać — silniejsza jest od czasu i przestrzeni. Lecz czy zobojętnienie nie jest jedną z form samoobrony?

— Niech pan ich tylko nie bierze pod swe opiekuńcze skrzydła! — obruszył się. — Tradycja to najbardziej nudna ze wszystkich form wyrażania impotencji. Czyż nie mawialiśmy zawsze z dumą: „człowiek współczesny”? A zapominamy o najbardziej elementarnej wiedzy wyniesionej z podręcznika biologii: że współcześnie egzystują obok

siebie na jednej Ziemi potomkowie prawie wszystkich gatunków, przez jakie w czasie trzech miliardów lat przeszła kolejno niezmordowana ewolucja, poczynając od koacerwatów i pierwotniaków, nim doprowadziła wreszcie do tej postaci człowieka, którą szcycimy się dziś. Egzystują równolegle, powtarzam. Więc współczesnymi są bezkrytycznie wszyscy ci, którzy żyją akurat dzisiaj — dosłownie w tej chwili? To ich wszystkich bez wyjątku mamy na myśli, gdy wyrażamy się z dumą: „ludzie dwudziestego wieku”?

— No, raczej nie.

— Powiem panu otwarcie: może to nie ma żadnego sensu, ale teraz — w przededniu śmierci — jest mi już tylko bezgranicznie...

— Wstyd?

— Tak! Gdyż czuję się głęboko upokorzony. Wstydzę się za nich przed... tamtymi. Bo kiedyś — na Ziemi — wyobrażaliśmy sobie: porozumienie i współistnienie. W najgorszym razie — wojna światów. A co tu mamy? Korytko, karmnik. I rozkwiczany konsumpcyjny tucz. Taka to wojna światów!

— Jednak oni są bezsilni tak samo jak my.

— Ależ to nie o to chodzi, by tłuc głową w mur, lecz aby zachować przynajmniej samą godność! Czytałem, że już pierwszego dnia, o świecie, rozważano pośpiesznie rozpaczliwy projekt przebicia wyłomu w kopule przy pomocy zmasowanego uderzenia ładunków termojądrowych. Decyzja jednak nie zapadła. I nie można mieć o to żalu do władz. Nikt nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za wynikłe z niej nieobliczalne konsekwencje po pierwsze dlatego, że wszyscy zdawali sobie sprawę z olbrzymiej przewagi technologicznej, jaką oni mają bez wątpienia nad nami, a po wtóre z tego powodu, że doniesiono już w tym samym czasie o nieznacznym wzroście przyspieszenia ziemskiego, którego zmiany nie można było wytłumaczyć inaczej — tylko postępowym i jednostajnie przyspieszonym ruchem całego miasta. Co by to dało w najlepszym razie, gdyby ludzie zobaczyli przez wybitą dziurę gwiazdy prawdziwego nieba? Najpierw groziłaby wszystkim pewna śmierć na skutek rozhermetyzowania pancerza rakiety w warunkach kosmicznej próżni. Ponadto nikt nawet nie wyobrażał sobie realizacji tak skomplikowanego zadania, jakim byłaby — przy stanowczym oporze automatów — próba sprowadzenia miasta z powrotem na Ziemię, więc próba lądowania

niezwykle łagodnego, bez żadnej absolutnie znajomości systemów cybernetycznych, przy pomocy których oni podnieśli nas w niebo. Obecnie można się tylko domyślać, że nasz ruchomy układ jest fotonolotem. Na pewno jednak jego rzeczywisty kształt nie ma nic wspólnego z naszymi najśmielszymi wyobrażeniami na ten temat. Uczeni w swych artykułach wyrażają się lakonicznie i sucho. Dam przykład.

Rozprostował jedną ze swoich gazet.

— Jak to wynika z uogólnionego równania Ciołkowskiego — czytał — aby rozpędzić fotonolot do znanej prędkości podświetlnej i następnie zahamować go całkowicie u celu, trzeba by przygotować przed lotem taką masę ładunku i paliwa, żeby stosunek masy użytecznej, to znaczy końcowej; do masy startowej równy był kwadratowi stosunku jedności do dwudziestu jeden tysięcy sześciuset. Nie ma żadnych teoretycznych przeszkód fizycznych, które by uniemożliwiały dokonanie lotu kosmicznego na tak gigantyczną skalę; nam tylko — ludziom dwudziestego wieku — wydaje się on fantastyczny.

Patrzyłem w dół — w ciemność ożywioną blaskami tysięcy światła.

— Przez pięć bitych godzin włóczyłem się po całym mieście — podjął — pieszo lub szybkobieżnym metrem; przerzuciłem stos aktualnych czasopism, zaglądałem do książek, wstępowałem do domów towarowych i do magazynów mody, sterczałem przed ekranami telewizorów i rozmawiałem z ludźmi — wszystko po to, aby się zorientować, czym oni tu właściwie żyją w swej głównej liczbie i gdzie kierują wszystkie swoje myśli. Widzi pan, jakie tutaj jeżdżą eleganckie samochody? Karoserie to prawdziwe cacka, a w środku komfort, którego kontemplacja wywołuje uczucia graniczące z zażenowaniem. Dowiedziałem się więc, że co dzień długi sznur pękatek ciężarówek transportowych wywozi za miasto do zsypu anihilacyjnego razem z odpadkami tysiące sprasowanych w małe kostki wozów, które poprzedniego dnia porzucili na ulicach w najlepszym stanie ich rozkapryszeni właściciele, setki tysięcy nieuszkodzonych lodówek, tyleż najzupełniej nowych i estetycznie wykonanych odbiorników telewizyjnych, wideofonów, magnetowidów, nieskazitelnych mebli, wysokie sterty eleganckich garniturów i najprzeróżniejszych szalowych kreacji damskich, których jednodniowi właściciele nie zdążyli nawet wygnieść, ba — często choćby włożyć na siebie, ale odrzucili je z

niesmakiem jak zdarte łachy, bo już mieli inny fason w głowach. Wybrałem się tam, gdyż usłyszałem przypadkiem, że akurat nadchodzi pora wywożenia śmieci, a jak wiadomo, po odchodach najlepiej można poznać chorobę pacjenta. Było to niesamowite widowisko. Stałem tam jak urzeczony, sam jeden jak palec, pośród opróżnianych automatycznie ładowni i patrzyłem na te znikające góry, które bardziej mi przypominały stosy luksusowych produktów, dopiero co zjeżdżające z taśm produkcyjnych niż wzgardzone odchody rozleniwionego miasta. Dało mi to do myślenia więcej niż najbardziej uczone analizy systemów gospodarczych. Wiem, co to jest głód prawdziwy, ale też dostrzegam głód urojony. Dowiedziałem się więc wtedy, w czasie zaledwie jednego kwadransa, że owe sławetne minimum, o którym bajdurzyliśmy z nadzieją kiedyś — to fikcja, wierutna bzdura, ponieważ w dziedzinie konsumpcji rzeczy nic nie jest w stanie zadowolić ostatecznie człowieka ani zatkać jego przepastnych trzewi: wrota tak zwanych elementarnych potrzeb rozciągają się stąd — do nieskończoności.

— A w jaki sposób został rozwiązany i czy w ogóle istnieje problem sprawiedliwego podziału całej masy towarowej?

— Wiem coś na ten temat. Otóż mimo opisanego już dobrodziejstwa cudownej samoprodukcji i znacznego nadmiaru luksusowych wyrobów problemy „elementarnych potrzeb” razem ze wszystkimi (wcale nie urojonymi) napięciami społecznymi, jakie one przy swym cudzysłowie wywołują — utrzymują się wciąż na starym poziomie. Jak zdążyłem się już zorientować, kolej rzeczy jest tu następująca: połowa, a bywa często, że aż dziewięć dziesiątych całego ładunku wytłaczanego przez komory zaopatrzeniowe wędruje zaraz najkrótszą drogą — prosto do zsypu, opróżnianego co dzień cierpliwie przez naszych niezmordowanych dostawców, zaś o najbardziej cenną resztę toczą się tu przewlekłe spory, rzadko kiedy rozstrzygane bez ukrytej lub całkiem otwartej walki, której odrażające przejawy dostrzegałem na każdym kroku. Dzieje się tak po prostu dlatego, że przy znanej dobrze powszechnej chęci wyróżnienia się, choćby i najbardziej płaskimi metodami, przy trwałym nastawieniu na walkę konkurencyjną, która ze starych zabiegów o wysokość kont po zlikwidowaniu pieniądza przesunęła się bezpośrednio na walkę o rzeczy, na żądę posiadania egzemplarzy towarów z możliwie najkrótszych serii — nikt nawet nie raczy sięgnąć ręką po tamte zbyt masowe wyroby, gdyż

są to — jak się tu mówi o większości doskonałych skądinąd artykułów — kawałki ograne aż do obrzydliwości. Czy my nie znamy historii własnej cywilizacji i czy jak grom z jasnego nieba spada na nas to banalne odkrycie, że pierwociny obserwowanego tutaj zjawiska lub fenomenu, jak kto woli, sięgają aż mrocznej starożytności i że rozwijały się one przez wieki postępu technicznego. potęgując się zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach? Więc dlatego właściciel wysokiego konta — czyli wzór do naśladowania w świadomości ogółu — trzyma w szafie czterdzieści wyszukanych garniturów, by okryć się nimi na wypadek chłodnej jesieni? Więc tylko z tego powodu milioner za czek a wieloma zerami każe sobie podać na talerzu nadziewane wymyślnymi frykasami specjalnego chowu mrówki i złotymi widelczykami dłubie je przez godzinę, ku uciechu zblazowanego towarzystwa, by zaspokoić prawdziwe uczucie głodu? Nie ukrywajmy tego przynajmniej teraz: przecież ci ludzie byli zawsze naszymi ideałami. Wielbiliśmy ich za to w każdym razie, że przytłaczali nas mocą nabywczą pieniądza i rozpalali nasze ambicje. A czy nie wie pan tego od dziecka, że granica między głodem rzeczywistym a wyszukaniem (dla ujścia nadmiaru energii) podnosi się razem ze wzrostem materialnego dobrobytu dokładnie w takim samym tempie, w jakim rośnie ów dobrobyt?

— To przynajmniej nie należy do tajemnic.

— Jest więc stary jak świat konflikt, bo choć rosną ustawicznie same potencjały, to ich różnica — napięcie, do którego pomiaru sprowadza się zawsze każdy akt postrzegania, wcale się nie zmienia i zamiast paść twarzą w proch przed ołtarzem systemu gnijących wartości daremnie by pan to komu tłumaczył, że on nie istnieje, gdyż w warunkach całkowitego nasycenia „elementarnych potrzeb” nie powinien się w ogóle wyłonić. Każdy konflikt, niezależnie od rodzaju wywołujących go przyczyn — sam w sobie — jest zawsze prawdziwy, tak jak prawdziwe są ból i rozpacz wariata, chociaż przyczyna wydaje się nam absurdalna. Kiedy jeden biegun zostawimy na dalekiej Ziemi, w sytuacji tylko ilościowo odmiennej, a drugi wetkniemy w to dziwaczne gniazdo, strzałka wskazująca różnicę potencjałów wychyli się bardzo daleko. I nie będziemy w stanie pojąć motywów rozgrywającego się tutaj szaleństwa. Ale gdy staniemy tylko między nimi, nogą obok nogi, by zgodnie z ich ideałami człowieczeństwa żyć przez kilka miesięcy wśród tych samych

problemów — spadnie powoli olbrzymie napięcie wywołujące dziś zawrót głowy, zaś pozostała różnica potencjałów pchnie nas zapewne w kierunku codziennej gorączkowej szarpaniny wokoło potrzeby podniesienia indywidualnego „dobrobytu”, więc na tę samą wyścigową bieżnię — w objęcia tego samego kultu.

— Zdaje się, że dzięki pana wędrownce po mieście mam już dokładny obraz kształtującej się tu sytuacji.

— Oj, długo nam jeszcze przyjdzie śledzić jej pocieszne i tragiczne szczegóły! Wspomniałem już raz o „najbardziej cennej reszcie”, która w tym niemożliwym do wyobrażenia kotle codziennych wpływów i odpływów, po odrzuceniu rzekomo bezwartościowych buble, pozostaje do „sprawiedliwego podziału” między „najbardziej potrzebujących”. Siłą rzeczy — niech pan przyzna, że to nieuniknione — ktoś w końcu musi się zająć wyładunkiem towarów z komór aprowizacyjnych i ich dostawą do lokalnych domów towarowych, tak samo jak segregacją — bo inaczej powstałby tumult przy źródle i większa część delikatnych artykułów zostałaby tam stratowana. (Uwaga: ja wciąż mówię o ludziach z naszą mentalnością). Wyłania się więc automatycznie potrzeba stworzenia grupy porządkowej, zatem aparatu administracyjnego, który — choć ma tu zupełnie inną nazwę jest w swej istocie starą odmianą władzy. Ale o względy władzy można zabiegać, podobnie jak można uczynić wszystko, by jej słodkie przywileje spłynęły akurat w nasze podstawione chciwie ręce. Zainteresował pana problem sprawiedliwego podziału. Najpierw trzeba wiedzieć, że elementarna potrzeba dla tutejszego mężczyzny (już bez cudzysłowów, gdyż nasi konsumenci nie znają i się na tego rodzaju żartach) — to paląca konieczność zdobycia wozu o nieco odmiennej linii, niż mają jego sąsiedzi, szczególnie udanej kamery filmowej lub telewizora o najbardziej modnej w danym tygodniu skrzynce, a dla kobiety...

Umilkł i rozłożył szeroko ręce.

— ...tu zmieniam się w ciszę grobową — ciągnął dalej po dłuższej przerwie — bo już dostrzegam, jaka nawałnica najskrytszych tęsknot przewala się przez rozpalone umysły i nie chciałbym przysłać panu szerokiego pola wyobraźni: przez ile działów, stoisk, salonów i magazynów potrafi przebiec najśłabsza kobieta i ile tysięcy par butów zmierzy ona celnym i krytycznym okiem, nim wreszcie wybierze tę

jedną, najwłaściwszą i pożądaną, by jej mniej wytrwałej koleżance wyszły na wierzch oczy? Stare jak świat wymagania mody wyznaczają kierunek niezmordowanego biegu, a ona zmienia się tu z tygodnia na tydzień — inaczej nie byłaby modą. Nowinki ukazują się od czasu do czasu „w niedostatecznej ilości” i nie ma oczywiście mowy o tym, aby wszyscy mogli nimi zawładnąć równocześnie. Idą więc w ruch specjalne zabiegi, subtelne umizgi, stosunki, protekcje i znajomości w lokalach władz porządkowych, ale najczęściej zwyczajne, choć wspomagane inteligencją i wiedzą — łokcie i kopniaki, najprzeróżniejsze sztuczki zręcznościowe, kiwania i przetasy, chody i zwarcia na szybkość i na wytrzymałość. Ale co to jest wartość rzeczy? Zdefiniuję ją krótko: jest to coś, o czym w ogóle nie można mówić, gdy się tę rzecz wyrwie z całego jej tła i odrzuci daleko — w próżnię. Nasi strażnicy i opiekunowie znają doskonale psychologię ludzką. W przekąsnikach podawczych ukazują się więc obok długich serii towarów lekceważonych tu systematycznie — serie bardzo krótkie, niekiedy egzemplarze niepowtarzalne. Są to najbardziej pożądane i apetyczne kąski. A czemuż to tak się dzieje, no, niech pan aby zgadnie? Po co oni ciskają nam tutaj do środka te kości niezgody? Przecież wyłącznie dla rozruchu i sprawnej przemiany materii! Przecież po to tylko, by podtrzymać zawleczonej z Ziemi kwik konsumpcyjny, aby stworzyć najbardziej racjonalne warunki tuczu trzeciej generacji i ustawicznego wiru spożywczego, bez którego nigdzie w pełni nie moglibyśmy żyć. No bo gdyby wszyscy z konieczności jedli i ubierali się dokładnie na jedną modłę, gdyby wszyscy w jednakowo urządzonych mieszkaniach zgromadzili identyczne wyroby przemysłowe, wypłynęłaby szybko na wierzch konsumpcyjna apatia, pojawiłaby się gnuśna ospałość, nuda trawienna i chorobliwa stagnacja, ba! — może myśli samobójcze, razem piekielna wizja pełnej bezczynności i dalej — spoza błogiej fasady wspaniałego obrazu dumnych władców Ziemi wyjrzałaby gorzka rzeczywistość: brak celu i sensu. A niech mi pan wskaże takiego roztropnego gospodarza na Ziemi, który by na długiej drodze do rzeźni głodził i zadręczał załadowane na wóz i dobrze już podkarmione stadko, miast je pielęgnować czule do samego uboju! Czyż nasze istoty hodowlane — nieszczęsne zwierzęta, nie przepychają się i nie kotłują wokoło koryt z najgłębszym swym przekonaniem, że o to właśnie w ogóle chodzi, że jest to przejaw

najwyższej inteligencji, podczas gdy tylko farmerzy wiedzą, jaki jest finał owego sprytu?

— Czy nie widzi pan przyszłości w zbyt czarnych kolorach?

— A pan nie podejrzewa na co się zanosi? Oczywiście, że im nie chodzi o nasze ciała. A gdzieżby tam! Nasze, czy jakiegokolwiek inne organizmy biologiczne w ogóle nie wchodzi w rachubę przy ich poziomie cywilizacyjnym. Tam istnieje już zapewne co najmniej czwarta generacja konsumpcyjna, jeśli według uproszczonego schematu za pierwszą przyjąć rośliny, zwierzęta — za drugą, za trzecią zaś to wszystko w ludziach, co nie jest w nich zwierzęce, więc najpierw przejawy kultu wyrobów technologicznych. Wszak pies obserwujący człowieka, który gromadzi stosy banknotów, cyzeluje dalej komfortowe już dawno wewnątrz swego mieszkania, zabiega o bardziej luksusowy samochód lub odejmuje sobie od ust, by kupić telewizor — nigdy nie uzna jego wyższości, patrząc na tamte przejawy niedorzecznego jak mu się zdaje — działania; natomiast roztkliwi się w najwyższym stopniu i dostrzeże Boga w osobie człowieka, kiedy tylko tamten, jakimś cudem — w mieście, zdawałoby się, że na pustyni bezmięsnej — wytrzaśnie i przyniesie mu kawał kiełbasy.

— Więc z jakiegokolwiek poziomu byśmy nie spoglądali, nigdy nie zobaczymy dookoła siebie więcej, niż znajduje się w nas samych.

— Zgadzam się z takim poglądem. Przykład z psem i człowiekiem pozwala nam wnikać w istotę granicy, która oddziela od siebie dwie sąsiednie generacje. Ale jakie kiedykolwiek mieliśmy podstawy, by z całą pewnością utrzymywać, że jest to ostatnia już przepaść że nie ma już dalszych stopni bytu w nieskończonym kosmosie? Rozciągnięty w czasie i przestrzeni Wszechświat przez wiele miliardoleci istnienia podnosił i nadal podnosi na szczyt swych materialnych możliwości, również chyba nieskończonych, wiele przeróżnych cywilizacji, z których zapewne niejedna daleko przekroczyła nasz współczesny poziom. Mogą one sobie kpić co najwyżej z naszego stanowczego NIE!, za którym ukrywamy wyłącznie niewiedzę oraz ograniczenie wyobraźni. Przy tym truizmie warto jednak spytać, co to znaczy wyprzedzić kogoś bardzo daleko. Ja tego nie wiem i podejrzewam, że pan również się nie domyśla. Widzieliśmy więc najpierw zielonych ludzików na trzech nogach, z jednym oczkiem pośrodku czoła lub z dwunastoma wokół głowy, którzy

akurat biegle mówili po angielsku. Potem przyszły śmielsze fantazje: straszylimy się wzajemnie wszelkiego rodzaju potworami lub dla odmiany aniołami, których Wielkość i Dobro z bezkrytycznym znakiem równości pośrodku miały w nas rozpalić wiarę w kosmiczny triumf sprawiedliwości i które przewyższały nas ponoć pod każdym względem, tylko nie byliśmy w stanie ich przewag opisać. I chociaż w tych wszystkich pozornie niesamowitych obrazach, jakie z niemałym trudem przywołaliśmy, zmieniały się ustawicznie wielkość cielsk, ich kolory i kształty, choć rosła liczba ryjków, macek i odnóży albo przeciwnie: malała do zera — ciągle przedstawiając najprzeróżniejsze tamtejsze ustroje, systemy obronne i gospodarcze, zdobycze naukowe, religie, obyczaje i kultury, i mając wciąż na myśli cywilizację wyższą — opisywaliśmy naszą własną; tyle tylko, że w jej perwersyjnych odmianach.

— Lecz chyba teraz to samo nam grozi, gdyż — postawieni przed faktami — nadal cierpimy na niemoc wyobraźni.

— Spróbujmy jednak zebrać owe fakty: braliśmy pod uwagę ich obojętność lub szczerze porozumienie i pokojową współpracę z nimi oraz możliwość inwazji i naszego totalnego zniszczenia. Pomijając już ten kolejny truizm, że porozumieć się i współpracować można jedynie z istotą stojącą dokładnie na tym samym szczeblu, przy czym tysiąc lat rozwoju samej technologii nie wnosi rzeczywistej różnicy jakościowej — trzeba teraz uwzględnić okoliczność tak samo chyba nienową: że walczyć można również wyłącznie z istotą, która kieruje się identycznymi motywami, gdyż konflikt wyłania się tam tylko, gdzie strony popycha na siebie dokładnie taki sam motor.

— Więc na tym, niestety, polega nasza obecna tragedia, że my dla nich nie jesteśmy żadnymi partnerami.

— Podejrzewam, że tak jest rzeczywiście. Bo niech pan sam wyzna z całą powagą: którą z wymienionych możliwości tutaj mamy? Niech pan popatrzy na nas, mieszkańców miasta, tego miasta, które bez żadnej różnicy dla istoty sprawy mogłoby z powadzeniem nadal spoczywać na Ziemi, przez co odpadłby argument braku swobody, niech pan zatem popatrzy na nas wszystkich rozpieszczanych tutaj zgodnie z naszymi najskrytszymi marzeniami i na nich — ukrytych gdzieś w głębi galaktyki, którzy zdalnie, przy pomocy swych posłusznych i precyzyjnych

automatów, dogadzają nam w obrębie zdobyczy naszej własnej technologii, spełniając w lot wszystkie nasze kaprysy. Zobaczymy! Przymierzajmy kolejno: najpierw, czy to tak wygląda pokojowa i twórcza współpraca między dwiema cywilizacjami? Odpowiadam pytaniem: więc nasze kochane kotki i pieski, które umilają nam życie w mieszkaniach, podobnie jak zwierzęta z ogrodów zoologicznych współpracują z nami w dziele opanowania materii? Dalej — czy to jest może ów kontakt kosmiczny, o którym marzyliśmy, wystawiając swoje radioteleskopy i wsłuchując się w szum wszechświata? Znow odpowiadam pytaniem: czy my sami już od tysiącleci różnymi metodami, zaś ostatnio również drogą radiową nawiązywaliśmy ów sławny kontakt z rozszanymi po naszych lasach mrowiskami, w szczególności zaś czy kierujemy ku nim wszelkiego rodzaju informacje o co bardziej doniosłych naszych osiągnięciach z dziedziny nauki i kultury, by nieco opóźnione względem nas w rozwoju mrówki również mogły czerpać korzyść z naszej technologii? Nie będę już dłużej pana rozśmieszał, gdyż pytanie: „Czy to, co tutaj mamy, jest wstrząsającym obrazem morderczych zmagania w prowadzonej na śmierć i życie wojnie światów? pozostawiam bez odpowiedzi.

— Sprowadził pan zatem do niedorzeczności wszystkie inne możliwości prócz jednej. Ona nam się teraz sama narzuca.

— Prócz jednej, której chyba kiedyś nie braliśmy pod uwagę w jej najistotniejszym aspekcie. Ale co mnie najbardziej boli w niej — to zdumiewająco pełna analogia. Ręczę panu, że tutaj — w przeważającej liczbie uszczęśliwionych — żyją jeszcze tacy ludzie, których cała sytuacja mierzi. Lecz dzikie zwierzę zamknięte w klatce też nie od razu zaczyna jeść. Też przez jakiś czas jest nieufne, zaniepokojone lub zamknięte w sobie i osowiałe. Niech jednak przejdą lata: wreszcie dolecimy do celu. W nowym świecie wychowają się nasze dzieci. Urosną też z kolei dzieci tamtych dzieci. One już bez żadnych wewnętrznych zastrzeżeń będą jadły swoim *panom* z ręki, choć nigdy chyba nie zobaczą ich na własne oczy. I kpić sobie będą z niemożności swych dziadów, tak jak my wyśmiewamy na Ziemi tych, którzy nie zachwycają się samymi osiągnięciami technologii. W tym dopiero widzę tragedię naszej cywilizacji.

— Powiedział pan już raz, że im nie chodzi o nasze ciała. Ciekaw

jestem, czy to samo mamy na myśli.

— Z wielu powodów nonsensem byłoby podejrzewać ich. o zwyczajne ludożerstwo. W schronie mieliśmy przykrą okazję zapoznać się z ich olbrzymimi umiejętnościami reprodukcyjnymi. Skoro u siebie na miejscu mogliby z łatwością syntetyzować nasze ciała ze związków nieorganicznych, po co trudziliby się, sprowadzając je aż z takiej odległości. Podejrzewam, że nasz segment został opanowany przez podstawionych na nasze miejsca sobowtórów, którzy nieświadomie oddani są bez reszty ich ponad-nadrzędnej sprawie — jak to się pięknie mówi — przede wszystkim w tym celu, aby w pierwszej fazie osiedlania przy karmnikach nowego świata, dzięki aktywnej pomocy tych zaprogramowanych już raz na zawsze robotów, bez trudu łagodzić i znosić nasz ewentualny opór. To właśnie oni, dokładnie wymieszani z tłumem prawdziwych ludzi, zdołają zapewne udobruchać rozgoryczonych i przekonać nieufnych, że wszystko dzieje się według najwyższej oczywistości. Lecz nasze biologiczne organizmy w ogóle nie wchodzi w rachubę, powtarzam. To nie są potwory tego rodzaju, jakimi dla zabawy straszymy nasze dzieci. Oni zapewne przewożą na swój stół konsumpcyjny opakowane ciałami i wykarmione odpowiednim kultem — nasze umysły.

— Umysły! Więc dusze? Czy to aby nie sąsiaduje już z wizją piekła i kary? — wtrąciłem z powątpiewaniem.

— Żart wcale panu nie wyszedł. Czy kurę po to wkłada się do garnka, aby ją za coś ukarać?

— Myślałem raczej o czym innym.

— A o czym?

— Wyobrażałem sobie, że nimi kieruje ta sama żądza wiedzy, która nam każe zgłębiać tajemnice przyrody, więc między innymi analizować budowę wszystkich schwytanych stworzeń. Sądziłem, że — przy dokładnej już znajomości naszych ciał — chcą się na miejscu podłączyć do naszych mózgów, by je wszechstronnie wypróbować i opisać — słowem zbadać, bo widocznie nie wszystko jeszcze jest dla nich jasne w naszej konstrukcji psychicznej. Dręczyło mnie tylko jedno pytanie: co sami ludzie robią ze szczątkami swych „królików doświadczalnych”, kiedy już całkowicie nasycą swoją potrzebę zrozumienia. Czy je z powrotem odwożą do lasu?

— Nie w celu zaspokojenia głodu organicznego, ale by nasycić głód wiedzy — uspokaja mnie pan? Czemu to jednak odbywa się zawsze kosztem innej żywej istoty? Wszak każdy uczony wie doskonale, nie tylko fizjolog, lecz fizyk i psycholog, że im bardziej delikatny jest rozpatrywany ustrój i im głębiej chcemy wniknąć w jego istotę, tym większe spustoszenia wywołuje w nim sam akt badawczy. Już człowiek obserwowany zachowuje się inaczej niż w przypadku, gdyby wiedział, że nie spoczywają na nim żadne oczy, a co dopiero, gdy idą w ruch przyrządy pomiarowe i skalpele. Takie już są prawa natury, że przedmiot możemy w pełni poznać jedynie na drodze całkowitego zniszczenia jego pierwotnej postaci, co zresztą — mówiąc nawiasem — stawia pod znakiem zapytania wysiłek eksperymentatorów najbardziej ambitnych. Czy znacznie przyjemniej jest być poćwiartowanym i poszarpanym stopniowo na miazgę trybami wymyślnego analizatora (kiedy treścią mieloną jest fizyczne ciało lub zawartość mózgu: pamięć, myśli, pragnienia i lęki — razem świadomość istnienia) niż być „zbadanym” przez zwyczajną maszynkę do mięsa? To tylko zmiana terminologii! Człowiek nie takie sztuczki wymyśla, by uspokoić swoje sumienie. Podrygi trawienne kiszek też z powadzeniem można nazwać bardziej uroczyście, na przykład drganiem obwodów analizatora.

— Teraz przyznaję, że nie robi to nam większej różnicy, czy oni przewożą nas na stół laboratoryjny, czy na kuchenny.

— Lecz może pan sobie wyobraża, że oni podnieśli nas z Ziemi na taką odległość jedynie w tym celu, by chełpić się przed nami ogromem swych technicznych możliwości lub że chcą dać nam u celu próbkę niewysłowionych rozkoszy, coś w rodzaju siódmego nieba, które sobie dla otuchy wymyśliliśmy?

— Taki naiwny to nie jestem.

— Ja pozostaję przy wizji konsumpcyjnej w jej czystej postaci, to znaczy nie bałamucę się zmiękczeniami typu: „Poświęcają nas w imieniu Nauki”. Gdyż jeżeli uzmysłowimy sobie, że najpierw my poświęcamy nasze zwierzęta, potem oni nas razem z uzyskaną wiedzą, zaś ich z kolei jeszcze ktoś wyższy poświęca, to trudno oprzeć się wrażeniu, że obok dobrze znanego łańcucha pokarmowego istnieje jeszcze inny łańcuch, równie długi i może bardziej chwalebny od tamtego. Lecz czy na pewno mniej okrutny?

— Poruszyła mnie pana ostatnia koncepcja — odezwałem się po dłuższej przerwie. — Próbuję teraz wyobrazić sobie jak — przy wyraźnym zastrzeżeniu, że nie chodzi tu o zdobywanie informacji w utartym tego słowa znaczeniu — może wyglądać u nich przyswajanie naszych określonych idei, czyli z ich punktu widzenia produktów pierwotnych, niższych, jeżeli na bazie tego prostego dla nich materiału energetycznego potrafią otrzymywać drogą bliżej nieokreślonego procesu trawienego wyższe o całą klasę abstrakcyjną produkty końcowe, zatem „myśli” w wydaniu czwartej generacji konsumpcyjnej, które już należałoby nazwać nadmyśłami. Warto jednak zauważyć, że gdyby tak było rzeczywiście, jak pan utrzymuje, to nie należy sądzić, iż oni pochłaniają w schronie umysły naszych towarzyszy niedoli dla przyswojenia sobie ich miernej wiedzy lub z przyczyn czysto energetycznych. Najpierw trzeba odrzucić stanowczo wszystkie obrazy, jakie nam się nasuwają, gdy pytamy o ich wygląd zewnętrzny i budowę wewnętrzną. To nie są zapewne organizmy białkowe ani też żadne maszyny elektronowe, których obrazami — zafascynowani prowincjonalnymi nowinkami naszej biologii i cybernetyki — nabijaliśmy sobie głowy od kilku wieków. Można sobie wyobrazić, iż do prawidłowości rozwojowych wszelkiego rodzaju postaci bytu w całym Wszechświecie należy — narzucona prawami długotrwałej ewolucji — redukcja, stopniowy zanik funkcji fizjologicznych organizmów na rzecz olbrzymiego wzrostu ich funkcji wyższych — psychicznych. Jednak te ostatnie również — dla podtrzymania wewnętrznych procesów — muszą czerpać skądś składniki pokarmowe, toteż problemy aprowizacyjne wcale przez to nie przestają istnieć, że dana cywilizacja po upływie wielu milionów lat podnosi się wreszcie o jeden szczebel wyżej.

— To jest również mój punkt widzenia — zauważył Raniel. — Twierdzić z całą stanowczością, że problemy konsumpcyjne na jakimś etapie zostaną całkowicie rozwiązane, bo jakieś fantastyczne środki pozwolą wreszcie nasycić ciągły głód *czegoś*, tak typowy dla każdego bytu, to chyba dokładnie to samo, co upierać się przy istnieniu namacalnej granicy czasu i przestrzeni. Nigdy nie zdołam sobie wyobrazić tamtych, gdy będziemy się upierać przy sklerotycznych ideałach.

— Tak, bowiem słodkie przekonanie, że piekło istnieje tylko na

Ziemi, zaś wszędzie poza nią rozpościera się wspaniałe, wolne od powszechnej walki o byt niebo, zostało wymyślone przez teologów — a nie przez ludzi nauki. Budując na Ziemi swoje stosunkowo proste komputery, kierowaliśmy całą uwagę na stopień ich komplikacji, gdyż źródła energii dla tych urządzeń zostały stworzone już znacznie wcześniej. I tu wyłania się sedno głównego nieporozumienia: przekonanie, że Nadistoty — bo tak ja ich nazywam z braku lepszego terminu — są w gruncie rzeczy systemami cybernetycznymi, które dla podtrzymania swej osobniczej egzystencji mogą czerpać energię ze źródeł własnej techniki jak zwyczajne maszyny, byłoby nie tylko najzupełniej bezpodstawne, ale przede wszystkim sprzeczne ze znanymi u nas i chyba obowiązującymi w całym Wszechświecie prawami rozwojowymi. Czyż żywe ciało ludzkie nie jest układem energetycznym? A przecież ludzie nie podłączają się bezpośrednio do swych potężnych elektrowni w celu codziennego uzupełniania braków energetycznych, chociaż dysponujemy nimi już od dawna, a zapotrzebowanie na moc niezbędną do podtrzymania procesów przemiany materii całej ludzkości jest mikroskopijne w porównaniu z mocą ofiarowaną przez istniejące już elektrownie. Z tego widać, że kłopoty pokarmowe — jako ogólne prawidłowości rozwojowe — mogą być uniwersalne.

— Obaj idziemy równolegle po dwu koleinach tego samego tropu. Kto wie, czy nie ma w tym głębokiej analogii: oni będą pasożytować na rozkładzie naszych dobrze podkarmionych świadomości, przy całej swej niewyobrażalnej potędze technologicznej, z tych samych dokładnie (nieuniknionych widocznie) powodów, które nam — przy imponującym, zdawałoby się, rozwoju techniki — każą żywić się dalej organizmami naszych roślin i zwierząt.

— Rośliny i zwierzęta, powiedział pan. Przecież należałoby od nich zacząć. U nas tylko rośliny — to najniższe ogniwo w łańcuchu pokarmowym (właśnie najniższe!) mogą budować swe ciała ze związków nieorganicznych. Drugie ogniwo — zwierzęta, już nie są w stanie naśladować tamtych, więc żywią się ich ciałami. Lecz kto (czy może Darwin?) powiedział, że to jest ułomność lub czysty przypadek, miast zauważyć w tej okoliczności prawidłowość naturalną i synonim niewątpliwej wyższości? Teraz już w pełni zdaję sobie sprawę, jakie piramidalne błędy popełnialiśmy kiedyś, zastanawiając się nad

postaciami Nadistot! Niech pan posłucha: gdyby jakaś roślina, przypuśćmy, że pszenica, mogła prowadzić podobne do naszych rozważania, to przywołując obraz swej Nadistoty, nie powiedziałaaby oczywiście, że jest nią oset, gdyż akurat ta druga roślina zagłuszała ją od niepamiętnych czasów i była dla niej zwyczajna w swym codziennym okrucieństwie; ponadto oset nie wydałby się pszenicy znacznie wyżej zorganizowany. Łodyżka pszenicy z kłosem na szczycie swego ciała byłaby niezdolna do przekroczenia granicy jakościowej zakreślonej wokoło pierwszej generacji. Wzmacniałaby tylko własną ilość: swoją wątłą figurkę rozdułałaby do okazałych rozmiarów. Opisałaby zatem roślinę grubą i wysoką, z potężnymi korzeniami... Krótka mówiąc, wymyśliłaby sobie Drzewo. KURY spacerującej między kłosami, która pożerałaby ciała jej przyszłych dzieci, w ogóle nie zauważyłaby, ponieważ wszystkie zwierzęta — rzecz charakterystyczna — są dla roślin niewidzialne.

— I mamy już pierwszy szczebel kosmicznego nieporozumienia — podsumował Raniel.

— Z kolei ta sama kura — kontynuowałem — postawiona przed analogicznym problemem teoretycznym, nie wskazałaby oczywiście na psa ze swego podwórka, jako na istotę zasadniczo wyższą, gdyż on ją codziennie tarosił i był w jej życiu zjawiskiem banalnym, choć dokuczliwym. Ponadto pies nie miał żadnych cech, które kura zaliczyłaby do doskonałych. Zapytana o kandydata najbardziej jej zdaniem niezwykłego, wymyśliłaby sobie zapewne latające zwierzę, wielkości słonia, z potężnymi szponami i oczywiście z setką ostrych dziobów. Zwłaszcza ta moc szponów i mnogość dziobów zaimponowałaby kurze w najwyższym stopniu, no bo jaką to bryłę ziemi można rozgarnąć za jednym zamachem przy pomocy takiego fantastycznego organu grzebnego i ile robaczek lub ziarenek da się pochwycić na raz setką dziobów! CZŁOWIEKA, który by jadł akurat obok niej jej własne jajka, nie zauważyłaby w ogóle w tej jego najistotniejszej części, w jakiej rzeczywiście był człowiekiem, a nie zwierzęciem, to znaczy w jakiej należał już do trzeciej generacji, gdyż wszyscy ludzie w przejawach swej działalności psychicznej, że wymienię tylko obyczaje, naukę i kulturę — znów rzecz znamienne — są dla zwierząt niewidzialni. Słowem, kura widząc zwierzęce ciało — nie zauważyłaby UMYŚLU.

— Znalazł pan dość dobry przykład. Przedstawia on genezę błędu i zarys okoliczności, które prowadzą w prostej linii na drugi stopień kosmicznego nieporozumienia. To zwłaszcza zasługuje na podkreślenie w pana rozważaniach, że istoty z danego szczebla rozwojowego nie są w ogóle w stanie ujrzeć istoty ze szczebla o jeden stopień wyższego, choć przecież — obiektywnie — nie ulega żadnej wątpliwości, iż te wyższe istoty są też jak najbardziej materialne. Ale dlaczego tak się dzieje? Doprawdy, czyż nie z tego prostego powodu, że w pierwszym opisanym wypadku brak jest oczu, a w drugim dostatecznie rozwiniętego mózgu, który uniósłby ciężar abstrakcyjnego myślenia! Czyż nie dlatego tylko dana istota nie widzi swej Nadistoty, że nie ma odpowiedniego organu postrzegania? Człowiek nazywał kiedyś duchem to wszystko, czego akurat sam nie mógł dotknąć własnym palcem. Czasy się jednak zmieniły. Mówimy dziś o realnym istnieniu setek tysięcy rzeczy, których nie jesteśmy w stanie zbadać żadnym swoim zmysłem w bezpośrednim akcie postrzegania. I to jest słuszne, materialistyczne stanowisko. Gdyż upierać się, że „istnieć — to znaczy być postrzeganym”, inaczej — sądzić, że realne jest wyłącznie to wszystko, co się samemu widzi na tak zwane własne oczy, to przecież głosić idealizm subiektywny w wydaniu Berkeleya. Kura z pańskiego przykładu w bezpośrednim akcie postrzegania nie jest w stanie dostrzec istoty ludzkiej. Widzi najczęściej ruchomą bryłę. W najlepszym wypadku dostrzega w niej drugie zwierzę. Dodajmy — nie bez wyrozumiałości — iż zwierzę to jest dla niej raczej „cielęcina” niż pogromcą. Już choćby wspomniany raz pies stoi w mniemaniu kury znacznie wyżej w hierarchii istot żywych, a to ze względu na swe kły i pazury, jeżeli już pominąć piekielny głos, od którego stają dęba wszystkie pióra. Nie czarujmy się podszeptami naszej pychy: człowiek dla kury — to wyłącznie zjawisko przyrody. Jedno spośród wielu innych; niekiedy groźne, lecz na ogół bardzo sympatyczne. Zjawisko to — jako część świata kury integralnie związana z innymi częściami — pojawia się dwa razy dziennie na placu między oborą a stodołą i wtedy na ziemię spada smaczne ziarno. O innej porze dnia zamiast ziarna pojawia się zjawisko mnie przyjemne: ręka z kijem. I wtedy od razu wiadomo, że trzeba biec szybko do kurnika, bo to się powtarzało wiele razy. Kura-naukowiec też mogłaby mieć własną teorię na temat obiektywnej rzeczywistości. Uznałaby zapewne, że są kury

głupie, które nie znają praw przyrody, i te dostają kijem po głowie i chodzą z pustymi żołądkami, oraz istnieją kury rozumne — wykształcone, które dzięki nabytej wiedzy o świecie orientują się doskonale, że dane przyczyny prowadzą do określonych skutków, co im pozwala sprostać nieuniknionym wymaganiom natury. Wniosek: trzeba znać dobrze zjawiska przyrody, aby nad nimi panować. Kura taka uznałaby zapewne siebie za pana w całym świecie, w którym człowiek znaczyłby dla niej mniej więcej tyle, co raz przeciwne chęciom, innym razem im pomyślne... wielkie prawo powszechnego ciężenia. I nic nie zmąciłoby jej głębokiego przekonania, że stoi na szczycie drabiny organizmów żywych równolegle z innymi zwierzętami. Płakać mi się chce ze śmiechu, gdy tylko pomyślę, że to my właśnie jesteśmy takimi kurami. Wprawdzie to nie sama kura hoduje pszenicę, choć chętnie zjada jej ziarno — lecz człowiek; z tego wszakże wynika tyle, że świadomy i racjonalny tucz zaczyna się dopiero na szczeblu człowieka. Czy jednak ktoś przeprowadził absolutny dowód, że już na jego szczeblu się kończy?

— Zajmijmy się więc teraz samym człowiekiem, który je kurze jaja — podjąłem przerwany wątek. — Jego nie zapytamy, jak on sam sobie wyobraża Istoty, które przez jakiś „ułamek” wieczności, powiedzmy, że w czasie dziesięciu miliardów lat (choć aż tyle nie potrzeba) znane i nieznanne prawa Wszechświata podniosły na drodze ewolucji (wzdłuż krzywej wykładniczej) na niewyobrażalny (tylko dla nas!) poziom, co w dziejach kosmosu zdarzało się zapewne wiele, wiele razy. Nie musimy mu zadawać żadnych nieznośnych. pytań, gdyż na interesujący nas temat istnieje już na Ziemi przebogata literatura. Lecz ona też z kolei nie może nam pomóc, ponieważ — na podstawie przykładów z rośliną i zwierzęciem — należy się spodziewać, że znajdziemy w niej, zamiast spojrzeń wzwyż, więc ponad siebie — uparte spojrzenia na boki: opisy organizmów rzekomo wyższych, a na podstawie przyjętego już na wstępie kryterium rozpoznawczego — do siebie i do nas równoległych, tylko innych, tak jak ryba nie przypomina konia, słowem wizje istot z tej samej generacji. Człowiek zaślepiony niczym nieuzasadnionym mniemaniem, jakoby sam we własnej osobie był centrum całego Wszechświata, zapytany o cywilizację zasadniczo wyższą nadyma się zaraz jak balon: potęguje grubość swej własnej łodygi (technikę), jej wysokość i rozpiętość konarów (naukę) oraz rozciąga długość i rozplata

gąszcz swych korzeni, którymi czerpie życiodajne soki (kulturę) podobnie, jak to było w przypadku żalostnej pszenicy albo wzmacnia siłę swych szponów (militaria) i mnoży liczbę swych dziobów (dobra konsumpcyjne) — co robiła nieszczęsna kura.

Umilkłem. Raniel patrzył na mnie takim wzrokiem, jakbym przez cały czas czytał na głos wszystkie jego myśli. Nie było w tym niczego osobliwego, że w identycznej sytuacji, z ciężarem faktów doskonale znanych, dochodziliśmy wspólnie do tego samego wniosku. Raczej niezgodność poglądów byłaby tu dziwna.

Ciągnąłem więc dalej:

— Czy jednak wszystkie prawa natury, a w ich liczbie również najbardziej ogólne — rozwojowe, są uniwersalne tylko w odniesieniu do jednego poziomu i wyłącznie do jednego maleńkiego globu — akurat naszego, wokół którego w naszym pełnym pychy przekonaniu obracać się muszą wszystkie metagalaktyki?

— No właśnie!

— A przecież, skoro człowiek nie jest we Wszechświecie czymś absolutnie wyjątkowym (jak istniejący poza wszelkimi prawami natury, doskonały sam w sobie — Bóg Wszechmogący u teologów, pierwsza przyczyna i cel ostateczny, razem z wyssanym z palca systemem naiwnych wartości, więc razem z nagrodą nieba i karą piekła w zamian za hołd oddawany dogmatom), skoro człowiek nie jest we Wszechświecie czymś absolutnie wyjątkowym, powtarzam — na co uroczyste przysięgi znajdujemy w każdej uczonej księdze Materializmu — to według najbardziej elementarnych reguł logicznych musimy — rzecz prosta — dojść do wniosku, że ktoś (?) go (człowieka) w długim ciągu nierównych bytów pod jakimś (?) rzeczywistym (a nie pszenicznym lub kurzym) względem przewyższa. Dodajmy również, że — przy braku górnej granicy tego ciągu, który nie może być skończony w wielowymiarowym Wszechświecie — ktoś go w nim *znacznie* przewyższa.

— Zaś do takiego oczywistego wniosku — pochwyił Raniel — musimy dojść niezależnie od tego, czy starcza nam wyobraźni do opisanie owej wyższej cywilizacji, czy jej nam akurat zabraknie. Nie wątpimy przecież nigdy o tym, że istnieje nasza własna cywilizacja, chociaż jej zawiły obraz nie mieści się ani w kłosie pszenicy, ani w małym

kurzym łebku.

— Z tego wszakże wcale nie wynika — przyjąłem znów prowadzenie — iż tamta, wyższa cywilizacja stoi już na samym szczycie kosmicznych możliwości, że osiągnęła już jakąś ostateczną rozwojową granicę. Przeciwnie: zgodnie z główną myślą naszych rozważań — jak miemam — żadnej generacji (której nazwę przyjęliśmy tu dla wygody klasyfikacyjnej jako kategorię szerszą od cywilizacji) nie można uznać za wyjątkową w sensie obiektywnym. Każdą z nich określa ta własność przede wszystkim, że występuje ona zaraz po poprzedniej w określonym zwrocie bytów — tuż przed następną. Tamta, o której mówiliśmy dotąd, tak samo jak każda inna jest tylko zwykłym, bo kolejnym ogniwem w nieskończonym i ciągłym łańcuchu. Szereg ów wychodzi z dowolnej postaci materii i rozciągając się wzdłuż, wszerz oraz w głąb licznych jej form, obejmuje po kolei wszystko, co tylko istnieje we Wszechświecie, by zamknąć się wreszcie dokładnie w tej samej postaci materii, od której chcielibyśmy rozpocząć nasz długi przegląd. Jest to więc krąg bez początku i końca. Lecz wcale nie taki zapewne, jaki sobie wyobrażamy, gdy bierzemy do ręki zwyczajny cyrkiel. Poza tym kręgiem niczego już nie ma, bowiem to właśnie jest cały Wszechświat. Takie określenia, jak „wysokie i niskie” lub „żywe i martwe” wprowadzone zostały przez samego człowieka dla jego subiektywnej wygody i w przyrodzie nie mają żadnego znaczenia w sensie obiektywnym. Krąg Wszechświata jest całkowity i doskonały sam w sobie: nie ma w nim miejsca na pojęcie Pana Boga, który byłby „poza” lub „ponad” ani w żadnym znaczeniu logicznym, ani tym bardziej fizycznym. A gdyby ktoś teraz powiedział, że właśnie ów doskonały sam w sobie Wszechświat jest naszym Bogiem, należałoby go pochwalić za celne, choć przy tym banalne spostrzeżenie. Nie ma bowiem dla materialisty bardziej oczywistego faktu, jak ten, że Wszechświat — niezależnie od tego, jak go w końcu nazwiemy — istnieje rzeczywiście i że jego prawa wciąż głębiej usiłujemy poznać.

— Lecz kiedy doszliśmy już do niewątpliwego wniosku, że *ktoś* człowieka znacznie przewyższa w rozwoju wszelkiego rodzaju bytów — wrócił do pierwotnego tematu Raniel — to teraz różnymi drogami rozumowania (choćaby przy pomocy zasady indukcji zupełnej, która na podstawie wzajemnych związków implikacyjnych zaobserwowanych w dostępnym nam fragmencie rzeczywistości pozwala wnioskować o

istocie całości) musimy z kolei uznać, że ów *ktoś* — przynajmniej pod względem motywów swego działania — traktuje nas podobnie jak zwierzęta traktują rośliny, a następnie jak my sami traktujemy nasze zwierzęta.

— Bo gdyby nie powodowały nim — w praktyce, a nie w teorii! — przede wszystkim racjonalne przesłanki (niezależnie od liczby obłudnych zmiękczeń, jakie sobie dla osłody wymyśla) — odezwałem się znów, by uzupełnić tamtą myśl — gdyby więc kierowało nim wyłącznie jakieś przeciwne wskazaniom natury i jej koniecznościom łaskawe i wspaniałomyślne *dobro* w wydaniu kosmicznym, to byłby on postacią samowystarczalną, czymś zgoła wyjątkowym we Wszechświecie, a zatem niczym innym, tylko właśnie Panem Bogiem, którego obecność już raz na zawsze wykluczyliśmy.

— Dobrze pan to ujął. Warto przy okazji spytać czy w naszych — ludzkich — kategoriach moralnych hodowca drobiu jest postacią z gruntu złą jedynie dlatego, że z całą świadomością celu swych zabiegów z jednej strony oraz nieubłaganych potrzeb naturalnych człowieka — z drugiej, prowadzi racjonalny tucz. Inaczej: czy my konsumentów drobiu nazywamy potworami? Słowa: „konieczność naturalna” potrafi wymówić również Nadistota i ona też zapewne — przy większej wrażliwości — mimo tych słów ma jakieś wyrzuty sumienia. A ma je tym bardziej, im bliżej niej stoi „wyzyskiwana” istota.

— Tak. Gdyż — przy braku ostrej granicy między żywym a martwym — uważamy zwykle, że ciało jest tym bardziej martwe, im niżej stoi pod nami na drabinie bytów. Jednak pojęcie wysokości nie ma bezwzględного znaczenia. Na okręgu w ogóle trudno o niej mówić. Przy dwóch możliwych obiegach okręgu dana postać materii, wyższa dla nas przy jednym zwrocie łuku, staje się automatycznie niższą postacią materii przy jego zwrocie przeciwnym. Jeżeli zaś natura — co wydaje się niewątpliwe — ustaliła tylko jeden obieg i przez rozwój (więc postęp) rozumie dajmy na to obieg dodatni, w którym wirus wyprzedza cząsteczkę kwasu siarkowego, wówczas i tak zagadnienie hierarchii bytów nie jest i nie może być jednoznacznie rozstrzygnięte. Przy obiegu dodatnim organizm biologiczny człowieka wyprzedza materię „martwą”, zaś jego myśl — jako postać energii o bardziej złożonej strukturze — wyprzedza z kolei jego własne ciało. Tak jest z jednego punktu widzenia.

Wystarczy jednak wziąć pod uwagę drugi łuk (pewnie znacznie dłuższy) o takim samym zwrocie, ten, który uzupełnia pierwszy do całego okręgu, by się okazało, że tamta „martwa” postać materii stoi daleko przed żywym ciałem człowieka podążającego za swą własną myślą i że jest pod jakimś (czy na pewno nieznanym?) względem o wiele, wiele bardziej od nich doskonała.

— Ale nie mówimy przecież, że chemik wyrządza okrutną krzywdę materii, gdy praży w szklanej kolbie bryłę nieorganicznego związku i gdy — zmieniając jej strukturę — niszczy jej pierwotną postać. Należy tu jeszcze zauważyć, że fragmentaryczny podział na cztery generacje jest bardzo powierzchowny i sztuczny, jak zresztą każdy podział na części czegoś, co z natury rzeczy nie da się sklasyfikować przy pomocy ostrych stopni, gdyż jest ciągle. Kurę — jako szczebel drabiny bytów moglibyśmy z powadzeniem w ogóle usunąć ze swych rozważań, ponieważ człowiek może jeść chleb bezpośrednio. Wówczas (znów według uproszczonego schematu) roślina buduje swój organizm ze związków nieorganicznych (jeśli jest samożywna), zaś ciało człowieka (zwierzę) żywi się nią dla podtrzymania swych funkcji fizjologicznych. Jeżeli powiemy następnie, że umysł tego człowieka „pasożytuje” na jego ciele, to zdanie wyda się nam niedorzeczne, wręcz śmieszne. Lecz kiedy wyrazimy się inaczej: że wyższe czynności mózgu czerpią energię z niższych, fizjologicznych procesów ciała, wtedy nie rozmiemy się ani ze zdrowym rozsądkiem, ani z samą prawdą. Wyłania się tu przy okazji okoliczność dla nas najbardziej znamienita. Wszystkie rośliny samożytne — gdyż tylko te zaliczamy do pierwszej generacji konsumpcyjnej (grzyby są już pasożytami) do podtrzymania reakcji chemicznych potrzebują energii świetlnej. Z kolei wszystkie organizmy zwierzęce, których budowa opiera się na związkach białka — a inne u nas nie istnieją — nie mogą żyć bez tlenu. Bez czego nie może egzystować i rozwijać się umysł ludzi — to też chyba nie należy do tajemnic. Nazwijmy ten czynnik „ciągiem bodźców napływających do świadomości z zewnątrz”, który podtrzymuje procesy psychiczne. Są to prawdy powszechnie znane. Przypomniałem je po to, aby z kolei zapytać, w jaki sposób Nadistoty „uprawiają” nasze umysły, by czerpać z nich określone dla siebie korzyści „konsumpcyjne”.

— Zdaje się, że odpowiedź na to pytanie padła już na samym początku naszej rozmowy — zauważyłem. — Tak, to ja jej udzieliłem.

Wtedy jednak zabrzmiała dość absurdalnie. Czy teraz — po wyjaśnieniu wielu ważnych spraw — wydaje się ona mniej nieprawdopodobna?

— Tutaj, w mieście porwanym z Ziemi, gdzie człowiek korzysta z dóbr materialnych w gotowej ich postaci, hodowlana atmosfera nie budzi we mnie żadnych wątpliwości. Jednak czy tę samą myśl dałoby się uogólnić, a w szczególności, czy można ją bezkrytycznie przenieść na działalność człowieka na Ziemi — to już nie jest takie pewne.

— Zobaczmy, gdy podsumujemy. Wykazaliśmy kolejno: najpierw, że obecność Nadistot jest faktem niewątpliwym i dalej — że podlegają one dokładnie tym samym prawom natury, którym i my sami musimy się podporządkować, z tą jednak zasadniczą różnicą, że one znają je bez porównania lepiej od nas, dzięki czemu wielokrotnie lepiej nad nimi panują. Następnie udowodniliśmy, że dla nas Nadistoty muszą być niewidzialne, choć wcale z tego nie wynika żaden płaski wniosek, że są duchami. Do podtrzymania tego ostatniego stanowiska zmuszają nas nie tylko rozważania prowadzone nad ślepotą pszenicy i kury, które nie są w stanie dostrzec umysłowej działalności człowieka, chociaż sami w nią nie wątpimy, ale też całe morze innych faktów. Wszak człowiek z całą powagą zastanawia się nad istotą czasoprzestrzeni, pola grawitacyjnego, cząstek elementarnych i nad budową tej części Wszechświata, do której jeszcze nie sięgnęły nasze teleskopy, chociaż sam jeszcze na własne oczy obiektów swych badań nie widział i nigdy ich nie będzie mógł dotknąć wskazującym palcem. Przekonaliśmy się również, iż z całą pewnością stosunek Nadistot do ludzi — z konieczności naturalnej — musi mieć taki sam charakter, jak nasz stosunek do roślin i zwierząt, czyli — że między nimi a nami zachodzi jakaś relacja konsumpcyjna. Wszystko to wykazaliśmy rzeczowo i — jak miemam — dość jasno. Jedynie kwestia wyrażona drażliwym pytaniem: „W jaki sposób i czym one uprawiają nasze umysły?” (przy oczywistości faktu, że z jednej strony nasze ciała — prymitywne układy energetyczne, a z drugiej — nasza kultura, technika oraz nauka, jako źródła informacji w tradycyjnym pojęciu, nie stanowią dla nich równorzędnej wartości jakościowej w zestawieniu z odpowiednikami ich Kultury, Techniki oraz Nauki, lecz tylko niższą, cielesną bazę wyjściową, ich podstawę fizjologiczną do tworzenia i nieustannego zasilania wyższych procesów psychiczno-energetycznych w owych tajemniczych utworach materialnych, które można by z kolei

nazwać „Nadumysłami”) — jedynie ta ostatnia kwestia pozostaje nadal otwarta. Z całym naciskiem trzeba tu podkreślić, że człowiek nie je chleba w tym celu, by podtrzymać ów „ciąg bodźców napływających do świadomości z zewnątrz”, słowem nie je po to, aby kształcić i rozwijać swoje życie psychiczne, ale z tego wyłącznie powodu, żeby utrzymać przemianę materii swego ciała, którego życie jest dopiero pierwszym i niewystarczającym warunkiem istnienia umysłu. Ten ostatni karmi się już czymś zupełnie innym. Czym podtrzymuje swe życie psychiczne Nadistota, nie domyślimy się nigdy, tak jak nigdy kura nie zdoła się domyślić, dlaczego człowiek słucha muzyki, ogląda obrazy, emocjonuje się wynikami sportowymi, czyta książki lub wyprawia huczne wesele. Możemy co najwyżej rozprawiać nad tajemniczym pokarmem, którym ona żywi swe Nadzwierzęce ciało.

— Tutaj rzeczywiście trudno będzie osiągnąć całkowitą pewność — powiedziałem. — Pokarmem tym — co już raz ustaliliśmy — mogą być tylko nasze umysły, najwyższa ze znanych nam żywych postaci materii, więc zarazem jedyna treść, którą są w stanie przyswoić ich ciała. Sami dobrze wiemy o tym, że nasze umysły nie mogą czerpać energii bez pośrednictwa naszych ciał, zatem wprost z roślinnych składników pokarmowych, podobnie jak z kolei nasze ciała (zwierzęta) nie są w stanie egzystować na materiale energetycznym związków nieorganicznych bez pośrednictwa roślin.

— Zastanówmy się teraz, jak to wygląda na niższych szczeblach pokarmowych. Czy pszenica i kura mogłyby poznać choć część prawdy, gdyby potrafiły i zechciały się zastanowić nad analogicznym w stosunku do nich pytaniem?

— Musiałyby tylko zauważyć, co je najbardziej w życiu pochłania. Jeśli pszenica zauważyłaby, że największą przyjemność sprawia jej czerpanie soków z nawożonej nieustannie ziemi, zaś kura gdyby spostrzegła, że od świtu do zmierzchu biega za rozrzuconym przez człowieka ziarnem, wtedy obydwie — każda w swoim zakresie — wiedziałyby przynajmniej jedno: co stanowi podsuwaną im karmę. Następnie stanęłyby przed trudniejszym zadaniem: przed pytaniem, kto im tę karmę podsuwa i w jakim celu?

— Przynajmniej pierwsza część zadania nie wydaje się zbyt trudna ani w odniesieniu do pszenicy, ani w stosunku do kury...

— ...ani do ludzkiego umysłu — dokończyłem. — Czy nieprawda?

— Tak. Bo wystarczy tylko rozejrzeć się wokoło siebie, a również spojrzeć w głąb własnego serca, aby zauważyć, za czym ludzie o naszej mentalności, których tu w mieście widzimy już całkowicie obnażonych, najbardziej się uganiają. Przy absurdzie „elementarnych potrzeb” zaspokajanych rzekomo dla zdrowia i wygody ciał nie ulega wątpliwości, że członkowie naszego „wolnego społeczeństwa”, dumni ze swych zwierzęcych praw swobodnej konkurencji, wyężdżając wszystkie swe władze fizyczne i umysłowe, całą swoją aktywność psychiczną, walczą zaciekle z „przyrodą” i między sobą według rycerskich reguł, ale często i bez żadnych reguł, byleby tylko osiągnąć wiadomy skutek: podtrzymać tamten „ciąg bodźców napływających do świadomości z zewnątrz” na drodze konsumpcji *rzeczy* — produktów technologicznych, że całe swe życie spędzają przede wszystkim na wysiłku pomnażania indywidualnego mienia w celu zadowolenia samych tylko wciąż głodnych umysłów, których nie umieją niczym innym zająć ani zadowolić.

Tutaj — pod kloszem — mamy sytuację wyjątkową: hodowla jest jawna. Ale na Ziemi, gdzie ludzie sami tworzą swoją technologię, sprawa ta wygląda inaczej.

— Ja tak nie uważam. Właśnie z tego dogmatu wypływa u nas powszechna nieświadomość tuczu. Dogmat samodzielnej rzekomo działalności człowieka bierze się stąd, że w ogóle nie widzimy akurat tego nieodmiennego zjawiska, na które patrzymy nieustannie od pierwszej do ostatniej sekundy swojego życia. Tutaj w warunkach zamkniętego w klatce dzikiego zwierzęcia, które dopiero po takim wstrząsie czuje się markotnie, zaś przy hodowli z pokolenia na pokolenie egzystuje znakomicie przez całe tysiąclecia, my również obudziliśmy się z wielowiekowego letargu. Pokarm podawany jest nam wprost do ust, co nas mierzi, bo chcielibyśmy „sami” wznosić swoje budowle, przy pomocy własnych „skomplikowanych” operacji teoretycznych i praktycznych, podobnie jak kura na naszym miejscu chciałaby też, by jej całkiem nie odbierano złudzeń przy pomocy strzykawki wprowadzającej pokarm prosto do żołądka, gdyż chciałaby „sama” zgodnie z kresem swych możliwości operacyjnych (o których pszenica nie mogłaby nawet marzyć) wygrzebywać sobie z piasku ciskane jej przez człowieka ziarno.

Nie zapominajmy o tajemnicy posągów: nasi opiekunowie panują już w jakimś stopniu nad czasoprzestrzenią. Czym dla nich są wobec tego nasze popisy inżynieryjne, jeśli nie kurzą operacją rozgrzebywania ziemi? Skąd mamy jakąkolwiek pewność, że nasza produkcja konsumpcyjna opiera się wyłącznie na samych tylko pierwotnych prawach przyrody, to znaczy w ich nieujarzmionym jeszcze przez nikogo stanie i że wśród zjawisk swobodnie naturalnych nie ma u nas pewnej liczby czynników sterowanych zdalnie — zgodnie z lepszą znajomością tych praw — czyjąś racjonalną wiedzą i wolą?

— Czy roślina odróżniłaby świadomą działalność człowieka, to znaczy jego systematyczne zabiegi wokoło nawożenia, siania i wszelkiego rodzaju u pielęgnacji od warunków rzeczywiście naturalnych, jakimi są procesy gnilne zachodzące w glebie, deszcz oraz słońce?

— Nigdy nie zdołaby uchwycić różnic! To jest całkowicie pewne. Nie potrafiłaby wyodrębnić i rozpoznać zespołu warunków stworzonych celowo i „podsuniętych” jej przez człowieka (którym nie kieruje „zło” ani „dobro”, tylko potrzeba — racjonalna potrzeba! spotęgowania jej wegetacji) w liczniejszej grupie zjawisk dotąd „dzikich”, czyli całkowicie niezależnych od woli człowieka. Ona nawet w dobrze urządzonej cieplarni, gdzie i deszcz jest sztuczny, i światło, wierzyłaby najgoręcej, że króluje w świecie, bowiem każde stworzenie na każdym poziomie nosi w sobie niepodważalną pewność, że należy już do najwyższej generacji. Weźmy inny przykład. My akurat wiemy, czym są zjawiska elektryczne. Przecież w jakimś stopniu nad nimi panujemy. Ale zwierzę ich nie zna i nic też nie może wiedzieć o naszej władzy nad tymi zjawiskami. W takiej sytuacji koń zaprzęgnięty do wozu, patrząc na tramwaj, który go wyprzedza, mógłby wykrzyknąć „heureka!” i dodać: „Jest w świecie taka powszechna reguła: fury z sianem trzeba z całej siły ciągnąć, a skrzynie z ludźmi jakoś same się ruszają!” Człowiek zaś w analogicznych okolicznościach wypowiada się bardziej celnie: „Odkryłem prawo powszechnego ciężenia: ciało do góry trzeba z całej siły dźwigać, a z powrotem już samo jakoś spada!” Nic tu nie pomoże „naukowe” uzupełnienie, że każde dwie masy — dzięki „naturalnej” własności materii — przyciągają się wzajemnie *na odległość*. Koń też zapewne ma zawsze w zapasie jakieś cudowne „na odległość”. Przykłady tego rodzaju nieporozumień można by mnożyć dalej. Ale naprawdę już nie warto.

Chciałbym wiedzieć: czy my — na swoim obecnym etapie rozwojowym, który wcale nie jest najwyższy z możliwych — jesteśmy w ogóle w stanie rozpoznać dwie najzupełniej różne rzeczy: obiektywne zjawiska przyrody rzeczywiście nie ujarzmione jeszcze przez nikogo — od równie obiektywnych zjawisk, lecz w postaci efektów wtórnych wynikających wyłącznie z działalności *tamty ch*, czyli od kierowanych potrzebami racjonalnej uprawy „czynników hodowlanych”?

— Niestety: *nie*. Rzeczywiście przyłapał mnie pan na „kurzej ślepotcie” — przyznałem. — Uświadomiłem sobie w tej chwili jeszcze jedną ważną dla nas okoliczność, która pozwoli nam głębiej wniknąć w istotę trudności zdobywania odpowiedniego materiału energetycznego do budowy organizmów na kolejnych szczeblach rozwojowych. Otóż wiemy o tym doskonale, że najbardziej w przestrzeni pospolita jest próżnia (pole grawitacyjne), która tworzy prawie cały Wszechświat, w niej zaś z kolei materia w postaci związków nieorganicznych — już rzadkość w powszechnej pustce. Ta ostatnia byłaby więc zerową generacją bytów, gdyż wiadomo skądinąd, że materia bez przestrzeni nie może w ogóle istnieć. Fizycy mówią, że jest ona osobliwością, ale nie „w”, lecz samej przestrzeni. Dalej mamy pierwszą generację — niezwykle odstępstwo od poprzedniej normy, która była odstępstwem od wcześniejszej reguły, co pamiętamy — osobliwość materii zorganizowaną w roślinach, których masa (w stosunku do masy ciał nieorganicznych całego Wszechświata) jest znikoma. Wiemy, że na tym szczeblu nie kończy się szereg niesłychanych wyjątków w wyjątkach. Kolejnym odstępstwem od poprzedniej normy, już zgoła perwersyjnym, są we Wszechświecie żywe ciała zwierząt — druga generacja według naszego podziału. Lecz jeszcze w tej postaci materii natura nie znalazła swego absolutnego rekordu, gdyż mamy znacznie wyższy stopień zorganizowania energii — niebywałe zboczenie w ostatniej perwersji — najbardziej nieprawdopodobny ze znanych nam dotąd stanów materii: *ludzkie umysły*... które dotąd wyobrażały sobie, że to już na tym koniec. To jest właśnie ów potęgowy ciąg, w którym ilość przechodzi w jakość. Dostrzegając na każdym szczeblu nieunikniony fakt, że dana generacja bytu (faza materii) może się utrzymać (istnieć) wyłącznie na materiale energetycznym generacji poprzedniej w szeregu, łatwo teraz zauważyć, jak potęgują się trudności „pokarmowe” ze wzrostem stopni

konsumpcyjnych wzdłuż krzywej wykładowej i że Nadistoty, mimo swych niewyobrażalnych możliwości w innych dziedzinach (a raczej z ich powodu właśnie) ciężko muszą pracować na zwyczajny dla nich „kawałek chleba”. Myśmy dotąd widzieli wokoło siebie tylko chaos różnych stanów materii, a trzeba je było uporządkować według stopnia ich komplikacji, by chociaż tą najprostszą drogą dojść do wniosku, że obecność Nadistot jest faktem obiektywnym.

Raniel rozwijał swój wątek:

— Skąd doprawdy możemy wiedzieć, że nasza produkcja rozwija się w warunkach całkowitego odosobnienia kosmicznego. Czy na podstawie braku modulowanych „rozumnym” kodem szumów w rezonatorach naszych radioteleskopów możemy osiągnąć pewność, że w ich zasięgu nie ma żadnych Nadistot? Nic podobnego! W ich zasięgu nie ma tylko żadnej drugiej i podobnej do nas kury. To wszystko. Czy warto jeszcze wspominać o mrówkach z naszych lasów, które od wieków próżno czekają na głos „rozumnej” mowy z naszej strony? Naiwność tych, którzy razem z nami, tak samo zaślepionymi, od lat dziwią się, że jeszcze dotąd nie usłyszeliśmy żadnego gdańskania kosmicznego, jest doprawdy rozbrajająca. Może się oczywiście zdarzyć, że jakaś druga kura, która przechodzi w tym samym czasie niezależnie od nas przez to samo stadium rozwojowe, odezwie się z sąsiedniego podwórka. Wtedy usłyszemy oczekiwane „kukuryku!” Ale to jest stosunkowo najmniej prawdopodobne, gdyż tak naprawdę to myśmy brali dotąd pod uwagę tylko możliwość zróżnicowania pod względem ilościowym, które sprawia, że patrząc na coś nieporównywalnego z nami (gdybyśmy to w ogóle mogli zobaczyć) mówimy bezkrytycznie: „tylko inne”, zamiast zauważyć przede wszystkim że „znacznie wyższe”. Z możliwości olbrzymiego zróżnicowania jakościowego w rozwoju ilustrowanym długą krzywą wykładową jak pan zauważył — i z jego niebosięźnych stopni nie wyciągnęliśmy nigdy właściwych wniosków.

— Teraz widzę to już jasno...

— Jeszcze nie skończyłem — przerwał mi. — Proszę posłuchać, dlaczego wykluczam nawet tamto „kukuryku”. Otóż istoty, które znacznie nas w rozwoju przewyższają (znacznie — w sensie już raz opisanym) uczynią wszystko, co leży w ich mocy (a zapewne leży bardzo wiele), by nieopisany hałas kosmiczny, więc wszelkiego rodzaju prymitywne

nawoływania radiowe, że wymienię tylko kilka rodzajów: szczekania i miauczenia marcowe, jak również groźne porykiwania — w danym rejonie kosmicznym zupełnie uciszyć. Dlaczego? spyta pan ze zdumieniem, mając w głowie malowany przez nas dawniej obraz wszechświatowej naukowej wyrozumiałości. A ja wiem: bo to im działa „na nerwy”. Przekonał mnie pan, że na próżno czekamy na ów sławny kontakt z wyższą lub niższą cywilizacją. W człowieku od dziecka do późnej starości rośnie głębokie przekonanie, że cały Wszechświat czeka cierpliwie na odpowiedni moment w jego rozwoju, kiedy osiągnie już on niezbędną wiedzę i sprawność techniczną, aby mógł osiągnąć gwiazdy i stopniowo badać rozległe obszary tego, co istnieje. Inaczej: człowiek jest przekonany, że cały Wszechświat czeka akurat na jego inicjatywę (na człowieka przyszłości) i że widzi w nim swego najpotężniejszego odkrywcę. Wszak gdyby nie łudził się tego rodzaju słodkimi iluzjami, już dawno doszedłby do pewnych wniosków. Prawie każda istota czy Nadistota — jest to widocznie podstawowe i naturalne prawo — nosi w sobie skryte przekonanie, że jest genialna w jakimś zakresie. Każde stworzenie przykłada swe sukcesy do własnych ideałów (przy czym — co jest najbardziej osobliwe w tym zabiegu — zawsze w danej chwili jego ideały tylko nieznacznie wyprzedzają własne sukcesy), dzięki czemu na każdym poziomie, choćby i najbardziej prymitywnym, może ono trwać w subiektywnym przekonaniu, że stoi bardzo wysoko, gdyż to wynika ze wskazań jego indywidualnego ilorazu doskonałości. Prawo to — w tak zróżnicowanym pod względem poziomów świecie — pozwala nam żyć bez kompleksów niższości.

— Zapewne Wszechświat miał dużo czasu, jeśli nie całą wieczność, to przy sugestiach teorii cyklicznie powtarzających się okresów — wiele miliardoleci na to, by zgodnie z jego prawami mogły się w nim rozwinąć wszelkiego rodzaju Nadistoty i Ponad-Nadistoty (żeby już więcej nie dokładać członów), z których każda na swoim poziomie, zawsze w jakimś stopniu ograniczonym, badała dawniej i bada nadal wszystko, co leży w jej aktualnych możliwościach poznawczych, penetruje więc dokładnie przestrzeń kosmiczną (choćby tylko w poszukiwaniu pokarmowych zasobów energetycznych dla swojej cywilizacji, tak jak ludzie już od dawna w tym samym celu badają całą powierzchnię swej planety), niekoniecznie bezpośrednio, bo może na odległość sondami

radiowymi bądź przy pomocy licznych i wcale nie takich prymitywnych automatów, o jakich opowiadamy naszym dzieciom, a jeszcze zapewne innymi sposobami, o istnieniu których dziś nam się nawet nie śni.

— W czasoprzestrzeni — wtrąciłem — gdzie wszystko, co było, jest i będzie, dane jest naraz, zaś czas sprowadza się do pojęcia odległości, występują równocześnie wszystkie możliwe stany materii — cały *niezmienny* w swej doskonałości „krąg”. Jednak kolejne fazy materii, o których dotąd mówiliśmy jako o generacjach, nie są i nie mogą być uporządkowane w czasie w takim sensie, iżby najpierw w całym Wszechświecie była faza pierwsza, potem druga itd., gdyż taki porządek przeczyłby zarówno codziennemu doświadczeniu, jak i naszej teorii. Przeciwnie: gdybyśmy w danej (którejkolwiek) chwili mogli objąć spojrzeniem całą trójwymiarową przestrzeń, okazałoby się, że równocześnie z nami egzystują w niej wszystkie możliwe generacje, w takim sensie — że wszystkie możliwe stopnie bytów są w danej chwili dokładnie zajęte i trwają w czasie w nieustannym płynnym dążeniu do określonych zmian.

— W takiej, niewyobrażalnej dzisiaj dla nas, sytuacji — rozwijał Raniel ten sam motyw w nieco innym ujęciu — która jednak siłą rzeczy musi mieć miejsce, trudno jest doprawdy sądzić, że tylko nasz glob pozostał niezauważony lub — co jeszcze bardziej niedorzeczne — że przed *tamtymi* odwiedzą nas najpierw goście zaledwie o kilka tysięcy lat rozwoju bardziej od nas zaawansowani, czyli nieco inne istoty z tej samej generacji. Możemy być pewni, że na naszym, przeciętnym pod pewnym względem, globie — jednym spośród mnóstwa raczkujących pyłków — spoczywały już nieraz różne baczne oczy z wielu poziomów generacyjnych i należy się z tym liczyć, że wśród wielkiej liczby obojętnych znalazły się również spojrzenia zainteresowane nami, ale wcale nie wojenne ani nie pokojowe — którymi nabijaliśmy sobie głowy, sądząc, że cały Wszechświat urządzony jest na naszą ziemską modłę — lecz spojrzenia racjonalne. Wiedzą one na nasz temat może znacznie więcej, niż my sami wiemy o sobie, chociaż na pewno nie mogą wiedzieć wszystkiego, bo droga do doskonałości jest nieskończona dla każdego stworzenia, a jeżeli nie odzywają się do nas naszą „rozumną” mową, to przecież z tego samego powodu, który nam z kolei każe pozostawiać w błogim spokoju nasze sympatyczne rośliny i zwierzęta.

— I znów pan wrócił na to samo miejsce: do najbardziej zapalnego punktu w naszych wspólnych wywodach. Kiedy cały problem rozważamy w kategoriach fizyki, więc jej językiem, sytuacja wydaje się nam prawdopodobna i nie boli nas. Zmieńmy jednak tylko terminologię przy opisie dokładnie tego samego zjawiska, podstawmy zatem w miejsce „wyższa postać materii” słowo „Nadistota”, niekoniecznie pisane z dużej litery, a już jakiś obrońca fałszywie pojmowanego humanizmu spali nas na stosie w imieniu najwyższego kultu, o którym nie wiadomo właściwie, czym on jest. Ręczę panu, że żaden człowiek, nawet mieszkańcy uniesionego miasta, a w ich liczbie może również i my sami, którzy zbudowaliśmy tę śmiałą teorię (Teorię Względności Życia) — nikt dosłownie z naszej trzeciej generacji nie uwierzy w Nadistoty. Cały krąg nie denerwuje nas. Ale jego krótki łuk, ten akurat kawałek, gdzie ktoś nas — zwykłą koleją rzeczy — musi wyprzedzać, wydaje się nam absurdalny. Szokuje nas myśl, że nie jesteśmy we Wszechświecie najważniejsi w danej chwili. Jest to problem nie fizyki — ale wyłącznie ambicji, do którego żadna nauka ani jej argumenty nie mają dostępu. Detronizując siebie samych w hierarchii bytów, wywołujemy we własnych umysłach taki sam szok, jaki wywołał Kopernik swoją krytyką systemu geocentrycznego w świadomości ludzi mu współczesnych. Wiemy dobrze, ile czasu było potrzeba na obalenie geocentryzmu. Obecnie panuje na Ziemi niewiele mniej mroczna epoka antropocentryzmu, ciasny pogląd, odmiana tego samego kultu. Rozkoszujemy się złudną świadomością, że wprawdzie prawa natury są nieubłagane, lecz na całe szczęście one nas wcale nie dotyczą, gdyż walka o byt toczy się nisko u naszych stóp. My sami — odkrywcy tego uniwersalnego prawa — we własnym mniemaniu stoimy już poza nią, jako ostateczni zwycięzcy: na samym szczycie łańcucha pokarmowego. Nie chcemy, nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, że ktoś może nas co dzień pożerać bez użycia siekaczy. I biada takiemu heretykowi, który by nas kiedy wyprowadzał z błędu. Pójdzie na stos, gdyż zawsze będą istniały jakieś *kościóły* razem ze swym nie spisanim prawem powszechnego ciężenia wstecz. Nigdy nie uwierzymy w Nadistoty. Nie możemy uwierzyć, że wysoko nad nami, wśród niebosiężnych poziomów wielowymiarowego Wszechświata trwa wciąż równie zażarta walka na życie i śmierć, walka o kolejną postać materii. Że między innymi zmagają

się tam w bezlitosnych zapasach takiej potęgi, o jakich nam się nawet nie śni, i że znacznie niżej — lub wyżej, z innego punktu widzenia — najpierw nasze zwierzęce ciała, a potem umysły biorą w niej udział całkiem nieświadomie, jako kolejne, szeregowy ogniwa tego nieskończonego ciągu, w którym nie ma takich słów, jak „żywe i martwe” oraz „wysokie i niskie” lub „dobre i złe” — tylko są same konfiguracje, stany prawdopodobieństwa, potencjały, bieguny i fale, przemieszczenia, błyskawiczne skoki i spadki, wolne przemiany, osobowości w osobowościach, ciągłe odstępstwa od poprzednich norm, związane ściśle nieustannym dążeniem do zmiany fazy i do doskonałości niezmiennej, wyczerpana kombinacja układów tego, co istnieje, a jeszcze jest tam jakaś *myśl*, której niestety — lub na całe szczęście — nigdy nie zdołamy do samego końca przeniknąć. Ponadto uważam, że nikły blask tych niepozornych, drobniutkich „piegów” rozsianych w górze, które ledwie kiedy chcemy zauważyć na niebie nocą, jest wcale nie mniej ważny od spęczniałego codziennymi zabiegami *blasku* potężnych cielsk naszych wciąż nowych i coraz bardziej eleganckich samochodów, którym tu oddajemy bałwochwalczą cześć.

Teoria względności życia

Przenocowałem u Raniela, w jednym z jego pokoi, który odstąpił mi gościnnie na nieokreślony czas. Mój gospodarz wstał o siódmej rano, podczas gdy ja zostałem jeszcze pod kołdrą z trzydziestodzieciostopniową gorączką. Nie wiedziałem, czemu akurat tutaj — najpierw wśród posągów i robotów człekokształtnych, a potem między ludźmi opanowanymi gorączką konsumpcyjną przy obiektywnej obecności Nadistot jakaś „grypa” wydała mi się czymś ni w pięć, ni w dziewięć. Ale widać wirusy istniały niezależnie od tego, co aktualnie pochłaniało wszystkie moje myśli, i pracowicie robiły swoje, tak spokojnie, jakby otaczał je stary znajomy świat.

Po śniadaniu, które Raniel podał mi do łóżka, ani się spostrzeżliśmy, gdy rozmowa wróciła na wczorajsze tory, by rozwijać się dalej wokoło tych samych spraw. Raniel w oczekiwaniu na naznaczoną przez burmistrza godzinę zebrania Rady Miejskiej przechadzał się po pokoju, dzieląc się ze mną różnymi przypuszczeniami i wciągając mnie do dyskusji, w której z powodu osłabienia wywołanego rozwijającą się chorobą nie brałem zbyt aktywnego udziału. W pewnej chwili powiedział:

— Wiemy o tym już od dawna, że umysłu człowieka, jego określonego nastawienia i podstawowych motywów działania nie jest w stanie zmienić zasadniczo sam tylko choćby i najbardziej imponujący techniczny rozwój. Mamy teraz okazję spojrzeć na siebie oczami Nadistoty. Ciekawe, jaką szansę rozwojową widziałyby ona przed nami. Jedną z dróg naszego chwalebego postępu prowadzi od zwierzęcych kłów dryopiteka poprzez maczugę i łuk w stronę strzelby i karabinu maszynowego, mija czołg i osiągając bombę wodorową, mierzy dalej w nieskończoność gałęzią dokładnie równoległą do poziomu w drzewie ewolucji. Dokądkolwiek by jednak ona wiodła, już człowiek pierwotny siedzący tuż przy jej nasadzie, waląc balem drugi raz po łbie (drugi raz bez żadnej potrzeby) swego poległego wcześniej wroga, mógłby zauważyć fakt zdumiewający: że trup (jako żywo!) nie daje się ani stopniować, ani też podnosić do kolejnej potęgi. Weźmy teraz pod uwagę

inną gałąź rozwojową, która — co pan wczoraj zauważył — jako najwyższy pokojowy ideał zaprzęta głównie nasze umysły, więc indywidualny środek lokomocji. Nie warto już opisywać jego kolejnych przemian na drodze do niewątpliwej doskonałości. Samochód osobowy (rzecz prosta w przypadku, gdy nie jest tylko opisanym już raz nieruchomym nawozem sztucznym, czyli tym ciągiem bodźców napływających do świadomości z zamkniętego na dwa spusty garażu), jaki wytworny by nie był, służy do tego celu, by swego właściciela przewieźć z punktu A do punktu B, przy czym — co znów osobliwe — bez względu na długość drogi AB, w punkcie B (więc u celu) pasażer konstatuje na ogół bez wstrząsu, że w Nadistotę jeszcze się nie przemienił. Ale za to zgodnie z własną wolą (jeśli wsiadł do auta dla samej przyjemności) przemienił się we wnuka owego dryopiteka, gdyż tylko zatrzasnąwszy drzwiczki, bieży co tchu w rozdętych spalinami płucach ku tym gajom zielonym (które rosły mu w myślach przez pięć dni tygodnia) i wraz z całą rodziną w pustelni bez życia stacza bój o ostatnią kępę trawy z drugim, też otoczonym nieszczęsnymi dziećmi, równie pierwotnym i nikczemnym przeciwnikiem.

— Rzeczywiście, jest takie zjawisko — przyznałem.

— Ale po co ja to panu mówię — ciągnął — skoro stagnacja, a też nierzadko regresja — są jawne, i skoro wiele gałęzi tego wspaniałego drzewa, jakim jest dla nas technika, zamiast skosem w górę, wysyła odnogi poziomo — na boki, dając nam złudzenie przyśpieszonego ruchu naprzód, przy coraz to wyższych susach na tym samym miejscu. Wszystkie te tunele (drażone przecież z największym wysiłkiem) przypominają mi do złudzenia ślepe korytarze w gmachu ewolucji: przy znanej skądinąd niemożności zwrotu wstecz — do windy, która by podniosła wzwyż, wciągają coraz głębiej w pustkę kogoś, kto już raz tam się zapędził.

— Pan sądzi, że gdyby istniała możliwość porozumienia się z przedstawicielami wszystkich znanych nam gatunków z pierwszej i drugiej generacji (a wiadomo, że liczba samych tylko gatunków zwierząt przekracza milion), wówczas każda roślina i zwierzę, czy to spośród rodzin skarłowaciałych, czy to z gromad do dziś jeszcze wegetujących, co się tylko rusza lub asymiluje, od eugleny przez drożdże, skrzypy i widłaki, wycoczki, robaki tak samo płaskie, jak obłe, i różne mięczaki aż

do stekowców, torbaczy i dalej — każde zatem żywe stworzenie oświadczyłoby osobno i kategorycznie, że to tylko i wyłącznie o jego gatunek chodziło całej ewolucji?

— Tego się boję!

— Innymi słowy podejrzewa pan, że nie bacząc na znikomą szansę, mniejszą od jednej na milion, każda roślina lub zwierzę, zapytane o to, widziałyby siebie w ostatnim i nie przewyższonym do dziś segmencie tego głównego pnia rozwojowego, przez który prowadzi jedyna droga do szczytu ewolucji, i że przedstawiciel każdego gatunku znalazłby wiele niepodważalnych dla siebie dowodów na potwierdzenie własnej dominacji?

— Niestety. Taka, ni mniej ni więcej, trwożna myśl przeleciała mi przez głowę i sparaliżowała mi wszystkie członki, gdy spojrzałem na siebie oczami wyższej cywilizacji. Gdyż identyczny nakaz naturalny, który tamtym euglenom i torbaczom nie zezwala na dostrzeżenie umysłów ludzi, nam z kolei nie pozwoli nigdy uwierzyć w Nadistoty. Bo niech pan zauważy, co ludziom pozwala sądzić, że oni stoją na samym szczycie: swój własny iloraz doskonałości, a nie jakakolwiek sugestia z zewnątrz. Wspomniał pan już rano o nim. Przykładając swe osiągnięcia, które u nas mają naturę technologiczną, do własnych nie mniej technologicznych ideałów, siłą prostej arytmetyki otrzymujemy wskaźnik zbliżony do jedności, która jest samą doskonałością w tym ilorazie. Lecz czy każde dziecko nie wie, że w zbiorze liczb dodatnich wartość ułamka rośnie, kiedy tylko przy stałym liczniku maleje jego mianownik? Wie pan, ja w końcu pomyślałem o tym, czy my pod jakimś względem nie jesteśmy w ich oczach tymi pociesznymi gadami mezozoicznymi, które — gdy już zraz dostrzegły sposobność do szybkiego przybierania na wadze — popadły zaraz w gigantomanie, by jeszcze bardziej wyprzedzić swych konkurentów w tej fazie materii, i przez sto milionów lat przytłaczającej dominacji osiągnęły taką wartość ilorazu doskonałości, o jakiej my dziś jeszcze nie możemy marzyć.

— Zapewne — zgodziłem się. — W tym okresie ewolucji, który w porównaniu z dziejami ludzkiej cywilizacji wydaje się całą wiecznością, w czasie szczytu drugiej generacji, więc w erze nieomal bezmózgich brył żywego mięsa, znalezienie możliwości nieograniczonego potęgowania masy żywych tkanek dawało swym odkrywcom miazdzącą przewagę w

wyścigach do ówczesnego ideału.

— Mam na myśli dinozaury — uzupełnił Raniel — a w ich liczbie zwłaszcza brontozaura, gada o mózdzku wielkości piąstki wzniesionym na szczycie trzydziestotonowej mięsnej góry, który w swym ilorazie doskonałości, kładąc pod kreskę ułamkową wizję całego globu ziemskiego wykonanego z indywidualnej porcji mięsa, sam — w celu sprawdzenia słuszności obranej raz na zawsze drogi ewolucyjnej — lokował nad kreską górę swego ponad miarę przetuczonego ciała. Odczytując imponujący wynik pomiaru, gad ów patrzył z pogardą na pętającego mu się pod nogami naszego pradziada, żałośnie naówczas wyglądającego prassaka. Brontozaur sprawdzał też nieustannie słuszność prawa Archimedesasa, atoli nie dla ochoty samej — jeno z przykrej konieczności: musiał bowiem aż po swój mózdzek tkwić cały zanurzony w wodzie lub w błocie, by ulżyć nieco ciężaru niedorozwiniętym nogom. Były również giganty w świecie roślinnym: skrzypy i widłaki. Po tych i po tamtych generacjach z ich szczytu, miast chwały kosmicznej, pozostały dla nas ciche znaki zapytania: złoża węgla i pokłady ropy. A ile razy ewolucja popełniała takie błędy? Tyle, ile tylko próbowała — z wyjątkiem jednego przypadku. Siebie mamy na myśli. Lecz ani dzieje Ziemi, ani jej bliższych i dalszych okolic nie są jeszcze zakończone, bo czas się nie zatrzymał i nigdy nie stanie w miejscu. Ewolucja nie wypowiedziała jeszcze swego ostatniego zdania i nieprędko je wypowie. Znowu minie wiele milionów lat. Wspaniałą terażniejszość pokryją nowe grube warstwy dziejów, kolejne długie okresy i ery. Ja uważam, że ludzie nie podniosą się na wyższy poziom, na tę górną warstwę, która wciąż rośnie w coraz większym tempie, tylko na drodze rozdymania cielska swojej technologii, tylko dzięki mechanicznej i chemicznej obróbce i przeróbce materii oraz przez samą konsumpcję rzeczy, obojętnie — czy ze swymi umysłami zostaną tu na starej Ziemi, czy jak tamten opisany już pasażer auta ufni w cudowne właściwości szybkiej jazdy przeniosą gwiazdolotami swe ciała i karmione wciąż jedną treścią umysły z punktu A do B, jakkolwiek by się ten drugi nazywał. Ciekawe, jakiego rodzaju dowcipne obrazki będą malowały na nasz temat dla uciechy swoich dzieci nasze lokalne Nadistoty, do których musi przecież doprowadzić w końcu ewolucja ziemiska, gdyby się okazało, że my sami razem, ze swym konsumpcyjnym kultem rzeczy wpadliśmy w

niski i ślepy korytarz, w jedną z tych najbardziej prawdopodobnych i błędnych odnóg ziemskiej ewolucji, która wcale do nich w prostej linii nie prowadzi. Gdybyśmy przynajmniej zupełnie wymarli, jak tamte szczęśliwe w końcu mezozoiczne gady to mniejsza, kto sobie z nas w dalekiej przyszłości zakpi. Ale jeśli nasi potomkowie przetrwają w nieznacznie tylko zmienionej postaci (jak do dziś przetrwała wielka liczba gatunków) i mnożyć się będą bez liku w przerwach między podskokami w miejscu, jeśli więc dotrą do tamtej zasadniczo już wyższej ery z tymi samymi myślami w głowach, jakie my dziś do połysku polerujemy — to co innego może się zdarzyć, jakie inne miejsce dla naszych prawnuków mogą znaleźć w swym świecie ziemskie Nadistoty, jeśli nie wyższego rodzaju zamknięte tereny zoologiczne? I nie to jest przerażające w tej teoretycznej możliwości, iżby naszym prawnukom w nowych klatkach bez prętów było zasadniczo źle. Żeby tam głodowali lub nie mogli uprawiać swej starej technologii, rozmnażając się wciąż — o nie! Na odwrót: to jest raczej straszne dla mnie, że im tam będzie wspaniale!

— Sądzi pan?

— Będzie im bardzo dobrze, gdyż wcale nie zorientują się, o co chodzi, tak jak nasze dzisiejsze zwierzęta nie są w stanie się zorientować, kim one dla nas właściwie są. Nikt z ludzi nowego świata nie zniży się do ich poziomu, by im cokolwiek wyjaśnić, jednak nie przez jakąś złośliwość, ale z tego tylko obiektywnego powodu, że to będzie niemożliwe. Będą więc mogli dalej sobie wierzyć, że panują niepodzielnie nad całym światem i odkrywając coraz to nowe środki masowej zagłady, będą mogli nimi tępić się wzajemnie, bo nikt im nie zabierze pierwotnej wolności. Zostaną jednak całkowicie odizolowani od spraw ziemskich Nadistot, gdyż to — co by brali w swej naiwności za naturalne i „dzikie” prawa przyrody — niczym innym nie będzie, tylko wnętrzem owej klatki bez prętów: obszernym zespołem praw całkowicie zbadanych, zjawisk ujarzmionych i kontrolowanych działalnością tamtych, spoza których muru żaden nowy małpolud nie wystawi nosa. Taka sytuacja nie wypłynie oczywiście z potrzeby zadowolenia jakiegoś okrucieństwa przyszłych ludzi: zespół zjawisk dociśnięty zostanie twardą śrubą nietolerancji z tych samych powodów, które nam dziś każą ogradzać rezerваты dzikich zwierząt.

— To jest wizja niezbyt zachęcająca — wzdrygnąłem się.

— Ale teoretycznie niewykluczona, musi pan w końcu przyznać. Ewolucja nie takie w swych dziejach płatała figle. Lecz przecież my w gruncie rzeczy nie tylko w Nadistoty nie uwierzimy, ale przede wszystkim nie traktujemy poważnie naukowych odkryć zawartych w podsumowaniach rozwoju naszej ziemskiej ewolucji. No tak! Bo choćby tuż po dokładnym zapoznaniu się z jej dziejami jak gdyby nigdy nic wyobrażamy sobie, że po dwóch miliardach lat jej nieustannego panowania — w tym akurat ułamku sekundy kosmicznej, w którym mija całe nasze życie — nagle wszystkie jej prawa przestały obowiązywać. Ufnie wyobrażamy sobie, że dzięki naszej genialnej technologii wszyscy ludzie, jacy obecnie na kuli ziemskiej istnieją, maszerują ku nowym erom zwartą kolumną, z której w tyle nie zostaje nikt.

— Tego sobie nie wyobrażamy — zaprzeczyłem. — Może tylko nieliczni tak naiwnie myślą.

— Nieliczni?

— Zdaje się, że już wiem, co pan zaraz powie.

— Ano powiem, że tak, jak to wcześniej sformułowałem, myślą z reguły ludzie w krajach opanowanych starymi ideałami swobodnej konkurencji ekonomicznej, do których i nasz należy, zaś ich ziemscy sąsiedzi myślą na ogół zupełnie inaczej, ponieważ z lekcji danej wszystkim gatunkom przez ewolucję wyciągnęli w porę odpowiednie wnioski.

— Domyślam się, że wskazuje pan na europejskie kraje socjalistyczne.

— Tak. I nietrudno to było zauważyć, że już od wczoraj kwestionowałem nasze ideały nie po to, by obdarte z nich nasze umysły zawisły w całkowitej próżni. Miałem wtedy cały czas na uwadze wysiłek ludzi, którzy od lat z powodzeniem wznoszą podstawy ustroju społecznego opartego na odmiennych niż u nas zasadach gospodarczych i filozoficznych i — co z tego wynika na innych stosunkach międzyludzkich. Powiem panu wreszcie otwarcie, choć u nas zabrzmiałoby to jak niewybaczalna herezja: rewolucja była krótkotrwałym i koniecznym wstrząsem, który wytrącił wreszcie z wielowiekowego letargu tanto zanurzone w bagnie i drżące z rozkoszy brontozaurowe cielsko. Nie będę już mówił o wstępnej, palącej potrzebie zniesienia wyzysku klasowego i

skierowania środków produkcji w społeczne ręce, gdyż ta konieczność nie wymaga żadnych komentarzy. Rewolucja była śmiałą i zakończoną powodzeniem próbą obalenia narosłego już nazbyt krótkowzrocznego przekonania, że trwałe — choć przelewane z koryta w koryto — i miętoszone od monarchii przez feudalizm oraz kapitalizm aż do imperializmu, jak gigantyczny blok gumy do żucia, objawy choroby naszej cywilizacji same w końcu jakoś ustąpią i że trzeba tylko czekać cierpliwie na kolejny — technologiczny! — jeszcze wyższy od poprzednich sus w miejscu. Była gwałtownym zwrotem, warunkiem niezbędnym do urzeczywistnienia szansy, jaka wreszcie wyłoniła się przed ludzkością. Bez niej niemożliwa byłaby jakakolwiek zasadnicza zmiana powszechnego nieomal nastawienia ludzi na młóckę konsumpcyjną, nastawienia skupionego w przejawach mniej lub więcej brutalnej walki o indywidualne opanowanie środków i wytworów produkcji ze wszystkich dziedzin technologii, przy odpowiednio skarłałym poziomie innych ideałów, w atmosferze przesyconej jednym tylko rodzajem wartości, w którym probierzem człowieczeństwa stawała się liczba podporządkowanych sobie niewolników-żywcielei, wysokość konta bankowego lub góry zgromadzonych dóbr, a dziś najczęściej inteligencja, której szczytem są popisy cwaniactwa osobników przepychających się z kwikiem wokoło wszelkiego rodzaju koryt — bez niej nie byłoby więc mowy o realizacji gruntownej zmiany jakościowej. A czy my dotąd mówiliśmy o czym innym, jeśli nie o naglącej potrzebie zmiany *jakościowej* w nastawieniu naszych umysłów?

— Rzecz prosta, potrzeba taka wyłania się automatycznie, jeżeli nie mamy zamiaru występować kiedyś w charakterze pokładów węgla i ropy naftowej — zgodziłem się. — Tutaj, gdzie przewożeni jesteście mimo woli w naszym własnym sosie, perspektywiczny kryzys ideałów, którym oddajemy hołd, rzuca się w oczy aż nadto ostro. Zastanawiam się, na czym taka zmiana mogłaby polegać, i wydaje mi się, że znowu dochodzimy do zbieżnych wniosków.

— Ale tu już słyszę głosy przeróżnych naszych teoretyków obwieszczające, że zmiana jakościowa wyłoni się w końcu niejako sama przez się, więc niepostrzeżenie, akurat w chwili, gdy już zostanie wreszcie nasycony konsumpcyjny głód. Podnoszą się sugestie, że mentalnością ludzi należy się zająć dopiero wtedy, gdy „elementarne

potrzeby” przybywania na wadze zostaną całkowicie zaspokojone. Czy jednak na mocy dowodów zgromadzonych przez ewolucję w czasie dwóch miliardów lat lub choćby tylko na podstawie własnego codziennego doświadczenia nie możemy dojść do uderzającego wniosku, że przy raz nastawionym w jedną stronę małym umyśle brontozaurowe cielsko będzie puchło w bagnie jeszcze przez następne miliony lat? Socjalizm pokazał nam, że trzeba szukać innych wartości poza czysto konsumpcyjnymi, bo one mają zbyt krótkie nogi do długiej wędrówki w przyszłość. Dostrzegł szansę człowieczeństwa w najszerszym upowszechnieniu zdobyczy nauki i kultury (nawet kosztem pewnej porcji sadła na korzyść zmiany jakościowej, której to decyzji żaden dinozaur nigdy by nie pojął, patrząc z ukosa na prassaka) i wcale nie rezygnując ze wszelkich wygod cieleśnych ani z dążenia do dobrobytu materialnego, skierował główną uwagę swego społeczeństwa na potrzebę kształtowania umysłu nowego człowieka według zasad opartych na innej hierarchii wartości. Ale czy te wartości sformułowane są w jakimś kamiennym bloku dziesięciorga przykazań? Nic podobnego! Nikt nie jest w stanie raz na zawsze wyczerpać ani ich liczby, ani treści. Stworzone zostały tam tylko niezbędne warunki, w których one mogą wyłaniać się i — przy aktywnej postawie jednostek — wszechstronnie rozwijać. I tu oczywiście jak łatwo to było przewidzieć i co musi potwierdzić doświadczenie — istnieje coś w rodzaju zasady bezwładności: tym trudniej jest zmienić kierunek nastawienia umysłu, z im większą prędkością unosi się on w terażniejszości (to znaczy im bardziej powierzchownie traktuje rzeczywistość) i im większą bezwładność wykazuje balast nagromadzonych w nim bądź też przekazanych mu starych nawyków. Prawa ewolucji odnoszą się również do umysłu. Jednym z nich jest nieunikniona powolność podstawowych przemian psychicznych. Jak te było w przypadku wielokrotnych kataklizmów, zmian klimatu i ruchów górotwórczych w dziejach Ziemi, które odezwały się potężnym echem we wszystkich okresach ewolucji biologicznej i stworzyły naówczas podstawy do zasadniczych przemian jakościowych — zmiana warunków zewnętrznych może nastąpić i następuje najczęściej dość raptownie. Na poziomie umysłów odpowiednią zmianę warunków wywołuje rewolucja społeczna. Po niej następuje okres powolnych postępowych przemian w nastawieniu

umysłów, ale już w innym kierunku. Zdobyte raz osiągnięte równie trudno byłoby usunąć całkowicie ze świadomości, jak niełatwo je było tam wprowadzić.

— Trzeba więc zwrócić się do przyszłości wcale nie doskonałej w jednej chwili i wcale nie po to tylko, by pieścić w sobie myśl o człowieczeństwie wnuków, ale choćby w celu codziennego podnoszenia własnej wartości. A trzeba to uczynić w końcu, by tak jak oni posuwać się naprzód, nie zaś jak my dotąd — mimo złudzenia pędu — dreptać w miejscu. Czas pracuje na niekorzyść stosunków imperialistycznych.

— Czas musi zrobić swoje, tak jak swoje zrobił w odniesieniu do gadów mezozoicznych współczesnych naszym pradziadom ssaków. Dziś, gdybym żył dalej na Ziemi, mógłbym tylko wyrazić obawę, że to nasze prawnuki będą kiedyś małpoludami w przyszłych ogrodach zoologicznych. Bo Nadistoty obce czy lokalne — jakkolwiek by je w końcu nazwać, jeśli duża litera drażni — są już lub będą w takim stopniu realne, w jakim rzeczywiste są dla nas wszystkie inne gatunki opóźnione znacznie w rozwoju w stosunku do współczesnego człowieka.

— Najbardziej nas chyba denerwuje w Nadistotach fakt, że — co już kilkakrotnie wykazaliśmy — muszą być one dla nas niewidzialne w swej zasadniczej postaci. Zgodnie z regułami płaskiego kojarzenia, w którym dla wygody lub z czystej konieczności zapomina się o argumentach przytaczanych kolejno na całej drodze rozumowania, ktoś mógłby powiedzieć, że Nadistoty w naszym ujęciu to nic innego tylko stary jak świat — Duch Święty.

— Na to nie ma żadnej rady — stwierdził lekceważącym tonem. — Tymi, którzy by tak pomyśleli, w ogóle nie warto się zajmować. Chyba nie rozminę się z pańskim zdaniem na ten temat, jeżeli — by już więcej nie wracać do tej kwestii — powiem jasno, że Pan Bóg dla nas to nie żaden Duch zewnętrzny, nie coś osobliwego poza nami, ale tylko nasza własna i wewnętrzna Postawa Bierna w stosunku do przyrody i jej zjawisk, to identyczne z naszą umysłowością, głębokie przekonanie, że należy się *jej*, to znaczy *mu* podporządkować bez żadnych absolutnie zastrzeżeń i że całą resztę tego nagiego i bardzo prostego faktu stanowią już tylko mniej lub bardziej pocieszne stroje, wszelkiego rodzaju ozdobne ornamenty, bez których gołe pojęcie Ducha Świętego wyglądałoby tak płasko i żałośnie, że sami byśmy je odrzucili ze wzgardą. W obleczonym w zawiłe

rytuały Duchu znajdujemy pełne uzasadnienie dla podtrzymywania kultu przenikającej nas własnej niemocy, dla potrzeby podporządkowania się Postawie Biernej i jej to tylko oddajemy bałwochwalczą cześć. A więc pojęcie Boga będzie istniało w umysłach Ludzi tak długo, jak długo obok Postawy Czynnej w stosunku do rzeczywistości istnieć będzie Postawa Bierna — to znaczy zawsze (również na wyższych poziomach generacyjnych), gdyż żadne doniosłe odkrycia naukowe ani argumenty nie będą miały nigdy do niej dostępu.

— Z tego wynika, że dyskutować z kimś nad odwiecznym problemem, czy Bóg jest, czy go nie ma — to dokładnie to samo, co spierać się z nim na temat jego własnej Postawy Biernej, którą on podnosi do najwyższej godności.

— Podzielim ten pogląd — powiedział. — Co się zaś tyczy Nadistot, to należy wyraźnie podkreślić, że są one organizmami śmiertelnymi. Chociaż ich materialnych ciał, tak jak własnych umysłów, nie możemy dotknąć wskazującym palcem, stoimy w znacznie lepszej sytuacji niż ci, którzy ich realnej obecności wcale sobie nie uświadamiają. Jeszcze raz spytam, jakie mamy podstawy, by sądzić, że istnieje tylko to, co postrzegamy bezpośrednio przy pomocy własnych zmysłów? Przecież na każdym kroku poznania naukowego dowiadujemy się, jak bardzo te zmysły są ograniczone i że przy ich pomocy dostrzegamy tylko znikomy fragment rzeczywistości materialnej.

— Chociażby zmysł wzroku — wtrąciłem. — Wiemy dobrze, jak wąskie jest pasmo fal, których obecność rejestruje oko, w porównaniu z szerokością całego widma elektromagnetycznego. To zaledwie jedna oktawa.

— A możliwości poznawcze pozostałych zmysłów? — spytał. — Czyż zwierzęta, które często znacznie lepiej kontaktują się z naturą za pośrednictwem swych bardziej wrażliwych zmysłów, mogłyby na tej podstawie utrzymywać, że lepiej od nas tę naturę rozumieją? Wreszcie — kto nam powiedział, że dysponujemy całym kompletem zmysłów: wszak natura wyposażyła nas tylko w te narządy, które są niezbędne do utrzymania się przy życiu na naszym poziomie, o to zaś, czy zdołamy to życie zrozumieć, sami już musimy się troszczyć. Na długiej drodze rozwoju fizyki było wiele zamieszania wokoło sprawy określenia atrybutów materii, jednak zdaje się tylko po to, aby filozofowie (a nie

fizycy) mieli jakiś twardy grunt pod nogami, by za jednym zamachem mogli oni osiągnąć niewzruszone przekonanie, że coś jest na pewno absolutnie niemożliwe, a coś innego bezwarunkowo musi zawsze zachodzić — bez której to przynajmniej jednej deski ratunku nie mogliby oni, zdaje się, w ogóle żyć. No i cała droga rozwoju nauki usiana została wieloma śmiesznymi nieporozumieniami, których łatwo można by było uniknąć, gdyby w porę przyjęte zostało dość oczywiste i możliwe najbardziej ogólne założenie, że materią jest to wszystko, czym się obecnie zajmujemy i czym będziemy się zajmowali kiedyś w swych rozważaniach nad obiektywną rzeczywistością, niezależnie od liczby sukcesów i porażek, jeżeli tylko naszym wysiłkiem kieruje potrzeba coraz to głębszego zrozumienia i postęp, a nie chęć upartego kołowania wokoło kilku wbitych w próżnię nietykalnych kołków granicznych. Potrzeba wprowadzenia owych absolutnych dogmatów (na każdym etapie wiedzy hamujących rozwój) zdaje się cechować ludzi z natury rzeczy w ogóle nie predestynowanych do zajmowania się nauką. Każda nowa myśl budzi w nas z reguły gwałtowny sprzeciw: próbujemy ją natychmiast obalić, jednak często nie przy pomocy argumentów, lecz przez uruchomienie gwałtownej gestykulacji, na czym cierpi tylko niewinne powietrze.

— Ja odnoszę podobne wrażenie. Pamiętamy, co się działo kiedyś, gdy wykazano, że Ziemia jest kulą (mimo że w całości nikt tego faktu nie mógł wówczas na własne oczy zobaczyć) lub kiedy Darwin, świadom ostrej reakcji, na jaką musiał się narazić, udowodnił między innymi, że ludzie współcześni i współczesne małpy człekokształtne (kto by to pomyślał: te bezduszne stworzenia!) mają wspólnych przodków w osobach pradryopiteków egzystujących w okresie oligoceńskiego ery kenozoicznej, chociaż znowu nikt z tamtymi przodkami osobiście nie rozmawiał, by oni ten fakt potwierdzili pełnym głosem.

— Znajdujemy się w znacznie lepszej sytuacji od tych, którzy sobie obecności Nadistot wcale nie uświadamiają, powtarzam. Najpierw drogą samego rozumowania (niejednokrotnie już gdzie indziej wydającego cenne owoce) sformułowaliśmy sam problem, dostrzegając go przede wszystkim, a następnie wskazaliśmy na pewne właściwości Nadistot wynikające bezpośrednio z ich miejsca zajmowanego w niepełnym systematycznym układzie bytów. Jest to bardzo mało, ale w każdym razie

wyłam w murze milczenia został wybity. Naszą Teorię Względności Życia przedstawimy wszystkim, których tu mogłaby ona zainteresować. Niech zostanie obalona lub rozwinięta na drodze dalszych analiz. Czas pewnie pokaże, że jeszcze inne głębokie tajemnice z liczby pozostałych zostaną kolejno odkryte. Najbardziej cenne jest dla nas spostrzeżenie, że możliwości Nadistot, chociaż znacznie bardziej rozległe od naszych, są jednak ściśle *ograniczone*. Warto byłoby zakreślić z nadmiarem granice ich zdolności inżynierskich i technologicznych, aby się okazało, w jakim stopniu mogą one ingerować w nasze ludzkie sprawy, a w jakim jesteśmy od nich całkowicie niezależni. Uświadamiając sobie zakres ich działalności, potrafimy im się przeciwstawiać, jeżeli będziemy mieli na to ochotę, gdyż uważam, że cały problem ma naturę wyłącznie ambicjonalną. Ja w każdym razie wolałbym. należeć do umysłów nieeksploatowanych.

— Ponieważ mną kieruje to samo uczucie — przyznałem się — już od wczoraj zastanawiam się nad możliwością wyzwolenia się spod ich wpływu, zwłaszcza że nasza sytuacja nie jest wcale taka trudna, jak to się na samym początku wydawało. Otóż dla osobników z generacji piątej (zatem dla umysłów Ponad-Nadistot, których ciała należą do czwartej generacji razem z umysłami Nadistot) nasze umysły są roślinami samożywnymi, ciała — związkami nieorganicznymi, rośliny w ogóle są dla nich niewidzialne, tak jak dla nas próżnia, zaś nasze związki nieorganiczne w ich systematycznym układzie leżą już po stronie antimaterii. Z tego widać, że ze strony generacji wyższych od piątej niebezpieczeństwo konsumpcyjne wcale nam nie zagraża. Sądzę, że Nadistoty i Ponad-Nadistoty mogą liczyć wyłącznie na nasz określony pęd konsumpcyjny, który pielęgnują w nas na drodze racjonalnej hodowli, gdy idzie o czwartą generację, lub metodami racjonalnej uprawy, gdybyśmy mieli na karku generację piątą.

— Niech pan teraz zauważy, że czym innym jest świadoma uprawa rośliny lub hodowla zwierzęcia, to znaczy dążenie do optymalnego ich rozwoju przez stwarzanie najbardziej korzystnych warunków wegetacji lub tuczu, jednakże bez możliwości przekroczenia naturalnych konieczności biologicznych — a czym innym jest konstruowanie roślin lub nawet zwierząt. Tym ostatnim zagadnieniem zajmuje się już technologia. Zadanie technologii biologicznej polegałaby na złamaniu

zakazu naturalnej ciągłości generacyjnej. Skonstruować ze związków nieorganicznych żywe ciało zwierzęcia lub człowieka to nic innego tylko zrealizować podwójny przeskok w łańcuchu generacji.

— To jest odrębny problem. Obecnie przedmiotem naszej technologii jest obróbka mechaniczna lub przeróbka chemiczna materiałów należących do zerowej generacji. Jednak wszelkiego rodzaju zabiegi zmieniają tylko kształt i strukturę materiału, nie podnosząc go przez to na wyższy szczebel generacyjny. Przykładem mogą być nasze komputery, wokoło których narosło wiele nieporozumień. W najbardziej złożonym komputerze nie może narodzić się i rozwijać ów fenomen świadomości, którego nawet najbardziej prymitywnym zwierzętom nie odmawiamy (gdyż świadomość stopniuje się), po prostu dlatego, że każda maszyna — jako utwór złożony z części makroskopowych wziętych z zerowej generacji — cała należy do klasy związków nieorganicznych. Zjawiska świadomości nie należy utożsamiać z układem napięć czy prądów przepływających w jakiejś złożonej sieci. Trzeba tu może najpierw podkreślić, że nasz systematyczny układ postaci materii nie ma nic wspólnego z piramidą coraz to mniejszych klocków wykonanych z jednego tworzywa i ustawionych jeden na drugim lub jeden we wnętrzu drugiego. Każda następna postać jest *stanem* poprzedniej w szeregu, który się wyłania automatycznie w poprzedniej strukturze, gdy tylko zostaną spełnione niezbędne warunki. Kolejna postać jest mniej prawdopodobna od poprzedniej. Ponieważ zmiany gromadzą się w sposób ciągły, mamy pełną ciągłość w łańcuchu generacji. Wobec powyższego żadna zdolna do abstrahowania świadomość (żaden umysł) nie może oprzeć na maszynie swej egzystencji, ponieważ nie może być stanem postaci materii stojącej o trzy stopnie niżej w szeregu. Uważam, że by zerwać ostatecznie z tradycją teologiczną — należy wprowadzić niezbędne pojęcie: „intensywność świadomości”, która zgodnie ze stanem faktycznym daje się płynnie stopniować na wielkiej skali, począwszy od zera. Już niepozorny wiciowiec obdarzony nikłą świadomością stoi wyżej w hierarchii bytów od najbardziej sprawnej maszyny, czy to tylko liczącej, czy też wykonującej skomplikowane operacje manipulacyjne obok jeszcze bardziej złożonych przekształceń logicznych, umysł ludzki zaś dzieli od maszyny przepaść niejako podniesiona do trzeciej potęgi. Lecz przepaści

tej nie tworzy doskonała pamięć ani wielka liczba kombinacji bitowych, ani też szybkość i precyzja operacji logicznych, tylko — całkowicie choćby pozbawiona tamtych cech — wysoka intensywność świadomości, która również w chwilach całkowitej bezmyślności wcale nie przestaje istnieć, choć nie ma nic do wyrażenia, prócz tego nie ubranego w żadne pojęcia faktu, że „teraz tu pod czaszką — jest”. Mamy tu bowiem dwa zasadniczo różne zjawiska: rozumowanie i świadomość. Pierwsze w żadnym wypadku nie wywołuje i nigdy nie może wywołać drugiego. Natomiast jednym z przejawów drugiego może, ale nie musi być pierwsze. Świadomość zdolną do rozumowania choćby najbardziej prostego nazywamy umysłem.

— To jest ważne z punktu widzenia naszej teorii odezwał się Raniel.
— Fakt, że gdzieś — obojętnie, w jakim układzie — dokonują się przekształcenia logiczne, wcale nie implikuje w nim zjawiska świadomości, istnienia której trudno odmówić nawet zwierzętom z niższych szczebli. Szybkie i precyzyjne zmiany konfiguracji ziarenek w dowolnie wielkiej bryle piasku, choćby ilustrowały przebieg najbardziej złożonego rozumowania, nie są w stanie podnieść świadomości tej bryły z absolutnego zera.

— Przypuszczam, że umysłem można nazwać dopiero świadomość na poziomie małpoluda.

— A umysły Nadistot? — spytał.

— Świadomość Nadistoty jest zapewne wiele razy bardziej intensywna od ludzkiej.

— Pewnie jedna przy drugiej wygląda tak, jak ostry obraz pełnej jawy zalany jasnym światłem danej chwili przy mglistej wizji zapomnianego już prawie szarego snu.

— Niewykluczone, że dysproporcja jest aż tak wielka — zgodziłem się. — Nasze umysły postrzegają materię z trzech faz od siebie niższych (od zerowej do drugiej włącznie) za pośrednictwem pięciu zmysłów swych ciał. Żaden ludzki umysł nie jest w stanie osiąść w bezpośrednim akcie postrzegania postaci bytu z fazy trzeciej, do której sam należy, to znaczy nie jest w stanie objąć umysłu ani wcielić się w świadomość drugiego człowieka inaczej jak przez pojęciowe analogie oparte wyłącznie na własnej introspekcji, które jednakże tyle mają wspólnego z prawdziwym aktem postrzegania, co nasze obecne rozważania

prowadzone na temat natury Nadistot — z ich rzeczywistym obrazem.

— Już ten doniosły fakt empiryczny powinien nas zastanowić...

— Natomiast — przerwałem mu, by skończyć tamtą myśl — ów fenomenalny akt postrzegania, w którym umysł postrzega sam siebie, jest właśnie samą świadomością. W drugim człowieku dostrzegamy wyłącznie jego ciało oraz strzępy aktywności umysłowej zniekształcone koniecznością używania symboli, nie widzimy zaś i nie możemy nigdy ujrzeć jego świadomości. Na podstawie drugorzędnych przejawów rozpoznajemy w niej drugą świadomość — to znaczy domyślamy się, że ona jest — z tym większą łatwością, że jej wewnętrzna budowa zbliżona jest do naszej, i analizujemy jej naturę przez powoływanie się na układ analogii. Realna (mimo braku namacalnych dowodów) obecność świadomości drugiego człowieka utwierdza nas najpierw w przekonaniu, że może istnieć coś, czego w ogóle nie postrzegamy bezpośrednio, a następnie wskazuje na możliwość istnienia kolejnych faz materii wyżej zorganizowanej, pomimo naszych ambicjonalnych sprzeciwów. Idealiści subiektywni kwestionują w ogóle obecność innych świadomości prócz własnej (z powodu braku namacalnych dowodów). Przyjdzie czas, gdy chowanie głowy w piasek na dźwięk słów „czwarta generacja” będzie miało taki sam idealistyczny charakter.

— Nadistoty i Ponad-Nadistoty mogą wprawdzie hodować lub uprawiać nasze umysły, następnie postrzegają je wprost swymi zmysłami, tak jak my widzimy własne ciała, lecz struktura ludzkiej świadomości (znów tak jak budowa naszych ciał dla nas) stanowi dla nich jakąś zagadkę, więc nie mogą jej skonstruować bezpośrednio z materiałów generacji niższej ani nie są w stanie sterować naszymi myślami, czy też ograniczać nam wolną wolę. A wie pan, dlaczego?

— No?

— Najpierw proszę zauważyć, że w łańcuchu umysłów, którego pierwszym ogniwem jest nasz własny, ciało danego umysłu należy zawsze do generacji poprzedniej.

— Spostrzegłem to.

— I dalej: już raz wyklucziliśmy możliwość ingerencji w nasze sprawy ze strony istot należących do generacji wyższej niż piąta — przypomniął.

— Pamiętam.

— Otóż widać to dobrze na niższych szczeblach, że w łańcuchu kolejnych postaci bytu obowiązuje reguła okresowych przesunięć. Gdy dana generacja z szeregu umysłów — którakolwiek — osiąga już taką wiedzę i sprawność technologiczną, że materiałem jej przeróbki staje się generacja o jeden stopień wyższa, czyli gdy osiąga ona zdolność konstruowania własnego ciała, wówczas jej byt materialny zajmuje następne miejsce w szeregu bytów i — co również jest koniecznością — jej problemy oraz możliwości konsumpcyjne ulegają przesunięciu też o jeden szczebel wyżej (zgodnie z wymaganiami nowego miejsca w układzie).

— Możemy zastanowić się teraz, jak wyglądałaby przyszłość człowieka, gdyby — wbrew temu, co wykazaliśmy dotąd — umysł jego był już ostatnim ogniwem w omawianym szeregu bytów, więc gdyby w ogóle wykluczyć z naszych rozważań Nadistoty i Ponad-Nadistoty oraz gdyby uznać, że sformułowana przez pana reguła okresowych przesunięć nie ma nic wspólnego z uniwersalnym i naturalnym prawem, które potwierdza tylko znaną myśl o nieskończoności postępu.

— Nie musimy się nad tym zastanawiać — powiedział. — Cybernetyka razem z technologią biologiczną dała nam już perspektywiczny obraz, którego kontemplacja — przyznajmy to wreszcie — bardziej niż realna wizja Nadistot jeży włosy na głowie. Już w czasie trzeciego tysiąclecia człowiek — powodowany słuszną chęcią spotęgowania wszystkich swych wartościowych cech, które w nim samym zgodnie z prawami ewolucji rozwijają się zbyt ślamazarnie — przeniesie swe osobiste walory na *rzeczy*. Otoczy się więc człekozwierzami (nie wyhodowanymi, lecz skonstruowanymi), które wszelako tylko z nazwy będą takie niesympatyczne, gdyż w istocie rzeczy będą to piękne kobiety i przystojni mężczyźni — a powoła je do życia początkowo tylko w tym celu, by wyręczać się nimi we wszystkich dziedzinach pracy. Sądzę, że nie odkryję żadnej osobliwej prawdy, gdy powiem, że pojęcie *cudu* jest bardziej względne niż ruch w teorii względności. W końcu (to jest tylko kwestia czasu!) w miarę wyłaniania się kolejnych możliwości zostanie zrealizowane dosłownie to wszystko, o czym ludzie dzisiaj marzą i czego będą pragnęli kiedykolwiek w przyszłości, gdyż prawdziwa futurologia nie opiera swoich długoterminowych prognoz na analizie aktualnego stanu posiadania ani

nie na możliwości potęgowania tego, co już dziś osiągnięte — lecz na rzeczywistych lub urojonych potrzebach ludzkich. Te ostatnie są ośrodkami zainteresowania teoretycznego i praktycznego, są węzłami napędowymi ludzkiej działalności. I choć nigdy dokładnie nie można wskazać dróg wiodących do danego celu, przecież cel ten jest zawsze doskonale znany, gdyż określają go jednoznacznie nasze potrzeby.

— Ma pan rację twierdząc, że my już dziś dobrze wiemy, co w przyszłości zostanie osiągnięte z liczby naszych dzisiejszych marzeń. Odpowiedź brzmi: wszystko.

— A oto przykłady. Wprawdzie nikt w starożytności nie zdołałby przewidzieć rozwoju wiedzy o elektryczności, ale za to każdy myślał sobie wtedy, jak by to było dobrze: „Pstryk — i już jasno”. Tak samo o telewizji nie było wtedy ani widu, ani słychu, ale coś mi mówi, że niejeden już wówczas fantazjował: „Hokus-pokus i już widzę, co się dzieje na drugim końcu miasta”. To samo można powiedzieć o każdym wynalazku.

— Słowem, wiemy dobrze, co osiągniemy, gdyż kierunek rozwoju cywilizacji dyktuje natura ludzka — spróbowałem podsumować.

— Chociaż nie znamy dziś kształtu formalnych rozwiązań, merytorycznie doczekają się urzeczywistnienia wszystkie projekty, jakie powoła nasza wyobraźnia na jawie i we śnie, bez względu na to, czy przyniosą nam one szczęście, czy zmartwienie i bez względu na znajomość psychologicznej prawdy, że mimo zaspokajania kolejnych potrzeb wskaźnik zadowolenia z siebie wyrażony tamtym ilorazem doskonałości na każdym etapie będzie się utrzymywał wciąż na jednakowym poziomie. My dzisiaj często, jak ta przykładowa kura zażenowana myślą, że zbyt wysoką grzędę wyobraziła sobie w kurniku, rumienimy się ze wstydu, wskazując na cel zdawałoby się nieosiągalny, gdyż sądzimy, że to przyroda uniemożliwi nam zdobycie tamtego szczytu. A tymczasem natura śmieje się z nas z niezmiernej wysokości swych niewyczerpanych cudów, tak jak my pokpiwamy sobie z mikroskopijnych tęsknot naszej kury.

— Więc pan uważa, że hamulcem rozwojowym danej cywilizacji wspierającej się na określonych umysłach nie są jakieś absolutne, nigdy nieprzekraczalne bariery obiektywne, lecz tylko granice zakreślone wiedzą danej chwili oraz niedomagania wyobraźni?

— Jestem o tym przekonany, chociaż nie umiałbym powołać się tu na nic innego, tylko znów na same analogie.

— Jednak to była mimowolna dygresja, gdyż pan, zdaje się, chciał o czym innym mówić.

— Chciałem wskazać na znane wnioski wypływające z błędnego mniemania, jakoby intensywność świadomości była wprost proporcjonalna do stopnia komplikacji przekształceń logicznych dokonujących się w danym układzie i jakoby te przekształcenia w ogóle jej obecność w danej chwili warunkowały. Futurologia wychodząca z takiego założenia musi — w konsekwencji — dać nam następujący apokaliptyczny wręcz obraz przyszłości. Najpierw wiadomo, że człowiek zrealizuje to (gdzieś) dokładnie to wszystko, na co pozwoli mu aktualny stan wiedzy, jeżeli tylko wyłoni się okazja (mamy na to zbyt wiele doświadczeń, by łączyć się inną wizją), obojętnie, jaki ładunek niebezpieczeństw obok postępowych zdobyczy przyniesie kolejny krok naprzód, czy podda się naciskom racjonalnym, czy gdzie indziej będzie chciał zadowolić swe wymagania artystyczne lub niekiedy perwersyjne, czy wreszcie będzie nim kierowało samo tylko dążenie do osiągnięcia rekordu w każdej dosłownie dziedzinie.

— Zatem na budowie komputerów (wciąż jeszcze na poziomie zerowego szczebla), których układy logiczne zdolne będą do prowadzenia analiz wielokrotnie bardziej złożonych od komplikacji przekształceń rozwijanych na poziomie ludzkich umysłów, droga rozwoju nie może się skończyć — powiedziałem.

— Na tym etapie doskonalenie narzędzi nie może się skończyć — powtórzył. — Ale już w tym czasie przynajmniej sam umysł człowieka zostanie daleko w tyle za maszyną (wciąż snuję wizję kontrowersyjną w stosunku do naszej), gdyż — podobno — ona również będzie obdarzona świadomością i to wiele razy bardziej intensywną od ludzkiej, jeżeli — co nam mówią — stopień komplikacji mechanicznych przekształceń logicznych ma decydować o poziomie świadomości. I nic tu nie pomogą rzekome pociechy cybernetyczne, że na wyjściu danego układu nie można otrzymać nic więcej, niż się wprowadziło do jego wejścia, gdyż kto to może wiedzieć, jaką zasadniczą zmianę jakościową wywoła w końcu ustawiczne mnożenie ilości informacji i potęgowanie zdolności manipulacyjnych układu.

— Dalej przyjdzie kolej na technologię biologiczną — podsunąłem.

— Przyjdzie na nią kolej już w pierwszym wieku trzeciego tysiąclecia, jeżeli przy pracy w pokojowych warunkach ludzkość zdoła opanować skutki eksplozji demograficznej. W czasie kolejnych wieków jej wciąż przyśpieszonego rozwoju wyłoni się wreszcie możliwość skonstruowania ciała ludzkiego i mózgu naturalnego, na którym będzie mogła oprzeć swoją egzystencję rzeczywistość (już tym razem) świadomość o intensywności znacznie przekraczającej poziom współczesnego umysłu. W tym okresie człowiek — powodowany najróżnorodniejszymi potrzebami, czy to rzeczywistymi, czy urojonymi — skoro tylko wyłoni się możliwość, powoła do życia istoty, które pod każdym względem, tak cielesnym, jak i duchowym, przewyższą go wielokrotnie i będą go coraz bardziej przerastały, gdyż absolutny rekord w tej dziedzinie (tak jak w każdej innej) nie może nigdy zostać pobity.

— A zatem w tym samym czasie — pochwyciłem — gdy jego narzędzia będą się wciąż doskonaliły w zakresie piękna, dobra i siły oraz pod względem możliwości intelektualnych, sam człowiek, ich konstruktor — zdany na łaskę niezwykle powolnej ewolucji, trzymającej go nieomal na miejscu — ujrzy się słabym, głupim i brzydkim.

— Taka byłaby konsekwencja bezpodstawnego założenia, że umysł (rzeczywiste indywiduum ludzkie jaźń lub osobowość) nie może się nigdy oderwać od zwierzęcego ciała (mózgu) i żyć na zasadniczo wyższej podstawie ponad poprzednim etapem rozwojowym.

— Wreszcie trudno byłoby w ogóle rozpoznać, kto tu właściwie jest dla kogo narzędziem: role pana i niewolnika zmieniłyby się miejscami — podsumowałem.

— Nie da się tego faktu ukryć, że futurologia, jaką dziś znamy, jest całkowicie bezradna wobec takiej przerażającej perspektywy: ona ją po prostu przemilcza, chowając głowę w piasek na myśl o niedalekiej już przyszłości, lub tupie energicznie nogą jak przestraszona dziewczynka, która rzuca rozbijający okrzyk: „Ja nie chcę, i już!”, gdy brak jej argumentów wykluczających dość realną możliwość urzeczywistnienia się takiej wizji.

— Domyślam się, do czego pan zmierza.

— Uważam, że tylko teoria uwzględniająca istnienie łańcucha generacji (ta, którą sformułowaliśmy wcześniej) razem z naturalnym

zjawiskiem okresowych przesunięć prowadzących do zmiany układu odniesienia może całkowicie usunąć z naszych prognoz długoterminowych wszystkie obawy związane z wielkim prawdopodobieństwem powstania takiej sytuacji, w której narzędzie pod każdym względem przerosłoby swego niefrasobliwego konstruktora.

— Proszę opisać, jak pan widzi przyszłość mierzoną tysiącami lat — zaproponowałem.

— Oto niektóre jej elementy: każda amputowana część ciała ludzkiego będzie w dość krótkim czasie odrastała na miejscu ubytku, gdyż zjawisko takie musi wywołać w końcu biologia i medycyna przyszłości na drodze ustawicznego potęgowania naturalnej regeneracji. Każdej innej części ciała będzie też można nadać dowolny, pożądany kształt w celu usunięcia rzeczywistego lub urojonego braku. Wystarczy teraz prześledzić zmiany kryterium piękna ciała ludzkiego w naszej historii, więc w czasach, kiedy kształt tego ciała nie mógł ulegać zasadniczym zmianom, aby zauważyć, że zdobycze genetyki zostałyby wykorzystane nie tylko do naprawiania błędów natury, lecz również — a w następnym okresie rozwoju biologii — już wyłącznie do stosowania na wielką skalę wszelkiego rodzaju zabiegów przekształcających całą postać człowieka zgodnie z wymaganiami aktualnej mody, tak jak dziś podlegają jej stroje. Nie tamten obraz mnie jednak zdumiewa, lecz nasza współczesna futurologia, która, biorąc pod uwagę ogromny rozwój biologii, trzyma wodę w ustach, gdy trzeba przypomnieć najbardziej elementarne prawa psychologii. Człowiek dalekiej przyszłości (jeśli spojrzymy na niego ze stanowiska, które wyklucza możliwość opuszczenia ciała) z konieczności będzie się rozwijał bardzo nierównomiernie: podczas gdy jego ciało z łatwością będzie mogło zmieniać swe kształty w epoce braku jakichkolwiek problemów natury materialnej, sam umysł — nie mózg, lecz wsparta na nim świadomość o określonej intensywności — zatem jedyny twór, który stanowi o identyczności danego osobnika, będzie podlegał dalej równie powolnym jak dziś ewolucyjnym przemianom, gdyż trzymać go będzie w miejscu bezpośredni związek z ciałem hamujący znacznie psychiczny rozwój.

— Warto przy okazji podkreślić narzucający się wniosek, że opanowane mogą zostać w całości wszystkie zjawiska przyrody

dostępne na danym etapie z wyjątkiem tych, które kierują rozwojem samego umysłu, a zwłaszcza z wyjątkiem głównych motywów warunkujących jego istnienie.

— Gdyby tak nie było, doszlibyśmy do absurdu.

— Ale niech pan kontynuuje.

— Opisana przed chwilą wersja wypadków jest tylko wariantem poprzedniej, gdyż człowiek, podążając za swymi utworami w jednej dziedzinie, to znaczy dotrzymując im kroku na linii rozwoju swego ciała, pozostaje za nimi coraz bardziej w tyle, jeśli chodzi o rozwój psychiczny. Warto spytać, jakimi prawami będzie się kierowała psychologia takiego umysłu. Jej konstrukcja musi być prawie identyczna z naszą: musiałyby minąć już nie tysiące, ale miliony lat, by ewolucja miała czas wywołać jakąś zasadniczą zmianę. Doskonale wiadomo, że wartość mają tylko te pożądane zjawiska, które trudno wywołać, i te poszukiwane rzeczy, których jest najmniej; z tego powodu przy niesłychanej łatwości osiągnięcia każdego kształtu i każdej ilości w świecie cudów technologicznych na poziomie drugiej generacji nastąpi dewaluacja rzeczy dawniej cenionych, zatem głęboka depresja konsumpcyjna na tym szczeblu, a potem równie uzasadniony spadek wartości piękna ludzkiego ciała. Człowiek musi przesunąć się tam, gdzie jego energia natrafi na wyraźny opór: inaczej — wobec braku dalszych perspektyw rozwojowych — groziłby mu upadek i degeneracja. Przekonanie, że ciało człowieka dalekiej przyszłości będzie wyglądało podobnie jak ciało człowieka współczesnego, nie ma żadnych podstaw i chyba opiera się tylko na niedomaganiu naszej wyobraźni. Z wielu powodów jego postać nie może przypominać naszej aktualnej postaci. Psychiczna zmiana jakościowa wyłoni się stopniowo: wreszcie umysły ludzkie, nie znajdując żadnych wartości w zbiorze urzeczywistnionych ideałów, opuszczą nasz ograniczony układ odniesienia. Nowy świat rozszerzy horyzonty we wszystkich dziedzinach i spotęguje intensywność świadomości. Będzie znacznie bardziej skomplikowany od starego.

— Chce pan powiedzieć, że w tym samym czasie, gdy człowiek osiągnie zdolność konstruowania swego obecnego ciała, idea dalszego doskonalenia technologii biologicznej na tym etapie stanie się już nieaktualna, gdyż umysł człowieka podniesie się z trzeciej fazy bytu do czwartej i osiągając poziom układu odniesienia Nadistot, skupi się nad

zasadniczo innymi problemami.

— Zmierzałem do takiego wniosku. Ale muszę uzupełnić pańską tezę ważnym stwierdzeniem, że umysł ludzki osiągnie czwartą generację znacznie wcześniej, niż zdoła się zająć konstruowaniem własnej świadomości. Toteż sytuacja opisana w poprzednich wersjach futurologicznych nigdy nie może się wyłonić: narzędzia nie tylko że nigdy nie przerosną swego konstruktora, ale nawet nie zdołają się dobrze rozwinąć na szczeblu poprzedniej generacji. Nim potrzeby typowe dla danego rozwojowego etapu zostaną całkowicie zaspokojone, zmiana postaci bytu usunie je całkowicie z pola zainteresowań. W okresowym układzie kolejnych postaci materii zamiast zagrożenia dla ludzkiej cywilizacji widzę teraz jedyną szansę jej nieskończonego rozwoju. Swoboda działania Ludzi-Nadistot da się porównać z wolnością zwierząt poruszających się bez ograniczeń między uwięzionymi roślinami, które wspierając się na poprzedniej postaci materii, muszą wciąż trzymać się korzeniami ziemi. Wśród wielu innych taka jest różnica pomiędzy dwiema sąsiednimi generacjami. Nie potrafimy dziś wyobrazić sobie świata Ludzi-Nadistot. Gdybyśmy mogli nań spojrzeć z naszego obecnego etapu rozwojowego, wydałby się nam zbiorem samych cudów. Lecz nie będzie on miał nigdy nic wspólnego z Niebem.

W pętli trwania

Raniel opuścił mieszkanie wcześniej, by odwiedzić swego znajomego, którego chciał zaprowadzić na zebranie Rady Miejskiej. Mieliśmy się spotkać o dziesiątej, bezpośrednio w siedzibie władz. Wyszedłem na ulicę zaraz po nim. Miałem jeszcze trochę czasu, więc najpierw poszedłem w stronę szóstego szybu.

Budynek leżał w gruzach. Wiedziałem dobrze, czyje to jest dzieło, toteż obraz ruin zmieszał mnie w najwyższym stopniu. Nikt tu nie przejawiał chęci do odbudowy obiektu, gdyż aktualnie — zgodnie z przekonaniem mieszkańców miasta — szyb nie prowadził do schronu. Zawalił się czwartego czerwca ubiegłego roku, zapewne już po odwołaniu alarmu, dokładnie w tej samej chwili, kiedy znikł miotacz podpierający strop.

Oczywiście, że miotacz nie przestał istnieć w ogóle: trwał w przestrzeni, w tym samym miejscu, gdzie go zostawiłem w mieście relatywistycznym. I powinien tam zostać również wtedy, gdy zniknie ostatecznie kilkunastominutowy świat.

Myśląc o tym wszystkim, co trudno było sobie wyobrazić, przypatrywałem się ruinom, tak nierealnym dla mnie po kolejnej zmianie układu odniesienia, aż w pewnej chwili w niedostępnym zakamarku gruzów dostrzegłem coś znajomego: przysypany pyłem niepozorny przedmiot, który barwą i kształtem przypomniiał mi rurę mojego miotacza. Byłoby to spełnieniem szczytu niemożliwości, gdyby miotacz znajdował się tam rzeczywiście, i doskonale zdawałem sobie sprawę z tego faktu, ale już uległem pierwszemu impulsowi. Serce zabiło mi żywiej.

Pobiegłem czym prędzej do ronda, skąd dostałem się na sąsiednią ulicę, przy której stał doskonale znany mi wieżowiec. Z trzydziestego szóstego piętra tego domu wypadł mężczyzna-posąg. Kryjówka Iny przylegała do pokoju zajętego przez zgromadzonych na górze gości. Ciało jej zostawiłem w sąsiednim mieszkaniu, w opuszczonym i zamkniętym pokoju, którego lokator powinien znajdować się teraz w schronie.

Wjechałem windą na trzydzieste szóste piętro. Bez trudu znalazłem

właściwe mieszkanie. Stałem przed zamkniętymi drzwiami. Patrzyłem ze zdumieniem na dawno nie podnoszoną kratę, jaka zwykle zabezpiecza wystawy sklepowe — była opuszczona na drzwi. Zwłaszcza dziwaczne pieczęcie przy kłódkach i plomba z jakimś symbolem spotęgowała moje podniecenie i pewność, że mimo niedorzeczności takiego przypuszczenia Ina znajduje się tam. Gorączka i osłabienie dawały mi się we znaki: musiałem do niej dotrzeć już teraz, nie mogłem tego odłożyć na później. Widziałem tylko jedną drogę, która mogłaby mnie zaprowadzić do wnętrza, gdzie ukryłem ciało Iny: przez okno od strony ulicy. Zapukałem do sąsiedniego mieszkania. Otworzyła mi jakaś kobieta z niemym pytaniem na ustach. Wiedziałem, że w ogóle nie mogę się odezwać: musiałbym opowiadać przez kilka godzin, by wyjaśnić, co mnie tu sprowadza i o co mi chodzi, a jeszcze wtedy nikt by nie uwierzył ani w moją historię, ani — tym bardziej w realność Iny. Bez słowa przeszedłem do pokoju, w którym znajdowało się kilkanaście osób. Prawie nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Okno było szeroko otwarte. Stałem na parapecie. Wychyliłem się nieco ponad przepaść, trzymając się ręką za przebiegający ponad głową, częściowo skruszony i zwietrzały okap muru. Mogłem przejść po gzymsie, który wystawał z zewnętrznej ściany wieżowca, tworząc wąski stopień. Lecz nim zdążyłem postawić na nim nogę, poczułem nagle silny cios w brzuch, który wstrząsnął całym moim ciałem.

To był krótki ułamek sekundy. Palce mojej ręki trwały wciąż na fragmencie okapu odizolowanego już od muru. Wisiałem nad ulicą, ponad drobnymi figurkami ludzi i pudełeczkami samochodów, wciąż z nogami na parapecie okna. Patrzyłem skosem w dół: ta dłoń nie spieszyła mi na ratunek. Widziałem zaciśniętą pięść cofającą się po ciosie w głąb ramy okiennej. Trwała pośród odłamków szkła, małych i dużych, które wisiały nieruchomo w przestrzeni. Mężczyźni i kobiety siedzieli wokoło zastawionego półmiskami i butelkami stołu. Niektórzy stali. Przy szyjce wywróconej karafki kwitła na obrusie brunatna plama. Jedna z kobiet podrywała się z miejsca. Jej sąsiad był już prawie całkowicie wyprostowany. Stęzał ze wzrokiem utkwionym we mnie; wspierał się o stół zaciśniętymi pięściami, wokoło których wzdęło się na obrusie kilka szerokich fałd. Karafka trwała w przestrzeni poniżej krawędzi stołu — w powolnym, lecz nieubłaganym ruchu postępowym ku podłodze.

Nie myślałem o niczym. Całą świadomość, na temat której tak wiele rozmawialiśmy z Ranielem, zajmowały mi dwa słowa: „Pętla trwania”. Szukałem wzrokiem czarnej rozmazanej plamy i czekałem na ukłucie spinki do włosów, która powinna przeszyć mi policzek, aby wszystko mogło się dopełnić.

Ale oto jeszcze jedna niespodzianka — ostatnia. Podczas gdy mijały kolejne sekundy i ludzie (wcale nie posągi) poruszali się we wnętrzu pokoju, również w stanie nieważkości, ja odpływałem od okna, w zwyczajnym powietrzu, tam gdzie skierował mnie cios — skosem w górę, wolno sunąłem w przestrzeni ponad mirażem ulicy w dole. Nagle zrozumiałem, że nie jestem tamtym mężczyzną-posągiem. Kilka zbiegów okoliczności wprowadziło mnie w błąd. Przed chwilą zamarł ciąg fotonowego silnika. Zgodnie z przewidywaniami, gwiazdolot po dziewięciu miesiącach jednostajnie przyśpieszanego biegu wszedł w okres ruchu jednostajnego po linii prostej. Miasto obracało się teraz bardzo wolno wokoło poziomej osi. Po zmianie zwrotu pionu na przeciwny — pomyślałem — gdy gwiazdolot wejdzie na drogę wielomiesięcznego hamowania, ciężenie wróci.

Orbitowałem (tym razem zwyczajnie jak kosmonauta w stanie nieważkości) na znacznej wysokości między ścianami domów zalanych jasnym, przedpołudniowym słońcem. Z okna, spod niskiego czoła i prostych znajomych brwi spoglądały na mnie oczy Robota BER-64, który w głębi Mechanizmu poprzedzał mnie na taśmie. To jego pięść zwała mnie w przepaść. Teraz znajdowałem się w zasięgu jego miotacza.

Zwlekał. Prawie nie myślałem o nim. Jeszcze nie docisnął spustu. Nie to — żeby się wahał choćby przez chwilę, czy zabić, czy może darować mi życie. Odwlekał tylko tę radosną chwilę, w której będzie mógł spełnić swój obowiązek, przeżyć swój mały orgazm razem z ulgą — że zabił kolejnego zbuntowanego robota. Wiedziałem dobrze, że to jest ostateczny kres mego pobytu. Ale nie żałowałem takiej postaci życia: nie mogłem żałować tego, co było niepowtarzalne. Nigdy bym z nim nie zamienił się na miejsca, choć żyłem tylko raz, a on był niezniszczalny — chociaż można go było powielać w nieskończoność.

Unosiłem się swobodnie pod głębokim lazurowym niebem. Miałem w oczach mroczne korytarze schronu. Mignęła mi tam twarz Ludwika Veisa przerażonego groźbą mojej zdrady. Alin i Sent płądrowali w

ciemności kabiny na czterdziestej piątej kondygnacji. Ale był też Unevoris, którego nie zapytałem w porę, po co strzelał do Cooreza. Spomiędzy stolików stołówki przepychała się ku mnie wysoka postać Rekruta. I Asurmar pochylał się między konarami spalonych drzew, nad źdźbłem, by powiedzieć, że jeszcze nie wszystko stracone. Goned osmalony wybuchem bladł przy gruzach łazienki.

Myśli zalał mi ocean rtęci. Posągi — jak małe wskazówki zegarów spętane leniwym czasem — tężały wciąż wokoło mnie. Liliowy szeroki snop omiatał ściany. Gdy wpadł przez kolejne drzwi, dotarłem do celu: ujrzałem postać w letniej sukience uniesioną w przestrzeni i zwrócone na mnie łagodne oczy Iny.

Warszawa 1971



ADAM
WIŚNIEWSKI-SNERG

ROBOT

Copyright by JARNEK RUBICKI 2012. ALL RIGHTS RESERVED. WWW.RUBICKI.INFO



Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Mechanizm](#)

[Zachować życie](#)

[U źródła nocy](#)

[Aporia](#)

[Sen w blasku księżyca](#)

[Posągi](#)

[Tlen i broń](#)

[Tamten świat](#)

[Transformacje](#)

[Wczoraj nieprzeniknione](#)

[Wyznanie szpiega](#)

[Szkielety](#)

[Trumna pancerna](#)

[Ocean Rtęci](#)

[Raport](#)

[Zagrzebać się w tłumie](#)

[Równanie toru](#)

[Bunt](#)

[Taran](#)

[Rozległe oko przestrzeni](#)

[Nadistoty](#)

[Teoria względności życia](#)

[W pętli trwania](#)